



A.S. Byatt

Opętanie

Kiedy pisarz nazywa swe dzieło Romansom, byłoby niemal zbyt ostrym zastrzeżeniem, że chce zachować sobie prawo do pewnej dowolności zarówno w doborze materiału, jak i w jego kształtowaniu, do czego nie czułby się upoważniony, gdyby nazwał swą książkę Powieścią. Ta ostatnia forma kompozycji zakłada, jak się ogólnie przyjmuje, drobiazgową wierność nie tylko temu, co może się wydarzyć w życiu człowieka, lecz także temu, co w nim jest prawdopodobne i zgodne ze zwyczajnym naszym doświadczeniem. Romans jako dzieło sztuki musi stosować się ściśle do swoich praw i jest grzechem nie do wybaczenia, jeśli odstąpi od prawdy ludzkiego serca, ma jednak pełne prawo ukazać tę prawdę w okolicznościach zależnych w dużej mierze od swobodnego wyboru pisarza lub przez niego stworzonych.

Opowieść ta podlega definicji Romansu, ponieważ przedstawiono ją ze szczególnego punktu widzenia; wyraża ona próbę połączenia czasów minionych z ową teraźniejszością, która nieustannie się od nas oddala.

Nathaniel Hawthorne „Dom o siedmiu szczytach”, przedmowa autora, przeł. Bronisława Bałutowa

A jeśli czasem bańka, zbyt już cienka,
Zdaje się pękać - i przez świat fałszywy
Dostrzegasz niemal nasz świat rzeczywisty -
To cóż dostrzegasz? Stary już nic niewart?
Spojrzyj dokoła; otacza Cię młodość
Namiętna i żarliwa - geniusz, piękno,
Również bogactwo, jeśli Ci zależy
Na takich rzeczach - i wszyscy składają
Te dary naturalne w Twoje ręce,
Uznają Ciebie - znaczy mnie, mój panie -
Za swego towarzysza i kompana,
Wciąga ich Sludge'owatość - wręcz są moi,
Ja ich zgoła posiadam -...
Wszystko to stać się może - by się stało
Dość małego zmyślenia - więc Sludge zmyśla!
W czymże jest gorszy niż tamten poeta,
Co Greków słaawił, których wszak nie było,
Za to, że w Troi - której też nie było -
Dokonywali czynów niemożliwych?...
Lecz na cóż mi poeci? Weźmy prozę -
Zwykłych handlarzy zdrowego rozsądku,
Zasadźmy ich do pracy, a cóż poczną
Bez kłamstw swych użytecznych? Wszelkie prawa
I fakty każdy do swych potrzeb stroi,
Jak mu pasuje, pozostając ślepy

Na całą resztę, pisząc to jedynie,
Co własną jego tezę uzasadnia -
Czy będzie to Jeremiasz Napoleon,
Historia Świata, Wojna w Starym Kraju,
Pierwsi Indianie czy też Wiek Jaszczurów -
Wszystko wedle autora widzimi się.
Takiemu skrybie płacisz pan i schlebiasz,
Że swoim kunsztem życie tchnął w kamienie
I ogień w mglistej przeszłości rozpałił,
Czyniąc ją Twoim światem. Wciąż się słyszy:
„Jakże się panu udało pochwycić
Tę nić, co przez labirynt nas prowadzi?
Jakżeś z powietrza taki świat zbudował?
Z jakich to wątych przesłanek wysnułeś Tę powieść albo szkic?" - innymi słowy:
„Jakież to kłamstwa były ci potrzebne, By stworzyć prawdę, którą nas dziś raczysz?"*

Robert Browning, „Pan Sludge, medium”, fragment

* Wszystkie wiersze w tekście nieopatrzone nazwiskiem tłumacza przełożyła Barbara Kopeć-Umiastowska.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tam jest to wszystko: i ogród, i drzewo, Wąż przy korzeniu, w górze złoty owoc, Kobieta w cieniu liściastej korony, Płynąca woda i zielona trawa. Tam wszystko jest i było. Na krawędzi świata, W gaju Hesperyd, gdzie jabłka złociste Wiecznie jaśniały na wiecznych gałęziach, Smok Ladon zjeżył diamentowy grzebień, Naostrzył pazur złoty i ząb srebrny, I drzemiąc, całą nieskończoność czekał, Aż chytry heros Herakles dopełni Dzieła kradzieży i wydziedziczenia. *Randolph Henry Ash, z „Ogrodu Prozerpiny”, 1861*

Książka była gruba, czarna i pokryta kurzem. Spaczone deski jej oprawy skrzypiały; już wówczas, gdy powstała, źle ją traktowano. Oderwany grzbiet sterczał pomiędzy stronic jak gruba zakładka. Ciasno, raz przy razie, opasywała ją brudna biała taśma, którą ktoś zawiązał na schludną kokardkę.

Tom, ekshumowany z Sejfów nr 5, gdzie zwykle tkwił pomiędzy „Pśotami Priapa” i „Miłością u Greków”, bibliotekarz wręczył Rolandowi Mitchellowi, który czekał nań w Czytelnicy Główny Biblioteki Londyńskiej. Była godzina dziesiąta pewnego wrzeźniowego dnia 1986 roku.

Roland zajmował swój ulubiony jednoosobowy stół przy kwadratowym filarem, z dobrym widokiem na zegar nad kominkiem. Z prawej strony znajdowało się wysokie, pełne słońca okno, za którym zieleniły się wierzchołki drzew na St. James's Square.

Biblioteka Londyńska w ogóle była ulubionym miejscem Rolanda. Podupadła, lecz cywilizowana, tchnęła historią, choć zaludniali ją również żyjący poeci i myśliciele, których widywano przycupniętych na stalowej siatce galeryjek lub spierających się uprzejmie na podestach schodów. Tutaj przychodził Carlyle, tutaj, pomiędzy półkami, przechadzała się ongiś George Eliot*. Roland widział jej suknię z czarnego jedwabiu, tren aksamitnej spódnicy, zamiatający ciasne przejście obok Ojców Kościoła, słyszał dźwięczne uderzenia jej mocnej stopy o metal pośród Poetów Niemieckich. Tutaj bywał też Randolph Henry Ash, by zapełnić swój umysł i rozciągliwą pamięć zbędnymi drobiazgami z zakresu Historii i Topografii oraz skorzystać z udanego alfabetycznego sąsiedztwa Nauki z działem Miscellanea, obejmującym Satyrę, Służbę Domową, Sny, Socjalizm, Sodomie, Szatana, Szaleństwo i Śmierć. Za jego czasów prace z zakresu ewolucji katalogowano pod hasłem Człowiek przed Adamem.

Roland dopiero niedawno odkrył, że w Bibliotece Londyńskiej znajduje się należący kiedyś do Asha egzemplarz książki Vico** „Principi di Scienza Nuova”. Księgozbiór Asha został - bardzo niefortunnie - rozproszony po Europie i Ameryce. Zdecydowanie największa jego część należała, rzecz jasna, do Kolekcji Stanta przy Uniwersytecie Dale Owena w Nowym Meksyku, gdzie Mortimer Cropper pracował nad monumentalnym wydaniem „Listów zebranych Randolpha Henry'ego Asha”. W dzisiejszej dobie nie miało to większego znaczenia, książki przemierzały eter niczym dźwięk i światło; istniała wszakże niewielka szansa, że w swym własnym Vico Ash pozostawił marginalia, które przeoczył nawet niezmordowany Cropper. A poza tym Roland szukał źródeł „Ogrodu Prozerpiny” Asha; a poza tym czerpał pewną przyjemność z czytania zdań, które on także czytał, przemierzał wzrokiem, których także dotykał palcami.

* Thomas Carlyle (1795-1881) - pisarz, eseista, historyk angielski, najsilniej oddziałujący moralista swoich czasów; George Eliot - właśc. Mary Ann Evans (1819-1981), pisarka i tłumaczka angielska, autorka znakomitych powieści ilustrujących przemiany społeczne Wielkiej Brytanii doby industrializmu (przyp. tłum.).

** Giambattista Vico (1668-1744) - włoski prawnik i filozof dziejów, twórca teorii cyklicznego rozwoju ludzkości (przyp. tłum.).

Od razu zauważył, że książki od bardzo dawna nikt nie ruszał, być może nawet od chwili, gdy tutaj spoczęła. Bibliotekarz wyciągnął kraciatą chusteczkę i starł nią kurz, czarny, gruby, lgnący pył epoki wiktoriańskiej, złożony z cząsteczek dymu i mgły, które zgromadziły się na długo przed ustawą o zanieczyszczaniu powietrza. Roland rozwiązał taśmę. Książka otworzyła się sprężysto jak pudełko, wypluwając jedną po drugiej kartki wyblakłego papieru, błękitnego, kremowego i szarego, pokrytego rdzawymi literami, brązowymi drapnięciami stalówki. Wstrząsany dreszczem podniecenia Roland rozpoznał pismo; najwyraźniej były to notatki z Vico, poczynione na odwrotach rachunków i listów. Bibliotekarz mruknął, że nie wygląda na to, by ktoś ich wcześniej dotykał. Wystające z książki zapiski miały obwódki z sadzy, jak karty kondolencyjne, a krawędzie stron i plam dokładnie do siebie pasowały.

Roland zapytał, czy wolno mu będzie przeczytać notatki. Przedstawił się; pracował na pół etatu jako asystent profesora Blackaddera, od 1951 roku redaktora „Dzieł zebranych” Asha. Bibliotekarz na palcach oddał się do telefonu; pod jego nieobecność martwe stronicie nadal szeleściły i drżały, jakby ożywione swym wyzwobodzeniem. Umieścił je tu Ash.

Bibliotekarz wrócił i powiedział tak, owszem, proszę bardzo, Roland musi tylko uważać, by nie zmienić kolejności luźno włożonych kartek, dopóki nie zostaną przeliczone i opisane. Główny bibliotekarz będzie bardzo rad usłyszeć o wszystkich odkryciach, których dokona doktor Mitchell.

O wpół do jedenastej skończyli rozmawiać. Przez następne pół godziny Roland na chybił trafił przerzucał stronicę Vico, trochę szukając Prozerpiny, trochę czytając notatki, co nie było łatwe, gdyż Ash zapisywał je w różnych językach swoim pismem adnotacyjnym, które przypominało maleńki druk i nie od razu dało się rozpoznać jako pochodzące spod tej samej ręki, co kreślone bardziej zamasyście listy i poezje.

O jedenastej Roland uznał, że chyba znalazł w książce odnośny ustęp. Vico poszukiwał historycznych faktów w poetyckiej metaforyce mitów i legend; właśnie owo sklejanie fragmentów stanowiło tytułową „nową naukę”, a Prozerpina oznaczała dlań ziarno, początek handlu i społeczności.

Prozerpina Randolpha Henry'ego Asha była echem wątpliwości i przemyśleń epoki wiktoriańskiej na temat mitów Zmartwychwstania. Lord Leighton* malował ją, oszalając i złocistą, unosząc się w tunelu ciemności.

* Frederick Leighton lord Stratton (1830-1896) - angielski malarz i rzeźbiarz (przyp. tłum.).

Blackadder żywił przekonanie, iż dla Randolpha Henry'ego Asha uosabiała Historię jako taką, w jej najwcześniejszym, mitycznym okresie. (Ash napisał poemat o Gibbonie* i drugi o Czcigodnym Będzie**, historyku całkiem odmiennym; natomiast Blackadder napisał artykuł o R.H. Ashu i historiografii relatywnej).

Roland porównał tekst z przekładem Asha i przeniósł fragmenty na jedną z fiszek. Fiszki trzymał w dwóch pudełkach barwy pomidorowej czerwieni i jaskrawej, trawiastej zieleni, z pokrywkami na sprężystych, plastikowych zawiasach, które głośno trzaskały w bibliotecznej ciszy.

Złotymi jabłkami nazywano kłosy zboża i póki nie znano metalicznego złota, musiało to być pierwsze złoto na świecie... A zatem złote jabłka, które Herkules zdobył lub zerwał w Hesperii, musiały być zbożem; Herkules galijski przykuwał ludzi za uszy*** wychodzącym z jego ust złotym łańcuchem, co później zostanie uznane za mit dotyczący pól uprawnych. Herkules pozostawał Bóstwem, które należało udobruchać, aby odszukać skarby, którymi władał Dis (tożsamy z Plutonem); ten zaś porwał Prozerpinę (inna nazwa Ceres, czyli ziarna) do opisywanego przez poetów świata podziemi, zwanego przez nich, po pierwsze, Styksem, po drugie - krainą umarłych, po trzecie wreszcie - bruzdą orną... Z tego to złotego jabłka Wergiliusz, nadzwyczaj uczony w heroicznych dziejach, uczynił złotą gałąź, którą Eneasza unosi do Podziemi albo Piekieł.

Prozerpina Randolpha Henry'ego Asha, „złotoskóra w mroku”, była również złocista jak ziarno. A także spętana „złocistymi ogniwoami”, co mogło oznaczać biżuterię lub łańcuch. Roland skrupulatnie odnotował odwołania pod hasłami ziarno, jabłka, łańcuch, skarby. Złożony między stronicami Vico, na których pojawiał się ten ustęp, leżał rachunek za świece z notatką Asha na odwrocie: „Pojedynczy człowiek pojawia się tylko na mgnienie, włącza się do wspólnoty myśli, odmienia ją i umiera; jednakże gatunek, który nie ginie, zbiera owoc jego przelotnego istnienia”. Roland skopiował również ten fragment i na nowej fiszce zapytał sam siebie:

* Edward Gibbon (1737-1794) - historyk angielski, autor wzorcowego dzieła „Zmierzch cesarstwa rzymskiego” (przyp. tłum.).

** Czcigodny Beda (VIII w.) - teolog i dziejopis irlandzki (przyp. tłum.).

*** Gra słów: *ears* - uszy, *ears of grain* - kłosy zboża (przyp. tłum.).

„Pytanie: Czy to cytat, czy sam Ash? Czy Prozerpina to Gatunek? Bardzo dziewiętnastowieczny pomysł. Kiedy włożył tu te papiery? Przed czy po »Pochodzeniu gatunków«? Co niczego nie dowodzi - mógł się interesować Rozwojem w ogóle...”.

To było o 11.15. Zegar cykał, drobiny kurzu tańczyły w świetle słońca. Roland rozmyślał nad niekończącym się, nużącym i zniewalającym poszukiwaniem wiedzy. Oto siedział tutaj, przywracając do życia lektury umarłego i odmierzając swoje badania cykaniem zegara w bibliotece i lekkimi skurczami żołądka. (W Bibliotece Londyńskiej nie sposób dostać kawy). Sądził, że powinien pokazać swą zdobycz Blackadderowi, który będzie zadowolony i zrzędlawy zarazem, ale i tak się ucieszy, że znalezisko tkwiło zamknięte w Sejfie nr 5, zamiast jak wiele innych rzeczy zostać wywiezione na Uniwersytet Roberta Dale'a Owena w Harmony City. Jednak Roland myślał o tym z niechęcią. Lubił posiadać wiedzę tylko dla siebie.

Prozerpina mieściła się na stronach 288 i 289. Między stronami 300 i 301 leżały złożone dwa arkusze papieru listowego. Roland rozchylił je delikatnie. Były to dwa listy, napisane miękkim pismem Asha, oba z nagłówkiem w postaci jego adresu przy Great Russell Street, datowane 21 czerwca. Roku brakowało. Oba zaczynały się od słów „Droga Pani” i nie były podpisane. Jeden był znacznie krótszy:

Droga Pani.

Od czasu naszej niezwyklej rozmowy nie mogę myśleć o niczym innym. Nieczęsto zdarzało mi się jako poecie - zapewne ludzkim istotom w ogóle nieczęsto się zdarza - być odbiorcą tak lotnego współczucia, takiego dowcipu, połączonego z taką jasnością sądu. Piszę najsilniej przekonany o konieczności dalszej ciekawej rozmowy i pytam Panią bez wyrachowania ~~-gdyż mam wrażenie, że Ciebie również uderzyła niezwykłość naszej~~ czy mógłbym złożyć Pani wizytę, może któregoś dnia w przyszłym tygodniu? Czuję, wiem z całą pewnością, która nie może być skutkiem kaprysu ani błędnego rozumienia, że muszę znów z Panią mówić. Wiem, że bardzo rzadko bywasz w towarzystwie, tym większe więc miałem szczęście, iż drogi Crabb zdołał Cię zwabić na śniadanie. Pomyśleć tylko, że pośród całej tej paplaniny, sztubackiego humoru i wysiłonych anegdot Crabba, łącznie z tymi o Popiersiu, mogliśmy sobie po prostu powiedzieć tak wiele rzeczy istotnych. ~~Nie może być, abym tylko ja~~

Drugi list brzmiał:

Droga Pani.

Od czasu naszej milej i nieoczekiwanej rozmowy nie jestem prawie w stanie myśleć o niczym innym. Czy znajdzie się sposobność, aby ją wznowić w okolicznościach bardziej prywatnych i pozwalających na większą swobodę? Wiem, że Pani bardzo rzadko bywa w towarzystwie, tym większe więc miałem szczęście, iż drogi Crabb zdołał Cię zwabić na śniadanie. Jak wiele zawdzięczam temu, iż tak się dobrze trzyma i w wieku lat 82 jest nadal zdolny o tak wczesnej porze ochoczo podejmować poetów, studentów, profesorów matematyki i politycznych myślicieli oraz opowiadać anegdotę o Popiersiu ze swą zwykłą werwą, nie opóźniając przy tym nadmiernie pojawienia się grzanek z masłem.

Czy tak jak ja, nie sądzi Pani, że to dziwne, żeśmy tak od razu i tak dobrze się porozumieli? Albowiem porozumieliśmy się nadzwyczaj dobrze, nieprawdaż? A może to tylko wytwór nadmiernie pobudzonego umysłu poety w średnim wieku, nieco już pogardzanego, który nagle odkrywa, że jego pomijane, zawile, przebiegle ukazywane znaczenia - które uważał za nie-znaczenia, gdyż zdawało się, że nikt ich nie pojmuje - znalazły jednak jednego trzeźwego i rozbawionego czytelnika? To, co mówiłaś o monologu Alexandra Selkirka, sens, jaki wywiodłaś z bezładnej mowy mojego Johna Bunyana**, Twoje zrozumienie namiętności Inez de Castro... upiornie resurrecta... Ale dość tych samolubnych głądzeń, moich oraz moich personae, które nie są, jak słusznie zwróciłaś uwagę, moimi maskami. Nie chciałbym, abyś sądziła, iż nie doceniam wyższości Twego subtelności ucha i subtelniejszego jeszcze smaku. Przekonany jestem, że musisz podjąć ów wielki Temat Wróżki*

- Ty uczynisz zeń coś niezwyklego i bardzo oryginalnego. A propos tego właśnie, ciekaw jestem, czy myślałaś o spisanych przez Vico dziejach ras prymitywnych, o jego idei, jakoby starożytni bogowie, a później herosi, jako postaci powstające w zbiorowym umyśle, uosabiali ludzkie losy i aspiracje? Tak można by rozumieć legendę Twojej Wróżki, korzeniami tkwiącą w prawdziwych zamkach i autentycznej reformie agrarnej, co dla współczesnego umysłu stanowi najdziwniejszy aspekt jej historii. Ale znów się rozwodzę; niewątpliwie ustaliła już Pani najlepszy sposób przedstawienia tematu, Ty, która jesteś tak mądra i uczona w swym odosobnieniu.

* Alexander Selkirk - marynarz rozbitek, który 27 lat przeżył na wyspie bezludnej i posłużył Danielowi Defoe za pierwowzór Robinsona Kruzo (przyp. tłum.).

** John Bunyan (1628-1688) - pisarz angielski, autor utworu „Podróż Pielgrzyma” (przyp. tłum.).

Nie mogę nie odczuwać - choć może to złudzenie, wywołane rozkosznym opium zrozumienia - że ~~Pani podziela w jakiś sposób moją skwapliwą wiarę, iż dalsza rozmowa przyniesie korzyść nam obojgu, że musimy się spotkać. Nie mogę nie sądzić, bym mógł się mylić, mniemając, że nasza rozmowa była ważna ciekawa również dla Ciebie, bez względu na to, jak wysoko cenisz swą samotność.~~

Wiem, że przyszła Pani na to małe domowe przyjęcie po to tylko, aby uczcić drogiego Crabba, który oddał wielkie usługi Twemu znakomitemu Ojcu i docenił jego pracę wówczas, gdy znaczyło to dlań bardzo wiele. A jednak zjawiała się, zatem mogę mieć nadzieję, że zdołam Cię nakłonić, byś w swoje ciche dni wprowadziła pewną odmianę.

Jestem pewien, że rozumiesz

Na początku Roland był rękopisem głęboko wstrząśnięty; potem, już w swej skórze badacza, poczuł dreszcz podniecenia. Jego umysł automatycznie zajął się datami, próbując umiejscowić ten płonny dialog z nieznaną kobietą. Na listach nie było roku, lecz niewątpliwie musiały powstać już po wydaniu poematów dramatycznych Asha „Bogowie, ludzie i herosi”, które ukazały się w 1856 roku i wbrew oczekiwaniom poety nie spotkały się z przychylnością recenzentów, którzy uznali jego wiersze za mętne, gusta - za perwersyjne, postaci zaś - za przesadzone i nieprawdopodobne. Jeden z poematów, noszący tytuł „Rozmyślenia Alexandra Selkirka w samotności”, opiewał refleksje marynarza rozbitka na jego wyspie; podobnie poemat „Łaska Druciarza” zawierał rzekome więzienne rozmyślenia Bunyana o łasce Bożej. Trzeci był natchnionym i upiornym wyznaniem miłości Piotra Portugalskiego z roku 1356 do jego zamordowanej żony, Inez de Castro, której zabalsamowane ciało, brązowe i wychudzone, towarzyszyło mu w podróżach, kiwając się u jego boku w złotej opasce i koronkach na głowie, obwieszone sznurami pereł i diamentów, z fantastycznymi pierścieniami na kościanych palcach. Ash lubił, gdy jego bohaterowie, znajdujący się na krawędzi szaleństwa lub tuż poza nią, konstruowali systemy wiary i przetrwania z dostępnych sobie strzępków doświadczenia. Chyba będzie można, myślał Roland, dowiedzieć się czegoś o owym śniadaniu, które musiało być jedną z prób, jakie Crabb Robinson* podejmował pod koniec życia, aby studentom nowego Uniwersytetu Londyńskiego stworzyć okazję do pobudzającej rozmowy.

Papiery Crabba Robinsona trzymano na Gordon Square, w Bibliotece im. dr. Williamsa, początkowo zaprojektowanej przez Robinsona jako aula uniwersytecka, czyli miejsce, gdzie studenci eksterni mogli posmakować prawdziwego życia college'ów. Można, na pewno można łatwo sprawdzić w dzienniku Robinsona, kiedy Ash jadł śniadanie na Russell Square pod numerem 30 z profesorem matematyki, politologiem (Bagehotem?)* i żyjącą w odosobnieniu damą, która znała się na poezji i pisała lub miała zamiar pisać wiersze.

Roland nie miał pojęcia, kto to mógł być. Christina Rossetti***? Raczej nie. Nie sądził, by teologiczne poglądy Asha lub jego psychologia płci spotkały się z aprobatą panny Rossetti. Nie mógł także umiejscowić Tematu Wróżki, co wywołało w nim wcale nierzadkie poczucie ogromu własnej ignorancji, szarej mgły, w któ-

rej unoszą się i mającą przypadkowe fragmenty konkretnych przedmiotów, fragmenty połyskliwych kopuł lub mroczne cienie dachów.

Czy korespondencja miała dalszy ciąg? Jeżeli tak, to gdzie się podziała, jakież to klejnoty informacji na temat „pomijanych, zawitych, przebiegle ukazywanych znaczeń” Asha mogła jeszcze ujawnić? Czyżby Nauka musiała zrewidować niektóre pewniki? Jednocześnie, czy korespondencja ta naprawdę się rozpoczęła? Czy też Ash w końcu utknął na mieliźnie, niezdolny wyrazić swój pośpiech i gotowość? To ten pośpiech zwłaszcza poruszył i wstrząsnął Rolandem. Uważał, że zna Asha wcale nieźle, tak dobrze, jak można poznać człowieka, który zdawał się żyć głównie umysłem, który przez czterdzieści lat wiódł cichą i przykłądną egzystencję małżeńską i który, w rzeczy samej, prowadził korespondencję obfitą, ale także powściągliwą, uprzejmą i niezbyt ożywioną.

Jeszcze raz przeczytał listy. Czy ostateczna wersja została wysłana? A może impulsywny gest zamarł bezpłodnie lub spotkał się z odprawą?

* Henry Crabb Robinson (1775-1867) - angielski eseista i pamiętnikarz, korespondent „Timesa” (przyp. tłum.).

** Walter Bagehot (1826-1877) - ekonomista, publicysta i krytyk angielski, autor klasycznego dzieła „The English Constitution” (przyp. tłum.).

*** Christina Georgina Rossetti (1830-1894) - oryginalna poetka angielska, żarliwa chrześcijanka, autorka wierszy przepełnionych uczuciem religijnym (przyp. tłum.).

Roland również poczuł impuls, dziwny i trochę dlań nietypowy. Włożenie tych żywych słów między strony 300 i 301 i zwrócenie ich do Sejfku nr 5 nagle stało się niemożliwe. Rozejrzał się; nikt nie patrzył. Wsunął listy między kartki swojego oksfordzkiego wydania „Dzieł wybranych” Asha, bez którego nigdzie się nie ruszał, a następnie powrócił do notatek z Vico, metodycznie przenosząc na fiszki wszystkie interesujące fragmenty, dopóki na schodach nie rozległ się głośny dzwonek, oznajmiający koniec czasu nauki. Całkiem zapomniał o lunchu.

Kiedy wychodził, spiętrzywszy swoje pudełka, pomidorowe i trawiaste, na „Dzielach wybranych”, dyżurny bibliotekarz skinął mu życzliwie. Znano go tutaj. Na ścianach wisiały pouczenia, by nie kraść i nie niszczyć książek, których w ogóle nie skojarzył z własnym postępkiem. Na Piccadilly wsiadł w autobus nr 14 i ścisnąc łup, wszedł na górę. Pomiędzy Piccadilly i Putney, gdzie mieszkał w suterenie wilgotnego, wiktoriańskiego domu, doświadczył po kolei swych zwykłych stanów: senności, przykrego roztrzęsienia i niepokoju z powodu Val.

ROZDZIAŁ DRUGI

Człowiek jest historią swoich oddechów i myśli, aktów, atomów i ran, miłości, obojętności i niechęci; jak również swej rasy i narodu, ziemi, która wykarmiła jego przodków, kamieni i piasków miejsc dobrze znanych, dawno ucichłych bitew i zmagañ sumienia, uśmiechów dziewcząt i powolnej mowy starych kobiet, przypadków i nierychliwego, nieubłaganego prawa, tego wszystkiego i jeszcze czegoś; to samotny płomień, we wszystkim posłuszny regułom, rządzącym istotą Ognia, rozpalany i gaszony tylko na chwilę, który w całym bezmiernym oceanie nadchodzącego czasu nigdy się już nie rozjarzy.

Tyle Randolph Henry Ash, około roku 1840, kiedy pisał „Ragnarök”*, poemat w dwunastu księgach, postrzegany przez niektórych jako chrystianizacja nordyckiego mitu, przez innych zaś napiętnowany jako wytwór ateizmu i diabelskiej rozpacz. Dla Randolpha Henry'ego Asha kwestia, czym jest człowiek, miała istotne znaczenie, choć zapewne potrafiłby bez większego trudu napisać powyższe ogólne, panoramiczne zdanie korzystając z innych określeń, fraz i rytmów, i otrzymać na końcu tę samą wykrętną metaforę. W każdym razie tak myślał Roland, wyszkolony w poststrukturalistycznej dekonstrukcji podmiotu. Zapytany, czym jest Roland Mitchell, musiałby udzielić zupełnie innej odpowiedzi.

* Ragnarök - w mit. skand, zagłada bogów i wszystkich rzeczy podczas ostatecznej bitwy z siłami zła; odpowiednik germańskiego zmięzchu bogów (przyp. tłum.).

W 1986 roku miał lat dwadzieścia dziewięć, był absolwentem Prince Albert College w Londynie (1978) i doktorem tejże uczelni (1985). Jego praca doktorska nosiła tytuł „Historia, historycy i poezja; studium prezentacji »danych historycznych« w wierszach Randolpha Henry'ego Asha”. Pisał ją pod kierunkiem Jamesa Blackaddera, co było doświadczeniem zniechęcającym; Blackadder, sam zniechęcony, lubił zniechęcać innych. (Jako uczoney był niezwykle solenny). Obecnie Roland pracował na pół etatu w tak zwanej Fabryce Asha (czemu nie nazwą jej Ashram*, pytała Val), mającej siedzibę w Muzeum Brytyjskim, któremu po śmierci poety jego żona Ellen podarowała większość rękopisów męża. Fabryka Asha utrzymywała się z małego grantu, przyznanego przez Uniwersytet Londyński, oraz ze znacznie większej dotacji z Fundacji Newsome'a w Albuquerque, USA, funduszu dobroczynnego, w którego radzie powierniczej zasiadał Mortimer Cropper. Można by stąd wnosić, że Blackadder i Cropper w harmonii pracują na rzecz dzieła Asha - byłoby to jednak nieprawdą. Blackadder sądził, że Cropper ma nieczne zamiary wobec rękopisów powierzonych - lecz nie przekazanych na własność - Bibliotece Brytyjskiej i wkłada się w łaski właścicieli, zdobywając ich zaufanie popisami szczodrości i użyteczności. Jako Szkot, Blackadder był przekonany, iż wytwory brytyjskiego piśmiennictwa winny pozostać w Wielkiej Brytanii, aby mogli je studiować Brytyjczycy. To może dziwne, że opis Rolanda Mitchella rozpoczyna się wypadem w stronę złożonych stosunków pomiędzy Blackadderem, Cropperem i Ashem, ale Roland najczęściej myślał o sobie w tych właśnie kategoriach. To znaczy wówczas, gdy nie myślał o sobie w kategoriach Val.

* Aluzja do słowa aśrama (przyp. tłum.).

Myślał o sobie jak o kimś, kto się spóźnił. Spóźnił się na wszystko, co jeszcze wisiało w powietrzu, ale już właściwie zniknęło, na cały ferment, blask, podróże i młodość lat sześćdziesiątych, radosny świt tego, co jego współcześni postrzegali już jako dość ponury dzień. W owej psychodelicznej epoce chodził jeszcze do szkoły w podupadłym mieście w Lancashire, nietkniętym ani przez brzmienie Liverpoolu, ani przez tumult Londynu. Jego ojciec był drobnym urzędnikiem w Radzie Gminy, matka - rozczarowaną absolwentką filologii angielskiej. Na ogół Roland myślał o sobie jak o bezosobowym formularzu zgłoszenia - do pracy, do stopnia naukowego, do życia - lecz kiedy wspominał matkę, natrętny przymiotnik nie dawał się wyrzucić. Była rozczarowana: sobą, ojcem i nim samym. Owo gniewne poczucie zawodu stało się instrumentem edukacji Rolanda, która odbywała się w ciągłym biegu, w szkole im. Aneurina Bevana, będącej niechlujnym zlepkiem trzech innych szkół: starego Liceum Glasdale, anglikańskiej szkoły średniej pod wezwaniem Tomasza à Becket oraz nowego Technikum Cechu Sukienników. Matka, nadużywając kiedyś piwa, poszła „tam do szkoły” i przeniosła go z metalurgii na łacinę, z wychowania obywatelskiego na francuski, korepetycje zaś z matematyki opłacała pieniędzmi, które zarobił, z jej namowy rozwożąc gazety. Tak więc odebrał staroświeckie klasyczne wykształcenie, jeśli nie liczyć luk, powstałych w okresach, gdy zmieniał się nauczyciel lub w klasie panował chaos. Dokonał, jak zawsze, tego, czego odeń oczekiwano, miał pięć celujących na dużej maturze, skończył studia z wyróżnieniem, zrobił doktorat. Teraz właściwie był bez pracy, ledwie się utrzymując z prywatnych lekcji, orki u Blackaddera i zmywania od czasu do czasu w restauracjach. W ekspansywnych latach sześćdziesiątych zrobiłby szybką i mimowolną karierę, lecz teraz uważał się za przegranego i niejasno czuł, że sam jest za to odpowiedzialny.

Był niskim mężczyzną o bardzo miękkich, zaskakująco czarnych włosach i drobnych, regularnych rysach. Val nazywała go Krecikiem, czego nie lubił. Nigdy jej o tym nie powiedział.

Mieszkał z Val, którą poznał, mając lat osiemnaście, na herbatce dla pierwszego roku, zorganizowanej przez Związek Studentów. Teraz wierzył - aczkolwiek ta wiara mogła wynikać z mitotwórczego wygładzenia pamięci - że Val była pierwszą osobą, do której odezwał się w swym studenckim wcieleniu, towarzysko, rzecz jasna, nie w sprawach urzędowych. Pamiętał, że spodobał mu się jej wygląd, brązowy i niepewny. Stała na uboczu, trzymając w ręku filiżankę, nie rozglądając się, lecz patrząc nieruchomo przez okno, jakby nie spodziewała się, że ktoś się do niej zbliży, i bynajmniej nikogo nie zachęcała. Emanowała z niej cisza, brak dążenia, więc jednak do niej podszedł. I od tamtej pory nigdy się nie zdarzyło, aby nie byli razem. Zapisali się na te same zajęcia i wstąpili do tych samych stowarzyszeń; siedzieli razem na seminariach i razem chodzili do klubu filmowego; razem chodzili do łóżka i na drugim roku razem wprowadzili się do jednopokojowego mieszkania. Żyli skromnie na diecie złożonej z owsianki, soczewicy, fasoli i jogurtu; czasem pili piwo, starając się, by starczyło jak najdłużej, i kupowali wspólnie książki; oboje mieli tylko stypendia, za małe na życie w Londynie, i nie mogli już dorabiać pracą wakacyjną, która skończyła się, gdy nastał kryzys paliwowy. Roland był pewien, że jego wyróżnienie to w dużej mierze zasługa Val. (Oraz jego matki i Randolpha Henry'ego Asha). Po prostu spodziewała się tego po nim, zmuszała go, by zawsze mówił, co myśli, dyskutowała z nim poszczególne kwestie i wciąż się martwiła, czy pracuje - czy pracują oboje - dostatecznie ciężko. Prawie w ogóle się nie kłócili, a

kiedy już tak się działo, to zwykle dlatego, że Roland wyrażał zaniepokojenie jej brakiem ciekawości świata, jej odmową zabierania głosu na ćwiczeniach, a później nawet wobec niego samego. Z początku, jak pamiętał, miała wiele spokojnych opinii, które nieśmiało wygłaszała, przebiegle przebrane w kostium zachęty lub przynęty. Podobały się jej niektóre wiersze. Kiedyś usiadła naga w ich ciemnym pokoju i zaczęła recytować Roberta Gravesa:

Wyznaje swoją miłość już prawie uśpiona
Szepcze w mrok szczątki jawy
By przetrwały we śnie:
Z zimowego snu Ziemi budzą się nasiona
I przebijają się kwiaty i trawy
Przez śnieg
Przez padający śnieg*.

* Robert Graves (1895-1985), „Wyznaje swoją miłość już prawie uśpiona”, przeł. Stanisław Barańczak (przyp. tłum.).

Miała szorstki głos, głos pokolenia, oszlifowany między Londynem i Liverpoolem. Kiedy Roland usiłował coś powiedzieć, położyła mu dłoń na ustach; może i dobrze się stało, gdyż nie miał nic do powiedzenia. Później zauważył, że w miarę jak on sam odnosił sukcesy, Val mówiła coraz mniej, a podczas sporów coraz częściej podsuwała mu jego własne pomysły, czasem wywrócone na nice, lecz zasadniczo pochodzące od niego. Nawet jej semestralny esej nosił tytuł: „Brzuchomówstwo mężczyzn: kobiety Randolpha Henry'ego Asha”. Roland nie chciał, żeby o tym pisała, lecz kiedy napomknął, że powinna przemówić własnym głosem, sprawić, by ją zauważono, oskarżyła go, że się z niej „naigrawa”. Zapytana, co ma na myśli, mówiąc „naigrawa”, uciekła w milczenie, jak zwykle, kiedy się kłócili. Ponieważ milczenie również dla Rolanda stanowiło jedyną formę agresji, trwali w nim całymi dniami lub nawet - jak wówczas, gdy Roland wprost skrytykował „Brzuchomówstwo mężczyzn” - całymi okropnymi tygodniami. W końcu jednak zjeżoną ciszę zaczynały modulować pojedyncze monosylaby i powracali do pokojowego współistnienia. Nadeszły egzaminy końcowe; Roland systematycznie osiągał spodziewane dobre wyniki. Prace Val, dobrze rozplanowane, napisane jej dużym, pewnym piśmem, były oszczędne i nijakie. „Męskie brzuchomówstwo” egzaminatorzy ocenili wysoko, a następnie pominęli milczeniem, uznając, że Roland walenie się doń przyczynił; było to w dwójnasób niesprawiedliwe, gdyż, po pierwsze, Roland wręcz nie chciał patrzeć na ów esej, a po drugie, nie zgadzał się z jego podstawową tezą, głoszącą, że Randolph Henry Ash nie znosił i nie rozumiał kobiet, że głosy kobiece są figurami jego własnych lęków i agresji, że nawet cykl poematów „Ask do Embla”* nie jest dziełem miłości, lecz narcyzmu, a poeta zwraca się do swej Animy. (Żadnemu krytykowi ani biografowi nie udało się w zadowalający sposób ustalić tożsamości Embla). Val zdała bardzo źle. Roland sądził, że się tego spodziewała, lecz wkrótce stało się boleśnie oczywiste, że jednak nie. Pojawiły się łzy, całonocne zdławione szlochy i pierwsze awantury.

* Ask, Embla (mit. skand.) - pierwsi ludzie, stworzeni z jesionu przez Odyna, Vili i Ve (przyp. tłum.).

Po raz pierwszy, odkąd zamieszkali razem, Val opuściła go i na krótko pojechała „do domu”. Dom mieścił się w Croydon, w kwaterunkowym mieszkaniu rozwiedzionej matki Val, utrzymującej się z zasiłku i przypadkowych wpłat od ojca Val, marynarza Floty Handlowej, którego córka widziała po raz ostatni, kiedy miała pięć lat. Podczas wspólnego życia z Rolandem Val nigdy nie zaproponowała, aby odwiedzili jej matkę wspól-

nie, choć Roland dwukrotnie zabierał ją do swoich rodziców w Glasdale, gdzie pomagała ojcu zmywać i pogodnie znosiła lekceważące drwiny matki z życia, jakie prowadzą, powtarzając: „Nie martw się, Kreciku. Już to widziałam. Moja na odmianę pije. Gdybyś zapalił zapałkę w naszej kuchni, wyleciałaby w powietrze”.

Po wyjeździe Val, Roland, wstrząśnięty, jakby doznał nawrócenia, zdał sobie sprawę, że nie chce, by ich dotychczasowy styl życia trwał nadal. Tarzał się i przeciągał na łóżku, otwierał na oścież okna, chodził sam do Galerii Tate i patrzył na topniejące złoto i błękit zamku Norham Turnera. Przynajmniej bażanta na cześć Fergus Wolffa, swego rywala w wydziałowym wyścigu szczurów, co stanowiło gest cywilizowany i podniecający zarazem, choć bażant okazał się stary i pełen śrutu. Snuł plany, a właściwie nie plany, lecz wizje samotnej pracy i czujnej swobody, które nigdy dotąd nie były mu dane. Val wróciła po tygodniu, zapłakana i roztrzęsiona, i oznajmiła, że pragnie przynajmniej zarabiać na siebie i zrobić kurs maszynopisania. „Przynajmniej ty jeden mnie chcesz - mówiła do Rolanda z twarzą wilgotną i błyszczącą od łez. - Nie wiem dlaczego, bo nic ze mnie nie będzie, ale chcesz”. „Oczywiście, że chcę - odpowiadał Roland. - Oczywiście”.

Kiedy skończył doktorat, skończyło się także jego stypendium i Val została ich jedyną żywicielką. Kupiła maszynę do pisania IBM i wieczorami przepisywała w domu prace naukowe, w ciągu dnia zaś podejmowała rozmaite kuszące i dobrze płatne zajęcia. Pracowała w City i w szpitalach klinicznych, w firmach spedycyjnych i galeriach sztuki. Opierała się naciskom, by szukać specjalizacji. Nie dawała się wyciągnąć na opowieści o pracy, którą prawie zawsze określała słowem „posługa”. „Muszę jeszcze wykonać parę posług, zanim pójde spać”, lub jeszcze dziwniej: „O mało mnie nie przejechali, kiedy szłam rano na posługę”. Jej głos zyskał nową, szyderczą nutę, nie całkiem obcą Rolandowi, który po raz pierwszy zastanowił się, jaka była jego matka przed owym rozczarowaniem, które w jej przypadku wiązało się z jego ojcem i w pewnej mierze z nim samym. Łoskot maszyny do pisania dręczył go po nocach, nigdy dość rytmiczny, by mógł nań zobojećnić.

Były teraz dwie Val. Jedna, milcząca, siedziała w domu, ubrana w stare dżinsy i wyciągnięte, długie, leżące się koszule w brudnoczarne i fioletowe kwiaty. Ta miała matowe, brązowe, bardzo proste włosy, zwisające wokół bladej, ziemistej twarzy. Niekiedy tylko ukazywała szkarłatne paznokcie, pozostałość po drugiej Val, która nosiła obcisłą czarną spódniczkę, różową jedwabną bluzkę pod czarnym żakietem z wywatowanymi ramionami oraz staranny makijaż: różowe i brązowe cienie na powiekach, muśnięcia rózu na kościach policzkowych i pełne, śliwkowe usta. Ta jaskrawożałobna, posługująca Val chodziła w pantoflach na wysokich obcasach i w czarnym berecie. Miała piękne kostki, zwykle niewidoczne w domowych dżinsach. Włosy, znośnie ostrzyżone na pазia, wiązała czasem czarną wstążką. Nie posuwała się do tego, by używać perfum; nie została stworzona na kobietę atrakcyjną. Roland na poły pragnął jednak, aby taką się stała i aby jakiś handlowiec lub szemrana prawnik zabrał ją czasem na kolację albo do Klubu Playboya. Nienawidził się za te upokarzające marzenia i miał uzasadnione obawy, że Val domyśla się, iż je hoduje.

Byłoby mu łatwiej coś zmienić, gdyby znalazł stałą pracę. Składał wiele podań, które regularnie odrzucano. Kiedy na jego wydziale pojawił się wolny etat, napłynęło sześćset zgłoszeń. Zaproszono Rolanda na rozmowę - z uprzejmości, jak podejrzewał - lecz stanowisko dostało się Fergusowi Wolffowi, który miał za sobą nierówną karierę, który mógł być genialny lub żaloszny, ale nigdy nie był nudny i poprawny, który drażnił i czarował uwielbiających go wykładowców, podczas gdy Roland wzbudzał co najwyżej rzetelną aprobatę. Ponadto Fergus zajmował się odpowiednią dziedziną, to znaczy teorią literatury. Val oburzyła się z tej okazji o wiele

bardziej niż Roland i jej reakcja zdenerwowała go na równi z poniesioną klęską, albowiem lubił Fergusa i chciał nadal go lubić. Val wymyśliła dla Fergusa jedno ze swych określeń, koślawych i nietrafnych: „Ten pretensjonalny blondyn” - mawiała. „Ta męska seksbomba”. Lubiła używać męskich, seksistowskich zaczepek jak bumerangu. Roland czuł się zażenowany, gdyż Fergus nie mieścił się w takiej terminologii; w rzeczy samej był blondynem, istotnie odnosił wybitne sukcesy seksualne - i na tym koniec. Nie jedli już razem obiadów i Roland obawiał się, że Fergus na pewno myśli, że to wskutek jego, Rolanda, niechęci.

Gdy tego wieczora wrócił do domu, poczuł, że Val jest w jednym ze swych nastrojów. Sutereneę wypełniał ciepły, ostry zapach smażonej cebuli, co oznaczało, że przyrządza coś skomplikowanego. Kiedy nie była „w nastroju”, wpadała w apatię, otwierała jakąś puszkę, gotowała jajka lub co najwyżej przyprawiała awokado. Kiedy była bardzo wesoła lub bardzo zła, gotowała. Teraz stała przy zlewie, siekając bakłażany, i kiedy wszedł, nie podniosła głowy, z czego wywnioskował, że jej nastrój jest zły. Cicho odstawił torbę. Zajmowali w suterenie przepastny pokój, który dla rozjaśnienia pomalowali na morelowo i biało; stała w nim podwójna, rozkładana kanapa, dwa bardzo stare fotele śliwkowe, pluszowe i zakurzone, z krętymi ślimakami poręczy i oparcie, poplamione, używane biurko, przy którym pracował Roland, oraz nowsze, lakierowane, bukowe biureczko pod maszynę do pisania. Biurka stały naprzeciw siebie przy obu dłuższych ścianach, każde ze swoją lampą na wysięgniku, czarną Rolanda i różową Val. W głębi znajdowały się półki, zrobione z cegieł i desek, uginające się pod standardowymi książkami, niekiedy kupionymi wspólnie, niekiedy występującymi w dwóch egzemplarzach. Na ścianach powiesili plakaty; misterny, geometryczny plakat z wystawy Muzeum Brytyjskiego o Koronie, zapowiedź ekspozycji Turnera w Galerii Tate.

Roland miał trzy wizerunki Randolpha Henry'ego Asha. Pierwszy, będący fotografią maski pośmiertnej, stanowiącej jeden z głównych eksponatów Kolekcji Stanta w Harmony City, stał na jego biurku. Było zagadką, jak powstała ta posepna, rzeźbiona głowa o szerokim czole, skoro istniała również fotografia poety pogrążonego w ostatnim śnie i nadal posiadającego patriarchalną brodę. Kto go ogolił i kiedy? - dziwił się Roland; to samo pytanie stawiał Mortimer Cropper w swej biografii Asha „Wielki brzuchomówca”, nie znajdując na nie odpowiedzi.

Pozostałe dwa portrety były to wykonane na zamówienie kopie fotograficzne podobizn poety z Narodowej Galerii Portretów, które Val zesłała na wygnanie w mrok korytarza. Mówiła, że nie chce, by się na nią gapił, chce mieć trochę życia dla siebie i nie dzielić go z Randolphem Henrym Ashem.

W ciemnym holu obrazy były ledwie widoczne. Jeden namalował Manet, drugi - G. F. Watts*. Portret autorstwa Maneta powstały, kiedy malarz przebywał w Anglii w 1867 roku, zdradzał podobieństwo do portretu Zoli. Ukazywał Asha, poznanego uprzednio w Paryżu, z półprofilu, siedzącego za biurkiem w mahoniowym fotelu. Z tyłu widniało coś w rodzaju tryptyku z liśćmi paproci, okalającymi oczko wodne, w którym różowe i srebrzyste ryby unosiły się wśród zatopionych roślin. Widz miał przez chwilę wrażenie, że poetę umieszczono między korzeniami leśnych drzew, dopóki nie uświadomił sobie, że tło - co wykazał Mortimer Cropper - to jedna z owych gablot Warda, złożonych z wielu pojemników, w których wiktoriańskie hodowali rośliny lub zakładali stawy w kontrolowanym obiegu zamkniętym, w ten sposób badając fizjologię roślin i ryb. Ash Maneta był ciemnowłosym, potężnie zbudowanym mężczyzną o głęboko osadzonych oczach pod mocnym czołem, sprężystej brodzie i minie pełnej cichego rozbawienia. Wyglądał czujnie i inteligentnie, jak ktoś, kto nie kwapi

się do pośpiesznych ruchów. Na biurku przed nim leżały rozmaite przedmioty - elegancka, mistrzowsko oddana martwa natura, trafne uzupełnienie silnej głowy i wieloznaczej flory i fauny.

* George Frederic Watts (1817-1904) - malarz angielski zbliżony do symbolizmu (przyp. tłum.).

Składał się na nią stosik surowych okazów geologicznych - między innymi dwa prawie sferyczne kamienie, czarny i siarkowożółty, przypominające kule armatnie - garść amonitów i trylobitów, duża kryształowa kula, zielony szklany kałamarz, kompletny szkielet kota, sterta książek, z których dwie dawały się rozpoznać jako „Divina Commedia” i „Faust”, oraz klepsydra w drewnianej oprawie. Spośród tych przedmiotów kałamarz, szklana kula, klepsydra, obie rozpoznane książki i jeszcze dwie, które pracownicy zidentyfikowano jako „Don Kichota” oraz „Geologię” Lyella, znajdowały się obecnie w Kolekcji Stanta, gdzie odtworzono dla nich cały pokój, łącznie z gablotą Warda, aby przypominał scenę u Maneta. Krzesło i samo biurko również zostały skolekcjonowane.

Portret Wattsa był mglisty i nie tak imponujący. Powstał w 1876 roku i ukazywał starszego, bardziej eterycznego Asha, którego głowa, jak zwykle u tego malarza, wznosiła się ku duchowemu światłu na mrocznej kolumnie ciała. Niegdysiejsze tło ściemniało; na oryginalnym obrazie dało się dostrzec niewyraźne zarysy dzikiego skalistego pejzażu, ale reprodukcja fotograficzna zmieniła go jedynie w zgęszczenia i rozjaśnienia czerni. W tym portrecie ważne były oczy, duże i lśniące, oraz broda, rzeka nitek srebrnych, kremowych, białych i szaroniebieskich, płatanina kanałów i rozgałęzień, przypominających turbulencje Leonarda, wyraźne źródło światła, jaśniejące nawet na fotografii. Te wizerunki, zdaniem Rolanda, wydawały się jakoś prostsze i prawdziwsze dlatego, że były fotografiami. Mniej pełne życia - życia farby - lecz bardziej, we współczesnym sensie, realistyczne, bardziej zgodne z oczekiwaniami współczesnych. A także trochę podniszczone; mieszkanie nie było czyste i panowała w nim wilgoć, jednak Roland nie miał pieniędzy, by je odnowić.

Oszklone drzwi na końcu pokoju prowadziły na niewielki podest, skąd schodki wiodły do ogródka, widocznego za prętami w górnej części okna. Lokal, gdy przyszli go obejrzeć, został opisany jako mieszkanie z ogrodem i był to jedyny raz, kiedy ich do tego ogrodu zaproszono; później oznajmiono, że nie mają tam prawa wstępu. Nie wolno im było nawet hodować roślin w doniczkach na ciemnym, kamiennym podeście, z powodów tyleż niejasnych, co kategorycznych, które przedstawiła im gospodyni, wiekowa pani Irving. Zamieszkiwała wszystkie trzy piętra nad nimi, w skisłym, zwierzęcym zaduchu mnóstwa kotów, utrzymując ogród w stanie tak promiennym, zdrowym i uporządkowanym, jak jej bawialnia była nędzna i zapuszczona. Omamiła ich jak stara wiedźma - mówiła Val - głośno zachwalając ciszę ogrodu i dając każdemu po złocistej, porośniętej meszkiem morelce z drzewek rozpiętych na kracie wzdłuż łuku ceglanego muru. Ogród, długi i wąski, był właściwie altaną ze skrawkami słonecznego trawnika wśród maleńkich, przystrzyżonych żywopłotów, z powietrzem lśniącym od różu, kości słoniowej i ulotnej purpury, mieszczącą w swych granicach fantastyczne pasiaste i cętkowane storczyki, brązowe i złote skrzęty, śmiałe, gorące i pyszne. I zakazane. Ale o tym nie wiedzieli na początku, kiedy pani Irving swoim suchym, pękniętym i uprzejmym głosem rozводziła się nad dziejami wysokiego muru, który powstał podczas wojny domowej* - albo jeszcze wcześniej - i stanowił część granicy dóbr generała Fairfaksa w czasach, kiedy Putney było jeszcze odrębną wioską, kiedy zbierały się tutaj oddziały

Cromwella i kiedy na moście, w kościele św. Marii Panny, odbywały się słynne debaty na temat wolności sumienia. Randolph Henry Ash napisał nawet wiersz, który włożył w usta jednego z Diggerów z Putney**. Przychodził tu, aby popatrzeć na rzekę podczas odpływu, Ellen Ash opisała to w swym „Dzienniku”; urządzali sobie pikniki, na które przynosili kurczęta i zapiekankę z pietruszką. Fakt ów, jak również to, że Fairfax był patronem Marvella*** oraz ogród za murem, pełen kwiatów i owoców, wystarczyły, by Roland i Val dali się skusić na mieszkanie wraz z jego mankamentami.

* Wojna trwająca z przerwami od 1642 do 1660 roku pomiędzy wojskami parlamentarnymi pod wodzą Olivera Cromwella i armią króla Karola I; zwana także okresem republiki (przyp. tłum.).

** Diggerzy (od ang. *to dig* - kopać) - ruch powstały w XVII-wiecznej Anglii, dążący do zniesienia własności prywatnej; jego członkowie w 1649 r. zaczęli uprawiać niektóre granty gminne, stąd nazwa (przyp. tłum.).

*** Andrew Marvell (1621-1678) - znakomity poeta angielski (przyp. tłum.).

Wiosną ich okno rozświetlał od góry żółty blask gęstego szpaleru żonkili. Wąsy winobluszczu opadały ku framudze i za pomocą okrągłych przysawek wędrowały po szybie z wielką roślinną prędkością. Luźne kiście jaśminu ze szczególnie obficie kwitnącego krzewu zwieszały się przez poręcz schodków, dopóki pani Irving w ogrodniczym stroju, czyli w kaloszach i fartuchu zarzuconym na tweedowy kostium, zniszczony i wypchnięty na siedzeniu - ten sam, w którym ich zwabiła - nie zjawiała się, aby je podwiązać. Roland zapytał ją kiedyś, czy nie mogliby pomagać w ogrodzie w zamian za pozwolenie, by czasem tam posiedzieć. Usłyszał, że nie mają o tym pojęcia, że wszyscy młodzi są tacy sami, nieuważni, wszystko niszczą i że pani Irving ceni sobie swoją prywatność. „Pomyśleć tylko - powiedziała Val - przecież koty też szkodzą w ogrodzie”. Ale to było, zanim na sufitach kuchni i łazienki odkryli plamy wilgoci, które przy dotknięciu wyraźnie cuchnęły kocimi szczynami. Zamknięte w mieszkaniu koty również obowiązywał zakaz wstępu do ogrodu. Roland uważał, że powinni poszukać czegoś innego, lecz powstrzymywał się od wszelkich propozycji, ponieważ to nie on zarabiał na życie i ponieważ tam, gdzie chodziło o niego i Val, nie chciał podejmować żadnych zdecydowanych działań.

Val postawiła przed nim peklowaną baraninę z grilla, ratatouille i gorący grecki chlebek.

- Może przyniosę jakieś wino? - zapytał, na co Val odparła, niemiło i zgodnie z prawdą:

- Powinieneś być pomyśleć o tym wcześniej, teraz wszystko ostygnie.

Jedli przy stoliku do kart, który rozkładali, a potem znów składali.

- Odkryłem dzisiaj coś zdumiewającego - powiedział.

- Ach, tak?

- Byłem w Bibliotece Londyńskiej. Mają tam Vico R. H. Asha, jego własny egzemplarz. Trzymają go w sejfie. Poprosiłem, by przynieśli go na górę; dosłownie pękał w szwach od jego notatek, wetkniętych pomiędzy strony, na starych rachunkach i takich tam. Jestem na dziewięćdziesiąt procent pewien, że nikt nigdy do nich nie zaglądał, nigdy, od czasu kiedy on je tam włożył, bo wszystkie brzegi były czarne i krawędzie pasowały...

- Bardzo ciekawe. Bezbarwnie.

- To mogłoby zmienić stan wiedzy, naprawdę. Pozwolili mi je przeczytać. Jestem pewien, że nikt o nich nie wie.

- Pewnie nie.

- Będę musiał powiedzieć Blackadderowi. Zechce sprawdzić, jakie to ważne, i upewnić się, że Cropper jeszcze tam nie dotarł...

- Pewnie tak, owszem. Naprawdę miała zły nastrój.

- Przepraszam, Val, przykro mi, że cię nudzę. To zapowiada się tak podniecająco...

- To zależy, co kogo rajcuje. Wszyscy mamy rozmaite małe przyjemności.

- Mógłbym coś napisać, może artykuł... opisać konkretne odkrycie. Miałbym lepsze perspektywy pracy.

- Nie ma żadnej pracy. - I dodała: - A jeżeli jest, dostaje ją Fergus Wolff.

Znał swoją Val; widział, jak szlachetnie usiłowała się powstrzymać przed tą ostatnią uwagą.

- Jeśli naprawdę myślisz, że to, co robię, jest takie nieważne...

- Robisz to, co cię rajcuje - powiedziała Val. - Jak każdy, jeśli ma szczęście i w ogóle cokolwiek go rajcuje. Ty masz coś do tego człowieka, który umarł. Który miał coś do innych umarłych ludzi. To w porządku, ale nie wszyscy się tym przejmują. Ze swej pozycji posługaczki widzę różne rzeczy. W zeszłym tygodniu, kiedy byłam w tamtej firmie, co eksportuje porcelanę, znalazłam kilka zdjęć pod teczką na biurku szefa. Takich z małymi chłopcami. Łańcuchy, kneble... paskudztwa... W tym tygodniu, kiedy, och, tak starannie układałam karty chorych dla tego chirurga, trafiłam na szesnastolatka, któremu w zeszłym roku odjęto nogę - robią mu protezę, trwa to miesiącami, okropnie się guzdrzą - i już wiadomo, że zaczęło mu się w drugiej nodze, on jeszcze nie wie, ale ja wiem. Wiem mnóstwo rzeczy. Nic do niczego nie pasuje, nic nie ma żadnego sensu. Jeden facet pojechał do Amsterdamu kupować diamenty, pomagałam sekretarce robić rezerwację, pierwsza klasa, i wynajęłam limuzynę, wszystko szło gładko, i kiedy szedł sobie wzdłuż kanału, podziwiając fasady domów, ktoś dźgnął go z tyłu, uszkodził nerkę, wdała się gangrena i facet nie żyje. Tak po prostu. Ci ludzie korzystają z moich usług, dziś jestem, jutro mnie nie ma. Randolph Henry Ash pisał dawno temu. Wybacz, że nie obchodzi mnie, co notował w swoim Vico.

- Val, to okropne, nigdy nie mówisz...

- Och, to bardzo ciekawe, obserwacje posługaczki przez dziurkę od klucza, nie myśl sobie. Tylko nie ma w tym żadnego sensu i zostaję z niczym. Chyba ci zazdroszczę, że tak sklejasz obraz świata starego Asha. Tylko co ty z tego masz, stary Krecie? Jaki jest *twój* obraz świata? I czy nas w ogóle kiedyś będzie stać, żeby się wyrwać z tych kocich szczyń i przestać włożyć sobie na głowę?

Coś ją musiało zdenerwować, wydedukował Roland racjonalnie. Coś sprawiło, że kilkakrotnie użyła słowa „rajcuje”, dla niej nietypowego. Może ktoś próbował ją obmacywać. Albo nie próbował. Nie, to drugie było niegodne. Gniew i dąsy wprawiły ją w podniecenie, tyle wiedział. Wiedział o Val więcej, niż chciał. Obszedł stół i pogłaskał ją po karku; sapnęła, zeszytniała, po czym się rozluźniła. Po chwili przenieśli się na łóżko.

Nie powiedział jej, nie mógł jej powiedzieć o swej potajemnej kradzieży. Późno tego wieczora zamknął się w łazience i obejrzał listy raz jeszcze. „Droga Pani, od czasu naszej niezwyklej rozmowy nie mogę myśleć o niczym innym”. „Droga Pani, od czasu naszej miłej i nieoczekiwanej rozmowy nie jestem prawie w stanie my-

śleć o niczym innym". Nagłace, niedokończone. Szokujące. Rolanda nigdy specjalnie nie interesowała cielesność zmarłego Randolpha Henry'ego Asha; nie tracił czasu na wizyty przy Russell Street, na przesiadywanie tam, gdzie siadywał On, na kamiennych ławkach w ogrodzie - to było w stylu Croppera. Roland lubił śledzić ruchy umysłu Asha, tropić je po krętych ścieżkach składni, nagle prostujących się w nieoczekiwanym, dobitnym epitecie. Jednakże te martwe listy przyprawiły go o niepokój wręcz fizyczny, stanowiły bowiem zaledwie początki. Nie wyobrażał sobie pióra Randolpha Henry'ego Asha, biegnącego wartko po papierze, ale nawiedziła go przelotna wizja czubków owych dawno umarłych palców składających na poły zapisane arkusze, aby ukryć je w książce, zamiast je wyrzucić. Kim była? Musiał się dowiedzieć.

ROZDZIAŁ TRZECI

... W mrocznym podziemiu Oślizgły Nidhogg o smolistej łusce Podgryza korzeń Drzewa, moszcząc gniazdo W splątanej gęstwie, którą wszak się karmi.

R.H. Ash, „Ragnarök” III

Następnego ranka Roland udał się na rowerze do Bloomsbury. Wyruszył bardzo wczesnie, kiedy Val nakładała jeszcze swoją roboczą twarz. Klucząc niebezpiecznie wśród ciągnących się smrodliwym, pięciomilowym węzłem samochodów, przejechał przez most Putney do Embankment i Parliament Square.

W swym dawnym college'u nie miał własnego gabinetu, ale ponieważ uczył na pół etatu, pozwalano mu korzystać z jednego z pokojów. Tutaj, w pustce i ciszy, rozpakował koszyki roweru, po czym poszedł do komórki, gdzie obok poplamionego herbatą zlewu przycupnął między ściereczkami opasły kserograf. Czekał w szumie i huku wentylatora, aż maszyna się rozgrzeje, przeczytał listy ponownie, następnie odwrócił je i rozpostarł na czarnej powierzchni szkła, pod którym przemykały i znikwały prążki zielonego światła. Urządzenie zabrzęczało i wypluło gorące, pachnące chemią spektrogramy pisma w czarnych obwódkach pustej przestrzeni, przypominających pasy stuletniego kurzu, którym obrzeżone były oryginały. Był uczciwy - zapisał należność w zeszytach wyłożonym przez wydział na ociekaczu zlewu. Był też nieuczciwy - teraz, kiedy miał kopie, mógł niepostrzeżenie wsunąć listy z powrotem do egzemplarza Vico, leżącego w Bibliotece Londyńskiej. Jednak nie chciał tego zrobić - miał poczucie, że listy są jego. Zawsze odrobinę gardził osobami, które ulegały czarowi przedmiotów, należących do ludzi wielkich, pamiątek, takich jak ozdobna laska Balzaca, flet Roberta Louisa Stevensona, czarna koronkowa mantyla, niegdyś własność George Eliot. Mortimer Cropper miał zwyczaj wy ciągać duży złoty zegarek Asha z kieszonki kamizelki i regulować wedle niego swój czas. Zrobione przez Rolanda odbitki istotnie były czystsze i wyraźniejsze niż zblakłe, miedzianoszare litery oryginalnych listów, atrament kopii lśnił czarną świeżością, zapewne w maszynie niedawno wymieniano toner. Teraz jednak Roland pragnął mieć oryginały.

Kiedy otwarto bibliotekę dr. Williamsa przedstawił się i poprosił o rękopis monumentalnych „Dzienników” Crabba Robinsona. Musiał powołać się na Blackaddera, aby przypomnieć obsłudze, że już tutaj był,

choć na razie nie miał najmniejszego zamiaru pokazywać profesorowi swego znaleziska; przede wszystkim chciał zaspokoić ciekawość i odłożyć listy na miejsce.

Zaczął od 1856, roku publikacji tomu wierszy „Bogowie, ludzie i herosi”, które niestrudzony Crabb Robinson przeczytał i opatrzył komentarzem.

4 czerwca.

Przeczytałem kilka poematów dramatycznych z nowego tomu Randolpha Asha. Moją uwagę przyciągnęły zwłaszcza rzekome wypowiedzi Augustyna z Hippony, Gotteschalka, mnicha z IX w. oraz Giętkiego Sąsiada z „Podróży Pielgrzyma”, jak również niezwykły obraz Franza Mesmera* i młodego Mozarta, grających na szklanym harmonium na dworze wiedeńskiego arcyksięcia, pełen przedziwnych dźwięków oraz arii, znakomicie pomyślanych i oddanych.

* Franz Anton Mesmer (1734-1815) - twórca teorii magnetyzmu zwierzęcego, zwanej mesmeryzmem, głoszącej, że wszystkie ciała, ożywione i nieożywione, unoszą się w niewidzialnym, magnetycznym płynie, którym mesmeryści mogą manipulować, uzdrawiając i indukując wizje u swych pacjentów (przyp. tłum.).

Ów Gotteschalk, prekursor samego Lutra w tym nawet, że zerwał śluby kapłańskie, mógłby ze swą niezłomną wizją predestynacji wyobrażać niektórych ewangelików naszej doby, Giętki Sąsiad zaś - stanowić satyrę na mnie samego, który wierzę, iż chrześcijaństwo nie polega bynajmniej na idolatrycznej obecności Bóstwa w kromce chleba ani też na pięciu zasadach metafizycznej wiary. Ash, swoim zwyczajem, oblewa Giętkiego - z którym, można by mniemać, iż sympatyzuje - większą nawet żółcią niż potwornego mnicha, którego obłąkańcze majaczenia posiadają pewną szczerą wzniosłość. Trudno powiedzieć, gdzie należy umieścić Asha. Obawiam się, iż nigdy nie będzie poetą popularnym. Schwarzwald, opisany przezeń w „Gotteschalku” jest bardzo piękny, iluż jednak czytelników gotowych jest przedzierać się przez teologiczne nauki, by wreszcie doń dotrzeć? Melodie swoje Ash tworzy w sposób tak zawiły i pokrętny, z tak wymuszonym rymem i gąszczem osobliwych, nieczytelnych metafor, że trudno doszukać się w nich sensu. Gdy go czytam, na myśl przychodzi mi młody Coleridge, z werwą recytujący swój epigram o Donnie*:

Muzę Donne'a dromader unosi w kłus wartki,

Gdy on żelazne łomy związuje w kokardki**

Fragment ten był dobrze znany badaczom Asha i często go cytowano. Roland lubił Crabba Robinsona, pełnego niestrudzenia dobrej woli i ciekawości intelektualnej, który czerpał z literatury radość i wiedzę, a przecież był tak samokrytyczny:

Wcześniej odkryłem, że moje skromne literackie zdolności nie zapewnią mi wśród angielskich pisarzy miejsca, jakiego bym pragnął, uznałem tedy, iż mając sposobność poznać wielu wybitnych ludzi mej epoki, mógłbym przydać się na coś, zapisując swoje z nimi rozmowy.

Znał ich wszystkich, całe dwa pokolenia: Wordswortha, Coleridge'a, de Quinceya, Lamba; panią de Staël, Goethego, Schillera; Carlyle'a, G.H. Lewesa, Tennysona, Clougha, Bagehota***. Roland przeczytał cały rok 1857 i rozpoczął 1858. W lutym tego roku Robinson pisał:

* John Donne (1572-1631)- wielki poeta angielski, najwybitniejszy z tzw. poetów metafizycznych (przyp. tłum.).

** S. T. Coleridge, „O poezji Johna Donne'a", przełożył Stanisław Barańczak (przyp. tłum.).

*** William Wordsworth (1770-1850), Samuel Taylor Coleridge (1772-1834), Thomas de Quincey (1785-1859), Charles Lamb (1775-1834) - poeci i pisarze angielskiego romantyzmu; Anne-Louise-Germaine Necker de Staël (1766-1817) - sawantka francuska; George Henry Lewes (1817-78), Alfred lord Tennyson (1809-1892), Arthur Hugh Clough (1819-1861) - pisarze i intelektualiści epoki wiktoriańskiej (przyp. tłum.).

W swej ostatniej godzinie (która dla mnie sędziwego wszak nie może być zbyt odległa) podziękuję Bogu za to, że dane mi było ujrzeć tyle doskonałości w jednostkach ludzkich. Co się tyczy kobiet, typ wielkiej heroiny widziałem w pani Siddons, typ zaś fascynujący - w pani Jordan i pannie Mars. W uniesieniu słuchałem monologów owego „elokwentnego starca", Coleridge'a; wędrowałem z Wordsworthem, największym z naszych liryków-filozofów; smakowałem dowcip i wzniosłość Charlesa Lamba. Siedząc przy jednym stole, swobodnie rozmawiałem z Goethem, niedościgłym geniuszem swego kraju i epoki, który czuje się dłużnikiem jeno Szekspira, Spinozy i Linneusza, podobnie jak Wordsworth, który, gdy został poetą, obawiał się wyłącznie porównań z Chaucerem, Spenserem, Szekspirem i Miltonem.

W czerwcu Roland znalazł to, czego szukał:

Co się tyczy konwersacji, moje śniadanie udało się nadzwyczaj. Miałem u siebie Bagehota, Asha, panią Jameson, profesora Speara, pannę LaMotte i jej przyjaciółkę, małomówną pannę Glover. Ash nie poznał dotąd panny LaMotte, która w istocie pojawiła się tylko wyjątkowo, aby mi sprawić przyjemność i porozmawiać o swym drogiem ojcu, albowiem miałem pewien udział w zaznajomieniu publiczności brytyjskiej z jego „Mitologiami". Nastąpiła ożywiona dyskusja o poezji, zwłaszcza o niezrównanym geniuszu Dantego, lecz również o geniuszu Szekspira i jego pierwszych, swawolnych utworach, które Ash darzy szczególnym podziwem. Panna LaMotte wypowiadała się bardziej stanowczo, niż mógłbym oczekiwać; pobudzona, jest zdumiewająco przystojna. Omawialiśmy także manifestacje tzw. spirytyzmu, o których lady Byron napisała mi z wielkim przejęciem. Była mowa o pani Stowe i jej rzekomej rozmowie z duchem Charlotte Brontë. Panna Glover w jednym ze swych nielicznych wtrąceń oświadczyła gorąco, że wierzy, iż podobne rzeczy mogą się zdarzać. Ash oznajmił na to, że on domagałby się niepodważalnych dowodów doświadczalnych, a nie sądzi, by takie miały się pojawić. Bagehot zauważył, że sposób, w jaki Ash przedstawił poglądy Mesmera, dowodzi, iż bywa niekiedy mniej ograniczony wymogami pozytywizmu, niż obecnie twierdzi. Ash odparł, że wyobraźnia historyczna wymaga odeń pewnej poetyckiej wiary w mentalny krajobraz jego postaci i że zjawisko to jest tak silne, iż grozi mu zupełna utrata własnych poglądów. Wszyscy zwrócili się do panny LaMotte w kwestii stukających duchów; odmówiła jednak wydania opinii, odpowiadając jedynie uśmiechem Mony Lizy.

Roland przepisał ten ustęp i czytał dalej, lecz nie znalazł już żadnej wzmianki o pannie LaMotte, choć Ash nadal bywał częstym gościem - oraz gospodarzem - Crabba Robinsona; ten oddawał, co należne, wybitnym cnotom gospodarskim pani Ash, ubolewając tylko, że nie została matką, do czego tak doskonale się nadawała. Nie wydawało się również, by Crabb zauważył u panien LaMotte i Glover jakąś nadzwyczajną zna-

jomość poezji Asha. Być może tamta rozmowa, „miła i nieoczekiwana” lub, inaczej, „niezwykła”, odbyła się gdzie indziej, przy innej okazji.

Notatki Crabba Robinsona, spisane ciasnym duktem Rolanda, wyglądały dziwnie niepewnie, nie stanowiły już całości z czymś jednorodnym życiem. Roland wiedział, że statystycznie rzecz biorąc, prawie na pewno zniekształcił tekst, choćby przez niedokładne przepisanie. Mortimer Cropper zmuszał swych doktorantów, by przepisywali ręcznie całe fragmenty - zwykle z Randolpha Henry'ego Asha - następnie ponownie przepisywali swoje transkrypcje, kopiowali je na maszynie i sprawdzali pod kątem błędów surowym redaktorskim okiem. Cropper powiadał, że nigdy jeszcze nie zdarzył się tekst bezbłędny. Nadal w ten sposób ćwiczył ich w pokorze - nawet w tej epoce łatwego powielania. Blackadder wprawdzie nie stosował aż tak drastycznych metod, ale także wychwytywał i poprawiał całe roje błędów, opatrując je systematycznie miążdzącym komentarzem na temat obniżającego się poziomu edukacji. Za jego czasów, powiadał, studenci posiadali podstawy ortografii i uczyli się wierszy oraz Biblii całym sercem. Dziwne określenie, „sercem”, dodawał zwykle, jakby wiersze pamiętano w krwiobiegu. „We krwi odczute, biegnące przez serce”, mawiał Wordsworth* - mawiał Blackadder. Jednakże, zgodnie z najlepszą angielską tradycją, uważał, że nie do niego należy dostarczanie upośledzonym studentom narzędzi, których im brakuje. Niezdarni, zagubieni we mgle jego niezadowolenia i wzgardy, musieli sami dawać sobie radę.

Roland pojechał do Muzeum Brytyjskiego poszukać Blackaddera. Nie zdecydował jeszcze, co mu powie i aby określić swoje stanowisko spędził trochę czasu w Czytelni, pod kopułą, która, aczkolwiek wysoka, zawierała jego zdaniem zbyt mało tlenu jak na liczbę gorliwych czytelników, omdlewających niczym płomyki pod kloszem Davy'ego**, gasnące w miarę spalania gazu. Było już popołudnie - ranek minął mu na Crabbie Robinsonie - co oznaczało, że wszystkie szerokie, wygodne, pokryte niebieską skórą pulpity, rozchodzące się promieniście od biurka Nadzorującego, zostały już zajęte; musiał zadowolić się jedną z maleńkich trójkątnych przystawek, umieszczonych między nimi w okresie późniejszym. Były to pulpity-duchy, pulpity drugorzędne, pulpity-jąkały, oznaczone DD GG 00. Znalazł miejsce przy drzwiach, na końcu AA (A jak Ash).

* William Wordsworth „Z wierszy ułożonych kilka mil nad klasztorem Tintern, przy ponownym odwiedzeniu brzegów rzeki Wye podczas wycieczki 13 lipca 1798 roku”, przeł. Czesław Miłosz (przyp. tłum.).

** Sir Humphry Davy (1778-1829) - wybitny chemik i fizyk angielski, m.in. udoskonalił metodę elektrolizy, wynalazł lampę górniczą (przyp. tłum.).

Kiedy po raz pierwszy został dopuszczony do tego kręgu wiedzy tajemnej, doznał takiej przyjemności, że przyrównał go do Raju Dantego, gdzie święci, patriarchowie oraz dziewice siedzieli w równych rzędach, tworzących ogromne koła, jakby rozetę, albo, inaczej - karty ogromnego tomu, niegdyś rozproszone we wszechświecie, teraz zaś ponownie zebrane. Tłoczone w niebieskiej skórze złote litery dopełniały średnio-wiecznego obrazu nieba.

W którym to przypadku fabryka Asha, ścieśniona w trzewiach budynku, z pewnością była dantejskim Piekłem. Z Czytelni droga do niej prowadziła w dół po żelaznych schodkach i dalej, przez wysoki, zazwyczaj zamknięty portal do pozbawionej słońca egipskiej nekropolii, między ślepo zapatrzonych faraonów, przykuc-

niętych skrybów, pomniejsze sfinksy i puste skorupy mumii. Fabryka Asha była miejscem gorącym, pełnym stalowych szafek i przeszklonych komórek, w których nieustannie klekotały maszyny do pisania i ponuro świeciły lampy jarzeniowe. W ich burym świetle jarzyły się zielenią czytniki mikrofilmów; czasem, gdy kopiarka wywołała zwarcie, mocno pachniało siarką, coś zawodziło i dziwnie krzyczało. Cała dolna część Muzeum Brytyjskiego cuchnie grasującymi tam kotami, które, wniknąwszy do środka przez kratki i otwory wentylacyjne, są przepędzane, a także niekiedy ukradkiem dokarmiane.

Blackadder, siedzący pośród pozornego chaosu, a naprawdę - ładu swej wielkiej edycji, przesiewał strumień małych spinaczy w dolinie pomiędzy górami wypchanych, poplamionych teczek i fiszek o wytartych brzegach. Za nim polatywała jego sekretarka, blada Paola o długich, bezbarwnych, ściągniętych gumką włosach, w ogromnych okularach, upodabniających ją do émy, z szarymi od kurzu opuszkami palców. W wewnętrznym pokoiku, za pomieszczeniem maszynistki, znajdowała się mała jaskinia, zbudowana z szafek na segregatory i zamieszkała przez dr Beatrice Nest, obecnie prawie zamurowaną pudłami, w których złożono dzienniki i korespondencję Ellen Ash.

Blackadder miał pięćdziesiąt cztery lata, a redakcją dzieł zebranych Asha zajął się z irytacji. Był synem i wnukiem szkockich nauczycieli; jego dziad wieczorami recytował przy kominku poezje: „Marmion”, „Wędrówki Childe Harolda”*, „Ragnaröka”. Ojciec posłał go do Downing College w Cambridge, aby studiował pod kierunkiem F.R. Leavisa**, Leavis zaś uczynił dlań to, co zwykł był czynić dla swoich zdolniejszych studentów: ukazał mu, jak straszliwa i wspaniała, ważna i aktualna jest literatura angielska, a równocześnie pozbawił go wiary, że kiedykolwiek będzie miał na nią wpływ. Młody Blackadder pisał zatem wiersze, wyobrażał sobie, co o nich powie Leavis, po czym je palił. Dla esejów wymyślił własny styl, spartańsko oszczędny, wymijający i nieprzenikniony.

* „Marmion” - poemat heroiczny sir Waltera Scotta (1771-1832), „Wędrówki Childe Harolda” - poemat George'a Gordona Byrona (1788-1824) (przyp. tłum.).

** Frank Raymond Leavis (1895-1978) - wybitny brytyjski krytyk literatury, wykładowca Downing College w Cambridge, przedstawiciel tzw. Nowej Krytyki (przyp. tłum.)

Jego losy zdecydowały się podczas seminarium na temat datowania. Sala była zatłoczona, podłoga zajęta, poręcze krzeseł obsiedli spóźnialscy. Szczupły, zręczny wykładowca w rozpiętej pod szyją koszuli stał na parapecie i szarpał ramę okienną, chcąc wpuścić do środka trochę świeżego powietrza i zimnego światła Cambridge. Test na datowanie zawierał liryczną balladę trubadurów, fragment wierszowanego utworu dramatycznego w stylu jakobińskim, kilka satyrycznych kupletów, medytację białym wierszem o lawie wulkanicznej oraz sonet miłosny. Blackadder, wyszkolony przez dziadka, od razu spostrzegł, że autorem wszystkich utworów jest Randolph Henry Ash, że są to przykłady jego brzuchomówstwa, jego nieporęcznie ogromnych możliwości. Miał do wyboru: ujawnić swoją wiedzę lub pozwolić, aby seminarium toczyło się dalej i aby Leavis, nakłoniwszy nieszczęsnych studentów do błędnych ocen, mógł się następnie popisać geniuszem analitycznym, dokonując błyskotliwych rozróżnień między autentycznym i falsyfikatem, wiktoriańską alienacją i głosem prawdziwego uczucia. Blackadder wybrał milczenie; Ash został należycie zdemaskowany i skrytykowany, Blackad-

der poczuł zaś, że w pewien sposób go zdradził, choć może zrobiliby słuszniej, stwierdzając, że zdradził siebie, dziadka lub nawet doktora Leavisa. Dokonał jednak zadośćuczynienia. Napisał pracę doktorską „Świadoma argumentacja i nieświadome uprzedzenia: źródła napięcia w poematach dramatycznych Randolpha Henry'ego Asha”. Stał się ekspertem od Asha w czasach, gdy Ash był całkowicie niemodny, i już w 1959 roku dał się namówić na redakcję „Dzieł zebranych”, na co dostał błogosławieństwo obecnego lorda Asha, podstarzałego metodysty i para Anglii, który był potomkiem jakiegoś odległego kuzyna poety i spadkobiercą niesprzedanych dotychczas rękopisów. W owe dni niewinności Blackadder uważał „redakcję” za zadanie o określonym terminie zakończenia, które miało zaprowadzić go dalej, do innych rzeczy.

Jego asystenci, we wciąż zmieniającej się liczbie, odlatywali niczym gołębie i kruki Noego do bibliotek świata, ściskając w dłoniach świstki papieru podobne do numerków do szatni lub bonów stołówkowych, z których każdy zawierał jakieś pytanie, pół wiersza domniemanego cytatu, wymagające sprawdzenia imię własne. Piasta rzymskiego rydwanu, wyśledzona w przypisach Gibbona; „groźny melon wyśniony przez mędrca”, który okazał się aluzją do snu Kartezjusza. Ash interesował się wszystkim: arabską astronomią i afrykańskimi systemami transportu, aniołami i żołędziami, hydrauliką i gilotyną, druidami i *la grande armée*, katarami i chochlikami drukarskimi, ektoplazmą i mitologią słoneczną, ostatnimi posiłkami mastodontów i prawdziwą naturą manny niebieskiej. Przypisy zalewały i pochłaniały tekst. Brzydkie i niezdarne, ale, zdaniem Blackaddera, konieczne, odrastały niczym głowy hydry - dwa nowe na miejsce jednego, który udało się ustalić.

Siedząc w swym mrocznym lokalu, często rozmyślał nad tym, w jaki sposób człowiek staje się tym, co robi. Czym byłby teraz, gdyby został, dajmy na to, urzędnikiem państwowym, rozdzielającym fundusze budowlane, lub policjantem, ślęczącym nad strzępkami skóry, włosów i odciskami kciuka? (Rozważania bardzo w stylu Asha). Czym byłaby wiedza, zdobywana dla niej samej - to znaczy dla niego, Jamesa Blackaddera - bez związku z przeżutymi resztkami po Randolphie Henrym Ashu?

Bywały chwile, gdy Blackadder pozwalał sobie na jasne stwierdzenie, iż dokona swego roboczego żywota - co w istocie oznaczało resztę świadomego życia - przy tym zadaniu; że jego myśli na zawsze pozostaną myślami innego umysłu, cała jego praca - pracą innego człowieka. A potem myślał, że może to nie ma wielkiego znaczenia. Przecież nadal, po tych wszystkich latach, uważał, że Ash jest fascynujący. Było to przyjemne poddaństwo - to znaczy, jeżeli w ogóle był poddanym. Sądził, iż Mortimer Cropper uważa się za pana i właściciela Asha, lecz on, Blackadder, lepiej wiedział, gdzie jest jego miejsce.

Widział kiedyś w telewizji przyrodnika, który wydał mu się odbiciem jego samego. Człowiek ten wyruszał w świat z torbą, zbierał do niej sówce bobki, opatrywał je etykietkami, a następnie rozrywał pincetą, kąpał w szklanych zlewkach pełnych rozmaitych płynów, porządkował i układał rozliczne skrawki i kawałki, aby w końcu ze ściśniętych sowych pakiecików kości, zębów i futra odtworzyć martwą ryjówkę lub robaka, które uciekały, aby umrzeć, przepchnięte przez sówce kiszki. Blackadderowi spodobał się ten obraz i przez chwilę zapragnął zrobić z niego wiersz. Po czym odkrył, że Ash już go ubiegł. Opisał archeologa, który

Odtwarza nasze starożytne boje

Z kling potrzaskanych i odłamków kości

Rozpękłych czaszek; podobnie przyrodnik

Czyta śmierć polnej myszy lub pisklęcia

Z wyschniętych kulek, które sowa schludna
Wypluwa w locie - ze szczątków zagłady
Cicho, na miękkich skrzydłach szybującej
Ze szponem krwawym, zgiętym w białym puchu...

I Blackadder nie wiedział już, czy zwrócił uwagę na ekranowego naturalistę dlatego, że w jego umyśle utrwalił się obraz stworzony przez Asha, czy też uczynił to całkiem niezależnie.

Roland wyszedł z tuneli półek prosto w zalane lodowatym światłem królestwo Blackaddera. Paola uśmiechnęła się do niego, Blackadder zmarszczył brew. Był to szary człowiek o szarej cerze i stalowoszarych, dość długich włosach, których obfitość wciąż stanowiła dlań powód do dumy. Nosił tweedową marynarkę i sztruksowe spodnie, porządne, wytarte i zakurzone, jak wszystko tu na dole. Kiedy się uśmiechał, co nie zdarzało się często, był to uśmiech pełen szczerej ironii.

- Chyba dokonałem odkrycia - powiedział Roland.

- Pewnie się okaże, że już go dokonano ze dwadzieścia razy. Co to jest?

- Poszedłem poczytać jego egzemplarz Vico; jest pełen rękopisów włożonych między stronicę, wprost pęka od nich. W Bibliotece Londyńskiej.

- Na pewno Cropper już miał je pod lupą.

- Nie sądzę. Naprawdę nie sądzę. Luźne kartki mają obwódki z zastygłego kurzu, które pasują do krawędzi książki. Nikt ich nie ruszał od bardzo, bardzo dawna. Moim zdaniem nigdy. Przeczytałem kilka.

- Przydatne?

- O tak, ogromnie.

Blackadder, niechętnie okazujący entuzjazm, jął spinać kawałki papieru.

- Powinienem chyba rzucić okiem - powiedział wreszcie. - Muszę sam się przyjrzeć. Przejdę się tam. Nic nie ruszałeś?

- Och, nie, nie. To znaczy, wiele kartek wyleciało, kiedy otworzyliśmy książkę, ale chyba włożyliśmy je wszystkie na miejsce.

- Nic z tego nie rozumiem. Zdawało mi się, że Cropper jest wszędobyłski. Lepiej cicho sza na ten temat, rozumiesz, bo inaczej to wszystko poleci za Atlantyk, Biblioteka Londyńska dostanie nową wykładzinę i zainstaluje automat do kawy, po czym dostaniemy od Croppera milutki, współczująco-zadowolony faks, w którym zaproponuje nam wgląd w Kolekcję Stanta i wszelką możliwą pomoc przy mikrofilmach. Nikomu nic nie mówię?

- Tylko bibliotekarzowi.

- Pójdę tam. Patriotyzm musi im zastąpić pieniądze. Trzeba powstrzymać ten drenaż.

- Nie mogą przecież...

- Wobec książeczki czekowej Croppera nie ufam nikomu, ani trochę.

Blackadder walczył ze swoim zniszczonym brytyjskim paletkiem. Roland porzucił wszelkie zamiary, i tak niezbyt realistyczne, by omówić z nim skradzione listy, zapytał jednak:

- Możesz coś powiedzieć o osobie nazwiskiem LaMotte?

- Isidore LaMotte? „Mitologie”, 1832. „Mythologies indigenes de la Bretagne et de la Grande Bretagne”. Również „Mythologies françaises”. Wielkie, uczone kompendium folkloru i legend. Przeniknięte modnym wówczas duchem poszukiwania Klucza do Wszelkich Mitologii, lecz również bretońską kulturą i tożsamością narodową. Ash prawie na pewno je czytał, ale nie przypominam sobie, czy zrobił z niego użytek...

- Była też jakaś panna LaMotte...

- A tak, córka. Pisała wiersze religijne, nieprawdaż? Ponury tomik, zatytułowany „Rzeczy ostatnie”. I opowiadania dla dzieci „Opowieści w listopadzie”. O głuchych odgłosach w nocy. I jakiś epos, podobno nie do czytania.

- Zdaje mi się, że interesują się nią feministki - wtrąciła Paola.

- O, z pewnością - odparł Blackadder. - Na Asha szkoda im czasu. Pragnęłyby tylko czytać niekończące się dzienniki Ellen, oczywiście dopiero gdy nasza koleżanka, tam w głębi, wypuści je wreszcie na światło dzienne. Uważają, że Randolph Ash stłumił ambicje pisarskie Ellen i pasożytniczożył na jej wyobraźni. Będzie im trudno to udowodnić, jak sądzę - jeśli w ogóle interesują się dowodami, w co śmiem wątpić. Wiedzą, co mogą znaleźć, zanim to jeszcze zobaczą. Na razie zorientowały się tylko, że dużo leżała na kanapie, co jak na damę w jej czasach i sytuacji nie jest zbyt niezwykle. Prawdziwy problem dla nich - i dla Beatrice - polega na tym, że Ellen Ash jest nudna. Nie jest to niestety Jane Carlyle*. Biedna Beatrice z początku chciała pokazać, jaka zaradna była Ellen Ash, jak się poświęcała; dwadzieścia pięć lat spędzone na grzebaniu w papierach w poszukiwaniu przepisów na dzem agrestowy i relacji z wypraw nad morze, masz pojęcie? Kiedy się ocknęła, okazało się, że nikt już nie chce poświęcenia i zaradności, wszyscy pragną dowodów, że Ellen miało poczucie krzywdy, bunt i niewyżyte talenty. Biedna Beatrice. Ma wszystkiego jedną publikację, a ten cienki tomik „Pomocnice”, zupełnie pozbawiony ironii, niezbyt się podoba dzisiejszym feministkom. Jedna skromna antologia z 1950 roku, zawierająca mądre, dowcipne i czule powiedzonka towarzyszek wielkich ludzi. D. Wordsworth, J. Carlyle, E. Tennyson, Ellen Ash. Ale dopóki biedna, stara Bea pozostaje oficjalnym redaktorem „Dzienników”, paniom od genderów nie uda się dobrać do całego tego materiału i go opublikować. Ona wciąż nie ma pojęcia, co się stało.

* Jane Bailie Welsh Carlyle (1801-1866) - żona Thomasa Carlyle'a, znana przede wszystkim ze swego salonu i listów do męża (przyp. tłum.).

Roland nie miał ochoty wysłuchiwać kolejnej tyrady na temat Beatrice Nest i jej wielce spóźnionej redakcji papierów Ellen Ash. Kiedy Blackadder zaczynał mówić o Beatrice, do jego głosu wkradał się szczególnie drażniący i warkliwy, który przywodził Rolandowi na myśl wycie ogarów (nigdy nie słyszał wycia ogarów, chyba że w telewizji), wzmianka o Cropperze sprawiała natomiast, że profesor zaczynał rozglądać się na boki, ukradkowo i konspiracyjnie.

Roland nie zaproponował Blackadderowi, że będzie mu towarzyszył do Biblioteki Londyńskiej, lecz oddalił się w poszukiwaniu kawy. Potem, pomyślał, pójdzie do Katalogu, gdzie znajdowały się wszystkie martwe dusze, i ruszy w pogoń za panną LaMotte, wreszcie zyskującą jakąś tożsamość.

Wyłoniwszy się wśród egipskich ciężarowców, ujrzał, że pomiędzy ogromnymi, kamiennymi nogami przemieszcza się coś białego i złocistego, co okazało się Fergusiem Wolffem, również udającym się na kawę. Fergus był bardzo wysoki, miał metalicznie złote włosy, długie z przodu i krótkie z tyłu, ostrzyżone w naśladowającym lata trzydzieste stylu lat osiemdziesiątych, nosił oślepiająco biały, gruby sweter i szerokie czarne spodnie jakby do japońskich sztuk walki. Obdarzył Rolanda zadowolonym, żarłocznym uśmiechem szerokich ust - wypełnionych przerażającymi, silnymi i białymi zębami - oraz błyskiem niebieskich oczu. Był starszy od Rolanda; jako dziecko lat sześćdziesiątych czasowo rzucił wszystko, wybierając wolność i rewolucję paryską, a zanim wrócił, by ołsnąć Prince Albert College, siadywał u stóp Barthesa i Foucaulta*. Ogólnie rzecz biorąc, był dość miły, choć wielu ludzi, którzy go poznali, odnosiło niejasne wrażenie, że w pewnych okolicznościach mógłby stać się niebezpieczny. Jednakże Roland lubił Fergusa, gdyż Fergus wydawał się lubić jego.

Fergus pisał dekonstruktywistyczną krytykę książki Balzaca „Nieznane arcydzieło”. Roland przestał się już dziwić, że Wydział Literatury Angielskiej sponsoruje badania nad francuskimi książkami. Ostatnio i tak nie było nic do roboty, poza tym Roland nie chciał, by sądzono, że ma jakieś uprzedzenia. Sam, dzięki namiętnym ingerencjom matki w jego edukację, mówił po francusku doskonale.

Rozparłszy się przy stoliku w bufecie, Fergus oznajmił, że prawdziwa trudność jego pracy polega na tym, by zdekonstruować coś, co najwyraźniej zdekonstruowało się samo, albowiem powieść opowiadała o obrazie, który okazał się wyłącznie masą chaotycznych pociągnięć pędzla. Roland wysłuchał go uprzejmie, po czym zapytał:

- Czy wiesz coś o niejakej pannie LaMotte, która pisała opowiadania dla dzieci i poezje religijne gdzieś około roku 1850?

Wybuch śmiechu Fergusa trwał dość długo.

- No, chyba - odparł krótko.

- Kto to był?

- Christabel LaMotte. Córka Isidore'a, znanego mitografa. „Rzeczy ostatnie”, „Opowieści w listopadzie”, także epos pod tytułem „Wróżka Meluzyna”. Bardzo dziwny. Wiesz coś o Meluzynie? Była wróżką, która poślubiła śmiertelnika, aby zyskać duszę, i zawarła z nim pakt, że w soboty nigdy nie będzie jej podglądał. Przez lata dotrzymywał słowa; mieli sześciu synów, wszystkich z dziwnymi defektami - osobliwymi uszami, ogromnymi kłami, głową kota, wyrastającą z policzka, trojgiem oczu, te rzeczy. Jeden nazywał się Geoffroy à la Grande Dent, inny - Horrible**. Wznosiła też zamki, prawdziwe, nadal stoją w Poitou.

* Roland Barthes, Michel Foucault - współcześni filozofowie i krytycy francuscy (przyp. tłum.).

** Geoffroy à la Grande Dent (fr.) - Geoffroy Wielkozęb; Horrible (fr.) - Szkaradny (przyp. tłum.).

Ale w końcu, ma się rozumieć, zajrzał przez dziurkę od klucza - inna wersja mówi, że czubkiem miecza zrobił otwór w stalowych drzwiach do jej komnaty - i zobaczył ją w całej okazałości, gdy pławiła się w marmurowej wannie. Od pasa w dół była rybą czy wężem, Rabelais powiada „andouille”, czyli wielką kielbasą, symbolika jest oczywista, i waliła w wodę muskularnym ogonem. Ale nic nie powiedział, i ona nic nie zrobiła, aż kiedyś Geoffroyowi, temu zębatego, nie spodobało się, że inny brat, Fromont, skrył się w klasztorze i nie

chciał wyjść, więc naznosił drewna pod mury i spalił wszystko, klasztor, mnichów i Fromonta. I kiedy to się rozniosło, Raimondin (ten rycerz mąż) powiedział: „To twoja wina. Nie powinienem był poślubiać paskudnego węża”. Wtedy ona rozzłościła się, zamieniła w smoka i zaczęła latać wokół zamku, strasznie hałasując i waląc w umocnienia. A, i jeszcze przedtem surowo mu przykazała zabić Horrible'a, bo zniszczy ich wszystkich, co też nastąpiło. I od tamtej pory zjawia się u hrabiów de Lusignan i przepowiada śmierć, coś w rodzaju Białej Damy lub Fata Bianca. Jak możesz sobie wyobrazić, istnieje całe mnóstwo różnych interpretacji, symbolicznych, mitologicznych, psychoanalitycznych. Christabel LaMotte napisała bardzo długi i zawiły poemat o Meluzynie w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, wydany w latach siedemdziesiątych. To niezwykle utwór - rozpasany, tragiczny, romantyczny i symboliczny, świat jakby ze snu, pełen dziwnych zwierząt, ukrytych znaczeń i naprawdę zdumiewającej zmysłowości i seksualności. Feministki go uwielbiają. Mówią, że wyraża bezsilną żądzę kobiety. Nie był dotychczas zbyt szeroko czytany - Virginia Woolf, która go znała, przytacza go jako przykład na zasadniczy androgynizm twórczego umysłu - ale obecne feministki widzą w Meluzynie symbol samowystarczalnej seksualności kobiet, którym my, biedne samce, nie jesteśmy już potrzebni. Mnie się podoba, jest niepokojący. Ciągłe zmienia perspektywę, od bardzo dokładnych opisów rybiej łuski po kosmiczne bitwy.

- Bardzo mi się to przyda. Muszę o tym poczytać.

- Dlaczego chciałeś wiedzieć?

- Znalazłem wzmiankę u Randolpha Henry'ego Asha. Wcześniej czy później znajdzie się u niego wzmianka o wszystkim. Czemu tak się śmiałeś?

- Niechcący zostałem specjalistą od Christabel LaMotte. Są na świecie dwie osoby, które wiedzą o niej wszystko, co w ogóle wiadomo. Jedną jest profesor Leonora Stern z Tallahassee, USA. A drugą dr Maud Bailey z Uniwersytetu w Lincoln. Spotkałem je obie na tej konferencji

o seksualności i tekstualności w Paryżu. Może pamiętasz. Chyba nie lubią mężczyzn. Mimo to miałem krótki romans z groźną dr Maud, najpierw w Paryżu, a potem tutaj. - Umilkł i zasepił się. Otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, po czym znów je zamknął. - Ona, to znaczy Maud - rzekł po chwili - prowadzi w Lincoln Archiwum Ośrodka Studiów Genderowych. Mają tam sporo niedrukowanych prac Christabel LaMotte. Jeżeli potrzebujesz czegoś nietypowego, oto miejsce, gdzie musisz sprawdzić.

- Może i tak zrobię. Dziękuję ci. Jaka ona jest? Czy pożre mnie żywcem?

- Krew mężczyzn krzepnie od jej chłodu - odparł Fergus z silnym, acz nie do końca czytelnym uczuciem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

To nie Słodkie Gniazdko - Śliska niczym wąż
Pnie się szklana Wieża Przez Ciernisty Gąszcz.
Wiatr w Ostrej krainie Świszcze noc i dzień,
Za czarną żaluzją Białej ręki cień.
Ktoś słyszy Starucha Zawodzący głos:
Królewno, królewno, Rozpuść złoty włos.
Migotanie Świecy - Spływa drżący blask,
Złocistych warkoczy Uwolniony Kask.
Za pazurem pazur - Garbus wzwyż się pnie.
Jakże strasznym Bólem Każde pasmo rwie!
Ktoś patrzy w milczeniu Na wspinaczki Kres,
Nie może udręki Pohamować łąz.
Christabel LaMotte

Roland wyjechał do Lincoln nieco rozdrażniony faktem, że musi podróżować pociągiem. Autobus, choć wolniejszy, wypadłby taniej, jednakże dr Bailey przysłała mu obcesową kartkę, oznajmiając, że wolałaby wyjść po niego na południowy pociąg; uniwersytet położony jest trochę za miastem, tak będzie najwygodniej. Z drugiej strony, w pociągu mógł w pewnej mierze uzupełnić wiadomości na temat Christabel LaMotte, studiując dwie książki, które wyszukała dlań biblioteka. Jedna, bardzo cienka i dystygowana, została napisana w 1947 roku i nosiła tytuł jednego z wierszy Christabel, „Biała pościel”, druga, opasły zbiór esejów feministek, głównie amerykańskich, ukazała się w 1977 roku; jej tytuł brzmiał: „Sama w siebie uwikłana; Christabel LaMotte i jej strategie uników”.

Pierwsza, autorstwa Veroniki Honiton, dostarczyła mu kilku informacji biograficznych. Dziadkowie Christabel, Jean-Baptiste i Emilie LaMotte, osiedlili się w Anglii, uciekając przed terrorem 1793 roku, i nie zdecydowali się na powrót do Francji nawet po upadku Bonapartego. Urodzony w 1801 roku Isidore studiował w Cambridge, gdzie trochę parął się poezją, po czym wyrósł na poważnego historyka i mitografa; choć pozostawał pod silnym wpływem niemieckich badań nad podaniami ludowymi i początkami narracji biblijnych, okazał się niewzruszony w swej bretońskiej odmianie mistycznego chrześcijaństwa. Jego matka, Emilie, była starszą siostrą antyklerykalnego historyka i republikanina, Raoula de Kercoza, który nadal utrzymywał rodziny dwór w bretońskiej wsi Kerkemet. W 1823 roku Isidore poślubił pannę Arabel Gumpert, córkę Ruperta Gumperta, kanonika od św. Pawła, którego niezachwiana wiara wywarła równoważący wpływ na dzieciństwo Christabel. Z tego związku urodziły się dwie córki: w 1830 roku Sophie, późniejsza żona sir George'a Baileya z Seal Close w Lincolnshire, oraz Christabel, która przyszła na świat pięć lat wcześniej. Ta druga mieszkała z rodzicami aż do roku 1853, kiedy mały spadek po niezamężnej ciotce, Antoinette de Kercoz, pozwolił jej zamieszkać samodzielnie w Richmond, Surrey, wraz z młodą przyjaciółką poznaną na wykładzie Ruskina*.

* John Ruskin (1819-1900) - socjolog, teoretyk i krytyk sztuki, wywarł ogromny wpływ na percepcję estetyczną wiktoriańskiej Anglii (przyp. tłum.).

Podobnie jak Christabel, panna Blanche Glover miała ambicje artystyczne. Malowała duże obrazy olejne, z których żaden się nie zachował; jej autorstwa są również znakomite, tajemnicze drzeworyty, ilustrujące śliczne, choć nieco niepokojące utwory Christabel: „Opowieści dla niewinnych”, „Opowieści w listopadzie” oraz liryki religijne „Orisons”. Uważa się powszechnie, że to panna Glover pierwsza zachęciła Christabel do podjęcia pracy nad monumentalnym i mętnym eposem „Wróżka Meluzyna”, nowej wersji starej baśni o magicznej pół kobiecie, pół wężu. Głębie „Wróżki Meluzyny” są mocno przeładowane kruszcem; jednak niektórzy krytycy doby prerafaelitów bardzo podziwiali ów poemat, a Swinburne nazwał go „opowieścią cichą i umiśnioną niczym wąż, mającą więcej wigoru i jadu niż zwykle wypływa spod pióra kobiety, jednakże pozbawioną impetu narracji; trochę jak ów Wąż Coleridge'a, który pobudzał Imaginację, trzymając ogon w swojej własnej paszczy”. Obecnie utwór słusznie został zapomniany, reputacja zaś Christabel, skromna, lecz pewna, opiera się przede wszystkim na jej powściągliwej i delikatnej liryce, dziele czulej wrażliwości połączonej z nieco posępnym usposobieniem i burzliwą, acz niezłomną wiarą chrześcijańską.

Panna Glover nieszczęśliwie utopiła się w Tamizie w 1861 roku. Jej śmierć wyraźnie przygnębiła Christabel, która powróciła na łono rodziny i do końca swych dni mieszkała w zacisznym domu siostry Sophie. Po „Meluzynie” nie pisała już więcej poezji, zamykając się coraz bardziej w dobrowolnym milczeniu. Zmarła w roku 1890 w wieku 65 lat.

Komentarze Veroniki Honiton do wierszy Christabel skupiały się uroczo na jej „mistycyzmie domowym”, który autorka porównywała z podziwem George'a Herberta dla „sługi Twego prawa, któremu nawet podłogi zmiatanie świętym się dziełem zdawa”^{*}.

Krochmalone falbanki
Czysta biel wokół mnie
Co się robi dokładnie
Nie sposób zrobić źle.
Dom wysprzątny czeka
Aż Gość na progu stanie
I ujrzy śnieżnobiałe
Dzisiaj moje posłanie
I weźmie je i złoży
I da mi odpoczywanie.

* George Herbert (1593-1633) - uczony i duchowny protestancki, jeden z najznakomitszych tzw. poetów metafizycznych. Cytat jest aluzją do jego wiersza „Eliksir” w przekładzie Stanisława Barańczaka (przyp. tłum.).

Trzydzieści lat później feministki postrzegały Christabel LaMotte jako istotę zrozpaczoną i gniewną. Pisały o rzeczach takich jak: „Zerwana nić Arachne: sztuka jako porzucone przedziwo w wierszach LaMotte” lub „Meluzyna albo demoniczny sobowtór: dobra matka, zły wąż”, „Łagodna furia; Christabel LaMotte jako dwuznaczna gospodyni”, „Biała rękawiczka. Blanche Glover: przyćmiona seksualność lesbijska u Christabel LaMotte”^{*}. Był tu również artykuł samej Maud Bailey, zatytułowany „Meluzyna budująca miasta. O wywrotowej kosmogonii kobiecej”. Roland wiedział, że tę pracę powinien przeczytać przede wszystkim, ale powstrzymała

go imponująca długość i gęstość wywodu. Zerknął na esej „Zerwana nić Arachne”, dokonujący eleganckiego rozbioru jednego z „owadzi”, najwyraźniej dość licznych wierszy Christabel.

Z napuchniętego, ściśniętego stwora

Wyłuskane boleśnie

Grubymi palcami cudu cienkie włókna,

Lśniące niczym we śnie,

Zaginione bzyczenia, ład jasny i piękny,

Wodny blask w geometrii nici transparentnych.

Nie mógł się skupić. Równiny Midlands płasko przeleciały obok, za nimi fabryka ciasteczek, wytwórnia metalowych puszek, pola, żywopłoty, rowy, wszystko ładne i niczym się niewyróżniające. Na frontispisie książki panny Honiton widniało pierwsze zdjęcie Christabel, jakie zdarzyło mu się oglądać: bardzo wczesna fotografia w kolorze jasnej sepii pod szeleszczącą, półprzejrystą kartką ochronnego pergaminu. Christabel ubrana była na niej w obszerną trójkątną pelerynę i mały czepek z falbanką wokół ronda, zawiązany pod brodą na dużą kokardę. Jej strój miał więcej wyrazu niż ona sama; ukrywała się w nim z głową przekrzywioną na bok, być może pytająco, a może uważała swą urodę za „ptasią”? Na jej skroniach sztucznie falowały jasne włosy, usta rozchyliła, ukazując duże, równe zęby. Zdjęcie nie przedstawiało żadnej konkretnej osoby; była to typowa dama z epoki wiktoriańskiej, tak awana nieśmiała poetessa.

* Gra słów; *blanche* (fr.) - biała; *glove* (ang.) - rękawiczka (przyp. tłum.).

Nie od razu rozpoznał Maud Bailey, a że sam nie bardzo rzucał się w oczy, stanowili jedną z ostatnich par wychodzących z peronu. Dziwił się, że mógł jej nie zauważyć. Była wysoka, o wiele wyższa od Rolanda, dostatecznie wysoka, by spojrzeć w oczy Fergusowi Wolffowi. Jak na pracownicę naukową miała niezwykle konsekwentny strój, pomyślał Roland, nie znajdując lepszego określenia na tę zielono-białą długość: ciemnozielona tunika i ciemnozielona spódnica, pod tuniką biała jedwabna koszula, zielone lśniące botki i białe, matowe pończochy, spod których ciało prześwitywało różowawym złotem. Nie widział włosów, ciasno owiniętych turbanem z jedwabiu malowanego w pawie pióra, zachodzącym nisko na czoło, lecz brwi i rzęsy miała jasne - tyle zauważył. Jej skóra była mlecznobiała, usta bez szminki, rysy wyraziste i spokojne. Nie uśmiechała się. Skinęła doń i próbowała wziąć jego torbę, na co się nie zgodził. Jeździła nieskazitelnie wypolerowanym zielonym volkswagenem garbusem.

- Zaciekawilo mnie pańskie pytanie - powiedziała, gdy ruszali spod dworca. - Cieszę się, że zechciał pan przyjechać. Mam nadzieję, że nie na próżno.

Mówiła rozmytym głosem patrycjuszki, jakby celowo spłaszczonym akcentem wyższych sfer. Pachniała czymś leśnym i ostrym. Rolandowi nie podobał się jej sposób bycia.

- Może to gonienie za wiatrem. Tak naprawdę mam bardzo mało danych.

- Zobaczymy.

Uniwersytet Lincoln składał się z białych wież, przyozdobionych płytkami w kolorze oranżu i fioleto, a czasem nawet kwaśnej zieleni. Przy dużych wiatrach, mówiła dr Bailey, płytki te spadają, stanowiąc dla prze-

chodniów prawdziwe zagrożenie. Duże wiatry zdarzają się często. Płaski teren uniwersytetu został rozplanowany jak szachownica; jego wygląd ratowała nieco wyobraźnia ogrodnika, który zaprojektował labirynt stawów i kanałów, na chybił trafił przecinających prostokątną siatkę planu. Obecnie w kanałach gniły opadłe liście, wśród których karpie japońskie przepychały swe perłowe pyszczki. Uczelnia, pochodząca z niedawnych czasów obfitości, była już trochę przybrudzona i zaniedbana, a na białych płytach ścian pod miejskim kurzem szczyrzyły się zalane cementem pęknięcia.

Wiatr rozwiął jedwabną frędzlę na ekstrawaganckim nakryciu głowy dr Bailey i zmierzwił czarną czuprynę Rolanda, który podążał o pół kroku za nią, z rękami w kieszeniach. Teren był wyludniony, choć semestr trwał w najlepsze. Zapytana, gdzie są studenci, dr Bailey odparła, że dziś, jak w każdą środę, nie ma zajęć, a dzień zarezerwowany jest na sport i prace własne.

- Wszyscy znikają, nikt nie wie gdzie. To jakby czary. Niektórzy siedzą w bibliotece, większość jednak sobie idzie, nie mam pojęcia dokąd.

Wiatr marszczył ciemną wodę stawów, ich powierzchnia pod warstwą pomarańczowych liści zdawała się kanciasta i niechlujna zarazem.

Jej pokój mieścił się na szczycie Wieży Tennysona.

- Miałam do wyboru to albo Panienkę Marian - zauważyła tonem lekko wzgardliwym, pchając szklane drzwi. - Członek Rady Miejskiej, który przyznawał pieniądze, chciał, żeby wszystko tutaj nosiło imiona ludu z Sherwood. Oto Wydział Anglistyki i Dziekanat Historii Sztuki, a także Ośrodek Studiów Gender. Nie jest to nasze archiwum, które mieści się w gmachu biblioteki. Zabiorę tam pana później. Ma pan ochotę na kawę?

Pojechali samobieżną windą, która poruszała się ruchem ciągłym w górę i na dół, szcękając o puste bramki wejściowe. Te windy bez drzwi peszyły Rolanda; dr Bailey zrobiła precyzyjny krok i zanim odważył się ruszyć za nią, już się trochę uniosła, tak że musiał rzucić się niezdarnie w górę i do przodu, aby znaleźć się na platformie. Milczała. Ze ścian windy, wyłożonych lustrzanymi, złocistymi płytkami, błyskało jej gorące odbicie. Wyszła równie zręcznie jak przedtem, on zaś na progu znów się potknął, gdyż podłoga pod nim już zdążyła się podnieść.

Jedną ścianę jej pokoju stanowiła szklana szyba, a pozostałe, od podłogi do sufitu, były całkowicie wypełnione książkami, ułożonymi racjonalnie, tematycznie, alfabetycznie, a ponadto w ogóle niezakurczonymi. Było to jedyne świadectwo, że ktoś przebywa w tym ascetycznym miejscu. Najpiękniejszą rzeczą w pomieszczeniu była sama Maud Bailey, która z wielkim wdziękiem przyklękła na jedno kolano, aby włączyć czajnik, i wydobyła z szafki dwa biało-niebieskie japońskie kubeczki.

- Proszę usiąść - powiedziała rzeczowo, wskazując niski niebieski fotel, w którym niewątpliwie siadali studenci odbierający sprawdzone prace. Wręczyła mu kubek nesi w orzechowym kolorze. Nie zdjęła swego turbana.

- A więc, w czym mogę panu pomóc? - zapytała, zajmując miejsce za barierą biurka. Roland rozważył własne strategie uników. Przed spotkaniem wyobrażał sobie niejasno, że będzie mógł jej wręczyć odbitki skradzionych listów. Teraz wiedział, że to niemożliwe. W jej głosie brakowało ciepła.

- Zajmuję się Randolphem Henrym Ashem - powiedział. - Tak jak napisałem. Uzyskałem informację, że mógł on korespondować z Christabel LaMotte. Czy pani słyszała o takiej wymianie listów? Wiem, że na pewno się spotkali.

- Kiedy?

Podał jej kopię transkrypcji z „Dzienników” Crabba Robinsona.

- Może jest wzmianka o tym w pamiętniku Blanche Glover - rzekła dr Bailey. - Zeszyt, który mamy w archiwum, dotyczy właśnie tego okresu - zaczęła go pisać, kiedy przeniosły się do Richmond. Nasze dokumenty to w zasadzie zawartość biurka Christabel w chwili jej śmierci. Wyraziła życzenie, by przesłano je jednej z siostrzenic, May Bailey, „z nadzieją, że może kiedyś zajmie się poezją”.

- I zajęła się?

- O ile mi wiadomo, nie. May wyszła za swego kuzyna, miała dziesięcioro dzieci i prowadziła duży dom. Pochodzę od niej - była moją praprababcią, co czyni mnie prapraprasiostrzenicą Christabel LaMotte. Kiedy zaczęłam tu pracować, przekonałam ojca, by pozwolił mi złożyć rodzinne dokumenty w archiwum. Nie ma ich wiele, ale to ważne materiały. Rękopisy „Opowiadań”, wiele niedatowanych drobnych wierszy na przypadkowych skrawkach papieru, wszystkie redakcje „Meluzyny”, którą przepisywała co najmniej ośmiokrotnie, stale ją zmieniając, oraz notatnik, kilka listów od przyjaciół i ten jeden zeszyt pamiętnika Blanche Glover, obejmujący trzy lata. Nie wiem, czy kiedyś mieliśmy ich więcej - z przykrością stwierdzam, że nikt o to nie dbał, w każdym razie żaden inny nie został odnaleziony.

- A LaMotte? Czy prowadziła dziennik?

- Nie, o ile wiem. Prawie na pewno nie. Pisała do jednej z siostrzenic, odradzając jej ten pomysł. To całkiem ładny list. „Jeśli potrafisz wnieść ład w swoje Myśli i uczynić z nich Sztukę, to dobrze; jeśli umiesz żyć wśród zobowiązań i uczuć Codzienności, to dobrze. Ale nie wpadnij w nawyk ponurej Samoanalizy, albowiem nic tak nie pozbawia kobiety zdolności tworzenia rzeczy dobrych i życia w sposób pożyteczny. Tym drugim zajmie się nasz Stwórca - sposobności nie brak. Pierwsze, to sprawa Woli”.

- Nie jestem tego pewien.

- Ale to ciekawy pogląd. Dość późny - z 1885 roku. Sztuka jako Wola. Niezbyt modny jak na kobietę. A może w ogóle niemodny.

- Ma pani jakieś jej listy?

- Niewiele. Kilka w sprawach rodzinnych - pouczenia, takie jak powyższe, przepisy na chleb i wino, skargi. Z okresu richmondzkiego, z odwiedzin w Bretanii u rodziny - pewnie wie pan o tym. Raczej nie miała bliskich przyjaciół, z wyjątkiem panny Glover, a do niej nie musiała pisać, przecież mieszkały w jednym domu. Listy nie były publikowane - Leonora Stern usiłuje coś sklecić, ale jest tego tak mało... Podejrzewam, że sir George Bailey z Seal Court może mieć resztę, ale ten nie zamierza nikogo do nich dopuścić. Groził Leonorze strzelbą. Wydawało nam się, że będzie lepiej, jeśli pójdzie do niego ona, a nie ja - ona pracuje w Tallahassee, jak pewnie pan wie - bo na nieszczęście między moją rodziną z Norfolk i Baileyami z Seal Court toczy się długotrwały spór, procesy sądowe i inne przykrości. Niestety, awanse Leonory skończyły się fatalnie. Doprawdy fatalnie. Tak. No, cóż. A w jaki sposób doszedł pan do wniosku, że Randolph Henry Ash interesował się panną LaMotte?

- W jednej z jego książek znalazłem niedokończony szkic listu do nieznannej kobiety. Pomyślałem, że może to o nią chodzi. Jest tam wzmianka o Crabbie Robinsonie. Ash pisze, że rozumiała jego wiersze.

- To nie brzmi zbyt prawdopodobnie. Raczej nie sądzę, by jego wiersze się jej spodobały. Cała ta kosmiczna męskość. I ten wredny, antyfeministyczny wiersz o medium, jakże on się nazywa, „Mummy Possesst”^{*}? Całe to ociężałe zaciemnianie sensu. Wszystko, czym ona nie była.

* Dosł. posięście mumii; aluzja do wiersza Johna Donne'a „Alchemia miłości” (przyp. tłum.).

Roland wpatrywał się w blade, zacięte usta dr Bailey z uczuciem bliskim beznadziei. Żałował, że tu przyjechał. Wrogość wobec Asha obejmowała także i jego, przynajmniej tak to widział.

- Sprawdziłam swoją kartotekę - pracuję nad dużym studium o „Meluzynie” - ciągnęła Maud Bailey - i znalazłam tylko jedno odwołanie do Asha. W liściku do Williama Rossettiego - rękopis jest w Tallahassee - Christabel pisze o wierszu, który dla niej opublikował: „W te mroczne listopadowe dni najbardziej przypominam ową nieszczęsną Kreaturę z Fantazji RHA, zamurowaną w swoim straszliwym In-Pace, gwałtem uciszoną i tęskniącą za wiecznym spokojem. Trzeba Odwagi Mężczyzny, by znajdować przyjemność w budowaniu zmyślonych Lochów dla Niewiniątek, i Cierpliwości Kobiety, by znosić rzeczywiste więzienie”.

- To dotyczy „Czarodziejki uwięzionej” Asha?

- Ma się rozumieć. Niecierpliwie.

- Kiedy to napisała?

- W 1869 r., tak mi się zdaje. Tak. Bardzo dosadne, lecz niezbyt pomocne.

- Właściwie wrogie.

- Otóż to.

Roland sączył kawę. Maud Bailey wsunęła fiszkę z powrotem do kartoteki. Wciąż patrząc do pudełka, powiedziała:

- Pewnie zna pan Fergusa Wolffa? Zdaje mi się, że jest w pańskim college'u.

- Tak, to właśnie on podsunął mi pomysł, bym spytał panią o LaMotte.

Pauza. Ruchliwe palce zajęły się porządkowaniem.

- Znam Fergusa. Poznałam go na konferencji w Paryżu.

Głos trochę mniej rzeczowy, pomyślał niezyczliwie, trochę mniej starczo-apodyktyczny.

- Mówił mi o tym - rzekł Roland neutralnym tonem, szukając w jej twarzy oznak, iż jest świadoma tego, co Fergus mógł powiedzieć, jak mógł o niej mówić. Zaciśnęła usta i wstała.

- Zabiorę pana do archiwum.

Chyba żadne miejsce na świecie nie mogło różnić się bardziej od Fabryki Asha niż Biblioteka Uniwersytetu Lincoln. Ogromne przeszklone pudełko przypominało gigantyczną wersję Małego Konstruktorza, z połykliwymi drzwiami otwierającymi się w ścianach ze szkła i stalowych rur. Były tu brzękliwe metalowe półki oraz tłumiące kroki filcowe chodniki w żółto-czerwone pasy, takie same jak farba w windach i na poręczach schodów. W lecie musiał tu panować nieznośny blask i upał, ale teraz, mokrą jesienią, szarosine niebo zdawało

się wspierać niby kolejne pudełko na zwielokrotnionych szybach, w których odbijały się szeregi okrągłych, czerwonych światełek, jak lampki wrózek w krainie Nigdy-Nigdy.

Archiwum Ośrodka Studiów Gender mieściło się w przestronnym akwarium. Maud Bailey usadowiła Rolanda na metalowym krześle przy jasnym dębowym stole, gdzie natychmiast poczuł się jak krnąbrny przedszkolak, i postawiła przed nim mnóstwo pudełek. *Meluzyna I, Meluzyna II, Meluzyna III i IV, Meluzyna Bez Przydziału, Poezje Bretońskie, Poematy Pobożne, Liryki Różne, Blanche*. W tym ostatnim wskazała mu podłużny, gruby zielony zeszyt, trochę podobny do księgi rachunkowej z burymi marmurkowymi wyklejkami.

Dziennik Życia W Naszym Domu w Richmond Blanche Glover *Rozpoczęty w dniu przeprowadzki 1 maja 1858*

Roland podniósł go z szacunkiem. Co prawda zeszyt nie pociągał go równie magnetycznie jak dwa listy złożone w jego kieszeni, niemniej stanowił pokusę dla ciekawości.

Martwił się o swój bilet powrotny. Martwił się, że cierpliwość Maud się wyczerpie. Dziennik pisany był nerwowym, ładnym pismem, krótkimi zrywami. Przerzucił stronicę. Dywany, zasłony, radość samodzielności. „Dzisiaj najęłyśmy Kucharkę dowodzącą”. Nowe sposoby duszenia rabarbaru, malowanie małego Hermesa z matką - no i proszę, śniadanie u Crabba Robinsona.

- Znalazłem.

- Doskonale. Teraz pana zostawiam. Przyjdę, jak będą zamykać. Ma pan około dwóch godzin.

- Dziękuję.

Poszliśmy na śniadanie do pana Robinsona, miłego aczkolwiek prozaicznego dżentelmena, który opowiedział nam skomplikowaną anegdotę o popiersiu Wielanda*, wydobytym przezeń z niegodnego zapomnienia ku wielkiemu zachwytowi Goethego i innych osobistości literackich. Nikt nie mówił nic ciekawego - na pewno nie moja niepokaźna osoba, ale ja wolę pozostawać w cieniu. Obecna była pani Jameson, a także pan Bagehot, poeta Ash - bez pani Ash, która jest cierpiąca - i kilku młodszych członków Uniwersytetu Londyńskiego. Książniczkę bardzo podziwiano, i słusznie. Bardzo rozumnie mówiła z panem Ashem, którego wierszy nie mogę polubić, ona wszakże oświadczyła, że je nadzwyczaj ceni, co mu oczywiście pochlebiło. W moim mniemaniu brak mu potoczystego liryzmu i intensywności Alfreda Tennysona, wątpię również o jego powadze.

* Christoph Martin Wieland (1733-1813) - niemiecki krytyk literacki, znany głównie z przekładów Szekspira na język niemiecki (przyp. tłum.).

Poemat o Mesmerze jest dla mnie wielką zagadką nie mogę bowiem w żaden sposób stwierdzić, jaki jest stosunek autora do Magnetyzmu Zwierzęcego: czy drwi z niego, czy też go popiera? Podobnie nie pojmuje większości jego prac, toteż zastanawiam się często, czy nie jest to wiele hałasu o nic. Co się tyczy mnie, wycierpiałam długi wywód o Traktarianach*, który wygłosił młody i napuszony liberał z uniwersytetu. Zapewne byłby bardzo zdziwiony, usłyszawszy, co naprawdę sędzę o tych sprawach, ale nie życzyłam sobie takiej z nim poufałości. Milczałam, uśmiechałam się, potakiwałam, a Myśli swoje zachowałam dla siebie. Byłam jednakże prawie zadowolona, kiedy pan Robinson jął opowiadać całemu towarzystwu o swych włoskich podróżach z

Wordsworthem, który na każdym kroku pragnął jedynie znaleźć się w domu i z najwyższym trudem dawał się przekonać, że warto choć trochę się rozejrzeć.

Ja również pragnęłam znaleźć się w domu i rada zamknęłam za nami nasze kochane drzwi frontowe, zanurzając się w ciszę saloniku.

Dom to rzecz wspianała, czego nie miałam odwagi powiedzieć panu Robinsonowi, pod warunkiem że to własny dom, taki jak nasz mały domek. Kiedy pomyślę o swej dawnej egzystencji, o tym, czego wedle wszelkich wskazań rozsądku mogłam wówczas spodziewać się od życia - skrawka miejsca na dywanie w najdalszym kącie cudzej bawialni i łóżka na poddaszu dla Służby - dziękuję co dzień za wszystkie drobiazgi, tak niewymownie mi drogie. Zjadłyśmy późny obiad - zimny drób i przyrządzoną przez Lizę sałatę - a po południu poszłyśmy na spacer do Parku. Potem pracowałyśmy aż do wieczornego posiłku - mógłby go spożyć sam Wordsworth - ciepłego mleka i białego chleba, posypanego cukrem. Grałyśmy i śpiewałyśmy razem, a potem czytałyśmy fragmenty „Królowej wróżek”^{***}. Nasze dni utkane są z prostych codziennych przyjemności - których nigdy nie należy brać za oczywiste - oraz wyższych radości Sztuki i Myśli, które teraz możemy nareszcie smakować do woli, niekrytykowane i niepotępiane przez nikogo. Przecież Richmond to Beulah^{***}, jak powiedziałam Księżniczce, na co ona odparła, że ma tylko nadzieję, iż żadna zła Wróżka nam nie zazdrości.

* Traktarianie - zwolennicy traktarianizmu, ruchu społeczno-religijnego, którego główne tezy wyłożone są w dziewięćdziesięciu „Traktatach na nasze czasy”, opublikowanych w Oksfordzie w latach 1833-1841 (przyp. tłum.).

** „Królowa wróżek” (oryg. „Faerie Queen”) - fantastyczny poemat Edwarda Spensera (1552-1599) (przyp. tłum.).

*** Beulah - kraina wróżek z poematu Spensera (przyp. tłum.).

Przez następne trzy i pół tygodnia nic się nie działo; proste posiłki, spacerunki i lektury, muzyka i malarzkie plany Blanche. Potem Roland znalazł zdanie, które mogło znaczyć coś albo nic, zależnie od tego, jak uważnie się czytało.

Zastanawiam się, czy nie spróbować w oleju tematu z Malory'ego* - może uwięzienie Merlina przez pannę Nimue albo samotna Pani na Astolat? Mój umysł pełen jest mglistych obrazów, lecz brak mi jasnej wizji choćby jednej konkretnej rzeczy. Cały tydzień szkicowałam dęby w Richmond Park, wszelako moja kreska jest za lekka dla solidności ich grubych pni. Dlaczego musimy upiększać to, co wyrażać ma Brutalną Siłę? Zarówno Nimue, jak Pani Lily wymagać będą modelu, a trudno mi prosić Księżniczkę, by poświęcała im tak wiele czasu. Mam tylko nadzieję, że godziny, które spędziła pozując do „Christabel przed sir Leolinem”, nie były dla niej zupełnie stracone. Maluję tak cienką warstwą, jakby moja praca była nierozświetlonym witrażem, wymagającym dopiero powodzi światła z tyłu i z daleka, aby go rozjaśnić i ożywić - a przecież nie ma żadnego „tyłu” i żadnego „daleka”. Och, jakże pragnę Siły. Powiesiła „Christabel” w swej sypialni, gdzie rano pada na nią słońce, obnażając wszelkie niedoskonałości obrazu. Bardzo jest przejęta długim listem, który przyszedł dzisiaj i którego mi nie pokazała, lecz przeczytała z uśmiechem, złożyła i uniosła ze sobą.

* Sir Thomas Malory (zm. 1420) - autor „Le Morte d'Arthur”, najszerzej znanej i chyba najpiękniejszej wersji legendy o królu Arturze (przyp. tłum.).

Nie było tu nic - oprócz nadziei i ciekawości samego Rolanda - co mogłoby wskazywać, że ów „długi list” był właśnie *jego* listem. Mógł to być jakikolwiek list. Czy były następne? Trzy tygodnie później znalazł kolejne znaczące/nieznaczące zdania.

Liza i ja ciężko pracujemy, robiąc galaretkę z jabłek i pigwy. Całą kuchnię zdobią woale kapiącego muślinu, sprytnie, niczym pajęczyny, zaczepione o nogi odwróconych krzeseł. Liza oparzyła sobie język, próbując, czy galaretka się ścięła - za łakoma jest, by czekać, lub za bardzo chce być usłużną. (Liza jest łakoma. Jestem pewna, że zakrada się do kuchni w środku nocy i pożera chleb i owoce. Schodząc na śniadanie, znajduję na bochenku poszarpane, ukośne cięcia, których ja na pewno nie zrobiłam). W tym roku Księżniczka nam nie pomaga. Chce dokończyć swój Literacki List, zanim odejdzie poczta, choć zaprzeczyła temu, twierdząc, że musi jak najszybciej napisać „Szklaną trumnę” do tomu swoich opowiadań. Jestem przekonana, że pisze mniej wierszy, a w każdym razie już nie pokazuje mi ich wieczorami, jak to miała we zwyczaju. Cała ta korespondencja szkodzi jej prawdziwym talentom. Nie są jej potrzebne te epistolarne pochlebstwa, zna swoją wartość. Chciałabym tylko być równie pewna mojej.

Dwa tygodnie później:

Listy, listy, listy. Nie do mnie. Ja mam nic nie widzieć i nie wiedzieć. Wszelako nie jestem ślepym robakiem, moja Pani, ani też układną pokojówką, która odwraca głowę i nic nie dostrzega dlatego tylko, że podobno coś jej nie dotyczy. Nie musisz tak pośpiesznie chować ich pod robótkę ani pędzić na górę, by ukryć je wśród chusteczek. Nie jestem wścibskim Strażnikiem ani Guwernantką z całą pewnością nie guwernantką. Od tego losu Tyś mnie ocaliła i nigdy, ani przez jedną najmniejszą chwilę, nie znajdziesz mnie niewdzięczną czy pełną pretensji.

Dwa tygodnie później:

A więc mamy Włóczęgę. Coś kręci się i węszy wokół naszego ustronia, szarpie okiennice, fuka i puka tuż za progiem. W dawnych czasach wieszano nad wejściem jagody jarzębiny albo podkowę, by odpędzić *Czarodziejski Lud*. Przybiję teraz kilka gałązek, na pokaz, by zagrozić drogę, jeśli zdołam. Pies Tray się denerwuje. Włos jeży mu się na karku jak wilkowi, kiedy słyszy Łowcę, ciężko dyszy i zgrzyta zębami. Jaka mała i przytulna zdaje się zagrożona siedziba! Jakie duże wydają się zamki u drzwi, jaką trwogą przejmuje myśl, że ktoś mógłby je wyłamać i zniszczyć!

Dwa tygodnie później:

Gdzie się podziała szczerłość naszych rozmów? Gdzie drobiazgi, które dzieliłyśmy w harmonii, bez słów? Do szpar i pęknięć w ścianach naszego domu przywarło oko Podglądacza, który gapi się na nas bezwstydnie. Ona śmieje się i mówi, że jest nieszkodliwy, że i tak nie umiałby dojrzeć tego, co istotne; to, co wiemy, jest bezpieczne - tak jest, tak będzie, tak zawsze być musi. Lecz bawi ją słuchanie, jak on sapie i węszy wokół grubych ścian; sądzi, że zawsze pozostanie Oswojony jak teraz. Nie twierdzę, że wiem coś więcej - nie wiem nic. Nigdy nie wiedziałam zbyt wiele, ale boję się o nią. Zapytana, czy dużo ostatnio pisze, roześmiała się

i odparła, że wiele, ogromnie wiele się uczy, a kiedy już się nauczy, będzie miała nowe treści do opisanie i mnóstwo do opowiedzenia. A potem mnie pocałowała, nazwała swoją kochaną Blanche i rzekła, że wiem przecież, iż jest dobrą dziewczyną silną i wcale niegłupią. Odparłam, że głupcami jesteśmy wszyscy i w chwilach słabości potrzebna jest nam moc Boża. Odpowiedziała, że nigdy jeszcze nie odczuwała jej tak silnie i bezpośrednio jak w ostatnich dniach. Poszłam do swej sypialni i modliłam się tak, jak nie modliłam się od chwili, gdy zrozpaczona, pragnęłam opuścić dom pani Teape, sądząc, że to nigdy się nie spełni. Chwiejący się w przeciagu płomień świecy rzucał na sufit ogromne cienie, podobne chwytliwym palcom. Mogłabym umieścić ruchliwe linie światłocienia wokół Nimue i Merlina. Ona przyszła wówczas do mnie; podniosła mnie z klęczek i powiedziała, że nigdy nie wolno nam się klócić, że nigdy, przenigdy nie da mi powodu do zwątpienia i że nie wolno mi nawet o tym myśleć. Jestem pewna, że mówiła prawdę. Była bardzo pobudzona, uroniła kilka łez. Długo byliśmy razem, cicho, jak tylko my to umiemy.

Następnego dnia:

Wilk odszedł od Drzwi. Legowisko Psa Traya znów do niego należy. Zaczęłam Lily, Panią na Astolat - nagle ten temat wydał mi się najlepszy.

Tu pismo się urywało, właściwie skończył się zeszyt, całkiem zniecka, jeszcze przed końcem roku. Roland, zaznaczając skrawkami papieru fragmenty składające się na jego kruchą narrację/nie narrację, ciekaw był, czy istnieją inne zeszyty pamiętnika. Nie było dowodów, które wskazywałyby na związek Włóczęgi z autorem listu, ani autora listu - z Randolphem Henrym Ashem, a jednak Roland z całą mocą czuł, że wszyscy są jedną i tą samą osobą. Ale gdyby tak było, czy Blanche nie wspomniałaby o tym? Musiał spytać Maud Bailey o Podglądacza, ale jak miał to zrobić, nie ujawniając zarazem powodów swego zainteresowania? I nie narażając się na to surowe i wyniosłe spojrzenie?

Maud Bailey wyjrzała zza drzwi.

- Zamykają bibliotekę. Znalazł pan coś?

- Tak mi się wydaje, ale być może tylko w wyobraźni. Jest kilka rzeczy, o które muszę kogoś - panią - zapytać. Czy wolno będzie zrobić odbitkę rękopisu? Nie miałem czasu przepisać tego, co znalazłem. Byłem...

- Zdaje się, że miał pan udane popołudnie. - Oschle. Potem, jakby czyniąc ustępstwo: - Nawet podniecające.

- Nie wiem. To wszystko gonienie za wiatrem.

- Gdybym mogła pomóc - powiedziała Maud, pakując dziennik Blanche do pudełka - byłoby mi nadzwyczaj miło. Napijmy się kawy. W Studium Gender jest kawiarnia dla pracowników.

- Pozwolą mi wejść?

- Naturalnie - zabrzmiał oziębły głos.

Usiedli w samym rogu, przy niskim stoliku, pod plakatem reklamującym żłobek uniwersytecki, na wprost obwieszczeń Biura Doradztwa Aborcyjnego - „Kobieta ma prawo decydować, co się dzieje z jej ciałem. Dla nas kobiety liczą się najbardziej” - oraz „Przeglądu Feministycznego”:

„Przyjdź i zobacz Wiedźmy, Wampy, Córki Kali, Fatae Morganae. Krew zakrzepnie ci w żyłach i zaśmiejesz się krzywo z dekadencji i dowcipu Kobiet”.

Sala była prawie pusta, z wyjątkiem grupy roześmianych, ubranych w dżinsy kobiet w przeciwnym rogu oraz dwóch dziewcząt pod oknem, które przytulone różowymi czubami włosów, zagłębiły się w żarliwej rozmowie. Przesadna elegancja Maud Bailey wydawała się w tym otoczeniu jeszcze dziwniejsza. Była kobietą niedotykalną; Roland, który z rozpaczy postanowił jednak pokazać jej odbitki listów i pragnął zachować to w tajemnicy, zmuszony był nachylić się ku niej pseudointymnym gestem i wyszeptać:

- Proszę pani, ten Włóczęga, który tak niepokoił Blanche Glover, czy coś o nim wiadomo? O tym wilku u drzwi?

- Nic pewnego. Leonora Stern prowizorycznie ustaliła, że mógł to być młody Thomas Hearst z Richmond, który przychodził pograć z paniami na oboju. Obie świetnie grały na fortepianie. Istnieją dwa lub trzy listy Christabel do Hearsta - w jednym nawet przesłała mu kilka wierszy, które zachował, na szczęście dla nas. W 1860 roku ożenił się z kimś i zniknął z pola widzenia. Blanche mogła to wymyślić. Miała bujną wyobraźnię.

- I była zazdrosna.

- Oczywiście.

- A te literackie listy, o których wspomina? Czy wiadomo, od kogo były? I czy miały jakiś związek z Włóczęgą?

- O ile wiem, to nie. Dostawała mnóstwo listów od ludzi takich jak Coventry Patmore*, którzy podziwiali jej „pełną słodczy prostotę” i „szlachetną rezygnację”. Pan myśli, że to był R.H. Ash?

- Nie, po prostu... Chyba lepiej pokażę pani, co mam. Wyjął odbitki swoich dwóch listów. Kiedy je rozkładała, powiedział:

- Powiniennem wyjaśnić. Znalazłem je i nikomu jeszcze nie pokazałem. Nikt nie wie, że istnieją.

Czytając, zapytała:

- Dlaczego?

- Nie wiem. Zatrzymałem je dla siebie. Nie wiem dlaczego. Skończyła czytać.

* Coventry Kersey Dighon Patmore (1823-1896) - poeta, przyjaciel Tennysona i Ruskina (przyp. tłum.).

- No cóż - powiedziała - daty się zgadzają. Mógłby pan ułożyć z tego całą historię, choć właściwie brak dowodów. Wiele rzeczy uległoby zmianie. Badania nad LaMotte. Idee na temat „Meluzyny”. Ten temat Wróżki... to naprawdę intrygujące.

- Prawda? Wpłynęłoby to również na stan wiedzy o Ashu. Inne jego listy są w zasadzie dość nudne - poprawne i z dystansem - a to... to coś całkiem innego.

- Gdzie są oryginały?

Roland zawahał się. Potrzebował pomocy. Potrzebował rozmowy.

- Zabrałem je - powiedział. - Znalazłem je w książce i zabrałem. Nie zastanawiałem się, po prostu je wzięłem.

- Dlaczego? - Surowo, lecz ze znacznie większym ożywieniem.

- Dlaczego pan to zrobił?

- Bo były żywe. Wydawały się takie nagłace - czułem, że muszę coś zrobić. To był impuls, jakby błysk. Miałem zamiar odłożyć je na miejsce i zrobić to. W przyszłym tygodniu. Ale jeszcze nie teraz. Nie uważam, że są moje, nic takiego. Ale nie należą też do Croppera ani do Blackaddera, ani do lorda Asha. Wydały mi się prywatne. Niezbyt dobrze to tłumaczę.

- Nie. Ale pewnie w sensie akademickim to niezła zdobycz. Dla pana.

- Cóż, chciałem być tym, kto będzie nad nimi pracował - zaczął Roland, zrazu niewinnie, po czym zorientował się, jak został obrażony.

- Zaraz, zaraz, to wcale nie tak, nie o to chodzi. To coś osobistego. Pani nie rozumie. Jestem staromodnym krytykiem tekstów, nie biografem... nie zajmuję się... nie chodzi o zysk... zwrócę je za tydzień... chciałem zachować je w tajemnicy. Żeby pozostały prywatne. I chciałem nad nimi pracować.

Zarumieniła się. Kość słoniową splamiła czerwień krwi.

- Przepraszam. Właściwie nie wiem za co, mój wniosek był uzasadniony; nawet nie umiem sobie wyobrazić, że ktoś miałby śmiałość tak porwać dwa rękopisy - ja bym się nigdy nie odważyła. Ale rozumiem, że panu chodziło o coś innego. Naprawdę rozumiem.

- Po prostu chciałem wiedzieć, co stało się później.

- Nie mogę pozwolić panu odbić dziennika Blanche - grzbiet tego nie wytrzyma - ale może pan go przepisać. I poszperać w tych pudłach. Kto wie, co pan znajdzie. W końcu nikt nigdy nie szukał tam Asha. Czy zarezerwować panu do jutra pokój gościnny?

Roland zastanowił się. Pokój gościnny był czymś nieskończenie atrakcyjnym; ciche miejsce, gdzie mógł spać bez Val, rozmyślać o Ashu i zajmować się sobą w swoim własnym tempie. Ale pokój gościnny kosztował pieniądze, których nie miał. A poza tym wykupił bilet powrotny.

- Mam powrotny na dzisiaj.

- Możemy go wymienić.

- Wolałbym nie. Jestem bezrobotnym doktorem i nie mam pieniędzy.

Teraz jej twarz przybrała kolor wina.

- Nie pomyślałam o tym. W takim razie proszę zanoć u mnie, mam zapasowe łóżko. Skoro pan już tu jest... Zrobię kolację, a jutro obejrzy pan resztę archiwum. To żaden kłopot.

Spojrzał na lśniący czarny ślad wyblakłego brązowego pisma.

- Dobrze - powiedział.

Maud zajmowała parter georgiańskiego domu z czerwonej cegły, położonego na peryferiach Lincoln. Miała dwa duże pokoje oraz kuchnię i łazienkę, przerobione z istnego labiryntu malutkich pomieszczeń gospodarczych; jej drzwi frontowe niegdyś stanowiły wejście dla służby. Dom był własnością Uniwersytetu, który dysponował mieszkaniami na piętrach. Okna kuchni o kamiennej podłodze wychodziły na wybrukowane czerwoną cegłą podwórko, gdzie w donicach rosły wiecznie zielone iglaki.

Salon Maud nie spełniał bynajmniej wyobrażeń o tym, jak powinna mieszkać uczona, zajmująca się epoką wiktoriańską. Cały lśnił bielą - białe były ściany, lampy i stół jadalny, berberyjski dywan również miał kolor złamanej bieli. Ale przedmioty w tym pokoju mieniły się mocnymi, głębokimi barwami turkus, szkarłatu, słonecznej żółci, amaranta; nie było tu nic bladego czy pastelowego. Wnęki po obu stronach kominka mie-

ściły kolekcję szkła: kieliszków, butelek, flakonów, przycisków do papieru. Roland poczuł ożywienie i obcość, jak w galerii sztuki lub w poczekalni lekarza. Maud, odrzuciwszy propozycję pomocy, poszła przygotować kolację, on zaś zadzwonił do mieszkania w Putney, jednak nikt nie podniósł słuchawki.

- Może poczyta pan „Opowieści dla niewinnych”? - zapytała Maud, przynosząc mu drinka. - Mam tu pierwsze wydanie.

Na wytartej, zielonej skórcie oprawy niewyraźnie majaczyły gotyckie litery. Roland usiadł przy płonącym kominku na ogromnej kanapie Maud i odwrócił stronicę.

A więc była sobie raz Królowa, lecz choć można by sądzić, że miała już wszystko, czego tylko dusza zapragnie, uparła się całym sercem, aby zdobyć jeszcze dziwnego, milczącego ptaka, o którym opowiedział jej pewien wędrowiec; ptak ów mieszkał w śnieżnych górach, raz tylko w życiu zakładał gniazdo i kiedy już wychował swe złoto-srebrne pisklę, raz tylko śpiewał i ginął, niczym śnieg w dolinie.

Był sobie też raz biedny szewczyk, który miał trzech silnych synów i dwie ładne córki, oraz trzecią, która nie umiała nic zrobić jak należy; w jej rękach pękały talerze, przedza się plątała, mleko kwaśniało, masło nie chciało się maścić, ogień zaś buchał na pokój kłębamii dymu; nieprzydatną, beznadziejną, rozmarzoną córkę, której matka często powtarzała, że gdyby musiała radzić sobie w dzikim lesie, doceniłaby udzielane jej rady i zaczęła postępować właściwie. To zaś wzbudziło w przekornej córce wielkie pragnienie, by choć na chwilę znaleźć się w dzikim lesie, gdzie nie ma talerzy ani szycia, ale za to wymaga się innych rzeczy, o których wiedziała, że potrafi ich dokonać.

Przyjrzał się drzeworytom, opisanym na stronie tytułowej jako „Ilustracje B.G.". Postać kobieca w rozwianym fartuchu i ogromnych drewniakach, stojąca na leśnej polanie, otoczona ciemnymi sosnami i mnóstwem białych oczu, wyzierających spomiędzy iglastych konarów. Inna postać, otulona jakby siecią, obwieszona dzwoneczkami, waląca omotanymi pięściami w drzwi chatki, za oknami której szczyrzyły zęby rozpląszczone, kartoflane twarze. Mały domek wśród tych samych ciemnych sosen, u którego stóp, oparłszy paszczę na białych schodkach i zwinąwszy gibkie ciało w smoczych skrętach, leżał długi wilk o sierści wrytej pod tym samym kątem co ostre upierzenie drzew.

Maud Bailey podała krewetki, omlet z zieloną sałatą, kawałek sera bleu de bresse i miskę cierpkich jabłek. Rozmawiali o „Opowieściach dla niewinnych", które, zdaniem Maud, wywodziły się głównie z przerażających bajek Grimmów i Tiecka, eksponowały jednakże nieposłuszeństwo bohaterów i obecność zwierząt. Razem zajrzeli do bajki o kobiecie, która twierdziła, że oddałaby wszystko, aby mieć dziecko, jakiegokolwiek dziecko, nawet jeża, i istotnie, w odpowiednim czasie powiła potworka, pół chłopca, pół jeża. Blanche narysowała jeżowate dziecko, siedzące w wysokim wiktoriańskim krześle przy wiktoriańskim stole; za nim ciemno lśniły szybki kredensu, przed nim ogromna ręka wskazywała palcem pełną miseczkę. Twarz stworka była grubo ciosana, pokryta futerkiem i wykrzywiona, jakby lada chwila miał wybuchnąć płaczem. Kolce nad jego brzydką głową rozchodziły się promieniście niczym aureola, i opadały na pozbawione szyi ramionka, krzyżując się na absurdalnym, krochmalonym kołnierzyku z falbanką. Krótkie łapki zakończone były tępymi pazurkami.

Roland zapytał Maud, co sądzą o tym utworze krytycy. Odparła, że w przekonaniu Leonory Stern stanowi on wyobrażenie obaw kobiety epoki wiktoriańskiej - a właściwie obaw każdej kobiety - przed urodzeniem monstrum, i ma związek z Frankensteinem, bólami porodowymi Mary Shelley* oraz stresem narodzin.

- A pani też tak sądzi?

- To stara bajka, z Grimmów; jeź siedzi na czarnym kogucie na wysokim drzewie, gra na dudach i płata ludziom figle. Chyba sporo można się dowiedzieć o Christabel ze sposobu, w jaki napisała swoją wersję. Myślę, że po prostu nie lubiła dzieci - jak wiele niezamężnych ciotek w owych czasach.

- Blanche jest żal jeża.

- Naprawdę? - Maud nachyliła się nad obrazkiem. - Tak, ma pan rację. Ale Christabel nie. Mały wyrasta na bardzo zaradnego świniopasa - tuczy świnię na leśnych żołądźciach - i wszystko kończy się triumfalnym świ-niobiciem, pieczonym prosięciem i skwarkami. Trudno to przełknąć współczesnym dzieciom, które oplakują nawet wieprze gadareńskie**. Christabel czyni z niego siłę natury, zwycięską mimo wszelkich przeciwności. Na samym końcu jeź zdobywa córkę Króla, która nocą pali jeżową skórę, aby ocknąć się w objęciach pięknego Królewicza, osmalonego i czarnego jak sadza. Christabel powiada: „A jeśli kiedy żałował swoich zbrojnych igieł i sprytu dzikiego zwierzątka, historia o tym nie wspomina, bowiem dotarłszy do szczęśliwego końca, nie powiemy już nic więcej”.

* Mary Wollstonecraft Godwin Shelley (1797-1851) - autorka „Frankensteina”, druga żona P.B. Shelleya (przyp. tłum.).

** Łuk. VIII, 32-35 (przyp. tłum.).

- Podoba mi się to.

- Mnie też.

- Zajęła się nią pani z powodu pokrewieństwa?

- To możliwe, choć nie sądzę. Kiedy byłam małą, poznałam jeden z jej wierszyków, który stał się dla mnie jakby amuletem. Baileyowie nie są zbyt dumni z Christabel, wie pan. Nie cenią literatury. Jestem wyjątkiem. Moja babka z Norfolk mawiała, że zbyt wiele wykształcenia psuje materiał na dobrą żonę. A w dodatku Baileyowie z Norfolk nie rozmawiają z Baileyami z Lincolnshire. Ci ostatni stracili w pierwszej wojnie światowej wszystkich synów z wyjątkiem jednego, inwalidy, i bardzo zbiednieli, natomiast ci z Norfolk zachowali spory majątek. Sophie LaMotte wyszła za Baileyę z Lincolnshire, więc dorastałam nie myśląc o tym, że miałam poetkę w rodzinie, choćby daleko spokrewnioną. Dwukrotna wygrana w Derby i wuj, który w rekordowym czasie wspiął się na Eiger - oto rzeczy, jakie się u nas liczyły.

- O czym był ten wierszyk?

- O Sybilli Kumańskiej. Znalazłam go w małym tomiku pod tytułem „O duchach i innych dziwnych istotach”, który kiedyś dostałam na Gwiazdkę. Pokażę panu.

Zaczął czytać:

Kim jesteś?

Na wysokiej półce

Zasnuł pajak słój,

Nietoperza skórą

Zwisa odwłok mój.

Kim byłaś?

Zwabił mnie bóg złota,
Śpiewał straszny śpiew,
Jego żar mnie zwarzył,
Nie mój jego zew.

Co widzisz?

Widziałam firmament
Niebieski wysoko,
Widziałam, jak całun
Skrył Cezara oko.

Czego pragniesz?

Żądza - ogniem śpiącym,
Miłość kłamstwem jest,
Chcę kurzu i mroku,
Chcę, by nadszedł kres.

- To smutny wiersz.

- Młode dziewczęta są smutne. Lubią być takie; to im daje poczucie siły. Sybilla w swoim słoju była szczęśliwa, nikt nie mógł jej dotknąć, pragnęła umrzeć. Nie wiedziałam, co to Sybilla, po prostu spodobał mi się rytm. Tak czy inaczej, kiedy zaczęłam się zajmować problematyką liminalną, przypomniał mi się - i tak przypomniała mi się Christabel. Pisałam artykuł „Marginalne istoty, liminalna poezja”, o wyobrażeniach przestrzeni u wiktoriańskich kobiet. O agorafobii, klaustrofobii i paradoksalnym pragnieniu, aby wyrwać się na wolność, na wrzosowiska, na otwartą przestrzeń, a równocześnie pozostać zamkniętą w coraz ciaśniej szych, szczelnych pomieszczeniach - takich jak miejsce dobrowolnego odosobnienia Emily Dickinson* i słój Sybilli.

- Jak Czarodziejka Asha w swoim In-Pace.

- To co innego. On karze ją za urodę i za to, co uważał za jej zepsucie.

- Wcale nie. Ash tylko pisze o ludziach - w tym i o niej - którzy sądzą, że piękno i zepsucie winno być karane. Ona zgadza się z ich osądem, on nie - on zostawia tę kwestię naszej inteligencji.

Grymas protestu przeciął twarz Maud, która jednak powiedziała tylko:

- A pan? Dlaczego pan zajmuje się Ashem?

- Podobał się mojej matce. Studiowała anglistykę. Wychowałem się na jego opisie sir Waltera Raleigha i wierszach o Azincourt** oraz Offie na Grobli***. A później na „Ragnaröku”. - Zawahał się. - Były tym, co pozostało żywe, kiedy już nauczono mnie innych rzeczy.

* Emily Dickinson (1830-1886)- znakomita poetka amerykańska, która prawie całe życie spędziła w jednym pokoju swego rodzinnego domu (przyp. tłum.).

** Azincourt - miejscowość we Francji, gdzie wojska angielskie pod wodzą króla Henryka V stoczyły w 1415 r. zwycięską bitwę z przeważającymi siłami Francuzów (przyp. tłum.).

*** Król Offa z Mercii (757-796) - budowniczy ogromnej grobli, uważanej za tradycyjną granicę pomiędzy Anglią i Walią (przyp. tłum.).

Maud uśmiechnęła się wreszcie:

- Otóż to. Właśnie. Tym, co zdołało przetrwać naszą edukację.

Przygotowała mu posłanie na wysokiej białej kanapie w salonie - nie stertę śpiworów i koców, lecz prawdziwe łóżko, z czystym prześcieradłem, poduszkami w szmaragdowych powłóczkach i białą puchową kołdrą, wydobytą z ukrytej szuflady. Znalazła nową szczoteczkę do zębów w nienaruszonym celofanowym opakowaniu, po czym powiedziała:

- Szkoda, że George Bailey to taki gbur. Kto wie, co on może mieć? Widział pan kiedyś Seal Court? Wiktoriański gotyk w najbardziej koronkowym wydaniu, same pinakle i sterczyny, głęboko w zielonej kotlinie. Moglibyśmy tam pojechać, gdyby znalazł pan czas. Rzadko kiedy bywam ciekawa życia Christabel - to dziwne, czuję nawet odrobinę rezerwy wobec rzeczy, których mogła dotyczyć, miejsc, które mogła odwiedzać... W końcu to język się liczy, prawda? To, co działo się w jej głowie...

- Właśnie...

- Nigdy nie przejmowałam się zbyt Włóczęgą Blanche i całą tą resztą... Zdawało mi się, że nie ma znaczenia, kto to był, ważne jest tylko jej przekonanie, że istniał... Ale pan coś obudził.

- Proszę spojrzeć - powiedział, wyjmując z teczki kopertę. - Przywiozłem je ze sobą. Właściwie, cóż innego mogłem z nimi zrobić? Trochę wyblakły, ale...

Od czasu naszej niezwyklej rozmowy nie myślę o niczym innym... Czuję, wiem z całą pewnością, która nie może być skutkiem kaprysu ani błędnego rozumienia, że muszę znów z Panią mówić...

- Rozumiem - powiedziała. - One żyją.

- Nie mają zakończeń.

- Nie. To są początki. Czy chciałby pan zobaczyć, gdzie mieszkała? I gdzie zastał ją jej prawdziwy koniec?

Naszło go wspomnienie obsikanego przez koty sufitu w pokoju bez widoku za oknem.

- Czemu nie? Skoro już tu jestem...

- Proszę, niech pan idzie się myć pierwszy.

- Dziękuję. Za wszystko. Dobranoc.

Ostrożnie wszedł do łazienki. Nie było to miejsce, gdzie chciałoby się siedzieć i czytać bądź moczyć się w wannie; było to lśniące czystością, chłodne pomieszczenie z zielonego szkła: ogromne ciemnozielone słoje o szklanych korkach na grubych, wodnistzielonych, szklanych półkach, chwilowa i iluzoryczna głębia podłogi ze szklanych kafli, zasłona prysznic, połyskliwa niczym szklany wodospad, na oknie także żaluzja pełna wodnych blasków. Wielkie ręczniki Maud w zielone wzory wisiały równo poskładane na suszarce. I nigdzie, na żadnej powierzchni, ani odrobiny talku, ani jednej smugi mydła. Myjąc zęby, widział swą twarz w glazurze umywalki. Pomyślał o łazience w domu, pełnej nieświeżej bielizny, otwartych słoiczków tuszu, zwisających nisko koszul i skarpet, lepkich butelek z odżywką do włosów i otwartych tub kremu do golenia.

Później stała tam Maud, obracając swe długie ciało pod gorącym sykiem prysznica. Jej myśli opanował obraz ogromnego, rozkopanego łóżka, na którym splamione, pomięte prześcieradła sterczały tu i tam niczym ubite białko. Kiedy zaczynała myśleć o Fergusie Wolffie, widziała przed sobą to właśnie opuszczone pole wal-ki. Gdyby zechciała, mogłaby wywołać w pamięci także stojące za nim brudne filizanki, spodnie, leżące tam, gdzie je porzucono, sterty zakurzonych papierów z okrągłymi śladami po kieliszkach, zasypany popiołem dywan, zapach skarpetek - a także inne zapachy. Freud miał rację, myślała Maud, energicznie szorując białe nogi, pożądanie to odwrotna strona odrazy.

Temat paryskiej konferencji, na której poznała Fergususa, brzmiał „Tożsamość płciowa a autonomia tekstu”. Jej referat dotyczył sytuacji progowych, on zaś wygłosił kompetentny odczyt pod tytułem „Potężny kastrat: fallogocentryczna strukturalizacja hermafrodytycznych bohaterów/bohatek Balzaca”. Przedstawiona przezeń argumentacja wydawała się skręcać w stronę feminizmu, jednak całe wystąpienie miało wydźwięk wywrotowy i nieco drwiący; Fergus nieustannie flirtował z autoparodią. Oczekiwał, że Maud sama wejdzie do jego łóżka: „My dwoje jesteśmy tu najinteligentniejsi, wiesz o tym? A ty jesteś najpiękniejszym stworzeniem, jakie w życiu widziałem, o jakim marzyłem. Chcę ciebie, potrzebuję, nie czujesz tego? Temu nie można się oprzeć”. Dlaczego nie można było się oprzeć - na to pytanie Maud nie znalazła racjonalnej odpowiedzi. Ale miał rację. A potem zaczęły się kłótnie. Maud zadrżała.

Włożyła koszulę nocną, praktyczną, z długimi rękawami, i uwolniła spod ceratowego czepka gęstwę swych złotych włosów. Podtrzymując ręką ich niemały ciężar, bezlitośnie je rozczesła i badawczo przyjrzała się w lustrze swym doskonale regularnym rysom. Piękna kobieta - pisała Simone Weil* - patrząc w lustro, mówi: „To ja”. Brzydka z równą pewnością powiada: „To nie ja”. Maud wiedziała, że ów zgrabny podział to uproszczenie; maska lalki, którą widziała przed sobą, nie miała z nią samą nic wspólnego, nic a nic. Wyczuły to feministki, które kiedyś, gdy wstała, by zabrać głos na zebraniu, wyśmiały ją i wygwizdały, błędnie zakładając, że jej złota korona to efekt ekstraktu z butelki, powstałego w wyniku nieludzkich testów. W początkach swej kariery akademickiej goliła zatem głowę prawie do gołej skóry, zziębniętej i białej pod delikatną szczecinką. Fergus odgadł, jak przerażają maska lalki, i potraktował problem po swojemu; recytując Yeatsa swym irlandzkim głosem, rzucił jej wyzwanie, by odważyła się pokazać wszystko.

* Simone Weil (1909-1943) - wybitna myślicielka francuska, zwolenniczka radykalnej lewicy, później żarliwa katoliczka (przyp. tłum.).

Niejeden dziś chłopiec Przeklnie swój zły los Przez miodowożółty Pukli Twoich stos I pokocha - nie, nie Ciebie Lecz Twój złoty włos*.

* William Butler Yeats (1865-1939), „Dla Anne Gregory” (przyp. tłum.).

„Wstydz się, jeżeli w to wierzysz, moja droga - mówił - ty, taka mądra i uczona pod każdym innym względem”. „Ani w to nie wierzę - odparła wówczas Maud - ani mnie to nie obchodzi”. Więc prowokował ją dotąd, aż zapuściła włosy i pozwoliła im rosnąć, od czoła do uszu, do karku, do ramion - aż wreszcie zasłoniły

całą szyję. Odrastanie trwało prawie tak długo, jak romans z Fergussem; gdy się rozstawali, o jej plecy objął się długi warkocz. Wiedziona dumą, nie obcięła go wówczas, nie chciała w ten sposób podkreślać wagi wydarzenia, lecz odtąd zawsze nosiła włosy zakryte, schowane, niewidoczne.

Roland czuł, że wysoka, wielka kanapa Maud unosi go w pokój pachnący cieniami wina i cynamonu. Leżał w biało-szmaragdowym gnieździe, w przyćmionym świetle ciężkiej, mosiężnej lampy o kloszu zielonym, wewnątrz zaś - kremowym. W głębinach jego myśli czuwał ktoś bezsenny, posiniaczony, prawdziwa księżniczka na ziarnku grochu, niespokojna na stercie puchowych piernatów. Blanche Glover nazywała Christabel Księżniczką. Maud Bailey również była księżniczką o cienkiej skórze, on zaś intruzem w ich kobiecej fortecy. Jak Randolph Henry Ash. Otworzył „Opowieści dla niewinnych” i przeczytał:

SZKLANA TRUMNA

Był sobie raz krawczyk, człek dobry i niepozorny, któremu zdarzyło się wędrować przez las, być może za pracą, albowiem w owych czasach ludzie wędrowali daleko, daleko, by zarobić na nędzny byt, usługi zaś dobrego rzemieślnika - jak nasz bohater - ceniono niżej od tanich i byle jak skleconych wyrobów, źle dopasowanych i nietrwałych. Krawczyk wierzył, że trafi na kogoś, komu przyda się jego kunszt; jako nieuleczalny optymista wyobrażał sobie, że za każdym zakrętem czeka go szczęśliwe spotkanie, choć jak by to miało się spełnić, trudno odgadnąć, szedł bowiem coraz dalej w gęstwinę ciemnych drzew, gdzie nawet blask księżycy rozpadał się na matowe igielki niebieskawej poświaty, która nic już nie oświetlała, tylko mech. W głębi puszczy trafił jednak na polanę, na której czekał na niego mały domek, i ucieszył się, widząc w szparach okiennic żółte smugi światła. Śmiało zastukał do drzwi. Rozległy się szmery i trzaski, drzwi uchyliły się odrobinę, po czym stanął w nich mały człowieczek o twarzy szarej jak popiół o świcie, z długą wełnistą brodą w tym samym kolorze.

- Jestem wędrowcem, który zbłądził w lesie - powiedział krawczyk - i mistrzem rzemieślnikiem, który szuka pracy, jeśli można tu jakąś znaleźć.

- Niepotrzebny mi rzemieślnik - odparł szary człowieczek - a poza tym boję się złodziei. Nie możesz wejść do środka.

- Gdybym był złodziejem, z łatwością bym się włamał lub zakradł cichaczem - rzekł krawczyk. - Jestem uczciwym krawcem i potrzebuję pomocy.

Otóż za plecami szarego człowieczka stał wielki, szary pies, równie wysoki jak jego pan, o czerwonych oczach i gorącym oddechu. I z początku ów kolos warczał głucho i przeciągle, lecz potem uciszył swą groźbę i z wolna pomachał ogonem, co widząc, szary człowieczek powiedział:

- Otto jest zdania, żeś uczciwy. Dam ci nocleg w zamian za rzetelną pracę, za pomoc przy gotowaniu, sprzątaniu i tym wszystkim, co trzeba zrobić w moim skromnym domostwie.

A więc krawczyk został wpuszczony do środka i ujrzał zaiste dziwne gospodarstwo. Na bujanym fotelu siedział jaskrawo upierzony kogut ze swoją całkiem białą żoną. Przy kuchni stał czarno-biały kozioł o małych, gruzłowatych rogach i oczach żółtych jak ze szkła, przed kominkiem zaś leżał bardzo duży kot, wielobarwny, łaciaty i moregowaty, spoglądający na krawczyka oczyma jak zielone klejnoty rozcięte czarnymi szparkami

żrenic. Za stołem stała delikatna brunatna krowa, o mlecznym oddechu, ciepłych, wilgotnych chrapach i wielkich, brązowych oczach.

- Dzień dobry - powitał krawczyk całe towarzystwo, albowiem był zwolennikiem dobrych manier, stworzenia zaś wpatrywały się weń badawczo i inteligentnie.

- Jadło i napitek znajdziesz w kuchni - rzekł szary człowieczek. - Przygotuj nam zacy posilek, zjemy razem kolację.

A zatem krawczyk wziął się do roboty: ze znalezionej mąki, mięsa i cebuli upiekł wspaniałą pieróg, który z wierzchu pięknie przyozdobił liśćmi i kwiatami z ciasta, albowiem był z niego rzemieślnik nie lada, nawet kiedy nie swoje rzemiosło uprawiał. A w czasie gdy pieróg się piekł, rozejrzał się wokół i przyniósł siano dla kozła i krowy, złote ziarno dla koguta i kury, mleko dla kota, a resztki kości i mięsa dla wielkiego szarego psa. A kiedy krawczyk i szary człowieczek zasiedli do pieroga, którego ciepła woń wypełniła cały domek, szary człowieczek powiedział:

- Otto miał rację, dobry z ciebie człowiek i uczciwy, zadbałeś o wszystkie tutejsze stworzenia, nikogo i niczego nie pomijając. Za twoją dobroć dam ci podarunek. Którą z tych rzeczy chciałbyś mieć na własność?

I położył przed krawcem trzy przedmioty. Pierwszym była mała sakiewka z miękkiej skórki, która za-brzęczała, kiedy ją odkładał, drugim był garnek, duży i masywny, czarny z zewnątrz, a w środku lśniący czystością, trzecim zaś - mały szklany kluczyk, wygięty w kruchy, fantastyczny kształt i mieniący się wszystkimi kolorami tęczy. Wówczas krawczyk spojrział na wpatrzone weń zwierzęta, które również odpowiedziały mu dobrotliwym spojrzeniem, i pomyślał sobie: „Znam ci ja te podarunki od leśnych ludzi; może być, że ta sakiewka nigdy nie jest pusta, a ten garnek zawsze daje posilek, byle go właściwie poprosić. Słyszałem ja o takich przedmiotach i poznałem ludzi, którzy płacili groszem z takich sakiewek i jadali z takich właśnie garnków. Ale szklanego klucza nigdy nie widziałem ani o nim nie słyszałem i nie mogę sobie nawet wyobrazić, do czego mógłby się przydać, bo przecież rozprysnie się w każdym zamku". Lecz mimo to zapragnął szklanego kluczyka, albowiem jako rzemieślnik widział, że trzeba było mistrzowskiej ręki, aby wydmuchać delikatne ząbki i trzpień, i jeszcze dlatego, że nie miał pojęcia, czym jest ten kluczyk i do czego służy, a ciekawość to wielka siła w życiu ludzi.

- Chciałbym dostać ten śliczny szklany kluczyk - powiedział więc krawczyk do szarego człowieczka, ten zaś odparł:

- Wybór twój nierozważny jest, lecz śmiały. Klucz ten to klucz do przygody, oczywiście jeżeli wyruszysz na jej spotkanie.

- Czemuż by nie? - rzekł krawczyk. - Skoro w tej głuszy nie ma chętnych na moje rzemiosło i skoro nie wybrałem rozważnie?

Wówczas zwierzęta otoczyły go ciepłem swych mlecznych oddechów, pachnących słodko sianem i łątem, i spojrzały nań łagodnie i kojąco nieczłowieczym wzrokiem, po czym pies ułożył się z głową u jego stóp, a łaciaty kot przysiadł na poręczy jego krzesła.

- Musisz wyjść z tego domu - powiedział szary człowieczek - i zawołać panią Zachodni Wiatr; a kiedy nadleci, pokaż jej klucz i pozwól, by cię zaniósła, gdzie zechce. Nie opieraj się i niczego nie bój - jeśli będziesz się wrywał lub za dużo pytał, ciśnie cię w kolczaste krzaki, co ci nie wyjdzie na dobre. Ale jeżeli dasz się po-

nieść, znajdziesz się na nagim wrzosowisku, na szczycie wielkiego granitowego kamienia, który jest bramą do twojej przygody, choć zda się nieruchomy, jakby tam tkwił od początku świata. Na kamieniu położysz pióro z ogona tego oto koguta, którego on chętnie ci użyczy, a wówczas otworzy się przed tobą brama. Będziesz schodził w dół bez lęku i wahania, w dół i wciąż w dół; klucz twój oświetli ci drogę, jeżeli będziesz trzymał go przed sobą. W końcu dotrzesz do kamiennego przedsionka i znajdziesz tam drzwi do dwóch korytarzy, prowadzących każdy w inną stronę, w które nie wolno ci wchodzić. Ty pójdziesz przejściem zakrytym zasłoną prowadzącym prosto i w dół, ale nie wolno ci dotknąć zasłony ręką musisz położyć na niej białe pióro, które da ci kura; wówczas zasłona cicho się rozsunie, jakby pociągnięta niewidzialną dłonią i otworzy ci drogę do sali, gdzie znajdziesz to, co znajdziesz.

- A zatem ruszam ku przygodzie - rzekł krawczyk - choć czuję wielki lęk przed ciemnymi miejscami, leżącymi pod ziemią gdzie nie dochodzi światło dnia, a sklepienie jest szczelne i ciężkie.

Kogut i kura pozwolili mu wziąć dwa pióra, jedno połyskliwe, czarno-szmaragdowe, drugie miękkie i kremowobiałe; pożegnał wówczas wszystkich i wyszedł na polanę, skąd zawołał Zachodni Wiatr, unosząc klucz do góry.

Kiedy długie powietrzne ramiona Zachodniego Wiatru sięgnęły między drzewami i porwały go w górę, było to doznanie rozkoszne i nader zatrważające; z jej przylotem wszystkie liście zdrząły, zaszumiały i zadygotały, słomki zatańczyły przed domem, a wokół wzbily się maleńkie fontanny kurzu. Drzewa chwyciły go witkami dłoni, kiedy przedzierał się wzwyż przez gałęzie, rzucany tam i sam silnym podmuchaem, potem zaś poczuł, że Wiatr przytula go do niewidzialnej, pędzącej piersi i gna przez niebo z poszumem i jękiem. Złożył wtedy twarz na powietrznej poduszce i nie wrywał się ani nie krzyczał, a dokoła oplatała go pieśń Zachodniego Wiatru i jej tchnienie pełne drobnych deszczów, przelotnych mgieł słońca, płynących obłoków i żeglujących gwiazd.

Jak przepowiedział szary człowiek, Wiatr postawiła go na ogromnym granitowym głazie, łysym, pooranym i podziurawionym. Usłyszał, jak zawodząc zabiera się i odlatuje; wówczas nachylił się i położył na kamieniu pióro koguta. I oto ujrzał, jak z ogromnym jękiem i zgrzytem głąz obraca się jakby na osi, jak wzbudzone wrzosi i ziemia falują niczym gęsta morska woda, jak pod splątanymi korzeniami traw i janowca odkrywa się mroczne, wilgotne przejście. Wszedł więc do środka, nader odważnie, cały czas pamiętając o grubych pokładach skał, torfu i ziemi nad głową; powietrze w przejściu było zimne i zatechłe, grunt pod stopami przesiąknięty wodą. Pomyślał wówczas o swym małym kluczu i podniósł go śmiało do góry, a jego migotliwy blask rozświetlił bladym srebrem ciemność o krok naprzód.

Tak idąc, krawczyk dotarł do przedsionka, gdzie znajdowało się troje drzwi; pod dwojgiem z nich lśniło ciepłe i nęcące światło, trzecie zaś okrywała zbutwiała skórzana zasłona. Ledwie musnął ją czubkiem miękkiego pióra, a ona rozsunęła fałdy, sztywne niczym skrzydła nietoperza, i ukazała małe czarne drzwiczki, prowadzące do maleńkiej dziury, w której akurat mieściły się jego ramiona. Wtedy naprawdę się przeląkł, gdyż jego szary przyjaciel nic mu nie mówił o tym ciasnym otworze, i pomyślał, że jeśli wetknie doń głowę, może już nie wyjdzie zeń żywy.

Spojrzał więc za siebie i zobaczył, że korytarz, którym przyszedł, to tylko jedna z wielu pomarszczonych, robaczych, kapiących wodą, krętych nor, i zrozumiał wówczas, że nie umiałby już odnaleźć powrotnej

drogi, musi zatem iść naprzód i sprawdzić, co go czeka. Potrzebował całej swej odwagi, aby wcisnąć głowę i ramiona w otwór przejścia, zamknął więc oczy i dotąd wiercił się i kręcił, aż wreszcie wturlał się do wielkiej kamiennej komnaty, oświetlonej własną, miękką poświatą, która przyćmiła blask jego klucza. To cud, pomyślał, że szkło nie pękło podczas tych wyczynów i pozostało równie kruche i błyszczące jak przedtem.

Kiedy się rozejrzał, dostrzegł trzy rzeczy. Pierwszą była sterta buteleczek i flakonów, pokrytych kurzem i pajęczyną, drugą - szklana kopuła, wyższa niż nasz bohater, trzecią zaś - szklana trumna, leżąca na złożonych marach, okrytych pysznym aksamitem. I wszystkie te rzeczy rozsiewały owo miękkie światło, podobne migotaniu pereł pod wodą lub fosforyzującej poświacie, która nocą mrowi na powierzchni południowych mórz bądź otacza mlecznobiałym lśnieniem falujące ławice srebrzystych igieł w ciemnych odmętach naszego Kanału.

Ha, pomyślał sobie, coś z tego tutaj - albo wszystko - jest moją przygodą. Spojrzał na butelki, różnobarwne, czerwone, zielone, niebieskie, dymne niczym topaz, z których każda zawierała strzępek, kroplę, nic wielkiego, tutaj smugę dymu, tam odrobinę spirytusowego płynu, każda też była zamknięta korkiem i zalakowana - lecz krawczyk, zbyt przezorny, by zrywać pieczęcie, chciał się najpierw rozejrzeć i postanowić co dalej.

Podszedł do kopuły, którą winniście wyobrażać sobie podobną do magicznych kloszy - na pewno widywaliście takie w salonach - gdzie gnieźdzą się rozmaite kolorowe ptaszki, usadowione jak żywe na gałęziach, bądź chmary tajemniczych ciem albo motyli. A może widzieliście kiedy kulę kryształową z maleńkim domkiem w środku, której potrząśnięcie wzniesie burzę śnieżną? Nasza kopuła zawierała cały zamek o licznych wieżyczkach, z których smutno zwisały barwne chorągiewki, wokół zaś rozpościerał się piękny park, a w nim drzewa, terasy, ogrody, stawy i pnące róże. Było to miejsce radosne i piękne, o niezliczonych oknach i krętych schodach, z trawnikiem i zawieszoną na drzewie huśtawką - słowem było tam wszystko, czego dusza zapagnie w podobnie miłej i przestronnej rezydencji, tyle tylko, że nic się nie ruszało w tym świecie, tak maleńkim, iż jedynie przez lupę dostrzec można było misterne rzeźbienia i ozdoby. Mały krawczyk, jako się rzekło, był przede wszystkim rzemieślnikiem, wpatrzył się więc z zachwytem w ten piękny model, nie zdołał wszakże wyobrazić sobie, jakie narzędzia go stworzyły. Otarłszy nieco kurz, obejrzał go dokładnie, po czym podszedł do szklanej trumny.

Czy zwróciliście kiedy uwagę, jak bystry strumień, napotkawszy próg, uspokaja się nagle, wzburzona woda staje się gładka jak szkło, pod nią zaś, ciągnięte niewidzialnym nurtem, drżą długie, cienkie nici wodorostów? Tak właśnie pod powierzchnią grubego szkła trumny płynęła masa długich, złotych nici, splotem i skretem wypełniająca wszystkie zakamarki, aż mały krawczyk pomyślał z początku, że oto znalazł skrzynkę złotej przędzy, z jakiej zwykle tkany jest złotogłów. Lecz po chwili dostrzegł wśród nitek twarzyczkę, najpiękniejszą twarz, jaką mógł sobie wyśnić lub wymarzyć, nieruchomą i białą o doskonałych, bledziutkich ustach i długich złotych rzęsach, spoczywających na bladych policzkach. Złote włosy otulały ją niczym płaszcz, lecz pasma splecione przy twarzy drżały nieco, poruszane oddechem, krawczyk zrozumiał więc, że dziewczyna żyje. I zrozumiał także - w końcu przecież zawsze tak bywa - że prawdziwa przygoda polega na wyzwoleniu śpiącej, która z wdzięczności weźmie go za męża. Z początku wzdragał się trochę, nie chciał zakłócać jej snu, tak była spokojna i piękna. Zastanawiał się, skąd się tu wzięła i jak długo tu jest, i jaki ma głos, i nad tysiącem innych, równie śmiesznych rzeczy, a jej miarowy oddech wciąż unosił złote nitki włosów.

I wtem zobaczył w gładkiej ścianie trumny - która nie miała żadnego pęknięcia czy szpary, lecz stanowiła całość, jajo z zielonego lodu - maleńką dziurkę od klucza. I zrozumiał już, że jest to dziurka, do której pasuje jego cudowny, delikatny kluczyk, więc lekko westchnąwszy, włożył go do środka i zaczął na to, co się zdarzy. A kluczyk wśliznął się do dziurki, jakby wtapiając się w powierzchnię trumny, tak że przez chwilę zdawała się całkowicie gładka. Potem zaś trumna rozpadła się z dziwnym, cichutkim dzwonieniem, bardzo porządnie i po kolei, na wiele długich odłamków i sopli, które dźwięczały i znikwały po dotknięciu ziemi. Wówczas śpiąca otworzyła oczy koloru barwinka lub letniego nieba, a krawczyk schylił się i pocałował ją w śliczny policzek, albowiem wiedział, że tak właśnie postąpić należy.

- To pewnie ty - rzekła młoda kobieta. - Musisz być tym, na którego czekam, aby zdjął ze mnie zły czar. Musisz być Księciem.

- Ależ nie - odparł nasz bohater - jesteś w błędzie. Jestem tylko - a może aż - dobrym rzemieślnikiem, krawcem, poszukującym zajęcia dla rąk, uczciwej pracy, bym mógł z niej żyć.

Wówczas młoda kobieta roześmiała się radośnie, głosem coraz silniejszym po wielu zapewne latach milczenia, i rozbrzmiała tym śmiechem cała piwnica, a kawałki szkła zadzwoniły jak pęknięte dzwonki.

- Będziesz miał aż nadto dosyć, aby żyć, jeśli pomożesz mi wydostać się z tej ciemnicy! - zawołała. - Czy widzisz ten piękny zamek, zaczarowany w szkle?

- W rzeczy samej, i zdumiewam się kunsztem, który go stworzył.

- To nie był kunszt rzeźbiarza lub miniaturzysty, ale czarna magia, albowiem właśnie w tym zamku mieszkałam, do mnie należały te lasy i łąki, po których wędrowałam swobodnie razem z moim ukochanym bratem, aż do chwili, gdy pewnego wieczora zawitał do nas czarnoksiężnik, prosząc o schronienie przed podłą pogodą. Albowiem musisz wiedzieć, iż miałam brata bliźniaka, pięknego jak dzień jasny i łagodnego jak jelonek, i zdrowego jak świeży chleb z masłem, którego towarzystwo było mi tak miłe - jak i moje jemu - że przysięgliśmy sobie nigdy nikogo nie poślubić, lecz zawsze mieszkać razem w naszym zamku, bawiąc się i polując jak dzień długi. Lecz kiedy wśród ryku wichury do bramy zastukał ten obcy, w ociekającym wodą płaszczu i kapturze, z krzywym uśmiechem na ustach, mój brat skwapliwie zaprosił go do środka, podjął go mięsivem i winem, dał mu na noc posłanie i śpiewał z nim, i grał w karty, i siedząc przy ogniu, rozmawiał o przygodach i szerokim świecie. A ponieważ nie byłam temu rada i smutno mi było, iż mój brat znajduje przyjemność w cudzym towarzystwie, przeto położyłam się wcześniej i długo słuchałam, jak Zachodni Wiatr wyje wokół murów, aż wreszcie zapadłam w niespokojną drzemkę. Obudziła mnie z niej piękna i dziwna muzyka, jakby ktoś tuż obok mnie szarpał strunę. Usiadłam, nie wiedząc, co to znaczy, i ujrzałam, że drzwi do mej komnaty z wolna się otwierają i wchodzi on, ten obcy, całkiem już suchy, czarnowłosy, ze złowróżbnym uśmiechem na twarzy. Chciałam się poruszyć, ale nie mogłam, jakby taśma pętała moje ciało, a druga taśma opasała twarz. Powiedział, że nie chce mojej krzywdy, że jest magiem, który sprawił, że wokół mnie rozbrzmiała muzyka i że pragnie otrzymać moją rękę i mieszkać w naszym zamku z moim bratem i ze mną, w spokoju po wsze czasy. Ja zaś odrzekłam - dał mi odpowiedzieć - że nie pragnę małżeństwa, lecz chcę żyć szczęśliwa i niezamężna z moim bratem i z nikim ponadto. Na co on odparł, iż to być nie może, że będzie mnie miał, czy chcę tego, czy nie, i że mój brat podziela jego zdanie. No, to zobaczymy, powiedziałam, on zaś, wśród brzęku i jęku niewidzialnych

instrumentów, odrzekł niezrażony: „Może i zobaczysz, lecz na pewno nie powiesz ani słowa o tym, co tu zaśzło, gdyż uciszyłem cię tak skutecznie, jakbym uciął ci język”.

Następnego dnia próbowałam ostrzec brata, ale stało się tak, jak mówił czarnoksiężnik: gdy chciałam o tym wspomnieć, moje wargi zszywała jakby gruba nić, język zaś drewniał mi w ustach. Ale mogłam prosić, by podano mi sól lub rozprawiać o marnej pogodzie, więc brat, ku mej wielkiej rozpaczy, nic nie zauważył i radośnie wyruszył z gościem na polowanie, zostawiając mnie w domu przy ogniu, bym w milczeniu dręczyła się tym, co stać się może. Cały dzień tak siedziałam, a kiedy długie cienie legły na trawnikach zamku i ostatnie promienie słońca załśniły zimnym metalem, wiedziałam już na pewno, że stało się coś strasznego, i pobiegłam do ciemnego lasu. Wtedy z lasu wyszedł czarny człowiek, jedną ręką prowadząc konia, drugą zaś wielkiego szarego psa o najsmutniejszym pysku, jaki zdarzyło mi się widzieć, i powiedział mi, że brat mój nagle wyjechał i że powrót jego odległy jest i niepewny, ale że przed wyjazdem pozostawił mnie i nasz zamek pod jego, czarnoksiężnika, opieką. Oznajmił to wesoło, jakby niezbyt się przejmował, czy mu uwierzę, ja jednak odparłam, że nie zamierzam poddać się niesprawiedliwości, i z radością usłyszałam swój pewny głos, gdyż bałam się, że moje usta znów zostaną zaszyte. A w miarę jak mówiłam, że ślepiów szarego psa łały się coraz większe i gęstsze łzy; na swój sposób zrozumiałam wówczas, tak sędzę, że zwierz ten to był mój brat, zamknięty w potulnej i bezradnej formie. Ogarnął mnie wielki gniew. Powiedziałam czarnoksiężnikowi, że nigdy po dobroci nie wypuszczę go do domu ani nie zniosę przy sobie, on zaś odrzekł, że owszem, pojęłam go właściwie, gdyż nie zamierza robić nic wbrew mej dobrej woli i że, jeśli pozwolę, będzie się starał na nią zasłużyć. Odparłam, że to być nie może i nie ma dla niego nadziei. Wówczas on z kolei bardzo się rozgniewał i zagroził, że uciszy mnie na zawsze, jeśli się nie zgodzę. Odpowiedziałam, że utraciwszy brata, mało dbam o to, co się ze mną stanie, że nie ma nikogo, z kim chciałabym mówić, na co oznajmił, że to się okaże, kiedy spędzę sto lat w szklanej trumnie. Wykonał kilka gestów i zamek zmniejszył się i skurczył tak, jak widzisz, a potem jeszcze raz machnął ręką i, jak widzisz, zamknął go pod szkłem. Moją służbę, parobków i pokojówki, którzy przybiegli na pomoc, uwięził w szklanych butelkach, mnie zaś w szklanej trumnie, w której mnie znalazłeś. A teraz, jeśli mnie zechcesz, śpieszmy stąd, zanim czarnoksiężnik wróci, co czyni od czasu do czasu, by sprawdzić, czy zmieniłam zdanie.

- Oczywiście, że cię zechcę - rzekł krawczyk - gdyż jesteś moim obiecany cudem, uwolnionym dzięki kluczykowi, co się stopił, i już teraz kocham cię serdecznie. Chociaż czemu miałabyś mnie chcieć tylko dlatego, że otworzyłem to szklane pudełko, wcale nie jest dla mnie jasne; kiedy więc - jeżeli - odzyskasz należne ci miejsce, kiedy twój dom, ziemie i poddani zostaną ci przywróconi, ufam, że zechcesz swobodnie rozważyć tę sprawę i pozostać, wedle woli, sama i niezamężna. Co zaś się tyczy mnie, dość mi było ujrzeć niezwykłą sieć twoich złotych włosów i dotknąć ustami najbielszego i najmniejszego ze wszystkich policzków.

Odpowiedzcie sobie sami, moi drodzy i nader niewinni czytelnicy, czy słowa te dyktowała czułość czy przebiegłość, zważywszy, że oddanie się z wolnego wyboru było dla owej damy kwestią tak istotną i zważywszy również, że zamek i jego ogrody - choć na razie tylko na miarę szpilek, drobnych ściegów, paznokci i narparstków - były dość pańskie i wytworne, by każdy chciał w nich pędzić swe życie. Piękna pani się zarumieniła, róż i pąs oblały jej białe policzki, po czym dał się słyszeć szept, mówiący, że czary to czary, pocałunek zaś, otrzymany przez nią po stłuczeniu szklanej trumny, stanowi obietnicę, jak to zwykle pocałunki, nieważne, czy przyjęte świadomie, czy nie. Wszelako gdy w ten sposób rozważali, bardzo zresztą uprzejmie, moralne subtel-

ności swej interesującej sytuacji, dał się słyszeć poszum i melodyjne brzęczenie, na co dama, wielce przerażona, oznajmiła, że zbliża się czarnoksiężnik. Teraz z kolei nasz bohater poczuł lęk i zwątpienie, gdyż jego szary nauczyciel nie udzielił mu żadnych rad na tę ewentualność. No cóż, pomyślał, muszę zrobić, co się da, by strzec tej damy, której tak wiele zawdzięczam i którą niewątpliwie uwolniłem - na złe czy na dobre - ze snu i milczenia. Nie miał przy sobie broni prócz nożyc i ostrych igieł, lecz przyszło mu do głowy, że mógłby użyć odłamków stłuczonego szklanego sarkofagu. Podniósł więc najdłuższy i najostrzejszy z nich, owinał jego uchwyt skórzanym fartuchem i czekał.

Czarnoksiężnik pojawił się na progu otulony zamaszystą czarną opończą, ze złowieszczym uśmiechem na ustach. Krawczyk zadrżał i podniósł swój odłamek, myśląc, że nieprzyjaciel użyje przeciw niemu sztuk magicznych lub siłą powstrzyma jego uderzenie. Jednak tamten podszedł tylko do pięknej pani, a kiedy wyciągnął rękę, by jej dotknąć, nasz bohater z całej siły dźgnął go w serce. Szklany sopel wbił się głęboko; czarnoksiężnik upadł na ziemię i oto spójrzcie, kurczył się i wiadł w oczach, aż wreszcie zamienił się w kupkę szarego popiołu i szklanego proszku. Wówczas dama uroniła kilka łez i rzekła, że teraz krawczyk już dwakroć ją ocalił i ze wszech miar godzien jest jej ręki. Po czym klasnęła w dłonie i nagle wszystko wzniosło się w powietrze - on i ona, zamek, flakony i kupka popiołu - i znalazło się znów na gołym pagórku, gdzie czekał ów szary człowieczek z początku powieści oraz pies Otto. Ty zaś, mój mądry czytelniku, dawno już odgadłeś, że Otto był tym właśnie psem, w którego został zamieniony brat pani ze szklanej trumny. A ona, płacząc, przywarła do jego szarej futrzanej szyi, i gdy jej jasne łzy mieszały się ze słonymi kroplami, płynącymi z oczu wielkiego zwierzęcia, czar prysł i oto stanął przed nią złotowłosy młodzieniec w myśliwskim stroju. I długo się obejmowali, albowiem serca ich wezbrały uczuciem.

Tymczasem krawczyk i szary człowieczek jęli gładzić szklany klosz dwoma piórami, koguta i kury, i już po chwili z przedziwnym hukiem i dudnieniem stanął przed nimi zamek, taki jak zawsze, o stromych schodach i niezliczonych drzwiach. Wówczas krawczyk i szary człowieczek odkorkowali butle i flakony, z których z westchnieniem wypłynęły płyny oraz dymy, aby przybrać kształty kobiet i mężczyzn, lokajów i gajowych, kucharek i pokojówek, wszystkich bardzo zdziwionych, że się tu znaleźli. Dama opowiedziała bratu, jak krawczyk obudził ją ze snu i zabił czarnoksiężnika, zdobywając tym samym jej rękę. Młodzieniec zaś rzekł, iż krawczyk okazał mu dobroć, powinien zatem zamieszkać z nimi w zamku i żyć długo i szczęśliwie. I tak się też stało, i żyli długo i szczęśliwie; młodzieniec i jego siostra polowali w dzikim lesie, krawczyk zaś, który nie miał do tego skłonności, zostawał przy ogniu i weselił się z nimi wieczorami. Brakowało mu tylko jednego, albowiem rzemieślnik nic nie znaczy, jeśli nie ćwiczy swojego rzemiosła. Kazał więc sprowadzić najcieńsze jedwabie i tęczowe nici, by dla rozrywki robić teraz to, co niegdyś robił z twardej konieczności.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Oracz, wpatrzony w ociężałe bryły,
(W piszczałkach jego mózgu gwizdże pustka
Skutego głodem brzucha) widzi czasem,
Jak ziemia trzodzi się, rodząc demona
O żółtych oczach i kościstym czole,
Co bure usta rozwarł, by obiecać
Nie złote góry - ledwie kilka groszy,
Za które da się kupić miskę mięsa;
On marzy tylko o tym. Tak i ona
Nagle ruch słyszy przy skraju spódnicy,
Tupot starego, łagodnego bożka,
Który zostawia ślad w ciepłym popiele
Albo zgrzytliwie śmieje się w kolebce:
„Kochaj mnie, kołysz - mruczy - bez obawy,
Swoj skarb odnajdziesz; my, pierwotne bóstwa,
Wciąż mamy dary dla siebie podobnych”.
Czymże im grożą te małe istoty?

R.H. Ash, z „Czarodziejki uwięzionej”

Wyżyny hrabstwa Lincoln stanowią małą niespodziankę. W jednej z tych wąskich i krętych dolin dorastał Tennyson; z tych pagórków uczynił pola uprawne nieśmiertelnego Camelot:

Z obu stron rzeki żyzna ziemia
Tutaj łąn żyta, tam jęczmienia
Nieba na horyzoncie sięga.*

* Alfred Tennyson, „Pani z Shalott” (oryg. „The Lady of Shalott”), przeł. Anna Bańkowska (przyp. tłum.).

Roland natychmiast zobaczył, że słowo „sięga” nie jest bynajmniej niejasną metaforą, lecz zdumiewająco trafnym określeniem. Tutejsze doliny są głębokie i ciasne, w niektórych rosną drzewa, w innych trawy, jeszcze inne są zaorane. Grzbiety pagórków, zawsze nagie, ostro odcinają się na tle nieba. Na pozostałą część dużego i sennego hrabstwa składają się bagna, torfowiska lub płaskie niziny uprawne. Lekko falujące wzgórza wyglądają, jakby sfałdowała się powierzchnia ziemi, lecz to nieprawda - stanowią fragment pękniętego na dwa płaskowyzu. W głębi ślepych, lejkowatych dolin kryją się wioski.

Zielony samochodzik podążał żwawo grzbietem wzgórze, od którego, niczym zebra od kręgosłupa, odchodziły liczne drogi i ścieżki. Jako mieszczuch Roland zwracał uwagę na kolory: brunatną, zaoraną ziemię ze śladami wapienia na szczytach bruzd, ołowiane niebo i kredowobiałe obłoki. Wzrok Maud przyciągały trasy jezdzieckie, zepsute bramki i żywopłoty, poszarpane zębami maszyn.

- W dół i na lewo - powiedziała. - Seal Court, tam, w kotlinie. Niejednorodny dywan drzew, przelotny widok murów obronnych, okrągła baszta, jeszcze jeden zakręt i coś w rodzaju fortecy.

- Tereny oczywiście są prywatne. Możemy zjechać do wioski, gdzie pochowano Christabel, na cmentarz przy kościele św. Edelredy. Wieś nazywa się Croysant le Wold. Jest tu wiele takich wiosek, zagubionych u stóp tych wzgórz, w których stoi tylko kościół i czasem dwór. Nie sądzę, by kościół był jeszcze czynny. Christabel uważała, że Croysant wywodzi się od słów *croyance*, co znaczy „wiara”, oraz *saint* - ale to jedna z tych niedokładnych dziewiętnastowiecznych etymologii, właściwie zgadywanek. Mówią, że naprawdę nazwa pochodzi od *croissant*, co oznacza półksiężyc, gdyż tutaj strumień i dolina zakręcają. Lubiła Św. Edelredę, to Królowa Dziewica, mimo iż dwukrotnie zamężna - została ksienią w opactwie Ely i założycielką wielkiego rodu, a pochowano ją *in odore sanctitatis*...

Roland niezbyt był ciekaw św. Edelredy. Tego ranka Maud znów wydała mu się odległa i protekcyjna. Zjechali zakosami drogą do doliny i skręcili w stronę masywnego kościółka o kwadratowej wieży, obok otoczonego murem cmentarza. Pod bramą stał trochę odrapany samochód dostawczy, więc Maud zostawiła volkswagena i poszli dalej piechotą.

Ziemia była mokra; szerniałe liście rosnącego przy wejściu buka oblepiły ścieżkę, przecinającą cmentarzyk, całkiem teraz zarośnięty wilgotną, brunatną mietlicą. Po obu stronach kamiennego ganku kościoła rzucały ciężki cień dwa ogromne cisy. Maud, rozsądnie przyodziana w prochowiec i kalosze, wciąż w zawoju na głowie, podeszła długim krokiem do kraty z kutego żelaza, zamykającej ganek, i obecnie zaryglowanej. Woda kapła z rynny jaskrawozielonym osadem, zostawiając na kamieniach kręty ślad.

- Baileyowie leżą w kościele - powiedziała Maud - lecz Christabel jest na zewnątrz, na samym końcu, wystawiona na deszcz i wiatr, tak jak zawsze chciała. O, tam.

Przedarli się przez krzaki i kępy traw, stąpając po króliczych ścieżkach pomiędzy zmarłymi. Sięgający ramienia mur obrośnięty był bluszczem ostrolistnym. Płyta u szczytu grobu Christabel przekrzywiła się nieco; wykonano ją z lokalnego wapienia, nie z marmuru, toteż już zwietrzała pod wpływem pogody. Ktoś czyścił napis, choć nie ostatnio.

*Tu spoczywają doczesne szczątki
Christabel Madeleine LaMotte,
starszej córki Isidore'a LaMotte'a, historyka,
i jego ukochanej żony Arabel LaMotte,
jedynej siostry lady Sophie Bailey,
żony sir George'a Bailey'a z Seal Court
w Croysant le Wold
urodzona 3 stycznia 1825 zmarła 8 maja 1890
Po ziemskim znoju odpoczynku mego*

*Już nadszedł czas,
Gdzie goni wiatr i strumień chmur odpływa
Za bór za las,
Gdzie pić do syta mogą ust tysiącem
Trawy po pas,
Gdzie wód wezbranych potok wiosną gada
Gdzie siecze deszcz i śnieg miękko opada
Z podniebnych tras*

Ktoś również jakiś czas temu ściał mietlicę porastającą grób, otoczony kruszącym się, kamiennym krawężnikiem, rozsadzany przez trawy i kolczaste pędy polnej róży. Na zielonobrunatnym kopczyku leżała duża, wręcz bujna wiązanka kwiatów, związana srebrzystym drutem, który obecnie rdzewiał wśród kudłatych główek zwiędłych chryzantem i goździków oraz ościstych resztek dawno zblakłych róż. Zielona atlasowa wstążka, opasująca te szczątki, splamiona była wodą i ziemią; na jednym jej końcu wisiała wizytówka z ledwie widocznym maszynowym pismem:

Dla Christabel
od kobiet z Tallahassee,
które oddają Ci cześć
i kontynuują Twe dzieło,
aby pamięć o Tobie nie przeminęła
„Trwają kamienie, którym kształt nadałam”
„Meluzyna”, XII, 325

- Leonora tu była - powiedziała Maud. - Latem. Wtedy, kiedy sir George groził jej dubeltówką.
- To pewnie ona próbowała usunąć chwasty - rzekł Roland, który czuł, że atakuje go wilgoć i melancholia.

- Stan tego cmentarza musiał ją bardzo zgorszyć - zauważyła Maud. - Na pewno nie uznała go za romantyczny. Mnie to nie przeszkadza. Powolny powrót do natury i zapomnienia.

- Czy ten wiersz napisała Christabel?

- To jedna z jej bardziej powściągliwych prób. Jak pan widzi, nie jest podpisany. Nagrobek wspomina o zawodzie jej ojca, ale nie mówi słowa o jej własnym.

Roland przelotnie poczuł się winny cierpień całej uciskanej ludzkości.

- Ten wiersz zapada w pamięć - powiedział oględnie. - Jest dość posepny.

- Jakby trawy syciły się Christabel.

- Pewnie tak było.

Spojrzeli na trawę, gnijącą w mokrych, obwisłych kępkach.

- Chodźmy na wzgórze - rzekła Maud. - Możemy stamtąd popatrzeć z góry na Seal Court. Musiała często tędy chodzić; pilnie uczęszczała do kościoła.

Na tyłach kościoła zaorane pole pięło się ukośnie ku upartej linii horyzontu. Na tle burego nieba rysowała się sylwetka postaci, którą Roland z początku wziął za jednego z siedzących na tronie, ukoronowanych

monarchów Henry'ego Moore'a*. Postać pochyliła głowę i opuściwszy ręce, zaczęła się z czymś gwałtownie zmagać; Roland pochwycił wzrokiem srebrzysty błysk i zrekonstruował całość jako osobę na wózku inwalidzkim, chyba w opałach.

- Proszę spojrzeć! - zawołał do Maud. Maud popatrzyła w górę.

- Chyba ma kłopoty.

- Musi tam być ktoś jeszcze, sama by się tam nie dostała - zauważyła rozsądnie Maud.

- Być może - przyznał Roland, który z rozwianym włosiem ruszył jednak w górę po glinie, coraz bardziej oblepającej jego miejskie buty. Był w niezłej formie, być może dzięki jeździe na rowerze, pomimo tlenku węgla i ołowiu na londyńskich ulicach.

W wózku siedziała kobieta w zielonym filcowym kapeluszu o szerokim, zasłaniającym twarz rondzie, i jedwabnym szalu w tureckie wzory, zarzuconym na lodenowy płaszcz z pelerynką. Wózek zsunął się z głównej ścieżki, wiodącej grzbietem wzgórza, i stał przekrzywiony, grożąc upadkiem ze stromego i kamienistego zbocza. Dłonie w skórkowych rękawiczkach daremnie walczyły z wielkimi kołami. Skórzane botki, cudownie miękkie i błyszczące, opierały się nieruchomo o chwiejny podnózek. Roland ujrzał, iż w błocie pod kołem tkwi ogromny kawał łupku, skutecznie blokujący wszelkie manewry.

- Czy mogę pomóc?

- Och... - długie, ciężkie westchnienie. - Och, dziękuję panu. Ch-chyba ug-g-rzęzłam. - Pełen wahania głos był stary i arystokratyczny. - Cóż z-za niez-z-darność. Nic nie mogę z-zrobić. Gdyby pan zechciał...

* Henry Moore (1898-1986), słynny rzeźbiarz angielski, zbliżony do abstrakcjonizmu (przyp. tłum.).

- Kamień. Pod kołem. Proszę poczekać. Zaraz.

Musiał uklęknąć na błotnistej ścieżce, brudząc sobie spodnie, co przypomniało mu udreki z placu zabaw dziecięcych; chwycił, szarpnął, puścił.

- Czy wózek jest stabilny? - zapytał. - Mam wrażenie, że panią przewracam.

- Z-został dobrze z-zaprojektowany. Zaciągnęłam hamulce. Roland powoli zaczął rozumieć prawdziwą grozę jej położenia. Jeden niewłaściwy ruch i mogła się stoczyć. Zanurzył dłonie w błoto, drapiąc paznokciami po łupku. Znalazł niezbyt przydatny patyczek. Wreszcie użył jako dźwigni innego kamienia i aż usiadł, trzymając oburącz przyczynę zamieszania, a zarazem niszcząc spodnie również na pośladkach.

- Proszę - rzekł. - Jak u dentysty. Wyszedł.

- Jestem ogromnie wdzięczna.

- Rzeczywiście wpadła pani w kabałę. Musiała się pani na nim pośliznąć, a potem on się przekręcił i wystawił taki ząb, jakby zapadkę, proszę spojrzeć. - Uświadomił sobie, że nieznajoma drży. - Nie, proszę poczekać, przesunemy ten wózek na ścieżkę. Niestety, ręce mam zablocone.

Zanim ją wycofał, obrócił i wepchnął na nierówną ścieżkę, był zupełnie zasapany. Koła wózka ociekały błotem. Wówczas zwróciła ku niemu twarz, dużą i okrągłą jak księżyc, naznaczoną brązowymi plamami starości, zgrubiałą od bruzd i fałd pod brodą. Oczy, ogromne i jasnobrązowe, zwilgotniały. Spod gładkich siwych włosów, widocznych z boków kapelusza, kapały duże krople potu.

- Dziękuję - powiedziała. - Wpakowałam się w idiotyczną sytuację. Mogłam przecież spaść. L-lekkomyślność, jak rzekłby mój mąż. P-powinnam trzymać się r-równego gruntu. Denerwuje mnie to uzależnienie.

- Oczywiście - przyznał Roland. - Oczywiście, że tak. Ale tak naprawdę nic by się pani nie stało. Ktoś na pewno by nadszedł.

- Więc tym lepiej, że pan się zjawił. Wybrał się pan na spacer?

- Jesteśmy tu z wizytą. Razem z koleżanką. - Gdzie się podziała Maud? - Cudowne powietrze. Doskonała widoczność.

- Dlatego tu przychodzę. Powinien ze mną chodzić pies, ale zawsze gdzieś ucieka. Lubię z mężem węszyć po lesie. Dokąd pan idzie?

- Nie mam pojęcia. Koleżanka wie. Może panią podwieźć?

- Niezbyt dobrze się czuję. Wciąż trzęsą mi się ręce. Gdyby był pan tak dobry i pomógł mi zjechać do podnóża tej górki, mój mąż...

- Oczywiście, oczywiście.

Na górze pojawiła się Maud. W prochowcu burberry i kaloszach wyglądała czysto i schludnie.

- Wydostaliśmy wózek - zwrócił się do niej Roland. - Zaciął się na kamieniu. Tylko zwiozę tę panią na dół... tam jest jej mąż... przeżyła wstrząs...

- Oczywiście - powiedziała Maud.

Ruszyli we trójkę ścieżką w dół. Roland pchał wózek. Teren za pagórką był gęsto porośnięty lasem. Między drzewami Roland znów, tym razem uważnie, spojrzął na basztę i mur obronny, bielejące w półmroku.

- Seal Court - rzekł do Maud.

- Tak.

- Romantyczny - zasugerował.

- Ciemny i wilgotny - odparła dama w wózku.

- Jego budowa musiała kosztować fortunę - powiedziała Maud.

- Utrzymanie także - dodała dama. Jej obciążone skórą dłonie nieco dygotały na podłożu, ale głos się uspokajał.

- Pewnie tak - zgodził się Roland.

- Interesują pana stare domy?

- Tak sobie - rzekł Roland. - Ale ten chcieliśmy obejrzeć.

- Dlaczego?

But Maud wbił mu się w kostkę. Roland stłumił okrzyk bólu. Z lasu wybiegł bardzo brudny pies rasy labrador.

- Ach, Much - zawołała dama. - Tutaj jesteś. Żadnego z ciebie pożytku, ty klucho. Nic a nic. Gdzie twój pan? Tropi borsuki?

Pies legł całą długością w błocie, żywiołowo poruszając zadem.

- Proszę, powiedzcie, jak się nazywacie - powiedziała dama w wózku. Maud odparła pośpiesznie:

- To jest dr Mitchell z Uniwersytetu Londyńskiego. Ja wykładam na Uniwersytecie w Lincoln. Nazywam się Bailey, Maud Bailey.

- Ja też nazywam się Bailey. Joan Bailey. Mieszkam w Seal Court. Pani jest krewną?

- Pochodzę z Baileyów z Norfolk. Jesteśmy spokrewnieni, niezbyt blisko. Nasze rodziny nie utrzymywały...

Głos Maud brzmiał zimno i niechętnie.

- To bardzo ciekawe. Ach, oto i George. George, mój drogi, wpadłam w tarapaty i zostałam uratowana przez rycerza. Zakopałam się na szczycie Orlego Grzbietu, pod koła dostał się ogromny kamień i wyglądało, że jedyne wyjście prowadzi z boczem w dół - niezwykle upokarzające. I wtedy zjawił się pan Mitchell i ta młoda dama, która nazywa się Bailey.

- Mówiłem ci, żebyś trzymała się środka ścieżki.

Sir George był mały, mokry i najeżony. Na nogach miał wysokie, sznurowane skórzane trzewiki, opięte na łydkach i błyszczące niczym sadło. Ubrany był w brązową kurtkę myśliwską o wielu kieszeniach i brązową, tweedową czapkę. Poszcze kiwał. Roland, który potraktował go jak karykaturę, również zjeżył się odrobinę pod wpływem szczątkowej irytacji klasowej. W świecie, który zamieszkiwał z Val, tacy ludzie, chociaż istnieli, nie byli całkiem realni. Maud także dostrzegła w nim pewien określony typ; uosabiał on sztywność i nudę niezliczonych wiejskich weekendów, spędzanych w dzieciństwie na strzelaniu, wędrowaniu i rozmowach o sporcie - coś, co dawno odrzuciła i czego unikała. Sir George nie nosił strzelby. Ramiona miał mokre, krople wody lśniły na jego obuwiu i wisiały w rowkach puszystych skarpet, widocznych między butami i bryczesami. Zmierzył wzrokiem żonę.

- Nigdy nie masz dość, co? - powiedział. - Wpycham cię na wzgórze, ale tobie nie wystarcza spokojna jazda środkiem ścieżki, o nie. Coś ci się stało?

- Wciąż jestem trochę roztrzęsiona. Pan Mitchell nadszedł w samą porę.

- Ale na to nie mogłaś liczyć - ruszył w stronę Rolanda z wyciągniętą ręką. - Jestem bardzo wdzięczny. Moje nazwisko Bailey. Ten kretyn pies miał pilnować Joan, ale nie, on koniecznie musi latać po krzakach. Pewnie uważa pan, że powinienem być zostać z nią na górze, co?

Roland zaprzeczył, dotknął jego otwartej dłoni i cofnął się o krok.

- Bo i powinienem. Powinienem. Stary egoistyczny dureń ze mnie. Ale wiesz, Joanie, tu jednak są borsuki. Nie, nie mam zamiaru tego rozgłaszać, po co zachęcać gapiów i innych obrońców przyrody; wystraszyliby na śmierć biedne stworzenia. A ten stary japoński jałowiec też jest w dobrej formie, pewnie miło ci to słyszeć. Całkiem wyzdrowiał. - Natarł na Maud. - ...ńdobry. Nazywam się Bailey.

- Ta pani też się tak nazywa - wtrąciła jego żona. - Mówiłam ci, pochodzi z tych Baileyów z Norfolk.

- Ach, tak? Niezbyt często ich tu widzujemy. Rzadziej niż borsuki, prawdę mówiąc. Co panią sprowadza?

- Pracuję w Lincoln.

- Ach, tak, doprawdy? - Nie zapytał, co robi. Znów wlepił wzrok w żonę, obserwując ją badawczo.

- Jesteś trochę spocona, Joan. Zbladłaś. Powinniśmy cię zawieźć do domu.

- Chciałabym zaprosić pannę Bailey i pana Mitchella na herbatę, j-jeśli się z-zgodzą. Pan Mitchell musi się umyć. Są ciekawi Seal Court.

- W Seal Court nie ma nic ciekawego - rzekł sir George. - Nie otwieramy go dla zwiedzających. Jest w bardzo złym stanie. Pośrednio to moja wina. Brak środków. Sypie się nam na głowy.

- To im nie będzie przeszkadzać. Są młodzi. - Duża twarz lady Bailey przybrała zacięty wyraz. - Chciałabym ich zaprosić. Przez uprzejmość.

Maud splonęła rumieńcem. Roland zrozumiał, co się dzieje. Pragnęła dumnie odciąć się od wszelkiej intencji przeniknięcia do Seal Court, ale również bardzo chciała tam pójść, z powodu Christabel, a także dlatego - zgadywał - że Leonora Stern została stamtąd przegnana; poza tym przypuszczał, że Maud czuje się nieuczciwa, nie mówiąc wprost, jaki ma w tym interes.

- Z przyjemnością bym się trochę umył - powiedział. - Jeśli to nie za wielki kłopot.

Mały konwój dwóch samochodów okrążył wielki dom i po rozmokłym, zachwaszczonym żwirowym podjeździe zajechał pod stajnię, gdzie Roland pomógł sir George'owi wyładować wózek oraz lady Bailey. Krótki dzień mroczniał; tylne drzwi otworzyły się ciężko pod wysokim gotyckim portalem, oplecionym różą, obecnie bezlistną. Nad nim widniał rząd okien w rzeźbionych gotyckich ramach, pustych i ślepych. Schodki przy wejściu usunięto, aby pomieścić wózek, przez co drzwi wydawały się jeszcze wyższe.

Po długiej wędrówce ciemnymi, kamiennymi korytarzami obok rozlicznych komórek i klatek schodowych, dotarli wreszcie do sali, która, jak się później okazało, była dawną bawialnią dla służby, prowizorycznie przystosowaną do współczesnych potrzeb. W jednym końcu tego ciemnego pomieszczenia znajdował się otwarty kominek, gdzie ogromne kłody tliły się na posłaniu z białego popiołu; po obu jego stronach stały ciężkie gięte fotele, wyściełane grafitowym aksamitem w ciemnofioletowe kwiaty niby upiękuszony secesyjny powój. Podłogę pokrywały duże winylowe płytki, białe i czerwone, miejscami wytarte na krawędziach, zdradzających kamienną posadzkę pod spodem. Przy oknie stał ciężki stół na grubych nogach, częściowo okryty ceratą w wyblakłą szkocką kratę. W drugim końcu pokoju, z którego, jak później odkryli, prowadziło przejście do kuchni i innych pomieszczeń gospodarczych, świecił mały piecyk elektryczny. Znajdowały się tu również nieco już łyse miękkie krzesła oraz kolekcja niezwykle błyszczących i żywotnych roślin doniczkowych w polewanych donicach. Maud przygnębiły światła, które włączył sir George - ciemnawa lampa przy kominku i nieco weselsza lampka na stole, zrobiona z chińskiego wazonu. Pobielone ściany zdobiły liczne wizerunki koni, psów i borsuków - oleje, akwarele, barwione fotografie i lśniące, oprawione reprodukcje. Przy ogniu stał ogromny kosz, najwyraźniej legowisko Mucha, wymoszczony sztywnymi od sierści wojskowymi kocami. Duże połacie pokoju były po prostu puste.

Sir George zaciągnął zasłony, gestem zaprosił Rolanda i Maud, by usiedli w aksamitnych fotelach przy ogniu, po czym wytoczył gdzieś żonę. Roland nie czuł się na siłach zapytać, czy może pomóc. Spodziewał się jakiegoś kamerdynera lub co najmniej uniżonego sługi, który wprowadziłby ich do pokoju lśniącego od sreber i jedwabnych kobierców. Nawet Maud, uodporniona na stare meble i brak ogrzewania, była dość zaniepokojona poziomem ubóstwa, jakie ujawniło smutne oświetlenie. Wyciągnęła rękę i zawołała Mucha, który stanąwszy między fotelem a gasnącym ogniem, przytulił się do jej nóg całym ubłoconym i drżącym ciałem.

Sir George wrócił z kłodami świeżego drewna, które zajęły się, sycząc i śpiewając.

- Joan robi herbatę. Obawiam się, że nie mamy tu wiele wygod i luksusów. Oczywiście, mieszkamy tylko na parterze. Przerobiłem kuchnię dla Joan. Wszystkie ułatwienia. Drzwi i podjazdy. Co tylko się dało. Wiem, że to niewiele. Ten dom zbudowano z myślą o sforcie służby. Takich dwoje starszuchów jak my tylko odbija się echem. Ale staram się pielęgnować lasy. I mamy też wiktoriański wodny ogródek, wiecie państwo? Jej się podoba.

- Czytałam o tym - powiedziała ostrożnie Maud.

- A, doprawdy? Śledzi pani losy rodziny?

- W pewnym sensie. Interesują mnie pewne konkretne rzeczy.

- Tony Bailey był pani krewnym? Ten jego Hans Andersen, to był dopiero koń, z charakterem i ikrą.

- To mój wujeczny dziadek. Jeździłam kiedyś na jednym z mniej udanych potomków Andersena. Uparte bydlę, potrafił wyskoczyć z każdej dziury jak kot, ale nie zawsze mu się chciało i nie zawsze zabierał mnie ze sobą. Nazywał się Kopenhaga.

Rozmawiali o koniach i o Baileyach z Norfolk. Roland patrzył, jak z ust Maud wydobywają się dźwięki, które, czuł to, przychodzą jej naturalnie; wyczuł także, iż nigdy by tak nie mówiła w gmachu Studium Gendrowego. Z kuchni dobiegło ich dzwonienie.

- To herbata. Pójdę i przyniosę. I przywiozę Joan.

Herbatę podano na prześlicznym serwisie Spode'a*, wraz z cukrem w srebrnej cukiernicy, talerzem gorących grzanek z masłem oraz staromodną słodką marynatą i miodem, ustawionych na wielkiej plastikowej tacy, zaprojektowanej - zauważył Roland - tak, aby wsuwała się w poręcze wózka. Nalewała lady Bailey. Sir George wypytywał Maud o zmarłych kuzynów, dawno padłe konie oraz stan drzew w majątku w Norfolk. Joan Bailey zwróciła się do Rolanda:

- Wie pan, to prapradziadek George'a zasadził cały ten las. Częściowo na drewno, a częściowo dlatego, że kochał drzewa. Chciał sprawić, aby rosło tu wszystko; im rzadziej spotykane drzewo, tym większe wyzwanie. George ciągnie to dalej. Utrzymuje je przy życiu. To nie szybko rosnące iglaki, to las mieszany, a niektóre z rzadkich drzew są bardzo stare. Coraz ich mniej w tej części świata. I żywopłotów. Utraciliśmy całe hektary na rzecz rolnictwa. George przemierza lasy wzdłuż i wszerz, usiłując je chronić. Jak jakiś stary gnom. Ale ktoś musi mieć poczucie historii.

- Czy wiecie - rzekł sir George - że aż do osiemnastego wieku głównym tutejszym przemysłem było zakładanie gniazd króliczych? Ziemia tu do niczego, sam piach i janowiec. Miały piękne, srebrzyste futerka, wędrowały na czapki do Londynu i dalej na północ. Zimą je dokarmiano, latem żywiły się, jak umiały; sąsiedzi narzekali, ale rozwijały się świetnie. Gdzieś tam na zmianę z owcami. Zniknęły, jak wiele innych rzeczy. Wynaleziono sposoby na tańsze owce i zboże, a króliki wymarły. A teraz kolej na drzewa.

Rolandowi nie przychodził do głowy żaden inteligentny komentarz na temat królików, ale Maud wyręczyła go, cytując statystyki hodowli na mokradłach Norfolk i opisując starą wieżę króliczego dozorca w majątku Baileyów. Sir George nalał im jeszcze herbaty.

- A co pan robi w Londynie, panie Mitchell? - zapytała lady Bailey.

* Josiah Spode (1733-1797) i jego syn, również Josiah (1754-1827), założyli w Anglii fabrykę cenionej porcelany i fajansów (przyp. tłum.).

- Pracuję naukowo na uniwersytecie. I trochę uczę. Zajmuję się edycją dzieł Randolpha Henry'ego Asha.

- Napisał niezły wiersz, którego uczyliśmy się w szkole - powiedział sir George. - Niewiele obchodziła mnie poezja, ale ten mi się spodobał. „Myśliwy”. Zna go pan? O takim gościu w epoce kamienia, który zakłada sidła, ostrzy krzemień, rozmawia z psem i węszy pogodę w powietrzu. Naprawdę czuło się niebezpieczeństwo. Ale to dziwny sposób na życie, studiowanie wierszy, które sklecił ktoś inny. Kiedyś w tym domu też mieszkała taka jakby poetka. Pewnie nic o niej nie wiecie. Okropne sentymentalne bzdury o Bogu i śmierci, o rosie i wróżkach. Mdli mnie od tego.

- Christabel LaMotte - powiedziała Maud.

- O właśnie. Stara dziwaczka. Ostatnio przychodzą tu jacyś i pytają, czy nie mam rzeczy po niej. Odsyłam ich z kwitkiem. Trzymamy się na uboczu, Joan i ja. Była tu latem taka okropna wścibiska Amerykanka. Zjawiała się nie wiadomo skąd i zaczęła nam tłumaczyć, jaki to dla nas honor, że mamy jakieś pamiątki po staruszce. Cała wymalowana i brzęcząca od biżuterii, coś paskudnego. Nie chciała odejść, kiedy uprzejmiem prosiłem. Musiałem ją postraszyć dubeltówką. Chciała posiedzieć w zimowym ogródku sir Johna. Żeby powspominać Christabel. Co za bzdury. Co innego prawdziwy poeta, jak pański Randolph Henry Ash, takiego to nawet dość przyjemnie mieć w rodzinie. Lord Tennyson na ogół był ckliwym dziadkiem, chociaż napisał kilka niezłych kawałków w dialekcie Lincolnshire. Ale to i tak nic w porównaniu z Mabel Peacock*. Naprawdę słyszała tutejszą mowę. Świetnie opowiada o jeżu, „co jemu nigdy nic nie pasowało”. Posłuchajcie tylko. „Od pierszego razu wiercił się i krecił, i suwoł, i spluwo! bez ustanku”. To prawdziwa historia, to są słowa, które codziennie znikają, coraz mniej ludzi je poznaje, wszędzie pełno „Dallasów”, „Dynastii” i jazgotu Beatlesów.

- Pan Mitchell i panna Bailey pomyślały, że z ciebie okropny stary nudziarz, George. Lubią dobrą poezję.

- Nie lubią Christabel LaMotte.

- Ależ ja lubię - wtrąciła Maud. - Christabel opisała ogród zimowy w Seal Court, czytałam to kiedyś. W jakimś liście. Sprawiała, że go zobaczyłam; wiecznie zielone drzewa, czerwone jagody, dereń, ukrytą ławeczkę i srebrzyste rybki w małym stawie... Widziała je zawieszane nawet pod lodem...

* Mabel Peacock - dziewiętnastowieczna badaczka folkloru Wysp Brytyjskich, współautorka książki „County Folklore. Lincolnshire” (przyp. tłum.).

- Mieliśmy kiedyś kocura, który je łapał...

- Musieliśmy odtworzyć...

- Marzę o tym, aby zobaczyć ten ogród. Piszę o Christabel LaMotte.

- A, biografię - powiedziała lady Bailey. - To bardzo ciekawe.

- Nie sądzę - rzekł sir George - żeby było o czym pisać. Nic przecież nie zrobiła. Po prostu mieszkała sobie we wschodnim skrzydle i produkowała te kawałki o wróżkach. To nie jest życie.

- Właściwie to nie jest biografia. To studium krytyczne. Ależ oczywiście, że mnie interesuje. Byliśmy obejrzyć jej grób.

Nie należało tego mówić. Twarz sir George'a pociemniała. Jego brwi piaskowego koloru zwarły się nad śliwkowym nosem.

- Ta nieopisana baba, która tu była... miała czelność zrobić mi wykład... na temat stanu grobu. Powiedziała, że jest w strasznym stanie. Pamiątka narodowa. Ale nie jej narodu, tak jej powiedziałem, i nie powinna pchać nosa, gdzie jej nie chcą. Spytała, czy może pożyczyć sekator. To wtedy wyciągnąłem dubeltówkę. No to pojechała kupić sekator do Lincoln, a następnego dnia wróciła i wszystko oczyściła. Na kolanach. Pastor ją widział, przyjeżdża tu raz na miesiąc, wiecie państwo, i odprawia w kościele nieszpory. Siedziała w ostatniej ławce i słuchała. Kupiła ogromny bukiet. Afektowana kretyńska.

- Widzieliśmy...

- Nie musisz krzyknąć na pannę Bailey, George - powiedziała żona. - Ona za to nie odpowiada. Dlaczego nie miałyby interesować się Christabel? Wydaje mi się, że powinieneś pokazać tym młodym ludziom jej pokój. Jeśli chcą go obejrzyć. Wszystko jest pozamykane, wie pan, panie Mitchell, od pokoleń. Nie wiem, w jakim jest stanie, ale wydaje mi się, że jakieś jej rzeczy nadal tam są. Od wojny rodzina zajmuje coraz mniejszą część tego domu, każde pokolenie trochę mniej - pokój Christabel jest we wschodnim skrzydle, które stoi zamknięte od 1918 roku i nikt go nie używa, chyba że jako gradami. My, oczywiście, zajmujemy bardzo mało miejsca, i tylko na dole, z powodu mojego kalectwa. Próbujemy przeprowadzić generalny remont. Dach jest cały i mamy cieśnię, który naprawia podłogi. Ale tamtego pokoju nikt nie ruszał od czasu, kiedy przyjechałam tu jako panna młoda w 1929. Wtedy zajmowaliśmy całą część centralną. Ale wschodnie skrzydło już wtedy było - no, może nie niedostępne, ale nieużywane.

- Wiele nie zobaczycie - powiedział sir George. - Potrzebna będzie latarka. W tamtej części domu nie ma elektryczności. Światło jest tylko na korytarzach parteru.

Roland poczuł dziwny dreszcz na karku. Przez rzeźbione okno widział mokre gałęzie świerków, ciemne na ciemnym tle. I światło zmierzchu na żwirowym podjeździe.

- Cudownie byłoby tylko rzucić okiem...

- Bylibyśmy bardzo wdzięczni.

- No cóż - rzekł sir George. - Dlaczego nie? Skoro to w rodzinie... Proszę za mną.

Wziął potężną sztormową latarkę i zwrócił się do żony:

- Przyniesiemy ci wszystkie skarby, jakie znajdziemy. Jeśli tylko na nas poczekaasz.

Szli i szli, najpierw kamiennymi, ponurymi, słabo oświetlonymi korytarzami, potem po zakurzonych dywanach przez zaciemnione okiennicami pomieszczenia, potem zaś w górę po kamiennych stopniach i jeszcze wyżej, kręconymi drewnianymi schodami, z których wzbijały się obłoki ciemnego pyłu. Maud i Roland nie odzywali się ani nie patrzyli na siebie.

Małeńkie grube drzwi zamykał ciężki rygiel. Weszli w ślad za sir George'em, który ogromnym snopem światła potoczył po ciemnym, ciasnym, okrągłym pokoju, oświetlając okno w półkolistej wnęce, sufit rzeźbiony w żebra łuków, pseudośredniowieczne liście bluszczu, pokryte kurzem jak filcem, łóżko za firankami, ciemnoczerwonymi pod nalotem pyłu, czarne drewniane biurko, zdobione fantastycznymi zawijasami, kiściami wino-

gron, owocami granatu i pękami lili, coś jakby niskie krzesło albo klęcznik, sterty tkanin, stary kufer, dwa pudła i niespodziewany rząd białych twarzątek o rozwartych oczach - jedna, druga, trzecia - opartych o poduszkę. Roland, lekko wstrząśnięty, raptownie wciągnął powietrze; Maud szepnęła: „Och, lalki”, sir George zaś oderwał światło latarki od ślepego lustra, oplecionego złożonymi różyczkami, i skierował je na trzy sztywne figurki, na w pół leżące pod zakurzoną kołderką w dość sporym, choć miniaturowym łóżeczku pod baldachimem.

Ich twarzątki zrobione były z porcelany, rączki zaś z koziej skórki. Jedna miała włosy z cienkiego złotego jedwabiu, spłowiałego i szarego od kurzu, druga - pękaty czepek nocny z białego perkaliku, obrzeżony koronką, czarne włosy trzeciej ściągnięto do tyłu w okrągły kok. Wszystkie szeroko otwierały szklistobłękitne oczy, zakurzone, lecz nadal błyszczące.

- Napisała cykl wierszy o lalkach - powiedziała Maud straszliwym szeptem. - Pozornie dla dzieci, takie jak „Opowieści dla niewinnych”. Ale tak naprawdę wcale nie dla nich.

Roland zwrócił oczy na pogrążone w cieniu biurko. Nie wyczuwał w pokoju obecności zmarłej poetki, lecz ogarnęło go niejasne, podniecające wrażenie, że w każdej z tych skrytek - w biurku, w kufrze, w pudłach - znajdować się może skarb podobny do wyblakłych listów, schowanych w kieszeni na jego piersi. Jakiś ślad, nagryzmołona karteczka, kilka słów odpowiedzi. Ale to nie miało sensu; nie mogły leżeć tutaj, znajdowały się tam, gdzie ukrył je Randolph Henry Ash - jeśli w ogóle zostały napisane.

- Nie wie pan - zwrócił się Roland do sir George'a - czy były tu jakieś papiery? Czy coś zostało w tym biurku? Co należało do niej?

- Chyba opróżniono je po jej śmierci - odparł sir George.

- Może chociaż zajrzemy? - poprosił Roland, widząc w wyobraźni na przykład tajemną szufladę, a równocześnie nieprzyjemnie świadom spisu z pralni w „Opactwie Northanger”*. Sir George uczynnie przesunął promień światła po powierzchni biurka, zwracając lalczynie twarzątki ciemności. Roland podniósł wieczko sekretarzyka, odsłaniając dwie półokrągłe, rzeźbione i zdobione przegródki i dwie puste szufladki. Nie czuł się na siłach opukiwać i szarpać konstrukcji; nie potrafił nalegać na otwarcie zamków kufra. Miał uczucie, że podgląda, że gna go bezsensowna, gwałtowna ciekawość - nie chciwość, lecz ciekawość, pęd do wiedzy, coś bardziej pierwotnego niż seks.

* „Opactwo Northanger” - powieść Jane Austen (1775-1817), w której autorka wyśmiewa modne naówczas gotyckie romanse (przyp. tłum.).

Nagle rozżłościł się na Maud, która stała jak słup i nie kiwnęła palcem, aby mu pomóc; mogła przecież wykorzystać swą emocjonalną przewagę i uprzeć się przy dalszym poszukiwaniu ukrytego skarbu w tych żalonych, martwych szkatułkach. Sir George zapytał:

- A cóż takiego spodziewa się pan odkryć? Roland nie znalazł odpowiedzi. Wówczas tuż za nim rozległ się zimny i czysty głos Maud, jakby w inkantacji:

Lalka Sekret chroni, Przyjaciół go zgubi.

Lalka zawsze Milczy I zawsze nas Lubi.

Przyjaciel nas wyda, Miłość się Zepsuje.
Lalka Tajemnicę Wiecznie przechowuje.
Lalka nas nie zdradzi. Wosku bryłka mała
Wiele - ach - ukryła, Wiele przemyślała.
Lalka nigdy nie śpi, Patrzy z wysokości
Na strzępki i szczątki Minionej Miłości,
Których jej paluszki Nie dotkną z litości.
Lalka nie okradnie: Nas, cośmy złodzieje,
Przeniknie jej zimno Choć teraz nas grzeje
Urocza i sprytna, Z Wieczności się śmieje.

Sir John przesunął promień latarki z powrotem na lalczyne łóżeczko.

- Bardzo dobrze - pochwalił. - Ma pani fantastyczną pamięć. Ja tam nigdy nie umiałem niczego zapamiętać. To znaczy oprócz Kiplinga i tych kawałków z Lincolnshire, które mnie bawią. Ale o co tu chodzi?

- Tu, w tym miejscu, wiersz ten brzmi jak wskazówka, gdzie szukać skarbu - rzekła Maud, wciąż niezwykle czysto i wyraźnie. - Jakby Lalka coś ukrywała.

- A cóż mogłaby ukrywać? - zdziwił się sir George.

- Cokolwiek. - Roland nagle postanowił zmylić tropy. - Pamiętka. - Czuł, że Maud szybko kalkuluje.

- Od 1890 roku jakieś dzieciaki na pewno ruszały te lalki - stwierdził rozsądnie właściciel.

Maud uklękła w kurzu.

- Czy mogę? - Padło na nią światło latarki; pochyloną twarz zanurzyła w cieniu, jakby jej woskową bladeść malował Latour*. Sięgnęła do łóżeczka i wyjęła blond lalkę, chwytając ją w tali; lalka miała różową sukieneczkę z maleńkimi paczkami róż przy szyi, zapinaną na guziczki z masy perłowej. Maud podała ją Rolandowi, który złapał ją jak kociaka i ułożył w zgięciu łokcia, dokładając po kolei lalkę w czepku i plisowanej koszulce z angielskim haftem oraz lalkę ciemnowłosą, w surowej, ciemnej sukni w turecki wzór. Spoczywały na jego przedramieniu, zwiesiwszy wiotkie, maleńkie kończyny, ciężkogłowe, nieco odrażające, trochę trupie. Maud wyjęła poduszkę, odwinęła kołderkę, złożyła trzy wełniane kocyki i szydełkowy szal, po czym wyciągnęła z łóżeczka dwa puchowe materacyki i słomiany siennik. Sięgnąwszy do drewnianej skrzynki pod spodem, podważyła deseczkę na zawiasach i wydobyła paczkę, owiniętą w cienkie białe płótno i związaną ciasno taśmą, w koło i w koło, niczym mumia.

Zapadło milczenie. Maud podniosła się, trzymając pakunek. Roland zrobił krok do przodu. Wiedział, on wiedział, co zostało tak zawinięte.

- Pewnie lalczyne ubranka - powiedziała Maud.

- Zobaczymy - rzekł sir George. - Najwyraźniej wiedziała pani, gdzie szukać. Założę się, że zgaduje pani, co jest w środku. Proszę otworzyć.

Smukłymi palcami, bladymi w świetle lampy, Maud zaczęła skubać dawno zawiązane supełki, które, jak odkryła, pokryte zostały cienką warstwą wosku do pieczęci.

- Chce pani scyzoryk? - zapytał sir George.

- Nie powinniśmy... ciąć... - sapnęła Maud. Rolanda korciło, by jej pomóc. Pracowała dalej. Wreszcie taśmy opadły, płótno, w kilku warstwach, zostało zdjęte i ukazały się dwie paczki, zawinięte w impregnowany jedwab i związane czarną wstążką. Maud pociągnęła za koniec. Stara tkanina ześliznęła się z piskiem i oto leżały przed nimi dwa stosiki rozpieczętowanych listów, złożone schludnie niczym chusteczki. Roland podszedł bliżej. Maud wzięła po jednym liście z każdej kupki. Panna Christabel LaMotte, Bethany. Mount Ararat Road, Richmond, Surrey. Znane mu brązowe, pajęczce, zdecydowane pismo. I znacznie mniejsze, bardziej fioletowe: Wielmożny Pan Randolph Henry Ash, 29 Russell Square, Londyn. Roland powiedział:

- A więc go wysłał.

- Pisali oboje. Tu jest wszystko. Zawsze tu było...

* Georges La Tour (1593-1652) - malarz francuski, na którego pracach, podobnie jak u Caravaggia, źródło światła znajduje się poza obrazem (przyp. tłum.).

Sir George zapytał:

- A cóż to właściwie państwo znaleźli? I skąd pani wiedziała, że trzeba szukać w łóżku dla lalek?

- Nie wiedziałam. - Maud mówiła wysokim, wyraźnym głosem. - Stojąc tutaj, przypomniałam sobie wiersz i wszystko było już jasne. Szczęśliwy traf.

Roland powiedział:

- Przypuszczaliśmy, że mogli prowadzić korespondencję. Znalazłem w Londynie... notatkę. Więc przyjechałem zobaczyć się z dr Bailey. I tyle. To może być - powstrzymał słowo „okropnie” - dość ważne. - Prawie powiedział, że może to odmienić oblicze nauki, ale znów się powstrzymał, wiedziony nagłym odruchem przebiegłości i rezerwy. - To bardzo zmieni kierunek badań, dla nas obojga. Nie było dotąd wiadomo, że się znali.

- Hm - mruknął sir George. - Proszę mi dać te paczki. Dziękuję. Sądzę, że powinniśmy zejść i pokazać je Joan. I sprawdzić, czy w ogóle są coś warte. Chyba że chcecie zostać i otworzyć wszystko?

Oświetlił ściany reflektorkiem, odsłaniając przekrzywioną reprodukcję „Prozerpiny” lorda Leightona i makatkę krzyżykiem, nieczytelną pod warstwą kurzu.

- Nie teraz - rzekła Maud.

- Nie od razu - powiedział Roland.

- Możecie już nigdy tu nie wrócić - oznajmił sir George z za swej szpady światła, najwyraźniej bardziej grożąc niż żartując, po czym obrócił się ku drzwiom. Podążyli więc z powrotem, przodem sir George, ściskający listy, za nim Maud z rozprutym kokonem płótna i jedwabiu, a na końcu Roland, niosący trzy lalki pod wpływem niejasnej fantazji, iż byłoby okrutne zostawić je w ciemnościach.

Lady Bailey była naprawdę podniecona. Wszyscy usiedli wokół kominka, po czym sir George położył listy na podolku żony, która obracała je w różne strony pod łakomym wzrokiem obojga naukowców. Roland wyznał półprawdę o fragmencie listu, nie mówiąc nic o tym, gdzie i kiedy go znalazł.

- A więc był to list miłosny? - zapytała lady Bailey, niewinnie i bezpośrednio, on zaś powiedział:

- Ależ nie - po czym dodał: - Ale pełen entuzjazmu, wie pani, jakby to było coś ważnego. Brudnopis pierwszego listu, na tyle istotny, że postanowiłem przyjechać tutaj i zapytać dr Bailey o Christabel LaMotte.

Chciał pytać i pytać. Data, na litość boską, data w nagłówku pierwszego listu Asha, czy była ta sama? jak znalazły się tu wszystkie razem? jak długo to trwało?... co odpowiedziała, co się stało z Blanche i Podglądaczem?...

- A zatem, jak należy postąpić dalej? - zapytał powoli sir George, celowo się nadymając. - Jakie jest pańskie zdanie, młody człowieku? A pani, panno Bailey?

- Ktoś musi je przeczytać... - powiedziała Maud. - Och...

- I naturalnie sądzą, że to powinniście być wy - rzekł sir George.

- Ja - my - bardzo byśmy chcieli. Oczywiście.

- I ta Amerykanka, bez wątpienia.

- Oczywiście, że by chciała. Gdyby o nich wiedziała.

- Powiecie jej?

Patrzył, jak Maud waha się pod wojowniczym spojrzeniem jego błękitnych oczu, rozumnych w świetle ognia.

- Chyba nie. A przynajmniej nie teraz.

- Chciałaby pani pierwsza się przymierzyć? Maud oblała się pąsem.

- Oczywiście. Każdy by chciał, w moim - w naszym położeniu...

- Czemu nie mieliby ich przeczytać, George? - zapytała lady Bailey, wyciągając z koperty pierwszy list i patrząc nań - nie, nie chciwie, zaledwie ciekawie.

- Po pierwsze, uważam, że trzeba umarłych zostawić w spokoju. Po co wzniecać skandal wokół naszej niemądrej poetki? Biedna staruszka, niech sobie śpi.

- Nie szukamy skandalu - powiedział Roland. - I nie przypuszczam, że jest w tym jakiś skandal. Mam tylko nadzieję... że pisał do niej, co myślał o poezji... historii... i takich rzeczach. To był dla niego bardzo płodny okres - zwykle nie pisał ciekawych listów - zbyt ugrzecznione - w tym liście napisał, że ona go rozumie... ja - ja widziałem, że napisał...

- A poza tym, Joan, co my w ogóle wiemy o tej dwójce? Skąd wiemy, że właśnie oni powinni zobaczyć te dokumenty? W tej stercie jest czytania na dwa dni. Nie mogę przecież wypuścić ich z rąk, prawda?

- Mogliby przyjechać tutaj - odparła lady Bailey.

- Trochę więcej niż dwa dni - powiedziała Maud.

- No widzisz - rzekł sir George.

- Lady Bailey - powiedział Roland. - To, co widziałem, to był brudnopis pierwszego listu. Czy to ten list? Co on pisze?

Nałożyła okrągłe okulary do czytania na swą dużą, miłą twarz i zaczęła głośno:

Droga panno LaMotte.

Nasza rozmowa na śniadaniu u drogiego Crabba sprawiła mi wielką przyjemność. Pani rozum i mądrość wyróżniały się na tle popisów studenckiego dowcipu, przewyższając nawet opowieść naszego gospodarza o tym, jak odnalazł był popiersie Wielanda. Czy wolno mi żywić nadzieję, że rozmowa ta ucieszyła również i Panią - i czy mogę mieć zaszczyt złożenia Pani wizyty?

Wiem, że żyje Pani cicho na uboczu, ale ja będę bardzo cichy - pragnę jedynie omówić z Panią Dante-go, Szekspira, Wordswortha, Coleridge'a, Goethego, Schillera, Webstera, Forda i sir Thomasa Browne'a et hoc genus omnes, nie zapominając, oczywiście, o Christabel LaMotte i ambitnym Temacie Wróżki. Proszę, niech Pani odpisze. Sądzę, że Pani wie, z jak wielką radością powita Pani przychylną odpowiedź szczerze oddany*

Randolph Henry Ash

* John Webster (1580?-1625?) - dramaturg elżbietański o niezwykle, ponurym talencie; John Ford (1586-1639?) - poeta i dramaturg elżbietański; Thomas Browne (1605-1682) - wybitny pisarz i poeta (przyp. tłum.).

- A odpowiedź? - dopytywał się Roland. - Odpowiedź? Przepraszam, ale jestem taki ciekawy, czy odpowiedziała, a jeśli tak, co napisała.

Lady Bailey zdjęła list z drugiego stosika w sposób prawie figlarny, jak aktorka, ogłaszająca w telewizji nagrodę dla najlepszej aktorki roku.

Drogi Panie Ash.

Nie, doprawdy - ja się nie droczę - jakżebym mogła tak poniżyć Pana albo siebie - a Pan nie mógłby się poniżyć, myśląc o mnie w ten sposób. Żyję w zamkniętym kręgu, obcując sama ze sobą - tak jest najlepiej - nie jak Księżniczka w gąszczu cierni, w żadnym wypadku, lecz raczej jak tłusta i nader z siebie rada Pajęczycza w samym środku lśniącej pajęczyny, jeśli wybaczy Pan tę nieco niemiłą Analogię. Arachne to dama, do której żywie wielce przyjazne uczucia, uczciwa robotnica, tworząca wzory doskonałe; ma jednak pewną skłonność do rzucania się niespodziewanie zarówno na gości, jak i obcych natrętów, być może niedostatecznie między nimi rozróżniając, dopóki nie jest za późno. Doprawdy, niezbyt wymowna ze mnie towarzyszka, nie posiadam wdzięków ni talentów, co zaś się tyczy mądrości, którą był Pan uprzejmy zauważyć przy naszym pierwszym spotkaniu, widziałeś jedynie migotliwe odbłyски Twej własnej jasności, odbite od gruzłowatej powierzchni martwego Księżyca. Jestem istotą Pióra, Panie Ash, Pióro to moja najlepsza częśćka, załączam tedy Wiersz, na znak szczerzej wobec Ciebie życzliwości. Czy nie przedkłada Pan Wiersza, choćby niedoskonałego, nad talerz sandwiczów z ogórkiem, choćby najcudowniejszymi pokrajanych i najdelikatniejszą osoloną? Wiesz przecież, co byś wolał, i ja także. Pajęczycza w tym Wierszu to jednak nie moja Jedwabista Osoba, lecz o wiele bardziej Krwiożercza i praktyczna Siostra; naszą łatwą pracowitość można tylko podziwiać. Ach, gdybyż wiersze powstawały tak naturalnie jak Jedwabna Nić! Kreślę Nonsensy, lecz jeśli zapragnie Pan znów do mnie napisać, otrzyma Pan trzeźwy esej o Odwiecznym Nie lub o Schleiermachera Zastłonie Iluzji, lub Rajskim Nektarze, lub o Czym tylko Pan zechce.*

Twoja do pewnych usług Christabel LaMotte

Lady Bailey czytała powoli, zacinając się na niektórych słowach; potknęła się na *hoc genus omnes* i Arachne. Było tak, jakby matowa szyba stanęła pomiędzy Rolandem i Maud a prawdziwym rysunkiem prozy Asha i LaMotte. Sir George wszakże uznał lekturę za więcej niż zadowalającą. Spojrzał na zegarek.

- Mamy akurat czas, by zrobić to, co ja zawsze robię przy kryminałach - zepsuć napięcie, zagładając na koniec. Potem chyba odłożymy to na bok, aż znajdzie chwilę, by zastanowić się nad sytuacją. Poradzić się. Tak. Popytać. A państwo i tak musicie wracać, prawda? - Nie było to pytanie. Zerknął pobłażliwie na żonę. - No, Joanie. Przeczytaj nam końcówkę.

Przyjrzała się badawczo tekstom.

- Wygląda na to, że zażądała zwrotu listów - powiedziała - a on jej odpisał.

* Friedrich Ernst Daniel Schleiermacher (1768-1834) - filozof i teolog niemiecki (przyp. tłum.).

Drogi Randolphie.

W rzeczy samej, wszystko się skończyło. A ja się cieszę, tak, cieszę się całym sercem. Ty również masz pewność, nieprawdaż? Jedna, ostatnia rzecz - chciałabym, aby wróciły do mnie moje listy - niezawodnie wszystkie - nie dlatego, bym wątpiła w Twoje poczucie honoru, lecz dlatego, że teraz już są moje, a nie Twoje. W tym przynajmniej mnie rozumiesz, wiem o tym.

Christabel

Moja droga.

Oto Twoje listy, zwrócone zgodnie z prośbą. Są tu wszystkie. Dwa spaliłem - być może - w istocie, na pewno - istnieją inne, które natychmiast powinien spotkać ten sam los, jednakże dopóki pozostają w moich rękach, nie mogę się zmusić, by zniszczyć cokolwiek, co Ty napisała. To są listy cudownej poetki; ta prawda lśni równym światłem przez zasłonę przelotnych i zmiennych uczuć, będących mym udziałem przynajmniej o tyle, o ile owe listy mnie dotyczą, to znaczy, o ile stanowią moją własność. Którą to własnością być przestanę w przeciągu najbliższej półgodziny, albowiem zrobiłem z nich paczkę i gotów jestem dostarczyć Ci je do rąk własnych, byś z nimi postąpiła, jak uznasz za stosowne. Sądzę, że powinnaś je spalić - a jednak, gdyby Abelard spalił listy Heloizy, gdyby portugalska zakonnica zachowała milczenie, o ileż ubożsi bylibyśmy dzisiaj, o ile mniej mądrzy? Sądzę, że je zniszczysz; jesteś kobietą bezwzględną, a jak bezwzględny jestem ja sam, tego dopiero muszę się dowiedzieć, choć już po trosze to widzę. Gdybym jednak mógł coś dla Ciebie zrobić jako przyjaciel, teraz lub w przyszłości, ufam, że nie zawahasz się do mnie zwrócić.*

Nie zapomnę nic z tego, co się stało. Z natury niełatwo zapominać (wybaczenie nie stanowi już kwestii między nami, nieprawdaż?). Możesz być spokojna, że każde, najmniejsze Twoje słówko, pisane bądź mówione, utrwalilem, jak w twardym wosku, w mej upartej pamięci. Zważ - każdą najdrobniejszą rzecz, wszystko. Jeśli spalisz te listy, przetrwają póki żyję, niczym powidok racy na siatkówce oka. Nie mogę wszelako uwierzyć, że je zniszczysz - i nie mogę uwierzyć, że tego nie zrobisz. Wiem, że nie powiadomisz mnie, co postanowiłaś; muszę więc przestać bazgrać i czekać mimo woli na Twoją kiedyś zawsze-nie-oczekiwaną odpowiedź: źródło wstrząsu, odmiany, a najczęściej - zachwytu.

Miałem nadzieję, że możemy się przyjaźnić. Rozsądek mój wie, że miałaś rację, podejmując decyzję tak stanowczą, żaluję wszakże w Tobie dobrego przyjaciela. Jeśli będziesz w kłopotcie... - ale już to mówiłem i Ty o tym wiesz. Odejdź w pokoju. Pisz dobrze.

Twój do pewnych usług R.H.A.

* Marianne d'Alcoforado - XVII-wieczna zakonnica portugalska, rzekoma autorka listów miłosnych do kochanka, Noela Bouton de Chamilly; w rzeczywistości jej listy to powieść epistolarna Gabriela de Guillergnes (przyp. tłum.).

- Co do skandalu, to nie miał pan racji - powiedział sir George do Rolanda tonem, stanowiącym skomplikowaną mieszankę satysfakcji i wyrzutu. Roland, choć miał się za łagodnego, poczuł, że wzbiera w nim wielkie rozdrażnienie - po części rozpacz z powodu żalonych potknięć lady Bailey o śpiewną prozę Randolpha Henry'ego Asha, którą w duchu zmuszony był rekonstruować, po części zaś - frustrująca niemożność porwania i zbadania tych równo złożonych, papierowych bomb.

- Nie możemy tego wiedzieć, dopóki nie przeczytamy wszystkiego, prawda? - odparował, głosem skrzekliwym od powściąganej irytacji.

- Ale to mógłby być kij w mrowisko.

- Nie całkiem. Znaczenie jest przede wszystkim literackie... Jedna analogia gonila drugą w myślach Maud, która odrzucała je wszystkie, jako zbyt zapalne; było to niczym odkrycie... listów miłosnych Jane Austen?

- Wie pan, kiedy się czyta korespondencję jakiejś pisarki - kiedy czyta się jej biografię - zawsze ma się uczucie, że czegoś brakuje, czegoś istotnego, kluczowego, do czego biografowie nie mają dostępu, a co było najważniejsze dla samej autorki. Zawsze jakieś listy zostały zniszczone, na ogół *te* listy. Może właśnie mamy *te* listy Christabel. On - Ash - najwyraźniej tak sądził. Mówi to wprost.

- Jakie to podniecające - rzekła Joan Bailey. - Nadzwyczaj podniecające.

- Muszę się poradzić - upierał się podejrzliwie sir George.

- Więc zrób tak, mój drogi - odparła jego żona. - Lecz musisz pamiętać, że to panna Bailey była na tyle sprytna, by odnaleźć twój skarb. A także pan Mitchell.

- Proszę pana... gdyby zechciał pan kiedyś udostępnić mi - nam - tę korespondencję... powiedzielibyśmy panu, co się w niej znajduje - jakie ma znaczenie dla badań naukowych... czy jest możliwa publikacja. Widziałam tutaj dość, by móc stwierdzić, że w świetle tych listów moje studium o Christabel uległoby poważnej zmianie - nie mogłabym już nad nim pracować, nie biorąc ich pod uwagę, a to w równym stopniu dotyczy również badań doktora Mitchella na temat Asha.

- O, tak - przytaknął Roland. - To odmieni cały tok mojego myślenia. Sir George spoglądał to na jedno, to na drugie.

- Może i tak. Może i tak, rzeczywiście. Ale czy... czy wy jesteście najbardziej odpowiedni, aby powierzyć wam czytanie?

- Kiedy rozejdzie się wieść - powiedział Roland - że te listy istnieją, wszyscy przybiegną pod pana drzwi. Wszyscy.

Maud, która obawiała się tej właśnie ewentualności, rzuciła mu groźne, blade spojrzenie. Jednakże przeżalenie sir George'a na myśl o pielgrzymkach kolejnych Leonor Stern przeważało - na co właśnie liczył Roland - nad perspektywą nieświadomych jeszcze korzyści z odwiedzin Blackaddera i Croppera.

- Nie, do tego nie wolno dopuścić...

- Moglibyśmy je dla państwa skatalogować. Zrobić opisy. Niektóre z nich przepisać, za państwa pozwoleniem...

- Nie tak szybko. Muszę się poradzić. Nic więcej nie mogę powiedzieć. To chyba uczciwie.

- Proszę - powiedziała Maud - niech pan da nam przynajmniej znać, do jakich wniosków państwo doszli.

- Oczywiście - rzekła Joan Bailey. - Oczywiście, że to zrobimy. Pracowitymi dłońmi zbierała suche kartki na podółku, porządkując, równając, układając.

Wracając samochodem po ciemku, Roland i Maud porozumiewali się krótkimi, rzeczowymi zdaniami - wyobraźnia obojga zajęta była czym innym.

- Mieliśmy ten sam odruch, żeby pomniejszyć znaczenie... - Maud.

- Muszą być warte fortunę - Roland.

- Gdyby Mortimer Cropper wiedział, że istnieją...

- Jutro znalazłyby się w Harmony City.

- Sir George byłby znacznie bogatszy. Mógłby wyremontować dom.

- Nie wiem, o ile bogatszy. Nie mam pojęcia o pieniądzach. Może trzeba powiedzieć Blackadderowi. Może powinny być w Bibliotece Brytyjskiej. Chyba to coś w rodzaju narodowej spuścizny.

- To listy miłosne.

- Rzeczywiście, na to wygląda.

- Może poradzą sir George'owi, by poszedł do Blackaddera. Albo do Croppera.

- Módlmy się, żeby nie do Croppera. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Jeśli mu poradzą, żeby zgłosił się na uniwersytet, może po prostu trafi do mnie.

- A jeśli mu poradzą, żeby zgłosił się do Sotheby's*, listy przypadną w Ameryce lub gdzie indziej, albo, jeżeli będziemy mieli szczęście, dostanie je Blackadder. Nie wiem, dlaczego sądzę, że to źle. Nie wiem, dlaczego mam wobec nich takie poczucie własności. Przecież nie są moje, do cholery.

- To dlatego, żeśmy je znaleźli. I dlatego - dlatego, że są prywatne.

- Ale przecież nie chcemy, żeby po prostu schował je do szafy!

- Skądże! Skoro już wiemy, że istnieją?

- Może się dogadamy - zawrzemy pakt? Że jeśli jedno z nas jeszcze coś znajdzie, da znać drugiemu i nikomu więcej? Bo one dotyczą w równym stopniu obojga poetów, a jest tyle innych zainteresowanych stron...

- Leonora...

- Jeśli jej powiesz, to będzie pół drogi do Croppera i Blackaddera, a oni mają znacznie większą siłę przebicia.

- Twój pomysł ma sens. Miejmy nadzieję, że sir George porozumie się z uniwersytetem w Lincoln i że przyślą go do mnie.

- Omdlewam z ciekawości.

- Miejmy nadzieję, że szybko się zdecyduje.

Ale upłynęło sporo czasu, zanim ponownie usłyszeli o listach i sir George'u.

* Sotheby's - wielki brytyjski dom aukcyjny (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wiedziony pasją smaku zwiedzał wtedy
Salony drobnych mieszczan, przesiąknięte
Odorem patriarchalnych podwieczorków,
Gdzie krążąc wokół skwapliwego Żyda,
Gładkiego pośród brutalnych mahoniów,
Solidnych komód i stołów odzianych
W syty spokój Szabatu i w indygo,
Wyblakły szary brąz i kreton w paski -
Mógł czasem ujrzeć, wyjęte po jednym
Z trzykroć zamkniętych, głupio pulchnych szuflad,
Z miękkich, jedwabnych, wschodnich zawiniątek
Najczulej odwinięte i odkryte,
I ułożone w porządku właściwym,
W ametystowym szafirze odwieczne
Dwadzieścia starych, damasceńskich kafli,
Jasných jak bramy Nieba i subtelnych
Jak żywy połysk barw na szyi pawia.
Wtedy zaspokojona była jego dusza,
Wtedy smakował miód i w martwych blaskach
Znów ożywionych, poznawał swe życie,
I płacił złotem, aby patrzeć, patrzeć...

R.H. Ash, „Wielki kolekcjoner”

Łazienka była wąskim, ciasnym, prostokątnym pomieszczeniem koloru pralinek. Armatura miała mocną różową barwę, złamaną tonem szarości, podłogę pokrywały szarofioletowe kafelki, niektóre - nie wszystkie - zdobne w upiorne pęki białych lili, według włoskiego projektu. Kafelki te sięgały do połowy ścian, gdzie spotykały się z winylową tapetą w barwny wzór, na której roilo się od pracowitych pijawek, ośmiornic i ślimaków morskich w odcieniach jaskrawej purpury i różu. Całość łagodziły dymnoróżowe ceramiczne detale: pojemniki na papier toaletowy i serwetki, kubek do zębów na spodku, przypominającym ogromną afrykańską ozdobę warg, ozdobna muszla o falistym brzegu, a na niej schludne, jajowate mydełka, różowe i fioletowe. Zmywalna żaluzja z winylu wyobrażała różowy świt z grupką pękatych cumulusów, muśniętych pąsem. Szorstka bawełniana mata kąpielowa, podbita skóropodobną gumą, miała kolor lawendy, podobnie jak bawełniany półksiężyc, obejmujący muszlę klozetową i wyściełany pokrowiec frotte, w który przyodziana była pokrywa sedesu. Na

pokrywie, czujnie nasłuchując dobiegających z domu dźwięków, siedział w ogromnym skupieniu profesor Mortimer P. Cropper, usiłując opanować gruby plik papierów, latarkę w gumowej oprawie oraz sztywne, matowe, czarne pudełko, akurat mieszczące się na jego kolanach bez objęcia się o ściany. Była godzina trzecia w nocy.

To nie było jego milieu i pikantaria sytuacji, niedorzecznej i zakazanej, po części go bawiła. Miał na sobie długi czarny jedwabny szlafrok ze szkarłatnymi wyłogami, a pod nim czarną jedwabną piżamę ze szkarłatną lamówką i monogramem na kieszonce. Kapsle, aksamitne i krecioczarne, zdobiła haftowana złotem głowa kobiety w aureoli promieni lub rozwianych włosów. Wykonano je w Londynie według jego wskazówek; podobna rzeźbiona postać znajdowała się na portyku Muzeum Harmonii, najstarszej części Uniwersytetu Dale'a Owena, wywodzącej swą nazwę od starożytnej Akademii Aleksandryjskiej, owego „gołębnika muz”. Przedstawiała Mnemozyne, matkę Muz, choć niewiele osób rozpoznawało ją bez podpowiedzi, ci zaś, którzy posiadli odrobinę wykształcenia, najczęściej brali ją za Meduzę. Głowa ta, aczkolwiek niezbyt ostentacyjnie, pojawiała się także na papierze listowym Croppera, nie pojawiała się natomiast na jego sygnecie z imponującej wielkości onyksiem, w którym wyrzeźbiono skrzydlatego konia i który niegdyś należał do Randolpha Henry'ego Asha, obecnie zaś spoczywał na krawędzi umywalki, w której Cropper przed chwilą umył ręce.

Jego rysy w lustrze były subtelne i regularne, srebrzyste włosy - ostrzyżone z wytworną surowością, oprawki okularów - połączone, usta - zesnurowane, aczkolwiek zesnurowane luźniej, po amerykańsku, i lepiej niż angielskie dostosowane do otwartych samogłosek i mniej afektowanej wymowy. Miał długie ciało, szczupłe i zadbane, oraz amerykańskie biodra gotowe na przyjęcie skórzanego pasa i odległego ducha rewolweru.

Pociągnął za sznurek i piecyk łazienkowy z sykiem rozpoczął swe powolne działanie. Nacisnął przełącznik na czarnej skrzynce, która również syknęła i zamrugła światelkiem. Włączył latarkę i położył ją na umywalce tak, by oświetlała jego pracę, po czym zgasił górne światło i wyćwiczonym w ciemni ruchem dotknął przegródek i włączników. Delikatnie, palcem i kciukiem, wyciągnął list z koperty. List był stary, więc wygładził wszystkie załamania, po czym wsunął go do skrzynki, zatrzasnął pokrywę, zamknął i włączył.

Swoją czarną skrzynkę darzył wielkim przywiązaniem. Wymyślił ją i udoskonalił w latach pięćdziesiątych, a teraz niechętnie myślał o porzuceniu jej na rzecz nowszych, bardziej błyszczących urządzeń - w końcu służyła mu wiernie przez dziesiątki lat. Umiał z niezwykłą zręcznością wpraszać się do najbardziej nieprawdopodobnych domów, w których mogły się ostać relikty pisane ręką Asha, doszedł więc do wniosku, że uzyskawszy wstęp, winien sporządzić dla siebie prywatny zapis znaleźiska na wypadek, gdyby właściciel okazał się oporny i nie zgadzał się na sprzedaż lub choćby na zrobienie odbitek - co zdarzyło się raz czy drugi ku niepowetowanej szkodzi nauki. W niektórych przypadkach jego potajemna kopia stanowiła jedyny na świecie zapis zaginionych bez śladu dokumentów, nie przypuszczał jednak, aby miało się tak stać tym razem; był raczej spokojny, że pani Daisy Wapshott bez trudu rozstanie się ze skarbem odziedziczonym po zmarłym mężu, gdy tylko ujrzy sumę na oferowanym w zamian czeku - a jego, Croppera, zdaniem, skromna kwota była zupełnie wystarczająca. Lecz zdarzały się już dziwniejsze rzeczy i gdyby Daisy się zaparła, następna okazja mogła się nie zdarzyć. Tak czy inaczej, on jutro wróci do swego wygodnego hotelu na Piccadilly.

Listy nie miały wielkiej wartości. Ich adresatką była matka męża Daisy Wapshott, najwyraźniej nosząca imię Sophie, córka chrzestna Randolpha Henry'ego. Cropper mógł później sprawdzić, kim była. O pani Wapshott powiedział mu znajomy, wścibski księgarz, który „obsługiwał” lokalne licytacje i przekazywał Cropperowi wszystkie ciekawostki. Pani Wapshott nie wystawiła listów na sprzedaż, pomagała tylko przy herbacie, ale napomknęła panu Biggsowi, że jest w posiadaniu tak zwanych drzewnych listów do babuni od tego tam poety. Pan Biggs wspomniał o nich w dopisku w liście do Croppera, Cropper zaś spędził pół roku, nęcąc panią Wapshott niezobowiązującymi pytaniami, po czym zawiadomił ją, że „przypadkiem będzie przejeżdżał...”. Nie było to całkiem zgodne z prawdą; z Piccadilly na przedmieścia Preston udał się specjalnie, w jasno określonym celu. A teraz siedział tu, pośród bawelny frotte, trzymając w ręce cztery liściki.

Droga Sophio.

Dziękuję za Twój list i za bardzo udatne rysunki kaczek i kaczorów. Ponieważ jestem już starym człowiekiem i nie mam własnych dzieci ani wnucząt, przeto musisz mi wybaczyć, że piszę do Ciebie jak do dobrego przyjaciela, który dał mi coś ładnego, co będę sobie cenił. Jak znakomicie podejrziałaś to kaczętko z zadartym kuperkiem, grzebiące wśród korzonków i pędraków na dnie stawu...

Nie umiem rysować tak dobrze jak Ty, sądzę jednak, że podarki powinny być odwzajemniane, oto więc krzywy wizerunek Jesionu, mego potężnego imiennika. To drzewo często spotykane i magiczne - nie tak, jak magiczna jest jarzębina, lecz dlatego, że nasi nordyccy praojcowie wierzyli kiedyś, iż łączy świat, tkwiąc korzeniami w podziemiach, a koroną sięgając Nieba. Nadaje się na drzewce strzał i można się na nie wspinać. Jego pąki, jak zauważył lord Tennyson, są czarne.*

Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że nazywam Cię Sophia, a nie Sophy. Sophia oznacza mądrość, boską Mądrość, która strzegła ładu na świecie, nim Adam i Ewa tak głupio zgrzeszyli w Ogrodzie. I Ty na pewno będziesz bardzo mądra, gdy dorośniesz, ale teraz jest dla Ciebie czas zabawy - najlepszy czas, byś zachwycała kaczkami swego starzejącego się wielbiciela.

Randolph Henry Ash

* Gra słów; *ash* w języku angielskim oznacza jesion (przyp. tłum.).

Ta wylewność miała walor rzadkości. Był to jedyny list napisany do dziecka, o jakim wiedział Mortimer Cropper; na ogół Ash bywał wobec dzieci raczej niecierpliwy (nie słyszano, by okazywał wyrozumiałość siostrzeńcom i siostrzenicom swojej żony, przed którymi był pieczołowicie chroniony), stan wiedzy na ten temat wymagał zatem subtelnej poprawki. Cropper sfotografował pozostałe listy, którym towarzyszyły rysunki platanu, cedru i orzecha włoskiego, po czym przyłożył ucho do drzwi łazienki, aby sprawdzić, czy pani Wapshott lub jej tłusty mały terier się nie obudzili. Ustaliwszy po chwili, iż oboje chrapią, każde na inną nutę, na palcach minął korytarz, raz tylko wywołując lekki pisk linoleum, i wśliznął się do swojego pokoju bombonierki, gdzie na szklanym blacie toaletki, odzianej w podwójną falbanę z pąsowego atłasu i białego tiulu, w sercowatej, zdobnej w gardenie miseczce, leżał umieszczony tam przezeń zegarek kieszonkowy Randolpha Henry'ego Asha.

Rano zasiadł do śniadania z Daisy Wapshott, pogodną, biuściatą damą w sukni z krepdeszynu i sweterku z różowej angory, która mimo protestów uraczyła go ogromną porcją jajek na szynce z pieczarkami i pomidorami oraz pieczonymi kiełbaskami z fasolą. Jadł trójkątne grzanki oraz marmoladę, którą nabierał ozdobną łyżeczką w kształcie muszli z kryształowego naczynka z przykrywką. Pił mocną herbatę ze srebrnego dzbanka, przykrytego pokrowcem w kształcie kury. Nie znosił herbaty; pijał tylko czarną kawę. Pogratulował pani Wapshott jakości napoju. Z okien własnego, eleganckiego domostwa ujrzałby zapewne geometryczny ogród, a za nim szalwie i jałowce meksykańskiego płaskowyżu, i szczyty gór, wznoszące się w czyste niebo nad pustynią; tu widział pas trawnika i ogrodzenie z plastikowej siatki, oddzielające go od podobnych pasów z obu stron.

- Bardzo wypocząłem tej nocy - rzekł do pani Wapshott. - Jestem pani ogromnie wdzięczny.

- Cieszę się, że listy biednego Rodneya okazały się dla pana interesujące. Odziedziczył je po swojej mamie. Której nie powiodło się w życiu, jeśli można wierzyć jego słowom. Nigdy nie poznałam jego rodziny. Wysłałam za niego w czasie wojny, poznaliśmy się podczas gaszenia pożaru. W tamtych czasach byłam za pokojówką u jednej damy, a on był dżentelmenem, każdy to widział. Ale tak naprawdę nigdy nie miał ochoty do pracy. Prowadziliśmy sklep - pasmanteryjny - i, prawdę mówiąc, to ja zajmowałam się wszystkim, a on tylko uśmiechał się do klientów, jakby się trochę wstydził. Nigdy właściwie nie wiedziałam, skąd się wzięły te listy. Dostał je od swojej mamy - mawiała, że może zostanie pisarzem, a to są listy sławnego poety. Nawet pokazał je kiedyś pastorowi, który uznał, że chyba nie są ciekawe. Obiecałam, że się z nimi nie rozstanę, profesorze. To nic specjalnego, po prostu listy do dzieciaka o drzewach.

- W Harmony City - powiedział Mortimer Cropper - w Kolekcji Stanta tamtejszego uniwersytetu posiadam największy na świecie, najdoskonalszy zbiór korespondencji Randolpha Henry'ego Asha. Mam zamiar poznać jak najdokładniej wszystko, co robił... wszystkie ważne dla niego osoby... wszystkie, choćby najbłahsze zajęcia. Te pani liściki, pani Wapshott, może nie są wiele warte same w sobie. Ale w globalnej perspektywie dodają blasku, szczegółów, sprawiają, że ów człowiek staje się odrobinę bardziej żywy. Ufam, że powierzy je pani Kolekcji Stanta. Pozostaną tam na zawsze, przechowywane w najlepszych warunkach - w oczyszczonym powietrzu, stałej temperaturze - dostęp zaś do nich będą mieli wyłącznie uznani badacze tej dziedziny.

- Mąż chciał, aby dostała je Katy. Nasza córka. Na wypadek, gdyby kiedyś zajęła się pisaniem. Spał pan w jej sypialni, profesorze. Już okropnie dawno odeszła z domu, ma syna i córkę, ale trzymam dla niej pokój, taki jak był, na wypadek, gdyby coś jej nie wyszło. Zanim urodziła, była nauczycielką, uczyła angielskiego. Często interesowała się drzewnymi listami babuni. Tak je nazywała - drzewne listy babuni. Nie mogę nawet myśleć o tym, żeby je panu oddać, póki jej nie zapytam. Właściwie należą do niej - są powierzone, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

- Oczywiście, że powinna pani się z nią skonsultować. Proszę powiedzieć, że proponujemy za te dokumenty korzystną cenę. Niech pani o tym wspomni. Nasze fundusze są znaczne, bardzo znaczne, pani Wapshott.

- Bardzo znaczne fundusze - powtórzyła za nim bezwiednie. Widział doskonale, że nie chce, aby uznał ją za źle wychowaną, i krępuje się zapytać o proponowaną cenę, co było mu bardzo na rękę i dawało pole do manewru; liczył na to, że jej nieśmiała chciwość w najśmielszych marzeniach nie sięga sum, które byłby chętnie zapłacił na wolnym rynku. Rzadko mylił się w takich sprawach. Najczęściej umiał co do dolara przewi-

dzieć, ile jakiś wiejski proboszcz lub szkolny bibliotekarz uważa, że mógłby zażądać zarówno przed, jak i po zasięgnięciu rady fachowców.

- Muszę się zastanowić - rzekła, niespokojna, lecz zaintrygowana. - Muszę pomyśleć, jak będzie najlepiej.

- Nie ma pośpiechu - zapewnił, kończąc grzankę i wycierając palce w atlasową serwetkę. - Jeszcze jedno; jeśli ktoś inny zwróci się do pani w sprawie tych dokumentów, byłbym wdzięczny, gdyby pani pamiętała, że pierwszy okazałem zainteresowanie. Wyświadczamy sobie co prawda akademickie uprzejmości, lecz bywają wśród nas i tacy, którzy gotowi są działać za plecami innych. Chciałbym uzyskać pani zapewnienie, że w sprawie tych liścików nie zrobi pani nic bez konsultacji ze mną. Jeśli oczywiście może pani udzielić takiej gwarancji. Ja ze swej strony zapewniam, że kontakt ze mną będzie dla pani korzystny.

- Nawet o tym nie myślę. Znaczy o tym, że mogłabym się z panem nie skontaktować. Gdyby ktoś... Ale na pewno nikt się nie zjawi... nie zjawił się przez te wszystkie lata, aż dopiero teraz pan, profesorze.

Kiedy odjeżdżał sprzed domku, w sąsiednich oknach pojawiły się głowy. Jego długi czarny mercedes, szybki i żałobny, był jednym z tych, jakie na ogół widywało się wożące dygnitarzy w krajach za żelazną kurtyną. Wiedział, że inaczej niż jego tweedowa marynarka, w Anglii wygląda on przesadnie. Nie obchodziło go to. Był to samochód piękny i potężny, w naturze zaś Croppera leżała potrzeba rozmachu.

Płynąc autostradą, rozmyślał o następnych przystankach. U Sotheby'ego odbywała się aukcja, na której wystawiano album, zawierający czterowersz Asha z podpisem autora. Musiał także spędzić kilka dni w Muzeum Brytyjskim; na myśl o Jamesie Blackadderze skrzywił się z niesmakiem. I musiał zaprosić Beatrice na obiad - zobowiązanie, o którym również myślał z większą przykrością niżli przyjemnością. Jeżeli coś w ogóle sprawiało mu przykrość, było nią prawie wyłącznie prawo Beatrice do dzienników Ellen Ash. Gdyby wraz z zespołem swoich asystentów uzyskał do nich właściwy dostęp, większość tego dzieła byłaby już dawno ogłoszona drukiem, opatrzona przypisami i indeksami, gotowa dodatkowo objaśnić jego własne odkrycia. Jednakże Beatrice, z prawdziwie angielską - jak ją postrzegał - ociężałością i dyletantyzmem nadal tylko przekładała papiery, zastanawiając się nad znaczeniami i faktami, bez żadnych skutków, ale bardzo zadowolona z siebie, niczym owa uparta owca z „Alicji po drugiej stronie lustra”. Miał cały notes pytań, na które szukał odpowiedzi, kiedy tylko umożliwiało mu dostęp do źródeł. Miał ze sobą taki notes za każdym razem, gdy przekraczał Atlantyk. Żywił stanowcze przekonanie - nigdy niekwestionowane intelektualnie, emocjonalnie zaś doświadczane tylko jako dojmujący brak, niewygodna świadomość, że czegoś mu nie dostaje - iż dzienniki Ellen Ash powinny się znajdować w Kolekcji Stanta.

Od czasu do czasu Mortimer Cropper igrał z pomysłem napisania autobiografii, rozważał także myśl, aby spisać dzieje swojej rodziny. Historia, pisarstwo po jakimś czasie wpływają na sposób, w jaki człowiek przeżywa sam siebie; Mortimer Cropper, biegle dokumentujący dni Randolpha Henry'ego Asha we wszystkich szczegółach - wyjścia i przyjścia, prośzone obiady, piesze wędrówki, nadmierne współczucie dla służby i zniecierpliwienie wobec składanych mu hołdów, w pewnych - najbardziej świadomych - chwilach odczuwał naturalny, być może, zanik osobowości, wysysanej przez tę pisaną materię, substancję zapisu. Był człowiekiem ważnym. Miał władzę; władzę powoływania i odwoływania, władzę książeczki czekowej, władzę boga Totha* i merkuralny wgląd w arkana Kolekcji Stanta. Dbał o swoje ciało, o człowieka zewnętrznego, ze skrupulatno-

ścią, którą obdarzyłyby także człowieka wewnętrznego, gdyby wiedział, kim ów jest - gdyby nie miał poczucia, że rzecz całą skrywa gęsta zasłona. Ale myślał o tych sprawach tylko rzadko, gdy tak jak teraz pędził w dal, opancerzony w czarną samotność.

* Toth - egipski bóg predynastyczny, wynalazca m.in. kalendarza, opiekun pisarzy, przedstawiany z głową ibisa albo pawiana (przyp. tłum.).

MOJE MŁODE LATA

Już w bardzo wczesnym okresie rozwoju rozumiałem, kim powinienem zostać. Stało się to w Gabinecie Zbiorów, mieszczącym się w moim cudownym domu rodzinnym w Chixagua w Nowym Meksyku, nieopodal przepięknego miejsca, gdzie dziś znajduje się Uniwersytet Dale'a Owena.

Everblest House pełen jest rzeczy pięknych i dziwnych, zebranych przez mego dziadka i pradziadka. Wszystko to są okazy muzealne najwyższej jakości, choć kolekcjonowane były bez żadnej zasady przewodniej, jedynie ze względu na swą rzadkość lub szczególną asocjacje z tą czy inną sławną postacią z przeszłości. Mieliśmy wspaniały mahoniowy stojak do nut, przemyślnie sporządzony dla samego Jeffersona zgodnie z jego wskazówkami dotyczącymi mechaniki zawiasów i nachylenia. Mieliśmy popiersie (Wielanda), niegdyś należące do Crabba Robinsona, jowialnego pamiętnikarza i przyjaciela wielu znanych ludzi, którego bystre oko uratowało je od zapomnienia w jakiejś rupieciarni. Mieliśmy teodolit, którego używał Swedenborg**, i książkę hymnów Charlesa Wesleya***, jak również sprytnie pomyślany, nowy typ motyki, z której korzystał Robert Owen**** w pionierskim okresie New Harmony. Mieliśmy zegar z kurantem, który Lafayette***** podarował Benjaminowi Franklinowi, i laskę Honoriusza Balzaca, wysadzaną drogimi kamieniami bogato i bez gustu. Mój dziadek zwykł był porównywać ową ostentację parweniusza z prawdziwą godnością i prostotą motyki Owena. Ponieważ jednak motyka była w nieskazitelnym stanie, nie jest pewne, czy w istocie stanowiła przedmiot użytkowy, jak zdawało się dziadkowi, ale tak czy inaczej jego uczucia przynoszą mu zaszczyt. Mieliśmy ponadto wiele *objets de vertu**, w tym piękną kolekcję sewrskiej porcelany, bibelotów, szkła weneckiego i wschodnich kafli. Większość tych przedmiotów, pochodzących z Europy, zgromadził mój dziadek, cierpliwy poszukiwacz porzuconych drobiazgów, wędrowiec czterech kontynentów, skąd powracał z coraz to nowymi skarbami do lśniącego białą domu na skraju mesy. Sam wykonał projekt wysokich, przeszklonych gablot dla Gabinetu Zbiorów, harmonijnie łącząc prostotę utylitarne idealizmu pierwszych osadników, od których pochodził, z prymitywniejszym, lecz pełnym mocy rękodziełem hiszpańskojęzycznych ludów, wśród których tamci próbowali się osiedlać.

* *Objets de vertu* (fr.) - cenne przedmioty.

** Emanuel Swedenborg (1688-1772) - mistyk szwedzki; jego koncepcja świata duchów wywarła wpływ m.in. na Goethego (przyp. tłum.).

*** Charles Wesley (1707-1788) i jego brat John zapoczątkowali w Oksfordzie ruch metodystyczny; największą sławę zdobyli po emigracji do Ameryki jako misjonarze i kaznodzieje (przyp. tłum.).

**** Robert Owen (1771-1858) - filantrop, pionier oświaty, reformator społeczny (przyp. tłum.).

***** Marie Joseph markiz de LaFayette (1757-1834) - generał francuski, walczył o niepodległość Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.).

Ojciec mój cierpiał na chorobę zwaną dzisiaj okresową kliniczną depresją, która skutecznie uniemożliwiała mu podjęcie pracy, aczkolwiek ukończył *summa cum laude* Wydział Teologiczny Uniwersytetu Harvarda. Czasem z przyjemnością pozwalał mi oglądać owe skarby, na których skatalogowanie poświęcał swe jaśniejsze dni, bez specjalnego wszakże powodzenia, nie potrafił bowiem nigdy ustalić wśród nich żadnej zasady porządkującej. (Zwykła chronologia wytworzenia lub pozyskania byłaby najprostsza, jednak umysł mego ojca nie skłaniał się ku prostocie). „Proszę, Morty, mój chłopcze - mawiał do mnie - oto historia, którą możesz wziąć do ręki”. Szczególnie oczarowała mnie kolekcja szkiców portretowych i podpisanych fotografii wybitnych postaci XIX wieku - rysunków autorstwa Richmonda** i Wattsa, fotografii Julii Margaret Cameron*** - w większości darowanych mojej prababce, Priscilli Penn Cropper, lub przez nią wyproszonych. Owe znakomite portrety - z którymi, jestem przekonany, równać się nie może żaden inny zbiór na świecie - tworzą teraz trzon sekcji portretowej Kolekcji Stanta przy Uniwersytecie im. Roberta Dale'a Owena, której mam zaszczyt być przewodniczącym. W tamtych czasach były towarzyszami mego dzieciństwa; surowe twarze, ożywione wyobraźnią, uśmiechały się do mnie łaskawie. Fascynowały mnie kanciaste rysy Carlyle'a, uwodziła słodycz Elizabeth Gaskell****, trwożyło ciężkie, posępne zamyślenie George Eliot, podnosiła na duchu wzniosła świętość Emersona*. Jako wątłe i chorowite dziecko pobierałem nauki głównie w domu, najpierw od mojej drogiej niani, później zaś od nauczyciela, absolwenta Harvardu, poleconego mojemu ojcu jako poeta, który dzięki temu zatrudnieniu miał zyskać oparcie, by napisać wielkie dzieło. Człowiek ten, nazwiskiem Hollingdale, Arthur Hollingdale twierdził, że bardzo wcześnie zwrócił uwagę na ślady talentu literackiego w moich wypracowaniach i nie szczędząc słów zachęty, odpowiednio mną pokierował. Usiłował mnie zainteresować prozą współczesną - o ile pamiętam, był entuzjastą Ezry Pounda - jednakże moje gusta i zdolności nabrały już kształtu: byłem pasjonatem przeszłości. Nie sądzę, by pan Hollingdale kiedykolwiek napisał swoje wielkie dzieło. Nie spodobała mu się nasza pustynna samotność, jał pic tequilę - w bardzo poetyczny sposób - aż w końcu odszedł, bez żalu po żadnej ze stron.

** George Richmond (1809-1896) wzięty portrecista angielski (przyp. tłum.).

*** Julia Margaret Cameron (1815-1879) - jedna z pierwszych fotograficzek angielskich, specjalizująca się w poetycko upozowanych zdjęciach sławnych ludzi, kobiet i dzieci w stylizowanych kostiumach renesansowych (przyp. tłum.).

**** Elizabeth Cleghorn Gaskell, z d. Stevenson (1810-1865) - pisarka angielska o zacięciu społecznym, najbardziej znana ze swej biografii Charlotte Brontë (przyp. tłum.).

W posiadaniu mojej rodziny znajdował się jeden list - jeden, niezwykle istotny list - adresowany przez Randolpha Henry'ego Asha do mojej prababki, Priscilli Penn Cropper, z domu Priscilli Penn. Ta moja przodkini posiadała silną by nie rzec: ekscentryczną osobowość; urodzona w Maine, była córką zagorzałych abolicjonistów, którzy ukrywali zbiegłych niewolników i przyczynili się do intelektualnego i obyczajowego fermentu, powstałego wówczas w stanach Nowej Anglii. Żarliwie wypowiadała się w obronie emancypacji kobiet i jak się często zdarzało tym dzielnym bojowniczkom, angażowała się także w inne ruchy. Była zdecydowaną wy-

znawczynią magnetycznej metody leczniczej Mesmera, twierdząc, że wywiera na nią dobroczynny wpływ, i aktywnie zajmowała się spirytyzmem, który rozkwitł w Stanach Zjednoczonych po tym, jak siostry Fox usłyszały pierwsze „stukania”. Podejmowała jasnovidza Andrew Davisa**, autora „Univercoelum”, czyli „Klucza do wszechświata”, który w jej domu (naówczas w Nowym Jorku) rozmawiał z duchami Swedenborga, Kartezjusza i Bacona. Powinienem być może dodać, że nie odżegnywała się od pokrewieństwa z kwakerskim rodem Pennów z Pensylwanii, choć moje własne badania nie wykazały żadnego faktycznego związku. W annałach została jednak zapisana - zapewne niesłusznie, zważywszy jej wszechstronną przedsiębiorczość - jako wynalazczym proszków regeneracyjnych, patentowego leku, który, w co gorąco wierzę, nigdy nikogo nie zabił, mógł natomiast ocalić tysiące ludzi, choćby dzięki efektowi placebo. Sprzedawane z polotem proszki przyniosły Priscilli fortunę, ta zaś fortuna zbudowała Everblest House.

* Robert Waldo Emerson (1803-1882) - myśliciel amerykański (przyp. tłum.).

** Andrew Jackson Davis (1826-1910) - medium i jasnovidz, zwany często, Janem Chrzcicielem amerykańskiego spirytyzmu" (przyp. tłum.).

Dom ów stanowi niemałe zaskoczenie dla odwiedzających te strony, będąc dokładną repliką palladiańskiej rezydencji znad Missisipi, którą mój prapradziadek po mieczu, Mortimer D. Cropper, utracił podczas wojny pomiędzy stanami. Jego syn Sherman wyjechał w owe niespokojne dni na Północ w poszukiwaniu zajęcia i, jak głosi rodzinna legenda, zaniemówił na widok mej prababki, która właśnie wygłaszała przemówienie pod gołym niebem na temat zasad harmonii Fouriera i obowiązku dążenia do wolnej miłości oraz przyjemności. Czy to z miłości, czy z wyrachowania, dołączył do jej zwolenników, i w 1868 roku powędrował za nią do Nowego Meksyku, gdzie grupa postanowiła założyć falanster. Niektórzy z jej członków należeli uprzednio do odłamu - jak dziś powiedzielibyśmy - wzorowych społeczności prostokątnych wiosek, które bez powodzenia budował Robert Owen, a po nim jego syn, Robert Dale Owen, autor dzieła „Sporne ziemie między światem doczesnym a przyszłym”.

Projektowany falanster, choć mniej surowy niż wioski Owena, poniósł klęskę, nigdy bowiem nie osiągnął magicznej liczby 1620 mieszkańców, mających reprezentować wszelkie możliwe odmiany miłości między płciami, a również dlatego, że wśród entuzjastów nie było nikogo, kto znałby się na rolnictwie lub wiedział cokolwiek o warunkach życia na pustyni. Mój pradziadek, dżentelmen z Południa, człowiek przedsiębiorczy w sprawach osobistych, odczekał zatem chwilę, po czym zaproponował prababce, by pomogła mu odtworzyć raj jego młodości zgodnie z przyświecającymi jej zasadami rozumu i harmonii, inaczej mówiąc, by zbudowała swe szczęście na fundamencie łatwiej osiągalnych rozkoszy życia rodzinnego - z uwzględnieniem służby, choć oczywiście bez niewolników - wolnego od roszczeń entuzjastów grupowej miłości, owego źródła niesnasek i zamętu. Dochody z proszków regeneracyjnych zostały przeto przeznaczone na budowę pięknego domostwa, w którym nadal zamieszkuje z moją matką, pradziadek zaś zajął się kolekcjonerstwem.

Istnieje wiele portretów Priscilli Penn Cropper; najwyraźniej była osobą niemałej urody i ogromnego wdzięku. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych jej dom stał się ośrodkiem badań spirytystycznych, do których, powodowana entuzjazmem, usiłowała nakłonić myślących ludzi całego cywilizowanego świata. Za-

pewne wynikiem jednej z takich prób jest list od Randolpha Henry'ego Asha - list, który z jakiegoś tajemniczego powodu wzbudził we mnie podniecenie i zapoczątkował pasję całego życia. Pomimo najdokładniejszych poszukiwań nie udało mi się jednak trafić na ślad kopii listu, który prababka moja musiała doń napisać, i nęka mnie ciągły lęk, że mogła ją zniszczyć. Nie wiem, dlaczego spośród wszystkich naszych skarbów ten właśnie tak mnie wzruszył. Niezbadane są wyroki boskie - być może reprimenda, jakiej Randolph Henry Ash udzielił był mej przodkini, sprawiła, że zapragnąłem udowodnić, iż jednak jesteśmy godni go zrozumieć i, by tak rzec, zabawić. Nie ulega wszakże wątpliwości, że kiedy mój ojciec po raz pierwszy wręczył mi przełożone bibułka, zapisane stronice, aby zobaczyć, czy potrafię je odcyfrować, poczułem coś na kształt dreszczu, który przeszył Keatsowskiego Corteza, stojącego w milczeniu na Darienu szczycie*. Kiedy zaś wziąłem list do ręki, poczułem, mówiąc słowami Tennysona, że dotknął mnie umarły z przeszłości - i przeżyłem swoje życie wśród „Opadłych, wciąż zielonych liści/Szlachetnych listów zmarłych ludzi”*.

* Aluzja do sonetu Johna Keatsa (1795-1821) „Po pierwszym zjrzeniu do Homera w przekładzie Chapmana” (przyp. tłum.).

* Alfred Tennyson, „In Memoriam A.H.H. Obiit MDCCCXXXIII” (przyp. tłum.).

Nasz Gabinet Zbiorów ma dowcipną kopułkę, przeszkloną nie barwnymi, lecz czystymi szybkami, które można częściowo lub całkowicie zaciemniać za pomocą okiennic, uruchamianych jednym ruchem dłoni. Tego niezwykłego dnia ojciec otworzył nie tylko okiennice, lecz również zielone żaluzje, wolno sączące miękkie, bezpieczne światło, i pokój napelnił się promieniami słońca. W owej słonecznej ciszy zrodził się załazek idei, która dała początek Kolekcji Stanta, ozdobie Muzeum Harmonii przy Uniwersytecie im. Roberta Dale'a Owena - kolekcji, której czcigodnym fundatorem był mój przodek Sherman Cropper i do której narodzin przyczyniły się w drobnej części proszki regeneracyjne mej prababki.

Niżej przytaczam w pełnym brzmieniu otrzymany przez nią list, zamieszczony także w odpowiednim miejscu w tomie IX mojego wydania „Listów zebranych” (Nr 1207, s.883); wyjątek z niego figuruje w przypisach do „Posięścia mumii”, spirytystycznego poematu Asha z „Dzieł zebranych”, które, aczkolwiek zbyt wolno dla entuzjastów, pojawiają się jednak systematycznie pod redakcyjnym nadzorem profesora Jamesa Blackaddera z Uniwersytetu Londyńskiego. Nie przyjmuję do wiadomości utożsamienia, którego dokonał profesor Blackadder między moją przodkinią i panią Eckleburg, nader łatwowierną postacią z tego poematu. Istnieje między nimi zbyt wiele różnic, które wyszczególniłem w moim artykule „Przypadek błędnej identyfikacji” (PMLA, LXXI, zima 1959, ss. 174-180) i do niego odsyłam zainteresowanych.

Droga Pani Cropper,

*dziękuję Pani za wiadomość o Twoim doświadczeniu z planchette**.* Słusznie sądziła Pani, że jestem ogromnie zainteresowany wszystkim, co mogło wyjść spod pióra Samuela Taylora Coleridge'a. Odczuwam jednakże - co szczerze Pani oznajmiam - znaczną odrazę na myśl o tym, że ten duch jasny, uwolniwszy się w bólach od naszego żmudnego i uciążliwego ziemskiego żywota, zmuszony jest dźwigać mahoniowe stoliki, unosić się, częściowo w cielesnej postaci, w oświetlonych kominkiem salonach, lub przykładać swą wyzwoloną Inteligencję

do gryzmolenia tych żenująco jałowych bredni, jakie mi Pani przysłałaś. Czyż nie powinien teraz paść się niebiańska rosa i w spokoju spijać rajskiego nektaru?

** *Planchette* (fr.) - ruchoma tabliczka służąca medium do pisania podczas seansu spirytystycznego (przyp. tłum.).

Nie żartuję, Madame. Wielokrotnie uczestniczyłem w próbach prezentacji fenomenów, o jakich Pani wzmiankuje - mogę powiedzieć, że nihil humanum a me alienum puto, co notabene powinni móc powiedzieć o sobie wszyscy ludzie mej profesji - i sądzę, że ich najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem jest jawne oszustwo, połączone z czymś w rodzaju zbiorowej hysterii, miazmatu, pelzającej mgielki duchowego niepokoju i pobudzenia nerwowego, która jest plagą dobrego towarzystwa i podniętą rozmów przy herbacie. Osoby o usposobieniu refleksyjnym mogłyby upatrywać przyczyny tych miazmatów w coraz to większym materializmie naszego społeczeństwa, jak również w gruntownej rewizji - naturalnej i nieuniknionej, zważywszy obecne stadium umysłowego Rozwoju - historycznych narracji religijnych. W rzeczy samej, wszystko w tej dziedzinie stało się niepewne, historyk zaś i naukowiec czynią znaczne wyrwy w naszej prostej wierze. I nawet jeżeli rezultatem końcowym tej usilnej inkwizycji jest wzmocnienie owej wiary, nie jest to proces łatwy - całkiem zresztą słusznie - i może nie zakończyć się za naszych czasów. Nie oznacza to jednak, że Panacea, wyprodukowane dla zaspokojenia powszechnego, mdlącego głodu rzeczy pewnych i konkretnych, są zdrowe lub mają solidne podstawy.

Można by rzec, iż Historyk i Naukowiec jednak obcują ze zmarłymi. Cuvier oblekł swoje Megatherium w ciało, ruch i apetyty; żyjące uszy MM Micheleta i Renana**, pana Carlyle'a oraz braci Grimm dosłyszwały bezgłośnie wołania umarłych i obdarzyły ich głosem. Ja sam, z pomocą mej imaginacji, zajmowałem się trochę tymi sprawami; niby brzuchomówca użyczałem swego głosu kwestiom dawno przebrzmiałym i splatałem swoje życie z życiem osób, których wskrzeszenie - w imię przykładu, ostrzeżenia, trwającej w nas przeszłości - jest obowiązkiem każdego myślącego człowieka. Ale, jak Pani dobrze wie, są sposoby i sposoby, jedne sprawdzone i wypróbowane, inne grożące niebezpieczeństwem i rozczarowaniem. To, co zostało przeczytane, zrozumiane, przemyślane i uchwycone intelektualnie, jest już nasze, Madame, byśmy z tym żyli i z tym pracowali. Nawet dociekania całego życia mogą nam udostępnić jedynie fragment przeszłości naszych przodków, nie mówiąc już o eonach, które upłynęły przed nastaniem ludzkiej rasy -fragment ten, aczkolwiek skąpy, musimy jednak dokładnie zrozumieć i przekazać dalej. Hoc opus, hic labor est***. Kusi mnie, by dodać, że nie ma tu drogi na skróty; ten, kto na nią wstąpi, podobny jest do Ignorancji Bunyana, która u bram Nieba znalazła ścieżką, wiodącą wprost do Piekieł.*

Pomyśl tylko, Pani, co czynisz, usiłując zwracać się do nich - do owych drogich i straszliwych zmarłych - bezpośrednio? Jakaż to mądrość przekazali Ci podczas tych wielu zmarnowanych godzin? Że Babcia zostawiła swoją nową broszkę w stojącym zegarze? Lub że Ciocia, zza grobu, ma za złe, że trumna zmarłego dziecka znalazła się nad jej trumną w rodzinnym Grobowcu? Lub - jak zapewnia Cię uroczyście S. T.C. - że Tam istnieje „wieczne szczęście dla tych, które na niego zasługują, dla pozostałych zaś możliwość poprawy”? (On, który pisząc w siedmiu językach, nigdy błędnie nie użył zaimka?). Ale aby się o tym dowiedzieć, Madame, nie trzeba nam powstałego z grobu ducha.

Istnieją przynajmniej, wędrownie zjawy, wyziewy, powietrzne stworzenia, które czasem przecinają drogę naszego poznania, zmierzając ku swoim niewidzialnym celom. Że udręczone wspomnienia w jakiejś psychicznej postaci mogą nawiedzać niektóre straszne miejsca, na to, Pani, istnieją dowody. W rzeczy samej, są rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się naszym filozofom. Lecz dowiemy się o nich - wierzę w to głęboko - nie dzięki stukaniom i pukaniom lub namacalnej obecności pana Home'a, unoszącego się pod żyrandolem, ani też dzięki gryzmołom na Pani planchette, lecz dzięki długim i cierpliwym obserwacjom zawilego działania martwych umysłów i żywych organizmów, dzięki mądrości, która patrzy poza i przed siebie, dzięki mikroskopom i spektroskopom, nie zaś dzięki opętanym widmom i powstałym z ziemi upiorom. Widziałem niejedną dobrą duszę, niejedną czysty umysł, zmacony przez owo upiorne wścibstwo, które nie służy niczemu dobremu, a wręcz przyczynia się do złego.

Rozpisałem się tak obszernie, albowiem nie chciałbym, abys pomyślała, Pani, że lekce sobie ważę Twoją wobec mnie życzliwość, lub że traktuję Cię w duchu bezmyślnej, wojowniczej obmowy, jak niektórzy mogliby przypuszczać. W istocie, moje najgłębsze przekonania oraz pewne odnośne doświadczenia uniemożliwiają mi, Pani, przyjęcie Twojego listu - listu o duchach - z ciekawością bądź przyjemnością; muszę Cię prosić, abys nie przysyłała mi już takich wiadomości. Lecz dla Twojej osoby, Pani, i Twego bezinteresownego poszukiwania prawdy żywię, rzecz jasna, najwyższy szacunek i entuzjazm. Twoja szlachetna walka na rzecz waszej Pici musi prędzej czy później zakończyć się zwycięsko. Mając nadzieję jeszcze o tym usłyszeć, pozostaję Twoim pokornym sługą

R.H. Ash

* George baron Cuvier (1769-1832) - biolog francuski, twórca anatomii porównawczej i paleontologii; na podstawie fragmentu szczęki mamuta odtworzył w przybliżeniu jego wygląd (przyp. tłum.).

** Mes Michelet (1798-1874), Ernest Renan (1823-1892) - pisarze i historycy francuscy; ten ostatni jest autorem kontrowersyjnego dzieła „Życie Jezusa”, w którym twierdzi, że Jezus był najdoskonalszym z ludzi, ale nie Bogiem (przyp. tłum.).

*** *Hoc opus...* (łac.) -takie dzieło, jaka praca.

W autobiograficznych szkicach Mortimera Croppera transkrypcja tego listu zawsze stanowiła punkt szczytowy, od którego poczynając, jego zapiski szybko degenerowały się do banalnych wspomnień z dzieciństwa lub do szkolarskiej wyliczanki jego późniejszych związków z Randolphem Henrym Ashem; jak gdyby - czasem ocierał się o taką myśl - on sam, oddzielny, przestał naprawdę istnieć w chwili owego pierwszego zetknięcia z szelestem papieru i energią splątanych atramentowych linii pisma. Jak gdyby jego niedokończone notatki napędzane były wyłącznie pragnieniem dotarcia do punktu, gdy mógł list zacytować i opisać moment olśnienia, po czym traciły cały impet i zatrzymywały się z dygotem. Często, bez specjalnego powodu, dodawał jeszcze jedno zdanie, zanurzając te najwcześniejsze wspomnienia w pradawnym zapachu doskonałego potpourri swojej babki - importowanej przez nią na pustynię mieszanki płatków róży, olejków odświeżających, drzewa sandałowego i piżma. Był również świadom - aczkolwiek nie zamierzał przyglądać się bliżej tej świadomości - że jego niechęć lub niemożność dalszego pisanie w przyjętym stylu wiąże się z wewnętrznym zakazem pisanie

o matce, która dzieliła z nim dom w Ameryce i do której, będąc za granicą, słał codziennie długie i serdeczne listy. Wszyscy mamy w swoim życiu sprawy, które rozpoznajemy w podobnie zwiężły, sugestywny, użyteczny sposób, lecz których bliższego zbadania wolimy zaniechać. Pani Cropper siedziała na pustyni, zakwitłej dzięki jej woli i pieniądзом. Śniąc o niej, profesor Cropper często tracił poczucie proporcji - widział jej wielki cień majaczący w obszernym holu ich domu lub surową i ogromną postać w rozkroku nad pastwiskiem. Wiele się po nim spodziewała, a on jej nie zawiódł - lecz nadal bardzo się tego obawiał.

Dosyć zadowolony dotarł do hotelu Barrett, który wybrał częściowo dla wygody, ale głównie dlatego, że kiedyś zatrzymywali się tu odwiedzający Asha amerykańscy pisarze. Czekał na niego stos korespondencji, między innymi list od matki oraz kartka od Blackaddera, w której ten oznajmiał, że mimo odkryć Croppera w zakresie krajobrazów islandzkich, nie widzi powodu, by zmieniać przypis do „Ask do Embli III”. Z Christie's* przysłano mu katalog, zapowiadający wyprzedaż przedmiotów z epoki wiktoriańskiej, między innymi igielnika, rzekomo należącego do Ellen Ash, oraz pierścionka, który niegdyś był własnością pewnej amerykańskiej wdowy mieszkającej w Wenecji i podobno skrywał pod swym kryształowym oczkiem kilka włosów samego Asha. W Kolekcji Stanta znajdowały się ścinki z kilku postrzyżyn tej wspaniałej grzywy: spłowieła nieco czerń, późniejsza szpakowatość i ostateczne, pośmiertne srebro, obecnie najbardziej lśniące i najtrwalsze. Należało się spodziewać - myślał Cropper - że z ofertą wystąpi Muzeum Asha, mieszczące się w domu poety w Bloomsbury, ale on sam też zamierzał wziąć udział w licytacji; igielnik i kosmyk włosów znalazłyby godne miejsce w sześciokątnej szklanej sali w centrum Kolekcji, gdzie relikwie po Ashu, jego żonie, krewnych i znajomych leżały zgromadzone w nieruchomej, regulowanej atmosferze.

* Christie's - angielski dom aukcyjny, specjalizujący się w dziełach sztuki (przyp. tłum.).

Cropper rozsiadł się w głębokim skórzanym fotelu przy rozpalonym w barze kominku, lecz gdy zaczął czytać korespondencję, na moment nawiedziła go wizja jego białej świątyni, lśniącej w pustynnym słońcu: chłodnych dziedzińców, stromych schodów oraz ujętego w połyskliwe, pozłacane ramy plastra szklanych cichych komórek, alków, gabinetów i spiętrzonych pomieszczeń magazynowych, gdzie wśród łuków i kolumn słonecznego światła, w złocistych kokonach wind wznosili się i opadali pogrążeni w znaczącym milczeniu naukowcy.

Kiedy dokona zakupu - myślał sobie - zabierze Beatrice Nest na obiad. Zapewne zobaczy się także z Blackadderem. Nie było dlań niespodzianką, że Blackadder zbył niczym jego obserwacje z Islandii. Blackadder, o ile było Cropperowi wiadomo, od wielu lat nie przekroczył granic Wysp Brytyjskich, chyba tylko po to, by wziąć udział w jednej z konferencji na temat wiktoriańskiej poezji, jakie odbywały się zawsze w identycznych salach seminaryjnych, gdzie dojeżdżało się identycznymi samochodami z identycznych hoteli. On, Cropper, przeciwnie, bardzo wcześnie jał podążać śladami wędrówek Randolpha Henry'ego Asha, nie po kolei wprawdzie, lecz wykorzystując nadarżające się okazje; stąd celem jego pierwszej podróży stały się wrzosowiska i wybrzeże północnego Yorkshire, gdzie Ash w 1859 roku odbył samotną pieszą wycieczkę, połączoną z amatorskimi badaniami biologii morza. Cropper powtórzył tę trasę w 1949 roku; odnajdywał maleńkie puby i formacje skalne, rzymskie drogi i perłowe potoczki, nocował w zatoce Robin Hooda i pił brązowe, niesmaczne

piwo, jadł niemożliwe dania z baraniej karkówki oraz kawałki duszonych jelit, które przyprawiły go o mdłości. Później pojechał za Ashem do Amsterdamu i Hagi, a jeszcze później podążył jego śladem do Islandii, gdzie wpatrywał się w gejzery i kałuże wrzącego błota, rozważając w myślach oba utwory Asha, inspirowane literaturą islandzką: epos „Ragnarök”, opiewający wiktoriańskie zwątpienie i rozpacz, oraz tajemniczy cykl liryków miłosnych „Ask do Embli”, wydany w 1872 roku, ale z całą pewnością napisany znacznie wcześniej, być może nawet w okresie zalotów do Ellen Best, córki dziekana katedry w Caverley, w której Ash kochał się przez piętnaście lat, zanim ona i jej rodzina zgodzili się wreszcie na ich małżeństwo w roku 1848. W sposób typowy dla swej ślimaczącej się redakcji Blackadder dopiero teraz zajął się obserwacjami z Islandii, poczynionymi przez Croppera w latach sześćdziesiątych. Cropper opublikował biografię „Wielki brzuchomówca” w 1969 roku, za pożyczając tytuł z jednego z kpiarskich monologów Asha, służących czy to autodemaskacji, czy autoparodii. Zanim wszakże rozpoczął to dzieło, powtórzył inne podróże poety, odwiedzając Wenecję, Neapol, Alpy, Schwarzwald i wybrzeże Bretanii. Jednym z jego ostatnich przedsięwzięć była rekonstrukcja podróży poślubnej Randolpha i Ellen Ashów latem 1848 roku. Państwo młodzi przepłynęli wzburzony Kanał stateczkiem pocztowym i podążyli powozem do Paryża (Cropper przebył tę trasę samochodem), stamtąd zaś pojechali pociągiem do Lyonu i spłynęli statkiem w dół Rodanu do Aix-en-Provence, przy czym cała ta podróż odbyła się w siekącym deszczu. Cropper, przedsiębiorczy jak zawsze, załatwił sobie miejsce na barce towarowej, wiozącej tarcicę, pachnącej olejem i żywicą. Miał szczęście do pogody - jaskrawe słońce odbijało się od żółtej wody, paląc skórę na jego długich, żylastych przedramionach. W Aix zainstalował się w hotelu Ashów, skąd chodził trasami ich wycieczek, których uwieńczenie stanowiła wyprawa do Fontaine de Vaucluse, gdzie poeta Petrarca spędził szesnaście lat w samotności, rozmyślając o swej idealnej miłości do Laury de Sade. Korzyść, jaką Cropper odniósł z owej wyprawy do źródeł, znalazła swój wyraz w relacji w „Wielkim brzuchomówcy”:

I tak pewnego jasnego, czerwcowego dnia 1848 roku poeta i jego nowo poślubiona żona powędrowali cienistym brzegiem do jaskini, kryjącej źródła rzeki Sorgue. Widok ten, groźny i wzniosły, zdolny zaspokoić nawet najbardziej romantycznych podróżników, robi w dwójnasób większe wrażenie, gdy przywołamy wspomnienie wielkiego dworskiego kochanka, Petrarke, który tu właśnie dożywał swych dni - najpierw zakochany, potem zaś wstrząśnięty wieścią że jego wybranka zmarła podczas zarazy.

Spieczone brzegi rzeki dziś są śliskie i wydeptane; podróżny z północy zmuszony jest dreptać do celu w tłumie turystów, jazgocących francuskich piesków, chlapiących się dzieci i sprzedawców cukrowej waty, wśród natrętnych a ohydnych „pamiątek” i masowo produkowanych wytworów „rzemiosła”. Rzekę spętano tamami i rurami, choć bedeker powiada, iż wciąż potrafi wezbrać, zalewając jaskinię i okoliczny teren. Pielgrzym literacki winien jednak okazać wytrwałość; jego nagrodą będzie widok zielonej wody i zawisłych nad nią skał, które z natury rzeczy niewiele zmieniły się od chwili, gdy nasi wędrowcy przybyli je zobaczyć.

Woda w jaskini podnosi się szybko, zasilana rzeką podziemną o dość silnym nurcie oraz deszczówką, spływającą z płaskowyżu Vaucluse i kamienistych zboczy Mont Ventoux - Góry Wichrów Petrarke, jak ujął to Randolph w jednym z listów. Widok tego majestatycznego strumienia musiał mu przypominać świętą rzekę Coleridge'a*, jak również - zważywszy związek tego miejsca z Petrarcką

- Fontannę Muz; z tym poetą Ash czuł się szczególnie spowinowacony, uważa się nawet, że sonety do Laury silnie wpłynęły na wiersze do Embli. Przed wejściem do jaskini, obrzeżonym figowcami i korzeniami,

wygiętymi w fantastyczne kształty, kilka białych skał wznosi się wśród bystrego nurtu, który wkrótce wsiąka w materac pływającej zieloności, jaki mógłby malować Millais albo Holman Hunt**. Ellen zwróciła uwagę na urodę tych *chiare, fresche e dolci acque****. Randolph zaś uroczym gestem wziął na ręce swą nową żonę i przeniósł przez strumień, sadowiąc ją niczym królową syren na białym tronie skały, dzielącej nurt na pół. Wyobraźmy ją sobie, jak siedzi, skromnie uśmiechnięta pod rondem kapturka, delikatnie unosząc spódnice nad wodą, podczas gdy Randolph napawa się dumą, iż wreszcie - inaczej niż Petrarcka - posiadał tę, którą, znosząc wiele trudności i przeszkód, wielbił z oddali prawie tak długo, jak ów żyjący przed nim poeta, przez szesnaście lat w tym właśnie miejscu pogrążony w beznadziejnej tęsknocie.

W przeciwieństwie do wielu swoich współczesnych, takich zwłaszcza, jak profesor Gabriele Rossetti, ojciec poety i malarza, Ash twierdził zawsze, iż Laura Petrarki i Beatrycze Dantego - a także Fiametta, Selvaggia i inne obiekty dworskiej miłości - były to żywe kobiety, nieskalane co prawda, lecz kochane dla swej cielesności, nie zaś alegorie polityki Włoch, rządów Kościoła lub wręcz dusz swoich piewców. Petrarcka po raz pierwszy ujrzał Laureę de Sade w Awinionie w roku 1327 i natychmiast się w niej zakochał, darząc ją od tej chwili niezmiennym uczuciem, mimo iż pozostawała wierna Hugonowi de Sade. Oburzony Ash napisał do Ruskina, że ten wykazuje całkowite niezrozumienie wyobraźni poetyckiej i prawdziwej natury miłości, mniemając niesłusznie, iż można z niej uczynić abstrakcyjną alegorię, tak jakby w istocie nie płynęła ona z „ludzkiego ciepła pojedynczej ucieleśnionej duszy w całej jej czystości i śmiertelnej żywotności”. Jego własne wiersze, dodał Ash, zaczynają się i kończą „ową prawdą wcieloną, niepowtarzalnym, wyjątkowym życiem ludzkim”.

Zważywszy tę sympatię dla Petrarkiańskiej adoracji trudno się dziwić, że Ash z takim oddaniem znosił chrześcijańskie, by tak rzec, skrupuły czy też kaprysy Ellen Best i jej ojca. W pierwszym okresie znajomości Ellen była pobożną dziewczyną o wzniosłych ideałach oraz - jeśli wierzyć jej rodzinie i samemu Ashowi - kruchej i delikatnej urodzie. Jak już wykazałem, obawy dziekana Besta, że poeta nie będzie w stanie utrzymać żony, miały pewne podstawy; wzmagał je dodatkowo autentyczny religijny niepokój Ellen, związany z wątpliwymi tendencjami, ujawnionymi w „Ragnaröku”. Te listy, które przetrwały okres ich narzeczeństwa - a jest ich załóżnie mało, zapewne wskutek zabiegów Patience, siostry Ellen, podejmowanym już po śmierci tej ostatniej - zdają się dowodzić, że Ellen nie zwodziła Asha, ale również, że jej zaangażowanie nie było zbyt głębokie. Jednakże w chwili, gdy zdecydowała się wreszcie oddać Randolphowi swoją rękę, znajdowała się w bardzo trudnym położeniu - jej młodsze siostry, Patience i Faith, dawno już zawarły korzystne małżeństwa, ona zaś nadal była starą panną.

* Aluzja do rzeki Alph z wiersza „Xanadu” S.T. Coleridge'a (przyp. tłum.).

** Sir John Everett Millais (1829-1896), William Holman Hunt (1827-1910) - malarze angielscy, wraz z Dantem Gabrielem Rossettim (1828-1882) założyciele Bractwa Prerafaelitów (przyp. tłum.).

*** *Chiare, fresche e dolci acque* (wł.) - przejrzystych, świeżych i słodkich wód.

Wszystko to podnosi kwestię uczuć, jakie żarliwy poeta kochanek, obecnie trzydziestoczteroletni, żywił dla swej niewinnej żony, przecież nie dziewczyny, lecz dojrzałej, trzydziestosześcioletniej cioci, pochłoniętej dziećmi swoich sióstr. Czy jego niewinność była równie wielka? Jakże znosił - pyta podejrzliwa, dwudziesto-

wieczna myśl - wyrzeczenia okresu oczekiwania? Wiadomo doskonale, że wielu wybitnych wiktorian, szukając ulgi, zwracało się w swej dwulicowości ku krzykliwym mieszkankom wiktoriańskiego półświatka, owym rubasznym, wymalowanym kusicielkom, które robiły tyle zgiełku na Piccadilly Circus, ku szwaczkom, kwiaciarkom i Kobietom Upadłym, ginącym pod mostami, żebrzącym w Mayhew, lub ratowanym, jeśli miały szczęście, przez ludzi takich jak Angela Burdett-Coutts* albo Karol Dickens. Jak na poezję wiktoriańską wiersze Asha dowodzą dużej wiedzy na temat obyczajów seksualnych, więcej, na temat zmysłowości. Jego renesansowi szlachcice są przekonująco krwiści, jego Rubens jest znawcą form ciała ludzkiego, bohater zaś wierszy do Embli to kochanek tyleż realny, co idealny. Czy takiego człowieka mogło uszczęśliwić uczucie tylko platoniczne? Czy sztywna delikatność Ellen Best, nieco już przekwitła, skrywała nieoczekiwane gorące pragnienia? Bardzo być może. Nie istnieją dowody żadnych jego wczesnych miłości, nie mówiąc już o późniejszych - o ile możemy stwierdzić, zawsze był z niego *le preux chevalier***.

Cóż ci dwoje w sobie widzieli, samotni i zapatrzeni w siebie, gdy on obejmował jej pulchną talię i unosił na kamienny tron? Czy mieli za sobą noc rozkoszy? Ellen napisała do domu, że jej mąż jest „cudownie uważający we wszystkim”, co możemy rozumieć, jak nam się podoba.

Istnieje wszakże inne wyjaśnienie, do którego osobiście się skłaniam. Polega ono na uwzględnieniu dwóch potężnych, dziś niemodnych sił: idealizacji wspomnianych tu poetów dworskich oraz teorii sublimacji Zygmunta Freuda. Zwyczajnie i po prostu, Randolph Henry Ash w latach swych zalotów napisał: 28 369 wersów poezji, w tym epos, złożony z dwunastu ksiąg, 35 monologów dramatycznych, obejmujących dzieje od zamierzchłej prehistorii po teologiczne i geologiczne kontrowersje współczesności, 125 liryków oraz trzy dramaty wierszem: „Cromwell”, „Wigilia św. Bartłomieja” i „Kassandra”, bez powodzenia wystawiane na Drury Lane. Pracował z poświęceniem, długo w noc. Był szczęśliwy, postrzegał bowiem swoją Ellen jako czyste źródło, zjawisko pełne dziewczęcego wdzięku, oddychające powietrzem nieskończenie bardziej rozrzedzonym niż krwawe, jadowite opary jego wyobraźni, zaduch skotłowanych łóżek Borgiów czy „siarczany odór wygaśniętej ziemi” z „Ragnaröka”. Nie miał bynajmniej poczucia, że ta dziewicza i aktywna samotność czyni go mniej męskim. Pracował i czekał na nią, wierząc, że ją zdobędzie, i tak się też stało. Jeżeli nawet późniejsze wiersze, takie jak „Wyschnięte źródło” czy „Malowana dama” z przedstawionym w nich obrazem urody, utrwalonej na płótnie, lecz w istocie więdnącej - jeżeli więc te późniejsze wiersze zdają się wskazywać, iż Randolph w końcu podliczył koszty miłosnego opóźnienia, i tak nie podważa to mojego wyводу. Wiersze te również nie pomogą nam wcale odgadnąć uczuć świeżo zaślubionej pary, siedzącej owego słonecznego dnia pod mroczną jaskinią źródła w Vaucluse.

* Angela Georgina Burdett-Coutts (1814-1906) - wielka filantropka i działaczka społeczna, która cały swój czas i ogromną fortunę poświęciła tworzeniu systemu opieki dla najbiedniejszych, za co jako pierwsza w historii kobieta otrzymała w 1871 roku godność para Anglii (przyp. tłum.).

** *Le preux chevalier* (fr.) - mężny rycerz.

Mortimer Cropper wszedł po schodach do swojego ładnego apartamentu i przeczytał raz jeszcze sfotografowane listy. Zadzwonił do Beatrice Nest. Jej głos miał stłumioną, wełnianą barwę; jak zwykle wzbraniała

się, wzniecając rój niemrawych, połowicznych zastrzeżeń, aż wreszcie, jak zwykle, wyraziła zgodę. Nauczył się już, że schlebianie pannie Nest nie odnosi skutku, lecz wzbudzanie w niej poczucia winy - i owszem.

- Mam parę bardzo konkretnych pytań, na które tylko pani umie odpowiedzieć... Zachowałem je specjalnie dla pani - inna pora jest mi niezwykle nie na rękę, ale oczywiście dostosuję się, jeśli tak pani wygodniej... Beatrice, moja droga, jeśli nie może pani przyjść, będę musiał umówić się inaczej, nie chciałbym przeszkadzać pani w zajęciach...

Zajęło to mnóstwo czasu. Niepotrzebnie, ponieważ skutek był przesądzony z góry.

Otworzył zamkniętą na klucz walizkę, by schować listy Randolpha Henry'ego Asha do chrzestnej córki - a przynajmniej ich reprodukcje - po czym wyciągnął te inne fotografie, których zbiór był duży i urozmaicony o tyle, o ile dało się zróżnicować - pod względem barwy ciała, kąta ujęcia lub szczegółu - zajęcia tak w swej istocie proste. Mortimer Cropper miał własne sposoby sublimacji.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Męczennikiem Można być w pałacu,

Na pustyni, w katedrze

I na Miejskim Placu.

Lecz nam jest przeznaczone

Bez zbytniego Znoju Długie Życie

Wysnuwać Gdzieś w Ciemnym Pokoju

Christabel LaMotte

Kiedy ludzie myśleli o Beatrice Nest - a działo się tak nader rzadko - ich wyobraźnię zaprzętała jej wygląd zewnętrzny, nie zaś życie wewnętrzne. Była niewątpliwie kobietą masywną, lecz amorficzną, o ciele bujnym i obfitym, wezbranych od siedzenia biodrach i rozłożystym biuście, nad którym rozpościerała się pogodna twarz, zwieńczona jakby czapeczką z angory, a właściwie grubym, wełnistym splotem kędzierzawych białych włosów, zebranych w kok, skąd na wszystkie strony wymykały się niesforne kosmyki. Ci, którzy ją znali i myśleli o niej częściej - Cropper, Blackadder, Roland, lord Ash - czasem uzupełniali ten opis metaforycznym przymiotnikiem. Cropper, jak już wspomniano, myślał o niej w kategoriach odpornej białej owcy Lewisa Carrolla. Blackadder, będąc w złym humorze, postrzegał ją jako obrzękłą białą pajęczycę, wyblakłą w ciemności, wędrującą ze swego legowiska wzdłuż pajęczej zdradliwej nici. Feministki, które czasem szukały dostępu do „Dzienników”, widziały w niej strażniczkę ośmiornicę, Fafnir* oceanu, zwiniętą drętwo wokół swego łupu i stawiającą zasłony atramentu lub wodnego dymu, aby ukryć miejsce pobytu.

Istniały wszakże kiedyś osoby, które dobrze, wręcz wyjątkowo dobrze znały Beatrice. Profesor Bengt Bengtsson. Była jego studentką w niespokojnych latach 1938-1941, gdy uczniowie przeobrażali się w żołnie-

rzy, padały bomby i brakowało żywności. Niektóre kobiety w owych latach doświadczyły nieoczekiwanej frywolności i swobody; Beatrice doświadczyła profesora Bengtssona.

Rządził Wydziałem Anglistyki w Prince Albert College. Jego pierwszą miłość stanowiły Eddy** i mitologia staroskandynawska, a więc Beatrice zaczęła je studiować. Studiowała także filologię, język anglosaski, runy i średniowieczną łacinę. Czytała Masefielda, Christinę Rossetti i Waltera de la Mare***. Bengtsson orzekł, iż powinna również przeczytać „Ragnaröka”, gdyż jak na swoją epokę R.H. Ash był nie lada uczonym i uważano go za prekursora poezji współczesnej.

Bengtsson był wysoki, kościsty, brodaty; miał ognisty wzrok i więcej energii i żywotności, niż potrafił zużytkować, ucząc młode panienki finezji źródłosłówów nordyckich. Jednakże nie kierował tej energii na ich dusze ani - broń Boże - ciała, lecz marnotrawił ją co dzień w barze „Pod herbem Arundel” wśród podobnych sobie kompanów. Rankami bywał kościanoblady i połyskliwy pod strzechą blond włosów; popołudnia zastawały go w dusznym gabinecie, czerwonego, mamrocącego, dyszącego piwem.

Beatrice przeczytała poematy „Ragnarök” i „Ask do Embli”, zdobyła wyróżnienie i zakochała się w Randolphie Henrym Ashu. Niegdyś miłości takie zdarzały się dość często. „Istnieją poeci - pisała w pracy dyplomowej - których wiersze miłosne nie są pochwałą ani skargą, adresowaną do jakiejś odległej damy, lecz stanowią przykład prawdziwej rozmowy między kobietą i mężczyzną. Takim jest John Donne, choć w pewnych nastrojach oczernia on całą naszą pleć. Takim, w szczęśliwszych okolicznościach, mógł być Meredith. Krótka próba przywołania nazwisk innych autorów «poezji miłosnej», którzy oczekiwaliby od swej wybranki inteligentnej wzajemności, upewnia nas o wyjątkowości Randolpha Henry'ego Asha. Jego cykl «Ask do Embli» opisuje intymność, sprzeciw lub niemożność porozumienia we wszystkich stadiach, lecz zawsze pozostawia czytelnika przekonanym o prawdziwej, myślącej i czującej obecności adresatki”.

* Fafnir (mit. skand.) - złowieszcza smoczyca, strzegąca skarbu (przyp. tłum.).

** Eddy - nazwa nadana dwóm islandzkim zbiorom wczesnej mitologii skandynawskiej (przyp. tłum.).

*** John Masefield (1878-1967), Walter de la Mare (1873-1956) - poeci, dramaturdzy i krytycy angielscy (przyp. tłum.).

Beatrice nie znosiła pisać. Jedynym słowem, z jakiego była dumna w powyższym, poprawnie nudnym wywodzie była „rozmowa”, które wołała od bardziej oczywistego „dialogu”. W tamtych czasach za taką rozmowę byłaby oddała wszystko. Lektura wierszy Asha, czuła to niejasno, stanowiła krótki, bolesny i chyba zakazany wgląd w to, czym może być połączenie cywilizowanej mowy z nagą namiętnością, połączenie, którego, zda się, wszyscy musieli pragnąć, a którego nikt w jej małym światku - ani poważni rodzice metodyści, ani pani Bengtsson, prezesująca uniwersyteckiemu Klubowi Kobiet, ani koleżanki, przejęte zaproszeniami na tańce lub wista - zdawał się nie posiadać.

My dwoje świat nasz stwarzamy na nowo, Wspólnie dając mu nazwę; wiemy także, Co słowa znaczą dla nas i dla innych, Dla których chłodna mowa to rzecz zwykła - Lecz my mówimy: drzewo, rzeka, gwiazda, Płomień w powietrzu - słońce, nasze słońce, Słońce każdego, lecz teraz i tutaj Szczególnie nasze słońce...

Ash mówił do niej Beatrice, a ona go słyszała. Nie spodziewała się usłyszeć takich rzeczy od nikogo innego i w istocie nikt nigdy tak do niej nie przemówił. Powiedziała profesorowi Bengtssonowi, że chciałaby napisać pracę doktorską na temat „Aska do Embli”. Miał duże wątpliwości. To niepewny teren, trochę jak sonety Szekspira. Czy panna Nest sądzi - czy ma pewność - że wniesie jakiś wkład do nauki? Jedyne bezpieczny doktorat, zdaniem profesora Bengtssona, to była redakcja, ale w takim razie doprawdy nie polecał R.H. Astia. Miał jednak przyjaciela, który znał lorda Asha, który to lord złożył pozostałe po poecie dokumenty w Muzeum Brytyjskim. Wiadomo było, że Ellen Ash prowadziła dziennik. O, *taka* redakcja, to zadanie odpowiednie - coś niewątpliwie nowego, skromnie pożytecznego, wykonalnego, no i związanego z Ashem. Kiedy panna Nest zakończy tę pracę, wówczas będzie świetnie przygotowana, by się rozwinąć...

* Owen Meredith - pseudonim literacki Edwarda Roberta Bulwera hr. Lytton (1831-1891), wicekróla Indii, znanego z wielkiego, acz niezbyt wysoko cenionego dorobku poetyckiego (przyp. tłum.).

I tak się stało. Panna Nest usiadła niepewnie przed stertą pudeł wypełnionych papierami - listami, spisami z pralni, księgami wydatków domowych, tomami dziennika i innymi, cieńszymi zeszytami, zawierającymi utwory bardziej przypadkowe. Co miała nadzieję osiągnąć? Być może chciała znaleźć się bliżej autora tamtych wierszy, właściciela owego świetnego umysłu i namiętnej natury?

Dzisiaj Randolph czytał mi na głos sonety Dantego z jego „Vita Nuova”. Są naprawdę piękne. Randolph ukazał mi prawdziwie męską energię i wigor włoszczyzny Dantego oraz duchową moc, właściwą jego pojmowaniu miłości. Nie sądzę, byśmy kiedykolwiek znużyli się tymi utworami geniuszu.

Randolph co dzień czytał żonie na głos, kiedy mieszkali pod jednym dachem. Młoda Beatrice Nest usilnie próbowała wyobrazić sobie dramatyczny efekt owych lektur, w czym mętny, przymiotnikowy entuzjazm Ellen Ash bynajmniej jej nie pomógł. W reakcjach żony Asha była jakaś miła, posłuszna, ogólnikowa słodycz, która z początku nie podobała się Beatrice, lecz którą, zagłębiając się w badaniach, nauczyła się później traktować jako naturalną. Ale wtedy zdążyła już odkryć inne, mniej nijakie tony.

Nigdy nie mogę się dość nachwalić niezmiennej dobroci i wyrozumiałości, z jakimi Randolph traktuje moje słabości i niedostatki.

Takie lub tym podobne słowa powtarzały się na stronicach dziennika regularnie niczym bicie dzwonu. Jak to się zwykle zdarza na początku długotrwałych zajęć lub znajomości, Beatrice przeżyła okres jasnej obserwacji i bezosobowej oceny, kiedy to sądziła, że dostrzega, iż Ellen Ash jest rozwlekła i nudna. Ale wkrótce się wciągnęła i zaczęła spędzać z wyczerpaną Ellen długie dni w zaciemnionych pokojach, martwić się skutkami pleśni na dawno zwiędłych, damasceńskich różach i współczuć rozterkom uciśnionych wikarych. Ta egzystencja stała się dla niej ważna, a gdy Blackadder sugerował, że Ellen nie była najwłaściwszą partnerką dla człowieka tak ciekawego wszystkich form życia, w Beatrice wzbierała głucha zawziętość. Zaczęła również uświadamiać sobie tajemnicę prywatności, którą Ellen, mimo swej zwykłej, codziennej wylewności, można rzec, iż starała się chronić.

Nie było w tym wszystkim doktoratu. Być może feministki lub jakiś lingwista, badający eufemizmy i niedomówienia, czegoś by się doszukali, ale panna Nest została wykształcona, by tropić wpływy i ironię, a tych znalazła niewiele.

Profesor Bengtsson zaproponował, by spróbowała porównać kwalifikacje Ellen Ash jako żony z Jane Carlyle, lady Tennyson i panią Humphry Ward*. Pani musi publikować, panno Nest - mówił profesor Bengtsson, polyskując poranną, lodowatą determinacją. Nie mogę pani zatrudnić, panno Nest, nie mając dowodów, że pani się nadaje - mówił profesor Bengtsson - i panna Nest w ciągu dwóch lat napisała małą książeczkę „Pomocnice” o życiu codziennym żon geniuszy. Profesor Bengtsson zaproponował jej stanowisko adiunkta. Ta posada napawała ją wielką radością i przerażeniem zarazem, przy czym radość była chyba większa. Prowadziła dyskusje ze studentami, głównie płci żeńskiej; w latach pięćdziesiątych nosiły szerokie spódnice i szminek na ustach, w latach sześćdziesiątych - spódniczki mini i powiewną indyjską bawełnę, w latach siedemdziesiątych - czarną pomadkę i fryzury spiętrzone w stylu preraphaelitów; pachniały szamponem dziecięcym, perfumami blue grass, marihuaną, piżmem, czystym feministycznym potem, kształtem sonetu poprzez wieki, naturą liryki, zmiennym obrazem kobiety. To były dobre dni. O złych, które nadeszły później, jeszcze zanim przeszła na wczesną emeryturę, nie miała ochoty myśleć. Teraz już nigdy nie przekraczała progu swego starego college'u. Profesor Bengtsson w 1970 roku zrezygnował z pracy, a w 1978 zmarł.

Jej życie prywatne było minimalne. W 1986 roku już od wielu lat mieszkała w małym domku w Mortlake, gdzie początkowo podejmowała grupki studentów, co jednak zdarzało się coraz rzadziej, bowiem z chwilą, gdy Blackadder zastąpił Bengtssona, poczuła, że dla działalności wydziału jej osoba nie ma już znaczenia. Od 1972 roku nikt u niej nie bywał. Przedtem odbywały się tu przyjęcia z kawą, ciastkami, butelką słodkiego białego wina i ożywioną dyskusją. Dziewczyny z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych uważały, że im matkuje; późniejsze pokolenia zakładały, że jest lesbijką, a nawet - ideologicznie - że jest lesbijką stłumioną i nienawróconą. W rzeczywistości jej myśli na temat własnej seksualności były zdominowane świadomością ogromnego, nieznośnego masywu piersi. W młodości nosiła je spłaszczone i nieskrępowane pod luźnymi tunikami i sukienkami, czekając, aż mięśnie rozwiną się same, co wówczas zalecały najlepsze autorytety medyczne, a co sprawiło tylko, że piersi obwisły i rozciągnęły się nieodwracalnie. Być może inna kobieta pokazywałaby je, dumnie spiętrzone, wspaniale ukształtowane wokół dekoltu. Beatrice Nest właczała swój biust w bezkształtny, babcinowy gorsetostanik, na który naciągała ręcznie robione swetry, ozdobione rzędami dziurek w kształcie łez, rozłazających się trochę na jej obfitych kształtach. Leżąc nocą w łóżku, czuła, jak biust opada bezwładnie na bok ponad jej szeroką klatkę piersiową; zamknięta w komórce z Ellen Ash muskała krawędź stołu jego żywym, wełnianym, ciepłym ciężarem. Postrzegając się jako groteskowo obrzmiała, spoglądała skromnie w dół i nigdy nie patrzyła nikomu w oczy. Tym właśnie ciężkim półkulom zawdzięczała swą reputację osoby macierzyńskiej, co stanowiło ocenę pochopną i stereotypową, wedle której również jej okrągła twarz i różowe policzki były oznaką dobrotliwego usposobienia. Jednak gdy doszła do pewnego wieku, to, co odczytywano jako dobrotliwe, zaczęto równie arbitralnie odczytywać jako „zagrożające i represyjne”. Beatrice z początku dziwiła się pewnym zmianom, jakie zaszły w zachowaniu jej kolegów i studentów. A potem je zaakceptowała.

* Pani Humphry Ward (1851-1920), ur. Mary Augusta Arnold - konserwatywna powieściopisarka angielska, zajmująca się problemami społecznymi (przyp. tłum.).

W dniu, w którym Mortimer Cropper zaprosił ją na obiad, złożył jej wizytę Roland Mitchell.

- Nie przeszkadzam, Beatrice? Beatrice uśmiechnęła się automatycznie.

- Nie, niespecjalnie. Rozmyślałam sobie.

- Trafiłem na coś - może mogłabyś mi pomóc. Nie wiesz przypadkiem, czy Ellen Ash wspomina gdzieś o Christabel LaMotte?

- Nic takiego nie pamiętam - odparła Beatrice z uśmiechem, jakby jej niepamięć załatwiała sprawę. - Chyba nie. Nie.

- Czy można to jakoś sprawdzić?

- Jest kartoteka indeksowa.

- Byłbym ogromnie wdzięczny.

- Czego dokładnie szukamy?

Roland doświadczył częściej u siebie pokusy, by dźgnąć, szturchnąć lub zaskoczyć Beatrice, która siedziała, monumentalna i nieruchoma, z irytującym uśmiechem na ustach.

- Właściwie czegokolwiek. Znalazłem dowody, że Ash interesował się LaMotte. Jestem ciekaw.

- Mogłabym zerknąć do mojej kartoteki. W porze obiadu przyjdzie profesor Cropper.

- Jak długo zostanie tym razem?

- Nie wiem. Nie mówił. Powiedział, że przyjdzie prosto z Christie's.

- Może ja zajrzę do kartoteki, Beatrice?

- Och, lepiej nie, tam jest bałagan. Mam swój system zapisu, no wiesz, Rolandzie. Chyba najlepiej sama sprawdzę. Przynajmniej rozumiem swoje hieroglify.

Włożyła okulary do czytania, zwisające na pozłacanym łańcuszku nad przyczyną jej wiecznego zakłopotania. Teraz już w ogóle nie widziała Rolanda - sytuacja, która odpowiadała jej odrobinę bardziej, albowiem wszystkich pracujących na wydziale osobników płci męskiej postrzegała jako prześladowców i nie była świadoma, że Roland ze swą chwiejną pozycją z trudem kwalifikował się jako pełnokrwisty wydziałowy samiec. Zaczęła przesuwać przedmioty na biurku: ciężką torbę do robótek o drewnianych rączkach, kilka poszarzałych paczek nigdy nieotwieranych książek. Za nimi stał barbakan pudełek z fiszkami, mocno zakurzonych i odrapanych ze starości, w których zaczęła gmerać, mruczając do siebie.

- Nie, to jest chronologiczne... tu są tylko ulubione lektury... nie, to dotyczy prowadzenia domu... Gdzie jest pudełko główne? Nie zawiera indeksu wszystkich zeszytów, rozumiesz, zrobiłam tylko niektóre, tyle tego jest, że musiałam rozdzielić je chronologicznie pod różnymi hasłami... tu mamy rodzinę Caverleyów, nie, nic z tego... o, to może być to... Nie ma nic pod LaMotte. Nie, czekaj chwilę. Proszę. Odsyłacz. Potrzebne nam pudełko z lekturami. Bardzo teologiczne te lektury. Wygląda na to - wyciągnęła sfatygowaną, pożółkłą fiszkę, z atramentem rozpluwającym się po nierównej powierzchni - wygląda na to, że w 1872 roku czytała „Wróżkę Meluzynę”.

Odłożyła fiszkę do pudełka i znów usadowiła się na krześle, patrząc na Rolanda ze zwykłym, mglistym uśmiechem zadowolenia. Roland miał uczucie, iż zeszyty aż się jeżą od nieznanymi zapisków o Christabel LaMotte, którym udało się prześliznąć przez sieć kategorii Beatrice. Powtórzył uparcie:

- Sądzisz, że mógłbym zobaczyć, co napisała? To może być... - odrzucił słowo „ważne” - ciekawe, zwłaszcza dla mnie. Nigdy nie czytałem „Meluzyny”. Zdaje się, że odżywa zainteresowanie tym utworem.

- Próbowałam raz czy dwa, dawno temu. Ogromnie rozwlekłe i niezrozumiałe. Gotyk, no wiesz, wiktoriański, miejscami trochę zbyt makabryczny jak na damski poemat...

- Beatrice - czy mógłbym chociaż rzucić okiem na to, co napisała pani Ash?

- Zaraz zobaczę - Beatrice wstała od stołu. Wsadziła głowę w metalową ciemność szafki w kolorze kha-ki, kryjącej kolejne roczniki „Dzienników”. Roland wpatrzył się w jej ogromny zad, obciążony tweedem w jodełkę. - Czy mówiłam 1872? - zawołała Beatrice ze środka rezonującego pudła. Niechętnie wyciągnęła odnośny tom, oprawny w skórę, z marmurkowymi wyklejkami w kolorach szkarłatu i fioletu, i, odgradziwszy się nim od Rolanda, zaczęła przewracać strony.

- Tutaj - oznajmiła wreszcie. - Listopad 1872. Tutaj się zaczyna. Przeczytała głośno:

- „Dziś rozpoczęłam lekturę «Wróżki Meluzyny», którą kupiłam sobie w poniedziałek u Hatcharda. Cóż to takiego? Na razie przeczytałam tylko dość długi wstęp, który znajduję nieco pedantycznym. Później dotarłam do spotkania rycerza Raimondina i jego lśniącej damy przy Fontaine de Soif*, które spodobało mi się znacznie bardziej. Panna LaMotte posiada niewątpliwy dar przyprawiania mnie o dreszcze”.

- Beatrice...

- Czy o to ci...?

- Beatrice, czy mógłbym przeczytać to sam i zrobić notatki?

- Nie wolno wynosić tego z pracowni.

- Mógłbym przycupnąć przy narożniku twego biurka. Bardzo bym ci przeszkadzał?

- Nie, chyba nie - rzekła Beatrice. - Weź to krzesło, tylko zdejmę te książki...

* *Fontaine de soif (fr.)* - źródło pragnienia.

- Pozwól, że ja to zrobię.

- Gdybym uprzątęła ten kawałek, mógłbyś usiąść naprzeciwko mnie...

- Rzeczywiście. Dziękuję.

Właśnie robili miejsce dla Rolanda, kiedy w drzwiach pojawił się Mortimer Cropper, swą gładką elegancją sprawiając, że wszystko wokół wydało się jeszcze bardziej obskurne.

- Panno Nest, jak miło znów panią widzieć. Mam nadzieję, że nie przyszedłem za wcześnie. Mogę wrócić później...

Beatrice wpadła w popłoch. Sterta papierów z westchnieniem osunęła się na bok i rozłożyła wachlarzem na podłodze.

- Ojej. Byłam już gotowa, profesorze, całkiem gotowa, ale pan Mitchell chciał zapytać... dowiedzieć się...

Cropper zdjął bezkształtny prochowiec Beatrice z wieszaka i trzymał go w pogotowiu.

- Miło pana widzieć, Mitchell. Jakież postępy? Co pan chciał wiedzieć?

Jego wyrazista twarz stanowiła obraz czystej ciekawości.

- Tylko sprawdzam, czy Ash czytał pewne wiersze.

- Ach, tak. Jakie wiersze?

- Roland pytał o Christabel LaMotte. Nie mogłam nic sobie przypomnieć... ale okazało się, że jest mała wzmianka... posiedź tutaj, Rolandzie, a ja pójdę na obiad z profesorem Cropperem, tylko postaraj się nic nie przekładać na moim biurku i obiecaj, że nic stąd nie wyniesiesz...

- Potrzebuje pani pomocy, panno Nest. To zbyt ogromne zadanie dla pani.

- Och, nie. O wiele lepiej radzę sobie sama. Nie wiedziałabym, co począć z czyjąś pomocą.

- Christabel LaMotte - powiedział Cropper zamyślony. - Jej fotografia jest w Kolekcji Stanta. Bardzo błada. Nie jestem pewien, czy to skutek albinizmu, czy defekt odbitki. Pewnie to drugie. Sądzi pan, że Ash się nią interesował?

- Tylko marginalnie. Właśnie to sprawdzam. Dla porządku.

Kiedy Cropper wyprowadził wreszcie swą podopieczną, Roland usiadł przy narożniku biurka i odwrócił stronicę „Dzienników” żony Randolpha Asha.

Ciągle zajmuje mnie lektura „Meluzyny”. Dokonanie godne podziwu. Dotarłam do VI Księgi „Meluzyny”. Sądzę jednak, że ambitne, kosmiczne roztrząsania źle pasują do baśniowego charakteru poematu.

Nadal czytam „Meluzynę”. Jaka pieczołowitość, jaka pewność została włożona w jej zamysł. Mimo wieloletniego pobytu w naszym kraju światopogląd panny LaMotte pozostaje zasadniczo francuski. Aczkolwiek nic w tym pięknym i śmiałym poemacie nie może budzić zastrzeżeń, zwłaszcza jego moralność.

A potem, kilka stron dalej, zdumiewający i nietypowy wybuch:

Dziś odłożyłam „Meluzynę”, dotarłszy z drzeniem do końca tego wspaniałego dzieła. Cóż mam rzec? To rzecz prawdziwie oryginalna, aczkolwiek szeroka publiczność zapewne z trudem uzna jej genialność, bowiem nie czyni ona żadnych ustępstw wobec słabości wulgarnej imaginacji, jej zalety zaś - przynajmniej w pewnych względach - daleko odbiegają od cnót, których świat spodziewa się od płci słabszej. Brak tu omdlewających sentymentów, nieśmiałej czystości, brak damskiej urękawiczonej dłoni, lekko głaszczącej wrażliwość czytelnika; jest natomiast żywa wyobraźnia, siła i wigor. Jakże mam to opisać? To jak ogromny, misternie utkany kobierzec, wiszący w ciemnej sali z kamienia, na którym najprzedziwniejsze ptaki, zwierzęta, elfy i demony wypełzają z ciernistych zarośli, a czasem także i z kwitnących sadów. W mroku jaśnieją plamy złota, światło słoneczne i księżycowe, błyszczą klejnoty, ludzkie włosy, rybia łuska. Migocą płomienie, mieniają się fontanny; wszystkie żywoły są w wiecznym ruchu, ogień pożera, woda bieży, powietrze żyje, ziemia się obraca... Przyszły mi na myśl gobelinowe polowania z „Opowieści wolnego kmięcia” czy „Królowej wróżek”, gdzie patrzący widzi, jak utkana wizja z wolna ożywa pod jego zadziwionym okiem, a miecz wyobrażony toczy prawdziwą krew, a wiatr wzdycha w przedstawionych drzewach...

A cóż mam powiedzieć o scenie, w której mąż, człowiek małej wiary, przez wywierconą dziurkę podgląda swoją małżonkę - Syrenę - igrającą w cebrzyku wody? Gdyby mnie kto pytał, odparłabym, że scenę tę lepiej pozostawić wyobraźni, jak Coleridge pozostawił jej swoją Geraldine, „widok, o którym śnić trzeba, nie

zaś mówić"*. Panna LaMotte jednakże mówi bardzo wiele, choć opis jej może być za mocny dla niektórych żołądków, zwłaszcza panien angielskich, upatrujących we wróżkach jedynie wdzięku.

* Aluzja do wiersza S.T. Coleridge'a „Christabel” (przyp. tłum.).

Wróżka Meluzyna jest piękna, straszna i tragiczna;

Wróżka Meluzyna w ostatecznym rachunku jest - nieludzka.

Pokrętnym mięśniem smoczego ogona

Wciąż biła kąpiel na pył diamentowy

Aż ciężkiej wody mgiełka roztańczona

Złamała światło w powietrzu matowym.

Jej Pan znał dobrze śnieżnopięknę ciało

Wzór żyłek sinych pod skórą jej białą

Lecz w srebrnej łusce nie dostrzegł urody

Ani w błękitnej pławie w bryzgach wody...

Być może najbardziej zdumiewające jest to, że wąż jest piękny.

Roland porzucił wszelką myśl o obiedzie, aby przepisać ten ustęp, przede wszystkim dlatego, że chciał dać go do przeczytania Maud - na pewno byłaby podniecona, widząc taki entuzjizm damy z epoki dla podziwianego utworu - lecz również dlatego, że zdumiał go nadzwyczajny szacunek żony Asha dla kobiety, którą już uważał za jego kochankę. Przepisawszy ten fragment, przerzucił leniwie stronę.

Ostatnie lektury z jakiegoś powodu przywiodły mi na myśl czasy, gdy byłam młodą dziewczyną, czytelniczką wzniosłych Romansów, widzącą siebie to jako nieskazitelną Ginewrę, przedmiot adoracji rycerzy, to znów jako autorkę Opowieści. Ja, która chciałam być zarówno Poetą i Poematem, teraz nie jestem ani jednym, ani drugim, a tylko panią bardzo małego gospodarstwa, złożonego z jednego starszawego poety (o ustalonych zwyczajach, które są miłe, łagodne i nie dają powodów do niepokoju), mnie samej oraz niezbyt kłopotliwej służby. Co dzień widzę, jak zmęczone są Patience i Faith nieustanną troską o swe młode, a jednak promienieją miłością i nie szczędzą zabiegów o ich dobro. To już nie tylko matki, ale i babki, uwielbiane i uwielbiające. Ja sama odkrywam ostatnio, że naszedł mnie podstępnie niezwykle wigor (po latach niewymownych cierpień z powodu migreny i wyczerpania nerwowego). W rzeczy samej, budzę się rześka i szukam wkoło, czym by się tu zająć. Mając lat sześćdziesiąt, wspominam żywe ambicje młodej dziewczyny z dziekanatu katedry, która wydaje się kimś innym teraz, gdy ubrana w księżycowo-muślinową suknię tańczy w mojej wyobraźni, lub też, siedząc w łódce, podaje dżentelmenowi dłoń do pocałunku.

Mam wrażenie, że w coś utrafiłam, pisząc, iż zamierzałam być zarazem Poetą i Poematem. Może być, że jest to pragnienie wszystkich czytających kobiet - w przeciwieństwie do czytających mężczyzn, którzy wprawdzie chcą być poetami i herosami, lecz w naszej spokojnej epoce wystarczający heroizm widzą w samym układaniu wierszy. Nikt nie pragnie, aby mężczyzna został Poematem. Ale tamta młoda dziewczyna w muślinie poematem była; wszak kuzyn Ned napisał ohydny sonet o dziewiczej słodyczy jej twarzyczki i instynktownej

dobroci, widocznej w jej chodzie. Teraz jednak myślę, że może było lepiej trwać przy pragnieniu zostania Poetą? Nie pisałabym tak dobrze jak Randolph, ale też nie dorównał mu nikt inny, więc chyba nie warto było upatrywać w tym przeszkody.

Zapewne, gdybym uczyniła jego życie trudniejszym, byłby pisał mniej obficie i swobodnie. Nie twierdę, iżbym była akuszerką geniuszu, ale jeżeli nie ułatwiałam, to przynajmniej - inaczej niż wiele kobiet - nie przeszkadzałam. To bardzo mała zasługa, którą sobie przypisuję - niewielkie osiągnięcie, na którym opieram swe życie. Randolph, gdyby to czytał, przegoniłby śmiechem ponure wątpliwości, orzekłby, że nigdy nie jest za późno, upchnąłby swą olbrzymią wyobraźnię w maleńkiej, ślimaczej muszli mego przyływu energii i powiedziałby, co należy robić. Ale nigdy tego nie zobaczy, ja zaś znajdę sposób, by stać się czymś więcej - no i masz, teraz płaczę, jak płakałaby tamta dziewczyna. Dość.

Roland wymknął się z Fabryki Asha; chciał pójść do domu, zanim Cropper lub Blackadder zdążą wrócić z obiadu i zadać mu kilka niewygodnych pytań. Zły był na siebie za stworzenie sytuacji, w której Cropper mógł poznać nazwisko Christabel. W bystrym, czujnym umyśle profesora nic się nigdy nie marnowało.

W suterenie w Putney panowała cisza, przez swój koci odór uwikłana w zmysłowy związek z Muzeum Brytyjskim. Zima zbliżała się mrocznie i na ścianach wykwitła jakaś pelzająca forma życia. Trudno było ogrzać pomieszczenie. Z braku centralnego Roland i Val musieli uzupełniać jedyny gazowy palnik piecykami olejowymi i zapach benzyny mieszał się z zapachem kotów i łagodnego grzyba. Był to zapach benzyny zimnej, nierozgrzanej, Roland nie poczuł też zapachu gotowania, smażonej cebuli lub ostrej przyprawy curry. Val zapewne musiała wyjść, a nie mogli sobie pozwolić na to, by piecyk w korytarzu palił się pod jej nieobecność.

Nie zdejmując palta, poszukał zapałki. Palnik znajdował się w kominie, za pogiętymi drzwiczkami, zrobionymi z popękanego, rogowego tworzywa, trzeszczącego i szerniałego od dymu. Roland odkręcił zawór i przytknął płomień do małego knota, który zajął się z cichym hukiem. Szybko zmniejszył przepływ, produkując równy, niebieski półksiężyc ognia; w jego czystym błękicie, splamionym smugami zieleni i gęstniejącym fioletem, było coś pradawnego i magicznego.

Na stoliku w holu leżał mały stosik listów. Dwa do Val - jeden z adresem zwrotnym - trzy do niego: prośba o zwrot książki do biblioteki, kartka z uczonego czasopisma, potwierdzająca odbiór artykułu, i list, adresowany nieznanym, odręcznym pismem.

Drogi doktorze Mitchell,

mam nadzieję, że nie uznał Pan naszego milczenia za nieuprzejmość lub coś jeszcze gorszego. Mój mąż zasięgnął informacji, tak jak zapowiadał. Konsultował się z prawnikiem, pastorem i naszą najmilszą przyjaciółką Jane Anstey, która jest emerytowanym bibliotekarzem okręgu. Żadna z tych osób nie udzieliła nam konkretnej rady, jednak panna Anstey bardzo pochlebnie wyrażała się o pracy dr Bailey i o archiwum, którym dr Bailey się zajmuje. Uważa, że pozwolenie dr Bailey na przeczytanie naszych skarbów i wydanie o nich wstępnej opinii jest jak najbardziej właściwe - zwłaszcza że to ona je znalazła. Postanowiłam napisać również do Pana, bowiem był Pan przy tym obecny i wyrażał zainteresowanie Randolphem Henrym Ashem. Czy zechciałby Pan przyjechać i przejrzeć te dokumenty razem z dr Bailey lub, jeśli zajęłoby to Panu zbyt wiele czasu, zaproponować kogoś na swoje miejsce? Rozumiem, że dla Pana, mieszkańca Londynu, przyjazd jest trudniejszy niż dla dr Bailey, która mieszka tak dogodnie blisko Croysant le Wold. Mogę zaoferować Panu gościnę na kilka

dni - choć to również wiąże się z trudnościami, gdyż jak Pan pamięta, zajmujemy wyłącznie parter, a w naszym starym domu jest teraz fatalnie zimno. Co Pan o tym sądzi? Ile czasu, Pana zdaniem, zajmie Wam ocena naszego znaleziska? Czy tydzień wystarczy? Mamy gości na święta, ale nikogo w Nowy Rok - czy w tym czasie miał Pan ochotę na wypad na wyżynę Lincolnshire?

Nadal jestem wdzięczna za Pana uprzejmą i skuteczną pomoc na tamtym zboczach. Proszę dać znać, jak, Pana zdaniem, najlepiej postąpić.

Szczerze oddana Joan Bailey

Roland poczuł kilka rzeczy naraz. Pierwotne uniesienie - ożywiona wizja pliku martwych listów nadleciała z poszumem, jakby rozwijał skrzydła jakiś wielki, ciepły orzeł. Rozdrażnienie z powodu przewagi, jaką Maud Bailey zdawała się osiągać w całej sprawie, rozpoczętej jego odkryciem i kradzieżą listu. Praktyczny, wyrachowany niepokój, jak przyjąć owo półzaproszenie, nie ujawniając własnego skrajnego ubóstwa, przez które mógłby wydać się kimś niedostatecznie ważnym, niegodnym powierzenia mu lektury korespondencji. Obawa przed Val. Obawa przed

Maud Bailey. Obawa przed Cropperem, Blackadderem, a nawet Beatrice Nest. Zastanowiło go, dlaczego lady Bailey sądzi, że do czytania listów chciałby zaproponować inną osobę - byłże to żart, głupota czy cień niepewności co do niego samego? W jakim stopniu przyjazna była jej wdzięczność? Czy Maud życzyła sobie, aby czytał listy wraz z nią?

Powyżej głowy, na poziomie ulicy dostrzegł ostry błotnik szkarłatnego porsche, zawiadiacką pletwę przy górnej framudze okna. Następnie pojawiła się para butów z bardzo miękkiej, czystej, połyskliwe czarnej skóry, nad nimi nienagannie zaprasowane, wełniane grafitowe nogawki w delikatne jaśniejsze paseczki, a jeszcze wyżej dolna część świetnie skrojonej marynarki, pod czernią której ujawniła się szkarłatna jedwabna podszewka i płaski, muskularny brzuch, okryty białą koszulą w drobne czerwone prążki. Następnie ujrzał nogi Val w granatowych pantoflach i bławatkowych pończochach poniżej wiotkiego obrąbka miękkiej musztardowej sukni w wielkie, księżycowe, błękitne kwiaty. Dwie pary stóp zbliżyły się do siebie i oddaliły, oddaliły i znów zbliżyły, męskie jakby napierając w stronę schodków do suterenu, kobiece - zagradzając, odpychając. Roland otworzył drzwi i wyszedł na podest, najbardziej pobudzony tym, co zwykle - czystą ciekawością, jak wygląda górna połowa.

Ramiona i pierś były takie, jak się spodziewał; krawat stanowił plecionkę z czarnego i czerwonego jedwabiu. Twarz miała kształt owalny. Pod fryzurą w stylu lat dwudziestych - krótkie boki i tył, przód dość długi, włosy czarne - widniały okulary w rogowej oprawie.

- Cześć - rzekł Roland.

- Och - powiedziała Val. - Myślałam, że jesteś w Muzeum. To jest Euan MacIntyre.

Euan MacIntyre przechylił się przez barierkę i poważnie wyciągnął dłoń w dół. Biła z niego jakaś moc; Pluton dostarczał Persefonę do bram podziemi.

- Podwiozłem Val do domu. Niezbyt dobrze się czuła. Sądzę, że powinna się położyć.

Miał jasny i dźwięczny głos, bynajmniej nie szkocki, pełen dźwięków, które Roland nieprecyzyjnie nazywał afektowanymi lub okrągłymi i które uczył się przedrzeźniać przez całe dzieciństwo; dźwięków noso-

wych, krótkich, rozciągniętych i uciętych, które wciąż jeszcze sprawiały, że wzbierała w nim wrogość klasowa. Gość najwyraźniej czekał na zaproszenie ze swobodą, która w dawnych powieściach mogła znamionować prawdziwego dżentelmena, ale dla Rolanda - i zapewne dla Val - była tylko oznaką wścibstwa i przypomnieniem ich hańby. Powoli i niepostrzeżenie Val przepłynęła na stronę Rolanda.

- Nic mi nie będzie. Dziękuję za podwiezienie.

- Proszę bardzo. - Zwrócił się do Rolanda. - Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

- Tak - powiedział Roland niewyraźnie, wycofując się w ślad za Val. Porsche pędem odjechało.

- Ma na mnie chętkę - powiedziała Val.

- Skąd on się wziął?

- Przepisuję dla niego różne rzeczy. Ostatnie wole i testamenty, akty przymierza, opinie o tym i owym. Jest prawnikiem. Firma Bloss, Bloom, Trompett i MacIntyre. Szanowana, żadnych szwindli, duże sukcesy. Kancelaria pełna zdjęć koni. Mówi, że ma na własność jedną nogę. Zaprosił mnie na wyścigi do Newmarket.

- Co powiedziałaś?

- Obchodzi cię to?

- Dzień na powietrzu dobrze by ci zrobił - powiedział Roland i natychmiast tego pożałował.

- Żebyś słyszał sam siebie. „Dobrze by ci zrobił”. Co za odrażająca protekcyjność!

- No cóż, Val, nie mam prawa cię zatrzymywać.

- Powiedziałam mu, że nie byłbyś zadowolony.

- Och, Val...

- Powinłam była powiedzieć, że masz to w nosie. Powinłam była pojechać.

- Nie widzę przeszkód.

- Ach, nie widzisz...

- Co się z nami stało?

- Za mało przestrzeni, za mało pieniędzy, za dużo kłopotów i za mało lat. Chciałbyś się mnie pozbyć.

- Wiesz, że to nieprawda. Dobrze wiesz. Kocham cię, Val. Po prostu nie umiem sprawić, żebyś się dobrze bawiła.

- Ja też cię kocham. Przepraszam, że jestem taka porywczą i podejrzliwa.

Czekała. Objął ją. Był to akt wyrachowania i woli, nie pożądania. Istniały dwa wyjścia z sytuacji, awantura lub seks, ale to drugie dawało większą szansę na wspólny obiad i wieczór spokojnej pracy, pod koniec którego będzie mógł poruszyć sprawę wyjazdu do Lincolnshire.

- Pora na kolację - powiedziała Val. Roland spojrzął na zegarek.

- Wcale nie. A poza tym, przecież to tylko od nas zależy. Pamiętasz, byliśmy kiedyś spontaniczni. Nie zwracaj uwagi na zegar. Czasem powinniśmy zadbać przede wszystkim o siebie.

Rozebrali się i przytulili, szukając ochrony przed zimnem. Z początku Roland myślał, że jednak nic z tego nie będzie; są rzeczy, których nie można dokonać siłą woli. Wspomnienie ciepłych piór jego listu-orla sprawiło, że coś drgnęło, ale Val powiedziała: „Naprawdę nie chcę nikogo, tylko ciebie” - i znów prawie opadło. Skupił się na obrazie kobiety w bibliotece, nie nagiej, lecz ubranej w obszerny strój, spowitej w szelest jedwabi i halek, z palcem zgiętym w miejscu, gdzie obcisły, czarny stan stykał się ze sprężystą spódnicą; kobie-

ty o słodkiej i smutnej twarzyczce, w sztywnym kapturku, okalającym gęste loki. Ellen Ash, odtworzona ze szkicu Richmonda, zreprodukowanego w „Wielkim brzuchomówcy” Croppera. Wszystkie kobiety Richmonda mają rodzajowe usta, mocne, ładne, pełne i poważne - zmienne, lecz sugerujące pewien typ idealny. Powstała w jego mózgu wizja tej kobiety, pół fantazji, pół rotograwiury, odniosła pożądany skutek. Przynieśli sobie nawzajem pociechę. Później się zastanowi, jak zapytać o Lincoln, nie mówiąc dokładnie ani gdzie się wybiera, ani po co.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Cały dzień śnieg padał

Całą noc padało

Mój cichy parapet

Zawiany na białe

A wewnątrz - Istota Pióra stroszy śmiało

Twarz ma śnieżną całą

I oczy ze Złota Darem jej - Pieszczota.

Christabel LaMotte

Patrzyli na siebie ponad pakietami listów. W bibliotece panowało przejmujące zimno; Roland czuł się tak, jakby już nigdy nie miał się rozgrzać, i tęsknie rozmyślał o częściach garderoby, których nigdy nie miał okazji nosić: wełnianych rękawiczkach, długich kalesonach, czapkach kominiarek. Wczoraj rano Maud wyjechała, ale wróciła, zanim skończyli śniadanie, napięta i pełna zapału, w tweedowym żakiecie i swetrze ze szkockiej wełny. Lśniące włosy, odsłonięte wieczorem przy kolacji w chłodnej sali Baileyów, dziś znów spowijał zielony, jedwabny, ciasno zamotany szal.

Sklepiony sufit kamiennej, wyniosłej biblioteki zdobił gęszcz rzeźbionego listowia, nad czysto zamiecionym, ogromnym kominkiem widniał wyryty herb Baileyów - przysadzista wieża i mała kępa drzew. Gotyckie okna wychodziły na zmrożony trawnik; częściowo składały się z oprawnych w ołów czystych szybek, częściowo - z nasyconych barwnych witraży z Kelmscott, przedstawiających, w centralnych medalionach, złocistą warownię na zielonym wzgórzu, dokąd przez bramę w upstrzonych proporcami umocnieniach wjeżdżał konny orszak dam i rycerzy. U szczytów okien wiły się bujne zarośla szklanych róż, obsypane jednocześnie kwiatami białymi i czerwonymi oraz dojrzałymi, czerwonymi owocami. Po bokach szalała winorośl; z jej złotych łodyg, wśród krętych pędów i szerokich, żyłkowanych liści, zwisały ogromne kiście fioletowych winogron. W oszklonych szafach stały książki o skórzanych grzbietach, w równym szyku, nieruchome i pozornie nietknięte.

Środek pokoju zajmował ciężki stół o skórzanym blacie, porysowany i splamiony atramentem, a przy nim dwa skórzane fotele. Skóra, niegdyś czerwona, teraz była brązowa i krucha, z rodzaju tych, które zostawia-

ją rdzawe ślady na ubraniach siedzących. Na stole tkwił przybór do pisania: spatynowany srebrny piórnik i naczynie z zielonkawego szkła, zawierające czarny proszek.

Jane Bailey objechała stół dokoła i położyła na nim pakiety.

- Mam nadzieję, że jest wam wygodnie. Proszę, dajcie mi znać, jeżeli będziecie czegoś potrzebować. Rozpaliłabym dla was ogień, ale kominów nie czyszczono od pokoleń - obawiam się, że byście się zadusili albo poszedłby z dymem cały dom. Czy jest wam dość ciepło?

Maud, ożywiona, zapewniła, że tak. Na jej policzkach z kości słoniowej wykwitł bładny rumieniec, zupełnie jakby zimno powołało ją do właściwego życia, jakby czuła się w nim zadomowiona.

- No to zostawiam was. Marzę, by zobaczyć, jak wam będzie szło. Kawę przyniosę o jedenastej.

Z chwilą, gdy Maud wystąpiła z propozycją sposobu działania, zapanował między nimi lodowaty chłód. Postanowiła, że każde z nich przeczyta listy tego z poetów, którym jest zainteresowane, notując uwagi na fiszkach zgodnie z konwencją, jakiej używała w archiwum Ośrodka Studiów Kobiety. Roland sprzeciwił się, częściowo dlatego, że czuł się naciskany, a częściowo dlatego, że hołubił wizję - którą obecnie uważał za romantyczną i śmieszna - dwóch głów, pochylonych nad rękopisem i złączonych, jak mniemał, jednym uczuciem. Zwrócił uwagę, że postępując zgodnie z systemem Maud, utracą wszelką ciągłość narracji, na co Maud odparła z mocą, że żyją w czasach, w których ceni się narracyjną niepewność, i że w ogóle mają bardzo mało czasu, ją zaś interesuje przede wszystkim Christabel LaMotte. Roland w końcu ustąpił - czynnik czasu rzeczywiście był kluczowy.

Przez jakiś czas czytali w milczeniu, które przerwała dopiero lady Bailey, wioząca termos kawy.

- No i co?

- Proszę mi powiedzieć - zapytał Roland - czy Blanche nosiła okulary?

- Nie wiem.

- Tu jest wzmianka o migotliwych powierzchniach jej spojrzenia. Jestem pewien, że napisane jest „powierzchnie” w liczbie mnogiej.

- Może nosiła okulary, a może porównywał ją do ważki lub innego owada. Zdaje się, że czytał owadzie wiersze Christabel. W tamtych czasach ludzie mieli obsesję na punkcie owadów.

- Jak ona naprawdę wyglądała, ta Blanche?

- Nikt nie wie na pewno. Wyobrażam sobie, że była bardzo blada, ale może to ze względu na imię.

Z początku Roland pracował w zaciekawionym skupieniu, z jakim czytał wszystko, co dotyczyło Randolpha Asha. Jego ciekawość miała charakter przewidującej zażyłości; wiedział, jak działał umysł tego człowieka, czytał to samo co on, dokładnie opanował typowe dlań wzorce emfazy i składni. Potrafił wybiec myślą naprzód i usłyszeć rytm tekstu jeszcze nieprzeczytanego, niczym pisarz, który słyszy w myślach echo tego, co nie zostało napisane.

Lecz po chwili - bardzo krótkiej - obecnej lektury zwykła przyjemność rozpoznania i przewidywania zaczęła ustępować przed uczuciem rosnącego stresu, przede wszystkim dlatego, że sam autor listów był w stresie, zdezorientowany przez obiekt, a zarazem odbiorczynię swych zabiegów. Z trudnością przychodziło mu umieszczenie tej istoty we własnym porządku rzeczy. Prosił o wyjaśnienia, a odpowiadano mu zagadkami. Roland, nie mając wglądu w drugą stronę korespondencji, nie mógł nawet stwierdzić, jakie to były zagadki, i co

raz częściej podnosił wzrok na kłopotliwą kobietę po przeciwnej stronie stołu, która z drażniącym rozmysłem, w pracowitym milczeniu nanosiła maleńkie, schludne notki na rozłożone wachlarzykiem fiszki i marszcząc brew, spinała je srebrzystymi spinaczami.

Listy, odkrywał Roland, są formą narracji, która nie przewiduje rozwiązania, domknięcia; żył w czasach zdominowanych przez teorie narracyjne. Listy nie opowiadają żadnej historii, gdyż z linijki na linijkę nie wiedzą, dokąd zmierzają. Gdyby Maud przejawiała mniej lodowatą wrogość, byłby jej o tym wspomniał, choćby na zasadzie ciekawostki, ale nie podnosiła wzroku i nie patrzyła na niego.

Listy wykluczają postronnego czytelnika jako współautora, przewidującego lub odgadującego, wykluczają go nawet jako czytelnika - jeżeli są prawdziwe, czytać je może tylko jedna osoba. Roland pomyślał o czymś jeszcze - inne listy Randolpha Henry'ego Asha nie posiadały tej cechy. Były rozważne, uprzejme, dowcipne, czasem mądre - lecz całkowicie pozbawione owego naglącego, niecierpiącego zwłoki zainteresowania odbiorcą, czy był nim wydawca Asha, czy jego literaccy sojusznicy i rywale, czy nawet - sądząc po zachowanych notatkach - jego żona. Która wiele ich zniszczyła. Napisała kiedyś:

Któż mógłby znieść myśl o chciwych rękach, grzebiących w biurku Dickensa w poszukiwaniu jego prywatnych papierów, zapisów uczuć najzupełniej intymnych, należących wyłącznie do niego i nieprzeznaczonych do spożycia przez ogół? A teraz ci, którym nie chce się ponownie przeczytać z uwagą jego wspaniałych książek, będą się sycić tak zwanym Życiem, zawartym w jego Listach.

Prawda jest taka, pomyślał Roland nieswojo, że inaczej niż „Ragnarök”, „Mummy Possest” czy poemat o Łazarzu, listy, które miał przed sobą, tak żywe i namiętne, nie zostały napisane dla jego, Rolanda, oczu. Zostały napisane dla Christabel LaMotte.

... dla Twojej inteligencji, Twojej cudownej bystrości. Mogę pisać do Pani tak, jak wówczas, gdy jestem sam, kiedy piszę naprawdę, dla wszystkich i dla nikogo - i to coś we mnie, co nigdy przedtem nie zwracało się do pojedynczej osoby, czuje się z Panią jak w domu. Mówię „w domu” - cóż za szaleństwo! Tobie jest najprzyjemniej, gdy sprawiasz, że jestem jak najbardziej unheimlich jak powiadają Niemcy, „nie w domu”, gdy jestem napięty, gdy obawiam się klęski, gdy mam pewność, że znów przeoczę Twą kolejną, uderzającą myśl lub muśnięcie strzały dowcipu. Lecz poeci nie pragną domów, nieprawdaż? Nie są to istoty stworzone dla ognisk domowych i kanapowych piesków, lecz dla otwartych przestrzeni i dzikich ogarów. A teraz powiedz mi, proszę - czy to, co właśnie napisałem, prawdą jest czy kłamstwem? Wiesz, być może cała poezja jest tylko krzykiem powszechnej miłości, miłości do tego lub owego, lub też do całego wszechświata - który należy kochać w szczególności, nie w ogólności, - do wszechobecnego życia w jego każdym najmniejszym detalu... Zawsze przypuszczałem, że jest to - moja droga - krzyk miłości niezaspokojonej, i tak chyba jest w istocie; zaspokojenie to dosyt, a więc śmierć poezji. Znam wielu poetów, którzy piszą tylko w owym podniosłym stanie umysłu, który porównują z kochaniem, a czasem wręcz wprost twierdzą, że są zakochani, że chcą kochać - tę czy inną świeżą dziewczynę lub żwawą młodą kobietę - aby znaleźć nowe porównanie lub nową jasną wizję rzeczy samych w sobie. Lecz ja, prawdę mówiąc, zawsze sądziłem, że rozpoznaję ten stan zakochania - który oni pojmują jako indywidualny i natchniony raz, jedną parą czarnych lub bladobłękitnych oczu, dwa, jedną wdzięczną sylwetką lub usposobieniem, trzy, jednym kobiecym życiem, trwającym lat dwadzieścia dwa, powiedzmy od 1821 do 1844 roku - otóż zawsze sądziłem, że rozpoznaję to kochanie jako coś najdokładniej abstrakcyjnego, co tylko skrywa

się pod indywidualną maską kochającego i ukochanej. Oraz Poety, który przybiera obie te postaci i ożywia je uczuciem. Chciałbym Pani powiedzieć - nie, ja Pani mówię - że przyjaźń jest czymś rzadszym, bardziej osobistym, jednostkowym i w każdej mierze trwalszym niż owo Kochanie.

Pozbawieni tego podniecenia Poeci gubią wszelką Lirykę, zdobywają więc ją ponownie, jak tylko umieją środkami najdogodniejszymi - z bezwzględną szczerością - i wówczas Wiersze nie są dla młodej damy, lecz młoda dama dla Wierszy.

Widzisz tedy, na jaki nadziełem się dylemat... Mimo to powtarzam raz jeszcze - gdyż wiem, że nie spłoszą Pani te słowa krytyki męskiego uwielbienia dla ideału kobiety ani też obłudy Poetów, lecz spojrzysz na nie swoim poetyckim okiem, nieufnym i mądrym - piszę do Pani tak, jak wówczas, gdy jestem sam, mając w sobie to coś - jakże mam to wyrazić? ufam Ci, wiesz o tym? - to coś, co tworzy. Co jest Stwórcą.

Powinienem dodać, że źródłem moich wierszy nie jest - tak sądzę - Impuls Liryczny, lecz coś niespokojnego, miriadamóznego, cząstkowego, obserwującego, analitycznego i - moja droga - dociekliwego, co bardziej przypomina umysł owego mistrza prozy, Balzaca, którego, jako Francuzka, znasz i pojmujesz, będąc szczęśliwie mniej ograniczona nakazami cnoty, pętającymi wykwitne Angielki. To, co sprawia, że jestem poetką a nie powieściopisarzem, dotyczy śpiewu samego Języka. Albowiem różnica między poetką a prozaikiem jest taka oto: ten pierwszy pisze, by język był żywy, ten drugi - by świat stał się lepszy.

A Ty piszesz, by objawić nam, biednym ludziom, jakiś świat dziwny i nieodgadniony, nieprawdaż? Miasto Is, odwrócony Paryż, Par-is, wieże pod wodą nie w powietrzu, zatopione róże, latające ryby i inne paradoksy żywiołów... Widzisz sama - zaczynam Cię rozumieć i po omacku szukam drogi do Twych myśli, jak dłoń szuka rękawiczki (kradnę Twą metaforę i okrutnie ją dręcę). Lecz jeśli sobie życzysz - schowaj swe rękawiczki, niech pozostaną czyste - proszę bardzo - tylko pisz do mnie, pisz! Kocham oglądać drgnięcia, skoki i nagle zryw Twego atramentu...

Roland podniósł głowę, by spojrzeć na swą partnerkę/oponentkę. Posuwała się naprzód pewnie, w godnym zazdrości tempie; na jej czole rysowały się cienkie, promieniste zmarszczki.

Witraż sprawił, że znów stała się obca, podzielona na zimne, jaskrawe ognie. Jeden policzek zanurzał się w jeziorze winnego fioletu, na czoło wykwitły zieleń i złoto, bladą szyję, podbródek i usta splamiły czerwień róż i pąs jagód. Na powiekach zaległy purpurowe cienie, zielony jedwab szala mienił się szkarłatem bruzd i wypukłości. Wokół jej ruchliwej głowy tańczyła aureola kurzu, czarne drobinki na jasnożółtym tle, materialne pyłki, dziurki w arkuszu litego złota. Przemówił; zwróciła się ku niemu jak przez tęczę i różnobarwne światła przemknęły po jej bladej skórze.

- Przepraszam, że przerywam... Ciekaw jestem - czy wiesz coś o mieście Is? IS? I-S?

Otrząsnęła się ze skupienia jak pies otrząsa się z wody.

- To legenda bretońska. Miasto zatopione za swoje występki. Władła nim Królowa Dahud, czarodziejka, córka króla Grandlonda. Niektóre wersje mówią, że tamtejsze kobiety były przezroczyście. Christabel napisała o nim wiersz.

- Mogę spojrzeć?

- Tylko rzuć okiem, korzystam z tej książki. Pchnęła ją poprzez stół.

„Poetki Tallahassee. Christabel LaMotte: wybór poematów lirycznych i narracyjnych, red. Leonora Stern. The Sapphic Press, Boston". Na ciemnoczerwonej okładce widniał rysunek białą kreską, przedstawiający dwie średniowieczne damy, nachylone w uścisku ponad fontanną w kwadratowym obmurowaniu. Obie miały spiczaste czepki z woalem, masywne, szerokie paski i długie warkocze.

Szybko przejrzał „Zatopione miasto” ze wstępną notą Leonory Stera.

W poniższym poemacie, podobnie jak w „Stojących kamieniach”, LaMotte czerpie z poznanych w dzieciństwie mitów rodzinnej Bretanii. Temat wiersza jest dla kobiety szczególnie interesujący, odzwierciedla bowiem, by tak rzec, konflikt kulturowy pomiędzy dwiema formami cywilizacyjnymi: indoeuropejskim, patriarchalnym systemem Grandlonda i bardziej pierwotnym, instynktownym i przyziemnym pogaństwem jego córki Dahud, która pozostaje pod wodą, podczas gdy on odzyskuje wolność, skacząc na suchy ląd w Quimper. Kobiecy świat podwodnego miasta jest odwrotnością zdominowanego przez mężczyzn Paryża - „Paris” to „Paris”, jak chcą Bretończycy. Powiadają, że Is wynurzy się na powierzchnię, gdy „Paris” zostanie zatopiony za swoje grzechy.

Ciekawy jest stosunek LaMotte do rzekomych grzechów Dahud. W swoich „Bretońskich mitach i legendach” ojciec Christabel, Isidore LaMotte, nie waha się wspomnieć o „perwersjach” Dahud, choć ich nie opisuje. Sama LaMotte też nie podaje szczegółów...

Roland przerzucił stronicę.

Nikogo nie ma na całej ziemi,

Kto jak mieszkanki Is się rumieni.

Ich krew czerwona pod skórą płynie,

Tutaj się jarzy, tam znowu ginie,

I widzą ludzie jak przez szkło cienkie

Każdy meander, każdą pętelkę,

Gdzie żył i tętnic splót się przewierca

Od ust do oczu, od płuc do serca;

Pod srebrną błoną przejrzystej skóry

Sieć się pajęcza snuje purpury.

W zamierzchłych czasach, za wielkie złości

Dotknął je dopust przezroczyści

By przeniknęło je każde oko,

Ale wciąż czoła noszą wysoko,

Dumne, z opaską złotą...

Gdzie zanurzone w głęboką ciszę

Otchłani morskiej Is się kołysze,

W ciemnej zieleni kościelna wieża

Ku migotliwej powierzchni zmierza.

Z tej zaś w głąb schodzi ostrze błyszczące

Lustrzany stożek, odbicie drwiące,

A między nimi makrela płynie
Jakby jaskółka w górskiej dolinie
Na letnim wietrze; rybę też mami
Cień jej, odbity między drzewami,
Co wisząc, z sobą zeszyły się blisko,
Gdyż podwojone jest tutaj wszystko.
Sam żywioł czysty jest podwojony,
A świat ma wymiar ograniczony,
Jak gdyby dachy, ryby i skały
W szklanym pudełku się znajdowały,
A zatopione, przeklęte stwory
Były w milczącej znowie...
Świat zatopiony leży pod skórą
Wody ruchomej - jak tamta, którą
Damy te kryją żalu porywy
Pod szklistą zmarszczką; uczuć prawdziwych
Przypływ i odpływ prądem czerwonym
Wciska się między zębów korony,
Między kamieni żółciowych zwały
I linie kości drobnych i białych.

I tak, zziębnięci i podnieceni, pracowali, ścigając się z czasem, aż lady Bailey przysłała poprosić ich na kolację.

Kiedy Maud wracała do domu tego pierwszego wieczora, pogoda już zaczynała się psuć. Niebo pomroczało od chmur; pomiędzy drzewami dostrzegła księżyc w pełni, który wskutek jakiegoś złudzenia wydawał się zarazem odległy i skoncentrowany - mały, okrągły, matowy przedmiot w gęstniejącym powietrzu. Jechała przez park, w większości posadzony przez wcześniejszego sir George'a, tego, który poślubił Sophie, siostrę Christabel, i darzył namiętnością drzewa - drzewa z najdalszych zakątków ziemi, perskie śliwy, tureckie dęby, sosny himalajskie, orzechy kaukaskie i drzewa judaszowe. Posiadał właściwe swemu pokoleniu nieskrępowane poczucie czasu - odziedziczywszy stuletnie dęby i buki, sadił połacie lasu, zagajniki i gaje, których nigdy nie miał zobaczyć. Ogromne, chropawe, milczące pnie opływały zielony samochodzik i przeciągały się monstrualnie w zmiennym, białym promieniu reflektorów. Z otaczających lasów nadchodził trzeszcząc mróz, powietrze robiło się naprężone, ściśnięte; jeszcze idąc przez podwórko do samochodu, Maud poczuła je na swym rozgrzanym ciele, zimno wlało się jej do skurczonego gardła i napięło coś, co poetycznie określała jako struny serca.

Tymi drózkami krnąbrna Christabel, być może pchana przymusem duchowym, zmierzała, popędzając kuca, na przyjęcie rytualnej eucharystii od wielebnego Mossmana. Obcowanie z nią przez cały dzień nie było dla Maud rzeczą łatwą. Przed zagrożeniem broniła się wzmożoną systematycznością - spać, zaklasyfikować,

zapamiętać. Ale tu, na dworze, było inaczej. Wyobrazony wózek, zaprzęzony w kuca, toczył się obok, unosząc swoją zawoalowaną pasażerkę. Wokół wznosiły się masywy drzew, z których każde znikało w mroku jakby z nadziemskim łoskotem - stare, zielone, szare i sztywne. Prawdziwy obiekt pastoralnych zainteresowań Maud stanowiły kobiety, nie drzewa, i kiedy myślała o tych pierwotnych istotach, miała właściwe swemu pokoleniu poczucie, że oto giną, zabijane kroplami kwaśnych deszczów i miotane podmuchami skażonego wiatru. Nagle nawiedziła ją wizja giętkich, soczystych sadzonek, tańczących w złocistej zieleni jakiegoś jasnego, wiosennego poranka przed stu laty. Zgęstniały las, jej mrużący, metalowy pojazd, wścibskie podglądanie resztek życia Christabel, wydały się jej nagle upiorami, karmiącymi się młodzieńczą energią przeszłości. Między drzewami ziemia lśniła czarno, zasłana wiotkimi krążkami zwiędłych liści, te same czarne liście plamiły nierówną powierzchnię asfaltu. Jakieś stworzenie wybiegło na drogę; jego oczy rozjarzyły się matowo jak półkule odbitego, czerwonego ognia, zabłyśły i zniknęły. Szarpnęła kierownicą, omal nie wpadając na gruby kikut dębu. Niewyraźne krople lub płatki - które? - na chwilę zmaterializowały się na przedniej szybie. Była wewnątrz, a na zewnątrz toczyło się osobne, niezależne życie.

Mieszkanie, jednoznacznie czyste i jasne, wydało się Maud niezwykle przytulne, jeśli nie liczyć dwóch listów, wystających z paszczy skrzynki na drzwiach. Wyszarpnęła je, po czym okrążyła pokój, zaciągając zasłony i zapalając zbyt wiele świateł. Listy również stanowiły zagrożenie. Jeden był niebieski, drugi miał barwę szarą, którą w dobie nowej surowości uniwersytety zastąpiły zwieńczoną herbami biel swoich poprzednich przesyłek. Niebieski list pochodził od Leonory Stern; jako nadawca drugiego figurowało Prince Albert College. Normalnie pomyślałaby, że to od Rolanda, ale on był tutaj. Była dlań nieuprzejma, wręcz apodyktyczna. Cała ta sprawa działała jej na nerwy. Dlaczego nie potrafiła nic zrobić z wdziękiem i lekkością, dlaczego umiała tylko pracować sama, zamknięta w czterech ścianach swego jasnego, bezpiecznego pudełka? Christabel, obrona Christabel, przerażała Maud zmuszając ją do określenia się na nowo.

Oto Zagadka, proszę Pana, stara Zagadka i łatwa - właściwie niegodna Pańskiej uwagi - Zagadka krucha, w bieli i złocie, mająca w środku życie. Oto więc złota miękka poduszka, której połysk, paradoksalnie, wyobrazisz sobie tylko mocno zamykając oczy - spróbuj zobaczyć ją dotykiem, niech prześlizgnie się między palcami Twojej duszy. Ta złota poduszka zamknięta jest w krystalicznej szkatułce, nieskończonej w swojej krągłości, albowiem nie posiada ona ostrych rogów ani wypukłości, jedynie zwodniczą, mleczną przejrzystość kamienia księżycowego. Owinięta jest zaś w jedwab, lekki niczym puch, mocny niczym stal, i zamknięta w Alabastrze, który możesz uważać za Urnę grzebalną - bez inskrypcji wszakże, gdyż nie ma w niej Popiołów, bez podstawki, bez rzeźbionych sennych kwiatów maku, a także bez pokrywki, którą mógłbyś podnieść i zajrzeć do środka, wszystko bowiem domknięte jest i gładkie. Jednak może nadejdzie taki dzień, gdy będzie Pan mógł bezkarnie podnieść pokrywkę - a raczej zostanie podniesiona od wewnątrz, albowiem tylko stamtąd może nadejść Życie, od Twojej strony zaś tylko Śmiertelna Suchość.

Jajko, proszę Pana; oto odpowiedź, jak przenikliwie odgadłeś już na początku, Jajko, doskonale O, żywy Kamień bez drzwi i okien, w którym drzemie Życie, dopóki Ona się nie zbudzi i nie odkryje, że posiada Skrzydła, które mogłaby rozpostrzeć - ale nie tutaj - o nie...

Jajko to moja odpowiedź. Cóż więc jest Zagadką?

Sama jestem zagadką. Och, proszę Pana, nie wolno Ci - w swojej dobroci nie powinieneś próbować łagodzić lub odbierać mi samotności. Wiem, że my, kobiety, jesteśmy nauczone jej się lękać - och, straszliwa wieża, och, ciernisty gąszcz, nie przyjazne Gniazdko, ale Twierdza.

Ale okłamano nas, w tej i w wielu innych sprawach. Twierdza sroży się i grozi, jednak dzięki niej jesteśmy bezpieczne. W jej murach jesteśmy wolne na wiele sposobów, których Pan, przemierzający świat do woli, nie może sobie nawet wyobrazić. Toteż nie polecam Panu takich wyobrażeń - lecz proszę, abys oddał mi sprawiedliwość i uwierzył - nie posądzając o zakłamanie - że Samotność to mój Skarb, najlepsze, co posiadam. Niechętnie wychodzę; gdybyś otworzył furtkę, nie wybiegłabym na zewnątrz, za to jak śpiewam w mojej złotej klatce...

Rozbicie Jajka jest czymś niegodnym Pana, nie jest to Rozrywka dla mężczyzn. Pomyśl tylko, co zostało by Ci w ręce, gdybyś użył swej siły

Giganta i zmiażdżył lity kamień - coś śliskiego, zimnego i niewyobrażalnie niemilego.

Maud ociągała się z otwarciem listu od Leonory, który miał wygląd rozkazujący i nieco oskarżycielski. Otworzyła zatem list szary i ujrzała, to coś znacznie gorszego, że napisał go Fergus Wolff, z którym nie kontaktowała się od ponad roku. Pewne pisma odręczne mogą przyprawić o mdłości po roku, po pięciu, a nawet po dwudziestu pięciu latach. Fergus, podobnie jak wielu mężczyzn, pisał duktem ścieśnionym, z charakterystycznymi małymi zawijasami. Maud zrobiło się niedobrze; oczyma duszy znów zobaczyła udręczone łóżko. Dotknęła dłonią włosów.

Droga Maud, nigdy niezapomniana, jak i ja, mam nadzieję, zapomniany nie zostałem, przynajmniej nie całkiem. Co słyhać w starym, mokrym Lincolnshire? Czy rozlewiska nie budzą w Tobie melancholii? Czy ucieszy Cię wiadomość, że postanowiłem wygłosić referat o Christabel na konferencji o metaforze w York? Pomyślałem, że powiem coś na temat

„Królowa na Wieży: co jest zamknięte w Zamku?”.

Jak Ci się to widzi? Czy dostanę Twoje imprimatur? Czy będę mógł wręcz zajrzeć do Twego archiwum?

Chcę się zająć konfliktem sprzecznych metafor, związanych z działalnością wróżki Meluzyny w dziedzinie budowy zamków. Jacques le Goff napisał świetny kawałek o „Melusine Defricheuse”^{}; nowi historycy twierdzą, że była czymś w rodzaju ducha ziemi, lokalną boginią foison^{**} albo pomniejszą Ceres. Ale można też przyjąć dla wieży model Lacana^{***}, który powiada, że „formacja ego przedstawiana jest w snach jako forteca lub stadion (są u Christabel jakieś stadiony?), otoczony bagnami lub górami śmieci, w których śniący podmiot grzęźnie, wędrując ku wyniosłemu, odległemu zamkowi wewnętrznemu, będącemu w swej formie zdumiewającym symbolem id”. Mógłbym skomplikować ten wywód, dodając kilka innych, prawdziwych lub zmyślonych zamków, oraz pełną szacunku wzmiankę o Twych inspirujących pracach na temat progów świadomości. Co o tym myślisz? Czy to przejdzie? Czy też Menady rozerwą mnie na strzępy?*

^{*} Jacques le Goff - współczesny historyk francuski, jeden z najwybitniejszych mediewistów świata, autor licznych książek, m.in. „Świata średniowiecznej wyobraźni”; „Melusine defricheuse” (fr.) - Meluzyna wykorzeniona (przyp. tłum.).

^{**} Foison (fr.) - obfitość.

*** Jacques Lacan (1901-1981) - znakomity psychoanalityk francuski, uczeń Freuda, rozwinął zwłaszcza teorię snów (przyp. tłum.).

Zapraǳnę do Ciebie napisać częściowo pod wpływem podniecenia tym projektem, częściowo zaś dlatego, że moi szpieǳy donoszą, iż Ty i Roland Mitchell (mój nudny, lecz czciǳodny rówieśnik) odkryliście razem to czy owo. Mój szpieǳ - młoda dama, która nie jest zachwycona takim obrotem spraw - mówi mi, że spędzicie wspólnie Nowy Rok, badając jakieś związki. Oczywiście zżera mnie ciekawość. Chyba naprawdę przyjadę i zajrzę do Twego archiwum. Ciekaw jestem, co sądzisz o młodym Mitchellu. Tylko nie zjedz go żywcem, droga Maud. Nie jest w Twojej klasie. To znaczy - pod względem naukowym, co pewnie już sama odkryłaś.

Natomiast Ty i ja moglibyśmy odbyć rozkoszną rozmowę na temat podwodnych wieǳ, smocznych ogonów i latających ryb. Czy czytałaś, co Lacan pisze o latających rybach i obsesji pęcherzowej? Wiesz, czasami brak mi Ciebie. Nie byłaś wobec mnie zbyt miła i uczciwa. Powiesz, że ja wobec Ciebie też nie - ale czy to w ogóle możliwe? Tak srogo traktujesz męskie niedociągnięcia.

Proszę, powiedz, że mogę napisać swój obleǳniczy referat.

Kochający jak zwykle Fergus

Droga Maud.

Wydaje mi się dziwne, że od prawie dwóch miesięcy nie miałam od Ciebie wieści - mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku i że Twoje milczenie oznacza tylko, iż praca dobrze Ci idzie, pochłaniając całą Twoją uwagę. Martwię się o Ciebie, gdy się nie odzywasz; wiem, że byłaś nieszczęśliwa, i z wielką miłością myślę o Tobie i Twoich sprawach...

W ostatnim liście wspomniałam Ci, że może napiszę coś o wodzie, mleku i płynach owodniowych w „Meluzynie” - dlaczego wodę postrzega się zawsze jako czynnik żeński? - pamiętasz, rozmawialiśmy o tym. Pragnę napisać duży artykuł o undynach, rusalkach i meluzynach - kobietach, uważanych za niebezpieczne -co o tym myślisz? Mogłabym rozszerzyć zagadnienie o „Zatopione miasto”, zwracając szczególną uwagę na pozagenitalne obrazowanie kobiecej seksualności - musimy oderwać się od cipy, jak również od fallusa. Gdyby interpretować płyn, w którym unoszą się kobiety w tym mieście, jako niezróżnicowany erotyzm, one same mogłyby reprezentować totalność kobiecego ciała jako strefy erogennej, a to z kolei daje się połączyć z totalnym erotyzmem kobiety smoczycy, maczącej wodę w marmurowej sadzawce, lub, wedle wymownego opisu LaM., „zatapiającej swe ciało”. Co o tym sądzisz, Maud?

Czy byłabyś gotowa wygłosić referat na australijskiej sesji Stowarzyszenia Saficznego w 1988 roku? Przyszło mi do głowy, żeby poświęcić to spotkanie wyłącznie dyskusji o erotyzmie kobiecym w XIX wieku oraz strategiom i wybiegom, których używał, by się przejawiać i od/ukrywać. Być może posunęłaś się już dalej w swoich przemyśleniach na temat progów i rozpadu granic. A może zechcesz dokładniej przyjrzeć się lesbijskiemu seksualizmowi LaMotte jako sile napędowej wszystkich jej prac? (Przyjmuję do wiadomości, że wskutek tych zahamowań stała się przebiegła i skryta, ale Ty z kolei nie doceniasz jej siły, dzięki której, choćby nie wprost, lecz jednak zabiera głos).

Tak często myślę o tych krótkich chwilach, które spędziłyśmy razem tego lata. Wspominam nasze długie wycieczki na wzgórza, nocne posiedzenia w bibliotece i amerykańskie lody, jedzone łyżkami przy Twoim kominu. Jesteś taka troskliwa i miła - przy Tobie czuję się, jakbym niszczyła Twe kruche otoczenie, niezdarnie przewracając maleńkie parawany i przegródki, za którymi skrywasz swoją angielską prywatność - ale przecież nie jesteś szczęśliwa, prawda, Maud? W Twoim życiu jest pustka.

Dobrze by Ci zrobił przyjazd tutaj i doświadczenie na własnej skórze burzy i naporu studiów gender w Ameryce. Załatwię Ci posadę, kiedy tylko zechcesz, nie ma problemu. Pomyśl o tym.

Tymczasem idź i pozdrów ode mnie Jej grób - jeśli znajdziesz czas i ochotę, użyj sekatora - krew mnie zalała, kiedy zobaczyłam, jak jest zaniedbany. I złóż kwiaty w moim imieniu, by trawy się napiły - Jej miejsce spoczynku nieznośnie mnie wzruszyło. Chciałabym myśleć, że wiedziała, iż kiedyś będzie kochana tak, jak powinna być kochana...

Tobie także ślę całą moją miłość i tym razem czekam odpowiedzi

Twoja Leonora

Ten list stawał i zarazem odsuwał pewien problem moralny. Czy wyjawienie Leonorze odkrycia będzie rzeczą właściwą i mądrą, a jeśli tak, to jak i kiedy należy to zrobić? Nie ucieszyłaby się specjalnie; nie lubiła R.H. Asha. Ale tym bardziej nie byłaby jej przyjemna świadomość, że nic jej nie powiedziano, pozwalając, aby nadal pisała zadufane referaty o seksualności Christabel. Czułaby się zdradzona - zdradzona zostałaby kobieca solidarność.

Co zaś się tyczy Fergus... Co się tyczy Fergus, miał zwyczaj - którego Maud, z braku doświadczenia, nie rozpoznała jako powszechnego wśród byłych kochanków - delikatnie pociągać za zerwane pajęczki nici - lub sznurki - jakie ongiś ich łączyły. Rozzłościł ją pomysł referatu obłąnczego; nie zdawała sobie sprawy, że w pewnej mierze powstał ad hoc właśnie w tym celu. Rozzłościła ją również tajemnicza wzmianka o Lacanie, latających rybach i pęcherzowej obsesji. Postanowiła odszukać źródło - metodyczność stanowiła jej broń przed niepokojem - i wkrótce je znalazła.

Pamiętam sen jednego z moich pacjentów, którego agresja przybierała postać obsesyjnych marzeń sennych; śnił, że prowadzi samochód w towarzystwie kobiety, z którą miał dość kłopotliwy romans, i że ściga go latająca ryba, której skóra jest tak przezroczysta, że widać przez nią poziomą powierzchnię płynu, wypełniającego jej ciało - bardzo klarowny anatomicznie obraz obsesji pęcherzowej*.

Udręczone łóżko znów stanęło przed oczyma jej duszy, zaschnięte, ubite białko, brudny śnieg.

Fergus Wolff robił wrażenie trochę zazdrosnego o Rolanda Mitchella. Określenie go jako naukowca „nie w jej klasie”, choć narzucające się, było jednak sprytnie; mimo że Maud przejrzała wybieg, etykieta pozostała. Poza tym, sama wiedziała, że Roland nie jest w jej klasie. Powinna traktować go łaskawiej. Był istotą łagodną i w niczym jej nie zagrażał. Potulny, pomyślała sennie, wyłączając lampkę. Potulny.

Kiedy następnego dnia jechała do Seal Court, pagórki były białe od śniegu. Nie padało, choć niebo powlekała równa warstwa ciężkich chmur koloru cyny, naciskających na rozległe, ośnieżone wzgórza, które wybiegały falując na spotkanie nieba, tak że i tutaj świat zdawał się odwrócony niczym ciemna woda nad wirami obłoków. Drzewa sir George'a zdobiły fantastyczne falbany lodu. Wiedziona impulsem Maud zaparkowała na

dziedzińcu stajni; postanowiła zwiedzić ogród zimowy, założony dla Sophie Bailey i bardzo kochany przez Christabel LaMotte. Chciała go zobaczyć tak, jak miał być oglądany i zachować to wspomnienie, by podzielić się nim z Leonorą. Okrążyła po trzeszczącym śniegu ogród warzywny i poszła aleją cisów do miejsca, gdzie gęste, wiecznie zielone krzewy - ostrokrzew, rododendron, bukszpan - otaczały trójkątny placyk z sadzawką pośrodku. Christabel ujrzała w niej kiedyś zamrożone złote i srebrne rybki, umieszczone, aby błyskały kolorem w mrocznej głębi, śmigające duchy tego miejsca, jak je określiła. Stała tu kamienna ławka okryta poduchą śniegu, którą Maud pozostawiła nietkniętą. Wokół panowała doskonała cisza. Maud pochyliła głowę, świadoma sztuczności tego gestu, i pomyślała o Christabel, patrzącej na zamrożoną powierzchnię stawu, ciemną i lśniąca pod nawianym śniegiem.

* Jacques Lacan, „Ecrits” [Pisma] (przyp. tłum.).

W stawie igrają ryby dwie,
Srebro i pąs drżą w ciekłym szkle,
Na szarym, na zielonym tle
Błyskają w lata długie dnie.
Gdy staw zimową nocą śni,
Drzemią na jawie - łuska lśni,
Srebro i pąs w półmroku mży,
Spętany lodem płomień śpi.
Paradoks: zimny ognia lód,
Za życia śmierć, pożądań głód,
Wstrzymany oddech - życia trud
Daremny, póki trzyma chłód.

Czy są tu ryby? Maud przykucnęła na brzegu sadzawki, stawiając teczkę obok siebie, i elegancko urękawiczoną dłonią poskrobała zaśnieżony lód. Jego powierzchnia była poorana, pełna bąbli, nieczysta; nie dało się dostrzec nic pod spodem. Przetarła ją małymi, kolistymi ruchami i z metalicznej ciemnej tafli wychylnęła ku niej blada i upiorna kobieca twarz - jej własna - cętkowana jak księżyc za barankowym obłokiem. Czy są tu ryby? Pochyliła się do przodu. Na tle bieli zamajaczyła czarna postać, jakaś ręka dotknęła jej ramienia, poczuła jakby uderzenie, nieoczekiwany elektryczny wstrząs. To był potulny Roland. Maud wrzasnęła raz i drugi, po czym poderwała się, wściekła, na równe nogi.

Wlepili w siebie wzrok.

- Przepraszam...

- Przepraszam...

- Myślałem, że zaraz wpadniesz...

- Nie wiedziałam, że ktoś tu jest.

- Przestraszyłem cię.

- Zrobiłam ci przykrość...
- Nic nie szkodzi...
- Nic nie szkodzi...
- Szedłem po twoich śladach.
- Przyszłam zobaczyć ogród zimowy.
- Lady Bailey martwiła się, czy nie miałaś wypadku.
- Śnieg nie jest taki głęboki.
- Ciągle pada.
- Wejdziemy do środka?
- Nie chciałem ci przeszkodzić.
- Nic się nie stało.
- Są tu ryby?
- Widać tylko nierówności i odbicia.

Czas pracy, który potem nastąpił, był czasem małomówności. Pilnie pochyleni nad lekturą - co odkryli, okaże się jeszcze - spoglądali na siebie spode łba. Śnieg padał. I padał. Biały trawnik podnosił się, aż w końcu sięgnął okna biblioteki. Lady Bailey przyniosła kawę, cicho tocząc się na swoim wózku po pokoju znieruchomiałym z zimna, pełnym szarej, przejrzystej jasności.

Na obiad podano kielbaski, tłuczone ziemniaki i pieprzne purée z marchewki z masłem. Jedli stłoczeni wokół ognia na kominku, trzymając talerze na kolanach, zwrócenii plecami do okna koloru łupku, upstrzonego płatkami śniegu. Sir George powiedział:

- Czy nie powinna pani wracać do Lincoln, panno B.? Pewnie nie ma pani łańcuchów, w Anglii mało kto ma. Można by pomyśleć, że Anglicy nigdy nie widują śniegu, sądząc z tego, co wyczyniają, kiedy wreszcie pada.

- Moim zdaniem dr Bailey powinna zostać u nas, George - powiedziała jego żona. - Wydaje mi się, że niebezpiecznie jest nawet próbować jazdy przez wzgórze w tę pogodę. Może przenocować w dzieciennym pokoju Mildred. Pożyczę jej kilka drobiazgów. Powinniśmy zawczasu posłać łóżko i włożyć do niego kilka butelek z gorącą wodą. Prawda, dr Bailey?

Maud zaprotestowała, że nie może, lady Bailey stwierdziła, że musi, Maud powiedziała, że nie powinna była w ogóle wyruszać w taką pogodę, lady Bailey odparła, że to bzdura, Maud powiedziała, że nie chce nadużywać gościnności, aż w końcu sir George oznajmił, że to już nie ma znaczenia, Joanie ma rację, on zaś pójdzie i zajmie się łóżkiem Mildred. Roland zaoferował się z pomocą, Maud zawołała, że w żadnym razie i poszła z sir George'em na górę szukać prześcieradeł. Lady Bailey ponownie napełniła czajnik. Roland wyraźnie przypadł jej do serca i mówiła do niego po imieniu, choć do Maud nadal zwracała się per dr Bailey. Teraz spojrzała na niego przez kuchnię; w świetle ognia okrągłe brązowe plamy na jej twarzy wydawały się jeszcze ciemniejsze.

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolony. Chybaście się nie posprzeczali?
- Posprzeczali?
- Ty i twoja młoda dama. Dziewczyna czy jak tam.

- Och, nie! To znaczy, nie posprzecaliśmy się i ona nie jest...

- Nie jest?

- Moją dziewczyną. Ledwie się znamy. To była - jest - sprawa czysto zawodowa. Dotyczy Asha i La-Motte. Mam dziewczynę w Londynie. Na imię jej Val.

Lady Bailey nie wykazała zainteresowania Val.

- Piękna kobieta z tej dr Bailey. Trochę sztywna albo nieśmiała, a może jedno i drugie. Moja mama mówiła na takie zimna dusza. Pochodziła z Yorkshire, znaczy moja mama. Nie należała do wyższych sfer. Nie była damą.

Roland uśmiechnął się do niej.

- Pobierałam lekcje razem z kuzynkami George'a. Żeby miały towarzystwo. Objężdżałam ich kuce, kiedy były w internacie. Rosemary i Marigold Bailey. Trochę podobne do twojej Maud. Tak spotkałam George'a, który postanowił się ze mną ożenić. George, jak się uprze, osiąga to, co chce, sam zresztą widzisz. I dlatego zaczęłam polować. Gdy miałam trzydzieści pięć lat, wylądowałam pod płotem, przywalona koniem, i od tamtej pory jest tak jak jest.

- Rozumiem. To romantyczne. I straszne. Tak mi przykro.

- Nie wiedzie mi się najgorzej. George to istny cud boski. Podaj mi te butelki. Dziękuję.

Napełniła je pewną ręką. Wszystko zostało zaprojektowane dla jej wygody: czajnik, podstawka do niego, miejsce, gdzie można było zatrzymać i zablokować wózek.

- Chciałabym, żebyście oboje mieli wygodnie. George tak się wstydzi tego, jak żyjemy - tego oszczędzania i skąpienia - dom i teren pożerają pieniądze, sama tylko ochrona przed zniszczeniem i rozkładem. Nie lubi, kiedy ludzie przyjeżdżają i widzą, co się tu dzieje. Ale ja lubię, kiedy mam z kim porozmawiać. Lubię patrzeć, jak pracujecie. Chyba będzie z tego jakiś pożytek? Niewiele mówicie. Mam nadzieję, że nie marzniecie w tej wielkiej sali, pełnej przeciągów...

- Tylko trochę. Ale sala ogromnie mi się podoba, to przepiękne pomieszczenie. Byłoby warto, nawet przy dwukrotnie większym mrozie. O pracy jeszcze na razie nie da się nic powiedzieć. Może później. Nigdy nie zapomnę czytania tych listów w tym uroczym pokoju...

Sypialnia Maud - dawny pokój dziecinny Mildred - mieściła się na samym końcu długiego korytarza przy którym leżał pokój Rolanda, obok majestatycznej, gotyckiej łazienki. Nikt nie wyjaśnił, kim jest lub była Mildred; w jej pokoju znajdował się pięknie rzeźbiony kamienny kominek i okna we wnękach, w tym samym stylu. Na wysokim, drewnianym łóżku spoczywał pękaty materac z końskiego włosia, obciążony pokrowcem w paski; Rolandowi, który wszedł z naręczem butelek z gorącą wodą, natychmiast przypomniała się Prawdziwa Księżniczka i ziarno grochu. Pojawił się także sir George, niosący okrągły, miedziany talerz z jedną grubą elektryczną spiralą, który skierował na łóżko. Po przekręceniu klucza komoda objawiła liczne koce, stertę naczyń i zabawek dziecinnych z lat trzydziestych, ceratowe podkładki pod talerze, lampkę nocną z motylkiem oraz ciężką misę z wizerunkiem londyńskiej Tower i słowiałego wartownika. Inna szafa zawierała biblioteczkę dzieł Charlotte M. Yonge i Angeli Brazil*. Zażenowany sir George pojawił się ponownie ze słodkoróżową nylonową koszulą nocną i wspaniałym turkusowym kimonem, haftowanym złotem i srebrem w chińskie smoki i motyle.

- Moja żona ma nadzieję, że będzie pani w tym wygodnie. Mam również nową szczoteczkę do zębów.
- Jesteście bardzo uprzejmi. Tak mi głupio... - powiedziała Maud.

* Charlotta Mary Yonge, Angela Brazil - autorki dziewiętnastowiecznych umoralniających powiastek dla dziewcząt (przyp. tłum.).

- Gdybyśmy wiedzieli, że tak będzie, wybralibyśmy lepszą porę roku - rzekł sir George i z zadowoleniem przywołał ich do okna.

- Ale tylko spójrzcie. Spójrzcie na te drzewa i na tę masę śniegu na wzgórzu.

W nieruchomym powietrzu śnieg padał równo i nieprzerwanie, tłumiący i wszechpochlaniający; znikły krawędzie i kontury wzgórz, drzewa spowijały ciężkie peleryny i kołpaki, migotliwe, obłe i proste. Przyroda nacierała na dom, powoli wypełniając zagłębienia kotliny. Kamienne urny na trawniku, ubrane w białe korony, tonały, lub tak się zdawało, w coraz głębszej warstwie śniegu.

- Jutro pani też stąd nie wyjedzie - powiedział sir George. - Bez pług nie da rady; gmina go wyśle, kiedy przestanie padać na tyle, że opłaci się przecierać drogę. Mam nadzieję, że starczy mi karmy dla psów.

Po południu czytali nadal, popadając w coraz większe zdumienie. Kolację zjedli z Baileyami przy kuchennym palenisku - mrożonego smażonego dorsza z frytkami i całkiem dobrą roladę z konfiturą. Wcale tego nie uzgadniając, oboje przyjęli, że na pytania o listy będą na razie udzielać wymijających odpowiedzi. „I co, warte są coś, czy nic, jak pan sądzi?” - zapytał sir George. Roland odparł, że nie zna ich wartości pieniężnej, ale na pewno są dość ciekawe. Lady Bailey zmieniła temat i zaczęła rozmawiać o polowaniach z Maud i swoim mężem, pozostawiając Rolanda jego wewnętrznym głosom i brzękowi łyżeczki o talerzyk.

Wcześniej poszli na górę, porzucając gospodarzy w ich parterowym królestwie, obecnie nawet miejscami ogrzonym, w przeciwieństwie do wielkich schodów i długiego korytarza, przy którym mieli spać. Zimne powietrze zdawało się spływać po kamiennych stopniach jak jedwabisty śnieg. Turkusowe i brązowe kafelki na podłodze układały się w geometryczne lilie i kwiaty granatu, zmiękczone grubą warstwą jasnego kurzu. Na posadzce leżały długie, pofałdowane, lnianopodobne chodniki - z drogietu? pytał opętany słowami mózg Rolanda, który napotkał ten wyraz w wierszu R.H. Asha, opisującym kogoś, chyba uciekającego księdza, co to „skradał się po drogocie i zmykał po bruku”, nim przyłapała go pani domu. Tutejsze chodniki były bladożółte; tu i ówdzie, gdzie pośliznęła się współczesna stopa, spod woalu kurzu błyskała barwą terakota.

U szczytu schodów Maud odwróciła się stanowczo ku Rolandowi i oficjalnie skinęła mu głową.

- No to dobranoc - powiedziała, zacinając wyraziste usta. Roland miał niejasną nadzieję, że skoro są razem, to mogliby - zgoła powinni - porównać odkrycia, wymienić uwagi. Obowiązek naukowca wręcz tego wymagał, choć właściwie Roland był zmęczony zimnem i napięciem emocjonalnym. Jednakże Maud przytuliła do siebie narecze teczek, osłaniając się nimi jak napierśnikiem, a w jej wzroku pojawiła się automatyczna obawa, bardzo dlań obraźliwa. Powiedział zatem:

- Dobranoc - i ruszył w swój koniec korytarza, w półmroku słysząc za sobą stukot jej kroków. Wokół niego słabo mżyło światło dwóch marnych, sześćdziesięciowatowych żarówek w metalowych osłonkach, jakby wziętych z baru kulisów, a gazowe latarenki najwyraźniej nie działały. Wówczas uprzytomnił sobie, że należało omówić z Maud kwestię korzystania z łazienki; zapewne uprzejmość nakazywała przepuścić ją pierwszą. W

korytarzu panował taki ziąb, że z odrazą myślał o chodzeniu po nim w pizamie, nie mówiąc już o staniu pod drzwiami. Postanowił dać jej dobre trzy kwadransy - dość czasu na wszelkie damskie ablucje w tej lodowatej temperaturze. Tymczasem zamierzał poczytać Randolpha Henry'ego Asha, jednak nie notatki z listów, lecz fragment z „Ragnaröka”, bitwę Thora z Gigantami Mrozu. W nieznośnie zimnym pokoju umościł sobie gniazdo ze starych pierzyn i narzut w rozlażle błękitne róże i zasiadł w oczekiwaniu.

Kiedy cichym krokiem szedł przez korytarz, sądził, że wykazał się sprytem. Ciężkie, zamknięte drzwi pod osłoną kamiennego łuku były ciemne, nie dobiegał spoza nich żaden odgłos nalewanej bądź spuszczonej wody. Opadły go wątpliwości, czy łazienka w istocie jest pusta - jaki dźwięk przeniknąłby litą dębową deskę? Nie chciał pukać do drzwi i narażać Maud i siebie na zakłopotanie. Przyklęknął więc na domniemanym drogięcie i przyłożył oko do ogromnej dziurki od klucza, która mrugnęła doń i nagle, o dziwo, zniknęła; drzwi otworzyły się i w zimnym powietrzu poczuł woń wilgoci, świeżości i pary. Maud, nieomal się przewracając, oparła rękę o jego ramię, aby utrzymać równowagę, on zaś uniósł dłoń i na chwilę pochwycił szczupłe biodro pod jedwabiem kimona.

To właśnie zjawisko Randolph Henry Ash określał mianem galwanicznego kopnięcia - ów ogłuszający wstrząs, jakim elektryczny węgorz, ukryty wśród skał Moray, razi niczego niepodważających badaczy morza. Roland z trudem stanął na nogach, puszczając jedwab jak użądłony. Dłonie Maud zaróżowiły się i zwilgotniały, wilgotne były także kosmyki jej włosów. Rozpuściła je, opadały na szyję i ramiona, zasłaniając kurtyną jej twarz; Roland w swej potulności zakładał, że będzie zła, lecz gdy się przyjrzał, zobaczył, że po prostu się przestraszyła. Czy *poraziła* go elektrycznym wstrząsem, zastanawiał się, czy też odczuła go tak jak on? Jego ciało doskonale wiedziało, że go odczuła, ale nie ufał swojemu ciału.

- Zaglądałem, żeby sprawdzić, czy się świeci. Żeby ci nie przeszkadzać, gdybyś była w środku.
- Rozumiem.

Jedwabny niebieski kołnierzyk również był mokry. W półmroku cały jej strój zdawał się ociekać wodą, strugi jedwabiu oplatały jej ciało, skręcone pod zaciekle skutecznym węzłem, na który zawiązała pasek. Spod jedwabnego obrąbka wystawała prozaiczna falbanka z różowego nylonu i stopy w spiczastych pantoflach.

- Czekałam jakiś czas, żebyś ty zdążył pójść do łazienki - dodała pojednawczo.
- Ja też.
- Nic się nie stało.
- Nie.

Wyciągnęła do niego mokrą dłoń. Ująwszy ją, poczuł chłód, jakby coś się wyciszyło.

- No to dobranoc - powiedziała.
- Dobranoc.

Wszedł do łazienki. Za jego plecami długi chiński smok oddalał się po ruchomych chodnikach, rozkołysany i blade na turkusowym tle, a ponad nim zimno połyskiwał snop jasnych włosów.

W łazience małe obłoczki pary wciąż jeszcze unosiły się nad umywalką, a krople wody i ślad długiej stopy na dywanie wskazywały, że z niej korzystała. Przepastne pomieszczenie było przedziwnie wciśnięte pod mansardowy dach, który opadał ukosem, tworząc w kącie coś w rodzaju komórki, gdzie piętrzyła się sterta co najmniej trzydziestu staromodnych dzbanków i miednic, usianych pąkami szkarłatnych różyczek, pędami wi-

ciokrzewu i ogromnymi bukietami dalii i floksów. Na samym środku stała wanna, głęboka i monumentalna, wsparta na szponiastych lwich łapach jak marmurowy sarkofag, wyposażony w mosiężne kurki. Panował zbyt wielki ziąb, aby rozważać jej napełnienie, co w każdym razie musiałoby trwać wieczność - Roland był pewien, że nawet wymagająca Maud nie próbowała tego zrobić; sądząc z mokrych śladów na korkowej macie, umyła się porządnie w umywalce. Owa umywalka i muszla klozetowa, umieszczona na tronowym podwyższeniu w ciemnym końcu łazienki, do reszty oczarowały Rolanda, który nigdy nie miał z czymś takim do czynienia. Obie były bardzo angielskie i kwiatowe; pod polewą glazury szalał gęszcz polnej roślinności, pęki splecionych gałązek, małe bukietki w intensywnych barwach, całkowicie naturalne, bez widocznego, powtarzalnego wzoru. W umywalce, pod zamgloną powierzchnią wody, leżały dzikie róże, kaczeńce, maki i dziewanny - bujny, odwrócony kwietnik, jeżeli nie Charlesa Darwina, to z całą pewnością Tytanii. Muszla klozetowa reprezentowała styl nieco bardziej formalny; coraz to cieńsze girlandy i rozrzucone gdzieś bukiety opadały z niej kaskadą wśród długich nici złotowłosa, majestatyczną deskę wykonano z gładko ociosanego mahoniu. Użycie czegoś tak pięknego zgodnie z przeznaczeniem zakrawało na świętokradztwo. Maud - pomyślał Roland - widywała już zapewne takie cuda i nie czuła się onieśmielona ich splendorem. Umył się szybko, drżąc z zimna nad mrugającymi doń oczkami maków i błękitnych chabrow, podczas gdy lód pokrywający witrażowe okienko popękał i ponownie zamarzał. Nad umywalką wisiało pozłacane lustro, w którym - wyobrażał sobie Roland - Maud przyglądała się swej doskonałej urodzie. Jego własna ciemna puszystość odbijała się w nim jedynie cieniem. Zrobiło mu się trochę żal Maud. Był całkiem pewien, że nie umiała docenić romantyzmu łazienki w takim stopniu jak on.

Wróciwszy do sypialni, wyjrzał przez okno w ciemność. Ciemne, napierające drzewa dnia wczorajszego dziś były miękkie i lśniąco białe; śnieżne płatki za oknem wpadały, chwilowo widoczne, w rozświetlony kwadrat okna. Powinien był zaciągnąć zasłony przed zimmem, ale nie potrafił odciąć się od dziwnych zjawisk na dworze. Kiedy zgasił światło, w nagle objawionym księżycowym blasku wszystko zamieniło się w szarość - w wiele szarości, w srebro, cynę i ołów - a śnieg zaczął padać z większym ożywieniem, gęściej i wolniej. Naciągnął skarpety i sweter, wszedł do wąskiego łóżka i zwinął się w kłębek, tak jak poprzedniej nocy. Śnieg wciąż padał.

Obudził się nad ranem ze snu pełnego przemocy i piękna, który wywodził się jeszcze z jego dziecięcych obaw, że coś wyjdzie z toalety i zada mu cios. W swoim śnie zaplątał się beznadziejnie w na pozór niekończący się powróż, upleciony z barwnej tkaniny i bieżącej wody, zdobny w wieńce, girlandy i wiązanki wszelkich możliwych kwiatów, prawdziwych i sztucznych, haftowanych i malowanych, spod których coś go chwyciło, to znów wymykało się, łapało go bądź uciekało. Gdy próbował dotknąć tego czegoś, zniknęło; gdy próbował unieść rękę lub nogę, przeszkadzało, czepiało się, ciągnęło w dół. Patrzył na świat jakby przez mikroskop, co zdarza się tym, którzy śnią wielkie sny, mógł długo stać nad jednym chabrem, przyglądać się polnej róży lub zatracić poczucie przestrzeni wśród zawilosci kwiatu paproci. To coś w jego śnie pachniało stęchlizną, ale również dostałym ciepłem, miodem, sianem i obietnicą lata. Usiłowało się uwolnić, a gdy poruszał się we śnie po pokoju, płynęło za nim, ciągnąc coraz to pokrętniejszy tren, obrastając w kłępujące zwoje i fałdy, stając się coraz dłuższe. Jego umysł powiedział: „Mokre, że można wykręcać”, zatroskanym, pełnym potępienia głosem jego matki, zauważając równocześnie, że słowo „wykręcać” ma dwa znaczenia; to coś, walcząc z okryciem, najwyraźniej

wykręcało swe spętane dłonie. Jego umysł wyrecytował linijkę wiersza: „Przez śnieg, przez padający śnieg”, i całą duszą zmartwił się, że nie pamięta, dlaczego jest ona taka ważna, gdzie ją usłyszał? i kiedy?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

PRÓG

Stara kobieta grzecznie, choć sucho pożegnała się z Chłopcem i wyprawiła go ku granicy, pouczając równocześnie, by śmiało jechał drogą i nie skręcał ni w lewo, ni w prawo, choćby stwory rozmaite wołały go i wabiły i choćby cudowne światła ukazywały się tu i ówdzie, albowiem kraina ta jest zaczarowana. Może ujrzy w trakcie swej wędrówki łąki i strumienie, lecz winien trzymać się kamienistej drogi - tak mu mówiła, wyraźnie nie dowierzając sile jego woli. Chłopiec wszakże odparł, by się nie martwiła, pragnie bowiem dotrzeć do miejsca, o którym mówił mu ojciec, i we wszystkim dochować uczciwości i wiary. „No, co do tego - odrzekła wiedźma - to za jedno mi, czy białe panie oskubią ci palce, czy też ociężałe gobliny pokłócą się o twe paznokcie. Za długo już żyję, by obchodził mnie wynik tej czy innej wyprawy; czyste białe kości czy księżątko w błyszczącej zbroi - wszystko jest równie piękne dla mych starych oczu. Jeżeli przejdiesz, to przejdiesz; jeśli nie, zobaczę, jak białe panie palą ognisko na wzgórzach”. „Mimo to dziękuję ci za uprzejmość” - rzekł Chłopiec, albowiem był dobrze wychowany, na co odparła: „Uprzejmość to zbyt ładna nazwa. Zmykaj stąd, zanim wpadnę w złośliwy nastrój”. Nie chciał nawet myśleć o tym, jaki ten nastrój być może, więc spiął zacnego konia ostrogami i z tętentem wyjechał na kamienisty trakt.

Ciężki to był dzień. Na wzgórzach i wrzosowiskach wiły się niezliczone, wąskie, zakurzone dróżki, biegnące wśród wrzosów i orlicy, i małych krzewów jałowca o czepliwych korzeniach. Wiodła tędy nie jedna droga, lecz wiele, a wszystkie pokrzyżowane jak pęknięcia na dzbanku; Chłopiec skręcał raz w tę, raz w inną stronę, wybierając najprostsze i najbardziej kamieniste ścieżki, ale zawsze blask słońca palił go na takim samym skrzyżowaniu jak to, które właśnie opuścił. Wreszcie postanowił jechać tak, aby mieć słońce zawsze za plecami - w ten sposób przynajmniej postępował konsekwentnie - choć musicie wiedzieć, drodzy czytelnicy, że posiadał jedynie mgliste pojęcie o tym, gdzie znajdowało się słońce na początku jego wyprawy. Tak często w życiu bywa; konsekwentni i uładowani stajemy się zbyt późno, mając po temu niewystarczające przesłanki i zmierzając niekiedy w niewłaściwą stronę. I to najwyraźniej przytrafiło się Chłopcu, gdyż o zmierzchu dotarł znów do miejsca, z którego wyruszył. Po drodze nie dostrzegł ani białych pań, ani też goblinów, choć czasem z prostych piaszczystych ścieżek, których unikał, dobiegał go cichy śpiew; bywało też, że przez mgnienie oka widział różne stworzenia, rzucające się i skaczące w morzu orlicy i ziół na wrzosowisku. Zdało mu się, że poznaje pokręcone, cierniste drzewa, i mogło tak być w rzeczy samej, gdyż oto stały w trójkącie, zupełnie jak te o świcie - ale po chatce wiedźmy nie było ani śladu. Słońce szybko zachodziło za krawędź równiny; z nadzieją popędził konia i zobaczył przed sobą aleję stojących kamieni, których nie pamiętał, choć, delikatnie mówiąc, trudno było

ich nie zauważyć nawet w szarej godzinie. Na końcu alei stał dom, budowla - ogromne filary wspierały dach z kamiennej płyty, w miejscu progu również leżał kamień. Za progiem była ciemność.

I z tej ciemności wyłoniły się trzy damy niezwyklej urody, kroczące dumnie między kamieniami, a każda niosła przed sobą jedwabną poduszkę, na której spoczywała kwadratowa szkatułka; Chłopiec zaś zadziwił się wielce, że mimo szarówki nie dostrzegł ich nadejścia, i zwiększył czujność, mówiąc do siebie w duchu: „Może być, że mam przed sobą owe białe panie, łamiące kości, o czym tak beztrąsko wspomniała starucha, które przyszły sprowadzić mnie z drogi, teraz, gdy gaśnie światło świata”. I niewątpliwie były to istoty wieczoru, albowiem każda zdawała się nieść własne światło, mgiełkę migotliwego, połyskliwego, zmiennego blasku, nadzwyczaj miłego dla oka.

I tak pierwsza nadeszła w złocistej jasności, wysuwając złociste pantofelki spod sztywnego złotogłowi sukni, haftowanej misternie jedwabiem. Niosła przed sobą poduszkę ze złotej tkaniny, a na niej cyzelowane, zdobione puzderko, lśniące złotem jak samo zachodzące słońce.

Druga jaśniała srebrem niczym księżyc, jej smukłe stopy były jak srebrne okrawki, a na srebrzystej sukni połyskiwały półksiężyce i blade, błyszczące koła; oblewał ją chłodny, jasny blask, cudownie mieniący się w lustrzanym srebrze szkatułka i w poduszce ze srebrnej tkaniny, przetykanej igłami czystego, białego światła.

Trzecia zaś po tych dwóch zdała się matowa, lśniąca przyćmioną poświatą, niczym polerowana, lecz zużyta zbroja albo podbrzusza chmur wysokich, co kryją prawdziwe światło, które nasycia ich stalową szarość odbitą bielą. Suknia jej żywa była od powolnych lśnień jak nieruchoma woda pod gwiazdami, pantofelki miała aksamitne, a włosy - inaczej niż tamte - ukryte pod woalem. I choć dwie pierwsze uśmiechnęły się do Chłopca, wychodząc w migotliwych obłokach z cienia kamiennej alei, trzecia skromnie spuściła oczy i ujrzał, że powieki jej są ciężkie i ciemne jak dym, przetykany fioletowymi żyłkami, rzęsy zaś na bezbarwnych policzkach przypominają postrzępione skrzydła ćmy.

I przemówiły doń, zda się, jednym głosem, który wszakże miał w sobie trzy tony: czystej trąbki, wysokiego oboju i szepczącego, bezdźwięcznego fletu.

„Tą drogą nie wolno ci iść samemu - powiedziały - albowiem tu jest krawędź wszystkich rzeczy, a dalej to już inny kraj. Ale jeżeli zechcesz, możesz wybrać jedną z nas na przewodniczkę i ruszyć naprzód. Lub, jeżeli zechcesz, możesz bez hańby zawrócić w tym miejscu i znów powierzyć swój los wrzosowiskom”.

On zaś poprosił je grzecznie, by mówiły dalej, albowiem nie odbył tak długiej i znoonej podróży po to tylko, by teraz zawracać; ponadto ojciec powierzył mu misję, której celu wyjawić nie może. „Twój cel jest nam znany - oświadczyły trzy panny. - Długo czekałyśmy na ciebie”.

„A skąd mam wiedzieć - ośmielił się zapytać Chłopiec tonem najpokorniejszego szacunku - że nie jesteście owymi białymi paniami, o których opowiadają z czcią i ze strachem w wioskach, przez które jechałem?”.

Wówczas wybuchnęły śmiechem, niskim, wysokim, czystym i stłumionym, i powiedziały, że bardzo wątpią by mówiono o tych paniach ze szczególną czcią; jednakże krąży wśród prostego ludu wiele przesądów i zabobonów na ich temat, którym, być może, nie należy zbyt dawać wiary.

„A co do nas - rzekły - to musisz przyjąć nas takimi, jakie jesteśmy, i sam osądzić, czym możemy stać się dla ciebie, jak zwykli czynić ludzie wielkiej odwagi i jasnego oka”.

Wtedy Chłopiec, który - nim otworzył usta - nie wiedział jeszcze, że już postanowił wyruszyć naprzód, odparł, jakby mówił przezeń jakiś głos:

„Spróbuję”.

„Tedy wybieraj - oznajmiły - i wybieraj mądrze, gdyż wybrać możesz zarówno wielkie szczęście, jak najwyższe cierpienie”.

I ruszyły ku niemu, wszystkie po kolei, każda w swojej świetlistej klatce, niczym świeczki, cudnie promieniejące przez ścianki lampionów. A mijając go, każda zaśpiewała piosenkę przy wtórze niewidzialnych instrumentów, grających słodkie tony. Ostatnie blaski krwawozłotego słońca oświetliły stojące kamienie, szare na szarym niebie.

Pierwsza, krocząc dumnie, zbliżyła się do Chłopca złota pani, a na jej głowie iskrzyła się złocista królewska korona - filigranowa wieża z połyskliwych słonecznych promyków i błyszczących drucików, wsparta na kędzierzawych lokach, ciężkich od klejnotów niczym złote runo. I pani ta dzielnie uniosła w górę puzderko, które zajaśniało takim blaskiem złota, że oślepiiony Chłopiec musiał spojrzeć w dół na szary wrzos, po czym zaśpiewała:

Moja złota ziemia,
Mój łan zbóż złocony,
Mój tron złocisty
Tobie przeznaczony.
Siądź na mych kolanach
Usłanych kwiatami
I króluj nad świata
Dumnymi wieżami.

Gdyby wyciągnął ręce w chłodnym zmierzchu, mógłby je ogrzać przy ognistych iskrach, którymi sypała przechodząc. Ale choć sądził, że ofiaruje mu szczęście, rzekł tylko:

„Zanim odpowiem, obejrzę wszystko”.

Wówczas nadeszła srebrna pani z płomieniem białego półksiężyca na bladym czole, otulona woalem w srebrzyste cętki, który unosił się wokół niej migotliwą chmurą tak, że wyglądała jak chodzące źródło lub kwitnący nocą sad, co w środku dnia, ciepły i rumiany, wystawia się na pszczele pocałunki, lecz nocą leży cały biały pod chłodnym, tajemnym, kojącym światłem, w którym nic nie więdnie ani nie dojrzewa.

Ta zaśpiewała:

Moja jest noc długa, Tajne miejsce moje, Gdzie się kochankowie Spotkają oboje. W srebrze pocałunku
W granacie ciemności Zapomnij o świecie I szukaj błogości.

On zaś pomyślał, że wniknęła w tajniki jego duszy i w swej tęsknocieomalże wyciągnął ku niej ramiona, gdyż sprawiła, że ujrzał w duchu zamknięte okno na wysokiej wieży i ukryte za zasłoną łożo, w którym stałby się najbardziej sobą. Albowiem z całą pewnością jej darem był on sam, tak jak darem pierwszej była zalana słońcem ziemia. Odwrócił się więc od złotej pani i byłby objął srebrną, gdyby nie powstrzymała go

ostrożność bądź ciekawość; chciał bowiem zobaczyć, co też po darach swoich słodkich sióstr zaofiaruje mu pani matowa.

I nadeszła, nie krocząc, nie tańcząc, lecz prawie się skradając, niepostrzeżenie, niczym cień na tęczówce oka, w nieruchomym kręgu miękkiej poświaty. Jej szata nie migotała ani nie iskrzyła, lecz zwiślała w sztywnych fałdach jak rzeźbiony marmur, rzucając fioletowe cienie, delikatnie rozświetlone w głębi. Twarz jej po-grażona była w cieniu, gdyż nie patrzyła na Chłopca, lecz na matową, ołowianą szkatułkę, całkiem bladą, poz-bawioną zawiasów i dziurki od klucza, którą trzymała w dłoniach. Czoło tej pani otaczał wianek białych ma-ków, na stopach miała ciche, jedwabiste pantofelki z pajęczej sieci; grała jej zaś prosta muzyka fletu nie z tego świata, nie wesoła, nie smutna, lecz tęskna, wołająca... I zaśpiewała:

Nie żyjące ciało,
Nie ognia płomienie,
Nie ręki działanie
Jest serca pragnieniem.
Pójdź - to, co najlepsze,
Na końcu się ściele,
Ja jedna rozdaję
Odpoczynku Ziele.

Wówczas Chłopcu doprawdy ścisnęło się serce, gdyż jego ojciec pragnął właśnie Ziela Odpoczynku, ono jedynie mogło ukrócić jego długą udrękę. I serce Chłopca zbuntowało się nieco, gdyż niechętnie porzucał jasne bogactwo złotej damy i piękną czystość srebrnej na rzecz ciszy, miękkości i spuszczonego oczu tej trze-ciej, na poły niewidzialnej. Ale ja wiem i wy wiecie - nieprawdaż, drodzy czytelnicy? - że Chłopiec zawsze wybiera tę ostatnią z ołowianą szkatułką gdyż wszystkie mądre bajki powiadają nam, że trzecia siostra to wła-ściwy wybór, czyż nie? Więc pożałujmy trochę srebrnej błogości, którą wołałby Chłopiec, i słonecznej, ukwie-conej ziemi, którą ja sama w duszy preferuję, po czym zachowajmy się stosownie i podążmy za tym, który z wyroku losu oraz woli ojca ujmuje teraz miękką dłoń ostatniej siostry i mówi na poły do siebie: „Pójdę z tobą”.

Pewnego dnia napiszemy to inaczej: że w ogóle nie przyjechał lub pozostał na miejscu, lub wybrał któ-rąś z jasnych sióstr, lub wyzwolony od losu powrócił na wzgórze - jeśli to być może. Teraz zaś wiecie już, że stało się to, co się stać musiało, taka bowiem jest w bajkach potęga konieczności.

A więc ujęła lekko jego rękę - a dotknięcie jej chłodnych palców było niczym pocałunek émy albo do-tyk świeżej pościeli po znojnym dniu - i zwracając ku niemu twarz, uniosła te swoje powieki. Wtedy ujrzał jej oczy.

Cóż mogę o nich powiedzieć, prócz tego, że spojrzawszy w nie, Chłopiec zatracił się całkiem i nie wi-dział już ani wrzosowiska, ani obu świetlistych istot, obracających się w swoich jasnych klatkach, ani wiernego rumaka, który, obolały, roztańczony, przyniósł go tutaj, na skraj znanego świata? Gdybym pokusiła się o opis - lecz nie, nie umiem - ale jednak muszę, jestem bowiem waszym kronikarzem, zobowiązany, by wam opo-wiedzieć - no właśnie, co?

Wyobraźcie sobie dwa stawy o północy, rozjaśnione nie zewnętrznym światłem, lecz poświatą z głębin, rozbłyskiem, obietnicą; przejrzyste, choć mroczne jak owoc tarniny, głębokie, głębokie. Wyobraźcie sobie, że ruch głowy wydobywa z nich nie granat śliwki, ale brąz ciemny niczym gorąca czerń skóry pantery, nieruchomy, wyczekujący, nietknięty światłem księżyca.

„Pójdę z tobą” - powiedział Chłopiec po raz drugi, ona zaś odparła cichutko, skłaniając głowę, być może posłusznie: „A więc chodźmy”.

I pociągnęła go za sobą przez kamienny próg, koń jego zaś zarżał przerażony, lecz Chłopiec szedł nie słysząc. I choć kamienie zdawały się po prostu stać na wrzosowisku, które rozciągało się wokół prawie jak przedtem, tuż za progiem odkrył jednak, iż rzeczy mają się inaczej, gdyż droga prowadziła w dół, klucząc i wijąc się między kępami słodkich, wonnych kwiatów, jakich nigdy nie widział, o jakich nie marzył, które wionęły nań lekkim pyłkiem z ogromnych gardzieli, oświetlone blaskiem nie dziennym, nie nocnym, nie słońca, nie księżyca, nie jasnym, nie cienistym, lecz równomiernym, odwiecznym, niezmiennym światłem tamtego królestwa...

Christabel LaMotte

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

KORESPONDENCJA

Droga Panno LaMotte.

Nie wiem, czy Twój list bardziej mnie zachęcił, czy przygnębił. Istotne jest w nim zdanie „jeśli zechcesz znów do mnie napisać” - i zezwolenie to bardziej mnie zachęca, niż przygnębia mnie Twoje pragnienie, by nie być widzianą aczkolwiek muszę szanować i ten drugi rozkaz. A ponadto - przysyłasz mi wiersz oraz mądrą obserwację, że wiersze warte są więcej niż wszystkie sandwiche z ogórkiem na świecie. I tak jest w rzeczy samej - a dotyczy się to zwłaszcza Twoich wierszy - lecz weź, proszę, pod uwagę przewrotną poetycką wyobraźnię, spragnioną właśnie wyobrażonych sandwiczów z ogórkiem, które - ponieważ w żaden sposób mieć ich nie możemy - jawią się jako angielska forma manny z nieba - ach, doskonałe, zielonkawe kręgi - ach, delikatny posmak soli - ach, świeże, jasne masło - ach, nade wszystko, biały mięksisz i złocista skórka świeżego chleba... I jak w innych dziedzinach życia, tutaj również niezmordowana fantazja idealizuje to, co na trzeźwo pożeramy w chwili dystygowanego łakomstwa.

Ale wie Pani przecież, że z radością zrzekam się sandwiczów - wysnionych lub rzeczywistych - w zamian za Twój cudowny wiersz, w którym, jak sama twierdzisz, przebija dzikość, właściwa, wedle ostatnich obserwacji, zwyczajom prawdziwych pajaków. Czy zamierzasz rozciągnąć metaforę kuszenia i usidlenia na pojęcie Sztuki? Czytałem inne Twoje wiersze o Życiu Owadów, podziwiając zręczność, z jaką łączysz barwność i kruchość tych skrzydlatych i pełzających stworzeń z kąsaniem, żądleniem i pożeraniem, które widoczne są w mikroskopowej skali. W istocie, tylko bardzo odważny poeta podjąłby się prawdziwie opisać Królową Pszczół - lub Os, lub Mrówek - taką, jak dziś ją znamy, zważywszy, iż od stuleci zakładano, że ośrodkiem czci i aktywno-

ści gniazda jest Władca Samiec. Z jakiegoś powodu nie wydaje mi się, abyś podzielała odrazę Twej płci dla takich form życia - a w każdym razie nie owo uczucie, które w moim mniemaniu jest odrazą...

Sam noszę się z projektem napisania owadziego wiersza, nie liryku wszakże, lecz monologu dramatycznego, podobnego do tych, jakie już napisałem o Mesmerze, Alexandrze Selkirku i Giętym Sąsiedzie - nie wiem, czy znasz te prace, jeśli nie, z radością Ci je prześlę. Czuję się dobrze wśród wyobrażonych umysłów, kiedy ożywiam i w pewnym sensie przywracam witalność umarłym ludziom innych epok: ich włosom, zębom, paznokciom, miskom, ławkom, bukłakom, kościołom, świątyniom, synagogom, owej nieustającej, przedzalnicznej pracy cudownych mózgow, zamkniętych w ich czaszkach, tkających osobnicze wzory z najbardziej osobistych odczuć, widoków, nauk i przekonań. Wydaje mi się ważne, by te inne życia pochodziły ze stuleci najbardziej odległych oraz tylu miejsc, ilu dotknąć mogą swą ograniczoną wyobraźnią. Albowiem jestem dziewiętnastowiecznym dżentelmenem, siedzącym w samym środku mglistego Londynu, którego wyróżnia tylko wiedza o tym, jak daleko - przedtem i wokół, i potem - od jego punktu obserwacji rozciąga się horyzont, podczas gdy on wciąż pozostaje sobą - panem o wąsatej twarzy wśród pól pełnych Platona, Feuerbacha, św. Augustyna i Johna Stuarta Mila.

Poniosło mnie, a tymczasem nie powiedziałem Pani jeszcze, jaki będzie temat mego owadziego poematu - który ma być krótki i cudów pełny, lecz na ogół tragiczny. Poświęcić go zamierzam życiu Swammerdama*, Holendra, który wynalazł soczewkę optyczną odkrywając przed nami rozległe dziedziny i nieustający zamęt rzeczy nieskończenie małych - podobnie jak Galileusz, który nakierował swą optyczną rurę na majestatyczne ruchy planet, objawiając nam obroty milczących sfer tego, co nieskończenie wielkie. Czy zna Pani historię tego uczonego? Czy pozwoliś, że prześlę Ci swoją wersję, gdy ją skończę? Jeśli wypadnie dobrze? (Wiem, że tak; pełno w niej szczegółików, na których obserwacji zasadza się żywotność ludzkiego umysłu - zapytasz pewnie: „Czyjego umysłu, mojego czy Twojego?” - dalibóg, nie wiem. Swammerdam wynalazł cudowne maleńkie przyrządy, by za ich pomocą podglądać i wnikać w istotę życia owadów, a wszystkie wykonał z kości słoniowej, mniej niszczycielskiej i szkodliwej niż brutalny metal; sporządzał także lilipucie igły - igły dla wrózek - jeszcze zanim wymyślono samych Liliputów. Ja zaś posiadam jedynie słowa i martwe truchła słów innych ludzi, lecz dopnę swego - możesz mi nie wierzyć, ale zobaczysz sama).

* Jan Swammerdam (1637-1680) - holenderski anatom i entomolog (przyp. tłum.).

A teraz - piszesz, że mogę otrzymać od Ciebie esej o Odwiecznym Nie - lub o Schleiermachera Zasłonie Iluzji, lub o Rajskim Nektarze - lub o czym tylko zechcę. Cóż za marnotrawstwo - jakże mam wybierać? Myślę, że zrezygnuję z Odwiecznego Nie, wciąż mając nadzieję na chłodne, zielone kręgi, podane z Rajskim Nektarem i odrobiną Herbaty, choćby najpodlejszej - od Pani zaś pragnę nie iluzji, lecz prawdy. Więc może powiesz mi więcej o swym Temacie Wróżki - jeśli mówienie nie zaszkodzi Twym myślom - gdyż bywa, że mówienie lub pisanie jest pomocne, lecz bywa także, iż niweczy ono całą pracę - gdybyś więc nie zechciała prowadzić dalej tej rozmowy, zrozumieć. Mam jednak nadzieję, że odpowiesz na moje chaotyczne bzdury - i pozostaję z nadzieją że w niczym nie uraziły one Tej, którą mam nadzieję poznać lepiej.

Twój najszczerzej oddany R.H. Ash

Drogi Panie Ash.

Ze wstydem myślę, że to, co mógł Pan przecież wziąć za moją bojaźliwość lub zgola grubiaństwo, przyniosło w wyniku tak szczodłą mieszaninę Twego błyskotliwego dowcipu i wiedzy. Dziękuję. Gdyby wszyscy ludzie, którym odmówiłam niegodnego warzywnego posiłku, podejmowali mnie jadłem intelektualnym równie królewskim, pozostałabym po wsze czasy niezłomna w kwestii sandwiczów - większość wszakże petentów zadowala się jedną odmową. I zaprawdę, dobrze się składa, albowiem my, dwie samotne damy, żyjemy spokojnie na naszym skromnym gospodarstwie - mamy nasze słodkie codzienne rytmy, których nic nie zakłóca, i naszą ograniczoną małą niezależność - a wszystko dzięki temu, że całkiem, ale to całkiem nie zwracamy na siebie niczyjej uwagi. W swojej delikatności pojmie Pan, jak się sprawy mają - ten jeden raz mówię zupełnie poważnie - nigdzie nie bywamy i same nie przyjmujemy. Spotkaliśmy się, Pan i ja, bowiem Crabb Robinson przyjaźnił się z moim drogim Ojcem - z kimże on się nie przyjaźnił? Nie czułam się na siłach odmówić prośbie w imię tego - ale było mi przykro, albowiem nie bywam w towarzystwie.

Powie Pan, że „ta dama za wiele przyrzeka” - lecz wzruszyła mnie Twa wizja wielkiej, okrągłej, zielonej szczęśliwości i zapragnęłam - przez chwilę - udzielić odpowiedzi bardziej zadowolającej. Ale żałowałabym, na pewno, gdybym się zgodziła - i nie tylko ja, lecz także i Pan.

*Bardzo mi pochlebila Pańska dobra opinia o moim wierszyku. Nie jestem jednak pewna, jak odpowiedzieć na Twoje pytanie o kuszenie i usidlanie jako cechy Sztuki - są to, bardzo być może, cechy kunsztu Arachne, a tym samym naszych zwykłych, kobiecych wytworów, kruchych i połyskliwych, ale z całą pewnością nie Pańskich wielkich dzieł. Wstrząsnęło mną Twoje przypuszczenie, że mogłabym nie znać Poematu o Mesmerze - lub o Selkirku na jego strasznej wyspie, twarzą w twarz z nieubłaganym Słońcem i najwyraźniej obojętnym Stwórcą - lub o Giętym Sąsiedzie i jego wykrętnej wszechstronności religijnej. Może powinnam była trochę skłamać i powiedzieć, że ich nie czytałam, aby dostąpić zaszczytu otrzymania ich z rąk autora - lecz należy żyć w prawdzie, zarówno w rzeczach wielkich, jak i małych - a to wszak nie jest rzecz mała. Musi Pan wiedzieć, że mamy wszystkie Twoje tomy, ustawione groźnie obok siebie - i że lektury i dyskusje o nich są w naszym małym domku równie częste, jak w wielkim świecie. Powinieneś także wiedzieć - a może i nie - jakże mam to wyznać Tobie, z którym znajomość moja jest tak krótka - ale jeśli nie Tobie, to komu - a napisałam przecież przed chwilą, że trzeba żyć w prawdzie, to zaś jest prawda podstawowa - winieneś zatem wiedzieć, zebrałam bowiem całą swą odwagę - że Twój wielki poemat „Ragnarök” stał się przyczyną najgorszego chyba kryzysu mojej prostej wiary, jakiego doświadczyłam lub doświadczę w życiu. Nie idzie o to, byś gdziekolwiek w swym poemacie atakował chrześcijaństwo - w rzeczy samej, z najwyższą Przyzwoitością Poetycką wcale o nim nie wspominasz - ponadto w swej poezji nigdy nie przemawiasz własnym głosem ani prosto z serca. (Że kwestionujesz, to oczywiście - twórca Giętkiego, Łazarza i heretyka Pelagiusza** przejawia przebiegłość węża w swoich nader subtelnych dociekaniach Podstaw naszej Wiary, tak wytrwale i niestrudzenie badanych w obecnej dobie. Znasz przecież „dwuznaczności i pokrętności” Filozofii Krytycznej, jak powiada Św. Augustyn o Pelagiuszu - do którego mam słabość, czyż bowiem nie był on Bretończykiem - jak po części ja jestem - i czyż nie pragnął, by grzeszni mężczyźni i kobiety byli bardziej wolni i szlachetni?...). Ale szalenie odbiegam od „Ragnaröka” i jego pogańskiego Dnia Sądu, i pogańskiej w nim interpretacji misterium Zmartwychwstania, Nowych Niebios i Nowej*

Ziemi. A zatem - wydało mi się, że powiadasz: „Takie Opowieści ludzie snują i snuć będą - nie różnią się one od siebie, może tylko inaczej podkreślają to czy owo”. Lub nawet: „Ludzie opowiadają o tym, co Pragną, by się stało, by stać się mogło, nie zaś o tym, co z boskiego, transcendentnego wyroku Musi Być i Jest”. Wydało mi się, że - dzięki swemu piarstwu, sile swej wyobraźni - czynisz z Pisma Świętego zaledwie kolejną Cudowną Opowieść. Plączę się, nie będę dalej pisać, proszę o wybaczenie, jeśli moje słowa wydadzą Ci się niezrozumiałe. Zwątpiłam - i od tamtej pory jestem zmuszona żyć Wątpiąc. Dość tego.

Nie zamierzałam napisać tego wszystkiego. Jakże to, sądził Pan, że nie będę zachwycona, mogąc otrzymać Twego „Swammerdama” - jeśli skończywszy go nadal będziesz skłonny zrobić kopię i ją przysłać? Nie obiecuję inteligentnej krytyki - tego na pewno Ci nie braknie - wrażliwej i uważnej lektury możesz jednak być pewien. Niezwykle zaciekawilo mnie to, co Pan pisze o odkryciu przezeń mikroskopu - i igiel z kości słoniowej do badania pomniejszych Form Życia. Wykonałyśmy w tym domu pewną pracę z użyciem mikroskopów i szkiełek - lecz bardzo po kobiecemu wzdramamy się przed zabijaniem. Nie znajdzie Pan tutaj przyszpilonych, uśmierconych chloroformem kolekcji, jedynie kilka słoików mieszczących tymczasowych gości - wielkiego Pajaka domowego - Ćmę w poczwarkowej formie - żarłoczną Glistę o wielu nogach, której zupełnie nie umiemy zidentyfikować i którą opętał Niespokojny Demon - albo nienawiść do więzienia w Słoju.

* William Shakespeare, „Hamlet”, III, 2, przeł. Stanisław Barańczak (przyp. tłum.).

** Pelagiusz - brytyjski mnich, mieszkający w Rzymie w pierwszej połowie V w., negujący grzech pierworodny i głoszący, iż cnotę można osiągnąć mocą wolnej woli (przyp. tłum.).

Przesyłam jeszcze dwa Wiersze. Stanowią one część cyklu o Psyche - we współczesnej formie - o tej wątpiącej biedaczce, która wzięła Miłość Niebiańską za Węża.

Nie odpowiedziałam na Twoje pytanie o poemat Wróżki. Jestem głęboko wzruszona i nie mniej głęboko zaniepokojona, że aż tak dobrze go pamiętasz, albowiem mówiłam o tym - lub udawałam, że mówię - trochę od niechcienia, jak o czymś, czym byłoby miło się pobawić - lub zająć w jakimś wolnym dniu.

Tymczasem, prawdę mówiąc, noszę się z zamiarem, by napisać Epos - a jeżeli nie epos, to przynajmniej Sagę lub wielki mityczny Poemat - jakże zaś biedna, zdyszana kobieta - pozbawiona Wytrzymałości - posiadająca jedynie Wiedzę Księżycową - może zwierzać się z takich ambicji autorowi „Ragnaröka”? Dziwne to, mam wszakże całkowitą pewność, że w tej kwestii mogę Panu ufać - że nie wyszadzisz mnie i nie oblejesz wróżki przy źródle kubłem Zimnej Wody.

Dosyć. Załączam Wiersze. Na temat przeistoczeń mam ich więcej - to problem naszych czasów - oraz wszystkich Czasów, gdy im się dobrze przyjrzeć. Drogi Panie - wybacz moje rozwlekłe podniecenie - i jeśli będziesz mógł i zechcesz - przyślij, proszę, swego „Swammerdama” ku nauce życzącej Ci jak najlepiej C. LaMotte

[Załącznik]

PRZEISTOCZENIE

Czy fryzowany Jedwabisty Lotnik

Wspomina, jaki był - Początek jego -

Jak w miękkiej ciasnocie pełzając - Zaczynał?

A człowiek w swym biegu

W swojej nadętej, błyskotliwej Glorii

Czy powraca myślą

Do tej Drobinie Tkanki, do swojej Historii

Co wzięła się - z Niczego?

A przecież - pod Stwórcy straszonym, ostrym wzrokiem

Skuleni obaj, wiedzą - Rok za nieskończonym Rokiem -

Że Ten, co dzisiaj Kształt i Życie daje Trwaniem i Grobem wiecznym na zawsze zostaje.

PSYCHE

W Baśniach - Stworzenia wszelkie wsparciem były Dla Istot Ludzkich, znękanych nad siły. Harmonią był ich Świat - co stał się potem Kakofonicznych hałasów jazgotem.

Panięskich Mrówek Nacja wyzwolona Zmartwionej Psyche ongiś pomoc chciała, Której okrutna Wenus rozkazała Przebierać roślin zmieszane nasiona.

Współczucie Mrówki ogarnęło, Zniknęły precz miałkie Kłopoty - W Zamęt, szyderczej Wenus dzieło Wniosły Społecznej chęć Roboty. Sprzątały i porządkowały To, co zmieszało się na Stosie, By Psyche - słaba i bezradna - Mogła zakochać się w Erosie.

Nie sądz, że Ludzi Aprobata Lub Pocałunek Spodziewany Nagrodą jest nam za Zasługi, Rękojmią Ładu - który mamy.

Mrówki nie trują się dla Pana, To, co posiadły, im wystarczy - Codzienna w Gnieździe krzątania Nasion magazyn gospodarczy - Spotkawszy się - przekażą Wieści, Lecz żadna żadnej się nie kłania. Jak myśli Boga - rozmawiają, Nie mając nad sobą władania.

Droga Panno LaMotte.

Jakże szczodra jesteś, mimo wszystko, odpisując mi tak szybko i tak obszernie. Mam nadzieję, że odpowiedź moja nie wyda się Pani zbyt pośpieszna - za nic w świecie nie chciałbym zadręczać Cię natręctwem - lecz list Twój był tak ciekawy, że zapragnąłem spisać swoje myśli, póki zdają mi się świeże i jasne. Twoje wiersze są urocze i oryginalne - i gdybyśmy rozmawiali twarzą w twarz, spróbowałbym może odgadnąć głębsze pokłady zagadkowej alegorii w „Psyche” - nie dostaje mi wszakże odwagi - czy bezczelności - aby przedstawić je czarno na białym. Zaczynasz tak pokornie, od strąconej księżniczki i pożytecznych stworzeń - kończysz jednakże całkiem inaczej, moralnym wyzwoleniem - od czego? - oto trudność - od monarchii - od Miłości Człowieczej - od Erosa, przeciwstawionego Agape - czy też od złośliwości Wenus? Czy afekt społeczny mrowiska jest w istocie czymś lepszym niż miłość mężczyzn i kobiet? No cóż, Ty tu jesteś sędzią - wiersz jest Twój, i to świetny - a w ludzkiej historii dość mamy przykładów niebotycznych wież, podpalanych z namiętnego kaprysu - lub biedaków, uwięzionych w bezmiłosnych związkach przez wolę rodziców i dyktat pochodzenia - lub przyjaciół, gotujących sobie zagładę. Eros to marny i grymasny bożek - no i proszę, sam się przekonałem do Twego punktu widzenia, nadal dobrze nie wiedząc, jaki on jest.*

Teraz, gdy już oddałem Twym wierszom, co należne, muszę przyznać, że zmartwiła mnie trochę myśl, iż mój poemat stał się dla Ciebie przyczyną wątpliwości. Ufna wiara - szczere rozmodlenie - to rzecz piękna i prawdziwa, bez względu na to, jak ją dziś widzimy - i niepodobna, by zakłóciły ją meandry zapytań, powstałe w

skończonym umyśle R.H. Asha - bądź innego, zdziwionego badacza naszego Wieku. „Ragnarök” napisany został jak najuczciwiej, w czasach, gdy ja sam nie kwestionowałem pewników biblijnych - ani wiary, przekazanej mi przez moich ojców. Co prawda, niektórzy odczytali go inaczej - wśród nich dama, która później została moją żoną - i poczułem się wówczas zaskoczony i zdziwiony, że ów Poemat można pojmować jako odstępstwo od wiary - albowiem zamyśliłem go raczej jako potwierdzenie Powszechnej Prawdy - żywej obecności Wszechojca (pod jakim bądź Imieniem) i nadziei na Zmartwychwstanie - w dowolnej formie - z dowolnego, przytłaczającego nieszczęścia. Gdy Odyn - w moim wierszu Wędrowiec, gangrader - pyta Olbrzyma Wafthrudnira, jakie słowo wyszeptał Ojciec wszystkich bogów do ucha swego zmarłego syna, Baldura, na stosie pogrzebowym, młodzieniec, którym byłem, jak najpobożniej pragnął, by słowo owo brzmiało - Zmartwychwstanie. I on, ten młody człowiek, który mną jest i nie jest zarazem, bez trudu przyjął założenie, iż martwy nordycki Bóg Światła może wyobrażać martwego Syna tego właśnie Boga, który jest Ojcem Chrześcijaństwa. Ale, jak zauważyłaś, mechanizm ów - metafory - działa w obie strony, jak obosieczna klinga; stwierdzenie, że Prawdziwość Opowieści leży w jej znaczeniu, że Opowieść jedynie symbolizuje odwieczną prawdę, to krok na drodze ku równorzędności wszystkich opowieści... Istnienie zaś tych samych Prawd we wszystkich Religiach to argument zarówno za, jak i przeciwfundamentalnej Prawdzie Jedynej.

* Agape (gr.) - miłość niebiańska, przeciwstawiana ziemskiej, czyli Erosowi (przyp. tłum.).

A teraz - muszę coś wyznać. Napisałem, a następnie zniszczyłem poprzednią odpowiedź na Pani list, w której - bez obłudy - nalegałem, byś trwała w wierze i nie dała się wciągnąć w „dwuznaczności i pokrętności” Filozofii Krytycznej; pisałem również - być może nie jest to bzdurą - że kobiece umysły, czystsze, bardziej intuicyjne, mniej nękanie torsjami i napięciami niż mózgi marnych mężczyzn - mocniej trzymają się prawd, które my tracimy, zadając zbyt wiele pytań, częstokroć mechanicznych i jałowych. „Człowiek może równie sprawiedliwie wziąć w posiadanie prawdę, jak i Miasto, a mimo to być zmuszonym je oddać” - oto mądra maksyma sir Thomasa Browne'a - nie zamierzam tedy od Pani wymagać, byś, podążając za fałszywym stwierdzeniem, oddała mi klucze od tego miasta.

Pomyślałem jednak - i słusznie, nieprawdaż? - że nie byłabyś zadowolona, gdybym, odwołując się do Twojej wyższej Intuicji, zaniechał sporu i oddał pole bez walki.

Nie wiem dlaczego - ani skąd - ale całym sercem jestem przekonany, że tak się sprawy mają - a zatem z Tobą nie mogę szukać wykrętów, gorzej, w imię przyzwoitości nie mogę unikać z Tobą dyskusji o kwestiach tej wagi. Zauważysz więc - Ty, tak przenikliwie inteligentna - że nigdzie w swoim liście nie twierdzę, jakoby nadal podzielał proste i niewinne poglądy młodego autora „Ragnaröka”. Lecz jeśli Ci powiem, jakie żywię poglądy obecnie - cóż sobie o mnie pomyślisz? Czy nadal będziesz komunikować mi swoje myśli? Nie wiem tego - wiem tylko, że działałam jakby pod przymusem szczerości.

Nie stałem się Ateistą ani pozytywistą - a przynajmniej nie w owym skrajnie religijnym stopniu, jak ci, którzy czynią religię z Humanizmu - chociaż bowiem życzę swym bliźnim jak najlepiej i uważam ich za nieskończenie ciekawych, są jednak rzeczy na Niebie i Ziemi, które nie zostały stworzone dla ich - to jest naszej - korzyści. Impuls ku religii może dać potrzeba zaufania - lub zdolność dziwienia się - moje zaś uczucia religijne

zawsze wzbudzało bardziej to drugie. Trudno mi poruszać się bez Stwórcy - im więcej widzimy i rozumiemy, tym większe zdumienie wzbudza w nas ta Sterta dziwnie powiązanych rzeczy, które wszak nie są w nieładzie. Ale - posuwam się za szybko; i nie mogę, nie wolno mi obarczać Ciebie całkowitym wyznaniem tak bardzo pomieszanych, niezbornych, niewyklutych idei, co najwyżej spostrzeżeń, półprawd, użytecznych wymysłów - z którymi zmagam się, lecz ich nie posiadam.

Prawda jest taka - droga panno LaMotte - że żyjemy w starym świecie - w świecie, który dotąd piętrzył spekulacje i obserwacje, aż prawdy, dostrzegalne o jasnym Zaraniu ludzkości - kiedy żył młody Plotyn lub ekstatyczny Jan z Patmos* - zniknęły pod ciemną warstwą palimpsestów - rogowych narośli na owej czystej wizji. Podobnie węże, zanim przywdzieją nową skórę, barwną i sprężystą, nie dostrzegają nic spoza suchych strzępków starej - piękny zaś zarys wiary, strzelający pod niebo wieżami starych katedr i opactw, zacierany jest przez czas, brud i sadze - miękkie osady naszych miast przemysłowych, naszego bogactwa, wręcz naszych odkryć i naszego Postępu. Otóż, nie będąc Manichejczykiem, nie mogę uwierzyć, by On, nasz Stwórca - jeżeli istnieje - mógł uczynić świat i nas samych innymi, niż jesteśmy. Stworzył nas ciekawymi, nieprawdaż? - stworzył nas wątpiącymi - Skryba Księgi Rodzaju dobrze uczynił, lokując źródło naszych nieszczęść w owej zachłanności na wiedzę, która stanowi również najsilniejszy bodziec - w pewnym sensie - do czynienia dobra. Dobra i zła. I sądzę, że obu tych rzeczy przypada nam w udziale więcej niż naszym pierwotnym rodzicom.

A zatem - oto moje wielkie pytanie: czy On wycofał się z naszego pola widzenia, abyśmy, wyęzając dojrzałe umysły, pracowicie dociekali Jego Wyroków - teraz tak odległych - czy też, wskutek naszych grzechów lub nieuchronnego pogrubienia skóry przed nowym stadium metamorfozy - osiągnęliśmy etap, w którym świadomość naszej ignorancji i oddalenia stała się konieczna - i czy owa konieczność zdrowiem jest, czy chorobą?

W „Ragnaröku” - gdzie Wszchemocny Odyn staje się jeno Wędrowcem, błędzącym po Sródziemiu, i nieuchronnie ginie wraz ze swoim dziełem podczas ostatniej bitwy owej strasznej Zimy - po omacku zmierzałem ku temu pytaniu - nie wiedząc.

I w końcu pojawia się kwestia, jaki rodzaj Prawdy można przekazać w cudownej opowieści, jak trafnie ją nazwałaś - lecz okropnie nadużywam Twojej cierpliwości - która być może już się wyczerpała - być może sam się postawiłem poza nawiasem Twej domyślności i bystrej uwagi.

* Objawienie św. Jana Apostoła, przypisywane niekiedy samemu Św. Janowi, napisał nieznanemu wygnaniec na grecką wysepkę Patmos (przyp. tłum.).

I nie odpowiedziałem na to, co mówisz o swoim Eposie. Cóż - jeśli nadal obchodzi Panią moje zdanie - a niby dlaczego? - jesteś Poetką i koniec końców tylko Twoje zdanie się liczy - a więc, dlaczego nie Epos? Czemu nie dramat mityczny w dwunastu księgach? Nie widzę w Naturze żadnego powodu, aby kobieta - gdyby się temu poświęciła - nie mogła napisać takiego utworu równie dobrze jak mężczyzna.

Czy to brzmi obcesowo? Jeżeli tak, to tylko dlatego, że martwi mnie nad wyraz, iż nawet Ty - taka utalentowana - zdajesz się zakładać, że Projekt Twój wymaga jakiejś apologii.

Jestem natomiast w pełni świadom, że apologii wymaga ton całego mego listu, którego jednak nie przeczytam ponownie, gdyż nie mam już siły znowu go przerabiać. A więc dotrże do Pani surowy, niepoświęcony,

nienamaszczony - ja zaś zaczekam - niespokojny i zrezygnowany - by się przekonać, czy uznasz mnie godnym odpowiedzi.

Twój R.H. Ash

Drogi Panie Ash.

Jeśli milczałam zbyt długo - wybacź. W istocie rozważałam nie czy - ale co mam Ci odpowiedzieć - uczyniłeś mi bowiem zaszczyt- prawie napisałam bolesny zaszczyt - ale tak jednak nie jest - to nieprawda - i powierzyłeś mi swoje prawdziwe opinie. Nie jestem Panienką z powieści ewangelicznej, bym miała się unieść wyniosłym Oburzeniem - odpierając słowa szczerzej wątpliwości - i częściowo zgadzam się z Panem: Wątpliwość - wątpliwość - jest w naszym świecie i w obecnych czasach uczuciem endemicznym. Nie klóć się z Twoją wizją naszej sytuacji Dziejowej - zaiste, daleko jesteśmy od Źródła Światła - i poznaliśmy Rzeczy, które sprawiają, że Prostą Wiarę trudno jest utrzymać, uchwycić, wywalczyć.

Pisziesz wiele o Stwórcy - którego nie nazywasz Ojcem - chyba że w swej nordyckiej Analogii. Jednakże o prawdziwej historii Syna mówisz dziwnie mało - a przecież to właśnie leży w Centrum naszej żywej wiary - Życie i Śmierć Boga, co stał się człowiekiem - prawdziwego Przyjaciela i Zbawiciela, który jest dla nas wzorem postępowania i - przez swe Zmartwychwstanie - nadzieją na życie wieczne - bez czego ułomność i jawna niesprawiedliwość naszego ziemskiego żywota stałaby się drwiną nie do zniesienia. Ale piszę - niczym Kaznodzieja - którymi my, Kobiety, nie bywamy - tak orzeczono, tak jest słusznie - nie mówiąc Ci nic więcej ponad to, co sam, w swej mądrości, nieustannie przemyśliwasz.

A jednak - czy umielibyśmy przedstawić sobie ów Wzniosły Wzór, Najwyższą Ofiarę - gdyby nie istniała?

Mogłabym wykorzystać przeciw Panu przykład Twego własnego wiersza o Łazarzu - którego zagadkowy tytuł musisz mi kiedyś objaśnić. „Déjà vu lub Jasnowidzenie” - w rzeczy samej. Jak mamy to przyjąć? Wraz z przyjaciółką - towarzyszką - interesujemy się ostatnio zjawiskami nadprzyrodzonymi - wysłuchałyśmy kilku tu-tejszych wykładów na temat niezwykłych Stanów Umysłu - i manifestacji spirytystycznych - miałyśmy nawet dość śmiałości, by wziąć udział w seansie pani Lees. Otóż pani Lees jest przekonana, że zjawisko Déjà vu - gdzie przeżywający jest pewien, że obecne doświadczenie jest Powtórzeniem czegoś, co już się zdarzało, być może nawet często - stanowi dowód na Kolistość nieludzkiego czasu - na istnienie Innego, Sąsiedniego Świata, w którym rzeczy bez końca są, niezmiennie i niezniszczalne. I że dobrze poświadczone zjawisko Jasnowidzenia - dar przewidywania - Wyrocznia - jest skutkiem Zanurzenia się w owo zawsze świeże Continuum. A więc - wobec tego - Twój wiersz o Łazarzu wskazywałby, że martwy Łazarz wszedł do Wieczności i z niej na powrót wyszedł - „z Czasu do Czasu”, jak napisałeś - jeśli Cię dobrze rozumiem - i teraz postrzega Czas z perspektywy Wieczności. To koncept godny Ciebie - a teraz, gdy zaczynam lepiej Cię poznawać - objawiona mu cudowność Najmniejszych Drobin Życia - pasiaste, żółte oko Kozy, Chleb na talerzu, pokryta łuską Ryba, wkładana do pieca - rozumiem, że to wszystko jest dla Ciebie esencją życia i tylko Twój zdumiony narrator postrzega wzrok żywego-umarłego jako Obojętny - w istocie bowiem, ów widzi, że wartość ma wszystko - wszystko.

Zanim poznałam panią Lees, traktowałam Twe „Jasnowidzenie” bardziej ogólnie - jako prefigurację w oku umarłego owego Drugiego Przyjścia, na które czekamy - gdy wszystko będzie policzone, ziarnka piasku i włosy na naszych głowach.

Syn Boży w Twoim wierszu nie przemawia. Lecz rzymski Skryba, snujący opowieść - ów urzędnik spisowy, zbieracz pomniejszych faktów - czyż nie dziwi się, pomimo swych skłonności - pomimo Prozaicznych nawyków urzędniczych - obecności Człowieka w małej społeczności wiernych - którzy gotowi są radośnie zań Umrzeć - i równie gotowi Żyć w ubóstwie - „Tobie zaś wszystko jedno”, pisze, zadziwiony - lecz my się nie dziwimy - albowiem On otworzył im Drzwi do Wieczności i ujrzeli płonące tam światło - którym jaśnieją i chleby i ryby - czyż nie tak?

A może jestem Naiwna? Byłżeby On - tak ukochany, nieobecny, okrutnie umarły - jedynie Człowiekiem?

Najdramatyczniej przedstawił Pan Miłość do Niego - Potrzebą Pociechy - dziś nieobecnej - poprzez kobiety w domostwie Łazarza. Niestrudzona Marta i widząca Maria - każda na swój sposób wie, co znaczyła kiedyś Jego Obecność, choć Marta postrzega ją jako ozdobą domostwa - Maria zaś jako Utracone Światło, a Łazarz widzi tylko to, co przez mgnienie oka widzi.

O, to ci zagadka. Skończyłam wreszcie swój niezdamy, czeladniczy skrót Twego mistrzowskiego monologu. Czy opisałam żywość Żywej Wiary - czy tylko dramatyzację wiary bądź - Potrzeby?

Czy powie Pan, co to miało znaczyć? Czy też jest Pan niby Apostoł - wszystkim dla wszystkich? Dokąd - dokąd się przywiodłam?

Powiedz - że dla Ciebie - On żyje.

No cóż, moja droga panno LaMotte, w „ostęp mnie wzięli, muszę stawić czoło”* - choć pod innymi względami niczym nie przypominam Makbeta. Ujrzawszy Twój list, z początku poczułem ulgę, że nie uznałaś mnie za excommunicado** - lecz później, gdy wróciła mi władza sądenia, ważyłem kopertę przez czas jakiś i obracałem ją w tę i w tamtą stronę, na wypadek, gdyby niosła mi ogień piekielny.

Ale gdy ją wreszcie otwarłem - cóż za szczodrość ducha, żarliwa wiara, subtelne rozumienie mojego piarstwa - i to nie mego podejrzanego listu, lecz wiersza o Łazarzu. Sama, będąc poetką, wiesz przecież, jak to jest: pisze człowiek jakąś narrację i myśli sobie w trakcie: to niezłe - ten koncept nawiązuje do tamtego - ale czy to nie zbyt banalne dla ogółu, zbyt silnie podkreślona Oczywistość? Prawie ze wstrętem spogląda na zbyt wyraźny Sens - a potem rzecz wpada w ręce szerokiej publiczności, która orzeka, że jest ona nader prostacka lub przeciwnie, wzniosła i niezrozumiała - i widać jasno, że to, co chciało się przekazać, zginęło w nieprzeniknionej mgłę i z wolna umiera - zarówno w umyśle autora, jak jego czytelników.

A potem przychodzi Pani - i odrobiną swobodnej, beztroskiej mądrości przywraca wszystko do życia - aż po końcową wątpliwość - czy On to uczynił? czy Łazarz wstał z martwych? czy On, Bóg człowiek, naprawdę ożywia zmarłych, zanim sam zatriumfował nad Śmiercią, czy, jak chce Feuerbach, to tylko ucieleśnienie ludzkiego Pragnienia w pewnej Opowieści?

Prosisz mnie: „Powiedz - że dla Ciebie - On żyje”.

Tak - żyje - ale w jaki sposób? Jak? Czy naprawdę wierzę, iż ten Człowiek wstąpił do kostnicy, w której rozkładało się ciało Łazarza, i kazał mu wstać i iść?

Czy też naprawdę wierzę, że to wszystko wytwór nadziei, marzeń i spalonego folkloru, przyozdobiony na użytek łatwowiernych prostaczków?

*** William Szekspir, „Makbet”, V. 7, przeł. Józef Paszkowski (przyp. tłum.). ** Excommunicado (wł.) - wykluczony ze społeczności, obłożony ekskomuniką.*

Żyjemy w epoce naukowej historii - przesiewamy starannie dowody - wiemy co nieco o relacjach naocznych świadków i o tym, jak dalece należy im ufać - ale o tym, co ten żywy trup (mówię o Łazarzu, nie o Zbawicielu) widział za ową straszliwą granicą, co opowiadał i myślał, o czym upewniał kochającą rodzinę - o tym ani słowa.

Jeśli zatem konstruuje fikcyjną relację naocznego świadka - relację wiarygodną i prawdopodobną - czy swoją fikcją ożywiam pewną prawdę - czy też moja rozgorączkowana wyobraźnia służy uwiarygodnieniu kolosalnego Kłamstwa? Czy postępuję jak oni, Ewangeliści, odtwarzający w czasie późniejszym zdarzenia tej Historii? Czy też jestem niczym fałszywy prorok, nadymający pozór gorącym powietrzem? Czy jestem Czarownikiem - jak więdźmy Makbeta, łączące prawdę i kłamstwo w migotliwe kształty? Czy jak pomniejszy skryba profetycznej Księgi opowiadam prawdę, którą noszę w sobie, za pomocą fikcji, którą przyjmuję za swoją - jak Prospero za swego przyjął Kalibana? Nigdzie nie twierdzę, że ów biedny, głupi Rzymianin, krągłogłowy urzędnik spisowy, jest czymkolwiek innym, niż moim wymysłem - glinianym ustnikiem, poprzez który gwizdzę.

To żadna odpowiedź, powiesz, patrząc na mnie z przechyloną głową, jak mądry ptak, surowo, widząc we mnie wyłącznie krętacza.

Ale wiesz - jedyne życie, którego jestem pewien, to życie Wyobraźni. Nieważne, jaka Prawda - czy Nieprawda - wiąże się z owym „żyjącym-po-śmierci” - Poezja sprawia, iż ten biedny człowiek żyć będzie dopóty, dopóki trwać będzie czyjaś w niego wiara. Nie twierdzę, że umiem dawać życie jak On Łazarzowi, lecz może robię to, co Eliasza - leżę na martwym ciele i swoim oddechem znów je ożywiam.*

** Eliasza z Tiszbe w Gilead - wielki prorok izraelski, obrońca religii Jehowy, przywrócił życie zmarłemu synowi wdowy z Sareptu; 3. Ks. Król, 17.1 (przyp. tłum.).*

Lub robię to, co Poeta Ewangelii - gdyż poza wszystkim innym on był Poetą, naukowym bądź nie - to nieważne.

Czy czujesz, co chcę powiedzieć? Kiedy piszę, wiem. Wspomnij tą cudowną kwestią młodzieńczego Keotsa: Niczego nie jestem pewien, prócz świętych uczuć Serca i prawdy Wyobraźni.

Zważ - nie mówię, że Piękno jest Prawdą, a Prawda Pięknem, nie wykręcam się. Mówię, że bez wyobraźni Stwórcy nic dla nas żyć nie może - czy żyje teraz, czy też - kiedyś żywe, dziś martwe - czeka na przywrócenie do życia.*

Próbowałem przekazać Ci swą Prawdę, a napisałem tylko ponure brednie o poezji. Ale ty wiesz - wierzę, że Ty wiesz.

Powiedz, że wiesz - że to nie proste - i prosto nie da się zaprzeczyć - że jest prawda w Wyobraźni.

Drogi Panie Ash.

*MacBeth był Czarownikiem; czyż nie zginął od ostrego miecza tego, który nie zrodził się z kobiety? Czyż dobry król Jakub** - pobożny znawca Demonologii - nie rozkazałby spalić go na stosie?*

Jednakże w naszych czasach może Pan cicho sobie siedzieć i tłumaczyć się: och, jestem tylko poetą, i jeśli utrzymuję, że Prawdę osiągamy wyłącznie poprzez Życie lub Żywotność Kłamstw, to przecież nic w tym złego - wszak jedno i drugie wysysamy z mlekiem matki - nieodłącznie - taka jest ludzka kondycja.

On mówił: jam jest Prawda i Życie - i cóż Pan na to? Czy to był tylko retoryczny zwrot? Przenośnia Poetycka? A więc - tak czy nie? Owo jam jest dzwoni w wieczności.

Aczkolwiek muszę przyznać - teraz, kiedy zeszedłam już ze swoich wyzyna, z nieosiągalnej ambony - że istnieją również i Pańskie prawdy. Jakież sędzia mógłby nie rozumieć, że udręka Lira - ból księcia Gloster - są prawdziwe, choć żaden nigdy nie był żywy - albo tak żywy... Powiesz, że przecież żyli na swój sposób, i że on - W.S. - mędrzec, mag i prorok - przywrócił ich do wielkiego Życia - tak ogromnego, iż nie ma Aktora, który umiałby w pełni zagrać ich postacie, pozostawiając resztę badaniom takich jak Ty albo ja.

* Aluzja do wiersza Johna Keatsa „Oda do urny greckiej” (przyp. tłum.).

** Jakub I Stuart, król Anglii (1603-1625) (przyp. tłum.).

Jednak - kim był Poeta w epoce Gigantów, w tej epoce, w której żył także wspomniany król Jakub ze swą Demonologią - będący czymś więcej jeszcze, bowiem zlecił on, by Słowo Boże rozbrzmiało w języku angielskim - i rozbrzmiewa ono po dziś dzień, a każde zdanie dźwięczy Wiarą i Prawdą - z każdym wiekiem coraz to prawdziwiej i wierniej - aż po nasze czasy, wiary pozbawione.*

* Najślawniejsza anglojęzyczna wersja Biblii - tzw. wersja autoryzowana - powstała w efekcie zwołanej przez Jakuba I w 1604 r. konferencji w Hampton Court; brak uzgodnionego przekładu Pisma Świętego dał się tam odczuć tak silnie, że natychmiast zamówiono nowy, który ukazał się w roku 1611 (przyp. tłum.).

A więc, czymkolwiek poeta był wówczas - widzącym, demonem, siłą przyrody, Słowem - na pewno nie tym jest teraz, w naszej dobie materialnego zgrubienia.

Bardzo być może, iż Pańskie pracowite odtwarzanie - dyskretna naprawa, niczym rekonstrukcja Fresków świeżą farbą - jest naszą drogą ku Prawdzie. Czy zgodzi się Pan z takim porównaniem?

Wysłuchałyśmy kolejnego wykładu na temat ostatnich Manifestacji Duchowych, który wygłosił nader czcigodny Kwakier. Rozpoczął od przyznania, iż skłonny jest wierzyć w życie Duchów, nie przejawia wszakże wulgarnej żądzy, by zostać przestraszonym albo zaskoczonym. Sam będąc Anglikiem, opisał Anglików w sposób nie całkiem obcy poecie Ashowi. Doświadczyliśmy - mówił ów zacny człowiek - procesu podwójnego Utwardzenia. Handel oraz wyparcie się przez Protestantów wszelkich związków duchowych z zaświatem wspólnie dokonały w nas dzieła wewnętrznego skostnienia i petryfikacji. Jesteśmy grubo materialistyczni i co się tyczy faktów duchowych, nie zadowolimy się niczym prócz tak zwanych materialnych dowodów - a zatem duchy, gdy

raczą mówić do nas, używają prostackich sposobów - pukają, szeleszczą, melodyjnie mruczą - czego robić nie musiały, gdy jeszcze płonął żywy ogień naszej Wiary...

Powiedział również, że Anglicy są szczególnie utwardzeni wskutek naszej gęstszej atmosfery, mniej w swej istocie elektrycznej i magnetycznej niż powietrze Amerykanów, wyraźnie bardziej od nas pobudliwych i nerwowych, bardziej utalentowanych w kierunku projektów socjalnych, silniej wierzących w ulepszenie Natury Ludzkiej. Podobnie jak ich Instytucje, także ich Umysły wzrastały z prędkością dżungli tropikalnej, dzięki czemu cechują się większą otwartością i gotowością na przyjęcie Nowego. Tam pojawiły się siostry Fox i pierwsze stukane przekazy, do nich należą objawienia Andrew Jacksona Davisa i jego Univercoelum, dzięki nim rozwinął się geniusz D. D. Home'a.*

Gdy tymczasem nasze „warunki telluryczne” (czy smakujesz tę frazę jak ja?) nie sprzyjają transmisji wrażeń duchowych.

Nie wiem, jaki jest Pański sąd o tych sprawach - którymi teraz lepsze Towarzystwo zajmuje się tak powszechnie, że zmaczone zostały nawet stojące wody naszej przystani w Richmond.

** Daniel Douglas Home (1833-1886) - medium, autor tomu wspomnień „Incidents of My Life”; na jego seansach bywał m.in. Robert Browning, który jednak pozostał wobec nich sceptyczny, czemu dał wyraz np. w wierszu „Mr. Sludge” (przyp. tłum.).*

Mój list nie stanowi godnej odpowiedzi na Twe ożywcze uwagi o Keatsie i poetyckiej prawdzie ani też na Twoją samoprezentację jako czarownika poety. Nie pisałam go w takim ferworze jak inne, lecz wymówić się muszę złym stanem zdrowia - złym stanem naszego zdrowia - moja przyjaciółka i ja cierpimy na gorączkę i wynikłe z niej przygnębienie. Spędziłam dzień dzisiejszy w zaciemnionym Pokoju i czuję dużą ulgę, lecz nadal jestem słaba.

W takim położeniu fantazje często atakują umysł. Na poły zdecydowałam się błagać - dość tych listów - zostaw mnie w pokoju z moją prostą wiarą nie porywaj mnie Nurtem Twego intelektu i siłą pisarstwa, inaczej bowiem stanę się Zbłąkaną Duszą - Panie - zagrożona jest moja z trudem wywalczona Autonomia. No i w rzeczy samej, w Pokrętny i Okrężny sposób przedstawiłam swą prośbę jako hipotetyczny opis tego, co mogłabym powiedzieć. A zatem kwestię, czy wolno mi błagać - czy już błagam - pozostawiam Twojej wspaniałomyślnej ocenie.

Droga Panno LaMotte.

Nie zabraniasz mi pisać do siebie. Dziękuję. I nawet nie czynisz mi zbyt wielu wyrzutów z tytułu wykrętnej mowy i konszachtów z siłą nieczystą Dziękuję za to również. A więc, na razie, dość o tych niemiłych sprawach.

Z wielką przykrością słyszę, żeś niezdrowa. Niepodobna, by ta łagodna, wiosenna pogoda lub moje listy, pisane przecież najżyczliwiej - choć na swój sposób natrętne - miały na Ciebie tak niefortunny wpływ, toteż zmuszony jestem podejrzewać o to wymowę Twego natchnionego Kwakra; owe telluryczne warunki magnetycznych mediów i obserwacje na temat Utwardzenia bawią mnie tak właśnie, jak miałaś nadzieje.

Może jemu uda się przywołać tę moc, która „splaszcy twarde krąg świata”^{}? I ten mistrzowski brak logiki - czyż nie? - kiedy oskarżając Epokę Materializmu, powołuje się następnie na całkowicie materialną duchowość.*

Nie wiedziałem, że wychodzisz tak chętnie i często. Właściwie - w myśli widziałem Cię ukrytą za barykadą ładnych drzwi wejściowych, które wyobrażam sobie - albowiem nie umiem być szczęśliwy, nie używając wyobraźni - jako tonące w gęstwie róż i pnączy. Co byś rzekła, gdybym wyraził przemożne pragnienie usłyszenia na własne uszy owego rozumnego Kwakra? Możesz mi wzbraniać sandwiczów z ogórkiem, ale nie pokarmu duchowego.

Nie, nie obawiaj się - nic takiego nie zrobię - nie narażę naszej przyjaźni na szwank.

Co się tyczy stukań i pukań - jak dotąd, niezbyt mnie interesowały. Inaczej niż niektórzy, powodowani przekonaniem religijnym bądź sceptycyzmem, nie jestem przekonany, że zjawiska te są niczym - niczym, które jest emanacją ludzkiej słabości i łatwowierności oraz silnego pragnienia wiary w obecność kochanych, bardzo wyteśnionych nieobecnych, jakie wszyscy niekiedy odczuwamy. Podoba mi się dowierzać Paracelsusowi, który powiada nam, że pomniejsze duchy, skazane na zamieszkiwanie obszarów powietrznych, nieustannie błakają się po ziemi i czasem, w drodze wyjątku, możemy je ujrzyć bądź usłyszeć, gdy wiatr sprzyja lub załamie się światło. (Jestem również przekonany, że Oszustwo - możliwe i prawdopodobne - tłumaczy wiele. Prędzej uwierzę w zdolności prestidigitatorskie D. D. Home'a niż w to, że otworzył się przed nim świat ducha).

Skoro już mowa o Paracelsusie, przychodzi mi na myśl, że w jego księgach Meluzyna jest takim właśnie Duchem - czy znasz ten ustęp? Na pewno, lecz przepisuję go tutaj, jest bowiem bardzo ciekawy - i jeszcze aby zapytać, czy taki jest kształt Twojego zainteresowania Wróżką, czy też bardziej zaciekała Cię jej szlachetna skłonność do wznoszenia zamków - o czym wspomniałaś, o ile pamiętam?

Meluzyny to córki królów, pogrążone w rozpacz z racji swoich grzechów. Porwane przez Szatana, przybrały postać zjaw, złych duchów, ohydnych upiorów i przeraźliwych monstrów. Wedle ogólnego przekonania pozbawione są rozumnej duszy i żyją w fantastycznych ciałach, karmiąc się jeno żywiołami, wraz z którymi przepadną na Sądzie Ostatecznym, jeżeli nie uda się im poślubić człowieka; natomiast związki z ludźmi pozwalają im umrzeć śmiercią naturalną jeżeli w małżeństwie żyły naturalnym życiem. Uważa się, iż zjawy owe najczęściej przebywają na pustyniach, w lasach, w ruinach i grobach, w pustych kryptach i na morskim brzegu...

^{*} William Szekspir, „Król Lir”, III. 2, przeł. Józef Paszkowski (przyp. tłum.).

^{**} Paracelsus, właśc. Philippus Aureolus Bombastus von Hohenheim (1493-1541), przyrodnik, teolog, filozof i alchemik niemiecki (przyp. tłum.).

A teraz powiedz, proszę, jakże Ci idzie praca? Za Twoją wielkoduszną zachętą rozvodziłem się - nader egoistycznie - o moim „Ragnaröku” i „Déjà vu” - ale o Meluzynie - oprócz wzmianki, że nie byłabyś przeciwna pisaniu o niej - nie padło ani jedno słowo. A przecież to ona dała początek tej korespondencji. Zda się, pamiętam każde słówko naszej jedynej rozmowy - pamiętam twarz Twoją lekko odwróconą lecz stanowczą - pamiętam, z jakim uczuciem mówiłaś o Życiu Języka - czy wspomnisz jeszcze to określenie? Zacząłem tak zwyczajnie uprzejmie - Ty zaś powiedziałaś, że masz nadzieję stworzyć długi poemat o Meluzynie - spojrzeniem wyzywając

mnie, bym ośmielił się zakwestionować ten projekt - jakbym mógł czy chciał - ja zaś zapytałem, czy poemat ów napisany będzie wierszem spencerowskim czy białym, czy też innym metrum - i nagle przemówiłaś - o potędze wiersza i życiu Języka - i całkiem zapomniałaś wyglądać na speszoną lub nieśmiałą zamiast tego jawiąc się - wybacz - wspaniałą - to był moment, który niełatwo zapomnę, póki umysł mi służy.

Cóż - mam nadzieję usłyszeć, że Ty i oczywiście panna Glover jesteście już całkiem zdrowe i znów możecie wyjść na jasne światło tegorocznej Wiosny. Nie spodziewam się, co prawda, że wyruszysz na kolejne wykłady o Rzeczach Cudownych - nie jestem bowiem przekonany o ich dobrym działaniu - lecz skoro Kwakrzy oraz spirytyści mogą na Ciebie patrzeć, może pewnego dnia i ja doczekam się kolejnej dyskusji o rymach - jeżeli nie zielonych plasterków...

Drogi Panie Ash.

Piszę do Pana z domu niedoli i muszę być zwięzłą - polega na mnie moja biedna, chora Blanche - wprost szarpana ohydny bólem głowy, mdłościami, zdruzgotana niemożnością powrotu do pracy, która jest całym jej życiem. Wzięła się ostatnio do dużego obrazu Medina i Vivien - w chwili triumfu tej ostatniej, kiedy śpiewa Zakłęcie, dające jej władzę nad Magiem, usypiając go na wieki. Z dziełem tym wiążemy wielkie nadzieje - to same ukryte aluzje i napięcia - lecz artystka jest zbyt chora, by malować dalej. Stan mego zdrowia nie jest wiele lepszy - parzę więc ziółka, które znajduję skutecznymi, przykładam wilgotne chusteczki, robię, co w mej mocy.

Pozostali domownicy - służąca Jane, mój mały Pies Tray i kanarek, Monsignor Dorato, nie są zbyt pomocni. Jane jest pielęgniarzką niezręczną, choć pilną - Pies Tray drepcze tam i sam, z miną nie tyle współczującą, ile pełną wyrzutu, że nie chodzimy z nim do parku, by rzucać mu ciekawe patyki.

A zatem ten list nie będzie długi.

Czyni Pan wiele Dobra, pisząc do mnie o Meluzynie - jakby była to już rzecz postanowiona - czekająca jedynie realizacji. Opowiem Panu, z czego zrodził się ów projekt. Dawno temu, we mgle przeszłości - gdy byłam jeszcze dzieckiem na kolanach ojca - układał on właśnie swą „Mythologie Française”, wielkie dzieło, co do którego mogłam jedynie snuć dzikie przypuszczenia i fantazje - nie wiedziałam, coż to może być, owo magnum opus, jak je żartem nazywał - wiedziałam jednak, że mój Papa opowiada Bajki, których żaden inny Papa, Mama ani Niania nie mogliby sobie nawet wyobrazić. Otóż Papa, w napadzie bajania, miał zwyczaj zwracać się czasem do mnie niczym Stary Żeglarz (dzięki Niemu bohater ten wcześniej stał się jednym z moich ulubionych znajomych) we własnej osobie. Czasem jednak rozmawiał ze mną jak ze współpracownikiem, uczonym kolegą, erudytą teoretykiem - a mówił wówczas w trzech lub czterech językach, myślał bowiem po francusku, po angielsku, po łacinie i oczywiście po bretońsku. (Nie lubił myśleć po niemiecku z przyczyn, które kiedyś wyjawię, choć znał ten język i używał go w razie potrzeby). Baśń o Meluzynie opowiadał mi bardzo często, gdyż - jak twierdził - choć wątpliwe jest istnienie prawdziwie francuskiej mitologii, gdyby takową odkryto, Wróżka Meluzyna byłaby zapewne najjaśniejszą gwiazdą na jej firmamencie. Mój drogi Ojciec zamierzał uczynić dla Francuzów to, co dla Niemców uczynili Bracia Grimm - odtworzyć prehistorię naszej rasy dzięki świadectwu legend i podań ludowych - odtworzyć nasze najwcześniejsze myśli - jak Baron Cuvier złożył Mamuta z kilku znaczących kości i domniemanych ściegien oraz swego Dowcipu i daru Wnioskowania. O ile jednak Niemcy i Skandynawia bogate są w soczyste mity, z których wywiódł Pan swego „Ragnaröka” - my, Francuzi, niewiele mamy lokalnych de-*

monów i tylko kilka historii o dziwach w zapadłych wioskach - i Materię Bretońską, która jest również materią Brytanii - i Druidów, których mój drogi Rodzic bardzo sobie cenił - menhiry i dolmeny - lecz już nie elfy i nie krasnoludy, które mają nawet Anglicy. Mamy Dames Blanches, Fate Bianche, czyli białe panie - do których według Ojca zaliczyć można Meluzynę w pewnych jej aspektach - albowiem zdaje się czasem wróżyć Śmierć, Żałuję, iż nie mógł Pan poznać mego Ojca. Rozmową z nim byłby Pan zachwycony. Nie było nic, czego by nie wiedział w swojej dziedzinie i nic, co wiedział, nie było dlań Wiedzą Martwą - wszystko żyło, lśniło i ważyło na naszym ówczesnym życiu. Zawsze miał smutną twarz, szczupłą, pomarszczoną i bardzo bladą. Myślałam - składając sobie to, co mówił - że to przez brak mitologii francuskiej, lecz myślę teraz, że był smutny, gdyż przebywał na wygnaniu i nie miał domu rodzinnego - on, którego najglówniejszym zajęciem były właśnie Lary i Penaty domowego Ogniska.

Moja siostra Sophie nie interesowała się tymi sprawami. Lubiała to, co lubią kobiety - rzeczy ładne - nie była czytelniczką - drażniło ją nasze życie w odosobnieniu, podobnie jak moją matkę, która sądziła, że Francuz to nieodmiennie galant - Człowiek Światowy - przynajmniej przypuszczam, że tak sądziła, bo nie byli dobraną parą. Dałam się ponieść pisaniu - niewiele spałam w ostatnie trzy noce i pomyślisz, że myśli mi się rozbiegają - jakże mogę zakładać, że wolisz historię mego życia od meluzyńskiego eposu? A jednak są tak splątane - a ja Ci ufam.

* Aluzja do „Pieśni o Starym Żeglarzu” S.T. Coleridge'a (przyp. tłum.).

Nosił - najpierw do czytania, a potem już stale - małe, okrągłe binokle w stalowej oprawce. Owe Zimne Koła stanowiły dla mnie najcieplejszy, najbardziej przyjazny i pocieszający z widoków - jego oczy za nimi były to Oczy podwodne, smutne, duże i pełne ukrytej życzliwości. Pragnęłam zostać jego Amanuensis* i w tym celu zażądałam, by nauczył mnie greki, łaciny, francuskiego i bretońskiego, a także niemieckiego - co uczynił był chętnie - nie z przyczyn praktycznych, lecz dlatego, że przepelniała go duma z moich szybkich postępów.

* Amanuensis (gr.) - skryba, sekretarz.

Tyle o Papie. Bardzo za nim ostatnio tęsknię, chyba dlatego, że wciąż odkładam swój epos - może z Powodu...

Pański cytat z Paracelsusa oczywiście był mi znany. Z właściwą sobie bystrością zauważyłeś, że ciekawią mnie inne wersje wróżki Meluzyny, która posiada wszak dwa aspekty - Nienaturalnego Potwora oraz niezwykle dumnej, kochającej i zręcznej kobiety. Oto zaskakujące słowo, lecz żadne inne nie pasuje - wszystko, do czego przyłożyła rękę, było dobrze zrobione - pałace solidne, kamienie równo ułożone, pola pełne pożywnego zboża - pewna legenda, odkryta przez mego Ojca, głosi nawet, że sprowadziła Fasolę do Poitou - prawdziwe haricots* - co dowodzi, że żyła jeszcze w XVII wieku, gdyż Ojciec wykazał, iż przedtem nie uprawiano tam Fasoli. Czy nie sądzisz, że była nie tylko Upiorem, lecz również czymś w rodzaju bogini Obfitości, francuską Ceres, być może, lub - by trzymać się naszej mitologii - Holdą, wiośnianą Freją albo Iduną od Złotych Jabłek**?

Prawdą jest, że jej Progenitura miała w sobie coś potwornego. Nie tylko Geoffroy à la Grand Dent - Kiel Odyńca - lecz także inni, którzy zostali królami Cypru i Armenii, i mieli uszy jak ucha od dzbana lub oczy nierównej wielkości...

Albo mały Horrible o trojgu Oczach, którego uśmiercenia zażądała od Raimondina w chwili swej metamorfozy - cóż powiemy o nim?

Gdybym podjęła się pisania, patrzyłabym trochę okiem Meluzyny. Nie tak jak Pan - pisząc w pierwszej osobie, jakbym mieszkała w jej skórze - ale widząc w niej nieszczęśliwe Stworzenie, Potężne i Kruche zarazem, żyjące wciąż w obawie przed powrotem do Krainy Powietrza - owego Powietrza, które nie jest wieczne, lecz ulec musi ostatecznej anihilacji.

Wzywają mnie, nie mogę więcej pisać. W pośpiechu pieczętuję list, który, obawiam się, jest płaczącą Tyradą - mamrotaniem Chorej - ale znów mnie wzywają, więc muszę już kończyć. Wierzaj mi, szczerze Ci oddana

Droga Panno LaMotte.

Ufam, że już wszystko dobrze w Twoim domostwie i że praca nad Merlinem i Vivien, i nad coraz bardziej fascynującą Meluzyną posuwa się żwawo. Co do mnie, prawie skończyłem poemat o Swammerdamie - mam już zgrubną wersję całości - wiem, co w niej umieszczę, a co będę musiał odrzucić, niestety na zawsze - i kiedy usunę niezliczone mrowie wad, sporządzę dla Pani pierwszą czystą kopię.

** Haricots verts (fr.) - fasolka szparagowa.*

*** Holda, Freja, Iduna - boginie płodności i urodzaju z mitologii germańskiej i skandynawskiej (przyp. tłum.).*

Pani portret jej Ojca oczarował mnie i poruszył - zawsze podziwiałem jego kolosalną wiedzę, jego prace zaś czytałem wielokrotnie i nadzwyczaj często. Czy Poeta mógłby mieć lepszego Ojca? Twoja wzmianka o Starym Żeglarzu ośmieliła mnie, bym zapytał - czy to On nadał Ci imię na cześć bohaterki niedokończonego wiersza Coleridge'a? Nie miałem okazji powiedzieć Ci - choć powtarzam to wszystkim, z taką regularnością, z jaką drogi Crabb opowiada o swym odkryciu popiersia Wielanda - że poznałem kiedyś Coleridge'a. Zabrano mnie do Highgate - byłem wtedy młody i zielony - i dano mi posłuchać owego Anielskiego (i trochę nadętego) głosu, który mówił bez końca o istnieniu aniołów i długowieczności cisów, o zawiesinie Życia w Wodzie (myśli banalne i głębokie przeplatały się często gęsto), o przeczuciach i Obowiązkach Człowieka (o Prawach już nie), i o tym, jak Szpiedzy Napoleona deptali mu po piętach we Włoszech, kiedy wracał z Malty, oraz o Snach prawdziwych i kłamliwych. I o czymś jeszcze, zdaje mi się. O Christabel ani słowa.

Byłem tak młody i niedoświadczony, że ogromnie się martwiłem, nie mogąc w ten potoczysty, błyskotliwy monolog wtrącić swego własnego głosu - dać zebrany usłyszeć, że myślę - zostać zauważonym. Nie wiem, co bym powiedział, gdyby pozwolono mi mówić. Zapewne coś błahego lub płytkiego - wygłosiłbym jakiś przemądrzały i bezsensowny komentarz do jego doktryny Trójcy Świętej albo grubiańsko poprosił, by zdradził mi, jak się kończy „Christabel”. To dla mnie nieznośne - nie znać końca opowieści. Raz zacząwszy, będę czytał naj-

trywialniejsze głupstwa w gorączkowej żądzy połknięcia zakończenia - gorzkiego bądź słodkiego - by mieć za sobą coś, czego nigdy nie powinienem był zaczynać. Czy Ty również tak postępujesz? Czy też jesteś Czytelniczką bardziej wybredną? Czy odkładasz na bok to, z czego nie odnosisz korzyści? Czy może masz specjalny wgląd w zakończenie opowieści o „Christabel” wielkiego S. T. C.? - intrygującej nad wyraz, bowiem, niczym w najprzedniejszej baśni, niepodobna przewidzieć, jak się zakończy - a przecież musi - tego się nigdy nie dowiemy - tajemnica usnęła wraz z jej letargicznym, nielogicznym autorem, który nie dba już o nasze rozdrażnienie.

Częściowo rozumiem, co chcesz powiedzieć o Meluzynie - waham się jednak, czy zapisać myśli, które zakłócić mogą Twoją koncepcję - bądź wprawiając Cię w złość swoją tępotą, bądź, jeszcze gorzej, mącąc jasny strumień Twojego myślenia.

Osobliwa cudowność mitu Meluzyny polega - zdajesz się mówić

- na tym, że chociaż dziki, dziwaczny, upiorny, pełen demonów, jest on zarazem konkretny, jak konkretne są najlepsze z dosadnych opowieści, opisujące życie rodzinne, planowanie społeczeństw, początki uprawy roli oraz miłość matek do dzieci.

Otóż - bardzo się ośmielam, ufając, że nie smagniesz mnie szyderstwem, jeśli nie mam racji - talenty, które dotychczas objawiłaś w swych pracach, świadczą o takim mistrzostwie w traktowaniu obu tych składników, że Opowieść wydaje się stworzona dla Ciebie - zda się, czeka, aż Ty - ty - ją opowiesz.

Zarówno w Twych opowiadaniach fantastycznych, jak w świetnych lirykach dostrzegam ucho i oko czułe na fakty i szczegóły - na przykład w kwestii pościeli i delikatnych manipulacji igłą przy robótkach - lub w czynnościach takich jak Dojenie - dzięki którym nikczemny mężczyzna postrzega świat drobnych prac domowych niby rajska wizję...

Nigdy wszakże nie jesteś kontenta, by tak rzecz zostawić... świat Twój nawiedzają bezgłośnie cienie... błędne Namiętności... roztrzepotane Łęki... bardziej złowieszcze niż byle zwykły Nietoperz lub Wiedźma na miotle.

Chciałbym powiedzieć, że jest w Twojej mocy przedstawić bezpieczną twierdzę Lusignan, która jawi się w życiu panów, dam i chłopstwa jasnymi barwami Księgi Godzin, lecz umiesz także oddać Głosy w Powietrzu - Zawodzenia - Syreni Śpiew - i Nieludzką Żalność, krzyczącą poprzez korytarze lat.

I cóż o mnie teraz sądzisz? Mówiłem - nie umiem myśleć o niczym, jeśli sobie tego nie wyobrazę, jeśli nie nadam temu kształtu okiem i uchem mej duszy. Toteż, jak już mówiłem, dostrzegam jak najwyraźniej Twój niewidziany Ganek, opleciony rozkosznym, ciemnofioletowym kwieciem klematisu i drobnymi, pnącymi różyczkami. Widzę również wyraźnie Twój salonik i jego dwie spokojne Mieszkanki, zajęte - nie powiem, wiązaniem sieci, lecz, dajmy na to, czytaniem na głos któregoś dzieła Szekspira lub sir Thomasa Malory'ego - widzę cytrynowe pióra Monsignora Dorato pod filigranową kopułą - i Waszego pieska - à propos, jakiej jest rasy? Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym może - Spaniel? - tak, teraz go widzę - niestety, również wyraźnie - z jednym uchem białym, drugim czekoladowym i pióropuszem ogona? A może jednak jest zupełnie inny - mały ogar, śliczne, mlecznobiałe stworzenie, podobne do tych, jakie damy sir Thomasa Wyatta* trzymały w swojej tajemnej komnacie?

* Thomas Wyatt (1503-1542) - poeta angielski, mistrz renesansowej liryki (przyp. tłum.).

Na razie nie mam żadnej wizji Jane - lecz to pewnie przyjdzie z czasem - wyczuwam wszakże wyraźnie organoleptyczne duchy Twoich herbatek ziołowych, zawisłe między werbeną, limoną i malinowymi liśćmi, które moja droga matka uważała za najbardziej skuteczne przy bólach głowy i wyczerpaniu.

Nie mam jednak prawa - choćbym nie wiem jak daleko sięgał wyobraźnią ku bezbronnym krzesłom i tapetom - powtarzam, nie mam prawa rozciągać swej nieszczęsnej ciekawości na Twoją pracę, Twoje pisanie. Oskarżysz mnie, że próbuję pisać „Meluzynę”, choć tak nie jest - to tylko niefortunna skłonność mego umysłu, by ukonkretnić sposób, w jaki Ty to zrobisz - zaprawdę, otwierają się przede mną podniecające widoki - jak perspektywy długich przejażdżek w rozświetlonym cieniu tajemniczego lasu Brocéliande. Myślę - tak, ona tak uczyni - tak rozpocznie swój projekt. A jednak wiem, że Twoje dzieło jest tylko i wyłącznie oryginalne - a moje spekulacje to impertynencja. Cóż mam rzec? Nigdy przedtem nie odczuwałem pokusy, by omawiać z innym poetą subtelności mojego - albo jego - pisarstwa; samowystarczalny, zawsze samotnie szedłem swoją drogą - ale z Tobą wiedziałem od razu, że musi być prawda albo nic zgoła - nie było pośredniej drogi. Więc mówię do Ciebie - nie, nie mówię, piszę - piszę mową pisaną - dziwne rzeczy pomieszanie - mówię do Ciebie, jak do tych, którzy najbardziej posiadli moje myśli - do Szekspira, Thomasa Browne'a, do Johna Donne'a i Johna Keatsa - i przyłapuję się na tym, iż - niewybaczalnie - użyczam swego głosu Tobie, która wszak żyjesz, tak jak zazwyczaj użyczałem go tym martwym ludziom. Oznacza to właściwie, że oto autor Monologów niezdarnie usiłuje skonstruować Dialog - wdzierając się na teren obu jego stron. Wybacz mi.*

Ba, gdyby to był prawdziwy dialog - ale będzie tak, i tylko tak, jak Ty sobie zażyczysz.

* Brocéliande - lesisty obszar w Bretanii, miejsce mitycznych i legendarnych zdarzeń; według jednej z wersji „Tristana i Izoldy” tam skryli się kochankowie, uciekając przed królem Markiem (przyp. tłum.).

Drogi Panie Ash.

Czy naprawdę rozważył Pan, o co mnie prosi? Nie o to, bym Nagięła swą Muzę wedle Twej namowy - temu bowiem opierałabym się po Śmierć Nieśmiertelnego - której wszak nie ma, jest tylko Rozproszenie w Powietrzu nie, Ty przytłaczasz moją dlubaninę, spiętrzając nade mną Peliony i Ossy swych myśli i fantazji - a gdy zasiadam, by odpisać na wszystko jak należy, mija całe rano - i jaki jest wówczas los zsiadłego mleka oraz Wróżki Meluzyny?

Lecz niechże Pan z tego powodu nie przestaje do mnie pisać - jeżeli uszczknę nieco ciasta Wróżkom, Tobie zaś odpowiem skąpo i oszczędnie, i zwlekać będę z listem, nie całkiem bezowocnie - zyskując dzień na rzecz Meluzyny - to może jakoś się to wszystko skleci.

Powiada Pan, że nie umie wyobrazić sobie Jane. A więc powiem Ci tyle jest Łasa na Słodycze - bardzo łasa. Nie potrafi się oprzeć mlecznym galaretkom, makaronikom, ciasteczkom rumowym - wchodząc do Spizarni, musi unieść stamtąd choć najmarniejszy kąsek - zostawić ślad Łyzeczki tu czy tam, na dowód swego smakoszostwa. Niestety, powyższe tyczy się również mej nieszczęsnej osoby i układania listów. Nie zajmę się nimi, powiadam sobie, póki nie skończę tego - nie rozpocznę tamtego - lecz w mym umyśle biegną już odpowiedzi na

tę czy inną kwestię, i mówię do siebie - gdyby tak odeprzeć ten argument (gdyby spróbować tylko tej łakoci), byłabym znów panią swoich myśli, uspokojoną...

Ale - niegrzecznie jest tak się wykręcać. Chcę jedynie zapewnić - nie jestem Wytworem Twych myśli, nie ma takiej groźby - w tym względzie oboje jesteście bezpieczni. Co do krzeseł i tapet - wyobrażaj sobie do woli - myśl, co chcesz - ja zaś od czasu do czasu prześlą małą Wskazówką, aby zagmatwać wszystko jeszcze bardziej. O różach i klematisie nic nie powiem, lecz mamy tu bardzo piękny Głóg, właśnie teraz ustrojony w ciężkie spłoty kremowych i różowych kwiatów, ożywiony zapachem migdałów - słodkim - zbyt słodkim - aż bolą odeń zmysły. Nie powiem, gdzie znajduje się ów krzew - czy jest stary czy młody, duży czy mały - byś mógł wyobrazić go sobie nie takim, jakim jest w istocie - Rajskim i Niebezpiecznym - wiesz przecież, że Majowej Wiązanki nie wolno wносить do domu.

Teraz muszę narzucić sobie dyscyplinę i skupić błędzący umysł na Twoich doniosłych pytaniach, inaczej pochłoną nas oboje blahe wyobrażenia i puste spekulacje.

Ja także spotkałam kiedyś S.T.C. Byłam zaledwie dzieckiem - jego obrzękła Dłoń spoczęła na moich złoty lokach - jego Głos skomentował ich lnianą jasność - powiedział też - albo od tamtej pory wymyśliłam sobie dźwięk tych słów, gdyż ja także muszę sobie wyobrażać, nie umiem przestać - wydaje mi się, że powiedział: „To piękne imię i ufam, że nie wróży ile”. To cały Klucz, jaki posiadam do wiersza „Christabel” - że przeznaczeniem bohaterki było cierpienie, co nietrudno dostrzec - choć trudniej zobaczyć, jak miałyby potem dostąpić Szczęścia - to zgoła Niemożliwość.

Teraz muszę całkowicie odmienić zwykły Ton. Teraz muszę pisać ściśle i surowo, nie rozpraszając Twej uwagi sypaniem pozłotek i panieńskim trzepotaniem piórek. Cóż to za nonsens, byś udawał, że się obawiasz - lub szczerze się obawiał - że odczuję coś oprócz wdzięczności, słysząc, co sądzisz o „Meluzynie” i moich pisarskich talentach - o moich możliwościach. Odczytałeś moje myśli, wyjaśniłeś, jakie są moje prawdziwe zdolności - nie w sposób natrętny, lecz naprawdę wnikliwie. W rzeczy samej, ona - moja Meluzyna - jest właśnie takim połączeniem ludzkiego ładu z nienaturalną Dzikością - wedle twej sugestii - strażniczką domowego ogniska i zarazem niszczycielką Demonem. (I kobietą, o czym nie wspominasz).

Nigdy bym nie pomyślała, że czytujesz rzeczy tak dziecinne, jak „Opowieści w listopadzie”. To przede wszystkim baśnie mego Ojca, opowiadane wyłącznie - wyłącznie - w owe ciemne miesiące, kiedy jest ich pora. Ojciec zwykł był mawiać, że ci zbieracze, którzy przyjeżdżają do Bretanii latem - gdy morze czasem nawet się uśmiecha, a mgły podnoszą się znad granitu, który prawie błyszczący - mogą nigdy nie znaleźć tego, po co przybyli. Prawdziwe opowieści snuje się w ciemne wieczory, po Toussaint, Wszystkich Świętych. A listopadowe baśnie są najgorsze - o upiorach, demonach, zwiastunach i Księciu Powietrznych Mocy - Ankou, woźnicy strasznego rydwanu, trzeszczącego, skrzypiącego, chrzęszczącego pojazdu, który można usłyszeć za plecami w samotną, ciemną noc na wrzosowisku - być może pełnego kości, rzuconych na stertę, luźno zwisających. Jego woźnicą był Kościany Człowiek - pod ogromnym kapeluszem widniały tylko puste Oczodoły - musisz bowiem wiedzieć, że nie była to Śmierć, lecz jej Sługa, przybyły z Kosą, której ostrze skierowane było nie do wewnątrz, jak w żniwa, lecz na zewnątrz - po co? (Słyszę głos mego ojca w listopadowy wieczór, pytający - po co? A jeśli teraz opowiadam o tym dość bezbarwnie - no cóż, to dlatego, że dzień jest coraz dłuższy, w spienionym Maju na dworze drozd śpiewa i śpiewa - a wszystko tamto jest Poza Czasem). Jeżeli w listopadzie nadal będziemy do siebie pi-

sywać - a dlaczego nie? a dlaczego tak? - wtedy rozwinę przed Tobą opowieść - umiem to - całkiem na modłę Ojca. Gdy minął listopad, przychodziły łagodniejsze baśnie o Narodzinach Pana Naszego - wspomnisz, że istnieje bretońskie wierzenie, iż w święte dni zwierzęta gadają w Stajniach i Oborach - lecz żaden człowiek nie może usłyszeć, co mówią owe stworzenia, mądre i niewinne - pod groźbą Śmierci.

Zważ teraz - nigdy nie wolno Ci pisać, że Twe zainteresowanie moją pracą jest Natręctwem. Mimo całej znajomości świata - w którym ja nie bywam - Pan, panie Ash, zdaje się nieświadomy reakcji, jaką zwykle wzbudzają wytwory Kobiecego Pióra - nie mówiąc już, jak w tym przypadku, o produkcjach zaledwie hipotetycznych. Najlepsze, czego możemy się spodziewać, to - och, świetna robota - jak na kobietę. A poza tym są tematy, których nie wolno nam podejmować, i rzeczy, o których nie wolno nam wiedzieć. Nie twierdzą, że nie ma - jest na pewno - zasadniczej różnicy pomiędzy Zasięgiem i Mocą mężczyzn a naszą ograniczoną świadomością oraz słabszą, być może, zdolnością pojmowania. Ale stanowczo utrzymuję, iż granice między nimi są obecnie źle wytyczone. Nie jesteśmy jedynie strażniczkami cnotliwych myśli - wyłącznie naczyniami Czystości - myślimy, czujemy oraz - tak! - czytamy. Ta nasza cecha, zdaje się, nie wstrząsa Panem, lecz przed wieloma osobami musiałam ukrywać zakres mojej - teoretycznej przecież - znajomości ludzkich wybryków. Otóż - jeśli istnieje powód, dla którego chcę wytrwać w tej korespondencji, jest nim właśnie Twoja - prawdziwa czy udawana - nieświadomość kobiecych ograniczeń, jakie zakłada ogół. To jest dla mnie niczym Krzew o mocnych korzeniach dla kogoś, kto spada w przepaść - tego się trzymam - to mnie ratuje.

Coś Panu opowiem - albo nie, nie zniosę myśli o tym - a jednak zrobię to, jako dowód zaufania - wobec Pana.

Wysłałam kilka swych pomniejszych wierszy - cienki plik, wybrany z drżeniem serca - wielkiemu Poecie - niech będzie bezimienny, nazwać go nie mogę - pytając - czy to są Wiersze? Czy posiadam - Głos? Był tak uprzejmy, że odpowiedział bezzwłocznie - że owszem, ładne są - nie całkiem prawidłowe - nie zawsze rządzą się prawidłowym Poczuciem Przyzwoitości - lecz do pewnego stopnia może mnie zachęcić - będą dla mnie miłym i ciekawym zajęciem do chwili, gdy moim udziałem staną się - cytuję - „słodsze i ważniejsze obowiązki”. Pytam więc - jakże ów sąd miałby mnie zachęcić, bym tych obowiązków zapragnęła? - jak, panie Ash? Pan zrozumiał dokładnie moje określenie - Życie Języka. Pojmuje Pan - w moim życiu Trzy i tylko Trzy osoby dostrzegły, że potrzeba przelewania słów na papier - także tego, co widzę, lecz słów przede wszystkim - przez całe życie słowa były moim życiem - że ta potrzeba jest dla mnie jak przymus Pajęczycy co niesie przed sobą olbrzymie Jedwabne Brzemie, które musi utkać - przedza jest jej życiem, domem, bezpieczeństwem - również napitkiem i jadłem - i jeśli ktoś niszczy albo zrywa pajęczynę, ona może tylko tkać dalej, projektować od nowa - powiesz, że jest cierpliwa - otóż to - lecz bywa też Krwiożercza, taka jest jej Natura - ona musi, inaczej umrze od Nadmiaru - czy Pan mnie rozumie?

Teraz nie mogę już pisać więcej. Moje serce jest zbyt przepełnione - za wiele powiedziałam - jeśli ponownie przejrzę te arkusze, odwaga mnie zawiedzie - więc pójdą niepoprawione, takie, jakie są, a ich niedoskonałość spadnie na ich głowy - niech Bóg Pana błogosławi i ma w swej opiece.

Christabel LaMotte

Droga Przyjaciółko.

Mogę nazywać się Twym przyjacielem, prawda? Albowiem przez te ostatnie dwa lub trzy miesiące moje prawdziwe myśli więcej czasu spędzają przy Tobie niż gdziekolwiek indziej - a gdzie są moje myśli, tam ja jestem, nawet jeżeli, podobnie jak Maj, z Twego wyroku nie przejdę przez próg. Piszę teraz w pośpiechu - nie w odpowiedzi na Twój ostatni, wielkoduszny list - lecz chcąc przekazać wizję, zanim jej dziwność zblednie. Odpowiedź otrzymać musisz - i otrzymasz - lecz najpierw pragnę Ci to opowiedzieć, zanim do reszty stracę odwagę. Jesteś ciekawa? Taką mam nadzieję.

Przede wszystkim wyznam Ci, że wizja owa przydarzyła mi się podczas przejażdżki konnej w Richmond Park. A czemu muszę to wyznać? Czy poeta dżentelmen nie może sobie jeździć z przyjaciółmi, gdziekolwiek zechce? Gdy zaproszono mnie do Richmond Park na wycieczkę, poczułem niejasny niepokój, jakby owe lesiste, zielone przestrzenie otaczał pas broniących wstępu zaklęć - podobnie jak Twój dom - i jak Shalott, zamknięte dla rycerzy - i jak bajkowy śpiący las, za żywopłotem dzikiej, kolczastej róży. Otóż, jak wiesz, na poziomie baśni wszystkie zakazy są po to, by je łamać - muszą być łamane, o czym świadczy, na przykład, nasza „Meluzyna” z nadzwyczaj fatalnym skutkiem dla nieposłusznego rycerza. Być może nie pojechałbym do parku, gdyby nie zdecydowany błysk i blichtr tego, co zakazane - aczkolwiek jako dziewiętnastowieczny dżentelmen muszę dodać, że nie czułem jednak, iżbym miał prawo przejść obok klematisu i róż lub odszukać spieniony majowy krzew, co przecież mógłbym uczynić spokojnie i bez trudu - wszak trotuary są dla wszystkich. Lecz nie zamienię wyobrażonego różanego gniazdka na rzeczywiste, dopóki nie zostanę zaproszony - być może, nigdy. A zatem - jeździłem po parku i myślałem o tych, którzy mieszkają blisko jego żelaznych bram, rojąc sobie, że ujrzą na poły znajomy szal albo kapelusz, znikający za zakrętem niczym jedna z Twoich białych pań. I poczułem lekką irytację wobec poczciwego pana Kwakra, którego telluryczne warunki wzbudzają o tyle większe zaufanie niż poetycka moralność niejakiego R.H. Asha.

Otóż, jak dobrzy rycerze czynią w dobrych baśniach, jechałem sobie, trochę na uboczu, sam ze swymi myślami, po porośniętej trawą ścieżce konnej, w ciszy, którą Ty nazwałabyś zaczarowaną. W innych częściach parku Wiosna wzięła się już do roboty - spłoszyliśmy rodzinę króliczą w młodej orlicy, której mocne, drobne skręcone kity wznosiły się jak nowo narodzone węże, coś pośredniego pomiędzy piórem a łuską. Wokół przechadzały się zastępy czarnych wron, bardzo zajętych i napuszonych, dziobiących korzonki granatowymi, trójkątnymi dziobami. Wzlatywały skowronki, pająki snuły swe geometryczne Pułapki, motyle kołysały się w powietrzu, przesywanym nierównym, błękitnym lotem ważek - a na ciepłym wstępującym prądzie z nadzwyczajną swobodą kołował sokół pustułka, wpatrując się ostrym wzrokiem w rozjaśnioną ziemię.

A więc wędrowałem samotnie, zanurzając się coraz głębiej w Tunel Ścieżki - niepewny, gdzie się znajduję, ale i niezbyt nieswój, nie przejmując się towarzyszami ani nawet bliskością pewnych... przyjaciół. Otaczały mnie buki, całe w pąkach, pękających i wściekle jaskrawych, na które padało nowe, odświeżone światło - sporadyczny diament - lecz w głębi milczącej Nawy panował mrok. Nie śpiewał tu żaden ptak - nie słyszałem - nie stukał żaden dzięcioł, żaden drożd nie gwizdał i nie podskakiwał. Ja zaś słuchałem gęstniejącej Ciszy - koń mój stapał bezgłośnie po bukowych liściach, mokrych po deszczu, wilgotnych i miękkich. I odniosłem Wrażenie, dość u mnie zwyczajne, że wychodzę poza Czas, że wąska, ciemno nakrapiana droga ciągnie się obojętnie przede mną i za mną że jestem tym, kim byłem, i tym, kim się stanę - wszystkim naraz - i posuwałem się naprzód obojętnie, bowiem wszystko było jedno, czy jadę, czy zawracam, czy też stoję w miejscu. Otóż dla mnie takie

chwile są poezją. Nie zrozum mnie źle, nie chodzi mi o pańciowatą „poetyczność” - ale o źródło żywej siły linii - a kiedy piszę linie mam na myśli nie tylko linie wiersza, lecz również linie życia, które obojętnie przebiegają przez nas od Początku do Końca. Ach, jakże mam Ci powiedzieć? I komu, jeśli nie Tobie, mógłbym choćby zacząć opisywać tak nieopisywalne - tak trudno widoczne, niedotykalne rzeczy? Wyobraź sobie abstrakcyjny szkic, jaki mógłby dla Ciebie sporządzić nauczyciel rysunku, aby poprawić Twe poczucie perspektywy - wachlarz lub tunel linii, zbiegających się nie do Zera, lecz do punktu Znikania, do Nieskończoności. Potem zaś wystaw sobie te linie, ucieleśnione w miękkich, jasnych listeczkach, w bladym świetle, w niebieskich półcieniach - i wysokie pnie o szarej, miękkiej skórze, stopniowo malejące - i nawet bruzdy w ziemi - niespotykany dywan brązów, smolistych czerni, torfu, popiołu, bursztynu - oddzielnie, a jednak razem - prowadzące w dal, a jednak nieruchome... nie umiem... wierzę, że Ty już wiesz...

W pewnej odległości ujrzałem coś jakby Staw. Leżał na mojej drodze - o głębokiej barwie i nieznannej głębi - w swej ciemnej powierzchni odbijając sklepienie drzew. Spojrzałem w jego stronę, odwróciłem wzrok, a kiedy znów spojrzałem, znajdowało się w nim Stworzenie. Muszę założyć, że Stworzenie owo znalazło się tam wskutek niewielkiej magii, bowiem z pewnością nie było go tam wcześniej, nie mogło też przejść przez wodę, gdyż jej powierzchnia pozostała nieruchoma i gładka.

Był to mały ogar mlecznobiałej maści, o smukłym, spiczastym łebku i ślepiach czarnych i inteligentnych. Leżał - spoczywał brzmi lepiej - z głową uniesioną niby sfinks, na poły nad, na poły pod wodą - barki i zad przecinała cienka linia powierzchni, zanurzone członki błyskały przez płynną zieleń i bursztyn. Owinięty wąskim ogonem wyciągnął przed siebie delikatne łapy i tkwił nieruchomo, jak wyrzeźbiony z marmuru, nie przez chwilę, ale przez czas dłuższy.

Wokół szyi psa wisiał na srebrnym łańcuszku rząd kulistych srebrnych dzwoneczków - nie miniaturowych, dźwięczących dzwoneczków, lecz dużych dzwoneczków wielkości jaja mewy bądź nawet kurzego.

Koń stanął, ja zaś nie mogłem oderwać wzroku od stworzenia - wciąż niewzruszone jak kamień, patrzyło na nas z nieskrępowaną pewnością siebie, a nawet trochę rozkazująco.

Przez kilka chwil nie umiałem stwierdzić, czy owo zjawisko jest rzeczywiste - czy to halucynacja - czy co? Czy przybyło z innego czasu? Leżało tam, wbrew oczywistości, na poły zanurzone, prawdziwy *Canis aquaticus** niby wynurzający się duch wody lub tonący duch ziemi.

Jako żywo nie byłem w stanie jechać dalej ani zmusić go, by ustąpiło lub zniknęło. Ja patrzyłem i ono patrzyło. Miałem wrażenie że to Wiersz, zastygły w ruchu, i wspomniałem Ciebie, Twego pieska i Twe nieziemskie stwory, błędzące po ziemi. Przyszły mi też do głowy pewne strofy sir Thomasa Wyatta - głównie wiersze łowieckie, w których jednak ścigane stworzenia są mieszkańcami Dworskich Komnat. *Noli me tangere*, zdawało się wyniośle mówić zwierzę, i w rzeczy samej, nie mogłem i nie chciałem mu przeszkadzać, zawróciłem więc, najlepiej jak umiałem, do czasu, dziennego światła i miarowej codziennej gadaniny.

* *Canis aquaticus* (łac.) - pies wodny.

Teraz, gdy spisuję całe wydarzenie, może nie wyda Ci się ono niczym ważnym - ani nikomu, kto przeczyta tę relację. A jednak - było. To był znak. Pomyślałem, że Elżbieta* za młodu polowała w tymże parku z takimi

właśnie psami - Dziewica Łowczyni - nieprzejednana Artemis - i zdało mi się, że w bieli stworzenia dostrzegłem jej drapieżną twarz i uciekające przed nią jelenie. (Wykarmione sztuki, które mijalem, z zadowoleniem skubały trawę lub spoglądały na mnie niczym posągi, wężąc wiatr). Czy wiesz, że uczestnicy Dzikich Łowów zwykli czasami, opuszczając jakieś domostwo, pozostawiać za sobą pieska, którego można było odegnąć właściwym urokiem, lecz który zwykle przebywał tam rok, zjadając wszelką żywność, dopóki Łowcy nie powrócili?

Nie będę już pisał na ten temat. Zrobiłem z siebie niemałego głupca i złożyłem całą godność w Twoje ręce - z taką ufnością, jaką Ty wykazałaś wobec mnie w swoim ostatnim, niezapomnianym liście - na który, jak mówiłem na wstępie, otrzymasz odpowiedź.

Czekam na Twą opinię o moim zjawisku.

Swammerdam wymaga jeszcze kilku muśnięć. Był to dziwny intelekt i zagubiona dusza - wzgardzony i odtrącony, jak wielu wielkich ludzi - przypadki jego życia wręcz doskonale są zgodne z zajęciami - nie, obsesjami - jego natury. Pomyśl, moja droga, jak zróżnicowany, zmiennokształtny i rozciągliwy jest duch ludzki, który może jednocześnie zamieszkiwać duszny Gabinet Holenderskich Osobliwości - rozcinać mikroskopijne serce - przemierzać Galileę, rozprawiając z Renanem o liliach z tamtych pól - niewybaczalnie wściubiać nos wyobraźni w sekrety niewidzianego pokoju, w którym pochylasz głowę nad papierem. Uśmiechasz się do swego zadania - jako że „Meluzyna” już została rozpoczęta i rycerz zmierza na spotkanie przy Źródle Pragnienia...

* Elżbieta - mowa o Elżbiecie I Tudor (1533-1603), królowej Anglii (przyp. tłum.).

Drogi Przyjacielu.

Jeśli tak się do Ciebie zwracam - to po Raz Ostatni, jak również i Pierwszy. Zbiegliśmy w dół po Zboczach - przynajmniej ja zbiegłam - z którego powinniśmy schodzić ostrożnie - albo wcale. Zwrócono mi uwagę, że nasza przedłużająca się rozmowa niesie ze sobą niebezpieczeństwo. Obawiam się, że mówiąc tak, przejawiam brak delikatności - w istocie, nie wiem, jak z tego wybrnąć - nie zarzucam niczego Tobie - ani sobie, chyba że niedyskretne wyznania - ale jakie... - że kochałam Ojca i zamierzam napisać epos?

Świat jednak nie spojrzy przychylnie na te listy - między kobietą, żyjącą jak ja, w odosobnieniu - i mężczyzną, choćby nawet był wielkim i mądrym poetą...

Są tacy, którzy dbają o to, co powie świat - i jego żona. Są tacy, których skrzywdziłaby zła opinia. Wykazano mi - całkiem słusznie - że jeśli zazdrośnie strzegę swej wolności, aby żyć jak teraz - i pracować - muszę być nadzwyczaj ostrożna - pozostać w oczach świata i jego żony osobą szanowaną - unikać ludzkiego potępienia i wynikłych zeń małostkowych ograniczeń swobody ruchów.

W żadnej mierze nie kwestionuję Twej delikatności - władzy sądzienia - lub dobrej wiary.

Czy nie sądzisz, że będzie lepiej, jeżeli zaniechamy tej korespondencji?

Zawsze pozostanę dobrze Ci życzącą Christabel LaMotte

Moja Droga Przyjaciółko.

Twój list był dla mnie wstrząsem - co oczywiście musiałaś przewidzieć - stał w całkowitej sprzeczności nie tylko ze swym poprzednikiem, ale i z dobrą wiarą i zaufaniem, które zrodziły się, by trwać (tak myślałem)

między nami. Zadałem sobie pytanie, coż uczyniłem, by tak Cię przerazić - po czym odpowiedziałem sobie, że przyjeżdżając do Richmond, przekroczyłem nakreślone przez Ciebie granice prywatności - nie tylko dlatego, że przyjechałem, lecz również dlatego, że napisałem o tym, co zdarzyło mi się ujrzyć. Gdybym po namyśle doszedł do wniosku, że sedno sprawy leży w tym ostatnim, mógłbym nakłaniać Cię, byś przyjęła mój opis za kapryśne wyolbrzymienie ciekawego zjawiska. Tak wszakże nie było - a jeśli nawet, ton Twego listu sprawił, że już jest inaczej.

Wyznam, że z początku byłem nie tylko wstrząśnięty, lecz zły, że tak do mnie piszesz. Stawka jest jednak zbyt wysoka - zważywszy delikatność, trafność sądów i dobrą wiarę, jakie w swej uprzejmości chciałaś mi przypisać - bym odpisywał w gniewie. Przemyślawszy więc dokładnie naszą korespondencję oraz Twe kłopotliwe położenie kobiety - jak to określasz „zazdrośnie strzegącej swej wolności, aby żyć jak teraz”, zapragnąłem odparować zarzut, jakobym miał zakusy na Twą wolność. Wręcz przeciwnie - szanuję, czczę i podziwiam zarówno tę wolność, jak i jej wytwory: Twoją pracę, Tve słowa, sieć Twego języka. Na własną zgubę poznałem dokładnie nieszczęścia, jakie brak wolności ściąga na kobiety całą niedogodność, bolesność, marnotrawstwo - skutki ograniczeń powszechnie im narzucanych. Zaprawdę, myślałem o Tobie jako o poecie i moim przyjacielu.

Jednakże - wybacz mi to niezbędne odstępstwo od zasad delikatności - list Twój dokonał jednego - a mianowicie określił nasz wzajemny stosunek najdokładniej jako związek kobiety i mężczyzny. Dopóki to nie zostało powiedziane, mogliśmy w nieskończoność po prostu rozmawiać - ze szczyptą nieszkodliwej galanterii lub, być może, dwornej adoracji - lecz przede wszystkim wiedzeni pragnieniem - przecież niezabronionym - by mówić o sztuce czy rzemiośle, które oboje uprawiamy. Sądziłem, że domagasz się dla siebie tej właśnie wolności. Co sprawiło, że skryłaś się za palisadą kolczastych konwencji?

Czy można coś jeszcze uratować?

Chciałbym tu poczynić dwie uwagi. Po pierwsze, w żadnym razie nie wyrażasz zdecydowanej woli, abyśmy przestali korespondować. Piszesz w trybie pytającym - co więcej, odwołujesz się do mej opinii - bądź to z kobiecej uległości (bardzo nie à propos), bądź oddając swój prawdziwy stan ducha - niepewność, czy należy sprawę uznać za zamkniętą.

Nie, droga panno LaMotte - nie sądzę (na podstawie przedstawionych dowodów), że byłoby lepiej, abyśmy zaniechali naszej wymiany listów. Nie byłoby lepiej dla mnie - straciłbym na tym nieskończenie, nie mając w dodatku budującej moralnej pewności, że czynię słusznie i szlachetnie, zrywając korespondencję, która wszak jest dla mnie źródłem zachwyty - i wolności - i nikomu nie wyrządza szkody.

Nie sądzę też, iż byłoby to z korzyścią dla Ciebie - ale nie jestem w pełni świadom położenia, w jakim się znajdujesz, toteż pozostaję otwarty na perswazję.

Powiedziałem, że chcę poczynić dwie uwagi. To była pierwsza z nich. Druga jest następująca: piszesz tak - czy posuwam się zbyt daleko? - jakby Twój list powstał pod dyktando poglądów jakiejś osoby czy osób.

Mówię to nader niepewnie - lecz bardzo mnie to uderzyło - w Twych słowach słyhać inny głos - czy zgaduję właściwie? Oczywiście głos ten może należeć do kogoś, kto ma większe prawa do Twojej uwagi i lojalności niż ja mógłbym rościć - lecz musisz mieć wszelką pewność, że osoba ta widzi prawdziwie i że jej wzroku nie mącą uboczne względy. Pisząc do Ciebie nie umiem znaleźć tonu, który nie zatrałby o pouczenie lub żalność.

Tak szybko stałaś się częścią mego życia - nie wiem, jak poradziłbym sobie bez Ciebie. Wciąż bardzo pragnę wysłać Ci „Swammerdama”. Czy przynajmniej to wolno mi uczynić?

Na Twoje rozkazy R.H. Ash

Drogi Przyjacielu.

Jakże mam Ci odpowiedzieć? Byłam oschła i niegrzeczna - w obawie przed Chwiejnością Woli, a także dlatego, że jestem głosem, co chciał być głosem sumienia - wołającym żałośnie pośród Zamieci - której nie mogę w pełni szczerze Ci opisać. Jestem Ci winna Wyjaśnienie - a jednak Nie Mogę - a jednak muszę - inaczej zostanę oskarżona o ohydny Niewdzięczność i kilka innych, pomniejszych grzechów.

Jednak, mój Panie, zaprawdę tak być nie może. Nasze - bezcenne - listy to za wiele i zarazem za mało - ale są one, przede wszystkim - muszę to powiedzieć - kompromitujące.

Co za zimne, smutne słowo. To Jego słowo - słowo Świata - a także jej, tej pruderyjnej Żony. Lecz słowo to stanowić może o wolności.

Wypowiem się teraz o wolności i niesprawiedliwości.

Niesprawiedliwość polega na tym, że potrzebują wolności - od Ciebie - który tak ją szanujesz. Twe słowa o wolności były tak szlachetne - jakże mogłabym odwrócić się od

Na Dowód przedstawię niewielką Historię - Historię małych, bezimiennych, zapomnianych uczynków. Nasz domek - „Betania” - nazwany tak został z pewnego powodu. Dla Ciebie, w Twym cudownym wierszu, Betania to miejsce, gdzie Pan wezwał zmarłego przyjaciela, by ten przed czasem zmartwychwstał. Jednakże dla nas - istot płci żeńskiej - jest to miejsce, gdzie aniśmy same służyły, ani nam nie służono. Biedna Marta, zgięta pod brzemieniem służby, karcila swą siostrę Marię, która - siedząc u Jego Stóp, słuchając Jego Słów - znalazła tę jedyną potrzebną rzecz. Otóż - ja wierzę, za George'em Herbertem, że dla tego, kto jest „sługą Jego prawa, nawet podłogi zamiatanie świętym się dziełem zdawa”. Powzięłyśmy zamyśl - moja towarzysząca i ja - stworzenia sobie Betanii, w której wszelka praca byłaby wykonywana w duchu Jego Prawa, w duchu Miłości. Musisz wiedzieć, że poznałyśmy się na jednym i cudownych wykładów pana Ruskina o godności rękodziela i pracy indywidualnej. Spotkało się nas Dwie - chcące żyć Życiem Umysłu i robić rzeczy dobre - i po namyśle uznałyśmy, że jeśli dodamy nasze nędzne grosze do tego, co zarobimy, udzielając lekcji lub sprzedając Baśnie albo nawet Wiersze - możemy wieść żywot, w którym krzątania jest Sztuką - świętością, wedle przekonań pana Ruskina - podejmowaną wspólnie, a nie służbą u jakiegoś Pana (chyba że Tego, który jest Panem Wszystkiego i który odwiedził prawdziwą Betanię). Miałyśmy się Wyrzec: nie otaczającego nas naówczas życia - krepującego Uwielbienia Córki dla światowej matki - dystygowanego Niewolnictwa guwernantki - te stratą nie były - od tych umknęłyśmy z radością, dzielnie stawiając czoło opozycji. Nie - miałyśmy się Wyrzec zewnętrznego Świata i zwykłych Kobięcych Nadziei (oraz Lęków) na rzecz - czy ośmielę się powiedzieć - Sztuki? - codziennej rzemieślniczej powinności - od wytwornych zasłon po Malarstwo Mistyczne, od ciasteczek zdobnych w lukrowe różyczki po Epos o Meluzynie. Pakt został Przypieczętowany - nic więcej nie powiem. Wybrałam sposób życia, dzięki któremu, musisz mi wierzyć, stałam się przedziwnie szczęśliwa - i nie byłam samotna.*

* Betania - starożytne miasto w Palestynie; wg Biblii miejsce zamieszkania Łazarza i jego sióstr, Marii i Marty (przyp. tłum.).

(A jednak Listy, któreśmy pisali, stały się dla mnie Nałogiem. Chcę zapytać - czy widziałeś kiedy pana Ruskina, jak demonstruje Kunszt Natury, opisując żyłkowany Kamień w szklance wody? Jego barwy lśnią niby klejnoty, jego pióro i pędzel są tak subtelne, jego opis - byśmy naprawdę ujrzeli - tak dokładny - lecz nie mogę tak się rozpisywać - słuszne jest, byśmy zaprzestali...).

Wybrałam swoją Drogę, drogi Przyjacielu, i muszę się jej trzymać. Jeśli chcesz, myśl o mnie, jakbym była Panią na Shalott - o Cieńszej Mądrości - która nad Łyk świeżego powietrza i podróż zimną rzeką ku śmierci przedkłada pracowite czuwanie nad wielobarwną Pajęczyną - niezmordowaną pracę czółenkiem - aby coś stworzyć - zamknąć Świetlik oraz Okiennice.

Powiesz, że wcale Temu nie zagrażasz. Argumentować będziesz - racjonalnie. Pewnych rzeczy sobie nie mówiliśmy, poza tą Jedną - którą tak surowo Określiłeś.

*W mojej Wewnętrznej Duszy wiem - Groźba istnieje. Bądź cierpliwy. Bądź wielkoduszny. Wybacz.
Twoja przyjaciółka Christabel LaMotte*

Moja Droga Przyjaciółko.

Moje ostatnie listy są jak Kruki Noego - śmigają nad bezmiarem wód mętnej Tamizy, wezbranej od niedawnych deszczów - i nie wracają, nie przynoszą od Ciebie znaku życia. Pokładałem duże nadzieje w ostatniej przesyłce, zawierającej „Swammerdama”, na którym tylko co wysechł atrament. Sądziłem, że na pewno dostrzeżesz, iż go w pewnym sensie wywołałaś - że bez Twojej subtelnej percepcji, bez Twego poczucia złożoności maleńkich nie ludzkich żyłtek, byłby zapewne przedstawiał sobą postać bardziej prostacką, nie tak wymowną w kwestii suchych kości. Nie pisałem dotychczas poematów dla konkretnego Czytelnika - dla siebie jedynie bądź dla jakiegoś na poły wymyślonego Alter Ego. Otóż Ty na pewno nie jesteś tym ostatnim i słowa swe skierowałem - zaintrygowany, zafascynowany - właśnie do Twojej inności, do Twojej odrębności. Teraz zaś moja Próżność - i coś więcej - moje poczucie Ludzkiej Przyjaźni - zostało urażone, bo nie możesz - stwierdzenie, że nie śmiesz, to po prostu nonsens - nawet potwierdzić, iż wiersz mój otrzymałaś.

Jeśli Cię obraziłem, nazywając Twój ostatni list, dawno temu, wewnętrznie sprzecznym (jakim był) i bojaźliwym (jakim był), to musisz mi wybaczyć. Mogłabyś oczywiście zapytać, dlaczego tak się upieram przy pisywaniu do osoby, która jasno oznajmia, że nie jest w stanie kontynuować przyjaźni i stanowczo trwa w odpychającym milczeniu. W istocie, kochanek zapewne przyjąłby rekuzę - ale zgodny, ceniony przyjaciel? Przecież nieprawdą jest, jakobym choć słowem - skrobniętym, maźniętym - dał najmniejszy wyraz niewłaściwej uwagi - żadnych „gdyby tylko sprawy miały się inaczej, o, to wtedy...” - żadnych „Two cudne oczy, wiem o tym, przebiegają teraz...” - nie, wszystko płynęło wprost z uczciwych myśli, które bliższe są mej prawdziwej istoty niż wszelka bzdurna galanteria - i tego właśnie znieść nie możesz?

A czemu tak się upieram? Sam właściwie nie wiem. Może być, że w imię przyszłych Swammerdamów zacząłem, widzę to, nierozważnie Cię postrzegać - nie kpij - jako rodzaj muzy.

Czy Pani na Shalott umiałaby napisać „Meluzynę” w swej okratowanej wieży za fosą?

Ależ, powiesz na to, sama zbyt jesteś pochłonięta pisaniem poezji, by poszukiwać zatrudnienia jako Muza. Nie sądziłem, co prawda, że te dwa zajęcia wykluczają się nawzajem - można je wręcz uważać za komplementarne. Lecz Ty pozostajesz niewzruszona.

Nie daj się zwieść mej kpiarskiej wymowie. Po prostu - to wszystko, czym zdaję się dysponować. Wbrew wszystkiemu będę mieć nadzieję - że ten list zamieni się w Gołębicę, która powróci z Gałązką Oliwną. Jeżeli stanie się inaczej, nie będę Cię więcej niepokoił.

Zawsze Ci oddany R.H. Ash

Drogi Panie Ash.

Nie po raz pierwszy zasiadam do tego listu. Nie wiem ani jak zacząć, ani jak pisać dalej. Powstała pewna Okoliczność - nie, nie potrafię już nawet pisać - jakże mogłaby okoliczność powstać i jaki byłby wygląd takiego stworzenia?

Drogi Panie, listy Pańskie nie docierały do mnie - z pewnego Powodu. Ani Pańskie listy Krukowate, ani - ku mej nieskończonej stracie - Pański wiersz.

Obawiam się - w istocie wiem - mam wszelkie dowody z wyjątkiem naocznych - że zostały Zabrane.

Zdarzyło się dzisiaj, że biegłam trochę szybciej na spotkanie Poczmiistrza. Odbyła się - papierowa Szarpanina. Wrywałam. Ku memu - naszemu - wstydomi - wrywałyśmy obie.

Proszę Cię - błagam - powiedziałam Ci Prawdę - nie potępij. Strzeżono mego honoru - i jeśli nawet nie całkiem podzielałam pojmowanie Honoru, które podpowiada ostrożność tak gorliwą - muszę być wdzięczną - muszę - jestem.

~~*Ale zniżać się do kradzieży*~~

Och, proszę Pana, rozdzierają mnie sprzeczne uczucia. Jestem wdzięczna, jak już powiedziałam. Lecz także bardzo się gniewam, że mnie tak oszukano - gniewam w Twoim imieniu - bo choć uznałam, że lepiej będzie nie odpowiadać na Twe listy, nikt inny nie miał prawa ich dotykać, bez względu na motyw.

Nie znajdę ich. Zostały podarte na strzępy, tak mi powiedziano. A z nimi „Swammerdam”. Czy można to wybaczyć? A jednak - czy można - nie wybaczyć?

Ten dom - ongiś tak szczęśliwy - pełen jest szlochów, zawodzeń i Migreny, czarnej jak bolesny Całun. Pies Tray przemyka się z kąta w kąt - ucichł Monsignor Dorato - a ja - ja przemierzam pokoje i pytam siebie, do kogo mam się zwrócić - i myślę o Tobie, mój Przyjacielu, mimowolna przyczyną tak wielkiej Żalości. To wszystko nieporozumienie - wiem o tym.

Nie wiem już, co złego czy dobrego było w mym Pierwotnym Kroku - przerwać pisanie.

Gdybym miała przez to uchronić harmonię domową - lecz ta jest obecnie całkowitym zgiełkiem, głośnym i fałszywym.

Och, drogi przyjacielu - tak wielki gniew mnie ogarnia - me utopione oczy widzą dziwne błyski...

Nie śmiem pisać nic więcej. Nie mogę być pewna, że jakakolwiek Twoja przesyłka dotrze do mnie - w całości - jeżeli w ogóle...

Twój Poemat przepadł.

A ja - mam tak się poddać? Ja, która o swą autonomię walczyłam z Rodziną i Społeczeństwem? Nie, tego nie zrobię. Podejmując wiadome ryzyko okazania się Niekonsekwentną, Kapryśną, Chwiejną i Kobięcą - pytam Cię, czy jest możliwe, byś przyszedł do Richmond Park - kiedy mam powiedzieć? - możesz być zajęty - któregoś z najbliższych trzech dni o godzinie jedenastej rano? Powiesz, że Pogoda nie sprzyja spacerom. Ostatnie dni w istocie były straszne. Woda jest tak wysoka - przy każdym przypiływie Tamiza zbliża się i przelewa przez nabrzeże i mur - wspina się na nie z wodną zaciekłością - śmieje się i chlapie po przybrzeżnym bruku - wkrada się do ogrodów, nie bacząc na furtki i drewniane płoty - wije się, bulgoce, brązowa i silna, zostawiając za sobą rozmaite rzeczy - szmaty, pióra, przemokniętą odzież, martwe zwierzątka - zalewa bratki i niezabudki, sięga do wczesnych Malw. Ale ja będę. Wyjdę z Psem Trayem - on przynajmniej będzie mi serdecznie wdzięczny - w porządnym butach, zbrojna w parasolkę wejdę do parku przez bramę od Richmond Hill i będę się tam przechadzać - gdybyś zechciał przyjść.

Należą Ci się Osobiste Przeprosiny.

Oto Twoja Gałązka Oliwna. Czy ją przyjmiesz?

Och, ten utracony wiersz -

Twa szczerą przyjaciółką

Moja Droga Przyjaciółko.

Mam nadzieję, iż bezpiecznie dotarłaś do domu. Patrzyłem za Wami, dopóki nie zniknęliście mi z oczu - dwie małe stopy w stanowczych trzewikach i cztery szare łapy, biegnące susami, wzbijające po drodze malutkie fontanny - i ani razu nie spojrzeliście wstecz. W każdym razie Ty nie odwróciłaś głowy, choć Pies Tray raz czy dwa pochylił łeb, z żalem, mam nadzieję. Jak mogłaś świadomie tak mnie oszukać? Oto ja rozglądam się czujnie za spanielem lub mlecznobiałym, ostrym, niedużym ogarem - i widzę Ciebie, zakłopotaną prawie całkiem skrytą za ogromnym, kanciastym, ciemnoszarym potworem wprost z irlandzkiej bajki lub nordyckiej sagi o chodzeniu na wilka. Jakże jeszcze rzeczy byłaś łaskawa mi przedstawić tak psotnie a fałszywie? Mój pogląd na Twój dom - Betanię - teraz już co dzień ulega rewizji - dach się przemieszcza, okna ze śmiechem rosną żywo płot zbliża się albo oddala - wszelki kształt się zmienia, nic już nie jest stałe. Ale - ach - widziałem Twoją twarz, choćby tylko we mgnieniach, pod ociekającym wodą kapeluszem i ciemnym łukiem ogromnej i nader przydatnej parasolki. I trzymałem Twą dłoń - na początku i końcu - spoczęła w mojej z ufnością - wierzę i mam nadzieję.

Cóż za spacer, cóż za wiatr - nie do zapomnienia. Łoskot drutów naszych parasoli, beznadziejnie splątanych, gdy schylaliśmy się ku sobie w rozmowie; nasze słowa, porwane pędem wichru; strzępy zielonych liści, lecące mimo, i płowe jelenie na grzbiecie wzgórze - biegnące, biegnące naprzeciw spiętrzonej, zmordowanej masie ołowianych chmur. Dlaczegoż Ci to opowiadam, Tobie, która widziałaś to ze mną? Aby podzielić się także słowami, jak dzieliłem z Tobą ostre podmuchy - i nagłą ciszę, gdy wiatr na krótko opadał. Był to ze wszech miar Twój świat, Twoje wodne imperium, gdzie łaki tonęły niczym miasto Is, drzewa od korzeni rosły nie tylko w górę, ale i w dół, a chmury wirowały obojętnie w listowiu wodnym i powietrznym...

Cóż jeszcze Ci opowiem? Znów przepisuję dla Ciebie „Swammerdama” - trud to problematyczny, bo wiem wciąż odkrywam małe usterki, z których jedne naprawiam, inne zaś pozostawiam z niepokojem. Otrzy-

masz go w przyszłym tygodniu. W przyszłym tygodniu znów będziemy chodzić, prawda? - teraz, gdy wyjaśniło się, że żaden ze mnie potwór, lecz łagodny i nieco lękliwy jegomość?

I czy Tobie - tak jak mnie - także wydało się dziwnym, lecz i bardzo naturalnym, że tacy jesteśmy wobec siebie nieśmiali, choć na papierze znamy się znacznie lepiej? Czuję, jakbym zawsze Cię znał, a jednak szukałem uprzejmych zwrotów i konwencjonalnych pytań - we własnej osobie jesteś o wiele bardziej tajemnicza (jak większość z nas, przypuszczalnie), niż w postaci znaków, skrobanych atramentem. (Może dotyczy to wszystkich. Trudno mi powiedzieć).

Nie będę teraz już więcej pisał. Zgodnie z prośbą, adresuję ten list na Poste Restante w Richmond. Nie całkiem mi się ten wybieg podoba - nie podoba mi się, gdyż sugeruje on jakieś ciemne sprawy - co znajduję kłopotliwym. Dla Ciebie - z Twoją bystrą, różnicującą moralnością i dumnym poczuciem moralnej autonomii, to zapewne też wcale niełatwe. Czy moglibyśmy wymyślić coś lepszego? Czy zagrożenie się zmniejszy? Pozostaje, choć niespokojny, w Twoich rękach. Jeżeli możesz, daj znać, czy otrzymałaś ten pierwszy „czekający” list. Daj znać, jak się miewasz, i że możemy wkrótce znów się spotkać. Ukłony dla Psa Traya.

Mój Drogi Przyjacielu.

Twój list dotarł bezpiecznie. Twe słowo - wybieg - trafiło do celu. Pomyślę - trudności Kłębią się i Kółtują - ale pomyślę i może wynikiem będzie coś więcej niż ból głowy.

Niełatwo zapomnę nasz lśniący marsz po mokrej ziemi - ani jakiegokolwiek Twoje Słowo - nawet najbardziej dworne Nic - ani, tym bardziej, te przelotne chwile, wyrwane, by mówić o Prawdzie i Sprawiedliwości w Przyszłym Życiu. Udało mi się - mam nadzieję - przekonać Ciebie, że seanse pani Lees są warte poważnej uwagi. Pogrążonym w Rozpaczy przynoszą tak niewymowną Ulgę. W zeszłym tygodniu niejaka pani Tompkins przeszło dziesięć minut trzymała na kolanach swe zmarłe dziecko, czując - tak mówiła - nawet jego ciężar, nawet podwinięte paluszki rąk i stóp - jakże miłość matki mogłaby się mylić? Również Ojciec mógł dotknąć miękkich łoków istotki na krótko mu zwróconej. Widzieliśmy błyski nieziemskiego światła - czuliśmy powiew słodkiej wońi.

Jest prawdą, co piszesz, że osobista - prawie napisałam konfrontacja - konwersacja - zakłóciła nasze Listy. Nie wiem, co pisać. Onieśmiela mnie Twój głos - naprawdę - i Obecność - jakkolwiek ją rozumieć. Czy znów się zobaczymy? Czy wyniknie z tego dobro czy zło? Pies Tray, który przesyła ukłony, wie, że tylko dobro - ja zaś nic nie wiem, więc niechże to będzie Wtorek - a jeśli nie przyjdiesz, zajrzę do Poste Restante, gdzie zwykle stoję obok żon marynarzy i modnych Istot - oraz kwaśnego Kupca, którego twarz marszczy się chmurnie, gdy nic nie przychodzi do niego.

Tęsknię za Swammerdamem. Twoja szczerą przyjaciółką

Kochana.

Zamierzałem zacząć w duchu następującym - „jakże mam Cię przeproszać?”, „chwilowe szaleństwo” itd. - a później pomyślałem, że mógłbym pominąć całe zdarzenie - zaprzeczyć, iż Magnesy pędzą ku sobie - i trwać w zaprzeczeniu tak uporczywie, aż kłamstwo stanie się zbawienną fikcją, zawierającą coś w rodzaju prawdy. Jednakże Prawa Natury zasługują na taki sam szacunek jak wszelkie inne prawa, istnieją ponadto

prawa ludzkie równie silne jak pole magnetyczne między żelazem i magnetytem jeżeli zatem skłonię się ku kłamstwu - wobec Ciebie, której nigdy nie kłamałem - będę zgubiony.

Będę Cię widział - taką, jak na chwilę przed moim szaleństwem - jeszcze w godzinie śmierci. Twoją twarzą, bladą i szczerą, zwróconą ku mnie - i Twoją wyciągniętą dłoń - w rozwodnionym, słonecznym blasku, między wielkimi drzewami. Ja zaś mogłem ująć Twoją rękę - albo jej nie ujmować - czyż nie? Jedno albo drugie? Lecz teraz już tylko - jedno. Nigdy jeszcze nie czułem, by cała moja Istota skupiła się w takim stopniu na jednym przedmiocie, w jednym miejscu, w jednym czasie - błogosławiona wieczność chwilowości, trwająca, zda się, bez końca. Poczulem, że mnie wołasz, choć głos Twój mówił coś innego, coś o tęczowym widmie lecz cała Ty, z głębi Siebie, wołałaś mnie i musiałem odpowiedzieć - nie słowami - na ten zew bez słów. A zatem, czy było to tylko moje szaleństwo? Gdy trzymałem Cię w ramionach (drzę na samo wspomnienie) byłem pewien, że nie.

Teraz, z dala od Ciebie, nie wiem już, co myślisz i czujesz.

Jednak muszę mówić. Muszę Ci powiedzieć, co jest w moich myślach. Ów niewybaczalny uścisk nie był nagłym odruchem - chwilową ekscytacją - lecz pochodził z tego, co we mnie najgłębsze i - jak sądzę - najlepsze. Muszę Ci powiedzieć, że od tamtego, pierwszego spotkania, wiedziałem, że jesteś moim przeznaczeniem, choćbym nie wiem jak starał się ukrywać to przed samym sobą.

Co noc śniłem o Twojej twarzy; chodziłem po ulicach codziennego życia w rytm Twego pisania, rozbrzmiewającego w mym cichym umyśle. Nazwałem Cię swą Muzą - którą jesteś lub możesz być - posłańcem z tego naglącego miejsca w duszy, gdzie istota poezji śpiewa wciąż i śpiewa. Mógłbym Cię także nazwać, jeszcze prawdziwiej - Miłością - proszę, zostało to wypowiedziane - gdyż niewątpliwie Cię kocham, gwałtownie, na wszelkie sposoby znane człowiekowi. To miłość, dla której nie ma miejsca na tym świecie - miłość, która, jak podpowiada osłabiony rozum, nie przyniesie nam obojgu nic dobrego - miłość, przed którą przebiegle próbowałem się ukryć - przed którą próbowałem chronić CIEBIE - z całą pomysłowością, jaką dysponuję. (Z wyjątkiem zupełnego milczenia, odpowiesz, lecz to nie było w mojej mocy). Jesteśmy rozumnymi mieszkańcami XIX wieku, winniśmy pozostawić coup de foudre autorom Romansów - lecz mam pewne dowody, że wiesz o czym mówię - że przyznałaś, choćby chwilowo (w tej nieskończonej chwili), iż to, co twierdzę, jest prawdą.

Otóż chciałbym zapytać, co teraz poczniemy? Jak może to być koniec, skoro ze swej natury jest to właśnie początek? Wiem doskonale, że mój list rozminie się z Twoim listem, w którym napiszesz, mądrze i słusznie, że nie wolno nam się więcej spotykać, nie wolno nam się widywać - i że nawet listy, owa przestrzeń wolności, muszą być zaniechane. Wątek zaś, który nas zniewala, konwencja, która nas wiąże, potwierdzi, że ja, jako dżentelmen, muszę przystać na to żądanie, przynajmniej na czas jakiś, w nadziei, że Los - bądź ów Twórca wątków, śledzący nasze kroki - orzeknie o kolejnym spotkaniu, o podjęciu tematu gdzieś dalej...

Ale, moja Droga, tego zrobić nie mogę. To wbrew naturze - nie tylko mojej, konkretnej naturze, lecz przeciw Pani Naturze jako takiej - która dziś rano uśmiecha się do mnie w Tobie i dzięki Tobie, i rozjaśnia wszystko - od anemonów na moim biurku po pyłki w smudze słonecznego światła, po słowa na leżącej przede mną stronicy (John Donne) - Tobą, Tobą, Tobą. Jestem szczęśliwy - szczęśliwy jak nigdy - ja, który powinienem pisać do Ciebie z umysłem udreńczonym Bóg wie jakim poczuciem winy, wycofując się z przerażeniem. Widzę

Twe drwiące usta i czytam ponownie zagadkowe słowa o Mrówkach i Pająkach - i uśmiecham się na myśl, że cały czas jesteś - czujna i skupiona - jesteś czymś jeszcze, wiem o tym, czy chcesz tego, czy nie...

O co proszę? - zapytasz na swój dokładny i nieco kpiący sposób - redukując moje zapewnienia do ściślych propozycji. Nie wiem - skąd miałbym wiedzieć? Mogę jedynie zdać się na Twą łaskę, byś mnie nie odpychała, nie zbywała jednym skąpym pocałunkiem - nie, jeszcze nie teraz. Czy nie możemy znaleźć sobie skrawka przestrzeni, tylko na trochę - gdzie trwać będziemy w zdumieniu, żeśmy się odnaleźli?

Czy pamiętasz - ależ tak, oczywiście, że pamiętasz - jak ujrzelśmy Tęczę ze szczytu naszego wzgórza, spod naszej kępy drzew - gdy światło przeniknęło kropelki wilgoci w nasyconym powietrzu - i ustał Potop - my zaś staliśmy pod jej Łukiem, jakby mocą nowego Przymierza do nas należała cała Ziemia - a od jednego końca Tęczy do drugiego lśniła barwna krzywa, ciągła, choć zmienna pod naszym ruchomym spojrzeniem.

Jakże pokrętnie produkują Pismo, by leżało i zbierało kurz na Poste Restante, być może już na zawsze. Od czasu do czasu przejdę przez Park I zaczekam, pod tymi samymi Drzewami - ufając, że wybaczysz - a może coś jeszcze...

Twój R.H.A.

Och, Panie - wszystko jest migotliwe i zmienne, zaprawdę, same błyski, rozbłyski i lśnienia. Cały ten długi wieczór siedzę przy kominku - na moim bezpiecznym stołeczku - obracając płonące policzki ku Aspiracjom ognia, ku zapadliskom czerwonej materii, skruszonym węglom, pożeranym, aż staną się - dokąd to zmierzam?! - popiołem bez życia - Panie.

Lecz wtedy - tam - gdy Tęcza stała w ciemnym powietrzu nad zatopionym światem - żaden Piorun nie poraził tych Drzew, nie spłynął na ziemię po ich członkach z drewna - a jednak płomień liźnął, otoczył, rozgorzał w krętych żyłach, spalił i strawił całkowicie...

Rażone drzewa czarne - Ogień na Niebiosach Siadu nie zostawi, Ni kości, ni włosa

O ile wiem, nasi pierwsi Rodzice kryli się w kręgach takich mocnych drzew - lecz Oko dostrzegło tych, którzy nierozważnie spożyli wiedzę, co dla nich śmiercią była...

Jeżeli świat nie zginie zatopiony po raz drugi - wiadomo, jak my zginie - to jest nam powiedziane.

I Ty także, w „Ragnaröku”, porównujesz bystre wody zatopionego świata Wordswortha z ogniami Surtura, których „jęzory liżą brzegi Ziemi/i pożerają jej suchą skorupę/by plunąć płynnym złotem w rude niebo”...*

Potem zaś - deszcz - Popiołu...

** Surtur, właśc. Surt - w mit. skand, strażnik i władca Muspelheimu, którego przeznaczeniem było pokonanie Frei podczas Ragnaröku i zniszczenie świata za pomocą ognia (przyp. tłum.).*

Ash - Jesion i Ash - Popiół; nikt nie ujdzie cało -

Niech się w Popiół obróci, co z Popiołu powstało

Widzę całe roje strzelających gwiazd - jak złote pociski przed moim mroczniejącym wzrokiem - zapowiadają Ból Głowy - lecz zanim nastanie ciemność i płomienie, mam trochę jasnego miejsca, by powiedzieć - ale co? Nie mogę pozwolić, byś mnie spalił. Nie mogę. Spłonęłabym - nie spokojnie, układnie, jak mój ukochany

domowy ogień - i jego miniaturowe groty rozkoszy, przyczółki i palisady, gorące, nietrwale ogrody klejnotów - nie, ja splonę jak Słoma w Suchy Dzień. Podmuchi wiatru - drganie powietrza - zapach spalenizny - obłok dymu - i dużo białego, drobnego pyłu, który zatrzymuje swój rozsypany kształt tylko przez nieskończenie krótką chwilę, po czym zamienia się w zbiór przypadkowych drobin - nie, nie mogę...

Widzi Pan, nie mówię nic o Honorze ani Moralności, choć to ważne sprawy - zmierzam wprost do Sedna, co czyni zbędnym rozprawianie o nich. Tym sednem jest moja samotność - samotność, która jest zagrożona, której Ty zagrażasz, a bez której jestem niczym - więc jak mają do mnie przemówić honor i moralność?

Czytam w Twoich myślach, drogi Panie Ash. Opowiesz się teraz za dozorowanym, ostrożnym spalaniem - za kominkiem z kratą, formalną granicą, mosiężnym wykończeniem - ne progedietur ultra...

Lecz ja Ci powiadam - Twa lśniąca salamandra jest Smokiem Ognistym. I stanie się - Pożoga.

Przed każdą migreną jest chwila szaleństwa. Ta rozpoczęła się płomieniem na wzgórzu - i w tej minucie - mówi.

Żaden śmiertelnik nie może stać w ogniu i przetrwać.

Marzyłam, co prawda, aby przejść przez żar - jak Szadrak, Meszah i Abednego*.

Lecz my, Istoty Rozumne późnej doby, nie posiadamy czyniącej cuda Pasji dawnej wiary...

Poznałam, co to Roziskrzanie - i muszę odmówić dalszych prób.

Migrena rozwija się wartko. Połowa mej głowy to bukłak pełen bólu.

Daję list Jane, która zaraz go wyśle. Wybacz jego wady. I mnie także wybacz.

Christabel

* Szadrak, Meszah, Abednego - towarzysze biblijnego Daniela, wtrąceni przez Nabuchodonozora w płonąca czeluść, z której wyszli bez szwanku (przyp. tłum.).

Moja Kochana.

Cóż mam myśleć o Twoim liście, który, jak przewidziałem, rozminął się z moim, lecz który - tego już nie odważyłem się przewidzieć - nie jest chłodną odmową, lecz - podejmując Twoją metaforę - nader gorącą zagadką? Jesteś prawdziwą poetką - pobudzona, zaniepokojona lub bardzo czymś zaciekawiona, wyrażasz się metaforycznie. Cóż więc mam myśleć o całym tym iskrzeniu? Powiem Ci - to Stos, z którego Ty, mój Feniksie, powstaniesz odnowiona, acz niezmieniona - złote pióra połyskliwsze, bystre oko jaśniejsze - semper idem.

Czy to skutek Miłości, że każdemu z nas towarzyszy - jak widoma emanacja - jakaś mitologiczna, monstrualna i nieludzka jaźń? Że w sposób łatwy i naturalny piszesz jako Stworzenie z płonącej czeluści, rozgrzana kominkiem salamandra, powietrzny Smok Ognisty? - że łatwo i naturalnie odczytujesz we mnie oba mityczne znaczenia mego giętkiego nazwiska Drzewo Świata, strawione aż do papierowych szczątków? Wobec tej potęgi czujesz się - jak i ja - pierwotnie żywa. Wokół nas - tam - żywioły wirowały w szalonym pędzie, a my - przypomnij sobie - staliśmy, ciepłi, ludzcy, bezpieczni w kręgu drzew, trzymając się w ramionach, pod kopułą nieba.

Najważniejsza rzecz, jaką Ci muszę wyjaśnić, jest taka oto: nie stanowią groźby dla Twojej samotności. Jakże bym mógł? Jakże bym się ważył? Czyż to nie wyłącznie Twe błogosławione pragnienie bycia samą umożliwia nam coś, co w innym razie mogłoby, prawdę mówiąc, kogoś skrzywdzić?

To uzgodniwszy, czy moglibyśmy w jakiś ograniczony sposób - być może - najpewniej, na krótko - choć Miłość z natury uważa się za wieczną - w jakimś małym, ciasnym miejscu - czy moglibyśmy skraść trochę - prawie napisałem „małego” - wielkiego szczęścia? I tak czeka nas żal i smutek, a ja w każdym razie wolę żałować rzeczywistości, nie fantazmatów - wiedzy, nie nadziei - czynu, nie wahania - prawdziwego życia, nie wątplych, potencjalnych szans. A cała ta kazuistyka jest po to, moja kochana, by Ci powiedzieć: wróć do parku, pozwól mi znów dotknąć Twojej ręki, pozwól nam znów przechadzać się podczas stosownej burzy. Niewykluczone, że nadejdzie chwila, gdy to nie będzie możliwe z wielu słusznych powodów - ale wiesz przecież i czujesz - jak ja wiem i czuję - że ta niemożliwość jeszcze nie nadeszła, jeszcze nie teraz?

Niechętnie odejmuję pióro od papieru, by złożyć ten list - gdyż jak długo piszę do Ciebie, mam złudzenie, że się dotykamy, to znaczy - jesteśmy błogosławieni. Czy wiedziałaś - à propos naszej rozmowy o smokach, pożogach i nienasyconym ogniu - że smok chiński - lung w dialekcie mandaryńskim - nie jest stworzeniem ogniowego, lecz wyłącznie wodnego żywiołu? Tym samym będąc kuzynem Twojej tajemniczej Meluzyny w jej marmurowej wannie? Przez co chcę powiedzieć, że istnieją smoki chłodniejsze, oddające się przyjemnościom bardziej umiarkowanym. Lung pojawia się, kręty i błękitny, na chińskich naczyniach, z grzywą rozbryzgów, w otoczeniu znaków, które kiedyś brałem za małe płomyki, teraz zaś wiem, że są to wiry wodne.

I stronica tej prozy ma leżeć na Poste Restante jak jakaś bomba? Przez te ostatnie dwa dni stałem się wzburzonym Anarchistą.

Będę czekał pod drzewami i codziennie, o Twojej porze, będę wyglądał kobiety jak równy, wysoki płomień i szarego ogara, snującego się po ziemi jak dym...

Wiem, że przyjdiesz. Przez cały ten czas - co wiedziałem, stawało się. Nie jest to stan rzeczy, którego zwykle doświadczam, ani też nigdy nie był mi niezbędny - lecz jestem człowiekiem uczciwym i przyznaję, że kiedy coś jest, to jest... A zatem przyjdiesz. (Cicha to wiedza, nie ponagląca...).

Twój R.H.A.

Drogi Panie.

Jestem zbyt dumna, by przyznać, iż wiedziałam, że przyjść nie powinnam - a jednak przyszłam. Przyznaję się do swoich działań - z których jednym był ów drżący spacer - z Mount Ararat Road do Pagórka Pokus - kiedy Pies Tray, warcząc, krążył wokół nas - nie kocha on Ciebie, Panie - a koniec tego zdania mógłby brzmieć, „ani ja Cię nie kocham”, bądź też, co zapewne bardziej jest spodziewane, „bez względu na to, co ja czuję”. Czy ucieszyło Cię moje przybycie? Czy staliśmy się podobni bogom, jak obiecywałeś? Dwoje żarliwych piechurów, pracowicie kierujących czubki butów ku piaszczystej ścieżce. Chwilowo pomijając Elektryczne Moce i Galwaniczne Impulsy - czy zauważyłeś, jacy jesteśmy wobec siebie nieśmiali? Ledwie się znamy - choć nie na papierze. Spędzamy czas ze sobą - a Czas Kosmiczny na krótko się zatrzymuje za jednym ruchem naszych palców. Kimże jesteśmy? kim? - czy nie wolałbyś raczej swobody białej kartki? Czy - biada nam - nie jest za późno? Czy nasza pierwotna niewinność minęła?

Nie - porzuciłam - porzuciłam swą Wieżę i Rozum. Na kilka godzin mam domek dla siebie - we wtorek, około pierwszej po południu - czy chciałbyś zbadać nudną prawdę Gniazodka z Twojej wyobraźni? Czy przyjdiesz na herbatę?

Och, żałują wielu rzeczy. Wielu. Są też rzeczy, które trzeba powiedzieć - już wkrótce - przyjdzie na to pora.

Smutno mi dziś, proszę Pana, smutno i beznadziejnie - smutno, że poszliśmy na przechadzkę, i smutno, że się już skończyła. I tyle tylko mogę napisać, albowiem Muza mnie odeszła - jak zwykła drwiąco porzucać wszystkie Kobiety, które flirtują najpierw z nią - a potem z Miłością...

Twoja Christabel

Moja Kochana.

Więc teraz mogę wyobrażać sobie Ciebie naprawdę, w Twoim saloniku - prezydujesz nad filiżankami w kwiatki - Monsieur Dorato puszy się i tryluje - a klatka jego to nie florenckie palazzo, jak przypuszczałem, lecz zgoła Tadż Mahal z płonącego mosiężnego drutu. Nad kominkiem zaś „Christabel przed sir Leolinem” - Ty, schwytała niczym posąg w smugę zimnego, kolorowego światła - i podobnie oziębły Pies Tray - który pracowicie kręcił się i myszkował, z grzbietem zjeżonym jak igły kolczatki i miękką szarą wargą wygiętą w grymasie - prawdziwie mówisz, on mnie co najmniej nie kocha i raz czy drugi trącił filiżankę i spodek, zakłócając spokojne skupienie, z jakim sięgałem po wyborne ciasto makowe. Nie ma też ganku i pnącego kwiecica - wszystko to ulotny puch i wymysł - lecz sztywne, wysokie Róże, niczym gąszcz strzelistych strażników.

Sądzę, że dom Twój mnie nie pokochał - nie powinienem był przychodzić.

I prawdą jest również - jak oznajmiłaś z drugiej strony kominka - że ja także mam dom, którego nie opisałem ani nawet nie wspomniałem. I że mam żonę. Prosiłaś, bym o niej mówił, a ja zaniemówiłem. Nie wiem, skąd to wiesz - przynajmniej, miałaś pełne prawo pytać - lecz ja nie umiałem odpowiedzieć. (Choć wiedziałem, że zapytać musisz).

Mam żonę, którą kocham. Nie tak, jak kocham Ciebie. Napisawszy te ponure zdanka, siedzę teraz od pół godziny, całkiem niezdolny pisać dalej. Są dobre powody - nie mogę ich omawiać, lecz na pewno są dobre - może nie bezwzględnie, wystarczająco doskonale, ale dobre - dla których moja miłość do Ciebie nie musi Jej krzywdzić. Wiem, że brzmi to kulawo i niezręcznie. Zapewne wielu mężczyzn - mężczyzn bałamutów - mówiło tak przede mną - nie wiem - jestem w tych sprawach niedoświadczony i nigdy nie myślałem, że przyłapię się na pisaniu takiego listu. Nie mogę powiedzieć już nic więcej, mogę jedynie zaręczyć, iż wierzę, iż to, co mówię, jest prawdą i mieć nadzieję, że nie utracę Cię przez to niezbędne grubiaństwo. Dalsza dyskusja prowadziłaby wprost do zdrady wobec Niej - gdyby kiedykolwiek powstała kwestia omawiania Ciebie, czułbym to samo. Nawet domniemana analogia jest przygnębiająca - przecież to rozumiesz. To, czym jesteś - jest Twoje - to, co mamy - jeśli mamy cokolwiek - jest nasze.

Proszę, zniszcz ten list - bez względu na to, co zrobiłaś z resztą - albowiem sam w sobie jest zdradą.

Mam nadzieję, że Muza jednak Cię nie opuściła - nawet na chwilę, nawet na czas picia Herbaty. Piszę teraz poemat liryczny - bardzo jestem nieustraszony - o Smokach Ognistych i Chińskich Smokach Lung - właściwie należałoby nazwać go wyczarowanym. Dotyczy Ciebie - jak zresztą wszystko, co w tych dniach robię, co myślę, czym oddycham - lecz nie jest Tobie dedykowany - te wiersze dopiero nadejdą.

Jeżeli przyjdzie odpowiedź na ten prosty list, będę wiedział, iż zaprawdę jesteś wielkoduszna i że nasza mała przestrzeń jest nasza - na krótko - dopóki chwila niemożliwości nie da znać o sobie...

Twój R.H.A.

Mój Drogi Panie.

Twoja prostota i powściągliwość przynoszą Ci tylko Zaszczyt - jeżeli to w ogóle ma znaczenie w tej Puszcze Pandory, którąśmy otwarli - lub w tej mokrej Przestrzeni, na którą wyszliśmy. Nie mogę więcej pisać - w rzeczy samej, Głowa Boli mnie coraz bardziej - a sprawy w tym Domu, o których nie będę wspominać, z podobnych chyba i, mam nadzieję, honorowych pobudek - enfin, nie układają się dobrze. Czy możesz przyjść do Parku w czwartek? Muszę przekazać Ci wieści, o których wolałabym mówić.

Na zawsze, C.

Kochana.

Na razie mój Feniks to ptak stroskany i zszargany, o głosiku nietypowo cichym i potulnym - a chwilami nawet układnym. To być nie może - to wykluczone - wyrzeknę się całego, powtarzam - całego szczęścia - by ujrzeć Cię jasną i płomienną, jak zwykle. Zrobiłbym wszystko, co w mej mocy, byś zabłysła w swej sferze, jak przedtem - wyrzekłbym się nawet swych do Ciebie roszczeń, przy których się tak upierałem. Powiedz mi więc - nie że jesteś smutna, ale dlaczego - szczerze - ja zaś spróbuję naprawić zło - jeśli będę mógł. Teraz odpisz mi, jeżeli możesz, i przyjdź znów we wtorek.

Zawsze, R.H.A.

Najdroższy Panie.

Doprawdy, nie wiem, czemu jestem smutna. Nie - wiem - to dlatego, że wyjmujesz mnie ze mnie i na powrót wkładasz - umniejszoną - składam się z mokrych oczu, dotykanych dłoni, ach, i ust - to bardzo obecny wyglądniały -fragment kobiety, co nie pragnie już prawdy, lecz jednak pragnie, zgoła w nadmiarze - ach, jak to boli...

A Ty mówisz - jesteś tak dobry - „kocham Ciebie, Ciebie” - ja zaś wierzę. Lecz kto to jest - kto to jest „Ty”? Czy to - cienkie, jasne włosy to - które tak tęskni? Kiedyś byłam czymś innym - czymś samotnym i lepszym - byłam sama sobie wystarczalna - teraz zaś błąkam się, pracowicie szukając nieustannej odmiany. Może byłabym mniej niezadowolona, gdyby moje Życie codzienne lepiej się układało, lecz ono zamieniło się w kruchą tkanekę ciszy, przetykaną ostrymi igielkami wymówek. Patrzę dumnie - udaję niewiedzę tam, gdzie wiem najdokładniej - i gdzie o mnie wiedzą - lecz to kosztuje - to niełatwe - to niedobre. Czytałam Johna Donne'a:

Lecz my, miłości tak wspaniale Pewni, że już nie wiemy sami, Czym jest- my nie musimy wcale Stykać się dłońmi, czy wargami.*

Czy to nie piękny zwrot - „tak wspaniale pewni”? Czy sądzisz, że możemy znaleźć równie bezpieczną przystań - pośród wichury?

I mam teraz w swym słowniku nowe słowo, znienawidzone, którego jestem więźniem - brzmi ono: „Gdyby...”, „Gdyby...”. Gdybyśmy mieli czas i miejsce, aby być razem - jak pozwoliliśmy sobie pragnąć - to byłibyśmy razem wolni - natomiast teraz jesteśmy - w klatce?

* John Donne, „Waleta, żalu zabraniająca”, przełożył Stanisław Barańczak (przyp. tłum.).

Kochana.

Naprawdę korzysta z wolności - ostrożnie, mądrze i z wdziękiem - tylko ten, kto umie poruszać się wewnątrz ograniczeń, i nie docieka, co leży na zewnątrz, a czego nie można dotknąć ani posmakować. Lecz my jesteśmy ludźmi - a być człowiekiem oznacza chcieć poznać wszystko, co można poznać, dowolnym sposobem. I łatwiej tęsknić za dłońmi i wargami, gdy staną się już trochę znajome i nie trzeba ich badać na nowo - gdy zew nieznanego już ucichł. „Gdybyśmy” mieli tydzień - lub dwa - jakże byśmy go wykorzystali! I może tak się stanie. Jesteśmy wszak przedsiębiorczy i inteligentni.

Za żadne skarby nie chciałbym Cię umniejszyć. Wiem, że w tych okolicznościach zwykło się protestować: „Kocham Cię dla Ciebie samej”

- „Kocham Twoją istotę” - lecz słusznie nadmieniasz, że „Twoja istota” oznacza zazwyczaj dłonie i wargi. Jednakże musisz wiedzieć - oboje wiemy - że tym razem tak nie jest - najdroższa, kocham Twoją duszę, a z nią Twoją poezję - gramatykę, interpunkcję i pośpieszną składnię Twojej bystrej myśli - wszystko to jest równie właściwe Twej „istocie” Jak szybki krok Kleopatry, który określał jej istotę ku zachwytowi Antoniusza - a nawet bardziej, choć bowiem wszelkie dłonie i wargi są do siebie nieco podobne (aczkolwiek Twoje czarujące są i magnetyczne) - Twe myśli, odziane w słowa, są wyjątkowo Twoje, przybyły z Tobą i gdybyś znikła, one także by znikły...

Podróż, o której mówiłem, nie jest jeszcze postanowiona. Tugwell okazał się bardzo zajęty pracą w domu - i choć dawno temu postanowiliśmy podjąć ten projekt, gdy tylko pogoda dopisze - aby w obecnej dobie być człowiekiem cywilizowanym, należy wykazać inteligentne zainteresowanie mniejszymi formami życia oraz monstrualnymi, trwałymi kształtami planety - teraz mamy zawieszenie ognia. Ja zaś, który cały byłem entuzjazmem - zawiesiłem ogień - wiszę na ogniu - bo jakże mógłbym dobrowolnie oddalić się tak od Richmond?

A zatem do wtorku

PS „Swammerdam” raz jeszcze prawie gotów. Najdroższy Panie.

Moja wątpliwa Muza powróciła. Posyłam Ci (niepoprawione), co podyktowała.

Pagórki zielone Drżą w Jego uścisku Ramiona - toczone Jego Twarz wśród błysków Uśmiech - złoty żar Nad grzbietami wzgórz Każdy skręt i jar Napina się - już Całą siłę natęża I lśniącym ciałem węża Ścisła, ścisła; kamienie Krzyczą jak kości - ziemia Zgnieciona - z bólu woła Krzyczy wszystko dokoła - On śmieje się i ścisła -

Moja najukochańsza.

Piszę w pośpiechu - lękam się Twej odpowiedzi - nie wiem, czy wyjechać - zostanę, dla Ciebie - chyba że ta mała szansa, o której mówiłaś, jest naprawdę realna. A jednak - jak to być może? Jak mogłabyś zadowalająco wyjaśnić taki krok? Jakże mam mieć nadzieję - mimo wszystko?

Nie chcę wyrządzić w Twym życiu nieodwracalnych szkód. Pozostało mi jeszcze dość rozumu, by Cię błagać - wbrew moim pragnieniom, mojej nadziei, mojej najprawdziwszej miłości - byś się zastanowiła, przed-

tem i potem. Jeżeli jakimś sposobem uda się zrobić tak, że będziesz mogła później żyć, jak zechcesz - no cóż - jeżeli się uda... To nie jest sprawa na list. Będę jutro w południe w Kościele.

Ślę moją miłość, teraz i zawsze.

Drogi Panie.

Stało się. Fiat. Przemówiłam Gromem - i powiedziałam tak będzie - teraz i nigdy już żadnych pytań - na tę bezwzględną Propozycję muszę, jak każdy Tyran, pokornie się zgodzić.

Szkoda, która mogłaby się stać, już się stała - nie z Twojej woli - choć trochę z mojej, gdyż byłam (i jestem) rozgniewana.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

SWAMMERDAM

Nachyl się ku mnie, bardzo proszę, bracie.

Chyba sprawiam Ci kłopot. Już niedługo.

Zanim mój marny rozum, głos i oczy

Zawiodą mnie, pragnę Ci podziękować,

Za to, żeś ze mną siedział, tutaj, w celi

O dachu półokrągłym i tak białej

Jak wnętrze jajka. Dzisiaj się wykluję,

W jaką to przestrzeń spokojną i pustą,

Święta patronka Niemiec wie najlepiej;

Ta, co kazała Ci czuwać nade mną,

Za moją duszą wstawi się u Boga,

Za małą, biedną duszą, co tak krótko

Zamieszkiwała tę kruchą skorupkę,

Którą On widzi i jak każdy Chłopiec

Z uśmiechem trzyma w swojej jasnej dłoni,

A potem ostrzem Łaski ją nakłuwa,

By Jego Światło weszło przez otworek

I odnalazło to, co trzeba wyssać -

Skrzydlaty embrion przyszłego Anioła.

Mało zostawiam. Kiedyś miałem dużo -

Lub tak myślałem, choć ludzie sądzili

Inaczej. Prawie trzy tysiące stworzeń

Skrzydlatych i przyziemnych uśmierciłem

Zastrzykiem mego Kunsztu; długie rzędy

Rozciętych i miłośnie przybitych szpilkami

Typów z Biblii Przyrody świadczyć miały

O zręczności jej ręki. Mniejsza o to. Zapisz - jeżeli łaska - że zostawiam Manuskrypty i pióra Francuzowi Thevenot - on jeden jest mi przyjacielem

I jak prawdziwy filozof doceni Odkrycia myśli, ongiś nieulekłej. Powinien był też dostać mikroskopy Oraz imadła; miedziany pomocnik, Który nazwaliśmy Homunkulusem, Sztywnymi ramionami chwycił szkielecko Pewniej niżli dłoń ludzka, by ukazać Kawalek tkanki albo kroplę ikry Przenikliwemu wzrokowi Człowieka, Który ośmielał się badać sekrety

Poza zasięgiem swoim przyrodzonym. Cóż, te przyrządy już dawno sprzedane Za chleb i mleko, choć żołądek skisły Ich nie przyjmuje. Umrę jako dłużnik - On, mój przyjaciel, pewnie mi wybaczy. Zapisz, że taką mam nadzieję. Potem Zapisz, dla oczu Antoinette Bourignon (Która mówiła mi, zrozpaczonemu, O Boskim, poza przestrzenią i czasem, Punkcie Miłości Nieskończonej), że w nią

I w Niego ufny, zwracam twarz ku ścianie, Aby świat rzeczy rzucić dla Nicości, Którą mi ukazała, gdym, niepewny, Przybył do Niemiec i tam ją odszukał. Teraz złóż podpis „Swammerdam” i datuj Rok tysiąc sześćset i osiemdziesiąty,

W marcu, i zapisz, w jakim jestem wieku: „W czterdziestym trzecim roku dobiegł kresu Krótki czas tego, kto przez liczne szpary

W gładkim naskórku rzeczy Nieskończoność Dostrzegał często - i od tego umarł”.

Czy wiesz, że życie człowieka wyrasta W kształt określony jak czerw z jaja mrówki, A z tego czerwia, służem spowitego Klucze się potwór - ogromna samica - Skrzydlaty truteń albo robotnica? Jam mały człowiek w maleńkiej przestrzeni, Znaczący drobniaków i rzeczy najmniejszych, Tych nieistotnych i lekceważonych, Ulotnych, rzadkich albo osobliwych. Podoba mi się Twoja mała cela. Ubóstwo. Biel i okno, woda, ręka, Którą podajesz kubek do ust moich Spierzchniętych. Dzięki. To wystarczy.

Miejsce, Gdzie się urodził, także było małe, Lecz nie tak puste - pod kurzu powłoką Mienił się złudnym błyskiem tajemnicy Osobliwy magazyn. Com najpierw ujrzał? Maleńka kołyska Ledwie mieściła się między kuframi Skarbów, słojami o misternych korkach I zasłonami z ciężkiego jedwabiu. Wśród piór, piszczeli i pustych bukłaków, Jak bądź spiętrzonych na stołach i krzesłach, Strumień skaleni księżycowych wpadał W skarabeuszy pokracznych pudełko; Obcych idoli malowane oczka Mrugały do mnie z zakurzonych półek, Nimfa pływała w słoju hermetycznym, O ścianki skrobiąc kościstymi dłońmi, Snop włosów sterczał na jej suchej głowie, Piersi, wyschnięte i drobne, przybrały Kolor mahoni; dolne części ciała Jak stary werniks ściemniały, skurczone,

I tylko zęby nadal lśniły bielą. Było tam również jajo bazyliuszka Barwy kości słoniowej - kula prawie, Niepewnie wsparta na rzymskim kielichu, Tuż obok mumii kota, wciąż spowitej Od stóp do głowy w bandaż jak noc czarny I jak pieprz suchy, dość wszakże podobny Do chust, więzących me dziecinne członki. Tak przypuszczam.

Tak Twoje ręce - już wkrótce, nieprawdaż? -

Zawiną w całun tę marną powłokę

I zamkną moje oczy, osłabione

Od wpatrywania się w pyłki i strzępki
Żywej materii; oczy, co niewinnym
Blaskiem świeciły na widok kuszącej
Stery zdobyczy ze świata całego,
Łupu odważnych niderlandzkich szyprów,
Co na kotwicy stają w Amsterdamie.
Ich statki płyną pośród mgieł i szkwałów
Prądem niesione, do krajów gorących,
Pod słońce z miedzi; lub gdzie góry lodu
Jasnozielone, nigdy nie topnieją;
Lub do otchłani tajemniczych, parnych,
Równikowego lasu, gdzie żar słońca
Bije w liściasty dach, a jego światła
Człowiek ni zwierzę nigdy nie ogląda,
Chyba że jako srebrnej strzały mgnienie
Biegnące między zielenią i mrokiem.

Gdy byłem chłopcem, miałem taki zamysł, Żeby w katalog ująć to bogactwo, Uporządkować je, rzekł-
byś - sprowadzić Do naszej ludzkiej skali, pogrupować Zgodnie z pożytkiem, jaki z niego mamy, Lub z przy-
dawanym znaczeniem. Na przykład, Chciałem oddzielić mit od medycyny, Zaś amulety (to czysty zabobon)

Od minerałów; rtęć i kwarc różowy Możemy utrzyć i traktować nimi Gorączkę tropikalną i zimnicę;
Istoty żywe winny taksonomię Mieć odpowiednią: owad z owadami, Ptak z zakurzonym ptakiem, no, a jaja -
Od wielkiej kuli strusiej do malutkich, Miękkich jaj węża - sklasyfikowane, Zmierzone cyrklem, pięknie wy-
stawione Na tle kotary, w drewnianych kieliszkach.

Ojciec mój, co apteczny skład posiadał,
Z początku rad był, że syn jego zdradza
Nad wiek dojrzałe skłonności umysłu.
Miał ambicje co do mnie. Widział w myślach,
Jak czynię wokół dobro, podziwiany
Przez ludzi, pełen pokory przed Bogiem,
Obrońca prawdy i sprawiedliwości.
Gdy jednak spostrzegł, że nie ma nadziei,
Abym studiował prawo, tak jak pragnął,
Uparł się wtedy, że będę medykiem.
„Kto umie ciało uleczyć doczesne,
Ducha ludzkiego też ocali - mawiał
Ojciec mój, człek pobożny i światowy.
- Nigdy nie zbraknie mu wina ni mięsa,
Choruje ludzkość grzeszna, zatem lekarz

Zawsze jest w cenie po tej stronie grobu".

Ja wszakże miałem już inne zamiary.

Czy się zrodziły z roszczeń intelektu,

Czy z cudownego uroku mieszkańców

Mej niemowlęcej klitki, tego nie wiem.

Sądziłem, że prawdziwa anatomia

Bierze początek nie od serc i dłoni,

Lecz od form prostszych i bardziej pierwotnych

Drobiazgu, który wiję się i pełza.

Klucz życia posiadał ślepy biały robak,

Co zjada ludzkiej tkanki komplikację,

A sam zjadany jest przez drób domowy -

Obfity obiad innego człowieka.

Tak koło się zamyka. Życie całe

Jednością jest - myślałem. - Rozum każe

Zaczynać anatomię tutaj właśnie,

Na pierwszym szczeblu drabiny stworzenia,

Blisko płodnego ciepła Matki Ziemi.

Czy to dlatego?

Czy też Duszę moją Pająk opętał w ciemnym magazynie,

Demon jak pięść mężczyzny namacalny, Smolisty i kudłaty?

Albo może Były to ćmy z Barbarii, kruczoczarne,

O skrzydłach wątłych, przekłutych szpilkami, Ukrzyżowane dla naszej zabawy?

Bardzo dziwne, Lecz jednak stanowiły formę życia,

Podobną do mnie; choć, ma się rozumieć,

Duszy im brakło, to były mi braćmi -

Lub tak myślałem w czasach swej młodości.

Wszystko zdawało mi się ulepione Z jednej substancji: ze szklanego białka

I złotej żółci Kosmicznego Jaja Starożytnych Egipcjan, które w Próżni Złożył Mrok czarnopióry; z niego właśnie Wyklął się Eros w pióropuszu światła, Aby zapłodnić Chaos; stąd się wzięły Zarodki tego, co żywe na Ziemi.

Żart zagadkowy orfickich wyroczni Może w stronę tej prawdy nas kierował?

Poznać pragnąłem prapoczątki życia; Sądziłem, że mam prawo. Czyż Bóg dobry, Prócz rąk i oczu nie dał mi rozumu, Abym zbudował pomocnika z miedzi, Co trzymał szkiełka, dziwnie zakrzywione, Ponad żywymi cząstkami, bez ruchu? Uczyłem się je widzieć i pomniejszać

Albo powiększać, podług stałej skali, Aż połączenia i wzory ujrzałem, Od ładu których kręciło się w głowie. Umialem zrobić sekcję skrzydła jętki I tak ustawić rogówkę komara, Że widać było przez nią Nowy Kościół, Zwielokrotniony, do góry nogami, Jakby na główce szpilki, gdzie nie tańczą

Żadne Anioły. Ómy skrzydło, łuską jak zbroją okryte, Na muszych nogach haki zakrzywione - Świat nowy zobaczyłem w naszym świecie, Świat prawdy oraz cudów - świat tętniący Życiem, którego nikt się nie domyślał.

W tej szklance, którą mi do ust podajesz, Ujrzelibyśmy - gdybym miał szkła swoje - Nie kryształową, spodziewaną czystość Wody źródlanej, lecz kipiącą hordę Animalkuli o smoczycy ogonach, Poruszających się dzięki sprężynom Oraz wypustkom, niczym wieloryby, Co przemierzają oceany świata. Optyczne szkiełko tnie jak ostrze miecza; Multiplikuje świat albo go dzieli - Jak tutaj, wielość widzimy w jedności, Bądź części w tym, co gładkie się zdaje: Na skórze damy kratery i pory, I łuskę szorstką na jej lśniących włosach.

Im bardziej objawiało mi się Wiele, Tym uporczywiej ścigałem to Jedno - Prima Materia, kształt Natury zmienny, A jednak stały w swoich przekształceniach. Jej Prawa znajdowałem w różnych Formach: Mrówki, motyla, żuka, ómy i pszczoły. Najpierw odkryłem tajemny plan wzrostu Z jaja do larwy, która, otulona,

Tutaj się kurczy, tam znów się rozrasta, Nowe organa wytwarzając we śnie, Aby zbudziwszy się, wyrzucić z siebie Drżące strzępki jedwabiu, co na wietrze Rozpościerają światłość swej urody - Płowe, tęczowe, szafirowe, pawie, Tygrysyo pęgowane lub znaczone Między skrzydłami czarną trupią główką.

W soczewki szklanym kręgu moje kciuki Zgrubiałe były niczym noga słonia. Przystosowałem sobie broń chirurga Pod szkła źrenicą - igły i lancety, Szpikulce, noże, haczyki, skalpele, Których nieuzbrojone oko nie zobaczy, Z miękkiej kości słoniowej, nie ze stali, Oszlifowane tam, gdzie wzrok nie sięga; Nimi badałem życie wszelkich stworzeń I pochodzenie, źródło tego życia.

Ich państwa nie są takie, jak myślimy. Połóż mrowiska albo ula Władcę - Oś wzorów, które tkają te istoty, Nosząc, zbierając, śpiesząc do karmienia, Budując albo broniąc swego świata - Połóż więc to stworzenie pod soczewką, Ten szczyt, zwieńczenie całej ich hierarchii, I obnaż w nim ośrodek rozmnażania, Organa, gdzie się lęgnie nowe życie, Gdzie tworzą się jajeczka. To nie Władca! To Matka olbrzym, z odwłokiem potwornym, Po którym wciąż biegają mniejsze siostry, Licznego jej potomstwa opiekunki. W pracy wytrwałe, przynoszą jej nektar I jeśli trzeba, oddadzą swe życie, By ją ocalić - jest przecież Królową, Gniazda całego Centrum nieodzownym.

Te oto oczy ujrzały Owodnie,
Te ręce rysowały, a ten rozum
Dzisiaj słabnący, ongiś poznał Prawo
Metamorfozy, które spisał skrzętnie,
By je pokazać ludziom obojętnym.
Nic mi z tego nie przyszło. Ani w domu -
Ojciec wyrzucił mnie całkiem bez grosza -
Ani wśród moich braci w Medycynie.
Kiedy potrzebą zmuszony pragnąłem
Sprzedać okazy, zbiory preparatów,
Opis doświadczeń - kupca nie znalazłem;
Żaden uczony, filozof ni doktor
Nie zechciał przyjąć moich wizji Prawdy,

Moich obrazów życia eleganckich
I dać im choćby nadzieję przetrwania.
Tak oto stałem się nędzarzem; teraz
Zebrzę o kromkę chleba, ochłap mięsa,
Pełen larw muszyc, takich samych przecież
Jak te, które badałem.
W zeszłym stuleciu wielki Galileusz
Tubą optyczną Ziemię wykorzenił
Z centrum uwagi; określił obroty
Planet i Słońca, i ruch nieskończonej
Przestrzeni poza nimi - sfer niebieskich,
W których ogromie świat nasz wirujący,
Żółty piach jego pustyni, zieleń trawy,
Biel gór i błękit najgłębszego morza,
To, prawdę mówiąc, pyłek w gwiazdnej zupie.
Byliby go spalili za te słowa,
Gdyby ów mędrzec, czując bojaźń Bożą,
Swym hipotezom rychło nie zaprzeczył
I nie przedłożył ich ojcom Kościoła,
Uczonym w prawdach oraz tajemnicach.
To jedno - twierdzę - człowieka wysadzić
Ze środka wszystkich rzeczy; inna sprawa
Zamierzyć się na Boga, który stworzył
Nas, jakimi jesteśmy - ów straszliwy,
Przedziwny cud naszego intelektu,
I naszą żądzę wiedzy niestrudzoną -
Lecz jest też sprawcą naszej skończoności
W obliczu Jego cichej Tajemnicy,
Gdzie spoczywamy, gdy wszystkie pytania
Ustają i znękany mózg zamiera,
Łkając; podobnie zamierał mój umysł,
Kiedy kroilem swe Efemerydy.
Życie strawiłem, poszukując formy,
Maleńkich jętek, drobin życia, które
Trwają dzień tylko i nie znają nocy.
Pytam sam siebie: czułże Galileusz,
Kiedy wpatrywał się w kule w przestrzeni,
Lęk taki jak ja czułem, gdy soczewka

Odkryła dla mnie, zamiast chłodnych Niebios
W ich nieskończonej chwale, rój kipiący
Smoków i bazyliisków? Niewidoczne,
Na swoją miarę są... czy się poważę?...
A czemuż w końcu nie? ... W swoim pojęciu
Czy nie jest każdy z nich mikrokosmosem,
Jak Człowiek, który, biedny w swej próżności,
Nie może pytań znieść Nieskończonego
Z jego największej i najmniejszej strony?
[Desunt caetera]

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Cóż to jest Dom? Solidność - spokój,
Pośród Wichury ciepły Mrok
I wzrok spuszczonej za zasłoną
I bezszelestny, lekki krok.
Lecz w miękkim pluszu - myśli jęczą,
Lecz w piersiach - biją bomby serc,
W ciszy pokojów - szyby brzęczą,
Podmucha rozrywa mury twierdz.
Christabel LaMotte

Był słoneczny kwietniowy dzień. Stali na chodniku niezręcznie od siebie oddaleni i patrzyli w górę na wryty nad gankiem napis: BETANIA. Trzypiętrowy dom, czyściutki i zadbane, miał podnoszone okna i ładne zasłonki w kwiatki, które zwisały z mosiężnych prętów, zaczepione na drewnianych, rzeźbionych kółkach. W oknie od frontu, w wazie z fajansu Minton, rósł duży krzew złotowłosu. Drzwi wejściowe, pomalowane głębokim błękitem z Delft, zdobiła gięta kołatka w kształcie delfina. Róże miały już pąki, pod stopami rozlewało się morze niezapominajek. Piętra rozdzielał ceglany fryz uformowany w słoneczniki. Każdy kamień oddychał; dom, odarty ze swej pierwotnej skóry, oczyszczony palnikiem i dmuchawą piaskową, stał obnażony przed oczami patrzących.

- Doskonale odnowiony - powiedziała Maud. - Robi dziwne wrażenie. Jakby nieprawdziwe.
- Jak kopia sfinksa z włókna szklanego.
- Właśnie. Patrz, widać nawet bardzo wiktoriański kominek. Nie Umiem powiedzieć, czy oryginalny, czy też ściągnięty z jakiejś rozbiórki.

Spojrzeli na niemą i ślepa fasadę Betanii.

- Wtedy było więcej sadzy. Musiał wyglądać starzej. Wtedy, kiedy był młodszy.
- Postmodernistyczny cytat...

Teraz był tu ganek, po którym wspinały się pierwsze pędy niedawno posadzonego klematisu - ganek z nowych, białych drewnianych łuków, miniaturowa altana lub gniazdko.

Stąd wychodziła, krocząc spiesznie, w wirze stanowczych spódnic, z ustami zaciśniętymi w uporze, z palcami zwartymi na woreczku, z oczyma pełnymi lęku, nadziei, szalonymi... jak to było? Czy szedł ulicą od strony kościoła św. Mateusza, ubrany w wysoki cylinder i surdut? Czy ona - ta druga - patrzyła z okna na pięterku, mrużąc za ramkami okularów załzawione, krótkowzroczne oczy?

- Nigdy się specjalnie nie interesowałem miejscami, przedmiotami, związkami...

- Ani ja. Badam teksty. Trochę potępiam stosunek współczesnych feministek do prywatnego życia twórców.

- Jeżeli zamierzasz ściśle stosować psychoanalizę - zauważył Roland to chyba musisz się nim zajmować?

- Można stosować psychoanalizę, nie wnikając w sprawy osobiste - odparła Maud.

Roland nie podjął wyzwania. To z jego namowy przyjechali do Richmond, aby zastanowić się, co robić dalej, ale teraz, gdy się tu znaleźli, widok domku istotnie zbił ich z tropu. Zapropozował, by poszli do kościoła na końcu ulicy - ogromnej wiktoriańskiej stodoły, mieszczącej w swym wnętrzu nowoczesne, przeszklone galerie i cichy barek kawowy. Odbывała się tu jakaś impreza dla dzieci; kościół pełen był płasających, wystrojonych klaunów, wróżek i balerin, sztalug, przeraźliwie rzępolących skrzypiec i piszczałek. Usadowili się w baroku, w budzącej wspomnienia plamie barwnego od witraży światła.

Od chwili, gdy w styczniu wysłali sir George'owi gorące podziękowania, nie otrzymali od niego żadnej wiadomości. Maud miała na uczelni trudny semestr. Roland wystąpił o posady - jedną w Hongkongu, drugą w Barcelonie, trzecią w Amsterdamie. Nie pokładał w swych zgłoszeniach wielkich nadziei - w Fabryce Asha znalazł kiedyś walającą się kopię standardowej opinii, w której Blackadder chwalił go za pracowitość, dokładność i ostrożność, tym samym robiąc zeń nudnego tępaka. Uzgodnili, że nic nikomu nie powiedzą i nie podejmą żadnych działań, dopóki się nie spotkają bądź sir George się nie odezwie.

Tego ostatniego, zimnego dnia w Lincoln Roland powiedział Maud, że Christabel chyba brała pod uwagę wspólny wyjazd z Randolphem na jego przyrodniczą wyprawę do północnego Yorkshire w czerwcu 1859 roku. Wydawało mu się to oczywiste, nie wziął jednak pod uwagę całkowitej niewiedzy Maud na temat życia R.H. Asha. Rozwinął temat, Ash wyjechał na miesiąc, wędrując samotnie wzdłuż plaż i klifów, badając geologię i biologię morza. Początkowo zamierzał odbyć tę podróż w towarzystwie wielebnego Francisa Tugwella, autora książki „Anemony wybrzeża Anglii”, któremu jednak przeszkodziła w wyjeździe choroba. Zdaniem krytyków - wyjaśniał Roland - ów pracowity okres stał się przyczyną pewnej zmiany tematyki poezji Asha - od zwykłej historii do historii, by tak rzec, naturalnej, wszelako sam Roland nie skłaniał się ku temu pogładowi, uważając, że źródło zmiany leżało w powszechnej naówczas tendencji intelektualnej. W 1859 roku ukazało się „O powstawaniu gatunków”; również Michelet, wielki historyk i przyjaciel Asha. zajmował się w tym okresie naukami przyrodniczymi i napisał cztery książki, poświęcone czterem żywiołom: „La Mer” (woda), „La Montagne” (ziemia), „L'Oiseau” (powietrze) i „L'Insecte” (ogień), bowiem owady żyły w gorących podziemiach. Z tego samego ducha wzięły się „przyrodnicze” wiersze Asha, podobnie jak przedstawiające pierwotne światło, wspaniałe, późne płótna Turnera.

Ash pisał do żony prawie każdego dnia tej podróży. Listy znajdowały się w edycji Croppera; oboje, Maud i Roland, przynieśli na spotkanie ich fotokopie.

Najdroższa Ellen.

Z wielkim kosztem stojów na okazy dotarłem wreszcie do Robin Hood's Bay - w jednym kawałku, choć mocno potłuczony i wymorusany od jazdy pociągiem oraz ciągłego deszczu sadzy i płonących iskier, dokuczających mi zwłaszcza w tunelach. Linia kolejowa z Pickering do Grosmont prowadzi przez wąwóz Newtondale - szczeliną z epok lodowcowej, leżącą pośród romantycznie dzikich wrzosowisk, w której lokomotywa wskutek ostrego nachylenia wytwarza własną, fenomenalną erupcję wulkaniczną. Przywiodło mi to na myśl Miltonowskiego Szatana, żeglującego na skrzydłach czerni przez asfaltowe wyziewy Chaosu - oraz solidną cierpliwą a jednak natchnioną pracę Lyella o powstawaniu wzgórz i rzeźbieniu dolin przez lód. Słyszałem nakazujące, przeciągłe wołanie kulików i widziałem coś, co chciałbym uważać za orła, choć zapewne był to całkiem inny ptak - lecz w każdym razie drapieżnik, zawieszony w niewidzialnym żywiolu. Dziwne, wąskopierśne owce uciekają w podskokach, siejąc wokół kamienie; ich wełnisty kożuch wolno i ciężko kołysze się w powietrzu, niczym lan wodorostów w morskiej wodzie. Stojąc na wielkich głazach gapią się na nas - prawie napisałem nieludzkim wzrokiem - to oczywiste - lecz ich spojrzenie, jak na zwierzęta domowe, demoniczne jest i zgoła wrogie. Zaciekawilyby Cię ich oczy, żółte, z czarną kreską źrenicy, poziomą nie pionową które nadają im niesamowity wygląd.*

Pociąg jest współczesnym następcą cieszącej się niegdyś powodzeniem kolei konnej, zaprojektowanej i zbudowanej przez samego George'a Stephensona. Właściwie wolałbym tamten, bardziej stateczny środek lokomocji, od tego parskającego, ognistego smoka, który zrujnował moją podróżną koszulę (nie, nie wyślę jej do domu; moja gospodyni, niejaka pani Cammish, świetnie pierze i krochmali, jestem tego pewien).

*Wszystko tu zdaje się pierwotne -formacje skalne, kołysanie wzburzonego morza, ludzie i ich rybackie łodzie (w lokalnej gwarze zwane „koblami”), które, jak sądzę, nie różnią się znanadto od prymitywnych acz zwinnych łódek wczesnych najeźdźców - Wikingów. Tutaj, na brzegach Oceanu Niemieckiego** wyczuwam za zimnym, szarozielonym pustkowiem obecność ich Północnej Krainy, bardzo różniącej się od cywilizowanych pól Francji po drugiej stronie Kanału. Nawet powietrze jest tu starożytne i świeże - ma świeżość soli, wrzosu i jakąś absolutną ostrą czystość, przypominającą smak tutejszej wody, która rozkosznie bulgoce spod wapienia i po mętnej Tamizie zdumiewa bardziej niż wino.*

Gotowaś pomyśleć, że nie żal mi ciepłego domu, biblioteki, biurka i bonżurki - oraz towarzystwa mojej drogiej żony. Myślę o Tobie nieustannie i z nieustającą miłością - o czym nie muszę Cię zapewniać.

* Charles Lyell (1797-1875) - wielki geolog angielski, twórca teorii czasu głębokiego (przyp. tłum.).

** Niemiecki Ocean - używane dawniej w Anglii określenie Morza Północnego (przyp. tłum.).

Czy dobrze się czujesz? Czy możesz chodzić i czytać, nie cierpiąc na ból głowy? Opowiedz mi o wszystkim, co robisz. Gdy znów napiszę, zobaczysz, że stałem się pilnym anatomem prostych form życia - które to powołanie w tej chwili sprawia mi więcej zadowolenia niż opisywanie człowieczych konwulsji.

15 czerwca

Wziąłem się pilnie do lektury Lyella; czytam go w długie wieczory, po skończeniu sekcji preparatów, które staram się robić, gdy jest jeszcze jasno, między powrotem ze spaceru i kolacją. Porzuciłem wysokie słoje na rzecz zwykłych, żółtych form do ciasta, które obsiadły teraz wszystkie powierzchnie mej jadalni, mieszcząc w sobie rozkrzelipki, kilka rodzajów stulbiopławów, rurkowce, prześliczne male Aeolides i parę złożonych Ascidae. Trudno zaiste zgodzić się na to, droga Ellen, że tych cudownych i doskonale działających stworów nie wymyśliła jakaś Inteligencja - a jednak trudno również odrzucić powagę dowodów na Teorię Rozwoju, zlekceważyć zmiany, jakie przez niewyobrażalnie długi czas zachodzą we wszystkich rzeczach wskutek stopniowego działania czynników całkiem zwyczajnych.

Powiedz, czy byłaś w stanie - czy czułaś się dość dobrze, by pójść na wykład profesora Huxleya o „Trwałych rodzajach życia zwierzęcego”? Zapewne, podobnie jak Darwin, on również nie jest zwolennikiem hipotezy ponawianych aktów Stworzenia, dzięki którym na powierzchni Ziemi miałyby się pojawiać wciąż nowe gatunki, i opowiada się raczej za ideą stopniowej modyfikacji gatunków istniejących. Czy udało Ci się zrobić notatki? Miałyby wielką wartość, a co najmniej zaspokoilyby ciekawość Twego entuzjastycznego męża amatora.

Dziś poszedłem ze Scarborough wzdłuż skalistego wybrzeża, by zobaczyć groźny cypel Flamborough, gdzie tak wielu ludzi spotkała okropna śmierć w spienionym nurcie morskich pływów i prądów - których chociaż wręcz widać i słycać pomimo kłaśnień wysokich fal, nawet w ładny, uśmiechnięty dzień, taki jak dzisiaj. Klif jest kredowobiały, rzeźbiony i pocięty przez żywioły w fantastyczne kształty, które ktoś przesądny mógłby wziąć za boskie rzeźby lub skamieniałych gigantów starożytności. Jedna z tych figur stoi w morzu, wznosząc bezsilny lub złowieszczy kikut niby zabandażowaną kończynę, trawioną jakimś białym trądem. Były tu również dwie skały, zwane Królem i Królową, z których stoi tylko ta ostatnia. Lyell opisuje całe wybrzeże jako wystawione na stopniową erozję i pisze o pustyni Flamborough, niszczonej przez słoną pianę - który to proces, w dalszej części wybrzeża, wspomagany jest jeszcze przez mnogość źródeł płynących z gliniastego podłoża.

Przychodzi mi na myśl... jeżeli wody słone i słodkie mogą tak cierpliwie, z tak nieuchronną, ślepą celowością, nadawać formę owym białym, marmurowym grotom i nieludzkim postaciom, rzeźbiąc je, niby dłutem, ciśnieniem nitek wody, łączących się na wiosnę, tnąc wąskie kanaliki za pomocą kropelek oraz grawitacji...

Jeżeli owa mineralna siła umie tworzyć formy takie, jak stalaktyty i stalagmity - to czemuż kanały ucha czy przedsionki serca nie miałyby - przez tysiąclecia - reagować na nacisk lub zmianę kierunku?

W jaki sposób to, co rodzi się i nabiera formy wskutek działających stopniowo czynników, przekazuje tę formę swemu potomstwu - przekazuje typ, choć bywa, że jednostka zawodzi? Tego, o ile się nie mylę, nie wiadomo. Mogę odciąć gałązkę i wyhodować z niej całe drzewo - korzenie, koronę, w ogóle wszystko - jak to się dzieje? Skąd gałązka wie, jak ukształtować korzeń i konary?

Jesteśmy, moja droga, pokoleniem faustycznym - chcemy poznać to, do poznania czego nie byliśmy stworzeni (jeżeli, rzecz jasna, w ogóle byliśmy stworzeni).

U Lyella znajdujemy także opowieści o wielu wioskach na tym wybrzeżu, które zostały zalane przez fale - jak na przykład Auburn, Hartburn czy Hyde, jak również Aldbrough, które cofnęło się w głąb lądu. Nie udało mi się odkryć, czy istnieją mity lub legendy, związane z melancholijnym zaginięciem owych społeczności - mity, jakie istnieją chociażby w Bretanii lecz rybacy wciąż odnajdują szczątki domów i kościołów na piaszczystych

mieliznach daleko nu morzu... Cóż, może i nie ma zatopionego miasta Is i nękającego mnie we śnie wołania jego podwodnych dzwonów, odkryłem wszakże swojskiego, angielskiego duszka imieniem Hob, który mieszka w Dziurze, zwanej oczywiście Dziurą Hoba - Hob's Hole. Ów dobroduszny Hob leczy krztusiec (znany w tej części świata jako koklusz), a Dziura Hoba to klifowa jaskinia w pobliżu wsi Kettleness - która pewnej ciemnej, grudniowej nocy wpadła do morza, ześlizgując się w całości w dół.

Zaczynasz pewnie myśleć, że grozi mi utonięcie lub zapadnięcie się w muł i piasek. Fala porwała siatkę, którą nieostrożnie położyłem obok siebie, kiedym w głębokim stawie na Filey Brigg szukał opornego polipa - lecz jestem zdrów i cały, jeśli nie liczyć kilku chwalebnych zadrapań o młode małże i skorupy pąkli. Za dwa tygodnie mnie odzyskasz - wraz z martwymi cudenkami z głębin...

- Mortimer Cropper twierdzi, że osobiście powtórzył każdy krok tej trasy - powiedział Roland do Maud - „Tak jak i mnie, poetę zapewne rozboleły nogi po długiej wycieczce do Pickering starą rzymską drogą, swym bystrym okiem musiał wszakże dostrzec więcej rzeczy miłych i ciekawych niż ja w czasach późniejszych...”.

- Nie przyszło mu do głowy, że Ash miał towarzystwo?

- Nie. Tobie by przyszło, po lekturze tych listów?

- Skądże. Brzmiały dokładnie jak listy męża, spędzającego samotnie wakacje, który pisze do swej żony w pusty wieczór. Chyba że uznamy za istotny brak takich zwrotów, jak „Szkoda, że Cię tu nie ma” albo „gdybyś widziała”. Tyle może wywnioskować krytyk tekstu, jeżeli pominąć jawną wzmiankę o zatopionym Is, ale o nim, jak wiadomo, Ash wiedział już wcześniej. Pomyśl tylko - gdybyś ty był w stanie takiego podniecenia jak autor listów do Christabel - czy umiałbyś się co wieczór i pisać - do żony przecież - w obecności tejże Christabel? Czy umiałbyś produkować te... odczyty z podróży?

- Gdybym sądził, że muszę zrobić to dla niej - dla Ellen - może i umiałbym.

- Trzeba do tego straszliwej samokontroli i dwulicowości. A te listy są takie - pojednawcze...

- Jakby ją czasem trochę uspokajał...

- Ale może mimowolnie coś w nich widzimy, bo przypuszczamy że...

- A Christabel? Czy wiadomo, co robiła w czerwcu 1859 roku?

- W Archiwum nic nie ma. Nic, aż do śmierci Blanche w 1860. Myślisz...?

- Co właściwie stało się z Blanche?

- Utopiła się. Skoczyła z mostu w Putney w mokrym ubraniu, z kieszeniami pełnymi dużych, okrągłych kamieni. Dla pewności. Są świadectwa jej wielkiego podziwu dla bohaterstwa Mary Wollstonecraft, która usiłowała popełnić samobójstwo na tym samym moście. Najwyraźniej zapamiętała, że Wollstonecraft nie mogła utonąć, gdyż ubranie unosiło ją na wodzie.

- Maud, czy wiadomo dlaczego?

- Właściwie nie. Zostawiła kartkę, mówiącą, że nie potrafi spłacić długów i że jest w tym świecie „osobą zbędną”, „beżpożyteczną”. W banku nie miała ani grosza. Koroner orzekł chwilową kobiecą niepoczytalność. „Kobiety znane są z silnych i irracjonalnych wahań nastrojów” - tak się wyraził.

- Bo są. Feministki używają tego argumentu, gdy mowa o wypadkach samochodowych i egzaminach.

- Nie rozpraszaajmy się. Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Rzecz w tym, że naukowcy zawsze uważali, że Christabel przy tym była - zeznała, co prawda, że „nie było jej wtedy w domu”, ale zawsze zakładałam, że chodziło o dzień, góra tydzień...

- O jakiej porze roku umarła Blanche?

- W czerwcu 1860. Nie wiemy nic o tym, co działo się z Christabel w roku poprzedzającym - nie mamy nic, oprócz tych listów z Lincolnshire. Oraz, jak się zdaje, pewnych urywków z „Meluzyny” i kilku bajek, jakie wysłała do „Notatnika Domowego”, między innymi - czekaj - o Hobbie, który leczy koklusz. Co, oczywiście, niczego nie dowodzi.

- Mógł jej opowiedzieć tę historię.

- Mogła ją przeczytać gdziekolwiek. Sądzisz, że tak było?

- Nie. Myślisz, że pojechała z nim do Yorkshire?

- Tak. Ale jak to udowodnić? Albo udowodnić, że było inaczej?

- Moglibyśmy sprawdzić w dzienniku Ellen. Jak myślisz, czy mogłabyś zwrócić się z tym do Beatrice Nest? Nie mówiąc jej, po co, i nie wspominając o mnie?

- To nie powinno być trudne.

Zespół odzianych w białe prześcieradła upiorków o trupiozielonych twarzyczkach wtargnął w podskokach do kawiarnianej salki, wołając o coraz więcej, więcej i więcej soku. Dziecko w barwach wojennych i trykocie aż zanadto uwydatniającym rysunek ciała zaczęło płaszać obok nich jak jakiś cherubin dzikus.

- Co by o tym pomyślała Christabel? - zagadnął Roland.

- Sama wymyśliła sporo goblinów. Dość dobrze wiedziała, czym jesteśmy. Raczej nie czuła się ograniczona potrzebą szacunku otoczenia.

- Biedna Blanche.

- Zanim zdecydowała się skoczyć, przyszła tutaj, do tego kościoła. Znała pastora. „Znosi mnie, jak znosi wiele niezamężnych pań, które imaginują sobie, że cierpią. Jego kościół pełen jest kobiet, którym nie wolno się odzywać, którym wolno haftować podnóżki, lecz nie powinny pozwalać sobie na składanie w darze obrazów o tematyce sakralnej...”.

- Biedna Blanche.

- Halo?

- Czy mogę mówić z Rolandem Mitchellem?

- Nie ma go. Nie wiem, dokąd poszedł.

- Czy mogę zostawić wiadomość?

- Jeśli go zobaczę, przekażę. Nie zawsze go widuję, a on nie zawsze czyta moje karteczki. Kto mówi?

- Nazywam się Maud Bailey. Chciałam tylko powiedzieć, że jutro wybieram się do Biblioteki Brytyjskiej zobaczyć się z dr Nest.

- Maud Bailey.

- Tak. Chciałam z nim najpierw porozmawiać, jeśli to możliwe, na wypadek - to delikatna sprawa. Chciałam, żeby wiedział... żeby mógł się odpowiednio przygotować.

- Maud Bailey.

- Tak powiedziałam. Halo? Czy pani mnie słyszy? Kto nas rozłączył? Cholera.

- Val?

- Co?

- Czy coś się stało?

- Nie. Nic szczególnego.

- Sądząc po twoim zachowaniu, chyba jednak tak.

- Czyżby? A jak ja się zachowuję? To pewna odmiana, że zwracasz uwagę, że w ogóle się jakoś zachowuję.

- Nie odezwałaś się przez cały wieczór.

- To nic dziwnego.

- No nie. Ale można się nie odzywać w taki sposób...

- Nie przejmuj się tym. Nie warto.

- Dobrze, nie będę się przejmował.

- Jutro wrócę późno. To ci pewnie odpowiada?

- Nie ma sprawy, popracuję dłużej w Muzeum.

- Na pewno będziesz się dobrze bawił. Była do ciebie wiadomość. Ludzie chyba myślą, że jestem jakąś wieczną sekretarką od odbierania wiadomości.

- Wiadomość?

- Bardzo wyniosła ta twoja przyjaciółka. Maud Bailey. Jutro będzie w Muzeum. Nie pamiętam szczegółów.

- Co jej powiedziałaś?

- No i proszę, jak się zmartwiłeś. Nic nie powiedziałam. Odłożyłam słuchawkę.

- Och, Val.

- Och, Val, och, Val, och, Val. Nic więcej nie umiesz powiedzieć. Idę do łóżka. Muszę się wyspać, mam jutro długi dzień. Olbrzymie oszustwo podatkowe, czy to nie podniecające?

- Czy Maud mówiła, że powinienem - że nie powinienem... czy wspomniała Beatrice Nest?

- Mówiłam ci, nie pamiętam. Chyba nie. Maud Bailey w Londynie, coś takiego...

Gdyby umiał podnieść głos, krzyknąć z przekonaniem: „Nie wygłupiaj się”, może nigdy by do tego nie doszło?

Gdyby w mieszkaniu było jeszcze jedno łóżko, mógłby się bronić Juk zwykle, zwinąć się w sobie i nie zwracać uwagi. Zesztywniał już od trwania bez ruchu po swojej stronie materaca.

- To nie tak, jak myślisz.

- Ja nic nie myślę. Nie jestem od myślenia. Nic mi nie mówisz, niczym się nie dzielisz, więc nic nie myślę. Jestem osobą zbędną. Dajmy spokój.

A jeżeli z jakiejś okropnej przyczyny to tutaj *nie jest* Val, to gdzie ona jest w takim razie - zgubiona, przekształcona, uśpiona - i co on może, co powinien zrobić? W jaki sposób odpowiada za tę zaginioną Val?

Spotkanie Maud i Beatrice rozpoczęło się dość niefortunnie, częściowo dlatego, że całkowicie różniły się fizycznie - Beatrice jak bezkształtna biała włóczka, Maud w stanie gotowości, spiczasta i ostra. Maud skon-

struowała coś w rodzaju kwestionariusza o wiktoriańskich żonach, podzieliła go na tematy i teraz z wolna zbliżała się do pytania, które ją ciekawiło, o przyczyny pisarstwa Ellen.

- Gorąco pragnęłabym wiedzieć, czy żony tak zwanych wielkich ludzi...

- Moim zdaniem, on *był* wielkim człowiekiem.

- Tak. Czy ich żonom odpowiadał spoczynek w cieniu chwały mężów, czy też czuły, że w sprzyjających warunkach mogłyby same coś osiągnąć? Tak wiele z nich prowadziło dzienniki; pisały, często potajemnie, dzieła bardzo wysokiej próby. Spójrzmy na świetną prozę Dorothy Wordsworth - gdyby przypuszczała, że może być pisarką - a nie tylko siostrą - czegoż by dokonała! Otóż, chcę zapytać - dlaczego Ellen Ash prowadziła dziennik? Żeby sprawić przyjemność mężowi?

- Och, nie.

- Pokazała mu go?

- Nie, nie sędzę. Nigdzie o tym nie pisze.

- Myśli pani, że chciała go opublikować w jakiejś formie?

- To trudniejsze pytanie. Sędzę, że brała pod uwagę, iż ktoś może go przeczytać. Jest w nim kilka ostrych uwag na temat obyczajów ówczesnych biografów - grzebanie w biurku Dickensa, zanim go porządnie pochowano i tak dalej - typowe wiktoriańskie komentarze. Wiedziała, że jej mąż jest wielkim poetą i że przyjdą - te ścierwojady - prędzej czy później i przeczytają dziennik, jeśli go nie spali. Ale go nie spaliła. Spaliła za to wiele listów, wie pani. Mortimer Cropper sędzi, że zrobiły to jej siostry, Patience i Faith, ale ja myślę, że to Ellen. Niektóre pochowano wraz z nią.

- Jak pani sędzi, dr Nest, po co pisała dziennik? Żeby mieć z kim porozmawiać? Jako rachunek sumienia? Z poczucia obowiązku? Dlaczego?

- Mam pewną teorię, trochę dalekosiężną...

- Jaka to teoria?

- Sędzę, że pisała, aby zwodzić. Tak. Zwodzić. Popatrzyły na siebie.

- Zwodzić kogo? Jego biografów?

- Po prostu zwodzić.

Maud czekała. W końcu Beatrice bezradnie opisała swoje autentyczne przeżycie:

- Z początku, kiedy się tym zajęłam, pomyślałam, co za miła, nudna kobieta. Ale potem poczułam, że za tą solidną prozą - jakby za parawanem - coś migoce i przemyka. A potem znów przyszło mi na myśl, że dałam się nabrać - że tylko wyobrażam sobie to migotanie i przemykanie - że jej pisanie naprawdę jest nudne i solidne. Zdawało mi się, że sobie to wymyśliłam... że ona od czasu do czasu umiałaby powiedzieć coś ciekawego - jak by to ująć - intrygującego - ale że za nic tego nie zrobi. Może to rzeczywiście choroba zawodowa redaktora nudnego dziennika? Złudzenie, że autor celowo nas zwodzi?

Maud, stropiona, spojrzała na Beatrice i pod jakże miękką, nakrapianą wełną jej wałkowatej fasady dostrzegła zarys mocnego rusztowania. Wełna była przeważnie błękitna i ogromnie bezbronna. Beatrice zniżyła głos.

- Pewnie pani myśli, że niewielkie mam wyniki po tylu latach pracy nad tymi papierami. Po dwudziestu pięciu latach, żeby być dokładną, które to lata mijają z coraz większą prędkością. Jestem nader świadoma tej...

tej powolności - i rosnącego zainteresowania takich uczonych jak pani - osób, mających koncepcje na temat Ellen Ash i jej pracy. Miałam sporo sympatii dla niej jako pomocnicy - ale, prawdę mówiąc, dr Bailey, podziwiałam tylko jego, Randolpha Asha. *Oni* mówili, że lepiej zająć się tym, co się - by tak rzec - narzuca i bardziej odpowiada mojej... mojej płci, moim zdolnościom, jak wtedy je postrzegano. Rasowa feministka w tamtych czasach, dr Bailey, uparłaby się, aby pozwolono jej pracować nad cyklem „Ask do Embli”.

- Aby pozwolono?

- Och. Oczywiście. Tak. Aby pracować nad cyklem „Ask do Embli”.

Zawahała się:

- Nie sędzę, żeby umiała pani sobie wyobrazić, jak wtedy było. Byłyśmy zależne, zewsząd nas wykluczano. Gdy zaczynałam pracę wręcz do końca lat sześćdziesiątych - kobiety nie miały wstępu do głównego Klubu dla Pracowników w Prince Albert College. Miałyśmy swój własny klubik, mały i ładniutki. A o wszystkim - o wszystkim, co ważne decydowano w pubie, gdzie nas nie zapraszano i gdzie nie chcieliśmy chodzić. Nie znoszę dymu i zapachu piwa, ale nie powinnam z tego powodu być odsuwana od decyzji dotyczących spraw wydziału. A my byłyśmy wdzięczne, że nas w ogóle zatrudniają. Sądziłyśmy, że to źle być młodą i - w pewnych przypadkach, nie moim - atrakcyjną, ale w miarę, jakieś się starzały, robiło się jeszcze gorzej. Głęboko wierzę, że w takich razach człowiek w pewnym wieku staje się czarownicą - po prostu z racji lat, tak zawsze bywało - a na czarownice się *poluje*... Pomyśli pani, że zwariowałam. Próbuję usprawiedliwić dwudziesto-pięcioletnie opóźnienie względami osobistymi... *pani* już dwadzieścia lat temu skończyłaby redakcję. Prawda jest również taka, że nie byłam pewna, czy to słuszne. Czy jej spodobałoby się to, co robię.

Maud poczuła ciepłą falę wspólnoty, nieoczekiwaną i potężną.

- Nie może pani zrezygnować? Zająć się swoją pracą?

- Czuję się odpowiedzialna. Wobec siebie, po tych wszystkich latach. Wobec *niej*.

- Mogłabym zobaczyć dziennik? Ciekawi mnie zwłaszcza rok 1859. Czytałam jego listy do niej. Te z Yorkshire. Czy dotarła na wykład Huxleya?

Czy to nie było zbyt oczywiste? Najwyraźniej nie. Beatrice podniosła się powoli i wydobywszy tom z szarej, stalowej szafki, przez chwilę tuliła go do siebie obronnym gestem.

- Przyszła tu niejaka profesor Stern, z Tallahassee. Chciała się *dowiedzieć* - *dowiedzieć*, jak wyglądało życie seksualne Ellen Ash - z nim - z kimkolwiek. Powiedziałam, że w tych dziennikach nie ma nic takiego. Odparła, że musi być - w metaforach - w tym, co zostało pominięte. Nas, dr Bailey, nie uczono prowadzić badań drogą studiowania tego, czego nie ma. Zapewne uzna mnie pani za naiwną.

- Nie. Czasem myślę, że to Leonora Stern jest naiwna. Nie, to niewłaściwe słowo. Jednostronna i zapamiętała. Ale mogła mieć rację. Być może tym, co pani wydaje się zwodnicze, jest właśnie owo systematyczne pomijanie...

Beatrice zamyśliła się.

- Tyle mogę przyznać. Coś pominięto. Ale nie widzę, dlaczego musimy zakładać, że to są - te rzeczy.

Ten uporczywy, lekko zaróżowiony opór poruszył kolejną strunę empatii u Maud, która przysunęła krzesło i spojrzała z bliska w zmiętą, znużoną twarz. Pomyślała o drapieźności Leonory, o rozbawionym ze-

psuciu Fergususa, o całym tonie i nastawieniu dwudziestowiecznej nauki o literaturze, o łóżku podobnym do zbrudzonego białka jaja.

- Zgadzam się, dr Nest. Naprawdę się zgadzam. Wszystkie nasze badania - cała myśl współczesna - kwestionują wszystko, oprócz centralnej pozycji seksualności. Niestety, feminizm nie może uniknąć traktowania tych spraw w sposób uprzywilejowany. Czasem żałuję, że nie zajęłam się geologią.

Beatrice Nest uśmiechnęła się i podała jej zeszyt.

DZIENNIK ELLEN ASH

4 czerwca 1859

Bez mego drogiego Randolpha w ciszy domu rozlega się jedynie echo. Mam głowę pełną projektów wygodnych ulepszeń, które chcę przeprowadzić pod jego nieobecność. Zasłony w gabinecie i w garderobie trzeba zdjąć i porządnie wytrzeć na sznurze. Waham się, czy mądrze będzie je uprać; zasłony z salonu poddane takiej próbie nigdy już nie wróciły do poprzedniego stanu, ani pod względem połysku, ani układu fałd. Zagonię Berthę, by je starannie wytrzeć i wyszczotkowała, zobaczymy, z jakim skutkiem. Bertha ostatnio zrobiła się ospała - wolno przychodzi na wezwanie i zostawia robotę nieskończoną (na przykład na obwódkach srebrnych lichtarzy zostały ślady śniadzi, brakuje guzików przy koszuli nocnej R.). Zastanawiam się, czy dobrze się czuje. Po całej niepewności i zniszczeniach - a także gwałtownej destrukcji - które znosiłam z rąk jej poprzedniczek,

Wlałam nadzieję, że Bertha pozostanie ową na poły niewidzialną, pracowitą, nieco ptasią osobą, jaką z takim powodzeniem była na początku. Jest nieszczęśliwa czy chora? Obawiam się obu tych rzeczy, nie chcę nawet o nich myśleć. Jutro zapytam ją wprost. Byłaby zdumiona, gdyby wiedziała, jak rozmaitych rodzajów odwagi (zakłóć bowiem jej nieskrępowane poczynania, jak również swoje własne) wymaga to ode mnie. Brak mi siły charakteru mojej drogiej matki; brak mi wielu zdolności, w które natura tak hojnie ją wyposażała.

Jednak gdy mój drogi wyjeżdża, nade wszystko brak mi tych wieczornych godzin, kiedy cicho czytamy sobie na głos. Zastanawiałam się, czy podjąć studia nad Petrarcką od miejsca, w którym przerwał lekturę, i postanowiłam tego nie robić - wielki Włoch zbyt wiele traci, gdy brak pięknego głosu, ożywiającego owe starodawne namiętności. Przeczytałam parę rozdziałów Lyella „Podstaw geologii” i dzielam entuzjazm R. dla tych badań; jestem w równym stopniu oczarowana intelektualną powagą wizji Lyella, co zmrożona jego koncepcją bezludnych eonów, kiedy to tworzyła się skorupa ziemska - będąca, jeśli można Mu wierzyć, nieustannie w procesie stwarzania. A gdzie skryje się to, co glinę naszą ukochało*? - jak pięknie pyta Poeta. Wszelako - inaczej niż wielbny dr Baulk - nie mam wrażenia, by nowe pojmowanie pradawnego stanu rzeczy w zasadniczy sposób uderzało w podstawy naszej wiary. Być może brak mi wyobraźni lub zbyt ufam instynktowi czy intuicji. Jeżeli opowieść o Potopie Noego okaże się ładnym wymysłem poetyckim, czy przez to ja, żona wielkiego poety, przestanę zwracać uwagę na jej przesłanie, głoszące powszechną karę za grzechy? Co innego, gdybyśmy mieli uznać za wymysł przykładowe Życie i radośnie tajemniczą Śmierć największego i prawdziwie najlepszego z Ludzi - o, to byłaby groźba nie lada...

A jednak... żyć w czasach, w których powstał *klimat* dla takich pytań... mimo wszystko Herbert Baulk ma powody do niepokoju. Powiada mi, że nie powinnam trudzić swego intelektu kwestiami, które moja intuicja (określa ją jako kobiecą, dziewiczą, czystą, itp.) rozpoznaje jako daremne. Powiada, że ja *wiem*, iż Odkupiciel

żyje, po czym skwapliwie czeka na potwierdzenie, jakby dzięki temu sam również czuł się silniejszy. A zatem potwierdzam, potwierdzam, *wiem* - w rzeczy samej, mój Odkupiciel żyje. Lecz byłabym ogromnie wdzięczna, gdyby Herbert Baulk godnie rozstrzygnął swoje intelektualne wątpliwości i aby nasze modlitwy wypełniły się ufną adoracją oraz szczerą wiarą w czujną Opatrzność, a nie pozostawały mroczne i zagadkowe, jak obecnie.

Jak na mnie, późno piszę te słowa. Nie pracowałabym tak długo, gdyby nie to, że jestem - nie licząc służby - sama w domu. Zamknę teraz zeszyt i pójdę do łóżka, by nabrać sił przed walką z zasłonami i przesłuchaniem Berthy.

* Aluzja do cyklu od „The Unknown Eros” C.K.D. Patmore'a (przyp. tłum.).

6 czerwca

Ranek przyniósł list od Patience, która błaga, bym pozwoliła jej stadku zatrzymać się u nas w drodze nad morze do Etretat. Muszę ją przyjąć - i w rzeczy samej, będę nader zadowolona, mogąc wymienić opinie i wieści o wielu drogich osobach, niestety dalekich. Lecz nie jest to dobra chwila na wizytę; połowa mebli wyniesiona, całkowity inwentarz i mycie porcelany rozpoczęte, wiele foteli w pokrowcach, inne zaś w reperacji pod igłą pożytecznego pana Beale. Między poręczą i siedzeniem fotela z gabinetu Randolpha (tego z zielonej skóry) odkrył on dwie gwinee, zgubiony rachunek za świece - przyczynę okropnej kłótni - oraz wycieraczkę do pióra, sprezentowaną przez panie z kościoła św. Swithina (skąd przyszło im do głów, że ktoś zdobyłby się na to, by zabrudzić atramentem tak piękną robótkę, to przekracza moje pojmowanie). Opuściliśmy żyrandol i wszystkie kryształki są myte i polerowane. I teraz, w cały ten nieład - mniej więcej kontrolowany - mają wtargnąć Enid, George, Arthur i Dora, których przesadna ostrożność będzie dla kryształowych łez równie niebezpieczna jak psoty i zabawy. A jednak, oczywiście, muszą przyjechać. Tak im napisałam. Czy mam zawiesić żyrandol, czy go odesłać? Jem w swoim gabinecie obiad złożony z rosółu i kromki chleba.

7 czerwca

List od Randolpha. Dobrze się czuje i z pożytkiem kontynuuje swoje studia. Po jego powrocie będziemy mieli wiele do omówienia. Bolało mnie gardło i zaczęłam gwałtownie kichać - może to wskutek kłębów kurzu, wznieconego przez nasze próby sprzątanania - więc spędziłam popołudnie u siebie na kanapie, gdzie trochę drzemałam, niezbyt dobrze. Jutro muszę się otrząsnąć na przyjęcie Patience. Bertha posłała dzieciom w starym pokoju dziecinnym; nie zapytałam, co jej dolega, lecz jest jeszcze bardziej markotna i letargiczna niż tydzień temu.

9 czerwca

Jak dobrze się składa, że pan domu jest nieobecny, gdyż przez ostatnią dobę panowało tu istne Pandemonium. George i Arthur to krzepkie chłopaki, za co winniśmy zawsze dziękować Bogu, drogie dziewczynki zaś - w stanie spoczynku - wyglądają słodko ze swymi miękkimi, bladymi buziami i wielkimi, niezmaconymi oczami. Patience mówi do nich „moje aniołki” - którymi są niewątpliwie, ale miasto Pandemonium zamieszkiwały jednak upadłe anioły, a cała czwórka mych ukochanych siostrzeńców ma wielką skłonność do przewracania się w najniezwyklejszych miejscach, przy czym ściąga obrusy, zrzuca bukiety oraz, w przypadku George'a, wpada - właśnie tak, jak się obawiałam - na chińską wazę pełną kryształków z żyrandola, które zagrzechotały przy zderzeniu niczym kamyki pod wodą. Niania Patience nie jest zwolenniczką dyscypliny, przeciwnie, prze-

jawia cudowną wytrwałość w pieczętach i całusach. Patience uśmiecha się dobrotliwie i powiada, że Grace, jako żywo, prawdziwie kocha te dzieciątka - co z pewnością jest prawdą.

Powiedziałam Patience, że wygląda kwitnąco - nie całkiem to prawda, lecz mam nadzieję, że Bóg wybaczy mi niewinne kłamstewko. Byłam trochę poruszona zmianami, jakie w niej zaszły - włosy straciły połysk, miła, zmęczona twarzyczka poorana jest zmarszczkami, figura utraciła zręczność, która niegdyś tak ją cieszyła. Często powtarza, że jest zdrowa i szczęśliwa, ale narzeka również na zadyszkę, bóle w krzyżu, nieustanne bóle zębów i głowy oraz inne zdradliwe dolegliwości, które trwają - a wręcz, jak powiada, się nasiliły - od jej ostatniego porożenia. Mówi, że zważywszy sytuację, Barnabas to najtroskliwszy z mężów. Pisma teologiczne pochłaniają go całkowicie - w sprawach wiary nie jest to bynajmniej Herbert Baulk! - i według Patience, spodziewa się wkrótce zostać Dziekanem parafii.

10 czerwca

Miałyśmy z Patience wiele czasu na intymną rozmowę przy obiedzie, a także później, gdyż stadko cherubinów poleciało do Regent Park zaczerpnąć powietrza. Odbyłyśmy kwaśno-słodką pogawędkę, wspominając dawne czasy w dziekanacie Katedry, kiedy biegałyśmy po sadzie i marzyłyśmy, by kiedyś zostać kobietami. Rozmawiałyśmy po dziewczynsku o starych wachlarzach i pończochach, o bólu, jaki podczas długich kazań sprawiały nam za ciasne kapturki, i o przejściach biednej Mamy, która urodziła piętnascioro dzieci, a przeżyłyśmy tylko my, cztery dziewczynki.

Patience ze swą zwykłą bystrością natychmiast zauważyła, że Bercie coś dolega, i dość trafnie odgadła, co to takiego. Powiedziałam, że mam zamiar z nią porozmawiać i czekam tylko na sprzyjającą chwilę. Patience zauważyła, że jeśli będę czekać zbyt długo, zrobię krzywdę zarówno Bercie, jak i wszystkim domownikom. Jest silnie przekonana, że przebywanie w obecności grzechu jest szkodliwe. Powiedziałam, że nakłania się nas, byśmy kochali grzesznika, na co odparła, że nie obejmuje to przecież zamieszkiwania pod jednym dachem z kimś, kto stanowi wyraźny dowód na bezkarność grzechu. Wspomniłyśmy hart, jaki Mama przejawiała w takich sytuacjach, poczytując za swój obowiązek osobiste wymierzanie chłosty zbłąkanym młodym kobietom. Pamiętam zwłaszcza jedną z nich, biedną Thyrzę Collitt, która z krzykiem biegła przez pokoje, podczas gdy Mama goniła za nią z podniesioną ręką. Nigdy nie zapomnę tego krzyku. Nigdy nie uderzę żadnej swojej służącej i Patience też nie, bez względu na to, co mówi, choć ona twierdzi, że zdaniem Barnabasa, w pewnych przypadkach, rozważnie wybranych, jest to zabieg uzdrawiający. Nie uwierzę, by mój najdroższy Randolph kiedykolwiek rozważał podniesienie ręki - lub czegokolwiek innego - na jakąś młodą osobę przez nas zatrudnioną. Muszę poprosić Berthę, by odeszła, zanim on powróci; to mój obowiązek.

12 czerwca

Mój drogi mąż pisze szczegółowo; czuje się dobrze i jego badania idą świetnie Opis moich pełnych pracy dni zamieściłam w długim liście do niego, który już wysłałam, i teraz nie mam czasu ani ochoty, by notować coś więcej niż drobiazgi, którymi nie wypada go niepokoić. W dwóch kryształowych łożkach są skazy - w dużej, ze środkowego zwieńczenia, i w mniej istotnej, z obrzeża. Cóż mam zrobić? Jestem przekonana - nie, to niesprawiedliwe - mam powody przypuszczać, że pękły, gdy George i Arthur przypadkowo kopnęli wanienkę, w której myto kryształki. Nie doniosłam najdroższemu R. o tych kłopotach; chcę, by zaskoczył go dom jasny i lśniący świeżością. Mogłabym próbować wymienić uszkodzone łożki, jestem jednak pewna, że nie zrobiono by

ich na czas, a co więcej, byłoby to kosztowne. Niechętnie myślę o tym, że zawisną w widocznym miejscu, pęknięte i wyszczerbione.

Rozmawiałam z Berthą. Jest tak, jak myślałam - jak mówiła Patience. Nie potrafiłam jej zmusić, by powiedziała, kto jest odpowiedzialny; raz po raz wybuchając płaczem, usilnie zapewniała, że nie zechciałby się nią zająć, poślubiając ją albo w jakiś inny sposób. Nie przejawiała skruchy, ale też nie buntowała się, tylko wciąż pytała „Co ja mam zrobić?“, na co nie mam zadowalającej odpowiedzi. Powiedziała coś dziwnego: „To wszystko trwa i trwa, cokolwiek bym zrobiła”. Uznałam, że muszę napisać do jej matki, lecz błagała mnie, bym się powstrzymała: „Pękłoby jej serce i na zawsze obróciłaby się przeciwko mnie”. Cóż ona pocnie? Gdzie znajdzie dom? Co w imię chrześcijańskiego miłosierdzia mogę dla niej zrobić? Nie chcę zakłócać spokoju Randolpha takimi sprawami, lecz nie jest w mej mocy pomóc Bercie bez jego zgody. Pozostaje również okropny problem znalezienia dla niej zastępstwa, jak również wszystkie obawy przed pijaństwem, złodziejstwem, szkodami i zepsuciem moralnym, które się z tym wiążą. Niektóre znajome damy szukają z dala od domu, na głębokiej wsi - londyńska przebiegłość to coś, co trudno mi znośić i kielznać jak powinienam.

Patience powiada, że niewykształcone klasy służebne są z natury niewdzięczne. W chwilach takich jak ta - gdy trzeba stawić im czoło, osądzić i poznać - zawsze się dziwię, że nie czują raczej nienawiści. Niektórzy z nich nienawidzą nas tego jestem pewna. Poza tym nie rozumiem, w jaki sposób prawdziwy chrześcijanin może postrzegać podział na panów i sługi jako „naturalny” - *On* przecież przyszedł do maluczkich, a nawet przede wszystkim do nich - do ubogich, czy to duchem, czy w dobra doczesne.

Gdyby Randolph był tutaj, mogłabym to z nim omówić. Może więc to lepiej że go nie ma - ta sprawa należy do sfery moich wpływów i odpowiedzialności.

czerwiec

Wśród uśmiechów i trzepotania chusteczek Patience i jej dziatwa wyruszył dziś rano do Dover. Mam nadzieję, że mieli spokojną przeprawę; mam nadzieję że w pełni wykorzystają przyjemności pobytu nad morzem. Kiedy wyjeżdżali, przyszedł kolejny list od Randolpha, pełen powietrza, morskiej bryzy i innych rozkosznie swobodnych żywiołów. Londyn jest ołowiany, ciężki i gorący - chyba doczekamy się burzy. W sprawie Berthy postanowiłam zasięgnąć rady Herberta Baulka. Czując nadchodzącą migrenę, lekko pobudzona przywróconą nagle ciszą i pustką mego domu, zamknęłam się w pokoju i spałam przez dwie godziny, po czym obudziłam się odświeżona, mimo szczątkowego bólu głowy.

czerwiec

Przyszedł Herbert Baulk i został na herbacie. Zaproponowałam partię szachów, sądząc, że odwiędę go w ten sposób od zbyt gwałtownego wyrażania poglądów i wątpliwości, a także dlatego, że bawią mnie te małe wojny. Z przyjemnością oznajmił mi, że jak na damę gram bardzo dobrze - ja zaś rada na tym poprzestałam, gdyż udało mi się ładnie wygrać.

Zapytałam go o Berthę. Powiedział mi, że jest pewien zakład, który zapewnia kobietom w takim położeniu bardzo godziwy połóg i, jeśli to możliwe, wyszukuje im później pożyteczne zajęcia. Obiecał, że zapyta, czy ją przyjmą ja zaś miałam dość śmiałości, by zadeklarować - w imieniu drogiego Randolpha - że będziemy

łożyć na jej utrzymanie do porodu, jeśli to pomoże w załatwieniu dla niej miejsca. Mówiono mu, że dzięki wysiłkom samych pensjonariuszek sypialnie utrzymywane są w nienaganej czystości, a jedzenie, również przyrządzane przez te kobiety, jest proste, lecz pożywne.

czerwiec

Źle spałam i chyba dlatego miałam dziwny, poszarpany sen, w którym grałam w szachy z Herbertem Baulkiem, który orzekł, że moja Królowa może poruszać się tylko o jedno pole, tak jak jego Król. Wiedziałam, że spotyka mnie niesprawiedliwość, lecz w sennym szaleństwie nie uświadamiałam sobie, że ma ona związek z obecnością mojego Króla, który bezwolnie siedział, wielki i czerwony, na ostatniej linii. Widziałam ruchy, które Ona powinna była wykonywać, jak skomplikowany wzór robótki lub koronki - niestety, mogła jedynie przesuwając się niezdarnie tam i z powrotem o jedno pole. Pan Baulk (cały czas we śnie) powiedział spokojnie: „Widzisz, mówiłem ci, że nie możesz wygrać”, a ja dostrzegałam, że to prawda, ale wciąż byłam bardzo zdenerwowana i nade wszystko pragnęłam chodzić moją Królową po wszystkich diagonalach. To dziwne, swoją drogą że w szachach istota płci żeńskiej może swobodnie biegać na duże odległości i we wszystkich kierunkach - w życiu jest wręcz przeciwnie.

Pan Baulk znów przyszedł po południu. Barwnie i szczegółowo mówił o nikczemnych próbach przypisywania cudom Nowego Testamentu szalbierskich motywów, zwłaszcza w przypadku zmartwychwstania Łazarza. Powiedział, że sprawa zakładu dla Berthy wygląda obiecująco. Nie mówiłam jej o tym, by nie robiła sobie nadziei, które jeszcze mogą prysnąć. Chodzi koło swych zajęć powolna i otepiała z opuchniętą twarzą.

czerwiec

Niespodzianka! Przyszła mała paczuszka, a w niej podarek od mego ukochanego Randolpha oraz jego wiersz - i wszystko to dla mnie! Był w Whitby, miasteczku rybackim, gdzie, jak pisze, miejscowa ludność uczyniła wyrafinowaną sztukę z rzeźbienia w gagacie, który znajdują na plaży i następnie przerabiają na pożyteczne dżetowe guziczki oraz przedmioty dekoracyjne i biżuterię. Przesyła mi prześliczną broszkę, rzeźbiony wianuszek Róż z Yorkshire*, z listowiem i splecionymi ciernistymi gałązkami, artystycznie wykonany i cudownie prawdziwy. Jest czarniejszy niż sadza, a jednak, w którąkolwiek stronę go obrócić, iskrzy się, jakąś własną, gniewną energią. Jedną z cech gagatu jest to, że potarty, przyciąga lekkie przedmioty, jak w magnetyzmie zwierzęcym. To odmiana lignitu, pisze R., wyraźnie nim zachwycony, kamień organiczny, podobny do węgla. Mam gagatowe koraliki i oczywiście wielokrotnie je widziałam, ale nic nie może się równać z tą broszką pod względem głębi czerni i połysku.

Przepisuję tutaj jego wiersz, gdyż wart jest dla mnie więcej nawet niż ów cudowny podarunek. Mimo wszystko... Nasze wspólne życie było tak szczęśliwe, że rozłąka wręcz przyczynia się do pogłębienia ufności i wzajemnego uczucia.

Kocham paradoks, zatem Ci posyłam Rzeźbione w węglu róże Yorków białe. Ich ciepła kruchość tu się zestaliła W życie na wieki, jak śmierć doskonałe.

Jak czarne bryły dawno zmarłych lasów Blaskiem pierwotnym nasze domy grzeją, Tak miłość Twoja przetrwa burze czasu I załśni w sercach nam, gdy posiwieją.

czerwiec

Niedobry dzień. Powiedziałam Bercie, że musi odejść i że jeśli się zgodzi. Herbert Baulk załatwi jej przyjęcie do Magdalen Home. Nie odpowiedziała ani słowem, lecz gapiła się na mnie bez końca, ciężko dysząc, z policzkami koloru śliwki, jakby nie mogła pojąć, co do niej mówię. Powtórzyłam, że pan Baulk okazał wielką dobroć i że ma ona dużo szczęścia, ale słyszałam jedynie ten dziki, zdyszany oddech, który zdawał się wypełniać mój mały salonik. Odprawiłam ją w końcu ze słowami, że oczekuję odpowiedzi, kiedy przemyśli sobie tę propozycję; powinnam była dodać, że spodziewam się, iż odejdzie pod koniec przyszłego tygodnia, ale jakoś nie mogłam. Co się z nią stanie?

* Aluzja do białej róży, godła rodu York, który w latach 1455-1485 walczył w tzw. Wojnie Dwóch Róż z rodem Lancaster (w godle róża czerwona) o następstwo tronu dynastii Plantagenetów (przyp. tłum.).

Poczta przyniosła całą stertę listów z rodzaju tych, jakich odbiorcami stajemy się coraz częściej - zawierających wiersze lub ich fragmenty, zasuszone kwiaty do „Jego” egzemplarza Biblii lub Szekspira, prośby o autografy, zalecenia (impertynenckie) względem lektur oraz pokorne - a czasem ponaglące - prośby o przeczytanie Eposów, traktatów, a nawet powieści, które, zdaniem ich autorów, mogłyby go zainteresować lub zyskać jego rekomendację. Odpowiadam na nie dość uprzejmie, życząc wszystkim powodzenia i tłumacząc, że On jest zajęty - co jest całkowitą prawdą. Jakże mogą oczekiwać, że będzie ich nadal „zaskakiwał i zachwycał” swymi „zawiłymi ideami”, jak powiada jeden z nich, skoro nie dają mu chwili czasu na lekturę i rozwijanie misternych przemyśleń? Wśród tych listów był jeden, żądający osobistej ze mną rozmowy w sprawie, jak twierdziła pisząca, wielkiej wagi dla mnie samej. To również nic niezwykłego - wiele kobiet, zwłaszcza młodych, zwraca się do mnie, aby zbliżyć się do mego drogiego Randolpha. Odpowiedziałam grzecznie, że nie zgadzam się na rozmowy z nieznanymi, prosi o nie bowiem zbyt wiele osób, lecz jeżeli autorka ma coś szczególnego do zakomunikowania, proponuję, by po prostu napisała do mnie, dając mi znać, o co chodzi. Zobaczymy, czy przyniesie to jakiś rezultat, czy żadnego zgoła - czy będzie to coś do rzeczy, czy, jak podejrzewam, tylko bredzenie wariatki.

czerwiec

Gorszy dzień. Miałam napad migreny i cały dzień leżałam w zaciemnionym pokoju, pomiędzy jawą i snem. Istnieje wiele doznań cielesnych, nieopisywalnych, aczkolwiek natychmiast rozpoznawalnych - jak zapach świeżego chleba lub pasty do metalu - których nie sposób przekazać komuś, kto nigdy ich nie doświadczył. Tak właśnie początkowy zawrót głowy i słabość zwiastują nadchodzący ból głowy. Dziwna rzecz, ale gdy się już jest w tym stanie, niepodobna wyobrazić sobie, że się z niego wyjdzie, zatem Cierpliwość niezbędna, by go przetrwać, to cierpliwość totalna i wieczna. Pod wieczór ból nieco zelżał.

Kolejny list od owej tajemniczej i niecierplivej damy. Pisze, że to sprawa życia i śmierci. Jest wykształcona i trochę historyczna, lecz bynajmniej nie szalona. Odłożyłam list, zbyt będąc przygnębioną, by coś postanowić. Migrena przenosi człowieka w osobliwie martwy świat zmierzchu, gdzie życie i śmierć nie znaczą wiele.

czerwiec

Coraz gorzej. Przyszedł dr Pimlott i zapisał laudanum, które przyniosło mi niejaką ulgę. Po południu rozległo się walenie do drzwi i oszołomiona Bertha wpuściła cudaczną damę, która domagała się widzenia ze mną. Akurat wstałam na chwilę i piłam bulion. Powiedziałam jej, żeby przyszła ponownie, kiedy dojdę do siebie, ona zaś przyjęła odroczenie z nerwową zwawością. Zażyłam jeszcze laudanum i wróciłam do swego pokoju. Żaden pisarz nie pisał dość dobrze o Błogości snu. Coleridge pisze o sennych bólach, Makbet mówi o śnie utraconym - lecz nie o tym jak błogo rozluźnić swą więź ze światem i w nieruchomym ciepłe przejść do innego. Otulona zasłonami, zamknięta w ciepłe koców, zda się nieważka.

czerwiec

W połowie dzień zły, w połowie, jak się czasem zdarza, dobry i jasny, można rzec - odnowiony. Czyszczenie mebli szło sprawnie podczas mej sennej nieobecności i wszystko - fotele, blaty stołów, lampy, parawany - również wydaje się odnowione,

Mój natarczywy gość znów przyszedł i rozmawialiśmy przez jakiś czas, Ta sprawa, mam nadzieję, już się zakończyła i jest całkowicie wyjaśniona.

czerwiec

Poeta nie jest stworzeniem boskim o anielskim wejrzeniu. Randolph zawsze zaprzeczał takiemu opisowi. Lubi posługiwać się zwrotem Williama Wordswortha „człowiek mówiący do ludzi”; śmiem nawet twierdzić, że lepiej zna różnorodne wybryki natury ludzkiej, niż mógł znać je Wordsworth, który zazwyczaj wyglądał na zagłębionego w sobie.

Przyszedł Herbert Baulk i z wielką dobrocią mówił do Berthy, która, jak przedtem do mnie, nic nie powiedziała, stojąc jak zaczerwieniony słup.

Graliśmy w szachy. Wygrałam.

lipiec

Dziś rano okazało się, że Bertha wymknęła się w nocy, zabierając cały swój dobytek, jak również część rzeczy Jenny - ona tak twierdzi - w tym torbę gobelinową i wełniany szal. Nie wydaje się, by zginęło coś z domu, choć srebra są na wierzchu, łatwo dostępne w szufladach i szafkach. Być może wzięła szal przez pomyłkę lub Jenny się myli.

Dokąd mogła pójść? Co należy zrobić? Czy powinnam napisać do jej Matki? Takie rozwiązanie ma zalety i wady - co prawda nie chciała, by Matka dowiedziała się o jej stanie, lecz teraz mogła po prostu poszukać u niej schronienia.

Dałam Jenny jeden z moich własnych szali i jedną z naszych toreb podróżnych. Była bardzo zadowolona.

Być może Bertha uciekła do mężczyzny, który [fragment wykreślony i nieczytelny]

Czy mamy jej szukać? Nie może pójść na ulicę. Jeśli ją odnajdziemy, czy wyglądać to będzie na chęć odwetu? Nie to jest moim zamiarem.

Źle postąpiłam wobec niej. Zachowałam się niewłaściwie. Herbert Baulk nie jest człowiekiem taktownym i wiedziałam o tym, gdy zdecydowałam się na proponowane przezeń wyjście. ~~Powinnam była~~

lipiec

Kolejny zły dzień. Cały dzień przeleżałam w łóżku przy odsuniętych kotarach - ogarnął mnie zabobonny lęk przed długim przebywaniem w domu z zasłoniętymi oknami. Słońce przeświecało matowo przez kłęby oparów i mgły; wieczorem zastąpił je nieco niniejszy księżyc, zamglony w atramentowym niebie. Leżałam bez ruchu, w jednej pozycji. Znalazłam oazę bezbolesnego odrętwienia, lecz każdy ruch i obrót był udręką. Ileż to dni spędzamy, leżąc nieruchomo, czekając, aż się skończą byśmy mogli zasnąć? Leżałam w zawieszeniu, prawie jak Królowa Śnieżka w szklanej trumnie, żywa, lecz niedostępna, oddychająca, ale nieruchoma. Na zewnątrz, na dworze, ludzie znosili upał i mróz, i przepływy powietrza.

Na jego powrót, muszę być rześka i bystra. Tak trzeba.

- Umiała pisać - powiedziała Maud. - Nie od razu zobaczyłam, co pani miała na myśli, mówiąc, że ona zwodzi. A potem zrozumiałam, tak mi się wydaje. Na podstawie tej części dziennika... nie umiem wyrobić sobie jasnego zdania o tym, jaka była. I czy ją lubię. Opowiada różne rzeczy. Często ciekawe. Ale one nie składają się na cały obraz.

- To dotyczy większości z nas - powiedziała Beatrice.

- Co się stało z Berthą?

- Nigdy się nie dowiemy. Nic na ten temat nie mówi. Nawet o tym, czy jej szukała.

- To musiało być dla Berthy okropne. Ona - Ellen - jakby nie rozumiała...

- Doprawdy?

- Och, nie wiem. *Opisuje* ją bardzo dokładnie. Biedna Bertha.

- Proch i pył - powiedziała Beatrice zaskakująco. - Przeszło, poszło. Dziecko też, jeśli się urodziło.

- Jednak to denerwujące, nie wiedzieć.

- Profesor Cropper znalazł broszkę z gagatu. Tę samą. Jest w Kolekcji Stanta. Na turkusowym jedwabiu, tak powiedział. Widziałam zdjęcie.

Maud potraktowała broszkę wzgardliwie.

- Domyśla się pani, kim była histeryczna autorka listów? Czy też znikła bez śladu, tak jak Bertha?

- Nic więcej o niej nie ma. Nic.

- Czy Ellen zachowała otrzymane listy?

- Nie wszystkie. Większość. W paczkach, w pudełkach po butach. Mam je tutaj. W większości od jego wielbicieli, tak jak pisała.

- Mogłybyśmy na nie spojrzeć?

- Jeśli to panią interesuje. Przeglądałam je wszystkie, raz czy dwa. Miałam pomysł, żeby napisać o wiktoriańskich prekursorach, by tak rzec, fanklubów. Ale gdy się do nich zabrałam, wydały mi się trochę obrzydliwe.

- Naprawdę mogłabym zobaczyć?

Beatrice zwróciła nieruchome spojrzenie na bladą, ożywioną twarz Maud i coś w niej wyczytała, choć niezbyt dokładnie.

- Właściwie, czemu nie... - mruknęła, nie ruszając się z miejsca.

- Czemu nie?

Pudełko po butach wykonano z czarnej, mocnej tektury, suchej, spękanej i związanej tasiemką. Beatrice, nieustannie wzdychając, otworzyła je i oto były, w schludnych paczkach, listy, całe stopy. Wspólnie przejrzały daty, otwierając koperty; prośby o datki, oferty pomocy sekretarskiej, tyrady pełne namiętnego podziwu, pisane do Randolpha, lecz adresowane do Ellen. Beatrice sprawdziła datę i wyciągnęła list zapisany pismem nerwowym i artystycznym zarazem, trochę gotyckim. Znalazły.

Droga pani Ash.

Proszę wybaczyć, że nadużywam Pani cennego czasu i uprzejmości. Jestem osobą dobrze urodzoną i obecnie całkiem Pani nieznaną, lecz muszę przekazać Pani coś, co bardzo ściśle dotyczy nas obu, w moim zaś przypadku jest zgoła sprawą życia i śmierci. Proszę mi wierzyć, mówię tylko nagą prawdę, nic więcej.

Och, jakże mam sprawić, byś mi zaufała? Musi Pani. Czy mogę zająć Twój czas i przyjść zobaczyć się z Panią? Nie ma potrzeby, bym zabawiła długo - lecz mam coś do powiedzenia - za co być może mi podziękujesz - lub nie - ale to bez znaczenia - musisz wiedzieć...

O każdej porze można mnie znaleźć pod adresem podanym w nagłówku tego listu. Wierz mi, och, proszę mi uwierzyć, pragnę pozostać Pani przyjaciółką.

Najszczerzej oddana Blanche Glover

Maud zamknęła twarz i opuściła powieki, kryjąc błysk, który musiał wydać się drapieżny. Próbuąc zachować obojętność powiedziała:

- To chyba ten. Czy jest ich więcej? To wygląda jak drugi z tych listów, o których wspomina Ellen. Może jest tu i pierwszy?

Beatrice przerzuciła kartki.

- Nie. Nie ma. Chociaż... to chyba ten sam charakter pisma? Papier wygląda tak samo. Brak nagłówka i podpisu.

Źle zrobiłaś, zatrzymując mój Dowód. Nawet jeśli nie należał do mnie, to również nie do Ciebie. Błagam, byś rozważyła rzecz staranniej i lepiej o mnie myślała. Wiem, jaką mogłam Ci się wydać. Źle dobierałam słowa. Lecz to, co mówiłam, było prawdą i nie cierpiało zwłoki, jak sama wkrótce pojmiesz.

Maud usiadła w udręce niezdecydowania, z arkusikiem w dłoni. Jaki Dowód zatrzymała Ellen? Dowód czego? Potajemnej korespondencji? Podróży na wybrzeże Yorkshire z wędrującym, rzekomo w pojedynkę, poetą biologiem? Co Ellen czuła, co rozumiała? Czy Blanche dała jej ukradziony rękopis „Swammerdama”? W jaki sposób ona, Maud, może zrobić kopie tych dokumentów, nie budząc czujności Beatrice, a co za tym idzie, Croppera i Blackaddera? Natarczywa wola działania waliła w niej niczym młotem; właśnie formułowała przemyślnie pytanie, gdy przerwał jej wełniany głos Beatrice:

- Nie wiem, co pani knuje, dr Bailey, nawet nie wiem, czy chcę to wiedzieć. Przyszła tu pani, szukając czegoś, i znalazła to pani.

- Tak - szepnęła Maud. Poruszyła długimi dłońmi w geście nakazującym ciszę, wskazując na cienkie przepierzenia, za którymi czaił się Blackadder i Fabryka Asha.

Na uprzejmej twarzy Beatrice Nest trwał wyraz cierpliwego wyczekiwania.

- To nie jest wyłącznie moja tajemnica - syknęła Maud. - Inaczej bym nie zmyślała. Nie - nie wiem, co właściwie znalazłam. Obiecuję, że powiem pani, kiedy się dowiem. Nie wiem, co powiedziała jej Blanche Glover. To znaczy, którą z dwóch lub trzech rzeczy, których się domyślałam.

- Czy to ważne? - zapytał szary głos, nie dając żadnej wskazówki, czy owa „ważność” byłaby natury naukowej, uczuciowej czy kosmicznej.

- *Nie wiem.* Mogłoby to chyba trochę zmienić nasz pogląd na... na jego pracę.

- Czego pani chce ode mnie?

- Kserokopii tych dwóch listów. O ile to możliwe, kopii dzienników Ellen między obydwoma datami. I żeby pani nic nie mówiła profesorowi Cropperowi. Ani Blackadderowi. Na razie. Odkryliśmy to sami...

Beatrice Nest, podparłszy twarz dłońmi, wydawała się myśleć dość długo.

- Czy to, co panią tak podnieca, nie wystawi jej na śmieszność ani na... na błędną ocenę? Zaczęło mi za-
leżeć, żeby jej nie - nie narażać - tak, to chyba najlepsze słowo: nie narażać.

- W zasadzie to jej nie dotyczy.

- Niekoniecznie mnie to pociesza. - Irytująca cisza. - No cóż, pewnie pani zaufam. Pewnie tak.

Maud przeszła raźnie przez biuro nieobecnego Blackaddera, gdzie Paola sennie uniosła rękę w pożegnaniu. Jednakże w mroku na zewnątrz zamajaczył bielą znajomy sweter, zaśniły znajome, złociste włosy.

- Niespodzianka! - zawołał Fergus Wolff. - Niespodzianka, co? Maud wyprostowała się z godnością i spróbowała go ominąć.

- Zaczekaj chwilę.

- Spieszę się.

- Do czego? Do labiryntowych zwojów „Meluzyny”? Czy na spotkanie z Rolandem Mitchellem?

- Ani jedno, ani drugie.

- To zostań.

- Nie mogę.

Zrobiła krok. Zagroził jej drogę. Zrobiła krok w drugą stronę. Fergus Wolff już tam był. Wyciągnął silną dłoń i zacisnął ją niby kajdanki na jej przegubie. Zobaczyła ubite białko łożka.

- Maud, nie bądź taka. Chcę z tobą porozmawiać. Okropnie cierpię, męczy mnie zarówno ciekawość, jak i zazdrość. Nie mogę uwierzyć, że zadajesz się z naszym słodkim, bezużytecznym Rolandem i nie rozumiem, co robisz, nawiedzając tutejsze Krematorium.

- Krematorium?

- Fabrykę Asha. - Mówiąc to, ciągnął ją za rękę, a jej ciało i teczka pochylały się ku jego ciału, które zaczęło wydzielać pamiętne, elektryzujące iskierki. - Muszę z tobą pomówić, Maud. Pozwól, że cię zaproszę na porządny obiad. Jesteś najinteligentniejszą kobietą, jaką znam. I okropnie za tobą tęsknię, wiesz, powinienem był od razu to powiedzieć.

- Nie mogę. Jestem zajęta. Fergus, puść.

- Przynajmniej powiedz mi, co się dzieje, no, proszę. Jeśli mi powiesz, będę przeraźliwie dyskretny.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Maud, jeśli mi nie powiesz, sam się dowiem i to, czego się dowiem, będę uważał za swoją własność.

- Puść moją rękę.

Za nimi wyrosła pozbawiona uśmiechu twarz dużej, czarnoskórej kobiety w mundurze.

- Proszę czytać obwieszczenia. W przejściach między książkami całą dobę obowiązuje cisza.

Maud wyszarpnęła dłoń i odeszła dużymi krokami.

- Ostrzegalem cie! - zawołał za nią Fergus; widać było jeszcze, jak wchodzi do Fabryki Asha, za nim zaś podąża czarna strażniczka, pobrząkując pękami kluczy.

Dwa dni później Roland i Maud spotkali się w wegetariańskiej restauracji Oodles, położonej na końcu Museum Street. Maud przyniosła plik odbitek ksero, które dała jej Beatrice. Próbując dodzwonić się do Rolanda, aby się z nim umówić, przeżyła kolejne denerwujące doświadczenie, ponadto zaniepokoił ją entuzjastyczny list od Leonory Stern, która dostała od Fundacji Tarranta grant na przyjazd do Anglii i pisała radośnie: „...w przyszłym semestrze będę już z Tobą”.

Stanęli w kolejce, aby kupić letnią, szpinakową lasagnę z kuchenki mikrofalowej, po czym schronili się w podziemnej części restauracji w nadziei uniknięcia wzroku ciekawskich. Roland przeczytał dziennik Ellen i listy Blanche. Wpatrzona w niego Maud zapytała:

- No, i co myślisz?

- Myślę, że na pewno wiadomo tylko tyle, że Blanche powiedziała coś Ellen. Może pokazała jej listy, które ukradła? Chciałbym myśleć, że Blanche tak postąpiła, bo Christabel pojechała z Ashem do Yorkshire. Pasuje cudownie, ale to jeszcze nie dowód.

- Nie mam pojęcia, jak moglibyśmy udowodnić coś takiego.

- Miałem kilka szalonych pomysłów. Myślałem, że mógłbym przejrzeć ich wiersze - jej i jego - z tego okresu i zobaczyć, co tam odkrywę. Myślałem, że gdybym powędrował śladami Asha do Yorkshire - z wierszami w rękę, biorąc pod uwagę, że ona mogła tam być - to coś by dało. Już znaleźliśmy jeden związek, którego nie wymyśliłby nikt, kto nie szukał korelacji: Randolph Ash napisał do żony o Hobie, który leczy koklusz, a Christabel napisała o nim bajkę. A jeszcze Ash, mówiąc o zatopionych wioskach, odwołuje się do legendy miasta Is, jak również do Lyella. Ludzkie umysły zazębiają się...

- To prawda.

- Może udałoby się znaleźć skumulowany ciąg takich zbieżności.

- W każdym razie byłoby to ciekawe.

- Miałem nawet teorię dotyczącą wody, fontann i źródeł. Mówiłem ci, że w poezji Asha po 1860 roku przewija się wątek żywiołów - woda, kamienie, ziemia, powietrze. Miesza gejzery Lyella z mitologią skandynawską i mitycznymi źródłami Greków. Albo wodospadami w Yorkshire. I zacząłem się zastanawiać nad Źródłem Pragnienia z „Meluzyny”.

- To znaczy?

- No, czy istnieje tu jakieś echo? Ten ustęp pochodzi z „Aska do Embli”. Niewykluczone nawet, że jest tu jakiś związek ze źródłem w „Pieśni nad pieśniami”. Posłuchaj:

Długo piliśmy ze źródła w Vaucluse; I gdzie północna Siła ciągle wzrusza Ciche jeziorko, staliśmy wzruszeni. Więc - czy te zdroje, swobodnie płynące Na spotkanie pragnienia - wyschnąć mają?

- Powtórz to - powiedziała Maud. Roland powtórzył.

- Czułeś kiedyś naprawdę, że ci się jeży włos? - zapytała. - Bo ja właśnie poczułam. Dreszcze wzdłuż kręgosłupa i na karku. Tylko posłuchaj. Oto, co Raimondin mówi do Meluzyny, gdy dowiaduje się, że ona wie, iż złamał zakaz i podglądał ją w marmurowej wannie:

Ach, Meluzyno, zawiodłem Twą wiarę. Czy nie ma rady? Musimy się rozstać? Czy popiół naszych ognisk musi zblednąć? I czy te źródła, swobodnie płynące Na spotkanie pragnienia - wyschnąć mają?

- „Czy popiół naszych ognisk”... - powtórzył Roland.

- Obraz ogniska domowego wciąż pojawia się w „Meluzynie”. Budowała zamki i domy - a ognisko jest domem.

- Co było najpierw? Jej wersy czy jego? Są pewne problemy z datowaniem „Aska do Embli” - i najwyraźniej zmierzamy do ich rozwiązania.

To brzmi jak klasyczna wskazówka literacka. Była mądrą kobietą, lubiła aluzje. Wspomnij te lalki.

- Krytyk literacki to urodzony detektyw - powiedziała Maud. - Znasz teorię, że klasyczna powieść detektywistyczna powstała wraz z klasyczną powieścią o cudzołóstwie? Wszyscy chcieli wiedzieć, kto jest Ojcem, jaki był początek, gdzie leży tajemnica.

- Musimy - powiedział ostrożnie Roland - zabrać się do tego razem. Ja znam jego dzieła, ty - jej. Gdybyśmy oboje pojechali do Yorkshire...

- To szaleństwo. Powinniśmy opowiedzieć wszystko Cropperowi, Blackadderowi i, oczywiście, Leonorze, i połączyć siły.

- Tego właśnie chcesz?

- Nie. Chcę... chcę iść - iść tą drogą. Czuję, że to mną owładnęło. Chcę wiedzieć, co się stało, i chcę się tego dowiedzieć sama. Kiedy przyjechałeś do Lincoln ze swym skradzionym listem, myślałam, że zwariowałeś. Teraz czuję to co ty. To nie tylko zawodowa chciwość. To coś o wiele bardziej pierwotnego.

- Ciekawość narracyjna...

- Częściowo. Czy znalazłbyś kilka dni na badania w Zielone Świątki?

- Będą trudności. W domu nie układa się gładko. Jak być może zauważyłaś. Gdybyśmy - ty i ja - wyjechali, nie spodobałoby się to. Byłoby opacznie zrozumiane.

- Wiem. Rozumiem. Fergus Wolff myśli - on myśli. Udaje, że myśli, że ty i ja...

- Coś okropnego.

- Zagroził mi w bibliotece, że odkryje, co robimy. Musimy mieć go na oku.

Roland uwzględnił zakłopotanie Maud i nie zapytał, jakie uczucia żywi wobec Fergususa Wolffa. Że są one gwałtowne, to rzucało się w oczy. Nie zamierzał również dyskutować o Val.

- Ludzie, którzy naprawdę spędzają weekendy „na boku”, zawsze mają jakiś pretekst - powiedział. - Zasłonegą dymną. Mówiono mi, że wszyscy tak robią. Nie widzę, czemu nie miałbym czegoś wymyślić. Większy problem to pieniądze.

- Potrzebny ci mały grant badawczy na poszukiwania w okolicach Yorkshire, nie za blisko i nie za daleko...

- Ash pracował czas jakiś w bibliotece katedry w York...

- O, coś w tym rodzaju.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Trzech Azów wyszło w świat z równiny Idy,
Gdzie się na radzie spotkali Bogowie
O czołach jasnych i radosnych głosach,
Brzemienia grzechu jeszcze nieznający,
Ani cierpkości świata. Wokół jaśniał
Blask doskonały słońca i księżyca,
I drzew złocistych, co za złotym murem
Złote jabłka rodziły.

Weszli zatem Do średniego ogrodu, stworzonego
Dla ludzi niestworzonych, nadal śpiących
W miękkim podołku Czasu.

Wokół ich jasnych twarzy niestrudzenie
Młody wiatr szumiał, zaś pod ich stopami
Wschodziła młoda trawa - oraz pory,
Wezbrane Sokiem owej pierwszej Wiosny.

A potem zeszli na dół, na wybrzeże
Gdzie o piach młody wśród grzebieni piany
Z rykiem i grzmotem biły fale słone,
Nieusłyszane wszak i niewidziane,
Bowiem nie było tam myśli człowieczej,
Co mogłaby je nazwać bądź przyrównać.

Same dla siebie, wieczne w swej zmienności,
Nie znały czasu - choć ich rytm miarowy
Następstwo czasu mierzył dla umysłu.

Ojcem tych Azów był Bor wszechpotężny,
Który Ymira olbrzymiego zgładził
I w furii zmienił go w pierwiastki ziemi;
Z ciała i kości, potu, włosów krętych
Powstały piach i morze, bujne drzewa,
Po niebie zaś popłynął obłok mózgu.

Ci trzech byli to Odyn, Ojciec Bogów,
Honir, brat jego, zwany również Jasnym,
Mądrym oraz Rozważnym, i ten trzeci,
Loki, gorący bóg domowych ognisk,

Którego płomień zrazu świat ogrzewał,
Lecz wnet pożarem wyrwał się żarłocznym
Poza granice domów, by świat cały,
I całe Niebo spopielić na zawsze.
Na mokrym brzegu świata, w płytkiej wodzie
Dwie obłe formy spoczęły bez czucia,
Wznosząc się z każdą nadchodzącą falą,
Dźwigane ruchem, co nie był ich własny.
Bezwładne kłody jesionu i olchy
Leżały, z dumnej zieleni odarte,
Nie całkiem wszakże martwe; u ich rdzenia,
Gdzie słoje drzewa biorą swój początek,
Tkwił zaczyn życia (choć owo słoje
Nie były księgą lat młodego drzewa,
Jeno przeszłości, co teraz ożyła,
Po latach snu, dotknięta ręką czasu,
Jak kręgi, rozchodzące się po stawie).
Młodzieńcze słońce stało na błękicie;
Tylko dwa razy jego złoty rydwan
Okrażył niebo, choć od tamtej pory
Gna bezustannie od świtu do świtu,
Gdy Ziemia stygnie pod chłodniejszym światłem,
I nigdy się nie spóźnia i nie błądzi, Aż świat ostatnia pochłonie pożoga.

Wszechojciec poczuł siłę jego ciepła I spytał: „Czy te kłody ożyć mają?”. I ujrzał życie - owo życie roślin, Którego pieśń rozbrzmiewa w jądrze rzeczy.

Honir zaś jasny rzekł: „Gdyby te stwory Umiały się poruszać, widzieć, słyszeć, To strzały światła mogłyby przemówić Do ich oczu i uszu. Złoty owoc Dałby życie ich życiu; świat cudowny Byłby zarówno znany i kochany, W nich żyjąc wiecznie; mogliby opiewać To pierwsze piękno, o którym wiadomo, Że pięknem było”.

Na końcu przemówił Bóg skrytych ogni: „Dam im krew gorącą, By ich oblicza stały się jaśniejsze, By w nich płynęła namiętym strumieniem, Który przyciągnie jedno do drugiego Jak magnes rwie żelazo. Krew im wleję - Ciepło człowiecze, od ognia czerwone, Witalnych iskier strumień, boski język, By jedno do drugiego mówić mogło, Póki ją chronić będą - gdyż przelana, Po kraniec Czasu śmierć dla nich oznacza, Bo są śmiertelnymi”.

I tak Bogowie, śmiejąc się, stworzyli Z bezwładnych pni kobietę i mężczyznę, I wielce byli dumni z dzieła swego, A na pamiątkę jesionu i olchy Nadali im imiona Ask i Embla. Odyn tchnął ducha w nich, a Honir jasny Obdarzył ich rozumem oraz mocą

W rękach i nogach. Wreszcie śniady Loki Wysnuł tętnice, by krew mogła krążyć, I zionął iskrą ożywczego ciepła, Jak z miechów kował, co ogień roznieca. Wtedy piekący, ostry ból poznania Obudził życie

w obu kłodach śpiących Wartko wnikając w sieć nowych kanałów, By z rykiem wtargnąć do serc i do mózgów Nowo wykutych, do krwionośnych naczyń, Do krętych membran uszu, ust i nosów, I oczy im otworzyć na świat nowy.

Wszystko zalewał blask mokry i świeży, Dni pierwszych blask, co piach srebrem malował I płynnym złotem znaczył morskie fale Wygięte, kruche, ze spienioną grzywą - Blask, który odjął śmiałość pierwszym ludziom.

Ci, co dotychczas żyli szeptem soków I tylko czuciem poznali powietrze, Ciemność i ciepło na korze chropawej, Lub na pniu gładkim chłodu pocałunek, Teraz oczami zobaczyli światło Płynące - fala za przejrzystą falą - Jak złota kąpiel; łuk za łukiem tęczy, Fontannę blasku, pyłu strumień lśniący.

Widzieli wszystko nie widząc niczego, Gdy nagle - w sobie zobaczyli formy Mocne i piękne, dzieło sprytu bogów, Co teraz bacznie się im przyglądali; Cienie błękitne na białawej skórze, Różem i płowym złotem przetykane, Ciała perłowoblade i dziewicze, Oddychające promiennym powietrzem.

I czworo oczu, oślepionych blaskiem Tej, co płonęła na bezchmurnym niebie,

Teraz spotkało się i zatrzymało Pod aureolą jasnych złotych włosów.

Szare, przejrzyste źrenice Mężczyzny Dostrzegły błysk błękitnych oczu Emblis; Gorąca krew, dar podziemnego Loki, Czerwienią napłynęła im do twarzy. Wtedy on ujrzał, że ona jest inna, Choć przecież mu podobna; wówczas ona Twarz jego uśmiechniętą zobaczyła I w niej swoją poznała. I tak stali Wzajem w siebie wpatrzeni, uśmiechnięci, Bogowie zaś także się uśmiechnęli, Widząc swe dobre dzieło rozpoczęte Tak pięknie, w zrozumieniu i przyjaźni.

Ask krok postąpił po dziewiczym piachu I ujął dłoń kobiety, która mocno Chwyciła go za rękę; i bez słowa Odeszli brzegiem, z rykiem morza w uszach. Za nimi, pierwszy na tej gładkiej plaży, Został szlak ciemnych śladów, z każdą chwilą Zacierany przez fale; pierwszych śladów, Jakie w tym świecie zostawiło życie, Miłość, nadzieja, czas - i przemijanie.

Randolph Henry Ash, z „Ragnaröka”, II.i et seq.

Hotel Hoff Lunn Spout istniał już w 1859 roku, choć w listach Asha nie było o nim wzmianki; on sam mieszkał w Scarborough, w pensjonacie „Klif, obecnie rozebranym, oraz w prywatnych pokojach w Firley. Maud znalazła ów hotel w „Przewodniku smakosza”, gdzie polecano go dla „bezwzględnie świeżych potraw z ryb i niestrudzenie dobrej, choć rzadko uśmiechniętej obsługi”. Ponadto było tu tanio, a Maud troskała się o finanse Rolanda.

Budynek hotelu stał na skraju wrzosowiska, przy drodze z Robin Hood's Bay do Whitby. Długi i niski, zbudowany był z owego szarego kamienia, który jest rzeczywistością ludzi z północy, południowcom zaś, przywykłym do cieplej cegły i miękkich łuków, może wydawać się nieprzyjazny. Miał łupkowy dach i pojedynczy rząd białych okien, a otaczała go pustawa połać asfaltowego parkingu. Pani Gaskell, która odwiedziła Whitby w 1859 roku, aby napisać plan „Kochanków Sylwii”, nadmieniła później, że ogrodnictwo najwyraźniej nie jest na północy sztuką popularną, gdyż nikt nie próbuje sadzić kwiatów nawet przy południowych i zachodnich ścianach surowych, kamiennych budynków. Wiosną suche mury zabarwiają się na krótko kwitnącymi porostami, lecz ogólnie rzecz biorąc, w miejscach takich jak Hoff Lunn Spout brak roślinności rzuca się w oczy.

Jadąca z Lincoln Maud przywiozła Rolanda swym zielonym samochodzikiem w samą porę na obiad. Lokal prowadziła przystojna, ogromna kobieta Wikingów, która obojętnie patrzyła, jak wnoszą sterty książek po schodach, znajdujących się między barem i restauracją, wyposażoną niedawno w labirynt wysokich, drewnianych, ciemno bejcowanych przepierzeń, dzielących salę na klitki. Roland i Maud spotkali się tam i zamówili posiłek, który miał być lekkim obiadem: domową zupę jarzynową, płastugę z krewetkami i profiterolki. Nieco młodszy Wiking, pokaźny i poważny, podał im owe dania, które okazały się świetne i ogromnie obfite - zupa gęsta była od jarzyn i zielenin, ryba jak olbrzymi biały sandwicz, złożony z dwóch filetów wielkości talerza, kryła między mięsistymi płacami dobre ćwierć kilo krewetek, profiterolki, wielkości piłek tenisowych, pływały w jeziorze gorzkiej czekolady. Ten gigantyzm wzbudził szczerzy zachwyt Maud i Rolanda, którzy jednak nerwowo unikali prawdziwej konwersacji i tylko rzeczowo ustalili plan działania.

Mieli przed sobą pięć dni. Pierwsze dwa postanowili poświęcić nadmorskim miejscowościom - Filey, Flamborough, Robin Hood's Bay, Whitby - a później pójść w górę rzeczek i wodospadów szlakiem spacerów Asha w głąb łądu. Jeden dzień zostawili na nieprzewidziane wypadki.

Roland zamieszkał w pokoju o ukośnym suficie z szorstką papierową tapetą w niebieskie gałazki. Nierówna podłoga trzeszczała, stare drzwi wyposażone były zarówno w haczyk, jak i monumentalną dziurkę od klucza, drewniane wezgielnie wysokiego łóżka pokrywały plamy. Roland rozejrzył się po małym, przytulnym pomieszczeniu i przez chwilę poczuł czystą wolność. Był sam. Może wszystko zdarzyło się jedynie po to, by znalazł miejsce, gdzie mógł być sam? Wśliznął się do łóżka z postanowieniem zawarcia bliższej znajomości z Christabel LaMotte.

Maud pożyczyła mu książkę Leonory Stern „Motyw i matryca w poezji LaMotte”. Przejrzył tytuły rozdziałów: „Od wzgórze Wenery do jałowej wyżyny”; „Kobiece pejzaże - niezmaczone wody, nieprzeniknione powierzchnie”; „Od Źródła Pragnienia do naskórka bretońskiego oceanu”:

Jakież to miejsca na powierzchni ziemi pragniemy wysławiać my, kobiety, my, które w tekstach fallocentrycznych pojawiają się na ogół jako wabiąca lub odpychająca dziura, którą można penetrować, otoczona - no właśnie, czym? Malarki i pisarki stworzyły swoje własne pejzaże, znacząco wymykające się opisowi, o cechach, które zwodzą, oszukują przenikliwy wzrok; pejzaże namacalne, które nie dają przewagi dominującemu spojrzeniu. Ich bohaterki cieszą się światem, nagim i nienaturalnym, w którym są wzgórki i małe wzniesienia, kępy traw i łagodnie okazałe, skaliste tereny, kryjące w sobie strome pochyłości, ukryte szczeliny i całe mnóstwo otworów i dziur, skąd płyną, bulgocąc, życiodajne wody. Takimi uzewnętrznionymi ucieleśnieniami wewnętrznych wizji są kręte, zamknięte ścieżki George Sand w Berry, Czerwona Dolina George Eliot i kanyon Willi Cather - wyobrażone przez kobiety kontury Matki Ziemi, które sprawiają kobietom taką radość. Cixous zwróciła uwagę, że zarówno podczas wzajemnych pieszczot, jak i w trakcie orgazmicznych rozkoszy autoerotyzmu wiele kobiet doświadcza wizji jaskiń oraz źródeł. To pejzaż dotyku i podwójnego dotyku, bowiem - jak pokazała nam Irigaray* - nasza najgłębsza „wizja” zaczyna się samopobudzeniem, dotykiem i pocałunkiem dwóch dolnych warg, naszego „podwójnego seksu”. Autorki odnotowały, że bohaterki literackie największej przyjemności doznają samotnie, pośród owych sekretnych krajobrazów, ukrytych przed ludzkim okiem. Osobiście wierzę, iż do tych rozkoszy należy także widok fal, bijących o brzeg, których regularne uderzenia noszą głębokie podobieństwo do kolejnych dreszczy kobiecej ekstazy. Morska fala, słona i kobieca -

która, inaczej niż Wenus Anadyomene, nie powstała jednak z błota męskiej spermy, rozsianej w głębinach w chwili, gdy Ojciec Czas został wykastrowany przez swego edypalnego syna - domaga się przedstawienia. W istocie przyjemność, czerpana z bezkształtnej - lecz uformowanej - procesji wód na piasku, jest obecna np. w całej twórczości Virginii Woolf, w samej formie jej zdań i wypowiedzi. Mogę również tylko zachwycić się instynktowną wrażliwością i delikatnością towarzyszek Charlotte Brontë, które odeszły na bok, gdy ta pierwszy raz stanęła twarzą w twarz z potęgą morza w Filey, i spokojnie czekały, aż wróci do nich drżąca, z wypiekami na twarzy i wilgotnymi oczyma, aby podjąć dalszy spacer.

* Hélène Cixous, Luce Irigaray - współczesne francuskie krytyczki i teoretyczki feminizmu, zajmujące się m.in. seksualnością kobiet (przyp. tłum.).

Bohaterki tekstów LaMotte to na ogół stworzenia wodne. Dahud, matriarchalna Królowa Czarodziejka, włada ukrytym królestwem pod niezmaconymi wodami Zatoki Armorykańskiej*. Wróżka Meluzyna w swym podstawowym, łaskawym wcieleniu jest istotą wodną i podobnie jak jej magiczna matka, Pressyna, również spotyka swego przyszłego męża przy Fontaine du Soif, Źródle Pragnienia - co można rozumieć jako źródło, które pragnie, lub takie, które pragnienie zaspokaja. I choć to ostatnie znaczenie może wydawać się bardziej „logiczne”, to w kobiecym świecie, formowanym przez brak logiki i strukturyzowanym przez uczucie i intuicję, może się zdarzyć, iż ukryty sens pierwotny stanowi Źródło Suche lub Spragnione.

* L'Armorique - określenie Bretanii w bretońskiej odmianie języka celtyckiego (przyp. tłum.).

Co mówi nam LaMotte o Źródle Pragnienia?

Jej poemat czerpie obficie z romansu prozą owego mnicha, Jeana d'Arras, który powiada, że Źródło „wytryska ze zbocza dzikiego pagórka, nad którym piętrzą się wielkie skały, gdzie piękna łąka schodzi w dolinę poniżej wysokiego lasu”. Przy źródle spotykamy matkę Meluzyny, której cudny śpiew jest „bardziej melodyjny od śpiewu wszelkich syren, wróżek albo nimf. Z męskiego punktu widzenia owe istoty postrzegane są jako kusicielki, działające w zмовie z uwodzicielskimi siłami natury. Źródło LaMotte, przeciwnie, pozostaje ukryte i niedostępne; rycerz i jego koń muszą przedzierać się w dół zbocza, aby doń dotrzeć i usłyszeć „mały i złoty” głos Wróżki Meluzyny, „sobie śpiewającej”, który ucicha, gdy człowiek albo zwierzę strąca kamień podczas stromego zejścia. Opis LaMotte jest prerafaelicki w swej dokładności i subtelności - „okrągły” kamień pokrywa „szmaragdowe futro”, „mchów”, „mięty” i „paproci”. Źródło nie „tryska”, lecz „musuje”, „sączy się wśród zielska” do „ciemnych wód” stawu w „komnacie, jakby wydrążonej w skale”.

To wszystko można odczytać jako symboliczny, kobiecy język, częściowo refleksyjny, częściowo stłumiony i niemy w obliczu męskiego natręctwa, niezdolny przemówić głośno. Źródło mężczyzny tryska; źródło Meluzyny, po kobiecemu wilgotne, nie bije mocno, lecz sączy się do stawu, symbolizując tym samym wydzieliny kobiece, których określenia nie są wpisane w nasz codzienny język (*langue*) - śluz, plwocinę, mleko i płyny ustrojowe kobiet, które milczą gdyż zaschło im w ustach.

Meluzyna, sobie śpiewająca przy mistycznym źródle, jest potężną istotą o wielkiej władzy, która zna początki i końce rzeczy i która, jak wykazano, jest w swym aspekcie wodnego węża bytem kompletnym, zdolnym tworzyć życie - lub znaczenie - bez konieczności interwencji z zewnątrz. W tym sensie włoska uczona, Silvia Veggetti Finzi, postrzega „potworne ciało Meluzyny” jako wytwór kobiecych fantazji autoerotycznych, dotyczących płodzenia bez kopulacji, które to kobiece pragnienie nie zyskało - zdaniem autorki - należytego wyrazu w mitologii. „Znajdujemy je najczęściej w mitach stworzenia jako wyraz chaosu, który poprzedza i uzasadnia ład kosmiczny. Taki jest asyryjsko-babiloński mit o Ti'amat lub mit o Tyrezjaszu, który widział rozmnażanie się pierwotnych węży i zmierzył wyższą jakość (*plus-valore*) kobiecego pożądania oraz mitemy (*mitemi*) roślinnego cyklu sałaty”*.

Roland z lekkim westchnieniem odłożył Leonorę Stern. Dostrzegł już krainę, którą zamierzała zbadać, pokrytą ssącymi otworami i splątany zarostem ciała ludzkiego. Nie podobała mu się ta wizja, a jednak jako dziecko swej epoki znajdował ją nieodpartą; gwarantowała znaczące znaleziska, czego nie można było powiedzieć o geologicznych badaniach oolitu. Seksualność przypominała grube, zadymione szkiełko, przez które wszystko wydawało się jednakowo zamazane. Jednak nie umiał już sobie wyobrazić jeziora z czystą wodą i kamieniami.

Ułożył się do snu. Prześcieradła były białe i jakby lekko krochmalone; miał wrażenie, że pachną świeżym powietrzem, a nawet solą morską. Zanurzył się w ich czystej bieli i krzyżując nogi jak pływak, oddał się im swobodnie. Jego nienawykłe mięśnie rozluźniły się. Zasnął.

Po drugiej stronie tynkowanej ścianki Maud z trzaskiem zamknęła „Wielkiego brzuchomówcę”. Jak wiele innych biografii, ta również opisywała tyleż autora, co jego podmiot, a towarzystwo Mortimera Croppera nie było przyjemne. Toteż Maud nie mogła jakoś polubić Randolpha Henry'ego Asha w Cropperowskiej wersji i część jej psychiki nadal była wytracona z równowagi faktem, że Christabel LaMotte poddała się namowom i zachętom poety. Maud wołała swoją pierwotną wizję dumnej i wybrednej niezależności, tym bardziej że listy Christabel dawały podstawy, by sądzić, że ona sama również ją woli. Nie zaczęła też jeszcze poważnie pracować nad wierszami Asha, do których czuła pewną niechęć. Mimo to relacja Croppera z podróży do Yorkshire była bardzo rzetelna:

Kobiety kąpiące się na wybrzeżu Filey pewnego jasnego, czerwcowego poranka 1859 roku musiały zapewne dostrzec samotną postać, kroczącą dziarsko po długiej, równej plaży w kierunku Brigg. Człowiek ów uzbrojony był w akcesoria nowego, modnego hobby: siatkę, płaski koszyk, młotek geologa, dłuto, noże do ostryg i papieru, fiolki, przysadziste butle oraz nieprzyjemne kawałki drutu do klucia i sondowania. Miał nawet własnoręcznie zaprojektowaną skrzynkę na okazy, która pozostawała szczelna podczas transportu pocztą - elegancką lakierowaną metalową kasetkę, zawierającą ściśle dopasowane naczynie szklane, w którym maleńkie stworzenia mogły przeżyć, zamknięte hermetycznie w swym środowisku. Miał przy sobie, a jakże, również mocny jesionowy kij, z którym rzadko się rozstawał, i który, jak już wspomniałem, stanowił część jego osobistej mitologii, konkretne, acz metaforyczne przedłużenie jego Ja. (Z wielkim żalem stwierdzam, że nigdy nie udało mi się zdobyć do Kolekcji Stanta autentycznego egzemplarza owego berła Wotana). Podczas wcześniejszych wypraw widziano, jak niczym zbieracz pijawek o zmierzchu maćił ową laską skalne stawy, aby zaobserwować fosforencję małych stworzonek, *Noctilucae*, czyli nocoświatlików.

* Silvia Vegetti Finzi, „Melusina, Malia e Fobia de Femminile” (przyp. tłum.).

Jeżeli podobnie jak wielu innych ludzi, czujących przymus migracji nad brzeg wody, wyglądał na morskiej plaży dość śmiesznie, niby jakiś tandetny Biały Rycerz z butami dyndającymi na szyi, musimy przecież pamiętać, że jak inni podobni mu ludzie nie był w swym modnym entuzjazmie całkiem nieszkodliwy. Krytyk Edmund Gosse, wielki prekursor współczesnej sztuki biografii i autobiografii, był synem tragicznie wykolejonego przyrodnika, Philipa Gosse'a, którego „Podręcznik zoologii morza” stanowił niezbędne wyposażenie każdego zbieracza. I ów Edmund Gosse przekonany był, że stał się za życia świadkiem niebywałego gwałtu na niewinnym Raju, zgoła rzezi o wymiarach ludobójstwa. Powiada on:

Pierścien żywego piękna, otaczający nasze brzegi, rzecz cienka i krucha, mógł istnieć przez całe wieki tylko dzięki obojętności i błogosławionej niewiedzy człowieka. Te skalne kałuże, obrzeżone komikami, pełne wody równie przejrzystej jak niebo nad nimi, rojące się od pięknych i wrażliwych form życia - już nie istnieją. Zostały sprofanowane, opróżnione, splugawione. Przeszła nad nimi armia „zbieraczy” i ograbiła każdy zakątek. Zgwałcono czarodziejski raj; subtelny produkt wieków doboru naturalnego został zmiażdżony grubymi łapami wścibskich próżniaków o dobrych chęciach.

Nie będąc zatem wyjątkiem wśród błędzącego rodzaju ludzkiego, nasz poeta w ciężkich butach na gumie, poszukujący, jak to nazwał, „początków życia i mechanizmu rozrodu”, uzbrojony w skalpel i słoje do zabiwania, wymierzał śmierć tym właśnie stworzeniom, które zdawały mu się tak piękne, temu wybrzeżu, którego dziewiczy urok pomagał niszczyć.

Podczas pobytu na wietrznej Północy Randolph spędzał ranki na zbieraniu okazów, które jego pobłażliwa gospodyni umieszczała następnie w rozmaitych formach do ciast i „innych porcelanowych naczyniach”, ustawionych w saloniku.

Pisał do żony, że to lepiej, iż nie może ona go widzieć, spożywającego posiłki wśród tych sztucznych stawów, które popołudniami badał pod mikroskopem, gdyż jej uporządkowany umysł nie zniósłby ich „brzemiennej chaosu”. Szczególną uwagę poświęcił licznie występującym na tym wybrzeżu ukwiałom, w ten sposób ulegając - co sam przyznawał - ogólnej manii Brytyjczyków, którzy hodowali owe maleńkie stworzenia w przeróżnych zbiornikach i akwariach, ustawionych w tysiącach salonów w całym kraju, gdzie ich mętne barwy szły o lepsze z zakurzonymi kolorami wypchanych ptaków lub przyszpilonych pod szklanymi kloszami owadów.

Mędrzy i stare guwernantki, duchowni w spencerkach i prości robotnicy mordowali w owym czasie na potęgę, usiłując wszelkimi sposobami - poprzez sekcję, rozbiór, krojenie, skrobanie i przekłuwanie tkanek delikatnych i twardych - uchwycić wreszcie ulotną substancję samego Życia. Randolph był świadomy antywiwiskcyjnej propagandy, bardzo w owym czasie rozpowszechnionej i namiętnej, podobnie jak był świadomy faktu, że z takim zapałem operując skalpelem pod mikroskopem, naraża się na zarzut okrucieństwa. Posiadał nadwrażliwość i stanowczość właściwe poetom; wykonał wiele dokładnych eksperymentów, aby udowodnić, że drgawki niektórych prymitywnych organizmów, które przypisywano reakcji na ból, w rzeczywistości miały miejsce już po śmierci, długo po tym, jak własnorecznie rozciął im serce i układ pokarmowy. Wywnioskował

stąd, że te organizmy nie czują bólu, takiego jak my go znamy - że syk i skurcze są reakcjami odruchowymi. Jednak byłby kontynuował swoje doświadczenia nawet bez tej konkluzji, chętnie bowiem przyjmował, że poznanie i nauka wystawiają człowieka na „srogą próbę”.

Wiele czasu zajęły mu zwłaszcza studia nad układami rozrodczymi wybranych form życia. Jego zainteresowanie tą kwestią zaczęło się dość dawno - autor „Swammerdama” był w pełni świadom znaczenia, związanego z odkryciem jaj, zarówno w świecie ludzi, jak i owadów. Pozostawał pod wielkim wpływem prac wybitnego anatoma Roberta Owena na temat partenogenezy, czyli rozmnażania się przez podział komórki, a nie przez akt płciowy. Samodzielnie przeprowadził kilka niezwykle starannych doświadczeń na hydrach i dżdżownicach, które z odcinków ogona potrafią odtwarzać nowe głowy i tułowia podczas procesu, znanego jako pączkowanie. Był też wielce zaintrygowany faktem, że śliczne, przejrzyste Meduzy zdają się najwyraźniej niezapłodnionymi zarodkami pewnych Polipów. Pracowicie odcinał hydrom macki i szatkował polipy na kawałki, z których każdy stawał się nową istotą. To zjawisko fascynowało go, stanowiło bowiem dowód na ciągłość i współzależność wszelkiego życia - koncepcji, która zdawała się pomocna w modyfikacji lub całkowitej eliminacji pojęcia śmierci jednostkowej i tym samym oddalała ów ogromny lęk, na który, wobec błędnej i coraz to mniej pewnej wizji Nieba, Randolph i jego współcześni stali się ohydnie podatni.

Jego przyjaciel Michelet pracował w owym czasie nad książką „La Mer”, która ukazała się w roku 1860; również ten wielki historyk sądził, że wiecznego życia, które mogłoby pokonać śmierć, należy szukać w morzu. W swoim dziele opisuje, co przeżył, gdy pewnemu wielkiemu chemikowi - a później innemu uczoneму, wielkiemu fizjologowi - pokazał słoje pełen tego, co nazywał „śluzem morza... białą, lepłą substancją”. Chemik odpowiedział, że to nic innego jak samo życie; fizjolog opisał cały mikrokosmiczny dramat:

O składzie wody wiemy nie więcej niż o składzie krwi. W przypadku śluzu wody morskiej najłatwiej daje się zauważyć, iż jest on zarazem początkiem i końcem. Czy to produkt niezliczonych resztek, pozostawianych przez śmierć, która teraz zwraca je życiu? Niewątpliwie, to prawo natury; jednak, prawdę mówiąc, w tym morskim świecie szybkiej absorpcji większość stworzeń wchłaniana jest żywcem - śmierć nie ociąża się, jak czasem na lądzie, gdzie rozkład trwa dłużej.

Życie, nie osiągając stadium ostatecznego rozpadu, nieustannie „linieje” i zrzuca wszystko, co jest mu zbędne. My, istoty lądowe, bez końca tracimy naskórek; takie właśnie resztki, które można nazwać codzienną i częściową śmiercią wypełniają świat mórz żelatynowym bogactwem, na czym ogromnie korzysta rodzące się życie. W zawieszynie tej znajduje się oleisty nadmiar zwykłych wydzielin, wciąż ożywione cząsteczki i żywe płyny, które nie zdążyły umrzeć, a wszystko to nie cofa się do stanu nieorganicznego, lecz natychmiast wnika w nowe organizmy. Taka hipoteza jest najbardziej prawdopodobna; jeśli ją odrzucimy, znajdziemy się w nie lada kłopotcie.

Można zrozumieć, dlaczego Ash napisał wówczas do tego człowieka, że „zrozumiał ukryty sens twierdzenia Platona, jakoby świat miał być jednym ogromnym zwierzęciem”.

A cóż o całym tym gorączkowym ożywieniu powiedziałyby obecna krytyka, przeprowadzona z punktu widzenia ścisłej psychoanalizy? Jakim to potrzebom w psychice jednostki odpowiada ten szal sekcyj, te obserwacje rozrodu?

Jestem przekonany, że Randolph - podobnie jak stulecie, w którym żył - znalazł się w chwili przełomu, zgrubnie określanego dziś jako „kryzys wieku średniego”. Ten wielki psycholog, poeta-badacz ludzkich życiorysów i tożsamości, ujrzał nagle, że przed nim jest już tylko upadek i rozpad, że jego byt jednostkowy nie przedłuży się poprzez potomstwo, że ludzie pękają jak bańki mydlane. Od współczucia dla zmarłych i umierających zwrócił się, jak wielu innych przed nim, ku współodczuwaniu z powszechnym Życiem, Naturą Kosmosem. Nastąpiło jakby odrodzenie Romantyzmu, prądu myślowego, który wypączkował ze starego romantycznego pnia, lecz przesiąknął już nowym mechanicystycznym myśleniem i nowym optymizmem - niedotyczącym losów duszy ludzkiej, lecz odwiecznej boskiej harmonii wszechświata. Podobnie jak Tennyson, Ash także znał przyrody „kły i pazury”*. Jednakże zareagował na to po swojemu, przejawiając zainteresowanie funkcjami układów pokarmowych, które podtrzymują życie wszelkich form, od ameby do wieloryba.

* Aluzja do poematu Alfreda Tennysona „In Memoriam. A.H.H. Obiit MDCCCXXXIII” (przyp. tłum.).

Po tym wszystkim Maud stwierdziła, że wyczuwa coś ohydneho w wyobraźni Croppera. Uprawiała szczególnie zjadliwą wersję hagiografii *à rebours*: pragnął umniejszyć podmiot swojej pracy. Pozwoliła sobie na miłą refleksję o ogólnej dwuznaczności słowa „podmiot” w tym kontekście. Czy Ash był podmiotem metod badawczych Croppera i jego zasad myślenia? Czyją podmiotowość badano? Kto był podmiotem zdań w tekście i w jaki sposób Cropper i Ash mieścili się w Lacanowskiej koncepcji, mówiącej, że gramatyczny podmiot zdania jest czymś innym niż podmiot, ja” - czyli przedmiot, którego to zdanie dotyczy? Zastanowiwszy się przez chwilę, czy te pytania są oryginalne, Maud uznała, że prawie na pewno nie - wszystkie możliwe myśli na temat podmiotów literackich zostały ostatnio bardzo intensywnie zbadane.

W innym miejscu tego rozdziału Cropper, prawie nieuchronnie, zacytował „Moby Dicka”.

*A głębsze jeszcze znaczenie ma historia Narcyza, który nie mogąc pochwycić dręczącego, zwiewnego obrazu, dostrzeżonego w źródle, skoczył w nie i utonął. Ale my sami widzimy tenże obraz we wszystkich rzekach i oceanach; to obraz nieuchwytnego zwiđu życia - i to jest klucz do wszystkiego**.

Narcyzm, niezrównoważona jaźń, pęknięte ego. Kim jestem? - pomyślała Maud. Matrycą, w której szemrzą teksty i kody? Idea ta była przyjemna i nieprzyjemna zarazem - ów wymóg, by myślała o sobie jak o bycie przerywanym i częściowym. Pozostawała kwestia nieporęcznego ciała. Skóry, oddechu, oczu, włosów i ich najwyraźniej istniejącej historii.

Stała przy odsłoniętym oknie, patrząc w księżyc - który był w pełni - i szcotokowała włosy, zasłuchana w rzadkie, odległe, powietrzne poszumy Północnego Morza.

Potem położyła się i krzyżując nogi tak samo jak śpiący obok Roland, zanurzyła się w białe prześcierała.

* Herman Melville, „Moby Dick, czyli biały wieloryb”, przeł. Bronisław Zieliński (przyp. tłum.).

Ich pierwszy dzień nieomal popsuła semiotyka. Pojechali do Flamborough zielonym samochodzikiem Maud, podążając śladem czarnego mercedesa swego poprzednika i przewodnika Mortimera Croppera, jego

poprzednika Randolpha Asha oraz hipotetycznego ducha Christabel LaMotte. Następnie ruszyli na piechotę do Filey Brigg, niezbyt pewni, czego szukają, czując jednak, że byłoby niedopuszczalne, gdyby po prostu cieszyli się wycieczką. Choć tego nie zauważyli, dobrze im się szło razem; oboje byli energicznymi piechurami.

Cropper napisał:

Randolph spędzał długie godziny, wpatrując się w płytkie stawy skalne na północ od Brigg. Widywano go, jak jesionowym kosturem mącił ich fosforyzującą zawartość i pieczołowicie zbierał ją do wiadra, aby w domu zbadać mikroskopijne żyjątka, takie jak *Noctilucae* i *Medusae*, „których gołym okiem nie sposób odróżnić od bąbelków piany”, lecz które po bliższym poznaniu okazywały się „kulistymi kroplami ożywionej galarety, wyposażonymi w ruchliwe ogonki”. Tutaj również zbierał ukwiały (*Actiniae*) i kąpał się w Łażni Cesarza - ogromnym, zielonkawym, okrągłym wgłębieniu, gdzie miał się niegdyś pławić legendarny cesarz rzymski. Poeta, obdarzony aktywną wyobraźnią historyczną, musiał znajdować przyjemność w tak bezpośrednim związku z odległą przeszłością regionu.

Roland znalazł ciemnokrwisty ukwiał, wciśnięty pod krawędź szorstkiej skały w połyskliwym, gruboziarnistym piachu, różowym, złotym, niebieskawym i czarnym. Stworzenie miało wygląd prosty i archaiczny, a zarazem lśniący świeżością. Na jego czubku pyszniła się bujna korona ożywionych czułek, nieustannie mączących i cedzących wodę. Jego barwa przypominała kornelian albo niektóre czerwone bursztyny; podstawa? łodyga? stopa? krzepko przylegała do skały.

Podwinąwszy długie nogi, Maud usiadła na kamieniu ponad kałużą Rolanda z „Wielkim brzuchomówcą” na kolanach i przytoczyła Cropera, przytaczającego Asha:

Wystawcie sobie rękawiczkę, nadmuchaną powietrzem w kształt doskonałego walca, której kciuk został usunięty, a liczne palce otaczają w dwóch albo trzech rzędach szczyt walca, przy czym spód rękawiczki został zamknięty płaskim krążkiem skóry. Jeżeli teraz naciśniemy środek powierzchni, otoczonej przez palce, zmuszając elastyczną skórę, by się zapadła, otrzymamy zawieszony w cylindrze woreczek, ukształtowany w usta i żołądek...

- Dziwne porównanie - powiedział Roland.

- Rękawiczki u LaMotte zawsze zwiastują sekrety i pozory. Ukrywanie. No i oczywiście jest jeszcze Blanche Glover.

- Ash napisał wiersz pod tytułem „Rękawiczka”. O średniowiecznej damie, która dała swoją rękawiczkę rycerzowi, żeby ją nosił na znak jej względów. Była „mlecznobiała, naszywana perłami”.

- Cropper pisze tutaj, iż Ash błędnie mniemał, jakoby jajniki *Actinia* znajdowały się w palcach rękawiczki...

- Jako mały chłopczyk nie mogłem zrozumieć, *gdzie* ten rycerz nosił rękawiczkę. Nadal nie rozumiem, prawdę mówiąc.

- Cropper wciąż rozwodzi się nad tym, jak Ash kontemplował własne nazwisko. Christabel niewątpliwie kontemplowała „Glover”. Wynikło z tego kilka doskonałych i niepokojących wierszy.

- W „Ragnaröku” jest ustęp o tym, jak Bóg Thor ukrył się w ogromnej pieczarze, która okazała się najmniejszym palcem rękawicy olbrzyma. Tego właśnie, który sztuczką zmusił go, aby wypił morze.

- A Henry James mówi o Balzaku, że wwiercał się w psychikę jak palce w rękawiczkę.

- To obraz falliczny.

- Oczywiście. Tak jak i cała reszta, na swój sposób. Ale chyba nie Blanche Glover.

- Ukwiął się wycofuje. Chyba nie podoba mu się, że go trącam.

Ukwiął przybrał postać gumowatego pępka z dwoma lub trzema mięsistymi wąsami, które pośpiesznie chował do środka. W końcu nic już z niego nie zostało z wyjątkiem krwistej ciemnoczerwonej bryłki ze ściągniętą dziurką pośrodku.

- Przeczytałem esej Leonory Stern „Od wzgóрка Wenery do jałowej wyżyny”.

W pogoni za określeniem, którym mogłaby opisać ów artykuł, Maud odrzuciła „przenikliwy” i zdecydowała się na „bardzo głęboki”.

- Pewnie, że głęboki. Ale mnie zaniepokoił.

- Taki był zamysł.

- Nie, nie z tego powodu, nie dlatego, że jestem mężczyzną. Zaniepokoił mnie, bo... Czy nigdy nie masz poczucia, że metafory pożerają nasz świat? To znaczy, oczywiście, wszystko wiąże się ze sobą - cały czas - i chyba zajmujemy się... ja zajmuję się literaturą, gdyż wszystkie te związki wydają mi się nie tylko nieskończone nie podniecające, lecz w jakimś sensie potężne i niebezpieczne, jakbyśmy trzymali klucz do prawdziwej natury wszechrzeczy. Na przykład te rękawiczki... Przed chwilą graliśmy zawodowo w inteligencję - rękawice średniowieczne, rękawice olbrzymów. Blanche Glover, rękawiczki Balzaka, jajniki ukwiąłu - ale to wszystko zredukowało się, niczym parująca konfitura, do ludzkiej seksualności. Zupełnie jak u Leonory Stern, która odczytuje całą ziemię - i język, wszelki język - jako ciało kobiety. A cała roślinność to tylko włosy łonowe.

Maud zaśmiała się cierpko.

- A właściwie - ciągnął Roland - cóż to za tajemną moc posiadliśmy, widząc wszędzie ludzką seksualność? Naprawdę to jest oznaka bezsilności.

- Impotencji. - Maud nachyliła się ku niemu, zainteresowana.

- Unikałem tego słowa, bo właśnie *nie o to chodzi*. Niby tacy jesteśmy mądrzy. A wszystko, co odkryliśmy, to prymitywna magia, infantylna, polimorficzna perwersja. Wszystko ma związek z *nami*, a więc jesteśmy w sobie uwięzieni - nie widzimy już *rzeczy*. I wszystko malujemy tą metaforą...

- Jesteś bardzo zły na Leonorę.

- Jest bardzo dobra. Ale nie chcę patrzeć jej oczami. Nie chodzi o jej płeć i moją płeć - po prostu nie chcę.

Maud zastanowiła się.

- W każdej epoce - powiedziała - muszą być prawdy, z którymi nie można walczyć - czy się chce tego, czy nie, bez względu na to, czy pozostaną prawdami w przyszłości. Żyjemy prawdą tego, co odkrył Freud. Czy się nam to podoba, czy nie. Choćbyśmy nie wiem jak próbowali to zmienić. Nie mamy dość swobody, by zakładać - wyobrażać sobie - że mógłby się mylić co do natury ludzkiej. Może w szczegółach... lecz nie w szerszym planie.

Roland pragnął zapytać: a czy tobie się to podoba? ale pomyślał, że pewnie tak; w końcu jej prace opierały się na psychoanalizie, całe te badania nad liminalnością i istotami marginalnymi. Zamiast tego powiedział:

- To ciekawe ćwiczenie dla wyobraźni, spróbować zrozumieć, jak oni postrzegali świat. Co widział Ash, stojąc, być może, na tym samym brzegu? Interesował go ukwiał. Początki życia. I powód, dla którego tu jesteśmy.

- Cenili samych siebie. Kiedyś byli przekonani, że Bóg ich ceni. Później zaczęli myśleć, że nie ma Boga, są tylko ślepe siły. Więc zaczęli sami siebie cenić, siebie kochać i zajmować się swoją naturą...

- A my nie?

- Nadszedł taki moment w historii, kiedy ich poczucie własnej wartości zamieniło się - w to, co cię niepokoi. W straszliwe uproszczenie. Przede wszystkim brakuje w nim poczucia winy. I kiedyś, i teraz.

Zamknęła „Wielkiego brzuchomówcę”, przechyliła się przez krawędź skały, na której siedziała, i wyciągnęła rękę.

- Pójdziemy dalej?

- Dokąd? Czego szukamy?

- Lepiej zacznijmy szukać faktów, nie tylko obrazów. Proponuję Whitby, tam, gdzie kupił broszkę.

Najdroższa Ellen.

Znalazłem wiele osobliwości w Whitby, zamożnej wiosce rybackiej u ujścia rzeki Esk. Miasteczko opada ku morzu, tłocząc się wśród malowniczych zaułków, podwórek i wielometrowych schodów; z górnych poziomów, ponad polami ruchomych masztów i dymiących kominów widać miasto, przystań, ruiny Opactwa i Ocean Niemiecki.

Otocza nas przeszłość, od wyżynnych grobowców i rzekomych jam grzebalnych starożytnych Brytów po rzymską okupację i początki chrześcijańskiego ewangelizmu spod znaku św. Hildy; miasto w owych czasach zwało się Streonshalh i to, co zwykliśmy nazywać Synodem w Whitby w 664 r, to oczywiście Synod w Streonshalh. Medytując wśród mew, krzyczących w ruinach Opactwa, widziałem wszelako rzeczy starsze i mroczniejsze - kurhany i kopce na wrzosowiskach oraz świątynie, być może druidyjskie, między innymi Bridestones, rząd stojących kamieni w pobliżu Sleights, uważany za fragment kamiennego kręgu, takiego jak Stonehenge. Pewne drobiazgi mogą przywrócić ów dawno zaginiony lud do życia w wyobraźni. Należy do nich znaleziony w okolicy gagatowy kolczyk w kształcie serca, który dotykał żuchwy szkieletu, lub kilka dużych, kanciastych gagatów, odkrytych u takiegoż mieszkańca kurhanu, złożonego do grobu z kolanami podciągniętymi pod brodę.

Pewna mityczna opowieść, tłumacząca obecność stojących kamieni, bardzo przemówiła mi do wyobraźni jako oznaka żywotności starożytnych Bogów nawet w naszych nowoczesnych czasach. Whitby posiada własnego, straszego olbrzyma, niejakiego Wade'a, który lubił przerzucać się głazami na wrzosowisku ze swą żoną Bell. Podobnie jak Hrimthurse, który wznosił mur Asgardu, lub wróżka Meluzyna, Wade i Bell budowali zamki dla niewdzięcznych ludzi. Im to przypisuje się drogę rzymską, wiodącą przez wrzosowiska do rozkosznego miasteczka Pickering - drogę prawdziwą, ułożoną z kamieni na podkładzie ze żwiru i odpadków wyżynnego piaskowca. Zamierzam przejść tą drogą, znaną tutaj jako Trakt Wade'a, którą olbrzym rzekomo zbudował dla wygody Bell, aby mogła codziennie chodzić na wrzosowiska i doić swoją gigantyczną krowę. (Żebro tego monstrualnego przeżuwacza, wystawione w zamku Mulgrave, okazało się w istocie żuchwą wieloryba). Kurhany na wzgórzach powstały ze stert kamieni, które wysypywały się czasem z fartucha pracowitej Bell, kiedy przenosiła je z miejsca na miejsce. Charlton sądzi, że Wade to po prostu starożytny bóg Wodan albo Wotan; nie ulega

wątpliwości, że w czasach saksońskich Thora czczono we wsi Thordisa, leżącej u źródła potoku Eastrow. Tak oto ludzka wyobraźnia tworzy nowe całości, mieszając różne składniki i przystosowując je do współczesnych wyobrażeń aktem w swojej istocie poetyckim; mamy tu Wieloryba i zamek Pickering, starego Boga Piorunów, grobowce starożytnych wodzów - Brytów i Saksonów - oraz wojenną zaborczość zwycięskich armii rzymskich, wszystko to ulepione w kształt lokalnego olbrzyma i jego pani. Kamienie z rzymskiej drogi służą do budowy niskich murków, ku niewątpliwej stracie archeologii, lecz na korzyść naszych owiec, ogromny głaz ze Wzgórza Sleights - zrzucony przez dziecko Bell i wyszczerbiony jej żelaznym żebrem - wykorzystano do naprawy drogi. I ja po tej drodze szedłem.

Odwiedziłem miejscowych rzemieślników, rzeźbiących w gagacie; prosperują, ich wytwory zaś są bardzo wysokiej jakości. Posyłam Ci próbkę wraz z wierszykiem, jak zawsze z wielką miłością. Wiem, że lubisz przedmioty dobrze wykonane; na pewno byłabyś zachwycona osobliwą produkcją, która się tu odbywa. Ozdoby można robić ze wszystkiego - widziałem starożytne amonity ożywione w postaci szlifowanych broszek. Zacieka-
wiło mnie to przerabianie skamielin na eleganckie towary - w polerowanym blacie stołu można zobaczyć nieopisanie stare zwoje istot ślimakokształtnych lub postrzępione kamienne pióra prymitywnych cykad o rysunku wyraźnym jak paprocie czy kwiaty, zasuszone w Twym modlitewniku. Jeśli mam jakiś własny temat, droga Ellen - oczywiście jako pisarz - to jest nim nieustanna zmienność form dawno umarłych, a jeszcze nie zaginionych. Chciałbym kiedyś stworzyć coś doskonale skończonego, co jeszcze po długim czasie zachęcałoby do namysłu, jak te zamknięte w kamieniu istoty; czuję wszakże, że nasze trwanie na ziemi nie będzie równie długie.

* Asgard (mit. skand.) - niebiańska siedziba Azów, do której można było się dostać tylko po moście utworzonym z tęczy (przyp. tłum.).

Gagat, jak wiesz, też kiedyś był żywy. „Dawniejsi przyrodnicy przypuszczali, że jest to stwardniała ropa naftowa lub smoła mineralna, teraz jednak przyjmuje się powszechnie, że powstał z lignitu. Znajdujemy go w ściśniętych pokładach, długich i wąskich, których zewnątrz poryte jest wzdłużnymi rowkami, przypominającymi włókna drzewa, a pęknięcie poprzeczne - konchoidalne, o żywicznym połysku - ukazuje doroczne przyrosty jako skompresowane, eliptyczne warstwy”. Cytuję ten ustęp za dr. Youngiem, choć sam widziałem w warsztatach wiele grudek gagatu - tak- i trzymałem je w dłoniach, niewymownie wzruszony śladami czasu - czasu, którego elipsy narastały nieopisanie dawno temu. Niekiedy zanieczyszczone są nadmiarem krzemionki; rzemieślnik, rzeźbiący różę, węża lub parę dłoni, nagle napotyka w tworzywie krzemową lub łupkową skałę i musi zaniechać roboty. Widziałem tych mistrzów przy pracy, która wymaga wielkiego kunsztu - czasem rzeźbiarz przekazuje broszkę innemu, który zajmuje się rytownictwem lub łączy gagat ze złotem, srebrem i kością słoniową.

Jak możesz sobie wyobrazić, te nowe widoki i odkrycia sprawiły, że iskry poezji przenikają mnie we wszystkich kierunkach. (Mówię o „nieśmiertelności jasnych iskrach” w sensie Vaughana, gdzie słowo to oznacza zarówno migotliwą mineralną scyntylację, jak i skry, strzelające z ogniska*. Czy mogłabyś mi przysłać mój „Silex scintillans”, gdyż od czasu, gdy zajmuję się tutejszymi skalami, wiele myślę o jego poezji i o tej kamiennej metaforze. Kiedy dotrze do Ciebie gagatowa broszka, bądź łaskawa ją potrzebować, a zobaczysz, jak elektryczność przyciąga skrawki papieru i włosy - gagat ma własne magnetyczne życie, dlatego też zawsze korzystano

zeń w praktykach białej magii, używano do produkcji amuletów i starożytnych leków. Ale dywaguję bez najmniejszej dyscypliny - myśli się rozbiegają - jest taki wiersz, który chciałbym napisać, o pokrytych krzemionką gałązkach, odnalezionych w starych studniach artezyjskich, które opisuje Lyell).

* Aluzja do wiersza „Odwrót” Henry’ego Vaughana (1621/2-1695), jednego z największych tzw. poetów metafizycznych, autora tomu wierszy „Silex scintillans”, dosł. „iskrzący krzemień” (przyp. tłum.).

Daj mi znać, jak się miewasz - jak się czujesz, co porabiasz w domu, co czytasz.

Twój kochający mąż Randolph

Maud i Roland okrążyli port w Whitby i przespacerowali się wąskimi uliczkami, wznoszącymi się promieniście i stromo. Tam, gdzie Randolph Henry Ash dostrzegał oznaki ożywienia i dostatku, ujrzeli wszechobecne znamiona bezrobocia i zniechęcenia. W porcie stało niewiele łodzi, a nieliczne, które zostały, były zabite na głucho i skute łańcuchami - żaden silnik nie warczał, nie łopotał żaden żagiel. W powietrzu snuł się jeszcze zapach węglowego dymu, ale ten wywoływał już inne skojarzenia.

Wystawy sklepowe były stare i romantyczne. U handlarza ryb, między spiczastymi potwornościami, leżał na desce szkielet rozwartej szczęki rekina; w oknie sklepiku ze słodyczami wśród starych wielkich słoików piętrzyły się, jak dawniej, okrągłe kolorowe drażetki i kostka cukrowa. Kilka sklepów jubilerskich specjalizowało się w gagacie; jeden z nich, o nazwie „Hobbs i Bell, ornamenty”, był wysoki i wąski, a jego witryna przypominała postawione na sztorc pudełko, po bokach którego spływały girlandy i sznury gagatowych paciorków, szlifowanych w fasety, lśniącokrągłych, z medalionami i bez. Z przodu piętrzyła się zawartość ciśniętej na brzeg skrzyni ze skarbami: zakurzona sterta broszek, bransoletek, pierścionków na połamanych aksamitnych podkładkach, łyżeczek, noży do papieru, kałamarzy i rozmaitych ciemnych, martwych muszli. To Północ - pomyślał Roland - czarna jak węgiel, solidna, czasem pozbawiona wdzięku, lśniąca pod warstwą kurzu.

- Zastanawiam się - rzekła Maud - czy nie kupić czegoś dla Leonory. Ona lubi dziwną biżuterię.
- Tam leży broszka - złączone dłonie w otoczeniu niezapominajek, z napisem PRZYJAŹŃ.
- To mogłoby się jej spodobać.

Na progu sklepowego pudełka pojawiła się bardzo mała kobieta, ubrana w ogromny fartuch w szare i fioletowe kwiatki, narzucony na obcisły czarny sweterek. Pod białymi włosami, ściągniętymi w węzełek, jej twarzyczka wydawała się twarda i brązowa. Oczy miała błękitne jak wiking, usta, gdy je otworzyła, ukazały tylko trzy zęby. Była pomarszczona, lecz zdrowa niczym zleżałe jabłuszko i jej fartuch był czysty, choć pończochy nad grubymi sznurowanymi trzewikami zwinęły się w obwarzanki.

- Wejdz, kochana, i rozejrzyj się. W środku jest dużo więcej. Wszystko śliczny gagat z Whitby, nie żadne tam imitacje, lepszego nie znajdziesz.

Lada stanowiła kolejny szklany sarkofag, w którym kłębiły się dalsze sznury paciorków, spinki i ciężkie bransolety.

- Powiedzcie, co wam się podoba, to wyciągnę.
- To jest ciekawe...

„To” był owalny medalion z rzeźbioną postacią w stylu klasycznym, nachyloną nad amforą.

- Wiktoriański medalion żałobny. Najpewniej z pracowni Thomasa Andrewsa. Robił gagaty dla królowej Wiktorii. To był dla Whitby dobry czas, kiedy umarł księżę małżonek. Wtedy ludzie lubili pamiętać o umarłych. Teraz jest inaczej, co z oczu, to i z myśli.

Maud odłożyła medalion i poprosiła o broszkę „przyjaźni”, którą staruszka musiała zdjąć z wystawy. Roland przyglądał się ozdobom, w których pasemka plecionego lub tkanego jedwabiu otoczone były gagatem i perełkami.

- To jest ładne. Gagat, perły i jedwab.

- Och, to nie jedwab, proszę pana. To włosy. Jeszcze jedna postać broszki żałobnej. Proszę tylko spojrzeć, mają na obwódce napis IN MEMORIAM. Obcinali te włosy na łożu śmierci. Można powiedzieć, że przedłużali im życie.

Roland wpatrzył się w pasemka cienkich jasnych włosów, splecione pod szkłem.

- Robili z nich różne rzeczy, bardzo zręcznie. Proszę - to dewizka do zegarka z czyichś długich loków. A tu bransoletka z ciemnych włosów z zapięciem w kształcie serduszka, bardzo delikatna robota.

Roland wziął do ręki ów przedmiot, martwy i poza złotym zapięciem - lekki.

- Dużo ich pani sprzedaje?

- Och, ktoś coś kupi od czasu do czasu. Ludzie je zbierają, wie pan. Ludzie wszystko zbierają, jak mają czas. Motyle. Spinki do kołnierzyków. Nawet żelazka z duszą, co ich używałam aż do sześćdziesiątego roku, kiedy to moja Edith uparła się, żeby mi kupić elektryczne. Przychodził tu taki jeden i pytał. W tych bransoletkach jest mnóstwo pracy, młody człowieku, mnóstwo starania. I solidne złoto, osiemnaście karatów, drogie na owe czasy, kiedy było dużo tombaku i takich tam.

Na ladzie przed Maud leżał rząd broszek.

- Widzę, że znacie się na dobrej robocie. Mam tu naprawdę ładną rzecz, taką, jakich już nie ma - język kwiatów, młody człowieku - klematis, janowiec i bratki, to znaczy Uroda Duszy, Niezmiennność Uczuć i „Zawsze myślę o Tobie”. To powinienesz kupić dla swej młodej damy, nie jakieś tam stare włosy.

Roland mruknął niezobowiązująco. Siedząca na wysokim stołku staruszka pochyliła się i dotknęła zielonego turbana Maud.

- O, to piękna rzecz, teraz trudno o takie - wygląda jak najlepsze wyroby z pracowni Izaaka Greenberga w Baxtergate - z takich, co je rozsyłali po całej Europie do królowych i księżniczek. Dużo bym dała, żeby jej się przyjrzeć z bliska. Kochana, czy mogłabyś...

Maud uniosła dłonie, niepewna, czy odpiąć broszkę, czy ściągnąć całe okrycie głowy. Wreszcie, niezręcznie, zrobiła i jedno, i drugie, najpierw kładąc szal na ladzie, a potem odpinając broszkę od starannie ułożonych fałdów i podając duży, czarny, guzowaty przedmiot starej kobiecie, która pobiegła obejrzeć go pod zakurzonym i mętym oknem.

Roland spojrział na Maud. Jej głowę opasywały warkocze bladozłotych włosów, zdumiewająco jasne w tym świetle, które odbierało rzeczom kolory, muskając je tylko tu i ówdzie przelotnym błyskiem. Z początku doznał szoku, widząc ją obnażoną, jak rozebrany manekin, a kiedy zwróciła ku niemu swą wyniosłą twarz, ujrzał, że ona też się zmieniła, stała się krucha, wręcz bezbronna. Zaprzagnął rozluźnić, uwolnić ciasno upięte

włosy, przebite szpilkami i naciągnięte tak mocno, że niemal poczuł empatyczny ból na skórze własnej czaszki. Oboje unieśli dłonie do skroni, jakby on był jej odbiciem.

Stara kobieta wróciła i położywszy broszkę Maud na ladzie, włączyła zakurzoną lampkę, ukazując jej mroczne szczegóły.

- Nigdy nic podobnego nie widziałam, choć według mnie to musi być wyrób Izaaka Greenberga - na Wielkiej Wystawie w 1850 roku pokazał kilka swoich rzeczy z koralami i drogimi kamieniami, ale nigdy nie widziałam koralu i syreny razem, z tym małym lusterkiem i w ogóle... Skąd pani to ma?

- Chyba można to nazwać pamiątką rodzinną. Znalazłam ją w pudełku z guzikami, kiedy byłam całkiem mała - mieliśmy do zabawy ogromne pudło guzików, sprzączek i innych drobiazgów. Obawiam się, że nikomu się nie podobała. Moja matka mówiła, że to ohydny wiktoriański rupieć. Chyba wiktoriański, prawda? Wzięłam ją, bo przypominała mi Małą Syrenkę - odwróciła się do Rolanda - a później oczywiście Wrózkę Meluzynę.

- O tak, na pewno jest wiktoriańska. Po mojemu sprzed śmierci księcia małżonka w 1861 roku - wtedy robili zabawniejszą biżuterię, choć smutnej zawsze było więcej. Proszę zobaczyć, jaka to robota, te falujące włosy i płetwa ogonowa, jak żywa. Czego to oni wtedy nie potrafili! Dzisiaj już nikt tak nie robi, nigdzie. Przepadło i minęło.

Roland nie widział dotąd z bliska broszki Maud, która w istocie przedstawiała małą syrenkę, siedzącą na skale, odwróconą ku patrzącemu lśnącymi plecami, co skutecznie eliminowało konieczność rzeźbienia jej małych piersi. Włosy figurki opadały na ramiona węzowymi splotami, jej ogon wił się na kamieniu, całość zaś otaczał wianuszek czegoś, co brał za gałązki, a w czym teraz, oczyma starej kobiety, zobaczył gałązki koralu.

Zwracając się do Maud powiedział:

- Odziedziczyłaś po Christabel kilka książek...

- Wiem. Nigdy o tym nie myślałam, to znaczy ta broszka zawsze u nas była, nigdy nie pytałam, skąd się wzięła. W tym sklepie wygląda całkiem inaczej. Wśród tych innych rzeczy. To - to był taki mój żarcik.

- Być może to był *jego* żarcik.

- Nawet jeśli tak - odparła Maud, myśląc zawzięcie - nawet jeśli tak, to nie dowodzi, że *ona* tu była. Dowodzi to jedynie, że kupił broszki dla dwóch kobiet jednocześnie.

- To nawet tego nie dowodzi. Mogła ją sobie kupić sama.

- Jeśli tu była.

- Albo gdziekolwiek indziej, gdzie je sprzedawano.

- Powinna pani o nią dbać - wtrąciła stara kobieta. - To wyjątkowa rzecz, naprawdę, mówię pani. - I patrząc na Rolanda, dodała: - Czy weźmie pan tę broszkę z mową kwiatów? Byłby to dobry komplet do małej syrenki.

- Wezmę broszkę z PRZYJAŹNIĄ - powiedziała szybko Maud. - Dla Leonory.

Roland bardzo pragnął mieć na własność coś, cokolwiek, wykonanego z tej dziwnej, smolistej substancji, której dotykał i o której tyle pisał Ash. Nie chciał jednak wyszukanej kwiatowej ozdoby, nie potrafił też wymyślić, komu mógłby dać taki prezent - nie była to rzecz w stylu Val, w żadnym z jej stylów, ani w starym, ani w nowym. W stojącej na ladzie misie z zielonego szkła odkrył mnóstwo luźnych koralików i okruchów,

które staruszka sprzedawała po siedemdziesiąt pięć pensów za sztukę, i wybrał sobie mały stosik: okrągłych, płaskich, eliptycznych, jeden sześciokątny oraz wypolerowaną, gładką jak jedwab poduszczkę.

- Osobisty różaniec na zmartwienia - powiedział do Maud. - Ja często się martwię.

- Zauważyłam.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Mówią, że zmienną jest kobieta; zgoda,
Ty jednak w swej zmienności się nie zmieniasz,
Jak nieruchoma nitka wartkiej rzeki,
Jedna od źródeł do uścisku morza,
Wciąż odnawiana, w nieustannym ruchu,
Miriada kropel bez końca tych samych.
Ty jesteś siłą - i za to Cię Kocham -
Która tę formę trzyma i porusza.

R.H. Ash, „Askdo Emblu”, XIII

Najdroższa Ellen.

Dziś porzuciłem swój zwykły program sekcji i dyssekcji na rzecz długiej przechadzki od siklawy do siklawy dokoła Doliny Goathland, czyli Godeland. Czy nie wzbudza Twego podziwu ciągle stwarzanie się języka, widoczne w podwójnych nazwach - z których obie jednak są akceptowane - miejsc geograficznych? Nazwy te pochodzą od starożytnych wikingów - Duńczyków, którzy osiedlili się tutaj i przyjęli chrześcijaństwo, oraz od dzikich norweskich pogan, którzy usiłowali nas najechać przez Irlandię i z Północy, aż ponieśli ostateczną klęskę pod Brunanburh. Przez 250 lat uprawiali rolę i wojowali, lecz pozostawili niewiele śladów - tylko słowa i nazwy, które rozkładają się i znikają, co zauważył już W. Wordsworth:

Zważ, jak wszystko zbacza
Ze zwykłej drogi i jak sen przepada;
Inny dziś język brzmi w każdej dolinie;
I tylko smutne Wzgórze lub
Kaskada Stare swe imię opieką otacza,
Prawo zaś, człowiek i obyczaj ginie!*

Na strumień Mirk Esk składają się dwa potoczki, Eller Beck i Wheeldale Beck, które łączą się w miejscu, zwanym Beck Holes, czyli Potokowe Dziury - na tych zaś potoczkach znajdują się liczne piękne siklawy - Siklawia Tomaszowa, Wodna Arka i Siklawia Młyńska, jak również Siklawia Nelly Ayre i Rynna Malyana, imponujący trzydziestometrowy wodospad w lesistym wąwozie. Szczególnie cudowne są tu efekty światła i cienia - zielona zmienność zwisającego listowia i głębokich stawów oraz goniące po niebie obłoki, niosące ciemność, jasność i

znów ciemność. Wspiąłem się na wzgórza Glaisdale i Wheeldale, gdzie potoczki biorą swój początek z małych źródełek, bulgocących pośród piargów i wrzosu. Kontrast między światem chłodnych, nakrapianych słonecznym blaskiem dolinek i cienistych grot, do ciszy których śpieszą żywioły, a otwartą przestrzenią, gdzie, zda się, całymi milami nic się nie porusza i nie rozbrzmiewa oprócz zaskakującego krzyku jednego ptaka lub ćwierkania innego - kontrast ten jest tak całkowity, a zarazem tak naturalny - woda biegnie z jednego świata do drugiego - że można by pomyśleć, iż ta surowa Północ była, jeśli nie Rajem, to pierwotną Ziemią; skały, kamienie, drzewa, powietrze, woda - konkretne i pozornie niewzruszone - przemieszczają się, płyną, przelatują w pogoni światła i cienia, których ruchome płaszcze na zmianę zasłaniają i odsłaniają, ukazują i zamazują wszelkie kształty. To tutaj, droga Ellen, a nie w tłustych dolinach Południa odczuwa się bliskość najdawniejszych ludzi - Bryta i Duńczyka, Nordyka i Rzymianina - z krwi i kości których się wywodzimy, a także istot nieskończenie starszych, stworzeń, które chodziły po ziemi, gdy była jeszcze gorąca. Dr Buckland, który w 1821 roku badał grotę w Kirkdale, odkrył tam jaskinię hien, pełną kości pożartych przez nie zwierząt: tygrysów, niedźwiedzi, wilków, lwów i innych mięsożerców, oraz słoni, nosorożców, koni, wołów i trzech gatunków jeleni, jak również wielu rodzajów gryzoni i ptaków.

* William Wordsworth, „Ecclesiastical Sonnets. XII. Monastery of Old Bongor" (przyp. tłum.).

Powietrza nie umiem Ci opisać. Niepodobne jest do żadnego innego. Nasz język nie został zaprojektowany z myślą o różnych rodzajach powietrza i zawsze istnieje w nim ryzyko bezsensownego liryzmu lub niedokładnej metafory - więc nie będę używał określeń takich jak wino albo kryształ, choć obie te rzeczy przychodzą mi na myśl. Oddychałem powietrzem Mont Blanc - chłodnym, lekkim, jasnym powietrzem, wiejącym z dalekich lodowców, które ma czystość wielkich śniegów z domieszką woni sosnowej żywicy oraz siana z wysokich hal - przezroczystym, rzadkim powietrzem, o którym pisał Szekspir, w którym rozplywają się przedmioty i dzieją się rzeczy subtelne ponad nasze pojmowanie. W powietrzu Yorkshire - to znaczy wrzosowisk - nie ma takiego szklistego chłodu; jest żywe, ruchliwe, jak wody, które wiją się przez wzgórza, a ono wraz z nimi. To powietrze widzialne - widać, jak strumieniem przelewa się nad łysymi grzbietami skał, jak lotną, drżącą fontanną wznosi się ponad wrzosy, gdy dzień jest upalny. A jego zapach - ostry, niezapomniany - bryzgi czystego deszczu i tchnienie odwiecznego, drzewnego dymu - i zimna przejrzystość wody w potoku - i jeszcze coś delikatnego i nieuchwytnego, co jest tylko jemu właściwe - och, nie umiem opisać tego powietrza, dzięki któremu umysł rozszerza się w głowie człowieka - wierzę w to głęboko - dając mu dodatkowe zmysły, których nie znał, póki nie dotarł na te wyżyny...

Jeszcze większa przyjemność czekała Maud i Rolanda następnego dnia, podczas wyprawy w górę strumieni do wodospadów. Wyruszywszy z Goathland, obejrzeli szkliste nitki i postrzępione wachlarze Rynny Malyana, przedzierali się ścieżkami ponad bystrym, pełnym torfu nurtem potoków, brnęli przez wrzosowiska, co i rusz schodząc nad jakąś rzeczkę. Między skałami znajdowali magiczne połączenia murawy, gładko strzyżonej wargami niezmordowanych owiec, otoczone stojącymi kamieniami i kępami tajemniczo nakrapianej, fioletowej naparstnicy. Obok nich wirowały dziwne, przezroczyste owady; na płycznach biegały nurki; w jednym bagnistym miejscu zakłócili spokój całej grupy lśniących nowością żabek, wzbijających pod ich stopami maleńkie

fontanny. Przy lunchu, który zjedli na trawiastej polance w pobliżu Siklawy Nelly Ayre; omówili postępy w poszukiwaniach. Roland, który czytywał w łóżku „Meluzynę”, był obecnie przekonany, że Christabel odwiedziła Yorkshire.

- To musi być tutaj. A gdzie to się dzieje, według nich? Pełno w tym utworze tutejszych określeń, wądołów i komyszy. Powietrze też jest stąd, jak w jego liście. Ona pisze, że powietrze gania po górach jak letnie żrebięta. To wyrażenie z Yorkshire.

- Pewnie nikt tego nie zauważył, bo nikt dotąd tego nie szukał. To znaczy - zawsze zakładano, że jej krajobrazy, choć rzekomo z Poitou, są w istocie bretońskie, ze sporą domieszką romantycznego kolorytu lokalnego - siostry Brontë, Scott, Wordsworth, te rzeczy. Albo że są symboliczne.

- A ty sądzisz, że tu była?

- O, tak. Jestem tego pewna. Ale nie mam dowodu, który by się ostał krytyce. Hob. Słowa z Yorkshire. Moja broszka - być może. Tylko wciąż nie mogę zrozumieć, jak on mógł pisać wszystkie te listy do żony - zaczynam się zastanawiać...

- Może żonę też kochał. Pisze przecież „kiedy wrócę”. Zawsze zamierzał wrócić. I wiemy, że to zrobił. Jeżeli Christabel była z nim tutaj, to nie chodziło o ucieczkę.

- Szkoda, że nie wiemy, o co chodziło.

- To była ich sprawa. Prywatna. Muszę jednak przyznać, że „Meluzyna” przypomina niektóre wiersze Asha. Inne jej utwory - nie, ale „Meluzyna” brzmi czasem - dla mnie - jakby on to napisał. Nie sam temat. Styl.

- Wolałabym, aby to nie była prawda. Ale rozumiem, co masz na myśli.

Jedna z dróg do Tomaszowej Siklawy prowadzi pod górę stromą ścieżką z Beck Hole, maleńkiego miasteczka, skrytego w fałdzie wyżynnych pagórków; tędy poszli, zamiast iść przez wzgórza, chcieli bowiem dotrzeć do stawu, leżącego pod wodospadem. Dzień był ożywczy i pełen ruchu; ogromne białe obłoki żeglowały po błękitnym niebie ponad lasami i suchymi, urwistymi skałami. Na jednej z nich Roland odkrył ciąg lśniących, srebrzystych placków - jak się okazało, były to otwory, wiodące do nor pajaków tunelowych, które wypadały na zewnątrz, groźnie machając odnóżami, kiedy choć słomka zawadziła o ich niciane konstrukcje.

W pobliżu Siklawy ścieżka schodziła ostro w dół i musieli gramolić się po głazach. Woda spadała do naturalnej okrągłej groty, uformowanej przez nawisy skalne, pomiędzy którymi młode drzewka walczyły o niepewny byt; panował tu mrok, pachniało chłodem, mchem i zielskiem. Roland przez chwilę patrzył w zielono-złoto-białą kipieli, po czym przeniósł wzrok na dalszy brzeg wzburzonego, skłębionego jeziorka. Właśnie wyszło słońce i uderzyło promieniami w wodę, ukazując nie tylko jej rozmigotaną powierzchnię, lecz także zatopione, żywe i martwe rośliny, jakby schwyte w sieć grubych, świetlistych oczek. Zauważył ciekawe zjawisko: po ścianach i głazach przy wyjściu pieczary wiły się i pięły białe płomienie. Odbite od wody światło padało na nierówny kamień, w każdej pionowej szczelinie i poziomym pęknięciu drżała płynna jasność, blask zastępował cień, budując zjawiskowy gmach nieistniejących ogni, siatkową konstrukcję nieuchwytnych nitek. Siedząc na kamieniu, Roland trwał zapatrzony przez czas jakiś, aż utracił wszelkie poczucie miejsca, czasu i własnego położenia, ujrzał widmowe płomienie jako ośrodek świadomości; wówczas jego skupienie przerwała Maud, która usiadła obok i zapytała:

- W co się tak wpatrujesz?

- To światło. Ten blask. Popatrz na te efekty świetlne. Zobacz, całe sklepienie płonie.

- Ona to widziała - szepnęła Maud. - Widziała to, jestem pewna. Posłuchaj początku „Meluzyny”:

Ze związku trzech żywiołów powstał czwarty.

Słońce w powietrzu wzór utkało złoty

(Na krosnach z młodych jesionowych drzewek

Wczepionych w cienki torf na skalnej ścianie),

Mozaiką kładąc się na szkliwo wody;

A tam, gdzie gładką toń przebiegło drżenie

Niby węzowych łusek szlak świetlisty,

Pod wodą płomień zamigotał płynny

Jak łuska zbroi; i w jednym momencie

Woda i światło wspólnie przekształciły

Szare sklepienie zatęchłej pieczary

W strzelistą wieżę rozbawionych ogni,

Języków blasku, liżących złom skalny,

Zręcznie biegnących wzdłuż każdej szczeliny,

I pełzających po szorstkim granicie.

Gdzie przedtem leżał cień, teraz igrały

Białego światła formy stożkowate

I lśniące nici ognia, co nie palił,

Nie dawał ciepła, ani też nie karmił

Swojego głodu materialną strawą,

Lecz, nieustannie odnawiany, płonął

Na zimnych gładkach, których nie pochłaniał;

Kamień i światło stworzyły fontannę

Zimnego ognia, co siłę czerpała,

Sztucznie żywotna, z ruchu wodospadu I wód źródłanych...

- Była tu razem z nim - powiedziała Maud.

- Nawet i to nie stanowi dowodu. I nie zobaczyłbym tego, gdyby słońce nie wyszło wtedy, kiedy wyszło. Ale jestem przekonany.

- Ostatnio czytam jego wiersze „Ask do Embli”. Są bardzo dobre. Nie mówi w nich do siebie... mówi do *niej* - do Embli, do Christabel albo... Większość poezji miłosnej polega na mówieniu do siebie. Podobają mi się te wiersze.

- Cieszę się, że coś ci się u niego podoba.

- Próbowałam go sobie wyobrazić. Ich oboje. Musieli być... doprowadzeni do ostateczności. Wczoraj wieczorem rozmyślałam o tym, co powiedziałaś o naszym pokoleniu i seksie. Dostrzegamy go wszędzie, tak jak mówisz. Jesteśmy tacy wiedzący. Wiemy mnóstwo rzeczy, na przykład, że nie istnieje jednolite ego, że każde z nas składa się z różnych układów, współdziałających lub skonfliktowanych - i pewnie w to wierzymy...

Wiemy, że powoduje nami żądza, ale nie postrzegamy jej tak jak oni, prawda? Nigdy nie wymawiamy słowa Miłość, wiemy, że to podejrzany konstrukt ideologiczny, zwłaszcza Miłość Romantyczna. Musimy więc bardzo wysilić wyobraźnię, żeby zrozumieć, jak oni się czuli, tutaj, wierząc w to wszystko - w miłość - w siebie samych - w znaczenie tego, co robią.

- Wiem. Pamiętasz, co mówi Christabel: „Tam, poza naszym bezpiecznym schronieniem, wlatuje Tajemnica”. Mam wrażenie, że temu również położyliśmy kres. I pożądanie, w które tak uważnie wnikamy - sądzę, że całe to wnikanie ma dla pożądania bardzo dziwne skutki...

- Też tak sądzę.

- Czasem wydaje mi się - rzekł ostrożnie Roland - że najlepszy stan to brak pożądania. Kiedy dokładnie się przyjrzę sobie samemu...

- Jeśli istnieje coś takiego jak „ty sam”...

- ... swojemu życiu, jakie jest - to *naprawdę* pragnę tylko - nic nie mieć. Puste, czyste łóżko. Mam w oczach taki obraz - puste, czyste łóżko w pustym, czystym pokoju, gdzie o nic się nie prosi i o nic nie pyta. Ma to pewien związek z... z moją sytuacją osobistą, ale chyba nie tylko, tak mi się zdaje.

- Wiem, o co ci chodzi. Nie, to brzmi jakoś bezbarwnie. Zbieżność jest znacznie większa - ja też myślę o czymś takim, kiedy jestem sama.

Jak dobrze byłoby nic nie mieć. Jak dobrze byłoby niczego nie pragnąć. I ten sam obraz - puste łóżko w pustym pokoju. Białe.

- Białe.

- Dokładnie takie samo.

- Dziwne.

- Być może jesteśmy typowi dla całego stadka wyczerpanych naukowców i teoretyków. A może to dotyczy tylko nas dwojga.

- Jakie to dziwne, bardzo dziwne, że przyjechaliśmy, w określonym celu, żeby tu usiąść i dowiedzieć się *tego* - o sobie nawzajem.

Drogę powrotną odbyli w przyjaznym milczeniu, słuchając ptaków i śledząc zmiany pogody w drzewach i na wodzie. Przy obiedzie przejrzeni jeszcze raz „Meluzynę”, poszukując kolejnych słów z Yorkshire.

Roland powiedział:

- Na mapie jest miejsce o nazwie Boggle Hole. To ładne słowo... Zastanawiałem się - może moglibyśmy wziąć dzień urlopu od *nich*, wyjść z ich opowieści i obejrzeć coś dla własnej przyjemności? U Croppera ani w listach Asha nie ma Boggle Hole... Więc chyba się w nic nie uwikłamy?

- Czemu nie? Pogoda się poprawia. Robi się upał.

- To nieważne. Chcę po prostu popatrzeć na coś ciekawego, co nie ma pokładów znaczenia. Na coś nowego.

Coś nowego, powiedzieli. Mieli na to cudowny dzień; dzień złotej i niebieskiej pogody rodem z prościutkich dziecięcych oczekiwań, gdy świeża, krótka pamięć mówi sobie, że to, co jest, jest, a więc było, a więc będzie. Dobry dzień, by zobaczyć nowe miejsce.

Wzięli ze sobą jedzenie na prosty piknik: świeży, razowy chleb, jasny ser wensleydale, pąsowe rzodkiewki, żółte masło, szkarłatne pomidory, okrągłe, jasnozielone jabłka Granny Smith i butelkę wody mineralnej. Książek nie wzięli.

Boggle Hole to zatoczka schowana pod skałami, w miejscu gdzie przez piach biegnie ku morzu potok od starego młyna, obecnie schroniska młodzieżowego. Szli ścieżkami całymi w kwiatach; wysokie żywopłoty gęste były od polnych róż, przeważnie różowych, czasem białych, o złotożółtych środkach, sypiących żółtym pyłkiem. Cierniste krzaki plątały się misternie z bujnym wiciokrzewem, ciągnącym przez różowość i złoto tren pnący o kremowych kwiatach. Żadne z nich nie widziało ani nie wahało dotychczas takiego rozpasania polnych kwiatów na tak małej przestrzeni. Mocne porywy ciepłego wiatru niosły wielkie chmury intensywnych woni, długo ociągających się z odejściem. Oboje spodziewali się najwyżej kwiatka lub dwóch, współczesnych niedobitków gąszczy, które widział Szekspir i malował Morris*. Tu jednak była obfitość i wzrost, tu kwitło połyskliwe, wonne życie.

Miejsce, które znajdowało się pod skalnym nawisem, nie było właściwie plażą. Za wąskim pasem piasku ciągnęły się ku morzu mokre półki i upstrzone kałużami stopnie skalne. Przeważały jaskrawe kolory; różowy kamień, srebrzysty podwodny piach, wściekle zielone mchy, ciężkie kępy różanopalcych wodorostów między łańcami oliwkowego i żółtego morszczyku. Same skały były szare i kruche.

Roland i Maud zauważyli, że pod ich stopami, jakby wyryte na płaskich kamieniach, rysują się pióropusze i spirale skamielin. Napis na tablicy prosił: „Nie niszczyć klifu, uszanuj nasze dziedzictwo i zachowaj je dla innych”. Amonity i belemnity można było kupić w Whitby. Mimo to wyposażony w młotek i worek młody człowiek opukiwał pracowicie skalną ścianę, z której wystawały spiralne, okrągłe formy.

Osobliwością tej plaży była obfitość dużych, kulistych kamieni, zda się pozostałość bombardowania kosmitów lub gigantów. Pod względem koloru i kształtu bardzo się różniły; trafiały się wśród nich lśniące i czarne, siarkowożółte, białe lub mieniące się różowym kwarcem. Maud i Roland szli pochyleni, wołając bez przerwy: „Popatrz tutaj i tutaj, i tutaj”, przez chwilę obdarzając uwagę jakiś kamień i zaraz zastępując go nowym, pozwalając, by pierwszy ponownie stał się częścią przypadkowego wzoru.

Wreszcie zatrzymali się i rozłożyli piknikiem na skale, z której mogli ogarnąć wzrokiem większą przestrzeń. Roland zdjął buty; na piasku jego stopy zdawały się białe niczym ślepe stworzenia, które wyszły z ciemności. Maud siedziała na kamieniu ubrana w dżinsy i bluzkę z krótkim rękawem. Jej ramiona były białe i złote; biała skóra, połyskliwe włoski. Nalała wody Perrier z zielonej butelki z nalepką, oznajmijającą czystość pochodzenia, *eau de source*, bąbelki zamrugały do nich z tekturowych kubeczków. Zaczął się odpływ. Morze było daleko. Nadeszła pora na osobistą rozmowę. Oboje to czuli i oboje, choć skrepowani, mieli na nią chęć.

William Morris (1834-1898) - ang. malarz, poeta i pisarz, podjął inicjatywę odnowy rzemiosła i sztuk dekoracyjnych (przyp. tłum.).

- Nie żal ci wracać? - Maud.

- A tobie?

- Ten chleb jest bardzo smaczny. - A za chwilę: - Mam wrażenie, że obojgu nam żal.

- Musimy postanowić, co - jeśli w ogóle - powiemy Blackadderowi i Cropperowi.

- I Leonorze. Która przybywa lada moment. Trochę obawiam się Leonory. Łatwo dać się unieść sile jej entuzjazmu.

Roland nie bardzo umiał wyobrazić sobie Leonorę. Nie wiadomo skąd wiedział, że jest duża, a teraz ujrzał ją nagle jako kogoś w rodzaju antycznej bogini, odzianą w draperie, wlokącą za rękę nieskazitelną Maud. Dwie biegnące kobiety. Teksty Leonory kazały mu wyobrazić sobie coś więcej. Dwie kobiety...

Spojrzał na samoistną Maud, siedzącą na słońcu w białej bluzce i džinsach. Wciąż miała na głowie chustkę - już nie jedwabny zawój, lecz świeży, bawełniany trójkąt w kratkę zieloną i białą, związany pod włosami na karku.

- Musisz postanowić, co jej powiesz.

- Och, już postanowiłam. Nic jej nie powiem. Przynajmniej dopóki my - ty i ja - nie podejmiemy jakiejś decyzji. Nie będzie to łatwe. Ona... jest natrętna. Ekspert od intymności. Ogranicza moją przestrzeń. Nie najlepiej sobie z tym radzę. Jak już mówiliśmy. Innymi słowy.

- Może teraz sir George wykona jakiś ruch.

- Może.

- Nie wiem, co ze mną będzie, kiedy wrócę. Jak wiesz, nie mam prawdziwej pracy - tylko trochę zajęć ze studentami, z łaski, i przyczynki przy edycji. Jestem zależny od Blackaddera. Który pisze o mnie nudne opinie, w których wychodzę na jeszcze nudniejszego. Jemu też nie mogę o tym wszystkim powiedzieć. Ale tym trudniej będzie mi coś dalej robić. No, a poza tym jest Val.

Maud nie patrzyła na niego, lecz na jabłko, które kroїła ostrym nożem na plastry cienkie jak papier; chrupiący, białawy miąższ z półksiężycami jaskrawozielonej skórki i lśniącymi czarnymi pestkami.

- Nic nie wiem o Val.

- Nigdy o niej nie mówię. Lepiej nie. Czuję, że nie powinienem. To ona zarabia na chleb. Mieszkam z nią od czasu, gdy poszedłem na uniwersytet. Chyba jestem tu częściowo za jej pieniądze. Nie lubi swojej pracy - zastępstw i tak dalej - ale ją wykonuje. Dużo jej zawdzięczam.

- Rozumiem.

- Tylko że to się nie sprawdza. Nie z jakiegoś konkretnego powodu. Ale dlatego... dlatego że mam tę swoją wizję białego łóżka...

Maud podała mu papierowy talerzyk, na którym ułożyła mały wachlarzyk z plastrów jabłka.

- Wiem. Zdarzyło mi się coś takiego z Fergussem. Pewnie słyszałeś.

- Tak.

- Pewnie ci powiedział. Było nam źle razem. Dręczyliśmy się. Nienawidzę tego, nienawidzę hałasu i zamieszania. Coś mi się przypomniało, kiedy myślałam, co powiedziałaś o ukwiałach, rękawiczkach i tekście Leonory na temat wzgórek Wenery. Tak. Przypomniał mi się Fergus, który bez końca robił mi wykłady o penisie. To jeden z tych ludzi, którzy sprzeczą się, stopniowo zwiększając poziom hałasu - kiedy otwierasz usta, by coś powiedzieć, on zaczyna mówić jeszcze głośniej i bardziej uczenie. Miał zwyczaj cytować mi Freuda o szóstej rano, „Analizę skończoną i nieskończoną”. Wstawał bardzo wcześnie i *pląsał* po mieszkaniu - bez ubrania - przywołując twierdzenie Freuda, że „w żadnym momencie pracy analitycznej wrażenie rzucania słów na wiatr nie jest tak silne, jak wówczas, gdy chce się przekonać kobietę, aby porzuciła swe pragnienie posiadania

penisa". Skądinąd nie sądzę, by Freud miał rację, ale i tak było w tym coś zasadniczo groteskowego; w tym głupim pokrzykiwaniu przed śniadaniem - ze wszystkim na wierzchu. Nie mogłam pracować. Tak właśnie było. Czułam... czułam się jak obita. Właściwie bez powodu.

Roland spojrział na Maud, by zobaczyć, czy się roześmieje, i ujrzał, że się uśmiecha; był to uśmiech zażenowany i trochę drapieźny, ale jednak uśmiech.

Roześmiał się. Maud też się roześmiała.

- To wyczerpujące, kiedy wszystko jest zamierzonym stanowiskiem politycznym. Nawet jeżeli bywa to ciekawe - powiedział.

- Celibat jako nowa rozwiązłość. Nowy hedonizm.

- Którym byłby, gdyby się w nim rozluźnić. Powiedz mi, dlaczego zawsze zakrywasz włosy?

Przez chwilę myślał, że ją obraził, lecz ona jedynie spuściła wzrok i odparła z precyzją niemal akademicką:

- To przez Fergususa. Przez Fergususa, a także przez ich barwę. Nosilałam je bardzo krótkie, ostrzyżone do skóry. Widzisz, mają niedobry kolor, nikt nie wierzy, że są naturalne. Kiedyś wyszczano mnie na jakiejś kobiecej konferencji za to, że je farbuję ku uciesze mężczyzn. Aż w końcu Fergus powiedział, że takie strzyżenie to ustępstwo, kapitulacja, że wyglądam jak czaszka. Że powinnam je po prostu nosić. Więc je zapuściłam. Ale teraz, kiedy urosły, muszę je ukrywać.

- Nie musisz. Powinnaś je uwolnić.

- Dlaczego?

- Dlatego że kiedy ich nie widać, każdy o nich myśli, zastanawia się, jakie mogą być, a więc zwraca na nie uwagę. A także dlatego... dlatego...

- Rozumiem.

Czekał. Maud rozwiązała chustkę. Ogniwa warkoczy przypominały żyłkowane, gładkie, owalne kamienie - żółte żółcią glistnika, słomy, srebrzystości, lśniące ściśniętym życiem. Roland poczuł skurcz, właściwie nie pożądania, lecz niejasnej emocji, prawie litości nad bezwzględny uściskiem, jakiemu poddano całą tę masę, aby nadać jej strukturę powtarzalnych wzorów. Kiedy mrużył oczy, głowa Maud na tle morza wyglądała jak ubrana w koronę guzowatych rogów.

- Życie jest takie krótkie - powiedział. - Mają prawo oddychać.

I naprawdę współczuł włosom niby jakiejś zniewolonej istocie. Maud wyciągnęła kilka szpilek i śliskie sploty osunęły się i opadły jej na kark.

- Dziwny z ciebie mężczyzna.

- Nie usiłuję cię uwodzić. Wiesz o tym. Po prostu chciałem choć raz zobaczyć je rozpuszczone. Wiem, że ty wiesz, że mówię prawdę.

- Tak, wiem. To właśnie jest dziwne.

Zaczęła wolno rozczesywać palcami długie, grube warkocze. Roland patrzył w skupieniu. Nastąpił moment, gdy sześć gęstych, ścisłych pasm, dwa razy po trzy, spoczęło nieruchomo na jej ramionach. A potem pochyliła głowę i potrząsnęła nią z boku na bok, aż bujne włosy frunęły do góry i nabrały powietrza. Zgiąwszy długą szyję, obracała głowę coraz prędzej; Roland ujrzał, jak nadlatuje ku niej światło i lśni na wirującej masie,

Maud zaś, wewnątrz, zobaczyła morze ruchomych, falistych, złotych linii, a gdy zamknęła oczy - szkarłatną krew.

Roland poczuł, że rozluźnia się w nim coś, co dotąd trzymało go w uścisku.

- Chyba czują się lepiej - powiedział.

Maud odgarnęła włosy na bok i spojrzała nań, lekko zaróżowiona.

- Niech będzie. Czują się lepiej.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Jeszcze miłość czymś więcej

Niż skurcz galwaniczny

Lub z rykiem spadający

Popiół wulkaniczny,

Wypluty przez krater

Z ogni wnętrza ziemi?

Czyśmy więc automaty,

Czy aniołów krewni?

R.H. Ash

Kobieta i mężczyzna siedzieli naprzeciw siebie w przedziale kolejowym. Wyglądali spokojnie i godnie; na kolanach obojga leżały otwarte książki, w których się zagłębiali, gdy pozwalał na to ruch wagonu. On, wyciągnięty leniwie w swoim kącie, skrzyżował nogi w pozie swobodnej i rozluźnionej. Jej wzrok przez większość czasu spuszczonej był skromnie na książkę, choć i ona niekiedy unosiła spiczasty podbródek, by popatrzeć z uwagą na zmieniający się krajobraz. Przygodny obserwator mógłby się przez dobrą chwilę zastanawiać, czy podróżują razem, czy oddzielnie, ich spojrzenia bowiem z rzadka tylko się spotykały, a i wówczas pozostawały ostrożne i bez wyrazu. Po dłuższej podróży obserwator taki mógłby również powziąć mniemanie, że dżentelmen podziwia damę lub przynajmniej bardzo się nią interesuje. W chwilach, gdy najbardziej zawzięcie patrzyła w książkę, gdy śledziła migające pola lub znikające za oknem bydło, jego wzrok spoczywał na jej postaci, trudno orzec, czy zamyślony, czy tylko ciekawy.

Był to przystojny mężczyzna, z falistą czupryną ciemnobrązowych, prawie czarnych włosów o rdzawym połysku, i lśniącą, nieco jaśniejszą brodą koloru kasztanów. Czoło miał szerokie, narząd intelektu dobrze rozwinięty, szczerze wyposażony w guzy współczucia i solidarności społecznej. Spod czarnych brwi, szorstkich i nieco krzaczastych, spokojnie spoglądały na świat duże czarne oczy, nieulekłe, lecz zachowujące pewną rezerwę. Wyrazisty nos i mocno zarysowane usta dopełniały twarzy, która, można by pomyśleć, znała sama siebie i traktowała życie w sposób stanowczy. Książka, którą czytał ów dżentelmen, autorstwa Charlesa Lyella, nosiła tytuł „Podstawy geologii”; w chwilach, gdy się nią zajmował, pochłaniał ją szybko i w skupieniu. Jego ele-

gancki strój pozbawiony był ostentacji. Hipotetyczny obserwator miałby nie lada kłopot, próbując określić, czy ów dżentelmen prowadzi życie aktywne, czy kontemplacyjne; wyglądał na człowieka przywykłego do podejmowania decyzji, a zarazem kogoś, kto „myślał długo i głęboko”.

Dama ubrana była wytwornie, aczkolwiek nie najmodniej, w suknię z muślinu w szare paski, na którą narzuciła indyjski szal w turkusowe i lazurowe pawie oczka na gołąbkowym tle; rondo małego, szarego kapelusza-budki ozdobiło kilka białych jedwabnych różyczek. Włosy miała bardzo jasne, cerę bladą, osobliwa zaś zieleni niezbyt dużych oczu zmieniała odcień, ilekroć zmieniało się światło. Właściwie dama ta nie była piękna - pierwszy rumieniec młodości zbladł już na jej zbyt długiej twarzy - jednak jej czaszka miała szlachetny kształt, a elegancki łuk ust nie przypominał bynajmniej odętego pączka róży. Jej zęby, dla znawców trochę zbyt duże, były mocne i białe. Trudno byłoby stwierdzić, czy jest mężatką, czy panną, równie trudno, jak ocenić jej stan majątkowy. W jej stroju, tchnącym schludnością i dobrym smakiem, nie było cienia ekstrawagancji, ale nie nosił on także oznak ubóstwa lub oszczędności. Białe irchowe rękawiczki wyglądały na miękkie i mało używane; małe stopy, pojawiające się czasem, gdy ruch pociągu przesunął szeroki dzwon jej spódnicy, obute były w błyszczące sznurowane trzewiki ze szmaragdowej skórki. Jeżeli nawet owa dama uświadamiała sobie zainteresowanie towarzysza podróży, nie dawała tego po sobie poznać - chyba tylko w ten sposób, że pieczołowicie unikała wzrokiem jego osoby, choć sytuacja nakazywała jedynie zwyczajną skromność.

W rzeczy samej, kwestię ich wzajemnych stosunków nasz obserwator mógłby rozstrzygnąć dopiero, gdy pociąg minął York, wówczas bowiem dżentelmen pochylił się ku damie i zapytał z przejęciem, czy jest jej wygodnie i czy nie czuje się zmęczona. W przedziale nie było już innych pasażerów, z których większość kończyła podróż w York lub miała tam przesiadkę, dalej zaś niż do Malton lub Pickering nie jechał nikt zgoła; zostali sami. Ona spojrzała wprost na niego i odparła, że nie, w ogóle nie jest zmęczona, a po krótkim zastanowieniu uściśliła, że, jak sądzi, stan jej ducha nie dopuszcza zmęczenia. Po czym uśmiechnęli się do siebie, on zaś pochylił się i ujął drobną, urękawiczoną dłoń, która najpierw leżała nieruchomo w jego dłoni, a potem oddała uścisk. Są sprawy, powiedział, które muszą pilnie omówić, zanim dotrą na miejsce, sprawy, których nie mieli czasu ani okazji wyjaśnić w pośpiechu i zamęcie przed wyjazdem, sprawy dość kłopotliwe, które, miał nadzieję, uda się im załatwić, jeżeli dołożą starań.

Układał sobie tę mowę od chwili, gdy wyjechali z King's Cross. Zupełnie nie umiał sobie wyobrazić, w jaki sposób ją wygłosi i jaka będzie jej reakcja.

Odparła, że słucha go uważnie. Mała rączka w jego dłoni zwinęła się i zeszywniała. Pochwycił ją mocniej.

- Podróżujemy razem - powiedział. - Postanowiliśmy... ty postanowiłaś wyjechać ze mną. Nie wiem wszakże, czy od tej chwili chciałabyś mieszkać... zajmować się sobą sama, czy też... czy też... czy chciałabyś podróżować jako moja żona. To duży krok - wiąże się z nim wielkie niewygody, ryzyko i skrzępowanie. Zamówiłem pokoje w Scarborough, w których znalazłoby się dużo miejsca... dla żony. Ale mogę też zamówić inne pokoje - pod fałszywym nazwiskiem. Albo może ty nie chcesz decydować się na ten krok... i wolisz zamieszkać gdzie indziej, oddzielnie i obyczajnie. Wybacz mi tę otwartość. Naprawdę usiłuję odgadnąć, czego sobie życzysz. Wyjeżdżaliśmy w takim uniesieniu - chciałbym, aby decyzje zapadały naturalnie, ale widzisz sama, jak jest.

- Chcę być z tobą - odpowiedziała. - Zdobyłam się na ogromny krok. Decyzja została podjęta. Z radością będę występować jako twoja żona, gdziekolwiek zechcesz, podczas tego wyjazdu. Wydaje mi się, że tak właśnie postanowiłam... postanowiliśmy.

Mówiła szybko i wyraźnie, lecz dłonie obciążone ciepłą kozłą skórą kręciły się i wierciły w jego dłoniach. Tonem cichym i pozornie obojętnym, jakiego dotychczas używali, powiedział:

- To, co mówisz, zapiera mi dech. Oto wielkoduszność...

- To konieczność.

- Ale ty nie jesteś smutna, nie masz wątpliwości, nie jesteś...

- Moje uczucia nie mają nic do rzeczy. To jest konieczność, wiesz o tym - odwróciła twarz i przez strumień drobnych iskier popatrzyła na wolno mijające pola. - Oczywiście, że się boję. Ale to nie ma istotnego znaczenia. Żadna ze starych rozterek - ze starych trosk - nie ma znaczenia. Nie są to rzeczy błahe, ale takie się wydają.

- Nie wolno dopuścić, byś tego żałowała, moja droga.

- A tobie nie wolno gadać bzdur. Oczywiście, że będę żałowała. I ty też, nieprawdaż? Ale to również nie ma teraz znaczenia.

Zamilkli na chwilę. Wreszcie on powiedział, starannie dobierając słowa:

- Jeżeli jedziesz ze mną jako moja żona... mam nadzieję, że przyjmiesz ten pierścionek. To rodzinna pamiątka, należał do mojej matki. Prosta złota obrączka z grawerunkiem w stokrotki.

- Ja również wzięłam pierścień. Należał do mojej ciotecznej babki, Sophie de Kercoz. Jest w nim zielony kamień, patrz - nefryt - z wygrawerowaną literą S.

- Wolałabyś nie przyjmować mojego pierścionka?

- Tego nie powiedziałam. Na razie składałam dowody stanowczości i zdolności przewidywania. Twój pierścionek będę nosić z radością.

Ściągnął więc małą rękawiczkę i wsunął na jej palec swoją obrączkę obok pięknego pierścienia z zielonym kamieniem. Pasowała, choć była dość luźna. Chciał powiedzieć: tym pierścieniem cię poślubiam, swoim ciałem ciebie wielbię - lecz owe słowa, dobre i szczerze, byłyby podwójną zdradą wobec obu kobiet. Ich niewypowiedziana obecność zawisła w powietrzu. Porwał jej drobną dłoń i podniósł do ust, po czym wyprostował się i zaczął obracać w palcach białą rękawiczkę, wygładzając na niej drobne zmarszczki, nadając miękkiej skórcie pierwotny kształt.

Podczas całej podróży z Londynu był mocno speszony jej realną obecnością w przeciwległym, niedostępnym kącie. Wyobrażenie o niej opętało go ongiś na długie miesiące. Była odległa i zamknięta, jak księżniczka na wieży; wielka praca jego wyobraźni polegała na tym, by owa bystrość i tajemnica, owa białość, która stanowiła część jej niezwykłego magnetyzmu, owo przeszywające bądź zamglone zielone spojrzenie stały się obecne, w całości, dla jego umysłu i uczucia. Jej osoba wymykała się wyobraźni, lub, dokładniej mówiąc, tylko w wyobraźni istniała. I oto była tutaj, on zaś zajął się wyszukiwaniem różnic i podobieństw pomiędzy nią a tą wysnioną kobietą, po którą sięgał we śnie, o którą gotów był walczyć.

Kiedy był młodym mężczyzną, wielkie wrażenie zrobiła na nim opowieść o Wordsworcie i jego samotnej, szkockiej dziewczynie*; poeta usłyszał czarodziejski śpiew, wziął zeń dokładnie tyle, ile potrzebował do

swych nieśmiertelnych strof, i nie chciał słuchać więcej. On sam, Ash, odkrył, że jest inny, głodny informacji, faktów, szczegółów. Dla jego ciekawości nic nie było zbyt trywialne, zbyt mało znaczące; gdyby mógł, zrobiłby mapę zmarszczek na każdej kałuży i stąd wnioskował o działaniu niewidzialnych sił wiatru i pływów. Teraz więc jego miłość do tej kobiety, poznanej intymnie - a jednak zgoła wcale - żarłocznie domagała się informacji. Uczył się jej. Studiował blade zwoje włosów na jej skroniach; wydawało mu się, że ich gładka, złotawa srebrzystość zawiera cień, ślad zieleni - nie grynszpan śniedzi, lecz bladą zieleń soków roślinnych, wtopioną we włosy jak mech w srebrzystą korę młodych drzew, jak zielone cienie w warkocze świeżego siana. I oczy też miała zielone, szklanozielone, zielone jak malachit, zielone zmaconą zielenią wody morskiej, niosącej ciężki piasek. Kryły je srebrne rzęsy, dość gęste jednakże, by rzucać się w oczy. Twarz - o, ta nie była dobra. Nie było w niej dobroci. Twarz o czystym rysunku, lecz niezbyt subtelną, raczej mocną, o wydatnych kościach policzkowych, rzucających cień na wklęsłe policzki i skronie - cień błękitnawy, który w wyobraźni zawsze podbarwiał zielenią, w istocie nieobecny.

* Aluzja do wiersza Williama Wordswortha „Samotna żniwiarka” (przyp. tłum.).

Jeżeli kochał tę twarz, która nie była dobra, to za jej jasność, bystrość i ostrość.

Widział - lub tak mu się zdawało - jak cechy te chowają się lub chronią za bardziej konwencjonalnymi środkami wyrazu - sztuczną skromnością, praktyczną cierpliwością, udającą spokój wzgardą. W najgorszych chwilach - widział wszak wyraźnie, jaka jest, mimo swego nią opętania - w najgorszych chwilach patrzyła w dół i na bok, i uśmiechała się obłudnie, skromniutko, a uśmiech ten zaczynał przypominać mechaniczny grymas, był bowiem nieprawdą, konwencją, był krótkim, skrępowanym ustępstwem na rzecz oczekiwań świata. Wydawało mu się, że gdy ujrzał ją za stołem śniadaniowym Crabba Robinsona - słuchającą męskiej dysputy, sądzącą, iż obserwuje, sama nie będąc obserwowana - od razu zrozumiał, kim w istocie jest. Większość mężczyzn, tak sądził, ujrawszy srogość, dzikość i absolutyzm, tak, absolutyzm jej oblicza, cofnęłyby się natychmiast. Byłoby jej przeznaczone cierpieć miłość nieśmiałyh słabeuszy, potajemnie marzących, by znieść od niej rozkazy lub kary, albo też prostaków, biorących jej chłodny, delikatny, powściągliwy wygląd za oznakę kobiecej czystości, której w tych czasach wszyscy pragnęli, przynajmniej pozornie. On jednak od razu poznał, że ona jest dla niego, że jest z nim związana - taka, jaka naprawdę jest lub może być, lub byłaby, na wolności.

Pokoje wynajmowała niejaka pani Cammish, wysoka kobieta o czole ciężkim i zmarszczonym niby czoła wikingów z tapiserii w Bayeux, jednych z wielu, którzy przyplýwali na swych długich łodziach, aby zasiedlić to wybrzeże. Wraz z córką wniosła na pięterko liczne sztuki bagażu - pudła na kapelusze, blaszane kufry, skrzynki na okazy, siatki i pulpity do pisania - kolekcję, której sama objętość przydawała szacowności przedsięwzięciu. Zostawiła ich w solidnie umeblowanej sypialni, aby przebrali się po podróży; wtedy zaniemówili, wpatrzni w siebie. Wyciągnął ramiona. Weszła w jego objęcia, mówiąc jednakże: „Nie teraz, jeszcze nie”. „Nie teraz, jeszcze nie” - powtórzył zgodnie i poczuł, że trochę się rozluźniła. Pociągnął ją do okna, z którego rozciągał się doskonały widok nad krawędzią klifu na dalekie piaski i szare morze.

- Tam - powiedział. - Morze Niemieckie. Ożywiona stal.

- Często myślałam, żeby odwiedzić wybrzeże Bretanii. W pewnym sensie jest to mój dom.

- Nigdy nie widziałem tamtejszego morza.

- Jest bardzo zmienne. Jednego dnia niebieskie i czyste, następnego - wściekle brunatne, wezbrane piaskiem, muliste.

- Muszę - musimy - tam pojechać.

- Ach, sza. To tutaj wystarczy. Może nawet więcej niż wystarczy.

Mieli dla siebie jadalnię, w której pani Cammish podała ogromny posiłek, zdolny nakarmić dwanaście osób, na talerzach obrzeżonych kobaltem i usianych tłustymi pąkami róż: ważę zupy z masłem, gotowanego dorsza z ziemniakami, kotlety z groszkiem, budyń z ararutu i ciasto z syropem. Christabel LaMotte drobiła jedzenie widelcem na talerzu. Pani Cammish szepnęła Ashowi, że choć jego żona jest trochę nieswoja, morskie powietrze i dobre jedzenie na pewno jej posłużą. Kiedy znów znaleźli się sami, Christabel oznajmiła:

- Nic z tego nie będzie. U nas w domu jemy jak dwa małe ptaszki. Zobaczył, że wspomina dom, przez chwilę zasmucona, i odparł lekko:

- Nie możesz dawać się zastraszyć gospodyniom. Chociaż ona ma rację. Powinnaś korzystać z morskiego powietrza.

Przyglądał się jej bacznie. Zwrócił uwagę, że nie próbowała swym zachowaniem naśladować żony. Nic mu nie podawała. Nie pochylała się poufale i nie była ustępliwa. Kiedy sądziła, że jej nie widzi, zwracała ku niemu swe ostre spojrzenie, jednak w jej wzroku nie było troski ani czułości, ani nawet chciwej ciekawości, której on sam nie umiał powściągnąć. Patrzyła na niego tak, jak patrzy ptak, przykuty do drążka - jaskrawopióry stwór z tropikalnych lasów lub złotooki jastrząb ze skał Północy, znoszący swe pęta z całą godnością, na jaką go stać, cierpiący obecność człowieka z wyniosłością istoty wciąż nieoswojonej, stroszący pióra, by pokazać, że się szanuje i że nie czuje się swobodnie. Tak właśnie podciągała mankiety rękawów, tak się trzymała, siedząc na krześle. Miał zamiar zmienić to wszystko. Był prawie pewien, że potrafi to zmienić. Wierzył, że ją zna. Miał zamiar pokazać jej, że nie jest jego własnością, że jest wolna, miał zamiar zobaczyć błysk jej rozwiniętych skrzydeł.

- Mam pomysł na wiersz o konieczności - powiedział. - Takiej, o jakiej mówiłaś w pociągu. W życiu rzadko czujemy, że to, co robimy, jest konieczne w tym sensie... że jesteśmy w uścisku konieczności. Myślę, że śmierć musi być taka. Jeżeli komuś dane jest wiedzieć, że się zbliża, z pewnością rozumie, że osiągnął pełnię - prawda, kochana? - że nie musi już podejmować niezręcznych wyborów, nie może po prostu odmówić z lenistwa. Jest niby kula, która toczy się po gładkim stoku.

- Bez możliwości odwrotu. Jak atakujące wojska, które w istocie mogłyby zawrócić, lecz same w to nie wierzą, wprawione w stan podniecenia, myślące już tylko o jednym...

- Możesz zawrócić w każdej chwili, jeżeli...

- Powiedziałam już. Nie mogę.

Poszli na spacer nad morze. Patrzył na ich ślady - prostą, równoległą do brzegu linię własnych kroków i kręty trop jej stóp, odchodzący i znów powracający, by się z nim spotkać, odejść i znów się zbliżyć. Nie wzięła go pod ramię, choć kilka razy, kiedy się spotkali, chwytala je i przez jakiś czas szła obok żwawym krokiem. Oboje chodzili bardzo szybko.

- Dobrze nam się razem chodzi - powiedział. - Chodzimy w podobnym tempie.

- Przypuszczałam, że tak będzie.

- Ja też. Pod pewnymi względami znamy się bardzo dobrze.

- A pod innymi wcale.

- To można naprawić.

- Nie całkiem - odparła, znów się oddalając. Krzyknęła mewa. Późne słońce właśnie zachodziło. Wiatr potargał morze, tu zielone, gdzie indziej szare. Ash szedł spokojnie, otoczony własną elektryczną burzą.

- Czy są tu foki?

- Foki? Nie wydaje mi się. Dalej na północ, owszem. Na wybrzeżach Northumbrii i Szkocji krąży wiele legend o żonach fokach, kobietach fokach, kobietach z morza, które przychodzą na chwilę, by niebawem odejść.

- Nigdy nie widziałam foki.

- Ja widziałem je po drugiej stronie tego morza, podczas podróży po Skandynawii. Mają ludzkie oczy, bardzo wilgotne i inteligentne, oraz śliskie, krągłe ciała.

- Dzikie, lecz łaskawe.

- W wodzie poruszają się jak wielkie, gibkie ryby. Na lądzie muszą pełzać i dźwigać się, jakby były kallekie.

- Napisałam bajkę o focie i kobiecie. Interesują mnie metamorfozy. Nie umiał powiedzieć: nie odejdiesz ode mnie, jak te żony foki.

Mogła, musiała odejść.

- Metamorfozy - odparł - to nasz sposób, by za pomocą zagadki ujawnić wiedzę o tym, iż jesteśmy częścią świata zwierząt.

- Sądzisz, że nie ma znaczącej różnicy między nami i fokami?

- Tego nie wiem. Istnieje natomiast mnóstwo podobieństw. Kości dłoni i stóp, nawet w tych niezdar-nych płetwach, również kręgi i kości czaszki. Wszyscy zaczynaliśmy jako ryby.

- A nasze nieśmiertelne dusze?

- Twoja, jak sądzę, jest i tak zgubiona z braku uznania i pokarmu.

- Czuję się skarcona.

- Nie było to moim zamiarem.

Czas się zbliżał. Wrócili do Klifu i zasiedli w jadalni, gdzie przyniesiono im tacę z podwieczorkiem. Nalał herbaty. Siedziała i patrzyła na niego. Był jak ślepiec, błądzący po zagraconym, nieznanym pokoju; po omacku wyczuwał niejasne zagrożenie. Istniały reguły uprzejmości, obowiązujące podczas miesiąca miodowego i przekazywane z ojca na syna lub pomiędzy przyjaciółmi. Jednakże myśląc o nich, poczuł się niepewnie, jak wówczas, gdy chciał wymówić słowa ceremonii zaślubin. To nie był miesiąc miodowy, mimo że miał jego nieprzeniknioną obyczajność.

- Wejdiesz pierwsza na górę, kochanie? - zapytał, a własny głos, przez cały ten długi dzień celowo swobodny i życzliwy, zazgrzytał mu w uszach. Stanęła, patrząc na niego, napięta lecz drwiąca, i uśmiechnęła się.

- Jeśli sobie życzysz - odparła, niezbyt potulnie, wcale nie potulnie, lecz z pewnym rozbawieniem, po czym wzięła świeczkę i wyszła.

Dolał sobie herbaty - wiele dałby za koniak, lecz pani Cammish takie rzeczy nie mieściły się w głowie, on sam zaś nie pomyślał o tym, by umieścić go wśród rzeczy niezbędnych w podróży. Zapalił długie, cienkie cigarillo i jął rozważać swe nadzieje i oczekiwania oraz brak w języku określeń na większość z nich. Istniały, rzecz jasna, eufemizmy i samcze, grupowe brutalizmy, istniały też książki. Pomyślał więc o książkach, nade wszystko bowiem nie chciał teraz myśleć o swym życiu. Chodząc tam i z powrotem wśród ostrego dymu węgla z morza, wspomniawszy szekspirowskiego Troilusa:

A cóż to będzie, kiedy podniebienie W rzeczywistości skosztuje nektaru Przez słodką miłość destylowanego?*

Pomyślał o Honoriuszu Balzaku, od którego nauczył się wielu rzeczy, czasem błędnych, czasem zaś po prostu zbyt francuskich, by mogły być przydatne w świecie, w którym przyszło mu żyć. Kobieta na piętrze była częściowo Francuzką, a poza tym *czytała*. To mogło tłumaczyć jej brak nieśmiałości, jej zdumiewającą, rzeczową bezpośredniość. Niemniej cynizm Balzaka zawsze był romantyczny - ta zachłanność, ta soczystość: „*Le dégoût, c'est voir juste. Après la possession, l'amour voit juste chez les hommes*”**. Dlaczego właśnie tak? Dlaczego niesmak miałby widzieć trzeźwiej aniżeli pożądanie? Te sprawy mają swoje rytmy. Przypomniał sobie, że jako mały chłopiec - całkiem mały, ledwie świadomy faktu, że chcąc nie chcąc, musi kiedyś stać się mężczyzną - że jako mały chłopiec czytał „*Rodericka Randonne'a*”***, dzieło Anglika, pełne rubasznej i jowialnej odrazy do kondycji ludzkiej i jej niedociągnięć, pozbawione jednak subtelnej, balzakowskiej analizy ludzkiej mentalności. Książka kończyła się happy endem; pisarz porzucał bohatera pod drzwiami sypialni, po czym wpuszczał go do środka w swego rodzaju postscriptum. Ona zaś - zapomniał już, Celia czy Zofia, owo wyprane z charakteru uosobienie cielesnej i duchowej doskonałości, a dokładniej mówiąc, męskich wyobrażeń - pojawiała się w jedwabnym gieżle, spod którego przezierały jej członki, po czym zdejmowała je przez głowę i odwracała się ku bohaterowi/czytelnikowi, jemu pozostawiając resztę, obietnicę. Ta chwila stała się dla Asha próbierzem. Jako mały chłopiec nie wiedział, co to gieżło - nadal tego nie wiedział - i miał w najlepszym razie mętne wyobrażenie o różnych członkach itp. Ale opis ten go poruszył. Przemierzył nerwowo pokój. A ona, tam, na górze, jak ona widziała tego, na kogo czekała? Poszedł.

* William Szekspir, „Troilus i Kresyda” III. 2, przeł. Leon Ulrich (przyp. tłum.).

** *Le dégoût...* (fr.) - niesmak widzi prawdziwiej. Ludzie widzą się wyraźniej, dopiero gdy miłość się spełni.

*** „*Roderick Randonne*” - barwna powieść łotrzykowska Tobiasza George'a Smolletta (1721-1771) (przyp. tłum.).

Schody były bardzo strome, drewniane i gładkie, pokryte śliwkowym chodnikiem. Dom pani Cammish był dobrze utrzymany. Drewno pachniało woskiem pszczelim, przytrzymujące chodnik mosiężne pręty błyszcząły.

Sypialnię zdobiła tapeta w monstrualne pnące róże na tle koloru kapusty. Znajdowała się tu toaletka, szafa, zasłonięta kotarą alkowa, wyściełany fotel o wygiętych nogach i ogromne, mosiężne łóżko, na którym

majestatycznie spoczywało kilka puchowych piernatów, jakby oddzielających księżniczkę od grochu. Na samej górze czekała ona, patrząc nań bacznie znad sztywnej, białej, szydełkowej kapy i kołdry z patchworku, które naciągnęła pod brodę. Miała na sobie nie „giezło”, lecz koszulę nocną z cienkiego białego płótna, wykończoną przy kołnierzu i rękawach marszczeniem i koronkami, zapiętą wysoko na rząd maleńkich lnianych guziczków. Jej twarz w świetle świecy była niczym kość, biała, ostra i lekko połyskliwa. Ani śladu różu. No i włosy - cienkie, blade i bujne, przez częste zaplatanie zmięte w sprężyste zygzaki, okrywające chmurą szyję i ramiona, metalicznie lśniące w blasku świecy, oraz tu i ówdzie - tak - zielonkawe odbłaskiem dużej szklawionej donicy, mieszczącej w sobie soczystą, szablistną paproć. Spoglądała na niego w milczeniu.

Inaczej niż wiele kobiet, nie rozrzuciła po pokoju swoich rzeczy, nie zajęła wszystkich powierzchni damskimi drobiazgami. Na krześle stało coś jakby drżąca, zapadnięta klatka - krynolina, wyposażona w paski i stalowe haczyki - pod nią zaś małe zielone trzewiki. Żadnej szczotki, żadnego flakonu. Odstawił z westchnieniem świecę i szybko się rozebrał, w cieniu, poza kręgiem światła. Patrzyła na niego; podniósłszy oczy natknął jej wzrok. Mogła się położyć i odwrócić twarz, lecz nie uczyniła tego.

Gdy brał ją w ramiona, to ona zapytała szorstko:

- Boisz się?

- Teraz ani trochę - odparł. - Moja jedwabna foko, moja biała pani. Christabel.

Była to pierwsza z owych długich, osobliwych nocy. Odpowiedziała mu namiętnością równie zawziętą jak jego własna, a także świadomą, domagała się bowiem odeń rozkoszy, otwierała się na nią, chwytając ją z urywanymi, zwierzęcymi okrzykami. Głaskała jego włosy i całowała jego niewidzące oczy, lecz nie starała się specjalnie dać przyjemności jemu, mężczyźnie - i do końca tego nie zrobiła. W pewnej chwili pomyślał, że trzyma w objęciach niemal Proteusza, jakby wodę, przelewającą się przez jego chwytnie palce, wzbierającą dookoła morską falę. Iluż to mężczyzn tak właśnie myślało, zapytywał siebie, w iluż to miejscach, iluż klimatach, iluż pokojach, chatach i grotach? A wszyscy zapewne czuli się pływakami w słonym morzu o wezbranych falach, wszyscy zapewne czuli, *wiedzieli*, że są wyjątkowi. To tu, to tu, to tu, bił puls w jego głowie, to tu prowadziło całe jego życie, do tego aktu i miejsca, do tej kobiety, do tego zdyszanego końca. „Nie walcz ze mną” - powiedział w pewnej chwili, ona zaś, skupiona, odparła: „Muszę” - a więc pomyślał: „Dość słów”, i pieścił ją, dopóki nie krzyknęła. Wtedy dopiero przemówił: „Widzisz, znam cię” - a ona bez tchu odparła: „Tak, przyznaję. Znasz”.

Dużo później obudził się z półsnu. Wydało mu się, że słyszy morze, co było niemal możliwe, lecz wówczas zauważył, że ona cicho płacze, leżąc obok. Wyciągnął ramię; wtuliła twarz w jego szyję, trochę niezdarnie, nie lgnąc do niego, lecz prąc na oślep, na zatracenie.

- Co się stało? Najdroższa?

- Ach, jak my to zniesiemy?

- Co zniesiemy?

- To. Tak mało czasu. Jak możemy go przespać?

- Możemy leżeć razem w ciszy i udawać - gdyż to dopiero początek - że mamy mnóstwo czasu przed sobą.

- I co dzień będzie go coraz mniej. A potem wcale.

- Wolałabyś więc, byśmy go w ogóle nie mieli?

- Nie. Do tego zawsze zmierzałam. Od początku swych dni. A kiedy stąd odjadę, to będzie ów środek, do którego wszystko zbiegało, z którego wszystko wybiegnie. Lecz teraz, mój kochany, jesteśmy tutaj, jesteśmy *teraz*, a te inne czasy biegną gdzie indziej.

- Doktryna poetyczna, lecz niezbyt pocieszająca.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że dobra poezja nie jest pocieszająca. Pozwól się objąć, to nasza noc, pierwsza, a więc najbliższa nieskończoności.

Poczuł na ramieniu jej twardą, moką twarz i wyobraził sobie żywą czaszkę, żywą kość, czerpiącą pokarm błękitnej krwi i niedostępnych myśli z cienkich żyłek i rurek w niewidocznych dla oka głębinach.

- Ze mną jesteś bezpieczna.

- Wcale nie jestem z tobą bezpieczna. Ale nie pragnę być nigdzie indziej.

Myjąc się rano, znalazł na udach ślady krwi. Już przedtem zastanawiał się, czy ona *zna* tę rzecz ostateczną - i oto miał przed sobą odwieczny dowód. Stał z gąbką w ręku i łamał sobie głowę; kunszty tak subtelne, pożądanie tak świadome - a jednak dziewica. Istniały pewne możliwości, z których najbardziej oczywista była dlań lekko odpychająca, choć później, gdy się zmusił, by ją rozważyć, okazała się też interesująca. Jednak nigdy nie mógł o to zapytać. Okazanie zainteresowania, choćby ciekawości, było równoznaczne z jej utratą. Natychmiastową. Wiedział o tym, nawet o tym nie myśląc. To było niczym zakaz Meluzyny, ale jego, inaczej niż nieszczęsnego Raimondina, żaden wątek narracyjny nie zmuszał do niestosownego wścibstwa. Lubił wiedzieć wszystko - nawet to - ale miał zbyt wiele rozumu, by interesować się sprawami, których - powtarzał sobie - nie miał szans poznać. Ona zaś musiała ukryć zdradziecką białą koszulę w swym bagażu, bo już nigdy jej nie zobaczył.

To były dobre dni. Pomagała mu preparować okazy i nieustraszenie wdrapywała się na skały. Niby syreny Goethego i Homera śpiewała na skałach Filey Brigg, z których morze ongiś splukało panią Peabody z całą rodziną. Zostawiwszy za sobą klatkę krynoliny i połowę halek, z wiatrem w jasnych włosach dzielnie maszerowała przez wrzosowiska. Siedziała skupiona przy torfowym ogniu, patrząc, jak stara kobieta opieka na ruszcie małe szczupaczki. Prawie nie odzywała się do obcych; to on pytał, po czym wysłuchiwał informacji i zwierzeń, to on dowiadywał się wszystkiego. Kiedyś, gdy przez pół godziny zatrzymywał pewnego rybaka na rozmowie o kołowrotach, wypalaniu wrzosowisk i wycinaniu torfu, powiedziała:

- Randolphie Ashu, jesteś zakochany w całym rodzaju ludzkim.

- Jestem zakochany w tobie. I tym samym we wszystkich stworzeniach, które są choć odrobinę do ciebie podobne. Co oznacza wszystkie stworzenia, gdyż jestem przekonany, że jesteśmy częściami jakiegoś boskiego organizmu, który oddycha swym własnym oddechem i trochę żyje tu, trochę umiera tam, niemniej jest wieczny. Ty zaś jesteś manifestacją jego ukrytej doskonałości. Jesteś życiem wszystkiego.

- Och, nie. Jestem zmarzłym śmiertelnikiem, jak powiedziała wczoraj pani Cammish, kiedy zakładałam szal. To ty jesteś życiem wszystkich rzeczy. Stoisz sobie i wciągasz je w siebie; pod twoim wzrokiem to, co nudne i bez wyrazu, zaczyna błyszczeć. A kiedy chcesz je zatrzymać, one zaś odchodzą, interesuje cię nawet ich znikanie. Kocham to w tobie. I trochę się tego boję. Potrzebuję ciszy i nicości. Powtarzam sobie, że powinnam spłowieć i długo jarzyć się w twym gorącym świetle.

Kiedy już było po wszystkim, gdy ich czas się skończył, najlepiej pamiętał dzień, który spędzili w miejscu, określanym Boggle Hole, gdzie pojechali, gdyż podobała im się ta nazwa. Zachwycali ją bezkompromisowe nazwy Północy, które zbierali niby kamienie lub kościste morskie stwory: UGGLEBARNBY, JUGGER HOWE, HOWL MOOR. W swych małych notatnikach notowała kobiece imiona stojących kamieni, zwanych *meres*, które napotykali na wzgórzach. Gruba Betty, Kamień Nan, Przypochlebna Ciss. „Oj, panie - mówiła - opowiem ci straszną historię Przypochlebnej Ciss i zarobię na tym kilka błyszczących gwinei”. To również był dobry dzień, błękitny i złoty, dzień, który przywiódł mu na myśl młodość Stworzenia.

Szli przez letnie łąki, wąskimi ścieżkami wśród wysokich zarośli, gęstych od polnych róż, misternie splecionych z kremowym wiciokrzewem, niczym gobelin z Rajskiego Ogrodu, pachnący lotną słodyczą, każącą myśleć o niebiańskich dziedzińcach Swedenborga, gdzie kwiaty mają swój język, kolory zaś i wonie są kształtami mowy. Dróżką od młyna powoli zeszli do osłoniętej zatoczki i kwiatny zapach zastąpiła ostra woń północnego morza, niesiona silnym wiatrem solanka, odór gnijących ryb i wodorostów, płynących w dal ku lodom Północy.

Trwał przypływ i musieli przejść po ciasnej półce pod nawisem klifu. Patrzył na nią, jak szybko i zgrabnie posuwa się do przodu. Ręce wyciągnęła nad głową, chwytając się pęknięć i szczelin mocnymi drobnymi palcami, pewnie stawiała małe trzewiki na śliskich płytach. Kamień, rozwarstwiony i kruchy, szczególnej barwy szarego metalu, był matowy, pozbawiony połysku, z wyjątkiem miejsc, gdzie z góry sączyła się woda, niosąca ślady rudej ziemi. Warstwy szarości upstrzone były regularnie sfałdowanymi koloniami krągłych amonitów, zwiniętą substancją kamiennych form życia - żywych form w kamieniu. Jasna głowa Christabel i okalające ją warkocze zdawały się powielać te formy; szara suknia, ze spódnicą rozwianą wiatrem, wtapiała się prawie w szarość skał. A wzdłuż powielających się, cienkich krawędzi, w poprzek zawilej sieci pęknięć, biegały pośpiesznie setki maleńkich, pajęczkowatych żyłatek o intensywnej barwie cynobru. Niebieskawy odcień skalnej szarości podkreślał jeszcze ich czerwień, były jak cienkie nitki krwi, jak porwana, ognista siatka. Widział jej białe ręce niczym gwiazdy na tle kamienia i widział czerwone stworzonka, biegające przy nich i po nich.

Przede wszystkim jednak widział jej talię, owo miejsce zwięzienia tuż ponad dzwonek spódnic. Przypominał sobie nagość Christabel i swoje dłonie wokół tego przewężenia. Przez chwilę widział klepsydrę, zawierającą schwyty w niej czas, podobny strużce piasku, kamyków, drobin życia, istot, które żyły i żyć będą. Tam był jego czas, jego przeszłość i przyszłość, obecnie ściśnięte z taką dzikością - z taką łagodnością - w maleńkim obwodzie. Wspominał niezwykle fakt lingwistyczny - słowo oznaczające talię brzmi po włosku *vita*, czyli życie, co musi mieć, myślał, związek z pępkiem, skąd wypływamy w osobne życie odrzucając cumę pępowiny, którą wedle przekonania biednego Philipa Gosse'a Bóg musiał stworzyć dla Adama jako mityczny znak odwiecznej obecności czasu przyszłego i przeszłego we wszystkich teraźniejszościach. Pomyślał także o Wróżce Meluzynie, kobiecie *jusqu'au nombril, sino alla vita, usque ad umbilicum**, aż do samej talii. To jest mój środek, myślał, tutaj, w tym miejscu, w tym czasie, w niej, w tym przewężeniu, gdzie moja żądza znajduje swój koniec.

* *Jusqu'au nombril...* (fr. wł., łac.) - aż do pępka.

Na tym wybrzeżu można znaleźć wiele rozmaitych okrągłych kamieni: czarny bazalt, różnobarwne granity, piaskowiec i kwarc. Zachwyciły ją, wypełniła piknikowy kosz ich ciężkim jak kule artyleryjskie ładunkiem, czernią sadzy, złotem siarki i szarością kredy, która pod wodą ujawniała plamki najczystszej, przezroczystej różowości.

- Wezmę je do domu - powiedziała - będę nimi podierać drzwi i przyciskać arkusze mego poematu, ogromnego przynajmniej pod względem ilości papieru.

- Poniosę ci je tymczasem.

- Sama noszę swoje brzemiona. Tak trzeba.

- Nie, póki ja tu jestem.

- Nie będziesz tu... nie będziesz tu już zbyt długo.

- Nie myślmy o czasie.

- Osiągnęliśmy Faustowskie *non plus*. Każdej chwili mówimy „*Verweile doch, du bist so schön*”*, lecz jeśli nie zostaniemy z miejsca przekłęci, gwiazdy nadal obiegać będą niebo, a zegar - wybijać godziny. Możemy wszelako żałować każdej mijającej chwili.

- To nas wyczerpie.

- „A czyż to nie jest dobry koniec? Człowiek, mimo iż nic mu nie dolega, może umrzeć wyłącznie ze skrajnego znużenia, robiąc to samo, wciąż i wciąż, bez końca”.

- Nigdy nie znużę się tobą - tym...

- Znużenie leży w naturze ludzkiej. Na szczęście. Zawijmy spisek z koniecznością. Bawmy się nią.

Tak, choć naszego słońca nie umiemy Zatrzymać, jednak biec mu rozkażemy**.

- Poeta bliski memu sercu - powiedziała. - Choć ukochany nie bardziej niż George Herbert. Lub Randolph Henry Ash.

* *Verweile...* (niem.) - trwaj [chwilo], jesteś tak piękna; Johann Wolfgang Goethe, „Faust” (przyp. tłum.).

** Andrew Marvell, „Do nieskorej bogdanki”, przeł. Stanisław Barańczak (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ SZESNASTY

WRÓŻKA MELUZYNA INTRODUKCJA

Czymże więc była Wróżka Meluzyna? Gadają ludzie, że nocą na zamku Czarny wiatr furczy pod rozpiętym skrzydłem Długiego smoka, co ogonem prężnym I twardą lotką bije mroczne niebo, Żeglując wśród obłoków poszarpanych, I że raz po raz słyhać wśród wichury Krzyk zawodzący, drżący i bolesny Co z wyciem wiatru wzlata - i zacicha.

Gadają ludzie, że na łożu śmierci Do panów z Lusignan przychodzi Zjawa, Pół wąż smolistoczarny, pół Królowa, W koronie, kirem żaloby spowita. Naówczas każdy z nich czyni znak krzyża I pragnie się pojednać z Królem Niebios, Ona zaś z krzykiem bólu zaraz znika, Nie mogąc, mówią, znieść Jego imienia, Z pastwisk niebieskich na zawsze wyklęta.

Stara piastunka gada, że na zamku Niewinni chłopcy spali w pól objęci,

Aby oddalić chłód z kończyn i serca, I że głęboką nocą smukła ręka Kotarę odsunawszy, podnosiła Uśpione ciała do swej mlecznej piersi, Ażeby ssały - o czym właśnie śniły; A z mlekiem matki mieszały się w ciszy Łzy ciepłe, sącząc w usta śniących dzieci smaki słony i słodki; że uśmiechem Witały słodycz, płakaniem zaś - słoność, A rano znów śnić chciały - i nie chciały. Tak rzecz niania; chłopcy rosną zdrowo.

Tam, poza naszym bezpiecznym schronieniem

Wzlatuje Tajemnica; tam, na wietrze

Słysząc jej wycie, widać, jak jej siła

W ruch wprawia wielkie wiry w mrocznych głębiach,

Podobna dziecku, co puszcza w ruch bąka,

Po czym znużone, zapomina o nim

I pozwala mu upaść. W szarych murach

Widnieją ślady jej zębów sekretne;

Słysząc, jak wije się w poszyciu leśnym,

Tkając korzeniom życie lub zagładę,

I na osnowie drzew wysokopiennych

Snuje ornament gałązek i liści

W koronach szumnych, całowanych słońcem,

Które kołyszą się, zmieniają, płoną,

Więdną i giną. Ścieżki Obcych Mocy

Biegną przez nasze niepozorne życie,

Pod lodem płynie mleko wielorybów,

Prąd elektryczny mknie z oka do oka,

Magnetyzm zaś - z bieguna do bieguna

I z naszych Istnień, które wskroś przenika.

Stopa ślimaka chwyta; resztki życia

Fale wciąż miażdżą w piach drobny i gładki,

Czaszki i muszle, i fragmenty skorup

Błyszczą wśród drobin twardego krzemienia,

Piaskowca, kredy - i z tego wszystkiego

Wiatr rzeźbi wydmy niczym dinozaury,

Mamucie zwały piasku, które morze Rozbija znów w materii lotne strzępki.

W kronice starożytnej Jana z Arras

(Który pisał dla Pana, ku nauce

I gwoli przyjemności) czytam tedy:

„Król Dawid rzecz, iż wyroki Pańskie

Są niby wielkie, niezbadane głębie,

Bezdenne i bezbrzeżne, w których dusza

Kręci się bez oparcia, pochłonięta
Czymś, czego nie pojmuje". Jan zakonnik
Pokornie konkluduje, że duch ludzki
Winien zaniechać użycia rozumu
W miejscach, gdzie ów nie sięga. Człek rozumny
- rzeczce poczciwy mnich - zrozumie przecie,
Iż rację miał wielki Arystoteles,
Twierdząc stanowczo, że w świecie istnieją
Stwory widzialne oraz niewidzialne
W swoim rodzaju. Następnie cytuje
Świętego Pawła, który w Niewidzialnych
Postrzegał pierwszych świadków mocy Stwórcy,
Dla umysłu ludzkiego niepojętej
I tylko czasem objawionej w Księgach,
Które pisują mędrcy ku przestrodze
Zachwianych w wierze...

Powietrze przeto - pisze nasz mnich dzielny - Pełne jest Istot, Bytów i Kreatur Wielce potężnych w
swym ulotnym świecie, Których my wszakże nigdy nie widzimy, Chociaż ich ścieżki przecinają nasze. Takimi
Wróżki są lub - rzeczce - Parki,

O których Paracelsus mawiał kiedyś, Że były Aniołami; nie przeklęte
I nie zbawione, błakają się teraz
Przez wieczność całą między twardą ziemią A Niebios bramą, złotą i zamkniętą...
Duchy powietrza, nie złe i nie dobre, Bez złych intencji, po prostu kapryśne.
Prawa Niebieskie podtrzymują Ziemię
Niczym oś mocna, na której planeta
Z Jego rozkazu wiruje i krąży,
Lub niczym siatka (zmieniam metaforę),
Która spowija niebiosy i morza,
Trzymając tę rozkołysaną masę
W swoich drobniutkich splotach. Poza nimi
Materii nie ma i umysł nie stąpa,
Chyba że w otchłań Lęku i Rozpaczy -
Formy jeno iluzji.
Kim są tedy Te, co sny nasze często nawiedzają
I wolę osłabiają, by odwrócić
Uwagę naszą od rzeczy konkretnych?
Siostry Horroru to, czy na wygnaniu
Królowe Niebios, pozbawione władzy

Nad duchem, kruche mieszkanki fantazji?
Aniołów Pańskich zastępy złociste
Idą spod Bram Niebieskich w srebrnych kaskach,
Trony, Królestwa, Cnoty i Potęgi,
Szybkie jak myśl do czynu od zamiaru,
To instrumenty są Prawa i Łaski.
Kim więc są tamci, wędrujący obok,
Którzy pragnieniem spiętrzają Powietrze
Łatwo jak, dajmy na to, okiem mrugnąć,
Lub dla rozkoszy przerażenia skaczą
W szczelinę między czarnym czołem chmury
I spokojnego nieba oceanem?
Kimże są oni, których miękkie dłonie
Nie mogą przerwać wiecznego łańcucha
Skutków i przyczyn, krępujących ziemię,
Łód, morze, ogień, czas i krew, i ciało?
Gdy boski Eros leżał w łóżu Psyche, 311

Zazdrosne siostry rzekły, iż dzień jasny Objawi u jej boku węża-smoka. Złamawszy zakaz, oświetliła zatem Świecy płomieniem miłość w ludzkiej formie. Wosk upadł kroplą na kształt doskonały On zaś, sparzony, uciekł w wielkim gniewie.

Lecz niechże Moc przyjmie kobiecą postać To zaraz kara spada na nią samą: Każdy się wzdryga, widząc twarz Meduzy W zwoju węzowych loków. Któżby płakał Nad Scyllą w jej pieczarze pełnej kości, Walącą zadem, skowyczącą z żalu Sforą psych pysków - chociaż piękną była I bóg mórz kochał ją za tajemniczość, Córkę Hekate, cudną jak Noc ciemna? Któż oplakuje ścięte głowy Hydry? Wciąż słyhać śpiew syreny, choć cnotliwi W dal odpływają, zasłoniwszy uszy, Gdyż boli ją, że to co kocha - zginie, Że jej kochanie, pięknie brzmiące w pieśni, Śmiertelne jest dla zwykłych śmiertelników. Tajemny uśmiech kotki, Sfinksem zwanej Zniewalał głupców, którzy nie widzieli, Że rozwiązaniem Zagadki jest Człowiek, Po prostu Człowiek, a nie Tajemnica. Lecz kiedy to odgadli, krwawa zemsta Spotkała ją za śmiałość i za formę Tak Monstrualną. Człowiek sam się nazwał I przez to zyskał Moc nad Pytającym, Co przedtem był dla niego Przeznaczeniem, A stał się - Niewolnikiem i ofiarą.

A więc - czym była Wróżka Meluzyna? Czy była z rodu straszliwej Echidne, Pokrytych łuską, śliskich pożeraczy, Czy krewni jej to stwory łagodniejsze, Zwinni wędrowcy krainy półmroku,

Co w ciszy zmierzchu, bez światła i we śnie
Cudowną Tajemnicę obiecują -
Kapryśne driady, białe panie, elfy,
Kształt zmieniające jak wesołe chmury,
Albo iskrzące się nitki strumieni;
Jasne istoty wody i powietrza,

Które są odpowiedzią na tęsknotę,
Lecz nie ukrzywdzą - bowiem zniknąć muszą
O dnia prozaicznego pierwszym brzasku,
Zgubione przez pragnienie swoje własne
Duszy człowieczej, domu i ogniska.

Czy mam historię Wróżki opowiedzieć? Czy w swojej pieśni ośmielę się dotknąć Przeznaczenia i magii? Poza świat bezpieczny Wyjść do krainy cieni? Czy się ważyć? Pomóż mi, o Tytanko, Mnemozyno, Ziemi i Nieba starożytna córo, Matko Muz, które nie mieszkają przecież Na górze w kwiatach ni w źródła kryształe, Lecz wewnątrz ciemnej i ciasnej pieczary, Jaka jest czaszka. Ty, Pamięci, przedziesz Nić, która łączy mój współczesny umysł Z tymi, co żyli dawno, dawno temu, Z ciemnym i śniącym rasy mej Początkiem, Gdy niewidzialne z widzialnym jednak W milczeniu trwało. O Ty, źródło mowy, Daj mi słów mądrość i bezpieczną drogę Od bajki przy kominku w mrok zewnętrzny

I daj powrócić, bym zasnęła mocno
Snem chrześcijańskim - i w porządnym łóżku.

KSIĘGA I

Rycerz obdarty jechał przez pustkowie -
Za nim lęk szary, przed nim pusta przestrzeń -
Koń senny, krwią zbryzgany, szedł powoli,
Potykając się często na kamieniach,
Czuł bowiem, że pan jego stracił ducha
I wodze puścił luzem.
Dzień się kończył.

Na zboczach małe cienie, rozbudzone, okryły gęstą płachtą wrzosowisko
I popłynęły miękkimi pasmami
Przenikliwego, zdradliwego kształtu
Pomiędzy wzgórze, w ciemny wylot jaru,
Dokąd tych dwóch zmierzało mimo woli,
Bowiem wyżyna, wielka, bezforemna,
Leżała niema, nie dając im ścieżki,
Ani punktu oparcia, ani znaku
Oprócz bezmyślnie pasących się owiec.
Pomiędzy matką Słońcem a wzgórzami
Błyśnięć i zaćmień istnieje wzajemność;
Kiedy jej nie ma, surowa tkanina Purpurowego i zwykłego wrzosu
Leży pochmurna, odęta i tępa,
Niby płaszcz szorstki, rzucony niedbale
Na torfy, zwiry, łupki - i kryjący
Wysokie grzbiety, hen, jak sięgnąć okiem.

Lecz starczy, że Jej uśmiech znów zabłyśnie,
A drobnych świateł tysiące tysięcy
Migocą w hafcie bursztynowych oczek
Lśniącego deszczu; cały świat ożywa
I pręży się z uśmiechem wrzosowisko,
Pod Słońcem uśmiechniętym.
A po deszczu Żywe opary powstają i płyną,
Prądy i przeciwprądy, jakby morze
Albo letnie źrebięta na pastwisku - mówią pasterze - albo dzikie gęsi,
Których lot muska i niebo, i wodę.
On jednak jechał dalej i nie patrzył
Ani na lewo, ani też na prawo,
Zniknęła owa przejmująca wściekłość,
Z jaką umykał z łowów na odyńca,
Zadawszy śmierć - śmierć, przypadkową przecież,
Swemu krewnemu i panu, Aymeri.
Okrutny Los wymierzył cios śmiertelny
Najdzielniejszemu, najlepszemu z ludzi;
Którego rycerz najbardziej ukochał
I pragnął chronić.
Pulsu woal krwawy
Przysłonił teraz jego wzrok znużony
W umyśle bijąc wciąż w tym samym rytmie:
„Umrzeć z rozpaczy - cóż więcej zostało?”.
Pomiędzy dwoma nagimi głazami
Koł znalazł wąski trakt, pęknięcie zgoła,
Którego zbocza, wychłostane wiatrem,
Odziane były w skarłłą tarninę,
Borówkę i jałowiec. Woda ciekła
Z wilgotnej skały, brązowa od torfu,
Czarna od sadzy z pradawnego złoża;
Spod ciężkich kopyt strumyki kamieni
Sypały się ze stukiem do potoku.
Od skały wiało chłodem. Stroma ścieżka
Wiła się coraz ciaśniej.
Ile czasu tak schodził, nie wiadomo,
Lecz w swej niedoli krwawej i zmęczeniu
Pojął, że słyszy od jakiegoś czasu

Plusk spadającej wody - wietrzny, płochy,
I bulgocący dźwięk - jakby chichotem
Muzykę ktoś przerywał nieustannie.
I wtem usłyszał na tle głosu wody
Melodię bardziej płynną i przedziwną,
Srebrzysty śpiew, jakby jedwabna nitka
Wplotła się mocno w wartki nurt strumienia,
By stworzyć wspólnie jeden warkocz dźwięku
Kamienno-srebrny. Jechał tedy dalej,
Słuchając pilnie, a wilgotne ściany
Zdały się zbliżyć. Nagle, za zakrętem,
Jar się otworzył; blask oko oślepił,
Dźwięk zawibrował w ogłuszonym uchu -
I koń, i jeździec stanęli jak wryci Wpatrzeni w tajemnicę.
Komnata, jakby wydrążona w skale,
Kryła sekretne, nieruchome wody
Cichego stawu pod nawisem głazu,
Którego krawędź pękła, tworząc ujście
Dla wodospadu, powietrznie białego
Jak strumień szklanych, potrzaskanych igieł;
Z początku poskręcany, potem gładki
Splot nieskończony posrebrzanej bieli
Kształt zachowywał pod powierzchnią stawu
Dzięki swej mocy i powietrza kroplom,
Schwytanym w jego pędzącą materię,
Co rozchodziły się, jak lód zsiniały
Pod zielonawoczarną taflą wody.
Przy brzegu leżał kamień, płaski, krągły
Ledwie widoczny pośród trzcin i chwastów,
Łagodnie kołyszących się w objęciach
Mnogość małych, musujących źródeł.
Kamień ten przywdział szmaragdowe futro
Mchów, dzikiej mięty i włoskich paproci,
Co zanurzały wonne swe łodygi
W wody źródlanej wiry i zakręty.
Zielone pnącza opadały z głazu,
I przyłączały się do pięciornika,
Tkając z wąkrotką drogocenny dywan

Ciemnej zieleni, nakrapiany gęsto
Złotem i ametystem. Na kamieniu...
A na kamieniu siedziała kobieta,
Śpiewając sobie czystym, złotym głosem
Który nie żądał oddechu ni myśli,
Prosty i nieskończony jak wodospad
I niespodziany jak źródła bijące
To tu, to tam, w ziela spletanym gąszczu.
Jak mleczne róże, kiedy dzień się kończy,
W koszu zgubionym wciąż zdają się płonąć
Bładym, matowym światłem, tak i ona
Rzucała miękki blask, perłową jasność
Na owo dzikie i odludne miejsce.
Tunika jej, z jedwabiu najbielszego,
Drżała w rytm pieśni; przepaska zielona
Była jak mokra, szmaragdowa łąka.
Jej drobne stopy o żyłkach błękitnych
Igrały w wodzie jak dwie rybki białe;
Gdy je uniosła, srebrne nitki wody
Zabłyły na jej kostkach blaskiem pereł
I diamentowych kropli, równie jasnych
Jak te, które jej szyję okręzały
Sznurem bezcennym niedbale przywdzianych
Szafirów, ametystów i opali.
W jej żywych włosach, od złota jaśniejszych
Błyskały pasma ognia; tu i ówdzie
Wymknął się z wielkiej masy lok niesforny,
By załsnąć w mroku, jak na bladym morzu
Lśnią iskry fosforencji - ona wszakże
Czesła je, nie przerywając śpiewu,
Grzebieniem z kości słoniowej i złota,
Dziwnie zdobionym; i zda się, wplatała
W pasma błyszczące jak kwiaty glistnika,
Dźwięk źródła, pieśni, i szept żywych włosów,
Tak miękkich i tak ciepłych, że zapragnął
Dotknąć ich choćby palcem wyciągniętym
Przez całą przestrzeń, która oddzielała
Jego osobę, skrwawioną i sztywną,

Od tej rozchwianej i gibkiej jasności -
Lecz spojrział na jej twarz.
A twarz to była Królewska i rzeźbiona, i spokojna,
Bez ciekawości, dobroci ni pychy,
Zamknięta w sobie, sobie śpiewająca,
Lecz wtedy ich spojrzenia się spotkały.
Nagle zamilkła, a jemu się zdało,
Że zgasły szmery wody i listowia;
Oboje tylko patrzyli na siebie,
Bez gniewu, pytań ani odpowiedzi,
Bez ruchu oka, czoła i powieki,
Wszystko zawarło się w długim spojrzeniu,
Co duszę jego zamieniło w popiół,
I pragnąć mu kazało - bez nadziei,
Poza rozpaczą, poza wątpliwością.
I stał się jednym tylko, a to wszystko
Czym przedtem był - sprzeczności i obawy,
Radość hulaki, kaprysy chorego -
Znikło na zawsze, przepadło, spłonęło
Pod niewzruszonym i skupionym wzrokiem
Błdej Istoty w owym cichym miejscu.
Wtem w cieniu ruch jego uwagę zwrócił
Na psa wielkiego, co stał niby chmura,
Kręty w rysunku, szary, złotooki,
O pysku godnym i cierpliwych nozdrzach,
Czujnie słuchając i wężąc powietrze
Bez drgnienia, za plecami swojej pani.
Wówczas Raimondin wspomniął polowanie
I zbrodnię straszną, i swoją ucieczkę,
I bardzo nisko pokłonił się w siodle,
I prosić zaczął, by w swojej dobroci
Wody ze źródła dała mu się napić,
Gdyż wielce był zdrożony i spragniony.
„Nazywam się Raimondin z Lusignanu,
Dokąd zaś zmierzam i czym stać się mogę,
Tego dziś nie wiem; odpoczynku pragnę
I łyku wody, gdyż pył dróg mnie dławi”.
Na co ona odparła: „Raimondinie,

Ja wiem, kim jesteś i kim stać się możesz,
Wiem, coś uczynił i jak powinienes
Ocalić siebie, by szczęście odnaleźć.
Wiem ja to wszystko, a więc zsiądźże z konia
I przyjmij z moich rąk ten puchar ciężki
Pełen źródlanej, czystej, zimnej wody
Ze zdroju, który zwą Źródłem Pragnienia,
La Fontaine de la Soif. Pójdź i pij tedy".
I z tymi słowy puchar mu podała,
Z którego on pił długo i głęboko,
Oszołomiony blaskiem jej spojrzenia.
Spełniła jego najgłębszą potrzebę
A żar jej oczu twarz jego rozjaśnił,
Niby wrzos zakurzony, co odbija
Oblicza słonecznego wdzięk promienny.
Teraz należał do niej; gdyby chciała,
Oddałby wszystko, ciało swe i duszę -
I widząc to, Wróżka się uśmiechnęła.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

James Blackadder ułożył przypis. Pracował nad „Posięciem Mumii” (1863). Używał pióra; nigdy nie przyswoił sobie nowocześniejszych metod i zwykle to Paola przenosiła jego pismo na migocący ekran procesora tekstów. Powietrze pachniało kurzem i metalem - metalicznym kurzem i spalonym plastikiem.

R.H. Ash wziął udział co najmniej w dwóch seansach spirytystycznych w domu pani Helli Lees, która była jedną z pierwszych specjalistek w dziedzinie materializacji - zwłaszcza utraconych dzieci - oraz w dotyku martwych dłoni. Pani Lees nigdy nie została zdemaskowana jako oszustka i przez współczesnych spirytystów nadal uważana jest za prekursorkę ruchu. (Cf. F. Podmore, „Modern Spiritualism”, 1902, t. II, ss. 134-139)*. Choć nie ulega wątpliwości, że poeta udawał się na owe seanse pełen racjonalnej dociekliwości i daleki był od wiary w to, co widzi, jego zapiski z działań medium wyrażają nie tylko zwykłą pogardę dla kuglarstwa, lecz przepojone są gwałtowną odrazą i lękiem. Jednocześnie, aczkolwiek nie wprost, porównuje on jej działalność - fałszywe bądź pozorne przywracanie martwych do życia - z własną pracą poetycką. Nieco przesadną i niesamowitą relację z owych spotkań można znaleźć w książce Croppera „Wielki brzuchomówca”, ss. 340-344. Osobliwy, feministyczny atak na tytuł poematu Asha przypuściła dr Roanne Wicker w „Journal de Sorcières”, marzec 1983. Dr Wicker uważa, iż Ash wykorzystuje tytuł wiersza, aby napiętnować „intuicyjnie kobiece” działania swej bohaterki, Sybilli Silt** (jawna aluzja do Helli Lees).

* Frank Podmore (1855-1910) - angielski pisarz, autor książek o fenomenach psychicznych i spirytualizmie (przyp. tłum.).

** *Silt* (ang.) - osad, fusy, muł; *lees* (ang.) - osad, męty, szumowiny (przyp. tłum.).

„Posięście Mumii” to oczywiście odwołanie do Johna Donne'a „Alchemii miłości” - „Nie chciej duszy w kobietach; przy całym rozumie/ Są, gdy się je posiędzie, już tylko jak mumie”*.

Blackadder spojrział na to wszystko i wykreślił przymiotnik „osobliwy”, poprzedzając słowa „feministyczny atak”. Właściwie zastanawiał się również, czy nie usunąć określenia „niewielka przesada i niesamowita”, dotyczącego relacji Croppera z seansów. Te zbędne przymiotniki stanowiły ślad jego własnych poglądów, były zatem niepotrzebne. Właściwie zastanawiał się, czy nie wykreślić całości odwołań do Croppera i dr Wicker. Wiele jego zapisków spotykał podobny los: notował je, odczłowieczał, po czym usuwał. Mnóstwo czasu spędzał na rozważaniach, czy coś wykreślić, czy nie. Zwykle wykreślał.

Biaława postać prześliznęła się za rogiem biurka. Był to Fergus Wolff, który usiadł nieproszony i nieproszony zaczął wpatrywać się w notatki Blackaddera. Blackadder zakrył je dłonią.

- Powinien pan pójść na słońce. Na górze jest pięknie.

- Nie wątpię. Wydawnictwo Oxford University Press nie jest zainteresowane pogodą. Co mogę dla pana zrobić?

- Szukam Rolanda Mitchella.

- Ma urlop. Poprosił o tydzień wolnego. Jak się nad tym zastanowić, odkąd pamiętam nie miał urlopu.

- Czy mówił, dokąd jedzie?

- Wręcz przeciwnie. Chyba na północ, tak mi się wydaje. Wyrażał się niejasno.

- Wziął ze sobą Val?

- Tak przypuszczam.

- Czy z jego nowego odkrycia coś wynikło?

- Nowego odkrycia?

- W święta był z siebie dość zadowolony. Odkrył jakiś tajemniczy list czy coś takiego, tak powiedział.

Może się myłę.

* Przeł. Stanisław Barańczak. W przypisie tłumacza do tego wersu czytamy m.in.: „W czasach Donne'a słowo «mumia» miało nie tylko to znaczenie co dzisiaj, lecz oznaczało również leczniczą substancję, destylowaną ze zwłok ludzkich przez alchemików. Według Paracelsusa najlepszym źródłem takiej substancji było ciało kogoś świeżo zabitego”. Należy również zauważyć, że słowo „posiąść” można rozumieć w biblijnym sensie, jako „opętać” (przyp. tłum.).

- Nie przypominam sobie. Chyba że chodzi panu o te notatki z Vico. Nic szczególnego, niestety. Zwykle, nudne notatki.

- To było osobiste. Miało coś wspólnego z Christabel LaMotte. Był podniecony. Wysłałem go do Lincoln, do Maud Bailey.

- Feministki nie lubią Asha.
- Od tamtej pory widziano ją tutaj. To znaczy Maud Bailey.
- W związku z LaMotte nic nie przychodzi mi do głowy.
- Jestem pewien, że Roland coś miał. Ale może nic z tego nie wyszło. Inaczej powiedziałby panu.
- Chyba tak.
- No właśnie.

Val jadła płatki kukurydziane. W domu rzadko kiedy jadała co innego. Były lekkie, smaczne, pocieszające, ale po kilku dniach zaczynały przypominać watę. Na podeście od tyłu pnące róże zawędrowały aż na schodki, grządki jaśniały od lilii tygrysich i margerytek. W Londynie było gorąco; Val pragnęła znaleźć się gdziekolwiek indziej, z dala od kurzu i kocich szczyn. Zabrzęczał dzwonek u drzwi. Kiedy wyjrzała, trochę spodziewając się Euana MacIntyre i zaproszenia na kolację, zobaczyła, że to Fergus Wolff.

- Cześć, najdroższa. Jest Roland?
- Nie ma. Wyjechał.
- Jaka szkoda. Mogę wejść? Wyjechał? Dokąd?
- Gdzieś do Lancashire, Yorkshire albo Cumbrii... Blackadder go wysłał, żeby zajął do jakiejś książki.

Nie powiedział wyraźnie.

- Masz do niego telefon? Muszę się z nim dość pilnie skontaktować.

- Mówił, że zostawi. Nie było mnie, kiedy wyjeżdżał. Ale nie zostawił, w każdym razie nie znalazłam go. I nie zadzwonił. Powinien wrócić we środę.

- Rozumiem.

Fergus usiadł na starej kanapie i spojrzał w górę na nieregularne półwyspy i zatoki plam na suficie.

- Czy nie uważasz, kochanie, że to dziwne, że nie odezwał się do ciebie?

- Nie byłam dla niego szczególnie miła.

- Rozumiem.

- Nie wiem, co rozumiesz, Fergus. Zawsze rozumiesz więcej, niż jest do rozumienia. Co się dzieje?

- Zastanawiałem się po prostu... nie wiesz przypadkiem, gdzie jest Maud Bailey?

- Rozumiem - powiedziała Val. Zapadło milczenie. W końcu Val zapytała:

- A ty? Wiesz, gdzie ona jest?

- Nie całkiem. Dzieje się coś, czego nie rozumiem. To znaczy, na razie. Ale zrozumieć, już niedługo.

- Dzwoniła tu do niego, raz albo dwa. Nie byłam zbyt uprzejma.

- A szkoda. Tak chciałbym wiedzieć, co się dzieje.

- Może to ma związek z Randolphem Henrym.

- Tak. Z całą pewnością. Choć może to mieć również związek z Maud. To niesłychana kobieta.

- Wyjechali w święta i nad czymś pracowali.

- Pojechali wtedy do Lincoln, żeby się z nią zobaczyć.

- No, tak. Ale potem pojechali gdzieś razem, żeby przeczytać jakiś rękopis. Naprawdę, nie interesują mnie już te jego przypisy i wszystkie te martwe listy od martwych ludzi o tym, że spóźnili się na pociąg albo że trzeba popierać ustawę o prawie autorskim i tak dalej. Kto chciałby spędzić życie w podziemiach Muzeum Bry-

tyjskiego? Śmierdzi tak samo jak mieszkanie pani Irving na górze, pełne kocich szczyn. Kto chciałby spędzić życie, czytając stare jadłospisy wśród kocich szczyn?

- Nikt. Wszyscy chcą spędzać życie w rozkosznych hotelach na międzynarodowych konferencjach. Nie chciało ci się pewnie zapytać, co takiego czytali?

- Nie mówił. Wie, że mnie to nie interesuje.

- Więc nie wiesz dokładnie, dokąd wtedy pojechali?

- Miałam gdzieś numer. Na wszelki wypadek. Jakby mieszkanie się spaliło. Albo gdybym nie miała na rachunek za gaz. W którym to przypadku on oczywiście nie mógłby nic zrobić. Niektórzy z nas zarabiają pieniądze w kulturze przedsiębiorców, a inni nie.

- Z tego też być może będą pieniądze. Kochanie, jeszcze nie znalazłaś tego numeru?

Val wyszła do przedpokoju, gdzie telefon kiwał się niepewnie na stercie leżących na podłodze papierów - starych dodatków literackich do „Timesa”, rachunków za książki, ulotek reklamujących taksówki i proponujących zniżki na OMO DAZ KODAK MUREX oraz rozmaitych zaproszeń. Najwyraźniej orientowała się w tym chaosie, gdyż po chwili odwróciła rachunek z indyjskiej restauracji z daniami na wynos i odnalazła numer. Bez nazwiska, opatrzony jedynie słowami, zapisanymi jej własną ręką: „Roland w Lincoln”.

- Może to numer Maud.

- Nie. Znam jej numer. Dasz mi to?

- Czemu nie? Co chcesz zrobić?

- Nie wiem. Po prostu chcę wiedzieć, co się dzieje. Rozumiesz?

- Może chodzi o Maud.

- Może. Losy Maud są mi bliskie. Chciałbym, żeby była szczęśliwa.

- Może jest szczęśliwa z Rolandem.

- Niemożliwe. On w ogóle nie jest w jej typie. Brak mu ikry, chyba się zgodzisz?

- Nie wiem. Ze mną nie jest szczęśliwy.

- Ani ty z nim, z tego, co widzę. Chodź ze mną na kolację i zapomnij o nim.

- Czemu nie?

- Czemu nie?

- Halo, Bailey przy telefonie.

- Bailey?

- Czy to dr Heath?

- Nie, nie. Jestem znajomym Rolanda Mitchella. Zimą pracował... może pan wie, gdzie on...

- Nie mam pojęcia.

- Czy wróci?

- Nie sądzę. Nie. Nie wróci. Czy mógłby pan zwolnić linię? Czekam na lekarza.

- Przepraszam, że pana niepokoję. Czy widział się pan z dr Bailey? Dr Maud Bailey?

- Nie, nie widziałem się z nią. I nie zamierzam. Chcemy tylko, żeby nas zostawiono w spokoju. Do widzenia.

- Ale praca dobrze im poszła?

- Ta poetka od wrózek. No, pewnie tak. Wyglądali na zadowolonych. Nie zastanawiałem się nad tym. Proszę mi nie przeszkadzać. Jestem zajęty, a moja żona źle się czuje. Naprawdę, bardzo źle. Proszę zwolnić linię.

- Poetka od wrózek to Christabel LaMotte?

- Panie, nie wiem, o co panu chodzi, ale żądam, aby pan zwolnił linię, natychmiast. Jeśli pan się nie rozłączy, to... to... słuchaj pan, moja żona jest chora, próbuję się dodzwonić do lekarza, ty cholerny głupcze! *Do widzenia!*

- Mogę znów zadzwonić?

- Nie ma sensu. *Do widzenia.*

- Do widzenia.

Mortimer Cropper jadł obiad w L'Escargot z Hildebrandem Ashem, najstarszym synem Thomasa barona Asha, potomka w prostej linii owego kuzyna Randolpha Asha, którego uszlachcono pod rządami Gladstone'a. Stary lord Ash, metodysta, był już bardzo sędziwy. Croppera traktował grzecznie, ale na tym się kończyło. Wolał Blackaddera, którego ponure usposobienie i kostyczny szkocki humor bardziej mu odpowiadały. Poza tym, jako nacjonalista, posiadane manuskrypty Asha złożył w Bibliotece Brytyjskiej.

Hildebrand był łysiejącym, rudawym, pogodnym i nieco bezmyślnym czterdziestolatkiem. Anglistykę w Oksfordzie ukończył z dyplomem zaledwie czwartego stopnia i od tamtej pory pracował, niczym się nie wyróżniając, w biurach podróży, wydawnictwach ogrodniczych i rozmaitych fundacjach. Cropper, który zapraszał go czasem na obiad, odkrył, iż posiada on ukryte ambicje aktorskie. Wspólnie stworzyli na poły projekt, na poły marzenie o porywającym tournée po uniwersytetach amerykańskich, podczas którego Hildebrand prezentowałby pamiątki po Ashu, przezrocza i recytacje, uzupełnione wykładem na temat społeczeństwa angielskiego za życia poety.

Tym razem Hildebrand oznajmił, że brakuje mu pieniędzy i rad by zdobyć nowe źródło dochodów. Cropper zapytał o zdrowie lorda Asha i otrzymał odpowiedź, że staruszek jest bardzo słaby. Omówili ewentualne programy tournée oraz honoraria. Jedli *magret de canard*, turbota i przasne młode rzepekki. W miarę trwania posiłku Cropper robił się coraz bledszy, a Hildebrand - coraz bardziej różowy; Hildebrand hołubił wizje olśnianej i pełnej szacunku amerykańskiej publiczności, Cropper widział w duszy nowe szklane gabloty, zawierające skarby, jakie na razie wolno mu było tylko z czią oglądać - list do poety od królowej, przenośny pulpit, poplamiony atramentem notatnik z pierwszym szkicem „Aska do Emblu” - skarby, z którymi rodzina jeszcze się nie rozstała, a jedynie wystawiała na widok publiczny w jadalni swego domu w Ledbury.

Odprawdziwszy Hildebranda Asha do taksówki, Cropper ruszył ulicami Soho, zerkając od niechcienia na witryny i oświetlone wejścia.

Peepshow. Modelki. Potrzebne młode dziewczyny. Seks na żywo non stop. Chodź na górę, baw się dobrze. Poważne szkolenia. Jego własne gusta były dobrze określone i dość specjalne. Wędrował, smukły i czarny, od witryny do witryny, smakując duchy wina i dobrego jedzenia. Przystanął na chwilę, by popatrzeć na błądy zarys białego, skręconego ciała, którego pozycja dawała do zrozumienia, że wewnątrz być może znajdzie to, czego szukał - niewyraźny obraz, prawie całkiem zasłonięty przez zupełnie inny, jędrny i piersiasty kształt,

lecz wystarczający dla niego, który żył w świecie aluzji i przelotnych wskazówek. Mimo to, pomyślał, nie wejdzie do środka, wróci do domu...

- Profesor Cropper? - zapytał głos z tyłu.

- Ach - powiedział Cropper.

- Fergus Wolff. Czy pan mnie pamięta? Podszedłem do pana po pańskim referacie na temat tożsamości narratora w „Chidiocku Tichbourne” Asha. Znakomita dedukcja. Naturalnie był to kat. Przypomina pan sobie?

- Ależ tak, w istocie. Z wielką przyjemnością. Właśnie jadłem obiad z synem obecnego lorda Asha, który, mam nadzieję, opowie na Uniwersytecie Roberta Dale'a Owena o rękopisach będących w posiadaniu jego rodziny. „Chidiock Tichbourne” znajduje się oczywiście w Bibliotece Brytyjskiej.

- Oczywiście. Idzie pan tam? Mogę pójść z panem?

- Będzie mi nadzwyczaj miło.

- Zaciekała mnie wiadomość o związku Asha z Christabel LaMotte.

- LaMotte? Ach tak, „Meluzyna”. W siedemdziesiątym dziewiątym roku feministki urządziły u nas strajk okupacyjny, żądając, bym włączył ten poemat do kursu poezji dziewiętnastowiecznej zamiast „Idylli Królewskich”* albo „Ragnaröka”. O ile pamiętam, zgodzono się na to. Potem uwzględniło go w programie Studium Genderowe, zostałem uwolniony i mogliśmy przywrócić „Ragnaröka”. Ale trudno to nazwać związkiem. Nie wydaje mi się, bym wiedział coś o prawdziwym związku.

- Chyba odkryto jakieś listy.

- Wątpię. Nigdy nie słyszałem o żadnych kontaktach. Ale alej a coś wiem o Christabel LaMotte. Co to było...

* „Idylle Królewskie” - „Idylls of the King”, cykl wierszy arturiańskich Alfreda Tennysona (przyp. tłum.).

- Roland Mitchell coś odkrył.

Cropper nagle przystanął na chodniku Greek Street, sprawiając, dwoje Chińczyków zatrzymało się równie nagle.

- Coś odkrył?

- Nie bardzo wiem, co właściwie. Na razie. On myśli, że to ważne.

- A James Blackadder?

- Chyba nic nie wie.

- Pan mnie zaciekawia, doktorze Wolff.

- Mam nadzieję, panie profesorze.

- Może napije się pan kawy?

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Leżą rękawiczki, Wiotkie i uśpione,
Palec Ignie do palca, Dłonie snią złączone,
W najbielszą bibułkę, Szczelnie otulone.
W te ciche pokrowce Wciska się dłoń blada,
Giętko się przeciąga, Gładko się układa,
Palce się splatają, Przysięga się składa.

C. LaMotte

Maud siedziała w archiwum Ośrodka Studiów Gender na zielonym jak jabłuszko krześle przy pomarańczowym stole i przeglądała kartotekę, zawierającą wszystko, co posiadali na temat samobójstwa Blanche Glover. Nie było tego dużo; notatka w gazecie, stenogram rozprawy u koronera, kopia listu, który znaleziono przyciśnięty kawałkiem granitu na stole w Bethany House przy Mount Ararat Road, poza tym kilka listów do byłej uczennicy, córki posła do parlamentu, przychylnego sprawie równouprawnienia kobiet. Maud sprawdzała te mizerne resztki w nadziei, że znajdzie coś, co wyjaśniłoby, jak Christabel LaMotte spędziła okres między podróżą do Yorkshire a rozprawą. Tak niewiele pozostało po Blanche.

Do wszystkich zainteresowanych

Bez względu na postanowienia w mojej sprawie, to, co czynią, czynią będąc przy zdrowych zmysłach i po długim i uważnym namyśle. Przyczyny mego postępków są proste i prosto je można opisać. Po pierwsze, nę-dza. Nie stać mnie już na farby, a w ostatnich miesiącach sprzedalam bardzo niewiele prac. Zostawiam w ba-wialni zawinięte cztery naprawdę ładne studia kwiatów, które bardzo się kiedyś podobały panu Cressy z Richmond Hill; mam nadzieję, że zapłaci za nie dość, by wystarczyło na pogrzeb, jeżeli to się da załatwić. Życzę sobie zwłaszcza, aby tej sprawy nie pozostawiać w gestii PANNY LAMOTTE, mam więc nadzieję, że pan Cressy okaże mi tę łaskę, w przeciwnym razie nie wiem już doprawdy, co robić.

Po drugie, duma - być może bardziej godna potępienia. Nie umiałabym ponownie się poniżyć i pójść do czyjegoś domu na guwernantkę. Takie życie jest piekłem na ziemi, nawet gdy pracodawcy są dobrymi ludźmi, a ja raczej wolałabym nie żyć, niż być niewolnicą. Nie zamierzam też zdać się na miłosierdzie PANNY LAMOTTE, która ma wszak swoje własne zobowiązania.

Po trzecie, upadek ideałów. Wraz z PANNĄ LAMOTTE, a później sama, próbowałam żyć w tym małym domku zgodnie z moim przeświadczeniem, iż jest możliwe, by niezależne, samotne kobiety prowadziły użyteczne, pełne życie w swoim własnym towarzystwie, nie korzystając z pomocy świata zewnętrznego ani mężczyzn. Wierzyłyśmy, że można żyć oszczędnie, miłosiernie, filozoficznie, artystycznie, w harmonii z Naturą i ze sobą nawzajem. Niestety, nie było to możliwe. Albo świat okazał się zbyt srogi i nieprzychylny naszemu eksperymentowi (sądzę, że tak właśnie było), albo my same byłyśmy nie dość przedsiębiorcze i stanowcze (sądzę, że tak również było, od czasu do czasu). Można mieć nadzieję, że pierwsze oszałamiające dni naszej niezależności finansowej oraz prace, które zostawiamy po sobie, zachęcą inne, silniejsze duchem osoby do podjęcia naszej próby z większym powodzeniem. Niezależne kobiety muszą oczekiwać od siebie więcej, bowiem ani mężczyźni, ani inne, bardziej konwencjonalne i udomowione kobiety nie spodziewają się po nich niczego oprócz całkowitej klęski.

Niewiele mam do zostawienia i swym skromnym majątkiem pragnę zadysponować, jak następuje. Z wiadomych powodów dokument niniejszy nie ma mocy prawnej, lecz mam nadzieję, że czytelnik lub czytelnicy potraktują go tak, jakby ją posiadał

Swoją garderobę pozostawiam naszej służącej, Jane Summers, aby wzięła to, na co ma ochotę, resztę zaś rozdała wedle uznania. Korzystam z okazji, aby prosić ją o wybaczenie mi małego oszustwa. Mimo że nie byłam w stanie dłużej płacić jej pensji, udało mi się nakłonić ją do odejścia, jedynie udając, iż jestem z jej pracy niezadowolona, co bynajmniej nie było prawdą. Podjęłam już wówczas postanowienie, które teraz wypełniam, i nie chciałam, by poniosła jakąkolwiek odpowiedzialność za jego skutki. Był to jedyny powód mojego postępuku. Nie umiem udawać.

Dom nie jest w istocie mój. Należy do PANNY LAMOTTE. Znajdujący się w nim dobytek i meble, które kupowałyśmy ze wspólnych oszczędności, należą przede wszystkim do niej, jako bogatszej partnerki. Życzę sobie, by zrobiła z nimi, co jej się podoba.

Swego Szekspira, wiersze Keatsa i dzieła poetyckie Tennysona pragnę zostawić pannie Elizie Daunton, jeśli będzie miała pożytek z tych sfatygowanych tomów. Często czytywałyśmy je razem.

Biżuterii posiadam niewiele, a i to bez wartości, z wyjątkiem krzyżyka z perłami, który dziś założę. Niech Jane weźmie sobie pozostałe błyskotki, jeśli jej się podobają, zostawiając jedynie broszkę z gagatu, wyobrażającą dwie ręce w uścisku Przyjaźni, którą podarowała mi PANNA LAMOTTE i którą chciałabym, aby zabrała sobie z powrotem.

To wszystko, co posiadam, z wyjątkiem prac, które w moim niezłomnym przekonaniu są wartościowe, nawet jeżeli nie mają obecnie wzięcia. Oprócz wielu szkiców i rysunków w domu znajduje się w tej chwili dwadzieścia siedem ukończonych obrazów. Dwa z nich są własnością PANNY LAMOTTE; „Christabel przed sir Leolinem” oraz „Merlin i Vivien”. Pragnę, aby zatrzymała te prace, i mam nadzieję, że jak dawniej, zechce powiesić je w gabinecie, aby przypominały jej szczęśliwe czasy. Gdyby jednak okazało się to zbyt bolesne, polecam, by póki żyje, nie wyzbywała się tych obrazów w drodze sprzedaży ani darowizny, i aby po swej śmierci zadysponowała nimi tak, jakbym ja to uczyniła. Są one tym, co we mnie najlepsze, o czym PANNA LAMOTTE wie doskonale. Nic nie trwa wiecznie, lecz dobra sztuka trwa dość długo, ja zaś chciałabym zostać zrozumiana przez tych, którzy się jeszcze nie narodzili. W końcu, któż inny mnie zrozumie? Los pozostałych prac również polecam uwadze PANNY LAMOTTE, która obdarzona jest artystycznym sumieniem. Pragnę, aby w miarę możliwości pozostały razem, dopóki nie wykształcą się gusta, które pozwolą ocenić ich wartość we właściwym duchu. Już za chwilę utracę prawo do czuwania nad nimi; kruche i nieme, będą musiały ruszyć w świat samodzielnie.

Już za chwilę opuszczę dom, w którym byłyśmy tak szczęśliwe, by nigdy doń nie powrócić. Zamierzam wziąć przykład z autorki „Vindication of the Rights of Women”, czerpiąc jednakże naukę z jej przykładu, zaszyłam w kieszenie mego płaszcza kilka owych dużych kamieni wulkanicznych, które PANNA LAMOTTE ustawiła na swym biurku. Mam nadzieję, że dzięki temu skutek będzie szybki i pewny.*

Nie wierzę, że Śmierć to koniec. Na spotkaniach spirytystycznych u pani Lees słyszałyśmy o wielu cudach i miałyśmy naoczne dowody, iż nasi zmarli przenoszą się bezboleśnie do lepszego świata, na drugą stronę. Ta wiara pozwala mi ufać z całą mocą, że Stwórca, który wszystko widzi i wybacz, w przyszłym życiu wykorzysta lepiej moją zdolność - wielką, lecz tutaj niechcianą i niepotrzebną - do miłości i Pracy Twórczej. W rzeczy

samej, uświadomiono mi dobitnie, że tutaj jestem zbędna. Tam poznam i będę poznana. W tych ostatnich chwilach, gdy przychodzi nam patrzeć w mroczniejącym świetle przez mętną Zaslone, oddzielającą nas od tych, co odeszli, ośmielam się przemówić - wybaczyć, aby i mnie wybaczano. Panie, zlituj się nad moją biedną duszą i nad duszami nas wszystkich.

Blanche Glover, panna

Maud przeszedł dreszcz, jak zawsze, kiedy czytała ten dokument. Co myślała Christabel, czytając go? Gdzie była, dokąd pojechała, i gdzie był Randolph Ash między lipcem 1859 i latem 1860 roku? Roland mówił, że wszystko wskazuje na to, że po prostu był w domu; w 1860 roku nic nie wydał i napisał niewiele listów, a te, jak zazwyczaj, nosiły nagłówek Bloomsbury. Specjalistom od LaMotte nigdy nie udało się zadowalająco wyjaśnić nieobecności Christabel w czasie, kiedy umarła Blanche, i w swych badaniach opierali się na założeniu kłótni między przyjaciółkami. Ta kłótnia, pomyślała Maud, wygląda teraz całkiem inaczej, ale wcale nie stała się bardziej zrozumiała. Wzięła wycinek z gazety.

* „Vindication of the Rights of Women” - „Windykacja praw kobiet”, książka Mary Wollstonecraft (1759-1797), stanowiąca jedno z pierwszych wezwań do walki o wolność kobiet; autorka podjęła nieudaną próbę samobójstwa (przyp. tłum.).

Wieczorem 26 czerwca, w zacinającym deszczu i wietrze, kolejna nieszczęśnica runęła na spotkanie straszliwej śmierci w odmętach Tamizy. Ciało wyrzucone przez rzekę odnaleziono dopiero 28 czerwca podczas odpływu, na kamienistym brzegu poniżej mostu Putney. Nie zachodzi podejrzenie użycia siły. W starannie zaszytych kieszeniach nieszczęsnej kobiety, której strój był schludny, aczkolwiek niebogaty, znaleziono kilka dużych, okrągłych kamieni. Zmarłą zidentyfikowano jako pannę Blanche Glover, zamieszkującą samotnie w domu, który niegdyś dzieliła z poetką, panną Christabel LaMotte. Miejsce pobytu tej ostatniej nie jest obecnie znane i według zeznań niedawno zwolnionej pokojówki, Jane Summers, pozostaje nieznanie już od jakiegoś czasu. Policja podjęła działania w celu ustalenia, gdzie znajduje się panna LaMotte. W domu na Mount Ararat Road znaleziono list, który nie pozostawia żadnych wątpliwości, iż nieszczęsna panna Glover zamierzała targnąć się na swe życie.

Jednak policja odnalazła Christabel przed rozprawą u koronera. Gdzie?

Za przepierzeniem rozległy się pośpieszne kroki. Znajomy głos zahuczał:

- Niespodzianka, niespodzianka! - Maud, na pół uniósłszy się z krzesła, utonęła w szerokich, ciepłych ramionach, otoczona zapachem piżma i miękkimi, bujnymi piersiami.

- Kochana, *kochana* Maud. Gdzie ona może być, myślałam sobie, pewnie w pracy, czy ona w ogóle bywa gdziekolwiek indziej, na Boga, więc od razu tu przyszłam i oto jesteś, zupełnie jak sobie wyobrażałam. Jesteś zaskoczona? Jesteś serio zaskoczona?

- Leonoro, puść mnie. Nie mogę oddychać. Oczywiście, że jestem zaskoczona. Trochę czułam, że nadciągasz przez Atlantyk jak ciepły front...

- Co za metafora! Kocham twój sposób mówienia.

- Ale nie przypuszczałam, że tu wtargniesz. Przynajmniej nie dzisiaj. Bardzo się cieszę.

- Mogę zatrzymać się u ciebie parę dni? Mogę pobuszować w twoich archiwach? Zawsze zapominam, jak żałośnie mało miejsca tu macie. To brak szacunku dla Studiów Genderowych, czy po prostu zwykłe skąpstwo angielskich uniwersytetów? Czytasz po francusku, kochanie? Mam ci coś do pokazania.

Maud, która zwykle obawiała się przyjazdów Leonory, później nadzwyczajnie cieszyła się na jej widok, przynajmniej z początku. Ekspansywna osobowość przyjaciółki wręcz przepełniała małe archiwum. Leonora była kobietą majestatyczną i dużą we wszystkich wymiarach, teraz ubraną stosownie do rozmiaru w szeroką spódnicę i długi żakiet o koszulowym kroju, w pomarańczowe i złote rozbłyski albo kwiaty. Miała oliwkową, lśniącą, jakby wypolerowaną skórę, imponujący nos nad pełnymi ustami, przywodzącymi na myśl Afrykę, i szopę grubych, czarnych, falujących włosów, obciętych do ramion i żywych od naturalnych olejków - włosów, które nie rozsypywały się w rękach, lecz skupiały się i łączyły. Jej szyję zdobiło kilka barbarzyńskich, wyraźnie kosztownych naszyjników z surowych grudek bursztynu i koralu w kształcie jajka, głowę opasywała żółta chusta, połowiczny hołd dla indiańskich grup z hipisowskiego okresu późnych lat sześćdziesiątych. Pochodziła z Baton Rouge i powoływała się zarówno na kreolskich, jak indiańskich przodków; twierdziła, że jej panieńskie nazwisko, Champion, jest francusko-kreolskie. Nazwisko Stern nosiła po pierwszym mężu, Nathanielu Sternie, adiunkcie na uniwersytecie w Princeton, który radośnie i skrupulatnie uprawiał Nową Krytykę i który w zetknięciu z Leonorą poniósł całkowitą klęskę, padając ofiarą krwiożerczych ideologicznych wojen strukturalizmu, poststrukturalizmu, marksizmu, dekonstrukcji i feminizmu. Jego książeczka o harmonii i rozdźwięku w „Bostończykach”* ukazała się w najmniej odpowiedniej chwili. Leonora przyłączyła się do feministycznych ataków na wyrażone w niej zrozumienie dla niepokojów Jamesa, związanych z „poczuciem seksu” w Bostonie lat sześćdziesiątych XIX wieku, i odeszła z hipisowskim poetą, Saulem Druckerem, aby zamieszkać w komunie w Nowym Meksyku. Nathaniel Stern, zatroskany, blady, kanciasty człowieczek, którego Maud spotkała na konferencji w Ottawie, próbował udobruchać feministki rozpoczynając pracę nad biografią Margaret Fuller Ossoli**. Dwadzieścia lat później wciąż nad nią pracował, ku dezaprobatie wszystkich, a zwłaszcza feministek. Leonora zawsze mówiła o Nathanielu „ten biedny dupek”, lecz zachowała jego nazwisko, które pojawiło się na okładce jej pierwszego opus „Nie ma jak w domu” - poważnego studium nad obrazowaniem prowadzenia domu w dziewiętnastowiecznej powieści kobiecej, napisanego jeszcze przed jej środkową, wojowniczą fazą i późniejszym okresem lacanizmu. Saul Drucker, ojciec syna Leonory, obecnie siedemnastoletniego Danny'ego, w jej opisach miał kręconą rudą brodę, a tors jego wręcz zniknął pod rudym futrem, sięgającym niżej pępka, aż po genitalia. To wszystko, co Maud wiedziała o wyglądzie Saula Druckera, którego poezja pełna była dupy, gówna, szczyń i spermy, i który podobno był dostatecznie duży, by od czasu do czasu bijać Leonorę, co zapewne nie należało do zadań łatwych. Jego najśłynniejszy poemat, „Milenaryjne pełzanie”, opisujący coś w rodzaju zmartwychwstania ludzi i węży w Dolinie Śmierci, czerpał z Blake'a, Whitmana, proroka Ezekiela oraz, wedle Leonory, zbyt dużych dawek marnego kwasu. „Czy nie powinno to brzmieć «milenijne»?” - zapytała kiedyś Maud, na co Leonora odparła: „Nie, jeśli można to bardziej rozciągnąć. Jak ty rozkosznie nie pojmujesz o co chodzi, ty precyzyjna istoto!”. Zawsze określała Druckera jako „mięśniaka”. Opuściła go dla hinduskiej pani profesor, która nauczyła ją jogi, wegetarianizmu, wielokrotnych orgazmów (wręcz do omdlenia) oraz zaraziła współczuciem i wściekłością wobec praktyk sati i kultu lingam. Saul Drucker obecnie pracował na ranczu w

Montanie - „koni nie bije”, powiedziała Leonora - i Danny przebywał u niego, ponadto znów się ożenił, a jego nowa żona była, zdaniem Leonory, bardzo Danny'emu oddana. Po pani profesor nastąpiły Marge, Brigitta, Pocahontas i Martina. „Wszystkie je kocham szczerze - mówiła Leonora, odchodząc do kolejnej - ale mam paranoję na punkcie wspólnego gospodarstwa. Nie mogę znieść uczucia, że zapadną się w poduszki i już tak zostaną, na świecie jest zbyt wiele cudownych stworzeń...”.

* „Bostończycy” - powieść Henry'ego Jamesa (1843-1916), znakomitego powieściopisarza, dramaturga i krytyka amerykańskiego (przyp. tłum.).

** Sarah Margaret Fuller markiza Ossoli (1810-1850) - amerykańska pisarka i krytyk literacki, autorka książki „Woman in the Nineteenth Century” [Kobieta w dziewiętnastym wieku] (przyp. tłum.).

- Co robisz? - zwróciła się teraz do Maud.

- Czytam list samobójczy Blanche Glover.

- Po co?

- Zastanawiam się, gdzie była Christabel, kiedy Blanche rzuciła się do wody.

- Jeśli czytasz po francusku, może będę mogła ci pomóc. Dostałam list od Ariane Le Minier z Nantes. Pokażę ci.

Podniosła kartkę ze stołu.

- Biedna Blanche... co za wściekłość, co za godność, co za zamęt! Czy jakieś jej obrazy w ogóle wypływały? To by było fascynujące - udokumentowane lesbijskie, feministyczne prace.

- Żadnego nigdy nie odnaleziono. Pewnie Christabel zatrzymała wszystkie. Albo spaliła je z rozpaczy. Po prostu nie wiadomo.

- Może zabrała je do tego pseudozamku, gdzie mieszka ten wstrętny staruch ze strzelbą. Miałam ochotę dźgnąć go sekatorem. Na pewno te obrazy pleśnieją w jakiejś kryjówce.

Maud nie miała ochoty kontynuować rozmowy o sir George'u, choć hipoteza Leonory była uzasadniona, wręcz prawdopodobna.

- Jak sobie wyobrażasz te obrazy, Leonoro? Myślisz, że mają jakąś wartość?

- Okropnie bym tego chciała. Miała determinację i była pewna, że są dobre. Wyobrażam je sobie blade i pełne napięcia, a ty? Zmysłowe, lecz wyblakłe i wiotkie istoty z falującą piersią i olbrzymią masą prerafaelickich włosów. Ale jeżeli naprawdę są oryginalne, to z natury rzeczy nie będziemy mogły ich sobie wyobrazić dopóty, dopóki ich nie znajdziemy.

- Namalowała obraz pod nazwą „Wieniec i piękne dłonie ducha na seansie Helli Lees”.

- To nie brzmi zbyt obiecująco. Ale może dłonie były równie piękne jak u Dürera, a wieniec wyglądał jak u Fantin-Latoura*. Na swój własny sposób, oczywiście.

- Tak sądzisz?

- Nie, ale powinnyśmy tłumaczyć wątpliwości na jej korzyść. Była siostrą.

- O tak.

Tego wieczora, już w mieszkaniu, Maud przetłumaczyła list dr Le Minier Leonorze, która na wstępie powiedziała:

- Rozumiem mniej więcej, o co chodzi, ale moja francuszczyzna jest prymitywna. Co to jednak znaczy odebrać angielskie wykształcenie!

Maud bez zastanowienia zajęła zwykle miejsce w rogu białej kanapy, a Leonora rozsiadła się obok, wyciągawszy rękę na oparciu za jej plecami i przy każdym poruszeniu dotykając jej pośladkiem. Maud poczuła zagrożenie i napięcie; raz czy dwa omal nie wstała, powstrzymywana jedynie angielskim, mało w tej sytuacji pomocnym przymusem okazywania dobrych manier. Była świadoma, że Leonora dokładnie wie, co ona czuje, i że się tym bawi.

* Henri Fantin-Latour (1836-1904) - francuski malarz, specjalizujący się w tematach romantycznych (przyp. tłum.).

List okazał się skarbem. Maud, nauczona udawać nieco lepiej niż Blanche wobec Jane, przeczytała go bezbarwnym głosem, jakby stanowił rutynową naukową prośbę:

Droga Profesor Stern.

Jestem Francuzką i zajmuję się twórczością literacką kobiet na uniwersytecie w Nantes. Bardzo podziwiam Pani prace o strukturach oznaczania u niektórych poetek, przede wszystkim u Christabel LaMotte, która interesuje mnie także dlatego, że jest na poły Bretonką i stwarzając swój kobiecy świat, czerpała obficie z dziedzictwa bretońskich mitów i legend. Niech wolno mi będzie powiedzieć zwłaszcza, jak słuszne i inspirujące wydały mi się Pani uwagi na temat seksualizacji elementów krajobrazu we „Wróżce Meluzynie”.

Mówiono mi, że zbiera Pani materiały do feministycznej biografii LaMotte, a ja znalazłam coś, co mogłoby Panią zainteresować. Obecnie zajmuję się niemal nieznaną pisarką, Sabine de Kercoz, której zbiorek wierszy ukazał się w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Znajduje się w nim kilka sonetów ku czci George Sand, której de Kercoz nigdy nie spotkała, żywiąc wszakże namiętny podziw dla jej ideałów i sposobu życia. Istnieją także cztery niepublikowane powieści de Kercoz, „Oriane”, „Aurelia”, „Les Tourments de Geneviève”, jak również „La Deuxième Dahud”; tę ostatnią mam nadzieję zredagować i wydać w najbliższej przyszłości. Czerpie ona z tej samej legendy o zatopionym mieście Is, co piękny poemat LaMotte pod tym samym tytułem.

Wie Pani zapewne, że Mlle de Kercoz była spokrewniona przez babkę po mieczu z Christabel LaMotte. Może Pani natomiast nie wiedzieć, iż jesienią 1859 LaMotte najprawdopodobniej odwiedziła swą rodzinę w Fouesnant. Opieram się na liście od Sabine de Kercoz do jej kuzynki Solange, znajdującym się w papierach, które pozostały niewydane - wręcz nietknięte - od chwili, gdy zdeponował je w tutejszym Uniwersytecie potomek Sabine (która została panią de Kergarouet z Pornic i zmarła w pòłogu w 1870 roku). Zamieszczam odpis listu; jeżeli zainteresuje on Panią, będę zachwycona, mogąc podzielić się z Nią dalszymi informacjami. Mes hommages

- Przepraszam, Leonoro, za niezręczny przekład. A teraz Sabine de Kercoz.

Ma chère petite cousine.

Nasze długie i mozolne dni ożywiło nieoczekiwane - przynajmniej dla mnie - zdarzenie: przybycie dalekiej kuzynki, panny LaMotte, mieszkającej w Anglii córki Isidore'a LaMotte, który zebrał całą mitologię francuską, jak również bretońskie bajki i wierzenia ludowe. Wyobraź sobie, jaka byłam podniecona - okazuje się, iż ta nowa kuzynka jest poetką, która opublikowała już wiele dzieł- niestety po angielsku - wysoko cenionych w jej kraju. Obecnie czuje się niezdrowa i pozostaje w łóżku po straszliwej podróży z Anglii podczas niedawnego sztormu, kiedy to pasażerowie musieli czekać ponad dobę za falochronem St. Mało z powodu szalejącej wichury. Ulewne deszcze i silne wiatry sprawiły również, że zalane wodą drogi stały się prawie nieprzejezdne. W jej pokoju rozpalono na kominku, choć zapewne nie jest świadoma, jak szczególny to zaszczyt w tym skromnym domostwie.

Choć widziałam ją krótko, to, co widziałam, spodobało mi się. Jest niska i szczupła, ma bardzo bladą twarz (być może z powodu morskiej podróży) i dość duże białe zęby. Pierwszego wieczora zeszła na kolację, lecz powiedziała tylko kilka słów. Siedząc obok niej, szepnęłam, iż mam nadzieję zostać poetką. Odpowiedziała: „To nie jest droga do szczęścia, ma filie”. Odparłam, że przeciwnie, tylko kiedy piszę, czuję, że w pełni żyję. „Jeżeli tak - powiedziała - na szczęście lub nieszczęście, to nic, co powiem, nie odwiedzie cię od twego zamiaru”.

Tamtej nocy wiatr wylł bezustannie, cały czas na jednej, zawodzącej nucie; obolałe dusza i ciało czekały choć na jedną chwilę ciszy, która jednak nadeszła dopiero rano, gdy - inaczej niż zwykle, kiedy budzimy się z powodu dźwięków - nagle ustanie wiatru obudziło mnie z tohu bohu - zawieruchy. Przy śniadaniu okazało się, że kuzynka w ogóle nie spała, więc ojciec skłonił ją, aby wróciła do swego pokoju z naparem z malin.

Zapomniałam powiedzieć, że przywiozła ze sobą wielkiego ogara, który zwie się, jeżeli dobrze usłyszałam, „Pies Tray”. Biedne zwierzę także ogromnie ucierpiało podczas sztormu i nie chce wyjść spod stolika w sypialni panny LaMotte, gdzie leży, osłaniając uszy łapami. Kuzynka mówi, że kiedy pogoda się poprawi, pies być może pobiegnie do lasu Brocéliande, który jest jego naturalnym środowiskiem...

- Brzmi zachęcająco - powiedziała Leonora, gdy Maud skończyła czytać. - Warto to zbadać. Mniej więcej taką treść odgadłam. Może pojedę do Nantes - gdzie to właściwie jest? - i rzucę okiem na papiery tej dr Le Minier. Tyle że nie znam francuskiego. Będziesz musiała ze mną pojechać, kochanie. Będziemy się świetnie bawić. LaMotte, owoce morza i Brocéliande, co ty na to?

- Byłoby cudownie, ale trochę później, bo teraz muszę skończyć artykuł o metaforze na konferencję w York, a strasznie się z tym zasupłałam.

- Opowiedz. Co dwie głowy, to nie jedna. O jakiej metaforze? Maud spieszyła się. Ledwie odwiodła Leonorę od tematu Christabel, a już została zmuszona do omawiania referatu, którego kształt ledwie majaczył w jej głowie i który właściwie lepiej byłoby zostawić, by dojrzewał w ciemnościach jeszcze przez miesiąc.

- Na razie dobrze nie wiem. Dotyczy Meluzyny, Meduzy i pomysłu Freuda, że głowa Meduzy jest fantazją o kastracji - kobiecą seksualnością, której trzeba się bać, nie pożądać.

- Ach - zawołała Leonora. - Muszę ci opowiedzieć o liście, jaki dostałam od pewnego Niemca na temat „Fausta” Goethego; odcięte głowy Hydry pelzają w nim po scenie, myśląc, że nadal są tym czy owym - ostatnio zwróciłam uwagę na Goethego - wiesz, ta *ewig weibliche**, te wszystkie matki, wiedźmy, sfinksy...

Leonora nie przestawała mówić. Nigdy nie była nudna, choć zawsze była zdyszana. Gdy rozmowa ze-
szła z Christabel na Goethego, z Goethego na seksualność w ogóle, po czym zaś przeszła od ogółu do szczegó-
łu, a mianowicie do osobliwych nawyków obu mężów Leonory, które ta zwykła była potępiać - a czasem cele-
brować - w swego rodzaju namiętym recytatywie, Maud poczuła się bezpieczniej. Zawsze sądziła, że nie spo-
sób dowiedzieć się więcej o dziwactwach i słabostkach biednego dupka i straszego mięśniaka, o ich tajemnych
żądach i bezmyślnych klęskach, o zapachach, dziwnych odgłosach oraz wytryskach, nasiennych i werbalnych,
Leonora była jednak Kleopatrami słowa, pobudzającą apetyt tam, gdzie go najbardziej zaspokajała, i czyniącą z
oracji na kanapie niekończącą się opowieść do poduszki.

- A ty co? - zapytała zniecierpliwiona Leonora. - Jak się ma twoje życie uczuciowe? Niewiele się udzielałaś
tego wieczora.

- A miałam szansę?

- *Touché*. Rzeczywiście, gadam jak najęta. Ale tobie to odpowiada, w kwestii swojej seksualności jesteś
okropnie spięta. Wiem, że skrzywdził cię ten kutas, Fergus Wolff, ale nie powinnaś dać się unicestwić, spra-
wiasz zawód całej płci. Powinnaś się rozwinąć, spróbować innych słodczy.

* *Ewig weibliche* (niem.) tłum.). - właściwie *Ewig-Weibliche*, wieczna kobiecość (przyp.)

- To znaczy kobiet? Teraz akurat próbuję celibatu. Bardzo mi się podoba, jedyne ryzyko, to osoby, które
chcą mnie nawrócić na swój sposób życia. Powinnaś spróbować.

- Ależ próbowałam, przez cały miesiąc, zeszłej jesieni. Zakochałam się w sobie do tego stopnia, że do-
szłam do wniosku, że to niezdrowo tak się do siebie przywiązywać i że powinnam z siebie zrezygnować. Więc
znalazłam Mary-Lou. To o wiele bardziej ekscytujące, podniecać kogoś innego - i bardziej wielkoduszne,
Maud.

- Widzisz, co rozumiem przez nawracanie? Daj spokój, Leonoro. Dobrze mi tak, jak jest.

- To twój wybór - rzekła spokojnie Leonora. - Próbowałam do ciebie zadzwonić przed odlotem. Nikt nie
wiedział, gdzie jesteś. Na wydziale powiedzieli, że wyjechałaś samochodem z jakimś mężczyzną.

- Tak? Kto tak powiedział?

- A, to byłoby skarżenie. Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś. Maud, wzorem swej imienniczki, zamie-
niła się w regularną wspaniałą nieczułą bryłę lodu*.

- Tak, dziękuję - odparła oziębło, patrząc w przestrzeń z pobladłą twarzą i zaciśniętymi ustami.

- Aluzję pojęłam - powiedziała Leonora. - Wstęp wzbroniony. Cieszę się, że kogoś masz.

- Nie mam.

- OK. Nie masz.

* Na statku „Maud” Roald Amundsen i Harald Ulrich Sverdrup odbyli polarne podróże badawcze po
Morzu Arktycznym; również aluzja do poematu „Maud” Alfreda Tennysona, poświęconego tym wydarzeniom
(przyp. tłum.).

Leonora długo chlapała się w łazience i zostawiła ją pełną małych kałuż, odkręconych buteleczek i rozmaitych nieznanymi, korzennie pachnących mazidel. Maud zakręciła pojemniki, wytarła wodę, wzięła prysznic za zasłonę woniejącą opium czy też poison, i właśnie kładła się do swego chłodnego łóżka, gdy w drzwiach pojawiła się Leonora, w zasadzie naga, jeśli nie liczyć skąpego, rozchylonego szlafroka ze szkarłatnego jedwabiu.

- Buzi na dobranoc - powiedziała.

- Nie mogę.

- Możesz. To łatwe.

Podeszła do łóżka i zagarnawszy Maud, wtuliła ją w swoje łono. Maud zaczęła walczyć, by oswobodzić nos, lecz jej bezradne ręce napotkały majestatyczny brzuch i ciężkie piersi Leonory. Nie mogła *odpychać* - byłoby to równie przykre jak uległość. Ku swemu wstydowi zaczęła płakać.

- Co z tobą, Maud?

- Mówiłam ci. Nie chcę tego. W ogóle nie chcę. Przecież ci mówiłam.

- Mogę sprawić, że się rozluźnisz.

- Chyba widzisz, że to, co robisz, ma dokładnie odwrotny skutek. Proszę, wracaj do łóżka, Leonoro.

Leonora wydała kilka odgłosów, jakby warknięć, niczym duży pies albo niedźwiedź, i wreszcie odturlała się ze śmiechem.

- Jutro też jest dzień - powiedziała. - Słodkich snów, księżniczko.

Maud ogarnęło coś w rodzaju desperacji. Masyw Leonory leżał na jej sofie, w jej salonie, odgradzając ją od jej książek. Zauważyła, że z napięcia i braku przestrzeni bola ją zeszywniałe kończyny, podobnie jak podczas ostatnich okropnych dni z Fergussem Wolffem. Pragnęła usłyszeć własny głos, mówiący coś prosto i do rzeczy. Próbowała się zastanowić, z kim miałyby ochotę porozmawiać, i przyszedł jej do głowy Roland Mitchell, ten drugi zwolennik białych, pustych łóżek. Nie spojrzała na zegarek - było późno, lecz nie tak bardzo, nie dla naukowców. Niech telefon zadzwoni tylko kilka razy - wówczas, jeżeli on nie podniesie słuchawki, ona się wyłączy i on nigdy się nie dowie, że zakłóciła jego spokój. Podniosła słuchawkę stojącego przy łóżku telefonu i wykręciła numer w Londynie. Co mu powie? Ani słowa o Sabine de Kercoz, wspomni tylko, że ma coś nowego. I że nie jest sama.

Dwa dzwonki, trzy, cztery. Ktoś podniósł słuchawkę. Z drugiej strony zabrzmiała nasłuchująca cisza.

- Roland?

- On śpi. Czy pani ma pojęcie, która jest godzina?!

- Przepraszam, dzwonię z zagranicy.

- Maud Bailey, prawda? Maud milczała.

- Prawda, że to Maud Bailey? Może nie? Czemu pani nie da nam spokoju?

Maud czekała bez słowa, słuchając gniewnego głosu. Podniosła wzrok i w drzwiach ujrzała lśniące czarne loki i czerwony jedwab Leonory.

- Przyszłam powiedzieć, że przepraszam, i czy masz coś na ból głowy?

Maud odłożyła słuchawkę.

- Nie chciałam ci przeszkodzić.

- W niczym mi nie przeszkodziłaś.

Następnego dnia Maud zadzwoniła do Blackaddera, co było błędem taktycznym.

- Profesor Blackadder?

- Tak.

- Mówi Maud Bailey z Archiwum Ośrodka Studiów Kobiety w Lincoln.

- A, tak.

- Chciałabym dość pilnie skontaktować się z Rolandem Mitchellem.

- Nie wiem, czemu pani się do mnie zwraca, dr Bailey. Ostatnio w ogóle go nie widuję.

- Sądziłam, że...

- Niedawno wyjeżdżał. Od powrotu nie najlepiej się czuje. Przynajmniej tak przypuszczam, skoro go nie widuję.

- Przepraszam.

- Nie rozumiem za co. Chyba nie jest pani odpowiedzialna za jego... niedomagania?

- Może powie mu pan, że dzwoniłam, kiedy go pan zobaczy.

- Owszem, jeżeli go zobaczę. Czy przekazać coś jeszcze?

- Proszę mu powiedzieć, żeby do mnie zadzwonił.

- W jakiej sprawie, dr Bailey?

- Proszę mu powiedzieć, że jest tu profesor Stern z Tallahassee.

- Jeśli go zobaczę i jeśli zapamiętam, powtórzę.

- Dziękuję.

Kiedy Maud i Leonora wychodziły z dużego sklepu w centrum Lincoln, omal nie zabił ich wielki samochód, cicho i z wielką prędkością jadący na wstecznym biegu. Obie niosły koniki na kijach - końskie głowy, pięknie wykonane z aksamitu, z jedwabistymi grzywami i występnymi haftowanymi oczami, osadzone na solidnych kijach od mioteł. Leonora kupiła je dla swych licznych chrześniaków, mówiąc, że wyglądają angielsko i magicznie zarazem. Ujrawszy obie kobiety przez dymnoniebieskie szyby cofającego się samochodu, jego kierowca pomyślał, że w swych obszernych spódnicach i rozwianych szalach, z totemicznymi bestiami w rękach, przypominają dziwaczne czcicielki jakiegoś kultu. Oszczędnym, pogardliwym gestem wskazał im rynsztok, na co Leonora uniosła swego konika i pobrzękując dzwoneczkami, określiła człowieka za kierownicą jako wała, kutasa i wariata. Izolowany od jej obelg zakończył jednak manewr, narażając na zagrożenie wózek inwalidzki, staruszkę, dwoje rowerzystów, posłańca oraz samochód - cortinę, która musiała wycofać się aż do końca ulicy, więc Leonora spisała jego numer rejestracyjny, który brzmiał ANK 666. Ani Maud, ani Leonora nigdy nie spotkały Mortimera Croppera - obracał się w innym kręgu mocy, na innych konferencjach, w innych bibliotekach - toteż gdy mercedes odpląnął w wąskie uliczki, dla których nie został zaprojektowany, w głowie Maud nie zaświtał choćby przebłysk złego przeczucia.

Gdyby nawet Cropper domyślił się, że jedna z owych kultowych postaci to Maud Bailey, i tak nie zatrzymałby samochodu; bez wielkiego zainteresowania odnotował również amerykański akcent Leonory. Jego wyprawa miała inny cel. Niebawem wyprzedzał już wóz z sianem na krętej, wąskiej drodze wśród pagórków w

poblizu Bag-Enderby, zmuszając woźnicę do ryzykownego hamowania w przydrożnym żywopłocie. Nie otworzył okien; skórzane, aseptyczne wnętrze jego samochodu chłodził klimatyzator.

Brama prowadząca na podjazd Seal Court obwieszona była napisami - starymi i zzieleniałymi, oraz nowymi, czerwonymi na białym tle.

TEREN PRYWATNY WEJŚCIA NIE MA. WSTĘP WZBRONIONY. ZŁY PIES. TEREN CHRONIONY.

GROŹBA WYPADKU WCHODZISZ NA WŁASNE RYZYKO.

Cropper nie zrezygnował; w jego doświadczeniu ogłoszeniowe gadulstwo nie zwiastowało bynajmniej pułapek, lecz je zastępowało. Po wysadzanych bukami podjeździe dojechał na dziedziniec, gdzie zatrzymał samochód i zaczął rozważać następne posunięcie.

Za kuchennym oknem dał się zauważyć mierzący ze strzelby sir George, który następnie pojawił się przed drzwiami. Cropper pozostał w samochodzie.

- Zabłądził pan?

Cropper odkręcił szybę i zamiast stalowoszarego kadru filmowego ujrzał kruszące się kamienie. Rozejrzał się wprawnym okiem. Zwietrzałe mury. Spaczone drzwi. Chwasty na stajennym podwórku.

- Sir George Bailey?

- Ah-ha. Czym mogę służyć?

Cropper zgasił silnik i wyłonił się z samochodu.

- Zechce pan przyjąć moją wizytówkę? Profesor Mortimer Cropper z Kolekcji Stanta na Uniwersytecie Roberta Dale'a Owena w Harmony City, Nowy Meksyk.

- To pomyłka.

- Och, nie sądzę. Przebyłem długą drogę, aby prosić o chwilę pańskiego czasu.

- Jestem zajęty. Moja żona jest chora. Czego pan chce?

Cropper przybliżył się, aby zapytać, czy może wejść. Sir George uniósł trochę strzelbę. Cropper zatrzymał się. Miał na sobie luźną i elegancką czarną marynarkę z jedwabiu i wełny, grafitowe flanelowe spodnie i kremową jedwabną koszulę. Był szczupły, żyłasty i zdradzał lekkie podobieństwo do filmowych wirgińczyków, sprężonych jak koty, gotowych w każdej chwili odskoczyć albo wyciągnąć rewolwer.

- Sądzę, iż mogę śmiało powiedzieć, że jestem czołowym światowym specjalistą od Randolpha Henry'ego Asha. Z pewnych źródeł dotarła do mnie wiadomość, że posiada pan kilka sporządzonych przezeń dokumentów - powiedzmy listów bądź brudnopisów...

- Z pewnych źródeł?

- Pośrednich. Takie rzeczy zawsze wychodzą na jaw, prędzej czy później. Otóż, sir George, jestem przedstawicielem - kuratorem - największego na świecie zbioru rękopisów R.H. Asha...

- Słuchaj pan, profesorze, nie jestem zainteresowany. Nic nie wiem o tym Ashu i nie zamierzam zaczynać...

- Moje źródła...

- Oraz nie lubię, kiedy cudzoziemcy wykupują to, co angielskie.

- Może jakiś dokument, związany z pańską znakomitą przodkinią, Christabel LaMotte?

- Ani znakomitą, ani przodkinią. Pudło w obu przypadkach. Idź pan stąd.

- Gdybym mógł tylko wejść na chwilę i omówić z panem... po prostu dowiedzieć się, dla celów naukowych, co pan ma...

- Nie chcę już żadnych naukowców w tym domu. Nie chcę, żeby ktoś się wtrącał. Mam mnóstwo roboty.

- Nie zaprzeczy pan, że posiada...

- Nic nie powiem. To nie pańska sprawa. Precz z mojej ziemi. Biedna poetka od wrózek. Dajcie jej spokój.

Sir George zrobił zdecydowany krok naprzód. Cropper wytwornie uniół swe wytworne dłonie; pasek z krokodylej skóry przesunął się nieco na jego chudych biodrach niczym pas rewolwerowca.

- Proszę nie strzelać. Odejdę. Nigdy nie niepokoję tych, którzy są naprawdę niechętni. Ale powiem panu jedno: czy pan wie, ile taki dokument - gdyby istniał - byłby wart?

- Wart?

- W gotówce. W gotówce, sir George. Brak reakcji.

- Na przykład jeden list Asha - zwykle umówienie sesji pozowania z portrecistą - został ostatnio kupiony u Sotheby's za 500 funtów. Kupiony przeze mnie, rzecz jasna. Możemy się aż nazbyt szczerze pochwalić, sir George, że budżet uniwersytetu nie przewiduje listy zakupów bibliotecznych - po prostu mamy książeczkę czekową. A gdyby posiadał pan więcej niż jeden list - lub wiersz...

- Daj pan spokój...

- Powiedzmy, dwanaście długich listów... albo dwadzieścia krótkich, o błahej treści... no, to dostałby pan za to sześć cyfr albo i więcej. Sześciocyfrowa liczba - w funtach szterlingach. Widzę, że pana wspaniały dom wymaga konserwacji.

- Listów poetki od wrózek?

- Listów Randolpha Henry'ego Asha.

Zaczerwienione czoło sir George'a pokryły zmarszczki namysłu.

- A gdyby pan miał te listy, zabrałby je pan...

- I złożyłbym je w Harmony City, i udostępnił wszystkim uczonym ze wszystkich krajów. Dołączyłyby do siebie podobnych w doskonałych warunkach - ciśnienie, wilgotność, światło - nasze warunki przechowywania i oglądania są najlepsze na świecie.

- Na mój rozum to, co angielskie, powinno zostać w Anglii.

- Uczucie zrozumiałe i godne podziwu. Lecz w naszej dobie mikrofilmów i fotokopiarek... cóż znaczą sentymenty?

Sir George wykonał kilka konwulsyjnych ruchów strzelbą, być może wskutek zamyślenia. Cropper, bacznie śledzący oczy sir George'a, wciąż niedorzecznie trzymał ręce w górze i uśmiechał się mrocznie i lisio, niezbyt zaniepokojony, lecz czujny.

- Sir George, jeżeli powie mi pan, że myślę się całkowicie, przypuszczając, iż odkrył pan ważne, nowe rękopisy - jakiegokolwiek rękopisy - to proszę tak powiedzieć, a odejdę natychmiast. Choć mam nadzieję, że przyjmie pan moją wizytówkę - może się zdarzyć, że w starych listach Christabel LaMotte - w starych pamiętnikach lub księgach rachunkowych - przy bliższym zbadaniu znajdzie się coś Asha. Jeżeli w ogóle ma pan wąt-

pliwości w kwestii jakiegoś rękopisu, będę szczęśliwy, mogąc wydać opinię - bezstronną - o jego pochodzeniu i wartości.

- No, nie wiem. - Sir George uciekł w twardogłowe, ziemiańskie skretynienie; Cropper zobaczył jego kalkulujący wzrok i w owej chwili nabrał pewności, że coś w tym jest i że sir George ma do tego dostęp.

- Mogę panu podać wizytówkę tak, żeby nie odstrzelił mi pan głowy?

- Zapewne, zapewne. Ale uważaj pan, nie mówię, że coś z tego będzie, nie mówię...

- Pan nic nie mówi. Pan jest neutralny. Rozumiem doskonale.

W powrotnej drodze mercedes prześliznął się przez Lincoln jeszcze szybciej niż przedtem. Cropper rozważył i odrzucił pomysł, aby na tym etapie odszukać Maud Bailey. Rozmyślał o Christabel LaMotte. Gdzieś w Kolekcji Stanta - którą, raz uruchomiwszy pamięć, potrafił miłośniczo przywołać w sposób niemal fotograficzny - znajdowało się coś związanego z Christabel LaMotte. Co to mogło być?

Maud przeciskała się między straganami na Lincoln Market Square, kiedy ciężko wpadł na nią sir George, ubrany w zdumiewający garnitur, zielonkawy i przyciasny. Złapał ją za rękaw.

- Czy pani wie, młoda kobieto - zapytał donośnie - czy pani wie, ile kosztuje elektryczny wózek inwalidzki? Albo podnośnik na schody, może to pani wyceni?

- Nie - odparła Maud.

- Może powinna pani się dowiedzieć. Właśnie widziałem się z adwokatem, który ma o pani bardzo złe mniemanie, panno Maud Bailey, bardzo złe.

- Nie bardzo wiem, co...

- Niech pani nie udaje niewiniątka. Sześć cyfr albo więcej, tak właśnie powiedział ten chytry kowboj w mercedesie. A pani nie wspomniała o tym ani słówka, o nie, jakby nigdy nic, nabrała pani wody w tę zimną buziuchnę, co?

- To znaczy, te listy...

- Baileyów z Norfolk nigdy nie obchodził Seal Court. Stary sir George wybudował go, żeby zrobić im na złość, i, moim zdaniem, ucieszą się, jak się wreszcie rozpadnie, co już wkrótce nastąpi. Ale wózek elektryczny! Kobieto, powinna była pani o tym pomyśleć!

W umyśle Maud zapanował zamęt. Kowboj w mercu, dlaczego nie służba zdrowia, co się stanie z listami, gdzie się podziewa błogo nieświadoma Leonora, czy błąka się wśród straganów, kupując talerzyki?

- Bardzo mi przykro. Nie miałam pojęcia o ich wartości. To znaczy, wiedziałam, że są coś warte, ale myślałam, że powinny zostać na miejscu. Tam, gdzie zostawiła je Christabel.

- Moja Joan żyje, a tamta jest martwa.

- Oczywiście, rozumiem.

- Oczywiście, rozumiem - przedrzeźniał ją. - Nie, nie rozumie pani. Zdaniem mojego adwokata myślała pani tylko o tym, żeby sama odnieść korzyść - zrobić karierę naukową albo wręcz sprzedać je później. Korzystając z mojej niewiedzy, to pani rozumie?

- Myli się pan.

- Nie sędzę.

Zza sterty mocno pachnących kwiatów i wieszaka pełnego skórzanych kurtek, ozdobionych trupimi główkami, wyłoniła się Leonora.

- Czy ktoś cię napastuje, kochanie? - zapytała, po czym zawołała: - O, to ten leśny dzikus ze strzelbą.

- Pani! - wykrztusił fioletowy sir George, gniotąc i szarpiąc rękaw Maud. - Zewsząd wyłażą Amerykanie. Wszyscy maczacie w tym palce.

- W czym? - dopytywała się Leonora. - Czy to wojna? Incydent międzynarodowy? Maud, czy on ci grozi?

Ruszyła w stronę sir George'a, górując nad nim, przepełniona szlachetnym oburzeniem.

Maud, która chlubiła się swym rozsądkiem w chwilach kryzysu, próbowała szybko rozstrzygnąć, czy bardziej obawia się furii sir George'a, czy tego, że Leonora przedwcześnie dowie się o ukrytych listach. Oceniała, że sir George'a i tak już nie przekona, natomiast Leonora, czując się zdradzona, mogła być straszna; nadal jednak nie wiedziała, co powiedzieć. Leonora chwyciła silnymi dłońmi żylastą piąstkę sir George'a.

- Proszę puścić moją przyjaciółkę albo zawołam policję.

- To ja ich zawołam, nie pani. Złodzieje. Włazą na cudzy teren. Paskudne sępy.

- Ten biedak pewnie ma na myśli harpie, nie jest wykształcony.

- Leonoro, błagam.

- Czekam na wyjaśnienie, panno Bailey.

- Nie teraz, nie tutaj, proszę.

- Co on chce wyjaśniać, Maud?

- Nic ważnego. Przecież chyba pan widzi, że to niewłaściwy moment, sir George?

- Istotnie, widzę. Zabierz swoje łapy, wulgarna kobieto, odejdz ode mnie. Mam nadzieję, że już nigdy nie zobaczę żadnej z was.

Sir George odwrócił się, roztrącił mały tłumek, który zdążył się zebrać wokół nich, i oddalił się pośpiesznie.

- Maud, co on chciał wyjaśniać? - zapytała Leonora.

- Powiem ci później.

- Z całą pewnością. Jestem bardzo zaintrygowana.

Maud poczuła niemal rozpacz. Zapragnęła być gdziekolwiek indziej niż tu i teraz. Pomyślała o Yorkshire, o białym świetle przy Tomaszowej Siklawie, o siarkowożółtych kamieniach i amonitach, ujranych w Boggle Hole.

Pobrzękująca kluczami strażniczka o surowej czarnej twarzy skinęła na bladą Paolę.

- Telefon - powiedziała. - Do redaktorów Asha.

Idąc za dźwiękiem kluczy i obciążniętymi kurtką biodrami, Paola podążyła wyściełanym tunelem do telefonu w dyżurce, który w drodze wielkiego przywileju udostępniano Fabryce Asha do pilnych rozmów.

- Paola Fonseca.

- Powiedziano mi, że będę mógł pomówić z profesorem Blackadderem. Nazywam się Byng i jestem adwokatem. Dzwonię w imieniu klienta, który chciałby się dowiedzieć, jaka jest... no - cena rynkowa pewnych... pewnych... ewentualnych rękopisów.

- Ewentualnych, panie Byng?

- Mój klient nie wyrażał się jasno. Czy naprawdę nie mógłbym rozmawiać z profesorem Blackadderem?

- Poproszę go. To kawał drogi. Proszę cierpliwie czekać.

Po rozmowie z panem Byngiem Blackadder wrócił do Fabryki Asha blady, cierpki, podniecony i wysoce poirytowany.

- Jakiś dureń chce, żebym podał wartość bliżej nieokreślonej liczby listów Asha do bliżej nieokreślonej kobiety. Zapytałem, czy jest ich pięć, piętnaście czy może dwadzieścia. Byng powiedział, że nie wie, ale podobno około pięćdziesięciu. Mówił, że są długie, nie jakieś tam podziękowania albo liściki umawiające Asha z dentystą. Nie chciał ujawnić klienta. Powiedziałem, że nie bardzo mogę wycenić coś tak potencjalnie ważnego, nie widząc tego na oczy. Nigdy nie lubiłem tego zwrotu, a ty, Paola? Nie widzieć na oczy - przecież to prawie tautologia, prawda, po prostu oznacza nie widzieć. Na to pan Byng powiada, że o ile wie, jest już oferta na te listy w okolicach sześciu wysokich cyfr. Z Anglii, zapytałem, na co on powiedział, że nie, niekoniecznie. Ten skurwiel Cropper już to wywęszył, cokolwiek to jest. Zapytałem, czy mogę wiedzieć, skąd mówi? Odpowiedział, że z kancelarii na Tuck Lane w Lincoln. Chciałem obejrzeć te cholerne listy, ale Byng oznajmił, że jego klient jest bardzo drażliwy i nie życzy sobie, aby go niepokojono. No i co ty na to? Odniosłem wrażenie, że gdybym w ciemno podał jakąś wygórowaną sumę, to pozwoliliby mi zerknąć. Ale jeśli tak zrobię, nigdy nie zdobędziemy środków na pokrycie tej sumy, zwłaszcza jeśli w tle czai się ten palant Cropper ze swoją niewyczerpaną książeczką czekową; klient pana Bynga już teraz pyta o pieniądze, a nie o wartość naukową. Powiem ci coś, Paola. To wszystko ma związek z dziwnym zachowaniem Rolanda Mitchella i jego wyjazdami do tej dr Bailey w Lincoln. Co też knuje nasz młody Roland? A w ogóle, gdzie on jest? Czeka, niech ja się z nim rozmówię...

- Roland?

- Nie. Kto mówi? Czy to Maud Bailey?

- Tu Paola Fonseca. Mój głos ani trochę nie przypomina głosu Maud Bailey. Val, muszę mówić z Rolandem, to pilne.

- Nie dziwię się, już wcale nie chodzi do biblioteki, tylko siedzi tu i pisze...

- Czy jest w domu?

- Zawsze tak wam się spieszy, tobie i Maud Bailey.

- O co ci chodzi z tą Maud Bailey?

- Ciężko dyszy w słuchawkę.

- Val, mogę z nim mówić? Stoję na korytarzu, nie mogę długo rozmawiać, wiesz, jak tu jest głupio z telefonami...

- Zawołam go.

- Roland, tu Paola. Masz spore kłopoty. Blackadder się wściekł. Szukał cię.

- Niezbyt daleko mnie szukał. Cały czas siedzę tutaj i piszę swój artykuł.

- Nic nie rozumiesz. Słuchaj, nie wiem, czy to coś dla ciebie znaczy, ale zadzwonił do niego człowiek nazwiskiem Byng i chciał, żeby Blackadder wycenił zbiór około pięćdziesięciu listów Asha do jakiejś kobiety.

- Jakiej kobiety?

- Byng nie mówił. Blackadder sądzi, że on wie. Sądzi również, że ty wiesz. Sądzi, że coś ukułeś za jego plecami. Mówi, że jesteś zdradzieckim... Roland, czy ty mnie słuchasz?

- Tak. Myślę. To okropnie miło, że dzwonicz, Paola. Nie wiem, dlaczego ci się chciało, ale to miłe.

- Dlatego, że nie znoszę hałasu.

- Hałasu?

- Aha. Jeżeli przyjdiesz, on będzie ryczał. I ryczał, i ryczał. Mdli mnie od tego w żołądku. Nienawidzę wrzasku. A poza tym, dość cię lubię.

- To miło z twojej strony. Ja też nie znoszę wrzasku. Nie znoszę Croppera. Nie znoszę Fabryki Asha. Chciałbym być gdziekolwiek, byle nie tutaj. Chciałbym zniknąć z powierzchni ziemi.

- Stypendium w Auckland albo w Erewanie.

- Prędej dziura w ziemi. Powiedz mu, że nie wiesz, gdzie jestem. I dziękuję.

- Val chyba jest zła.

- To chroniczne. Również dlatego nie znoszę wrzasku. To głównie moja wina.

- Strażniczka wraca. Idę już. Trzymaj się.

- Dziękuję za wszystko.

Roland wyszedł. Czuł się całkowicie bezradny i zrozpaczony. Świadomość, że każdy inteligentny człowiek w jego położeniu byłby przewidział taki rozwój wypadków, jeszcze pogarszała sprawę. Był dotychczas przeświadczony, że listy pozostaną jego prywatną tajemnicą, dopóki nie postanowi ich ujawnić, dopóki... dopóki nie domyśli się, czego chciałby Randolph Ash. Kiedy Val spytała, dokąd idzie, nie odpowiedział. Szedł po Putney High Street, szukając jakiejś budki telefonicznej, która nie byłaby zniszczona przez wandalów. Zajrzał do sklepu z żywnością indyjską, gdzie zaopatrzył się w kartę telefoniczną i garść bilonu. Przeszedł przez most Putney i po stronie Fulham znalazł telefon na karty, który musiał być czynny, gdyż stała przed nim długa kolejka. Zaczekał. Dwie osoby, czarny mężczyzna i biała kobieta, wyczerpali swoje karty. Kolejna biała kobieta za pomocą kluczyków od samochodu wykonała przy telefonie jakąś skomplikowaną sztuczkę i rozmawiała bez końca. Współkolejkowicze Rolanda spojrzeli po sobie, po czym jęli okrążyć budkę niczym hieny, zaglądając kobiecie w oczy i czasem od niechcienia klepiąc dłońmi w szkło. Kiedy wreszcie kobieta wyszła gniewnie, nie patrząc ani w lewo, ani w prawo, osoby stojące przed Rolandem uprzejmie skróciły swoje rozmowy. On jednak nie czuł się w kolejce nieszczęśliwy; przynajmniej nikt nie wiedział, gdzie się znajduje. Dodzwonił się.

- Maud?

- Nie może podejść w tej chwili. Czy chce pan coś przekazać?

- Nie. To nieważne. Jestem w budce telefonicznej. Kiedy wróci?

- Właściwie nie wyszła. Kąpie się.

- To dość pilne. Za mną jest kolejka.

- MAUD. Właśnie ją wołam. Proszę poczekać, sprawdzę, co... MAUD! Kiedy zaczną pukać w szybę?

- Idzie już. Kogo mam zapowiedzieć?

- To nieważne. Jeżeli już idzie.

Wyobraził sobie Maud mokrą, w białym ręczniku. Kim jest ta Amerykanka? To pewnie Leonora. Czy Maud powiedziała coś Leonorze? Czy przy Leonorze będzie mogła z nim rozmawiać...?

- Halo? Mówi Maud Bailey.

- Maud. Nareszcie. Maud. Tu Roland. Jestem w budce. Nastąpiła katastrofa...

- O, tak. Musimy pomówić. Leonoro, przepraszam, ale zabieram telefon do sypialni. To raczej prywatna rozmowa.

Przerwa. Ponowne połączenie.

- Rolandzie, był tu Mortimer Cropper.

- Jakiś adwokat dzwonił do Blackaddera.

- Sir George urządził mi w Lincoln okropną scenę. O wózek elektryczny. Potrzebuje pieniędzy.

- To był jego adwokat. Bardzo się złości?

- Wpadł w furję. I co gorsza, widział Leonorę.

- Powiedziałaś jej?

- Nie. Ale nie mogę zrobić ruchu, żeby czegoś nie odgadła. Każdy dzień tylko pogarsza sprawę.

- Bardzo źle o nas pomyślą. Cropper, Blackadder, Leonora.

- Słuchaj, à propos Leonory - odkryła, co się stało później. Christabel wyjechała do rodziny w Bretanii.

Była tam kuzynka, która pisała wiersze. Teraz te wiersze ma jakaś francuska uczona, napisała do Leonory. Christabel jakiś czas mieszkała u tej rodziny, może również wtedy, gdy Blanche popełniła samobójstwo. Nikt nie wiedział, gdzie ona jest.

- Chciałbym, żeby nikt nie wiedział, gdzie ja jestem. Po prostu uciekłem, żeby Blackadder mnie nie wezwał.

- Próbowałam dodzwonić się do ciebie. Nie wiem, czy ona ci powtórzyła. Raczej się na to nie zanosilo. Nie wiem nawet, co zamierzamy - co zamierzaliśmy zrobić. Jak mogliśmy sądzić, że uda się nam zataić to wszystko przed C i B?

- I przed Leonorą. Nie chcieliśmy nic zatajać - chcieliśmy tylko odkryć, ile się da. Po prostu potrzebowaliśmy więcej czasu. To jest nasza Wyprawa.

- Wiem. Ale nie zobaczą tego w tym świetle.

- Chciałbym móc zniknąć.

- Wciąż to powtarzasz. Ja też. Samo mieszkanie z Leonorą jest uciążliwe, nawet bez sir George'a i tego wszystkiego...

- Naprawdę? - Przyłapał się na tym, że odsuwa od siebie wizję Leonory, której nigdy nie widział, zmysłowo odwijającej wyobrażony biały ręcznik. Maud ściszyła głos.

- Wciąż myślę o tym, co powiedzieliśmy sobie przy Siklawie, o pustych łózkach.

- Ja też. I o białym świetle na skale. I o słońcu w Boggle Hole.

- Tam wiedzieliśmy, na czym stoimy. Powinniśmy po prostu zniknąć. Jak Christabel.

- To znaczy, wyjechać do Bretanii?

- Nie całkiem. Albo... W końcu... Dlaczego nie?

- Nie mam pieniędzy.

- Ja mam. I mam samochód. I dobrze mówię po francusku.

- Ja też.

- Nie dowiedzą się, gdzie jesteście.
- Nawet Leonora?
- Nie, jeśli ją okłamię. Pomyśli, że mam tajemniczego kochanka. Jest w duszy romantyczką. To okropne świństwo, dać nogę z jej informacją. To zdrada.
- Zna Croppera i Blackaddera?
- Nie osobiście. Nie wie też, kim ty jesteś. Nie wie nawet, jak się nazywasz.
- Val może jej powiedzieć.
- Muszę ją wyprowadzić z tego mieszkania. Załatwię jej jakieś zaproszenie. Kiedy Val zadzwoni, nikt nie odpowie.
- Nie jestem z natury spiskowcem, Maud.
- Ani ja.
- Nie dam rady wrócić do domu. Gdyby Blackadder... gdyby Val...
- Musisz. Wróc do domu, zrób awanturę, zabierz potajemnie paszport i wszystkie papiery, i po prostu się wynieś. Do jakiegoś hoteliku w Bloomsbury.
- Za blisko Muzeum Brytyjskiego.
- No to w Victorii. Załatwię sprawę z Leonorą i przyjadę. Znam jeden, w którym kiedyś mieszkałam...

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wył wicher. Wściekły Ocean ciskał
Wzburzony odmęt w piany rozpryskach
O wieży dumnej kamienną ścianę,
Gdzie biała Dahud i jej kochanek
Za okiennicy skrzydłem leżeli
W jedwabnej ciszy nocnej pościeli.
A na ulicy, krzycząc w zamęcie,
Ludzie, śmiertelną trwogą przejęci,
Dłońmi mokrymi próżno drapali
Milczące, gładkie odrzwia ze stali.
Leniwie drzemał u Dahud boku,

Gdy duszą jego targnął niepokój
I uchem czujnym, ponad jej tętnem,
Pochwycił ludzkie głosy napięte -
Gwar ludzkiej ciżby, a tuż za bramą Mrukliwy, gniewny ryk Oceanu.
Rzekła naówczas: - Spójrz zza kotary
I mów, co robi Ocean stary, Jaką ma barwę, jakie zamiary?
- Pani, toń jego jak szkło zielone
Pod czarnym niebem; łódki niesione
Wichrem, latają jak ptaki bure,
Wskroś przemoczone i zmokłopióre.
- Pójdź tedy prędko w moje ramiona,
Niech pocałunku żar cię przekona,
Niech namiętności wichur zagłuszy
Bezmyślny jazgot niemądrej tłuszczy
I huk żywiołu, co ściany kruszy.
Oczarowany, na rozkaz bieży,
Lecz nagle słyszy: w parapet wieży
Fala uderza, więc znowu woła:
- Pani, czas wstawać, woda dokoła!
- Nie bój się - rzecze Dahud w te słowa -
Póki nie padnie brama stalowa.
Nic się nie stanie. Spójrz zza kotary
I mów, co robi Ocean stary,
Jaką ma barwę, jakie zamiary?
- Pani, toń jego jest bladosina,
Wiatr zaś pod niebem welon rozpina
Piany rozbitej; ze szczytów fali
Ludzie tonący krzyczą w oddali.
- Pójdź w me ramiona, spocznij tu błogo,
Cóż cię ich losy obchodzić mogą?
Czarem poskromię tę furię wrogą.
Lecz on znów wstaje i głośno woła:
- Pani, czas wstawać, morze dokoła!
- Podejdź do okna, spójrz zza kotary
I mów, gdzie bieży Ocean stary,
Jaką ma barwę, jakie zamiary?
- Pani, toń jego to kipiela czarna
Smolista otchłań, lepka i parna,

Coraz jest wyżej i szcęk milionem
Chwyta, pożera wciąż dom za domem,
A kły ma z piany, białe i krzywe,
Z nocy zrodzone monstra prawdziwe,
To sto, to tysiąc, w niszczącym szale -
Pani, ja nieba nie widzę wcale!
Gwiazdy pogasły, potoki rwące
Płyną, gdzie stało miasto kwitnące,
Gdzie się uśmiechał zegar z ratusza,
Teraz wir dziki wszystkim porusza,
Jakby w tan poszły straszliwe moce.
A sama wieża drży i dygoce
I Oceanu śmiech słychać gniewny,
Więc wstawaj, Pani, bo utoniemy!

Christabel LaMotte, „Miasto Is”

Tkwili zamknięci w kabinie Prince of Brittany. Panowała noc; słychać było jednostajny puls maszyn, a dalej, wokół promu, ciężki szum ogromnego morza. Oboje wręcz osłabli od nadmiaru podniecenia. Najpierw długo stali na pokładzie i patrzyli na powoli gasnące światła Portsmouth. Stali osobno, nie dotykając się, choć wcześniej, w Londynie, padli sobie w ramiona pełni niewyjaśnionych emocji. Teraz zaś siedzieli obok siebie na dolnej koi i z kubeczków do płukania zębów pili bezcłową whisky z wodą.

- Chyba jesteśmy szaleni - powiedział Roland.

- Pewnie, że tak. I występni. Bezwstydnie okłamałam Leonorę. Gorzej - zwędziłam jej adres Ariane Le Minier. Jestem taka sama jak Cropper i Blackadder. Wszyscy uczeni są odrobinę szaleni. Wszystkie obsesje są niebezpieczne, ta zaś wymknęła się trochę spod kontroli. Ale cóż to za rozkosz oddychać morskim powietrzem i nie musieć dzielić mieszkania z Leonorą przez najbliższe kilka tygodni..

Czuł się dziwnie, słuchając, jak Maud Bailey mówi beładnie o szaleństwie i rozkoszy.

- Chyba właśnie straciłem wszystko, co kiedykolwiek miałem i na czym mi zależało. Swój kawałek zajęcia w Fabryce Asha. Val. Co oznacza, że również dom, bo to jest jej dom, to ona płaci komorne. Powinienem czuć się okropnie i pewnie jeszcze się poczuję. Ale w tej chwili mam taką jasność w głowie, jestem taki - pojedynczy, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. To pewnie z powodu morza. Czułbym się głupio, ukrywając się w Londynie.

Nie dotykali się. Siedzieli przyjaźnie blisko i nie dotykali się.

- To dziwne - powiedziała Maud - gdybyśmy byli opętani sobą nawzajem, nikt by nie myślał, żeśmy zwariowali.

- Val myśli, że mamy obsesję na swoim punkcie. Powiedziała nawet, że to zdrowsze niż obsesja na punkcie Randolpha Asha.

- Leonora sądzi, że wyjechałam w pośpiechu na telefoniczne wezwanie kochanka.

Cała ta zawrotna jasność myślenia polega na tym, że nie jesteśmy sobą opętani, pomyślał Roland.

- To są czyste, wąskie, białe łóżka - powiedział.

- W rzeczy samej. Wolisz na dole czy na górze?

- Wszystko mi jedno. A ty?

- Wezmę górę. - Roześmiała się: - Leonora powiedziała, że to z powodu Lilith.

- Lilith?

- Lilith nie chciała zająć niższej pozycji, więc Adam ją wypędził, odtąd więc nawiedza pustynię arabską i ciemności poza światem*. Jest awatarem Meluzyny.

* Por. Izajasz, 34.14: „Tam legła jędrza i znalazła sobie pokój” (przyp. tłum.).

- Nie wiem, jakie to ma znaczenie, góra czy dół - powiedział Roland nieporuszony, doskonale zdając sobie sprawę z absurdu wręcz zakresu komentarza, od mitografii przez upodobania seksualne po miejsca na kojach. Czuł się szczęśliwy. Wszystko było absurdem i jednością. Odkręcił prysznic.

- Chcesz wziąć prysznic? To słona woda.

- Rzeczywiście. Podmorski prysznic w morskiej wodzie. W tej kabinie jesteśmy pod powierzchnią morza, prawda? Proszę, idź pierwszy.

Woda syczała, kłuła i uspokajała. Na zewnątrz ta sama woda płynęła w mroku, rozcinana kadłubem ogromnej jednostki, podtrzymując ruch i równowagę niewidocznego życia, ławic żółwi i zagrożonych, śpiewających delfinów, migotliwych, bystrych mas makreli i witlinków, baldachimów meduz o własnym napędzie, fosforyzującej śledziowej ikry, którą Michelet, myląc swoim zwyczajem rodzaje i funkcje, nazwał morzem mleka, *la mer de lait*. Roland leżał spokojnie na swej niższej koi i myślał o magicznym zdaniu Melville'a, o ławicach czegoś - co to było? - prześlizgujących się pod poduszką. Słyszał, jak strumień prysznica uderza i łąmie się na niewidzialnym ciele Maud, które wyobrażał sobie łagodnie i niewyraźnie, bez szczegółów i napięcia, białe jak mleko, obracające się tam i z powrotem w fontannach wody i kłębach pary. Kiedy wspinała się na koję, zobaczył jej kostki, białe i szczupłe, w obłoku białej bawełny, leśnego zapachu pudru i woni mokrych włosów. Poczuł ogromne zadowolenie, że układa się tam, niedostępna i niewidoczna, lecz bliska. „Śpij dobrze - powiedziała - dobranoc” - on zaś odpowiedział tym samym. Jednak długo nie spał i leżąc w ciemności z otwartymi oczyma, nasłuchiwał chciwie małych skrzypnięć i szelestów, westchnień i szmerów, docierających doń, kiedy się nad nim poruszała.

Maud zatelefonowała do Ariane Le Minier, która wybierała się właśnie na wakacje na południe, lecz zgodziła się krótko z nimi porozmawiać. Przy dobrej pogodzie niespiesznie pojechali samochodem do Nantes i spotkali się na obiedzie w zdumiewającej restauracji, cudownie i tajemniczo ozdobionej findesieclowymi tureckimi kaflami, gdzie witraże lśniły jak klejnoty spomiędzy wysokich kolumn. Ariane Le Minier była młoda, ciepła i zdecydowana, o czarnych jak atrament włosach wyrzeźbionych w precyzyjną formę geometryczną, z cięciem nad brwiami i u nasady szyi. Kobiety przypadły sobie do gustu; ich podejście do nauki miało w sobie tę samą namiętą precyzję. Dyskutowały o liminalności i o potwornej formie Meluzyny, która, wedle sformuło-

wania Winnicotta*, stanowiła „obszar przejściowy”, wyobrażony konstrukt, uwalniający kobietę od tożsamości płciowej. Roland mówił bardzo mało. Był to jego pierwszy francuski posiłek we Francji i poddał się jego ścisłej zmysłowości, smakowi owoców morza, świeżości chleba oraz sosom, których subtelność domagała się i jednocześnie opierała definicji.

Maud miała przed sobą delikatne zadanie. Chciała obejrzeć dokumenty Sabine de Kercoz, nie mówiąc dokładnie, dlaczego, i nie wyjaśniając związku między swoją prośbą a nieobecnością Leonory. Z początku wydawało się, że planowany wyjazd dr Le Minier jeszcze jej to utrudni; papiery były zamknięte i dostęp do nich pod nieobecność Ariane naprawdę nie był możliwy.

- Gdybym wiedziała, że państwo przyjedziecie...

- Sami nie wiedzieliśmy. Nagle wypadł nam mały urlop. Mieliśmy zamiar zwiedzić Bretanię i zobaczyć dom rodzinny LaMotte'ów.

* Donald Woods Winnicott - współczesny psychoanalityk amerykański (przyp. tłum.).

- Niestety, nie ma nic do oglądania. Został spalony podczas I wojny światowej. Ale warto zobaczyć choćby Finistère i zatokę Audierne - pod którą, zgodnie z tradycją, leży zatopione Is - i Baie de Trépassés, Zatokę Umarłych...

- Dowiedziała się pani czegoś więcej o wizycie LaMotte jesienią 1859 roku?

- Ach! Mam dla pani niespodziankę. Po tym, jak napisałam do profesor Stern, dokonałam odkrycia - znalazłam *journal intime* Sabine de Kercoz, który prowadziła prawie do końca pobytu LaMotte. Myślę, że Sabine próbowała naśladować George Sand i z tego powodu pisała go po francusku zamiast po bretońsku, co byłoby bardziej naturalne.

- Nie umiem nawet wyrazić, jak bardzo chciałabym zobaczyć...

- Mam dla pani jeszcze jedną niespodziankę. Zrobiłam kopię. Żeby mogła pani ją pokazać profesor Stern i jeszcze dlatego, że bardzo podziwiam pani prace o Meluzynie. I żeby wynagrodzić pani moją nieobecność i zamknięte archiwum. Fotokopiarka to wielki, demokratyczny wynalazek. Powinniśmy dzielić się informacją, *n'est-ce pas!* Współpraca to jedna z zasad feminizmu. Sądzę, że treść dziennika bardzo panią zdziwi. Mam nadzieję, że kiedy pani go przeczyta, będziemy mogły omówić wnioski. Teraz nie powiem już nic więcej. Nie wolno psuć niespodzianek.

Maud, nieco zmieszana, wyraziła zdumienie i wdzięczność. Nękało ją dojmujące pytanie, co powie Leonorze. Lecz ciekawość i zachłanność narracyjna były jeszcze bardziej dojmujące.

Następnego dnia udali się w poprzek Bretanii na koniec ziemi, Finistère. Minawszy lasy Paimpol i Brocéliande, dotarli do spokojnej zacisznej zatoki Fouesnant i przylądka Coz, gdzie znaleźli hotel, który łączył w sobie smaganą wiatrem surowość Północy z czymś miększym, bardziej rozmarzonym i południowym, który posiadał taras z palmą i widokiem na zagajnik niemal śródziemnomorskich pinii, łuk piaszczystej zatoki i zielononiebieskie morze poza nim. Tam, przez następne trzy dni, czytali dziennik Sabine de Kercoz. Co pomyśleli, opowiemy później. Oto, co przeczytali:

Sabine Lucrece Charlotte de Kercoz

Dziennik intymny

Rozpoczęty we dworze Kerkemet.

13 października 1859

Pustka tych białych stronici napęlnia mnie lękiem i pragnieniem. Mogę tu napisać cokolwiek zechcę, jak więc postanowię, od czego zacząć? Oto książka, dzięki której stanę się prawdziwą pisarką tutaj będę się uczyć rzemiosła, tutaj zapiszę wszystkie ciekawe doświadczenia i odkrycia. Wyżebrałam notatnik od mego drogiego ojca, Raoula de Kercoz, który używa tych oprawionych zeszytów do folklorystycznych zapisków i notatek naukowych. Postawiłam sobie to zadanie za namową mej kuzynki, poetki Christabel LaMotte, która powiedziała coś, co zrobiło na mnie silne wrażenie: „Człowiek staje się prawdziwym pisarzem, wyłącznie ćwicząc się w tym rzemiośle, prowadząc bezustanne doświadczenia z językiem, podobnie jak wielki artysta eksperymentuje z gliną i farbą olejną do chwili, gdy ten środek wyrazu stanie się drugą naturą którą artysta może kształtować zgodnie ze swoją wolą”. Gdy wyznałam, że bardzo pragnę pisać, w moim zaś życiu codziennym brak ciekawych rzeczy, zdarzeń i namiętności, które mogłyby stać się tematem poezji lub prozy, powiedziała również, że do podstaw dyscypliny pisarskiej powinno należeć codzienne notowanie wszystkiego, co zauważę w swoim życiu, nieważne, jak nudne lub zwyczajne się wydaje. Zalety owych zapisków - ciągnęła - są dwojakie. Uczynią mój styl giętkim, obserwację zaś dokładną w przygotowaniu na chwilę, kiedy coś zawoła - tak powiedziała: „zawoła” - bym to opisała. A ponadto każą mi zauważyć, iż nic nie jest nudne w swojej istocie, że wszystko jest na swój sposób ciekawe. „Spójrz - mówiła - na wasz zalany deszczem sad, na wasze straszliwe wybrzeże, obcymi - moimi - oczyma, a zobaczysz, że są pełne magii i smutnych, lecz cudownie pięknych barw. Popatrz na stare garnki i proste talerze w waszej kuchni oczyma nowego Vermeera, który przybywa, aby zaprowadzić harmonię za pomocą odrobiny cienia i światła słonecznego. Pisarz tego zrobić nie może, lecz zważ, co pisarz może - zawsze przy założeniu, że zna swoje rzemiosło”.

Widzę, że zapisałam już całą stronicę, lecz jedyne, co ma na niej jakąś wartość, to nauki mej kuzynki Christabel. Tak być powinno - jest obecnie najważniejszą osobą w moim życiu, a ponadto świeci przykładem, i jako uznana pisarka o pewnym znaczeniu, i jako kobieta, a więc znak nadziei, przykład dla nas wszystkich. Nie jestem pewna, czy w smak jej ta rola - w istocie sędzę, że niewiele wiem o tym, co myśli i czuje. Mnie traktuje - w najłagodniejszy możliwy sposób - jakby była guwernantką ja zaś - uciążliwą podopieczną zapalczywą beznadziejną ignorantką która nie umie usiedzieć spokojnie.

Jeżeli przypomina guwernantkę, to z pewnością romantyczną Jane Eyre, silną namiętną i spostrzegawczą pod pozorami surowości.

Ostatnie dwa zdania każą mi zastanowić się nad pewnym problemem. Czy piszę te słowa, aby ujrzała je Christabel, jako coś w rodzaju *devoir* - pisarskiego ćwiczenia - lub wręcz jako intymny list, który miałyby przeczytać w samotności, w chwili kontemplacyjnego odosobnienia? Czy też piszę prywatnie, dla siebie, próbując być wobec siebie całkiem szczerą, w imię prawdy jedynie?

Wiem, że Ona wolałaby to drugie. Będę więc zamykać ten zeszyt na klucz - przynajmniej teraz, póki jest jeszcze młody - i zapisywać w nim tylko to, co przeznaczone jest dla moich oczu oraz dla Najwyższej Istoty (bóstwa mego ojca, w chwilach, gdy słabnie jego wiara w starsze bożki, takie jak Lugh, Dagda, Taranis*.

Christabel odczuwa silne, choć osobliwie angielskie przywiązanie do Jezusa, które nie do końca rozumiem, podobnie jak nie rozumiem, komu pozostaje wierna, katolikom czy protestantom).

* Lugh... - bóstwa z panteonu celtyckiego (przyp. tłum.).

Lekcja. Praca napisana dla jednej tylko pary oczu - oczu pisarza - traci nieco na żywotności, lecz w zamian zyskuje pewną swobodę oraz, ku memu zdumieniu, cechę dojrzałości: nieobecne jest w niej bowiem pragnienie kobiece, ale i dziecinne, by czarować.

Zacznę swoją pracę od opisanie Kerkemet, jakim jest dzisiaj, o tej czwartej godzinie w ciemne, jesienne, mgliste popołudnie.

Całe swe krótkie życie - które czasem dłużyło mi się i ciążyło - spędziłam w tym domu. Christabel powiedziała, że zaskoczyły ją zarówno jego piękno, jak i prostota. Nie, nie będę powtarzać słów Christabel. Zapiszę tylko to, co sama zauważę, a co jest tak znajome, że w nastroju *ennui* prawie tego nie dostrzegam.

Dom nasz, zbudowany z granitu jak większość domów na tym wybrzeżu, jest długi i niski, o wysokim, stromym, łupkowym dachu z lukarnami. Stoi pośrodku dziedzińca; otaczający go wysoki mur ma za zadanie stworzyć strefę ciszy pośród wiatru, jak również nie dopuszczać nic z zewnątrz. Wszystko tu zostało pomyślane w taki sposób, by ostać się wichurom i zacinającym od Atlantyku deszczom. Łupok przez większość czasu połyskuje wilgocią, lecz kocham go również latem, gdy bywa, że lśni w upale. Głęboko osadzone okna wykończone są wysokimi łukami jak w kościele. Mamy cztery główne pokoje, dwa na dole, dwa na górze, każdy z dwoma oknami aby zapewnić dość światła przy każdej pogodzie. Na zewnątrz stoi wieżyczka z gołębnikiem na górze i psiarnią na dole; jednakże Pies Tray i Mirza, myśliwska suka mego ojca, mieszkają z nami. Za domem, osłonięty od Oceanu, znajduje się sad, w którym bawiłam się jako dziecko i który wówczas wydawał się nieskończenie rozległy, teraz zaś okazał się ciasny. On również otoczony jest murem z suchego kamienia i wielkich morskich otoczków, które, jak mówią wieśniacy, „zużywają” wiatr, łamiąc jego siłę pośród niezliczonych dziur i zakamarków. Pieśń wiatru wypełnia całą tę krainę. Kiedy wieje, ludzie mocniej stawiają stopy i, by tak rzec, śpiewają do niego; mężczyznom pogłębiają się basy, kobiety podwyższają ton.

(To nieźle powiedziane. Napisawszy te słowa, jestem pełna wręcz estetycznej miłości dla moich krajinów i naszego wiatru. Gdybym była poetką, napisałabym teraz poemat o jego zawodzeniu. Gdybym była powieściopisarką, napisałabym, że, mówiąc szczerą prawdę, jego monotony zaśpiew może doprowadzić człowieka do obłędu, i w długie zimowe miesiące łaknie się ciszy jak wędrowiec na pustyni pragnie wody. Psalmi głoszą chwałę chłodnego cienia skał, dającego schronienie przed palącym słońcem. My tutaj pragniemy kilku kropli suchej, jasnej ciszy).

W tej chwili w trzech pokojach naszego domu siedzą i piszą trzy osoby. Moja kuzynka i ja zajmujemy oba pokoje na piętrze - ona mieszka w pokoju mojej zmarłej matki, do którego ojciec niechętnie mnie wpuszczał (na dobrą sprawę nie miałam też ochoty doń wchodzić). Z tych pokojów widok rozciąga się daleko nad polami, do krawędzi klifu i ruchomej powierzchni morza. Przy złej pogodzie woda porusza się i kołysze; przy dobrej ma się wrażenie, że porusza się jedynie światło. Czy tak jest w istocie? Muszę sprawdzić. Jeszcze jedna ciekawostka.

Mój ojciec mieszka w pokoju na dole, który jest zarazem jego sypialnią i pracownią. Trzy ściany tego pokoju pokryte są książkami i ojciec nieustannie ubolewa nad straszliwym wpływem wilgotnego morskiego powietrza na kartki i oprawy. Gdy byłam małą dziewczynką, do moich zadań należało nacieranie skórzanych okładek ochronną miksturą, złożoną z wosku pszczelego i nie wiem już czego - gumy arabskiej? terpentynowca? - którą ojciec sam sporządził w tym celu. To zajęcie zastępowało mi haftowanie. Potrafię zacerować koszulę, tego z konieczności musiałam się nauczyć, umiem wykonać porządny, prosty ścieg bielizniany, lecz nie posiadam żadnych subtelniejszych kunsztów kobiecych. Wspominam słodki zapach wosku jak rozpieszczone młode damy wspominają woń wody różanej i esencji fiołkowej; moje dłonie nabierały odeń miękkości i połysku. W owych czasach mieszkaliśmy we dwójkę głównie w pokoju ojca, przy porządnym ogniu na kominku oraz dodatkowo rozpalonym piecu kaflowym.

Mój ojciec śpi w staromodnym, bretońskim łóżku skrzyniowym, które przypomina wielką szafę z własnymi schodkami i otworami wentylacyjnymi w drzwiach. Łóżko matki otaczają ciężkie, aksamitne kotary, zdobione wstążką i haftem. Dwa miesiące temu ojciec poprosił mnie, bym je wyczyściła, nie mówiąc mi po co; powzięłam zatem szaleńczy pomysł, że zamierza znów się ożenić i chce zamienić pokój mojej matki w ślubną komnatę. Gdy zdjęłyśmy kotary, okazały się ciężkie od kurzu i Gode, która trzepała je na dziedzińcu, bardzo się rozchorowała, zatkawszy sobie płuca brudem i pajęczynami, które gromadziły się w nich przez całe (moje) życie. Lecz kiedyśmy wreszcie je wytrzepały, nic z nich nie zostało, wraz z kurzem zniknęła cała ich substancja i wszędzie pojawiły się ogromne rozdarcia i strzępy. Wówczas ojciec powiedział: „Przyjeżdża twoja kuzynka z Anglii i musimy zdobyć coś na łóżko”. Pojechałam więc na cały dzień do Quimperle, do Mme le Kerleon, i dostałam od niej komplet zasłon z praktycznego, czerwonego lnu, których, jak powiedziała, nie zamierza użyć w przewidywalnej przyszłości. Obrzeżone są szerokim szlakiem, haftowanym w lilie i polne różyczki, który bardzo się kuzynce podoba.

Powiadają, że owe bretońskie łoża skrzyniowe, drewniane pokoje w pokojach, zostały wymyślone jako ochrona przed wilkami. Wysokie partie wrzosowisk w tej części świata wciąż jeszcze nawiedzają wilki, wędrujące przez lasy Paimpol i Brocéliande. W wioskach opowiadają, że w dawnych czasach te bestie miały zwyczaj wdzierać się do gospodarstw i porywać niemowlęta, śpiące w kołyskach przy ogniu. A zatem chłopci, chcąc zapewnić swym dzieciom bezpieczeństwo, zamykali je w łóżkach skrzyniach i mocno zapierali drzwi przed wyjściem w pole. Gode twierdzi, że jest to również ochrona przed wszystkożernymi ryjami blakających się wszędzie świń oraz przed łapczywymi kurami, które włączają do domów jak chcą i wszystko im jedno, co dziobią, oko, ucho, małą stopkę albo rączkę.

Kiedy byłam mała, te okropne opowieści Gode wprawiały mnie w przerażenie. Bałam się wilków w dzień i w nocy, bałam się także wilkołaków, choć nie mogę powiedzieć, bym kiedykolwiek widziała wilka lub choćby go słyszała, aczkolwiek gdy coś wyło w śnieżne wieczory, Gode podnosiła palec i mówiła: „Wilki podchodzą, pewno są głodne”. Ojciec mówi, że w tej mglistej krainie kontur granicy między mitem, legendą i rzeczywistością nie jest wyraźny jak kamienny łuk, oddzielający dwa światy, lecz przypomina raczej ciąg zasłon, woali, pajęczyn, utkanych między jednym pokojem a drugim. Przychodzą wilki; są jednak ludzie gorsi od wilków; są czarownicy, którzy sądzą, że nad nimi panują; i jest wiara wieśniaków w wilki oraz potrzeba, aby między dzieckiem i niebezpieczeństwem umieścić solidne drzwi. W dzieciństwie bałam się wilków mniej niż za-

mknięcia w ciemnościach, w owej skrzynce, która czasem przypominała komorę lub półkę w rodzinnej krypcie, czasem zaś miejsce schronienia (lub chatkę pustelnika, gdzie bawiłam się w sir Lancelota, zanim się dowiedziałam, że jako mama dziewczynka muszę się zadowolić rolą Elaine o Białych Dłoniach, która tylko cierpi, narzeka i umiera). W tym łóżku panowała taka ciemność, że płakałam o światło, chyba że byłam chora lub nieszczęśliwa; wtedy zwijałam się w ciasny kłębek, niby śpiący jeż albo gąsienica, i leżałam nieruchomo jak nieżywa lub nienarodzona, jak jeż od jesieni do wiosny, jak gąsienica w stanie pomiędzy pełzaniem i lataniem.

Teraz tworzę metafory. Christabel mówi, że zdaniem Arystotelesa dobra metafora jest oznaką prawdziwego geniuszu. Niniejszy ustęp odbył długą drogę - wstecz w czasie, do środka w przestrzeni, do moich własnych początków w łóżku skrzyni, w pokoju we dworze, który stoi wewnątrz ochronnego muru.

Muszę się jeszcze wiele nauczyć na temat organizacji wypowiedzi. Pisząc o łóżku ojca, chciałam opisać łóżko mojej matki - co uczyniłam - a zarazem stworzyć małą dygresję o łóżkach skrzyniowych i ziemi niczyjej pomiędzy fikcją i rzeczywistością. Nie w pełni mi się to udało - w moim wywodzie wiele jest luk i przeskoków, zbyt wiele dziur w kamiennym murze. Lecz powstało *coś* i jakże ciekawie jest postrzegać owo *coś* jako wytwór rzemiosła, który można ulepszyć, zrobić ponownie lub wyrzucić na śmietnik jak czeladniczą wprawkę.

Co teraz? Historia. Historia moja i mojej rodziny. Kochankowie? Nie mam nikogo, nikogo nie widzę, nie czuję się z nikim związana, nie odrzuciłam żadnych propozycji, nigdy nie obcowałam z nikim, kogo mogłabym postrzegać w tym świetle. Ojciec zdaje się myśleć, że wszystko samo się ułoży, miękko i łagodnie, „kiedy nadejdzie właściwa pora”, jego zdaniem jeszcze bardzo odległa. Moim zdaniem pora ta już prawie minęła - mam dwadzieścia lat. Nie będę o tym pisać. Nie panuję nad myślami, Christabel zaś mówi, że dziennik powinien być wolny od „monotonnych waporów i ekstatycznych westchnień pospolitych dziewcząt o pospolitych uczuciach”.

Rzuca się w oczy, że opisałam tu częściowo dom, ale nie ludzi. Ludzi opiszę jutro. „Działanie, a nie postać, jest istotą tragedii” - mówił Arystoteles. Wczoraj wieczorem, przy kolacji, ojciec dyskutował o Arystotelesie z moją kuzynką dawno już nie widziałam go tak ożywionym. Moim zdaniem, w przypadku wielu współczesnych kobiet istotą tragedii jest brak działania, ale nie ośmieliłam się wygłosić tego prawie epigramu, rozmawiali bowiem w języku greckim, którego Christabel nauczyła się od swego ojca, a którego ja nie znam. Kiedy pomyślę o średniowiecznych księżniczkach, zarządzających majątkami w czasie wypraw krzyżowych, o przeoryszach, kierujących życiem wielkich klasztorów, o św. Teresie, która - wedle jednej z powieści George Sand - już jako dziewczynka postanowiła stawić czoło złu, mam wrażenie, iż nasze obecne życie uległo pewnemu rozmiękczeniu. De Balzac powiada, że nowe zajęcia mężczyzn w miastach, ich rozliczne interesy, zamieniają kobiety w ładne, lecz nieistotne zabawki z jedwabiu i perfum, pełne buduarowych fantazji i intryg. Chciałabym kiedyś zobaczyć jedwabną przędzę i doświadczyć atmosfery buduaru, ale nie chcę być bierną i zależną istotą nigdzie. Chcę żyć, kochać i pisać. Czy to za wiele? Czy taka deklaracja to wapory?

czwartek, 14 października

Powiedziałam, że dzisiaj opiszę postacie. Stwierdzam, że boję się - to jest *mot juste* - opisać mego ojca. Zawsze był przy mnie; zawsze tylko on był przy mnie. Moja matka to tylko jedna z jego opowieści, których w dzieciństwie nie umiałam odróżnić od prawdy, choć zawsze należał, bym była skrupulatnie prawdomówna. Matka pochodziła z Południa, urodziła się w Albi. „Brakowało jej słońca” - zwykł był mawiać. Wyraźnie widzę

przed sobą jej postać na łożu śmierci. Chciała mnie zobaczyć, mówił, szalała z niepokoju, co się ze mną stanie w tej surowej krainie, bez matki, która by o mnie dbała. Płakała i płakała, utraciła już siły życiowe, chciała zobaczyć dziecko, a kiedy mnie przyniesiono, uspokoiła się, zwróciła ku mnie białą twarz i ogarnął ją spokój, opowiadał ojciec. Mówi, że obiecał być dla mnie ojcem i matką ona zaś powiedziała, że dobrze by zrobił zeniąc się powtórnie, na co odparł, że tak się nigdy nie stanie, że jest z tych, którzy kochają tylko raz. W istocie próbował być dla mnie ojcem i matką lecz biedny poczciwiec niewiele wie o sprawach praktycznych, choć przecież jest czuły i dobry, nie mogę powiedzieć. Chodzi raczej o to, że inaczej niż kobieta, nie umie podejmować praktycznych decyzji. I o to, że nie ma pojęcia, czego się obawiam. Lub czego pragnę.

Lecz w niemowlęctwie, pamiętam, brał mnie na ręce z nieskończoną czułością, całował mnie, pocieszał i czytał mi bajki.

Widzę, że jedną z moich wad jako pisarki będzie skłonność do rozpraszania się we wszystkich kierunkach.

Boję się opisać ojca, gdyż to, co jest między nami, istnieje bez słów, jako rzecz oczywista. W nocy słyszę jego oddech; wiedziałabym natychmiast, gdyby się zatrzymał lub został zakłócony. W ogóle sędzę, że wiedziałabym, gdyby coś się ojcu stało, nawet z wielkiej odległości. On zaś - wiem o tym - poczułby natychmiast, że coś mi grozi lub że jestem chora. Wydaje się bardzo roztargniony, oderwany od życia, zajęty swoją pracą, lecz ma szósty zmysł, wewnętrzne ucho, którym mnie słyszy. Kiedy byłam małeńka, przywiązywał mnie do swego biurka długim pasem płótna jak sznurkiem, ja zaś, wielce zadowolona, biegałam z jego pokoju do Grande Salle i z powrotem. Ma u siebie książkę ze starą ilustracją, przedstawiającą Chrystusa i Duszę, która biega swobodnie po domu na takiej właśnie płócienną uwięzi; ojciec mówi, że to nasunęło mu pomysł. Od tamtej pory przeczytałam „Silasa Marnera”*, historię o starym kawalerze, który w ten sam sposób przyczepia znajdzie do swych krosien. Kiedy moje myśli są zbyt buntownicze, kiedy zbyt szybko pędzę na koniu, odczuwam gniew i miłość swego ojca jak łagodne pociągnięcia za ten ograniczający pas płótna. Nie chcę pisać o nim zbyt obiektywnie. Kocham go jak powietrze, jak kamienie paleniska, jak powykręcana od wiatru jabłoń w sadzie, jak szum morza.

* „Silas Marner” - powieść George Eliot (przyp. tłum.).

De Balzac zawsze opisuje ludzkie twarze, jakby zostały namalowane przez holenderskich mistrzów; znamionujący zmysłowość, ślimaczo wygięty nos, czerwono żyłkowane białko oka, garbate czoło. Nie umiem opisać oczu mojego ojca ani jego włosów, ani sposobu, w jaki się garbi. Jest za blisko. Kiedy trzyma się książkę za blisko przy marnym świetle, znaki się zamazują - i podobnie jest z moim ojcem. Jego ojca, filozofa i republikanina, pamiętam z wczesnego dzieciństwa. Nosił długie, stalowoszare włosy i na modłę bretońskiej szlachty podpinał je grzebieniem. Miał bujną kształtną brodę, bielszą od włosów, oraz skórzane rękawice, które wkładał, gdy udawał się z wizytą, na śluby i pogrzeby. Ludzie nazywali go Benoit, choć był baronem de Kercoz - podobnie o moim ojcu mówią Raoul. Pytają go o radę w sprawach, o których niewiele wiedzą, i w sprawach, o których w ogóle nie mają pojęcia. Jesteśmy trochę jak pszczoły w ulu; wszystko idzie dobrze, kiedy wszyscy są poinformowani.

Z przybyciem Christabel w moich uczuciach zapanował zamęt jak wśród fal przyływu, z których jedne się cofają, podczas gdy inne idą naprzód. Nigdy nie miałam prawdziwej przyjaciółki ani powiernicy - niania i służące są zbyt stare i szacowne, by mogły spełniać tę drugą rolę, choć kocham je szczerze, zwłaszcza Gode. A więc zapłonęła we mnie nadzieja. Ale nigdy nie dzieliłam się ojcem ani domem z inną kobietą i bałam się, że nie będzie mi się to podobało, obawiałam się nieokreślonych interwencji i krytyki, a co najmniej skępowania. Być może nadal odczuwam to wszystko.

Jak opisać Christabel? Teraz - jest z nami dokładnie miesiąc - widzę ją zupełnie inaczej niż w chwili jej przyjazdu. Spróbuję najpierw odtworzyć to pierwsze wrażenie. Nie piszę wszak dla jej oczu.

Przybyła na skrzydłach burzy. (Czy to zbyt romantyczne? Nie daje to wystarczającego wyobrażenia o całej tej wodzie i wietrze, którymi Natura miotała w nasz dom tamtego straszliwego tygodnia. Kiedy ktoś usiłował otworzyć okiennice lub wyjść za próg, pogoda, jak nieubłagany Stwór, pragnęła go złamać i przytłoczyć).

Zjawiała się na dziedzińcu, gdy było już ciemno. Koła niepewnie zgrzytnęły na kamieniach, powóz, pchany wiatrem nawet po zamknięciu bramy, przesuwiał się powoli do przodu. Konie opuściły głowy, ich sierść ociekała błotem białym od soli. Ojciec wybiegł z bramy, trzymając *roquelaure* i brezent; wiatr omal nie wyrwał mu z dłoni drzwiczek powozu. Yann opuścił schodki i z wnętrza wymknął się szary duch, ogromne zwierzę, bladoszary obszar w ciemnościach, a w ślad za tym bardzo dużym zwierzęciem wyłoniła się bardzo mała kobieta, w kapturze i pelerynie, z bezużyteczną parasolką cała w czerni. Schodząc ze schodków, potknęła się i padła memu ojcu w ramiona. Powiedziała po bretońsku: „Schronienie”, a ojciec objął ją i pocałował w mokry policzek - oczy miała zamknięte - po czym powiedział: „Znajdziesz tu dom, jak długo zapragniesz”. Stałam w drzwiach, trzymając je z wysiłkiem wbrew uderzeniom wichru, a na mojej spódnicy rozlewały się wielkie plamy deszczówki. Wielki pies przywarł do mnie drżący, brudząc mnie błotem, które oblepiało jego mokrą sierść. Ojciec wznosił ją na rękach i ułożył, na pół omdlałą w swym wielkim fotelu. Podeszłam i powiedziałam, że jestem jej kuzynką Sabine, i że miło mi ją poznać, ale chyba ledwie mnie widziała. Później ojciec i Yann pomogli jej wejść na górę. Zobaczyliśmy ją dopiero następnego wieczora przy kolacji.

Nie sądzę, żeby mi się spodobała, nie od razu; może po części dlatego, że zdawała się mnie nie lubić. Wydaje mi się, że jestem serdecznym stworzeniem i przywiązałabym się do każdego, kto dałby mi trochę ludzkiego ciepła. Ale o ile kuzynka Christabel była wręcz oddana mojemu ojcu, o tyle na mnie patrzyła - jakby to ująć - nieco chłodno. Ten pierwszy raz zeszła na kolację ubrana w wełnianą suknię w szaro-czarną kratę i ogromny szal, bardzo piękny, ciemnozielony z czarną frędzlą. Nie jest wytworna, lecz skrupulatnie schludna i starannie ubrana; nosi krzyżyk z gagatu, eleganckie zielone trzewiczki oraz koronkowy czepek. Nie wiem, ile ma lat, może trzydzieści pięć. Jej włosy mają dziwną barwę, jasnosrebrzystą, i połyskują metalicznie, trochę jak blade złote zimowe masło ubite z mleka krów, karmionych pozbawionym słońca sianem. Upina je, niezbyt twarzowo, w pęczki loków nad uszami.

Jej twarzyczka jest biała i spiczasta; nigdy nie widziałam nikogo, kto byłby równie blady jak ona w ten pierwszy wieczór (teraz wygląda niewiele lepiej). Nawet wnętrza nozdrzy, nawet ściągnięte usta były białe, z lekkim tylko odcieniem kości słoniowej. Jej oczy, w półprzykryte powiekami, mają dziwną bladezieloną barwę.

Usta o cienkich wargach na ogół trzyma zaciśnięte, więc kiedy je otwiera, zdumienie wzbudza rozmiar i wyraźna siła jej dużych, bardzo regularnych zębów o zdecydowanie żółtawej barwie.

Jedliśmy gotowany drób; rosół ojciec kazał zachować dla niej, na wzmocnienie. Siedzieliśmy przy stole w Wielkiej Sali - zwykle ojciec i ja spożywamy nasz ser, chleb i miszkę mleka przy ogniu w jego pokoju - i ojciec opowiadał o Isidorze LaMotte i jego wielkim zbiorze legend i podań ludowych. Potem zwrócił się do kuzynki, mówiąc, że słyszał, iż ona także jest pisarką.

- Sława - rzekł - bardzo wolno wędruje z Wielkiej Brytanii do Finistère. Musisz nam wybaczyć, widujemy tak niewiele współczesnych książek.

- Piszę wiersze - odparła, przyciskając chusteczkę do ust i lekko marszcząc czoło. - Jestem pracowita i mam nadzieję, że znam swoje rzemiosło. Nie cieszę się jednak rozgłosem, który mógłby zwrócić waszą uwagę.

- Kuzynko Christabel, bardzo pragnę zostać pisarką. Zawsze miałam ambicję...

Odpowiedziała po angielsku:

- Wielu pragnie, lecz niewielu odnosi sukces - potem zaś, po francusku: - Nie polecam tego zajęcia jako sposobu na osiągnięcie szczęścia w życiu.

- Nigdy tak o tym nie myślałam - zawołałam, ugodzona do żywego.

- Sabine, podobnie jak ty - powiedział mój ojciec - wychowała się w dziwnym świecie, gdzie skóra i papier są czymś równie zwyczajnym i niezbędnym jak chleb i ser.

- Gdybym była Dobrą Wróżką - rzekła Christabel - pragnęłabym dla niej ładnej twarzy, którą ma, i zdolności czerpania przyjemności ze zdarzeń codziennych.

- Chcesz, bym była Martą nie Marią! - krzyknęłam z pewnym ogniem.

- Tego nie powiedziałam. Takie przeciwstawienie jest fałszywe. Ciało i dusza nie są rozdzielne. - Znów przyłożyła chusteczkę do ust i skrzywiła się, jakby moje słowa ją zabolaly. - Jak wiem. Jak dobrze wiem.

Chwilę później przeprosiła nas i poszła do swego pokoju, gdzie Gode rozpałiła już ogień.

niedziela

Radości z pisania są rozmaite. Język refleksji dostarcza jednego rodzaju przyjemności, język narracji - innego. To będzie opowieść o tym, jak mimo wszystko nabrałam w pewnej mierze zaufania do kuzynki.

Burza szalała jeszcze przez trzy dni, nie słabnąc ani na chwilę. Po pierwszej kolacji kuzynka Christabel nie schodziła już na dół, lecz została w pokoju, siedząc w głębokiej alkwie pod wyciętym w granicie oknem, z którego nie było widać nic szczególnego: przemoknięty sad i mur, zlewający się z murem gęstej mgły, z zaokrąglonymi formami na szczycie niby mgliste kamienie. Gode mówiła, że jadła bardzo mało, jak chory ptak.

Zachodziłam do niej jak śmiałam najczęściej, uważając, by nie wydać się natrętną, i pytałam, co jeszcze moglibyśmy uczynić dla jej wygody. Próbowałam skusić ją filetem z soli lub odrobiną wołowej galarety na czerwonym winie, lecz zwykle zjadała tylko łyżkę lub dwie. Czasem, gdy wchodziłam po kilku godzinach, zastawałam ją nieruchomą, w tej samej pozycji; miałam wówczas uczucie, że wróciłam nieprzyzwoicie szybko lub że czas istnieje dla mnie inaczej niż dla niej.

Kiedys powiedziała:

- Wiem, że sprawiam ci mnóstwo kłopotu, *ma cousine*. Jestem niewdzięczna, chora i małostkowa. Powinnaś mnie zostawić, żeby tu siedziała, i zająć się czym innym.

- Chcę, żeby było ci u nas dobrze i wygodnie.

- Bóg nie dał mi wiele zdolności do odczuwania wygody.

Bolało mnie, że choć zarządzałam domem prawie od chwili, gdy skończyłam dziesięć lat, kuzynka w sprawach praktycznych zawsze zwracała się do mego ojca i jemu dziękowała za wszystkie uprzedzające gesty gościnności, do których nie byłby zdolny mimo swej dobrej woli.

Wielki pies również odmawiał jedzenia. Leżał w jej pokoju, z nosem przy drzwiach, rozplaszczony na podłodze, wstając dwa razy dziennie, żeby wyjść na dwór. Jemu także przynosiłam smakołyki, których nie chciał jeść. Christabel z początku patrzyła biernie, jak próbuję doń przemawiać, i nie zachęcała mnie. Któregoś dnia powiedziała:

- Nie zareaguj. Jest bardzo zły na mnie, że wyrwałam go z domu, gdzie był szczęśliwy, i kazałam mu cierpieć strach i chorobę na statku. Ma prawo się gniewać, ale nie wiedziałam, że pies może tak długo żywić urazę. Uważa się, że zwierzęta głupio, wręcz „po chrześcijańsku” przebaczą tym, którzy sądzą, że je posiadają. Teraz uważam, że zamyślił sobie umrzeć, żeby zrobić mi na złość.

- Och, nie! To okrutne, co mówisz. Pies jest nieszczęśliwy, nie złośliwy.

- To ja jestem złośliwa. Prześladowuję siebie i innych. A dobry Pies Tray nigdy nie skrzywdził żadnego stworzenia.

- Kiedy zejdzie na dół - powiedziałam - zabiorę go do sadu.

- Obawiam się, że nie pójdzie.

- A jeśli tak?

- To będzie znaczyło, że twoja dobroć i cierpliwość wskórały coś u mego łagodnego psa, jeśli nie u mnie. Lecz sądzę, że to pies, który przywiązuje się tylko do jednej osoby, inaczej bym go tu nie przywiozła. Niedawno zostawiłam go na trochę i nie chciał jeść, póki nie wróciłam.

Uparłam się jednak i z czasem coraz chętniej ze mną wychodził; zwiedził podwórko, stajnie, sad, umościł sobie legowisko w sieni, porzucił posterunek u jej drzwi i witał mnie pchnięciem wielkiego pyska. Pewnego dnia zjadł dwie miski rosółu, które odsunęła jego pani, i zamachał z radości ogonem. Na ten widok powiedziała - ostro, a jakże:

- Widzę, że się myliłam również co do jego wyłącznej lojalności. Lepiej bym zrobiła, zostawiając go na miejscu. Cała magia Brocéliande nie jest dla biednego Psa Traya warta dobrego biegu po Richmond Park. I mógł przynieść pociechę...

Tu urwała. Udałam, że nic nie słyszę, najwyraźniej bowiem była zrozpaczona i nieskłonna do zwierzeń.

- Kiedy pogoda się poprawi - powiedziałam - możemy pójść z nim we dwie na spacer do Brocéliande. Może zrobimy wycieczkę na dziki Pointe du Raz i do Baie de Trépassés.

- Kiedy pogoda się poprawi, kto wie, gdzie będziemy?

- Czy wyjedziesz od nas?

- A gdzieżbym poszła?

Nie było odpowiedzi, o czym wiedziałyśmy obie.

piątek

- Za dziesięć dni poczuje się silniejsza - powiedziała Gode.

- Dawałaś jej napar z ziół, Gode? - zapytałam, gdyż Gode jest czarownicą jak wszyscy wiemy.
- Dawałam, ale nie chciała pić - odparła Gode.
- Powiem jej, że twoje ziółka to samo zdrowie - obiecałam, ale Gode powiedziała:
- Za późno. Od środy za tydzień poczuje się lepiej.

Śmiejąc się, opowiedziałam to Christabel, ona jednak nic nie odrzekła, a potem zapytała, czy Gode uprawia czary. Powiedziałam, że tak, zamawia kurzajki, kolkę i bezpłodność, kobiece przypadłości, kaszel i przypadkowe zatrucia. Gode potrafi nastawić złamanie i odebrać poród, przygotować zwłoki do pochówku i reanimować topielców. Wszyscy tutaj się tego uczymy.

- I nigdy nie uśmierca tego, kogo leczy? - zapytała Christabel.

- Nie, o ile wiem, to nie, jest bardzo dokładna i zręczna albo ma wielkie szczęście. Powierzyłabym jej swoje życie.

- Swoje życie... To wielkie zaufanie.

- Życie każdego - powiedziałam. Boję się jej. Rozumiem, o co jej chodzi, ale sprawia, że zaczynam się bać.

Zgodnie z przepowiednią Gode, kuzynka Christabel nabrała sił. Kiedy na początku listopada przyszło kilka słonecznych dni - jak to się czasem dzieje na tym zmiennym, kapryśnym wybrzeżu - zabrałam ją i Psa Traya nad morze, do zatoki Fouesnant. Myślałam, że mimo chłodnego wiatru pobiega ze mną po plaży lub wejdzie na skały, lecz po prostu stała nad wodą i grzęznąć w mokrym piasku, słuchała szumu fal i krzyku mew, bez ruchu, całkiem bez ruchu, z rękami wepchniętymi dla ciepła w rękawy. Gdy podeszłam do niej, miała zamknięte oczy i za każdym uderzeniem fali marszczyła leciutko brew. Przyszła mi do głowy dziwaczna myśl, że bałwany biją o jej czaszkę i że z jakichś sobie znanych powodów postanowiła znosić ich dźwięk. Odeszłam więc - nigdy jeszcze nie spotkałam kogoś, kto tak jak ona sprawiałby wrażenie, że normalne, przyjazne odruchy dla niej są śmiertelnym natręctwem.

wtorek

Wciąż byłam zdecydowana porozmawiać z nią o pisaniu. Czekałam więc, aż pewnego dnia wydała mi się rozluźniona i przyjazna, zaproponowała nawet, że pomoże mi cerować prześcieradła, co robi znacznie lepiej niż ja - szwaczka z niej zawołana.

- Kuzynko Christabel - powiedziałam - ja naprawdę bardzo pragnę zostać pisarką.

- Jeżeli tak jest naprawdę i jeżeli posiadasz dar, nic, co powiem, na to wpłynąć nie może.

- Wiesz dobrze, że to nieprawda. Wybacz, kuzynko, ale to sentymentalizm. Mnóstwo rzeczy może mi przeszkodzić. Samotność. Brak współczucia. Brak wiary w siebie. Twoja wzgarda.

- Moja wzgarda?

- Oceniasz mnie z góry jako głupią dziewczynę, która sama nie wie, czego chce. Dostrzegasz swój osąd, a nie mnie.

- Ty zaś uparłaś się wyprowadzić mnie z błędu? Widzę, Sabine, że posiadasz przynajmniej jeden z przymiotów pisarza: uporczywie podważasz łatwe złudzenia, a czynisz to uprzejmie i z humorem. Czuję się skarcona. Powiedz mi więc, co piszesz? Bo zakładam, że piszesz? W tym rzemiośle pragnienie bez działania jest niszczycielską mrzonką.

- Piszę, co potrafię. Nie to, co chciałabym pisać, lecz to, co wiem. Chciałabym napisać historię uczuć kobiety. Współczesnej kobiety. Ale cóż ja mogę o tym wiedzieć, zamknięta w granitowych ścianach, pomiędzy ciernistym więzieniem Merlina a Wiekiem Oświecenia? Piszę więc to, co znam najlepiej, spisuję dziwne i fantastyczne opowieści mego ojca. Na przykład napisałam legendę Is.

Powiedziała, że z radością przeczyta moją historię Is i że napisała na ten sam temat poemat po angielsku. Odparłam, że nie znam dobrze angielskiego i byłabym wdzięczna, gdyby mnie uczyła. Powiedziała:

- Oczywiście, spróbuję. Nie jestem dobrą nauczycielką, nie jestem cierpliwa. Ale spróbuję. Od chwili, gdy tu przyjechałam - ciągnęła - nie próbowałam nawet pisać, gdyż nie wiem, w jakim języku mam myśleć. Jak Wróżka Meluzyna. jak rusalki i syreny, jestem na poły Francuzką na poły Angielką a z tyłu czai się jeszcze język bretoński i celtycki. Wszystko zmienia kształt, w tym i moje myśli. Pragnienie pisania mam po ojcu, który trochę przypominał twojego. Lecz język, w którym piszę, język, który dosłownie wyssałam z mlekiem matki, jest właśnie językiem mojej matki, nie ojca. Moja matka zaś nie jest kobietą uduchowioną jej język dotyczy drobiazków domowych i damskich mód. Angielski jest językiem małych cegiełek, konkretnych przedmiotów, wybiegów, niepowiązanych faktów oraz obserwacji, lecz mimo wszystko to mój pierwszy język. Ojciec był przekonany, że każda ludzka istota potrzebuje rdzennej mowy; stłumił siebie w sobie i w pierwszych latach mego życia mówił do mnie wyłącznie po angielsku, opowiadał mi angielskie bajki i śpiewał angielskie piosenki. Później dopiero nauczyłam się odeń francuskiego. I bretońskiego.

To był pierwszy raz, kiedy mi się zwierzyła, i było to zwierzenie pisarki. Jednak wtedy zwróciłam uwagę nie na to, co mówiła o języku, lecz na fakt, że jej matka wciąż żyła, bowiem użyła wyrażenia „nie jest kobietą uduchowioną”. Wyraźnie miała wielkie kłopoty, lecz zwróciła się nie do matki, tylko do nas - to znaczy, do mego ojca, nie sądzę bowiem, by moja osoba wpłynęła na jej decyzję.

sobota

Przeczytała moją opowieść o królu Grandlonie, księżniczce Dahud, koniu Morvaku i Oceanie. Zabrała ją wieczorem 14 października i oddała dwa dni później, wchodząc do mego pokoju i wręczając mi ją bezceremonialnie.

- Oto twoja bajka - powiedziała z dziwnym uśmiechem. - Nic na niej nie zaznaczyłam, lecz pozwoliłam sobie zanotować kilka uwag na oddzielnym arkuszu.

Jak mam opisać radość bycia traktowaną poważnie? Widziałam po jej minie, kiedy brała baśń, że spodziewa się w niej znaleźć sentymentalne wapory i różane westchnienia. Wiedziałam, że tak nie jest, lecz jej przekonanie przytłoczyło moje, Wiedziałam, że tak czy inaczej się nie sprawdzę; a jednak wiedziałam również, że to, co napisałam, *zostało napisane* i ma swoją rację bytu. Połową duszy oczekiwałam więc jej nieuchronnej wzgardy, drugą połową wiedząc, że tak być nie powinno.

Porwałam z jej rąk stronicę i rzuciłam się na uwagi. Miały charakter praktyczny były inteligentne, świadczyły, że docenia, co próbowałam zrobić.

Zależało mi na tym, by uczynić z dzikiej Dahud pewnego rodzaju uosobienie naszego - kobiet - pragnienia wolności, autonomii, naszych własnych namiętności które najwyraźniej kobiety odczuwają a których lękają się mężczyźni. Dahud jest czarodziejką, którą pokochał Ocean i której wybryki powodują zatopienie (przez tenże Ocean) Miasta Is. W jednej z mitologicznych recenzji mego ojca redaktor pisze: „W legendzie

Miasta Is czuje się powiew przerażenia, jakie wzbudzały starożytne pogańskie kultury i wyzwolone w kobietach zmysłowe namiętności. Tym dwóm lękom towarzyszy trzeci lęk, przed Oceanem, który w tym dramacie spełnia rolę Nemezis, czyli losu. Pogaństwo, kobieta i Ocean - oto trzy wielkie ludzkie lęki i pragnienia, które w tej legendzie łączą się, by doprowadzić do burzliwego i strasznego końca".

Jednocześnie mój ojciec mówi, że imię Dahud lub Dahut oznaczało w starożytności „dobrą czarodziejkę”. Mówi, że musiała być pogańską kapłanką, pokrewną bohaterkom sag islandzkich, lub jedną z dziewic kapłanek Druidów z Ile de Sein. Mówi, że być może samo Ys jest szczątkowym wspomnieniem innego świata, w którym rządziły kobiety - świata takiego, jak rajska kraina Avalon, Pływające Wyspy lub gaelickie Sid, Kraina Umarłych.

Dlaczego zmysłowe żądze kobiet miałyby wzbudzać taki przestach? Kimże jest ów autor, by mówić, że są to lęki ludzkości, całej ludzkości? Robi z nas wiedźmy, wyrzutki, *sorcières*, potwory...

Przepiszę tu kilka uwag Christabel, które sprawiły mi szczególną przyjemność. Gwoli uczciwości należałoby przepisać również krytykę, rzeczy, które uznała za banalne, przesadne lub niezręczne - te wszakże pozostaną wyryte w mym umyśle.

Kilka uwag Christabel LaMotte o „Dahud La Bonne Sorcière” Sabine de Kercoz.

Instynkt lub inteligencja pomogły Ci znaleźć sposób, by nadać tej strasznej opowieści pewien uniwersalny charakter bez użycia alegorii ani fałszywie naiwnej maniery. Twoja Dahud jest zarówno jednostką ludzką, jak prawdą symboliczną. Inni pisarze mogą w tej opowieści dojrzeć inne prawdy (jak ja je dostrzegam). Lecz nie przejawiasz pedanterii i niczego nie wyklucasz.

Wszystkie te stare baśnie można opowiadać bez końca na różne sposoby. Należy tylko utrzymywać przy życiu i wciąż polerować proste, czyste formy, które muszą być w nich obecne - jak w tym przypadku gniewny Ocean, straszny skok konia, upadek Dahud z siodła, zatopienie, etc. Lecz należy również dodać coś swojego, coś, co sprawi, że wszystko to wyda się nowe, widziane po raz pierwszy, jakby nigdy dotąd nie było zawłaszczane dla celów prywatnych lub osobistych. I tego udało ci się dokonać.

piątek

Stosunki między nami układają się lepiej. Nie mogę tu zdać sprawy ze wszystkiego, wszelako opisuję już prawie chwilę bieżącą. Powiedziałam kuzynce, jaka to wielka dla mnie ulga, że ktoś przeczytał moją pracę dla niej samej, ktoś, kto wiedział, jak ją ocenić. Odparła, że to w ogóle rzadkie doświadczenie w życiu pisarza i nie należy go oczekiwać ani na nim polegać. Zapytana, czy i ona miewała dobrych czytelników, zachmurzyła się trochę, lecz potem odpowiedziała rzeczowo:

- Dwoje. To więcej, niż miałam nadzieję znaleźć. Jedna zbyt pobłażliwa, lecz posiadająca inteligencję serca. Drugi - poeta, lepszy poeta... - Zamilkła.

Nie rozgniewała się, lecz nie chciała powiedzieć nic więcej.

Zapewne nie tylko kobietom, lecz również mężczyznom zdarza się widzieć, iż źle oceniono ich możliwości, i obserwować, jak zmienia się ton głosu, sposób mówienia, jak wzrasta szacunek obcych osób, gdy wreszcie uznają ich pracę za wartościową. Ale o ileż częściej zdarza się to kobietom; jak mówi Christabel, sądzi się na ogół, że nie umieją dobrze pisać, rzadko tego próbują, a kiedy już uda im się coś osiągnąć i odnieść sukces, uważane są za dziwadła lub potwory.

28 października

Przypomina bretońską pogodę. Kiedy się uśmiecha i sypie kąśliwymi żarcikami, trudno wyobrazić ją sobie inną - jak tutejsze wybrzeże, uśmiechnięte w słońcu, gdzie w osłoniętych zatoczkach przy Beg-Meil rosną kragłe pinie, a palma daktylowa przywodzi na myśl słoneczne Południe, na którym nigdy nie byłam. Powietrze zdarza się tu łagodne i ciepłe, człowiek chętnie zdejmuje gruby płaszcz, można by rzec, zbroję, jak wieśniak w ezopowej bajce.

Czuje się znacznie lepiej, jak przepowiedziała Gode. Chodzi na długie spacerzy z Psem Trayem, a także ze mną, kiedy jestem zaproszona - lub kiedy ona daje się zaprosić. Upiera się, by uczestniczyć w codziennych domowych zajęciach, więc nasze rozmowy odbywają się najczęściej w kuchni lub przy kominku, podczas cerowania. Wiele mówimy o znaczeniu mitów i legend. Bardzo pragnie zobaczyć Stojące Kamienie, które znajdują się dość daleko na klifie - obiecałam ją tam zaprowadzić. Opowiadałam jej, że wiejskie dziewczęta wciąż jeszcze obchodzą majowe święto, tańcząc wokół menhiru ubrane na białą - tańczą w dwóch kręgach, jeden krąży w lewo, drugi w prawo, a jeśli która dziewczyna zmęczy się i upadnie lub dotknie kamienia, inne kopią ją i okładają bezlitośnie, rzucając się na nią jak mewy na intruza lub najsłabszą w stadzie. Mój ojciec mówi, że to relikwiarz starożytnej, być może druidycznej ofiary, że dziewczyna, która upadnie, staje się czymś w rodzaju kozła ofiarnego. Powiada, że kamień jest symbolem męskim, fallusem; że kobiety z wioski chodzą tam nocami i obejmują go lub nacierają jakimiś maściami (Gode wie, jakimi), aby ich synowie byli silni, aby ich mężowie wrócili bezpiecznie. Ojciec mówi, że wieża kościelna jest metamorficzną postacią takiego kamienia - kolumna z łupku, nie z granitu, ot, i wszystko - i że u jej stóp kobiety, jak białogłowe kury, skupiają się w stadko, podobnie jak wcześniej tańczyły wokół tej drugiej. Nie bardzo podobało mi się to wszystko i wahałam się, czy powtórzyć jego słowa Christabel, która niewątpliwie wyznaje jakiś rodzaj chrześcijaństwa. Lecz w końcu powtórzyłam, gdyż jej umysł nie zna lęku, ona zaś roześmiała się i odrzekła, że w istocie, Kościół z powodzeniem wchłonął stare pogańskie bóstwa; wiadomo, że wielu pomniejszych lokalnych świętych, to *genii loci* - moce, które zamieszkiwały konkretne źródła lub drzewa. Powiedziała również:

- A więc dziewczyna, która się potknie w tańcu, to Kobieta Upadła i inne ją kamienują.
- Nie kamienują - powiedziałam - teraz już nie, tylko zadają jej ciosy rękami i nogami.
- Nie te są najokrutniejsze.

piątek

Dziwne, ale wydaje się nie mieć życia innego niż tutaj, z nami. Jakby wyłoniła się z tej burzy niby ruśalka czy ondyna, ociekająca wodą szukająca schronienia. Nie pisze listów i nigdy nie pyta, czy przyszła do niej poczta. Wiem - nie jestem głupia - że coś musiało się jej przytrafić, coś okropnego, jak sądzę, od czego uciekła. Nie pytam jej o to, jasne jest bowiem, że nie życzy sobie żadnych pytań. Ale czasem nawet niechcący wzbudzam jej gniew.

Na przykład kiedy zapytałam ją o dziwne imię Psa Tray, zaczęła mówić, że miał to być dowcip, nawiązanie do wersu z „Króla Lira” Williama Szekspira. „Nawet maleńkie pieski, Tray, Blanch i Pieszczoch, szczekają na mnie”.

- Mieszkałam w domu, w którym była Blanche, i gdzie żartem nazywano mnie Pieszczochem... - po czym odwróciła twarz i nic już nie mówiła, jakby się dławiała. Potem jednak dodała: - W dziecińczych wierszy-

kach o mamie Hubbard, w pewnych wersjach, Pies, który odkrywa pustą szafkę, nazywa się Tray. Może istotnie jego imię pochodzi od psa starej kobiety, który znalazł wyłącznie rozczarowanie.

1 listopada, Wszystkich Świętych

Dzisiaj jest początek czasu opowiadań. W całej Bretanii opowiadanie zaczyna się we Wszystkich Świętych, w Czarnym Miesiącu. Trwa przez cały grudzień - Bardzo Czarny Miesiąc - aż do opowieści Gwiazdkowej. Opowiadacze są wszędzie. W naszej wiosce ludzie gromadzą się w warsztacie szewca Bertranda lub u kowala Yannicka. Przynoszą ze sobą robotę i grzeją się wzajem swoją obecnością - lub ciepłem kuźni - nasłuchując posłańców w gęstej ciemności za grubą ścianą: niewytłumaczalnych trzasków drewna, łopotu skrzydeł albo najgorszego - skrzywienia osi krzywego wozu Ankou.

Ojciec zazwyczaj opowiada mi bajki codziennie przez oba Czarne Miesiące. W tym roku też tak będzie, tyle że jest z nami Christabel. Słuchacze mego ojca nie są tak liczni jak Bertranda lub Yannicka i, prawdę mówiąc, jego opowieści nie są tak dramatyczne, jest w nich owa uprzejmość uczonego, tak mu właściwa, drobiazgowy nacisk na dokładność. Żadnych Trach! ani Buch! demonów ani wilkołaków. A jednak przez te lata udało mu się sprawić, iż bezwarunkowo uwierzyłam w stwory z jego mitów i legend. Swą baśń o Fontaine Baratoun, Fontaine de Féés - Źródle Wrózek - leżącym w magicznym lesie Brocéliande, rozpoczyna od skrupulatnego wyliczenia wszystkich nazw tego ostatniego. Umiejętnie wyrecytować tę litanie: Breselianda, Bercillant, Brucellier, Berthelieu, Berceliande, Brechelian, Breclieu, Brecilieu, Brocéliande. Słyszę, jak mówi, pedantycznie i tajemniczo: „Miejsce to zmienia swą nazwę, podobnie jak zmienia swe granice, jak zmienia się bieg mrocznych ścieżek i przecinek leśnych - nie można nic ustalić, umiejscowić, nie można opisać jego niewidzialnych mieszkańców i tajemnych właściwości, jednak zawsze gdzieś tam jest, a wszystkie jego nazwy opisują tylko pewną chwilę lub aspekt...”. Każdej zimy opowiada historię Merlina i Vivian, zawsze tę samą historię, choć nigdy tak samo.

Christabel mówi, że jej ojciec także opowiadał zimą bajki. Najwyraźniej gotowa jest zasiąść w naszym kółku przy ogniu. Co nam opowie? Kiedyś mieliśmy gościa, którego opowieść była martwą, zręczną alegorią polityczną, gdzie Ludwik Napoleon był potworem, Francja zaś jego ofiarą, i czuliśmy się tak, jakby się wyłowiła ławicę matowych, śniętych ryb o luźnych łuskach; nikt nie wiedział, gdzie podziąć oczy i czy się uśmiechać, czy nie.

Lecz ona jest mądra i częściowo stąd pochodzi.

- Takie rzeczy bym ci opisała... - powiedziała do mnie po angielsku, gdy zapytałam, czy będzie opowiadać (wiem, że to z „Hamleta”, z kwestii Ducha*, więc bardzo à propos).

Gode zawsze się do nas przysiadła i opowiada o tegorocznym ruchu między tym światem i tamtym, po drugiej stronie progu, który we Wszystkich Świętych można przekraczać w obie strony; żywi przechodzą na tamten świat, szpiedzy zaś lub wysłannicy przysyłani są Stamtąd na światło naszego krótkiego dnia.

* „Hamlet”, I, 5, przeł. Józef Paszkowski (przyp. tłum.).

Ojciec opowiedział historię Merlina i Vivian. Z roku na rok postacie te ulegają zmianom. Merlin zawsze jest stary i mądry i jasno widzi swoje, przeznaczenie; Vivian zawsze jest piękna, kapryśna i niebezpieczna. Również zakończenie jest zawsze to samo, jak i zasadnicza treść - zjawienie się maga przy starym Źródle Wrózek, inwokacja wróżki, ich miłość pod tarniną, czar, który wróżka rzuca na starszego mężczyznę, by zdradził jej zakęcie, zamykające go w mocnej wieży, namacalnej i widzialnej tylko dla niego. Lecz na tej konstrukcji mój ojciec potrafi zbudować wiele opowieści. Czasem wróżka i mag są prawdziwymi kochankami, a ich jedyną rzeczywistością jest owa wysniona komnata, którą ona, przy jego współudziale, zamienia w wieczny niewidzialny kamień. Czasem on jest stary i zmęczony, gotów złożyć brzemię, ona zaś jawi się jako dręczący demon. Czasem jest to walka dwóch inteligencji, w której ona udaje namiętność, przejawiając szaleńczą wolę zwycięstwa, on zaś w swej niewiarygodnej mądrości pozostaje jednak bezsilny. Dzisiaj nie był jednak ani zbyt zgrzybiały, ani zbyt mądry - był smutno uprzejmy, wiedział, że nadeszła chwila jej triumfu i gotów był czerpać przyjemność ze swego wiecznego omdlenia, snu, czy też kontemplacji. Opis Źródła Wrózek, jego zimnych, mrocznych i kipiących kręgów, brzmiał wprost mistrzowsko, podobnie jak kwiatów, którymi usłane było łóżko kochanków - ojciec nie szczędził wyobrażonych pierwiosnków i dzwonek, kazał ptakom śpiewać w cieniu cisów i ostrokrzewu, aż wspomniałam swe dzieciństwo, przeżyte w baśniach, aż ujrzałam kwiaty, źródła, ukryte ścieżki, potężne postaci, i wzgardziłam - nie, umniejszyłam w myślach prawdziwe życie, dom, sad, Gode.

Kiedy skończył, powiedziała cichutkim, ostrym głosem:

- Sam rzucasz uroki, kuzynie Raoulu, budzisz w ciemności światła, wonie i przejrzałe namiętności.
- Popisuję się talentami - odparł - niby stary mag przed młodą wróżką.
- Nie jesteś stary - rzekła. - Pamiętam, jak opowiadał tę historię mój ojciec.
- Ta opowieść należy do wszystkich.
- A jej znaczenie?

Wtedy się rozzłościłam, bo w te Czarne Noce nie mówimy o znaczeniach w pedantyczny, dziewiętnastowieczny sposób; po prostu opowiadamy, słuchamy i wierzymy. Sądziłam, że ojciec jej nie odpowie, a jednak odpowiedział, rozważnie i uprzejmie:

- Wydaje mi się, że to jedna z wielu opowieści, mówiących o lęku przed Kobietą. Być może o męskim strachu przed podporządkowaniem się namiętności, przed zaśnięciem rozumu pod władaniem - jak mam to nazywać - żądzy, intuicji, wyobraźni. Lecz jej korzenie są jeszcze starsze - w swym pojedynczym aspekcie jest to hołd, złożony dawnym żeńskim bóstwom Ziemi, unicestwionym przez nadejście chrześcijaństwa. Dahut, zanim zaczęła siał zniszczenie, była Dobrą Czarodziejką podobnie Vivian była jedną z lokalnych boginek źródeł i strumieni, których istnienie wciąż jeszcze uznajemy, wznosząc kapliczki dla kogo wie, jakiej Pani...

- Zawsze odczytywałam tę historię inaczej.
- Jak, kuzynko Christabel?
- Jako opowieść o naśladowaniu męskiej mocy przez kobietę. Nie jego chciała, lecz jego magii, dopóki nie zrozumiała, że magia służyć może tylko do tego, by go uwięzić - a co wówczas z nią i jej talentami?
- To przewrotne odczytanie, kuzynko.
- Mam obraz - powiedziała - który wyobraża właśnie tę chwilę triumfu - więc, być może, to jest przewrotność.

- Za dużo znaczeń jak na dzień Wszystkich Świętych - powiedziałam.
- Niech rozum śpi - rzekła Christabel.
- Historie poprzedzają znaczenia.
- Jak powiedziałam, niech rozum śpi - powtórzyła.

Nie wierzę w te wszystkie wyjaśnienia. One umniejszają: Idea Kobiety to mniej niż olśniewająca Vivian, idea Merlina nie daje się przełożyć na alegorię męskiej mądrości. To *jest* Merlin.

2 listopada

Dzisiaj Gode opowiadała bajki o Baie de Trépassés. Obiecałam Christabel, że przy dobrej pogodzie pójdziemy tam na całodzienną wycieczkę. Ona mówi, że wrusza ją sama nazwa oznaczająca nie tyle Zatokę Umarłych, ile zatokę tych, którzy przekroczyli granicę, oddzielającą ten świat od tamtego. Ojciec jednak uważa, iż nazwa ta być może wcale nie wywodzi się z takich zaświatowych skojarzeń, lecz stanowi po prostu określenie szerokiej i pozornie uśmiechniętej plaży, na którą morze wyrzuca strzaskane szczątki ludzi i statków, rozbitych na straszliwych rafach Pointe du Raz i Pointe du Van. Oprócz tego powiada jednak, że Zatokę - jak Wergilowy gaj Złotej Gałęzi lub Wzgórze, pod którym wędrował Tam Lin* - zawsze uważano za jedno z owych miejsc, gdzie spotykają się obydwie światy. Za starożytnych Celtów stąd właśnie umarli wyruszali w ostatnią podróż na Ile de Sein**, gdzie przyjmowały ich kapłanki druidyjskie (nie mógł tam postawić stopy żaden mężczyzna), aby - jak mówią niektóre legendy - wyprowadzić ich w drogę do Ziemi Raju, krainy złych jabłek pośród mgieł, burz i grzebieni mrocznej wody.

Nie umiem opisać, jak Gode opowiada. Ojciec zachęca ją od czasu do czasu, by powtarzała bajki, które on usiłuje zapisać *verbatim*, zachowując rytm jej opowieści, nic nie dodając i nie ujmując. Choćby jednak robił to jak najwierniej, z jej słów na stronicy ulatuje życie. Kiedyś po takim eksperymencie powiedział do mnie, że rozumie, dlaczego Druidzi wierzyli, iż słowo mówione jest oddechem życia, pisane zaś - formą śmierci. Z początku zamierzałam robić notatki, gdyż chciałam się przekonać, czy potrafię zastosować się do rady Christabel i spisać ściśle wszystko, co usłyszę, lecz sam ów zamiar w dziwny sposób odbierał życie mojemu słuchaniu i opowieści Gode, więc powstrzymałam się, przez uprzejmość i jeszcze coś więcej. (A przecież ciekawość również ma prawo do życia i musi istnieć jakiś sposób na pisanie). Teraz więc chcę opowiedzieć coś, co nie ma nic wspólnego z historią Gode, choć z początku miało. Zacznę od nowa. Zapiszę to jako opowieść, zapiszę, aby napisać... Jakże byłam mądra, postanawiając prowadzić ten dziennik tylko dla siebie; teraz bowiem mogę pisać, by zrozumieć, co ujrzałam.

* W ludowej szkockiej bajce mieszkające pod Wzgórzem elfy biorą do niewoli dzielnego górala Tam Lina, który następnie uwalnia się dzięki pomocy pięknej królowej (przyp. tłum.).

** Ile de Sein (fr.) - Wyspa Łona.

I zamienić pewnego rodzaju ból na pewnego rodzaju zainteresowanie - ciekawość, która może być moim zbawieniem.

Bardziej jeszcze niż historie mego ojca siła bajek Gode zależy od ciemności na zewnątrz, od bliskości słuchaczy i opowiadaczy, skupionych wewnątrz domu. Nasza Wielka Sala, dość ponura i naga nawet w świetle

dnia, nie sprzyja nastrojowi intymności. Ale wieczorami, w Czarnym Miesiącu, staje się zupełnie inna. W wielkim palenisku płoną kłody, z początku nierówno i kapryśnie; w miejscach, gdzie drewno się jeszcze nie zajęło, powstają ogromne czarne dziury, jednak później węgle rozjarzają się złotem i szkarłatem na ciepłym, grubym posłaniu z popiołu, a drewno nadal płonie. Wielkie skórzane oparcia foteli odgradzają nas od zimnego końca sali, światło ognia złoci nasze twarze i oblewa rumieńcem białe kołnierze i mankiety. W te wieczory nie palimy lamp naftowych, pracujemy przy ogniu, robiąc to, na co pozwalają ruchome cienie - strzygąc, splatając, szydełkując. Gode czasem przychodzi z ciastem, które trzeba ukrećić, lub z miską pieczonych kasztanów, które trzeba obrać. Lecz kiedy opowiada, unosi ręce, odrzuca głowę, potrząsa chustą; po suficie, w ciemność za nami biegną strzępiaste cienie lub ogromne twarze o szeroko rozwartych ustach i monstualnych podbródkach i nosach - nasze twarze, które ogień przeobraził w wiedźmy i upiory. Gode zaś, opowiadając, wykorzystuje wszystkie te elementy - światło ognia, ożywione cienie, ruchome wstęgi jasności i mroku - i scala je razem jak dyrygent orkiestrę, przynajmniej tak to sobie wyobrażam (nigdy nie słyszałam orkiestry, jedynie kilka dystyngowanych harf, fletów i bębnow w Kermesse. Niebiańskie dźwięki, o jakich czytałam, muszę wystawiać sobie za pośrednictwem kościelnych organów).

Ojciec siedział w swym wysokim fotelu obok paleniska. W jego brodzie, nie całkiem jeszcze posiwiałej, płonęły rude odbłaski. Christabel siadła w cieniu u jego boku, zająwszy ręce robótką. Gode i ja znalazłyśmy się po drugiej stronie kręgu.

Gode powiedziała:

- Był sobie raz młody żeglarz, który nie miał nic oprócz swej odwagi i błyszczących oczu - bardzo, bardzo błyszczących - i siły, której dostał od bogów aż w nadmiarze.

Nie był dobrą partią dla żadnej dziewczyny w wiosce, sądzono bowiem, że jest nie tylko biedny, ale i płocho. Jednak, wierzcie mi, dziewczyny lubiły patrzeć, jak przechodzi, a najbardziej lubiły patrzeć, jak tańczy, takie miał długie, długie nogi, zwinne stopy i śmiejące się usta.

A ze wszystkich najbardziej lubiła nań patrzeć córka młynarza, piękna, dorodna i dumna, w spódnicy obszytej trzema szerokimi wstążkami z aksamitu, która żadną miarą nie chciała, by zobaczył, jak ona lubi nań patrzeć, lecz kiedy nie widział, spoglądała nań ukradkiem, w przelocie, jak wiele innych dziewcząt. Zawsze tak jest. Na jednych wszyscy patrzą, a inni mogą sobie zebrać o jedno, pełne podziwu spojrzenie, póki ich diabeł nie porwie, tak nas stwarza Duch Święty, prostych i krzywych, i nic się na to nie poradzi.

Młody człowiek przyplýwał i odpływał, bo właśnie długie podróże najbardziej go pociągały, pływał z wielorybami poza krawędź świata, a także tam, gdzie morze się gotuje, gdzie wielkie ryby przesuwiają się w głąbi jak zatopione wyspy, gdzie śpiewają syreny, zielonołuskie, krętowłose, trzymając w dłoniach lustra, jeśli dać wiarę opowieściom. Był pierwszy na maszcie, najcelniej rzucał harpunem, lecz niewiele zarabiał, wszelki zysk zgarniał kapitan, więc młody żeglarz przyplýwał i znów odpływał.

A kiedy przyplýwał, siadał na rynku i opowiadał, co widział, i wszyscy go słuchali. Przychodziła go słuchać córka młynarza, czysta, dumna, wykrochmalona, on zaś raz ją zobaczył, stojącą z boku, i obiecał, że jeżeli zechce, przywiezie jej ze Wschodu jedwabną wstążkę. Nie powiedziała, czy zechce, tak czy nie, ale widział, że chce.

I znów odpłynął. Wstążkę dostał od córki handlarza jedwabiem w jednym z owych krajów, gdzie mieszkają złociste kobiety o czarnych, jedwabnych włosach, którym także podobał się tańczący mężczyzna o długich, długich nogach, zwinnych stopach i roześmianych ustach. Więc obiecał córce handlarza jedwabiem, że do niej wróci, i zabrał wstążkę, zawiniętą w pachnącą bibułę, i na następnych tańcach w wiosce wręczył ją córce młynarza ze słowami: „Oto twoja wstążka”.

Jej zaś serce załomotało w piersi, wierzcie mi, lecz opanowała się i chłodno zapytała, ile ma zapłacić. Wstążka była piękna, z tęczowego jedwabiu, nikt jeszcze takiej w tych stronach nie widział.

Rozzłościł się, że tak go obraziła, i powiedział jej, że musi zapłacić tyle, ile ta wstążka kosztowała tę, od której ją dostał.

„A więc ile?”

„Bezsenne noce, dopóki nie wrócę” - powiedział.

„To za wysoka cena” - odparła.

„Cena jest ustalona, musisz ją zapłacić”.

I zapłaciła, wierzcie mi. Człowiek zraniony w dumie bierze, ile może, wziął więc, ile chciał; wiedział, co ona czuje, ona zaś widziała, jak on tańczy, wszystko w głowie i w sobie miała pokręcone i zawrócone przez jego dumę i taniec.

On zaś zapytał ją, czy zaczeka na niego, gdy on odpłynie, by szukać gdzieś w świecie przyszłości dla siebie? Czy zaczeka, aż on wróci i poprosi ojca o jej rękę?

„Długo bym musiała czekać, a ty masz kobietę w każdym porcie i w każdej przystani powiewa dla ciebie wstążka”. „Zaczekasz” - powiedział.

Lecz ona nie chciała powiedzieć, czy zaczeka, tak czy nie.

On zaś powiedział: „Masz przekłete usposobienie, kobieto, ale ja wrócę i wtedy zobaczysz”.

I po jakimś czasie ludzie ujrzeli, że jej uroda gaśnie, że zaczęła się skradać, że nie podnosi już głowy, jakby cała stała się ciężka. I zaczęła czekać w porcie na statki, i choć o nikogo nie pytała, wszyscy wiedzieli, dlaczego przychodzi i na kogo czeka. Lecz nic nikomu nie mówiła, widywano ją tylko na skalistym cyplu, gdzie jest kaplica Przenajświętszej Panienki, i chyba się modliła, chociaż nikt tego nigdy nie widział.

Jeszcze później, gdy wiele statków przyplęnęło i znów odpłynęło, inne zaś rozbiły się na skałach, a ich załoga utonęła, lecz jego statku nikt nie widział ani o nim nie słyszał, młynarzowi naraz zdało się, że słyszy krzyk sowy albo miauczenie kota w stodole. Zszedł więc na dół, lecz nikogo nie znalazł, tylko ślady krwi na słomie. Zawołał córkę, która przyszła, blada jak śmierć, przecierając oczy jak ze snu, i powiedział: „Tu, na słomie, jest krew” - a ona odparła: „Byłabym wdzięczna, gdybyś nie odbierał mi snu, żeby mi powiedzieć, że pies zabił kota lub kot zabił mysz”.

I wszyscy widzieli, że zbladła, lecz stała prosto ze świecą w ręku, więc odeszli.

I wtedy jego statek ukazał się na horyzoncie i wpłynął do portu, i młody człowiek skoczył na brzeg, aby zobaczyć, czy ona na niego czeka - ale nie czekała. Cały czas widział ją oczyma duszy, wyraźnie jak na dłoni, czekającą widział jej dumną ładną twarzyczkę i barwną wstążkę na wietrze, więc serce jego stwardniało - bo nie czekała. Lecz nie zapytał o nią tylko ucałował wszystkie dziewczęta, uśmiechnął się i pobiegł na górę, do domu.

Ale po drodze zobaczył kogoś bladego, skradającego się przy ścianie powoli i niezdarnie. Nie poznał jej od razu, ona zaś chciała prześliznąć się obok niego, tak była zmieniona.

Powiedział: „Nie przyszłaś”.

„Nie mogłam” - powiedziała.

„Ale jesteś tutaj, na ulicy”.

„Nie jestem taka, jaka byłam”.

„Co mnie to obchodzi? Nie przyszłaś”.

„Ciebie to nie obchodzi, ale mnie - bardzo. Dużo czasu minęło. Co było, to było. Muszę iść”. I poszła.

Tego wieczora tańczył z Jeanne, córką kowala, która miała piękne białe zęby i pulchne rączki jak miękkie pączki róży.

A następnego dnia poszedł szukać córki młynarza i znalazł ją na cyplu, w kaplicy.

„Chodź ze mną” - powiedział.

„Czy słyszysz małe stopy, małe, tańczące, bose stopy?” - zapytała.

„Nie - powiedział. - Słyszę, jak morze bije o brzeg i wiatr szumi w trawie, i kurek ze zgrzytem obraca się na wieży”.

„Całą noc tańczyły mi w głowie - powiedziała. - Tam i z powrotem, w koło i w koło, nie mogłam zasnąć”.

„Chodź ze mną” - powtórzył.

„A ty nie słyszysz tancerza?” - zapytała.

I tak to się ciągnęło, tydzień czy miesiąc albo dwa miesiące; tańczył z Jeanne i chodził do kaplicy, gdzie otrzymywał od córki młynarza wciąż tę samą odpowiedź, aż w końcu się znużył, jak zdarza się przystojnym i płochym mężczyznom, i powiedział:

„Czekałem na ciebie, jak ty nie czekałaś, chodź teraz ze mną, bo dłużej czekać nie będę”.

Ona zaś rzekła: „Jakże mam iść, kiedy nie słyszysz, jak to małe tańczy?”. Wtedy powiedział: „Zostań więc ze swoim małym, jeśli kochasz je bardziej ode mnie”.

Ona zaś nie powiedziała ani słowa, tylko słuchała morza, wiatru i kurka na wieży, więc ją zostawił.

I ożenił się z Jeanne, córką kowala, i były tańce na weselu, grały piszczałki, wierzcie mi, bęben dudnił i walił, on zaś skakał wysoko na swych długich, długich nogach, na zwinnych stopach, z uśmiechem na ustach, a Jeanne od wirowania i tańcowania aż pokraśniała. Na dworze zerwał się wiatr i chmury pochłonęły gwiazdy, lecz oni poszli do łóżka rozbawieni, pełni dobrego jabłecznika, zamknęli drzwi skrzyni przed wichurą i padli w puchową pościel.

A córka młynarza wyszła na ulicę boso, w samej koszuli, i zaczęła biegać tam i z powrotem, wyciągając ręce jak kobieta, goniąca kurę, wołając: „Zaczekaj, zaczekaj!”. Niektórzy twierdzili, że widzieli, jak ucieka przed nią maleńkie nagie dziecko, tańczące, płasające tam i z powrotem, dające znaki spiczastymi paluszkami, z włosami jak snop żółtego ognia. A inni mówili, że nic tam nie ma, tylko kłęb kurzu, wirujący na drodze, a w nim dwa patyki i kilka włosów. A pomocnik młynarza powiedział, że od tygodni słyszał tupanie i plaskanie małych stopek na stryszku. Staruchy i młodzieńcy, którzy jeszcze nic nie wiedzą, mówili, że pewnie słyszał

myszy. Ale on odparł, że w swoim życiu słyszał myszy dość często, i wie, co jest, a co nie jest myszą, a poza tym ogólnie uchodził za rozsądnego.

I tak córka młynarza pobiegła za tańczącą istotą przez ulice i placyk, i na cypel do kaplicy, kalecząc nogi o ciernie i cały czas wołając: „Czekaj, och, czekaj”. Lecz istota tańczyła coraz szybciej i szybciej, była pełna życia, wierzcie mi, migotała, wirowała i tupała małą stopką o kamień i trawę, dziewczyna zaś walczyła z wiatrem w spódnicy i ciemnością przed oczami. I tak biegła, aż zleciała z klifu, wciąż wołając: „Czekaj, och, czekaj”, i rozbiła się na skałach, ostrych jak igły. Przynieśli ją gdy zaczął się odpływ, połamaną i posiniaczoną wcale nie był to piękny widok, możecie mi wierzyć.

Wtedy on wyszedł na ulicę i kiedy ją zobaczył, ujął jej rękę i powiedział: „To dlatego, że zabrakło mi wiary, nie chciałem uwierzyć w twoją tańczącą istotę. Ale teraz ją słyszę, jak najwyraźniej”.

I od tego dnia biedna Jeanne nie miała zeń żadnej pociechy.

Aż rankiem Wszystkich Świętych obudził się nagle i usłyszał małe, klaszczące rączki i tupiące stopki ze wszystkich czterech stron łóżka, i cienki, ostry głosik, wołający w językach, których nie znał, chociaż opłynął cały świat.

Więc odrzucił kołdrę i wyjrzał ze skrzyni, i proszę, była tam mała istotka, cała naga, sina z zimna, a jednak różowa, tak mu się wydało, jak rybka morska albo letni kwiatek. I potrząsnęła ognistą czuprynką i oddaliła się tańcząc, a on ruszył za nią. I biegł za nią i biegł aż do Baie de Trepasses, a noc była jasna, tylko nad zatoką unosiła się mgła.

A od Oceanu nadchodziły długie szeregi fal, jedna za drugą jedna za drugą i jeszcze jedna, i ujrzał Umarłych na ich grzebieniach, przypluwających z innego świata, chudych i szarych, którzy wyciągali bezsilne ramiona i wołali wysokimi, cienkimi głosami. A tańcząca istotka płaśała i tupała dalej, aż dotarli do łodzi płynącej w morze. A kiedy wszedł do łodzi, poczuł, że pełna jest ruchomych postaci, niemożliwie ściśniętych, ale niewidzialnych.

Mówił później, że tyłu Umarłych było w łodzi i na szczytach fal, że aż przeraził się strasznie tego tłoku. Bo chociaż nie mieli ciał i mógł wyciągnąć rękę w tę czy inną stronę, jednak cisnęli się wokół niego, a ich przenikliwe, ostre krzyki niosły się po wodzie, tyłu ich było, jakby za łodzią ciągnęły i krzyczały nie gęsi, lecz pióra, wypełniające ciasno morze i niebo, a każde pióro to dusza, tak mówił później.

I zapytał tańczące dziecko: „Czy wypłyniemy tą łodzią na morze?”.

Lecz ono zamarło i milczało.

On zaś powiedział: „Dotarłem tak daleko i bardzo się lękam, lecz jeżeli ją znajdę, pójdę dalej”.

Ale ono powiedziało: „Czekaj”.

On zaś pomyślał o niej wśród tych innych na wodzie, o jej chudej, białej twarzy, płaskiej piersi, głodnych ustach, i zawołał za nią: „Czekaj!”, a jej głos zawył w odpowiedzi niby echo.

„Czekaj!”.

Więc zamieszał ramionami powietrze pełne niewidocznych istot i przesunął zwinne stopy w prochu zmarłych na pokładzie łodzi, lecz wszystko było ociążałe i nie chciało się ruszyć, a fale wciąż nadpływały, jedna za drugą jedna za drugą jedna za drugą. Wtedy próbował wyskoczyć, tak mówił, ale nie mógł. Więc stał tak

aż do świtu i czuł, jak przychodzą odchodzą nadpływają i cofają się, i słyszał ich krzyki, i głos małej istoty, która mówiła:

„Czekaj”.

I o świcie następnego dnia wrócił do wioski jako człowiek złamany. Zasiadł na placyku ze staruszkami, on, mężczyzna w kwiecie wieku; usta mu zwiotczały, twarz się zapadła, i nic nie mówił oprócz: „Słyszę to bardzo dobrze” albo „Czekam” - tylko te dwie rzeczy.

Ale dwa, trzy albo dziesięć lat temu podniósł głowę i zapytał: „Czy słyszycie, jak to małe tańczy?”, lecz oni powiedzieli, że nie słyszą więc wszedł do domu stanowczym krokiem i posłał sobie łóżko, zawołał sąsiadów, oddał Jeanne klucz do swojej marynarskiej skrzyni, po czym wyciągnął się na łóżku tak jak stał, chudy i zmarnowany, i powiedział: „W końcu musiałem najdłużej czekać, ale wreszcie słyszę, jak tupie, maleństwo się niecierpliwi, choć ja przecież byłem cierpliwy”. A o północy rzekł: „No proszę, jesteś”, i tak umarł.

Jeanne mówiła, że pokój pachniał kwiatem jabłoni i dojrzałym jabłkiem, wszystkim naraz. I Jeanne wyszła za rzeźnika, któremu urodziła czterech synów i dwie córki, zdrowych i krzepkich, bez skłonności do tańca.

Nie, nie opowiedziałam tego tak jak Gode. Opuściłam rytmy jej głosu i dodałam coś od siebie, literacką nutę, której chciałam uniknąć, jakiś upiększający ton, który stanowi o różnicy między baśniami braci Grimm i „Ondyną” La Motte Fouquego.

Ale muszę teraz opisać, co zobaczyłam i, gorzej jeszcze, co pomyślałam. Ujrzałam, że w miarę opowiadania Gode Christabel robi na drutach coraz szybciej, pochylając nad robótką swoją lśniąca głowę. W końcu rzuciła robótkę i przyłożyła dłoń do piersi i czoła, jakby było jej za gorąco lub duszno. Wtedy zobaczyłam, że ojciec ujmuje tę błędzącą małą dłoń i zatrzymuje w swojej (wcale nie taką małą to *licentia poetka*; jest to dłoń silna, nerwowa i zręczna), a ona pozwala mu ją trzymać. A kiedy opowieść się skończyła, nachylił się i pocałował ją w czubek głowy, ona zaś wyciągnęła drugą dłoń i przywarła do jego ręki.

Wokół tego ognia wyglądaliśmy jak rodzina. Przyzwyczaiałam się myśleć, że mój ojciec jest stary, stary, a kuzynkę Christabel uważałam za młodą kobietę, mniej więcej w moim wieku, przyjaciółkę, powiernicę, wzór.

Ale po prawdzie jest znacznie starsza ode mnie, nawet jeżeli w latach bliżej jej do mnie niż do mego ojca. On zaś nie jest stary. Powiedziała mu, że jego włosy nie są siwe i że, inaczej niż Merlin, nie jest stary.

Nie chcę, żeby tak było. Chcę, żeby pozostała przyjaciółką, towarzyszką. Nie chcę, żeby mnie zastąpiła. Albo moją matkę.

To dwie różne rzeczy. Nie ubiegam się o miejsce mojej matki, lecz swoje miejsce zajmuję dlatego, że moja matka nie żyje. I nie chcę, by kto inny troszczył się o ojca lub miał prawo pierwszy słuchać o jego przemyśleniach i odkryciach.

Lub kraść jego pocałunki - zapisz to, właśnie tak czułaś - lub kraść jego pocałunki.

Nie podeszłam, aby go objąć, kiedy szliśmy do łóżek. A kiedy wyciągnął ramiona, zbliżyłam się doń i szybko wycofałam, sztywna i posłuszna. Nie spojrzałam, by sprawdzić, jak to przyjął. Pobiegłam na górę i zamknęłam za sobą drzwi sypialni.

Muszę się strzec niewłaściwego zachowania. Nie mam prawa odczuwać niechęci wobec naturalnego odruchu dobroci, obawiać się wydarzenia, które niewątpliwie powinnam przyjąć z radością. Czyż nie narzekałam wielokrotnie na nudę naszego tutaj życia?

Złodziej wśród nocy, chce mi się płakać, złodziej wśród nocy.

Lepiej już nic nie pisać.

listopad

Mój ojciec czerpie wielką przyjemność z jej towarzystwa. Pamiętam, że kiedyś byłam zadowolona, gdy z nim rozmawiała, wtedy bowiem myślałam, że nie odjedzie i nasze domostwo się ożywi. Zadaje mu ciekawe pytania, ciekawsze niż ja, gdyż jej zainteresowanie jest świeższej daty, ponadto dostarcza mu nowych informacji z innych lektur, własnych i swego ojca. Tymczasem wszystkie moje myśli - oprócz tych, które są naprawdę moje i go nie ciekawią, gdyż uznałby je za trywialne, kobiece i niewdzięczne - myśli, które mogłyby go zaciekawić, pochodzą od niego. Poza tym, bezpośrednio przed jej przyjazdem nie przejawiałam wielkiego zainteresowania tym wiecznym deszczem i mgłą, gniewnym Oceanem, Druidami, dolmenami i starą magią. Chciałam poznać Paryż, chodzić po jego ulicach w spodniach, trzewikach i wytwornych żakietach, jak Mme Sand, chciałam być wolna, nie tak osamotniona. Więc być może go zawiodłam, myśląc tylko o sobie, sądząc, że i on mnie zawiodł - choćby częściowo - gdyż nie dostrzegał, że mam inne potrzeby. Traktuje ją z takim szacunkiem - kiedy do niej mówi, jego głos ożywa. Dziś powiedział, że serce mu rośnie, gdy widzi, że ona przejawia zainteresowanie jego ideami. Tak dokładnie powiedział: „Serce mi rośnie, gdy widzę, że interesują cię te zawile sprawy”.

Przy południowym posiłku rozmawiali o przecięciach tego i tamtego świata. Powiedział, jak mawiał już przedtem, że w naszej części Bretanii - la Cornouaille, l'Armorique - utrzymuje się stare celtyckie wierzenie, iż śmierć to jedynie krok, przejście między dwoma etapami ludzkiej egzystencji. Że jest wiele etapów i życie stanowi tylko jeden z nich, i że jednocześnie istnieje wiele światów, splecionych ze sobą, które gdzieniegdzie się przenikają. I że w obszarach niepewnych - w ciemnościach nocy, we śnie, w pyle wodnym, gdzie solidna ziemia spotyka płynący Ocean, który sam jest progiem śmierci dla ludzi, co go przekraczają - unoszą się posłańcy, wędrujący między jednym stanem a drugim. Tacy jak mała tańcząca istota Gode. Albo sowy, albo te motyle, o których powiada się, że przywiał je wiatr znad słonych pustkowi Atlantyku.

Powiedział, że religia Druidów, jak on ją rozumie, uprawiała mistycyzm środka - nie istniał liniowy czas, żadne przedtem ani potem, jedynie nieruchome centrum i Szczęśliwa Kraina Sid, którą naśladowały, na którą wskazywały ich korytarze.

Wszelako dla chrześcijaństwa *to* życie jest wszystkim, jako nasz obszar próby, a poza nim istnieje tylko absolutne Niebo i Piekło.

Lecz w Bretanii człowiek może wpaść do studni i znaleźć się w krainie wiecznego lata, pełnej jabłek. Lub złović na wędkę dzwonnice zatopionego kościoła w innym kraju.

- Lub wejść przez bramę kurhanu do Avalon - powiedziała. Powiedziała:

- Zadawałam sobie pytanie, czy to obecne zainteresowanie światem duchów nie dowodzi, iż Celtowie mieli w tych sprawach słusność. Swedenborg, który odwiedził świat duchów, powiada, że widział kolejne obszary istnienia, wszystkie oczyszczone, posiadające domy, świątynie i sobie właściwe biblioteki. Ostatnio zaś wiele osób jeło poszukiwać rzekomych wiadomości ze spornych krain, leżących poza zasłoną, która oddziela ten świat od następnego. Sama widziałam kilka małych, niewyjaśnionych zdarzeń. Lśniące białe wieńce ziemskiej urody, unoszone niewidzialnymi dłońmi. Wiadomości, żmudnie wystukiwane przez małe rączki, dla

których ten sposób porozumiewania był nieskończenie uciążliwy, zważywszy ich subtelny charakter, jednakże uprawiały go z miłości dla osieroconych przez siebie osób. Muzyka, którą grały niewidzialne ręce na akordeonie skrytym pod aksamitną chustą, niedostępnym dla nikogo. Ruchome światelka.

- Nie sądzę - zawołałam - aby te salonowe sztuczki miały coś wspólnego z religią. Albo z tym, cokolwiek to jest, co słyszymy w naszych strumieniach i źródłach.

Najwyraźniej zdumiała ją moja gwałtowność.

- To dlatego, że błędnie sądzisz, iż duchy nie lubią wulgarności tak samo jak ty. Duch może przemówić do wieśniaczki takiej jak Gode, bo to malownicze; z jednej strony stoją romantyczne skały, z drugiej - prymitywne chaty, a jej własny dom tonie w prawdziwym mroku moralnym. Lecz jeśli duchy istnieją, nie rozumiem, dlaczego nie miałyby istnieć wszędzie, a przynajmniej dlaczego nie można by tego zakładać. Można oczywiście dowodzić, że ich głosy zostaną stłumione przez grube ściany z cegły, pluszowe zasłony i nieskazitelne serwetki. Lecz czyściciele mebli i kupcy bławatni tak samo potrzebują zbawienia - tak samo pragną być pewni życia po śmierci - jak poeci albo nawet chłopci. Póki bezrefleksyjna wiara pozostawała niewzruszona, póki Kościół stanowił konkretną obecność, Duch trwał potulnie w prezbiterium, a duchy trzymały się cmentarzy i grobów. Lecz teraz, gdy ludzie boją się, że nie powstaną z martwych, że nikt nie odwali kamieni z grobowców, że niebo i piekło to tylko wyblakłe rysunki na murach starych kościołów, woskowe anioły i paskudne strachy, teraz pytają - co jest *tam*? A jeśli ten mężczyzna w błyszczących trzewikach, ze złotą dewizką ta kobieta w tafetowej sukni z fiszbinami, haczykiem unosząca krynolinę nad kałużą - jeśli ci tłusci, nudni mieszczanie pragną słyszeć duchy tak jak Gode, dlaczego nie mają tego robić? Dobrą Nowinę ogłoszono wszystkim ludziom i jeśli istniejemy w kolejnych stanach, to ci spośród nas, którzy są materialistami, też przebudzą się w następnym świecie. Swedenborg widział, jak wypacają z siebie niewiarę i wściekłość niczym sterty lśniących robaków.

- Za szybko się posuwasz, bym mogła oponować - burknęłam nadąsana. - Ale w pismach taty czytałam o tych obrotowych stolikach i stukaniach, i powiadam, że to mi wygląda na sztuczki dla łatwowiernych.

- Czytałaś relacje sceptyków - zawołała płomiennie. - Nie ma nic łatwiejszego od kpiny.

- Czytałam relacje wierzących - powiedziałam niewzruszenie. - Ujrzałam w nich łatwowierność.

- Dlaczego tak się gniewasz, kuzynko Sabine? - zapytała.

- Gdyż nigdy dotąd nie słyszałam, byś powiedziała coś głupiego - odparłam, co było prawdą lecz niewątpliwie nie dlatego się gniewałam.

- Salonowe sztuczki mogą sprowadzić prawdziwe demony - powiedział mój ojciec w zadumie.

listopad

Zawsze myślałam, że jestem istotą serdeczną. Narzekałam, że nie mam wokół siebie dość ludzi, których mogłabym kochać lub doceniać. Sądzę, że mogę uczciwie stwierdzić, że dotychczas nie doświadczyłam uczucia nienawiści. Nie lubię nienawiści, wydaje mi się, że przychodzi z zewnątrz i bierze mnie we władanie, jak wielki ptak wbijający we mnie krzywy dziób, jak żarłoczna istota o gorącej sierści i gniewnych oczach, patrząca moimi oczami, wobec której moja lepsza strona, miły uśmiech i uczynność stają bezradne. Walczę i walczę, i nikt tego nie widzi. Siedzą przy stole, wymieniają metafizyczne teorie, a ja czuję się jak zmiennokształtna wiedźma, puchnąca ze złości i kurcząca się ze wstydu - a oni nic nie widzą. Ona w moich oczach też się zmienia. Nienawidzę jej gładkiej, jasnej głowy, zielonkawych oczu i zielonych stóp, błyszczących pod spódnicą,

wydaje mi się jakimś wężem, syczącym cichutko niczym garnek na ogniu, gotowym uderzyć, gdy się rozgrzeje gościnnością. Ma zęby wielkie jak Baba-Jaga albo ten wilk z angielskiej bajki, który udawał babcię. Kiedy prosi go o jakieś zajęcie, on daje jej prace, które dawał mnie, i sypie mi sól na ranę, mówiąc: „Całe to kopiowanie jest męczące dla Sabine, dobrze mieć inne zręczne dłonie i bystre oczy”. Przechodząc, gładzi jej włosy, ten węzeł na karku. Ukąsi go. Na pewno go ukąsi.

Kiedy to piszę, wiem, że to bzdury.

Ale kiedy *to* piszę, wiem, że nie.

listopad

Dziś wybrałam się na długi spacer wzdłuż klifu. Nie był to dobry dzień na wycieczki, wiał silny wiatr i wokół unosiły się kłęby gęstej mgły i pyłu wodnego. Wzięłam Psa Traya. Nie spytałam jej, czy mogę. Przyjemność sprawia mi myśl, że on teraz pójdzie już za mną wszędzie, choć ona powiedziała, że kocha wyłącznie i tylko raz. Jestem pewna, że mnie kocha, a jego nastrój odpowiada mojemu, bo jest to zwierzę smutne i nieśmiałe; dzielnie stawia czoło pogodzie, lecz nie bawi się i nie uśmiecha, jak niektóre psy. Jego miłość to smutny dar zaufania.

Poszła za mną. To się jeszcze nie zdarzyło. Gdy miałam na to nadzieję, nigdy tego nie robiła, musiałam ją błagać i namawiać dla jej własnego dobra. Lecz kiedy odchodzę, aby od niej uciec, pędzi za mną pośpiesznie, usiłując nie pokazać, że się śpieszy, w swej wielkiej pelerynie z kapturem, z tą idiotyczną parasolką, która trzeszczy i łopocze na wietrze bez większego pożytku. Taka jest natura ludzka; ludzie chętnie pójdą za tobą, pod warunkiem że już ich nie kochasz ani nie chcesz.

Jest taka droga, która prowadzi obok wszystkich pamiątek, obok Dolmenów, zwałonego menhiru i małej kaplicy Przenajświętszej Panienci, z granitową postacią na granitowym stole, nie bardzo się różniącą od pozostałych figur i zapewne wykonaną z kawałka którejs z nich.

Zrównała się ze mną i zapytała:

- Mogę iść z tobą, kuzynko Sabine?

- Jak chcesz - odparłam z dłonią wspartą na grzbiecie psa. - Jeżeli masz ochotę.

Szłyśmy chwilę, po czym powiedziała:

- Obawiam się, że czymś cię uraziłam.

- Ależ nie, wcale nie.

- Byliście wszyscy dla mnie tacy dobrzy. Naprawdę czuję, że znalazłam schronienie, jakby dom, tutaj, w kraju mojego ojca.

- Ojciec i ja cieszymy się z tego.

- Nie wydaje mi się, żebyś ty się cieszyła. Mam ostry język i kanciasty sposób bycia. Jeżeli coś powiedziałam...

- Nic nie powiedziałaś.

- Lecz zakłóciłam twój spokój? Nie wydawałaś się z niego zadowolona - z początku.

Nie byłam w stanie mówić. Przyspieszyłam, a pies podążył za mną.

- Wszystko, czego dotknę - powiedziała - doznaje szkody.

- Nic o tym nie wiem, gdyż nic mi nie powiedziałaś.

Wówczas zamilkła na jakiś czas. Szłam coraz szybciej - to moja kraina, jestem młoda i silna. Miała pewne trudności z dotrzymaniem mi kroku.

- Nie mogę nic powiedzieć - powiedziała wreszcie. Nie żalśnie, nie ma takiego zwyczaju, lecz ostro, prawie niecierpliwie. - Nie umiem się zwierzać. Nie mam tego w sobie. W ten sposób - tylko w ten sposób mogę przetrwać.

To nie jest prawda, chciałam powiedzieć, lecz nie powiedziałam. Mojego ojca nie traktujesz tak jak mnie.

- Być może nie ufasz kobietom - rzuciłam. - Masz do tego prawo.

- Ależ ja ufałam kobietom - zaczęła, lecz nie dokończyła. Po czym dodała: - Wynikła z tego krzywda. Wielka krzywda.

Zabrzmiało to złowieszczo, jak przepowiednia Sybilli. Znow przyspieszyłam. Po chwili westchnęła i powiedziała, że kłuje ją w boku i musi zawrócić. Zapytałam, czy chce, by jej towarzyszyć, lecz uczyniłam to w taki sposób, że duma musiała jej kazać odmówić, co też się stało. Patrzyłam, jak zawraca, z ręką przy boku i opuszczoną głową zmagając się z wiatrem. Jestem młoda, pomyślałam, i powinnam była dodać „i zła”, ale nie dodałam. Patrzyłam, jak odchodzi, i uśmiechałam się. Z jednej strony dałabym prawie wszystko, aby było jak przedtem, aby nie stała się melodramatyczna i żalсна, lecz z drugiej - tylko się uśmiechnęłam, po czym ruszyłam dalej, bo przynajmniej jestem młoda i silna.

Liścik Ariane Le Minier:

Tu brakuje kilku stron, a reszta jest zdawkowa i pełna powtórzeń. Nie robiłam fotokopii pozostałych zapisków z tego miesiąca, dopiero z Bożego Narodzenia. Jeżeli Pani zechce, może Pani później obejrzeć to, co pominęłam.

Boże Narodzenie 1859

Wszyscy poszliśmy do kościoła na pasterkę. Ojciec i ja zawsze chodzimy. Dziadek nie wszedłby do kościoła; był pryncypialnym republikaninem i ateistą. Nie jestem pewna, czy przekonania religijne mego ojca ucieszyłyby naszego proboszcza (gdyby ojciec zechciał je z nim omówić, czego sobie nie życzy). Lecz ojciec mocno wierzy w podtrzymywanie życia społeczności Bretończyków, a to wiąże się z Bożym Narodzeniem i wszystkimi jego znaczeniami, starymi i nowymi. Ona powiada, że w Anglii należy do Kościoła anglikańskiego, lecz tutaj wiarą jej ojców jest katolicyzm w jego bretońskiej formie. Sądzę, że le Curé byłby zdumiony również jej poglądami, ale witają serdecznie w naszym kościele i szanuje jej odosobnienie. W Adwencie częściej chodziła do kościoła; stała zziębnięta i patrzyła na rzeźbę Kalwarii, na surowe postaci, wykute z takim trudem w niepodatnym granicie. Mamy tu niezłego św. Józefa, prowadzącego osła drogą do Betlejem (kościół jest pod wezwaniem św. Józefa). Ojciec opowiadał, że w naszym kraju zwierzęta przy żłobach otrzymują dar mowy w noc Narodzenia Pańskiego, kiedy cały świat jedna się ze Stwórcą i wraca do stanu pierwotnej niewinności, jak za czasów pierwszego Adama. Ona mówiła, że dla purytanina Milona przeciwnie, Boże Narodzenie oznaczało śmierć Natury - a co najmniej przywoływał on starą tradycję, wedle której wędrowni Grecy słyszeli, jak w tę noc świątynie wołają: Płaczcie, płaczcie, umarł wielki bóg Pan. Ja nic nie mówiłam. Patrzyłam, jak otula jej ramiona płaszczem i prowadzi do naszej ławki, w przedniej części kościoła, i widziałam w tym - Boże, dopomóż - zapowiedź naszego przyszłego wspólnego życia.

To takie piękne, gdy zapalają się świece, by zwiastować nadejście nowego świata, nowego życia, nowego roku. Nasz przysadzisty mały kościółek nie różni się zbytnio od pieczary, w której często przedstawiane są narodziny Jezusa. Ludzie, pasterze i rybacy, ukłękli do modlitwy. Ja również ukłękłam, próbując zmusić splątane myśli do uczuć miłosierdzia i dobrej woli, pomodlić się po swojemu. Modliłam się, jak zawsze, o to, by został zrozumiany duch, w którym ojciec przestrzega tych świąt, uważając je za uniwersalne - Gwiazdka to dla niego przesilenie zimowe, obrót ziemi ku światłu. Proboszcz się go boi. Wie, że powinien protestować, ale nie śmie.

Zobaczyłam, że ona nie klęka, a potem, że jednak próbuje, dość ostrożnie, jakby miała zemdleć. Kiedy znów usiadłyśmy i zapalono świece, spojrzalam, by sprawdzić, jak się czuje - i zrozumiałam. Siedziała odchyłona do tyłu w narożniku ławki, z głową opartą o filar; jej oczy i usta były zamknięte ze znużenia. Okrywał ją cień, pochłonął ją mrok kościoła, lecz ujrzałam, że jest blada. Splotła ręce pod piersią i szczególny sposób, w jaki obróciła ciało, odwieczny, ochronny gest tych rąk sprawił, że nareszcie zrozumiałam, co ukrywała i co ja - porządna wieśniaczka i gospodyni - powinnam była zrozumieć dawno temu. Zbyt wiele razy widziałam kobiety, trzymające ręce w ten właśnie sposób, aby się mylić. Kiedy się tak odchyliła, widać było, że już jest grubsza. W rzeczy samej, przybyła do nas w poszukiwaniu schronienia. Wiele, jeśli nie wszystko, stało się jasne.

Gode wie. Jest bystra i mądra w tych sprawach.

Ojciec też wie, tak sędzę, musiał wiedzieć od jakiegoś czasu, być może nawet przed jej przyjazdem. Czuje dla niej litość i chce ją chronić, teraz to widzę, a ja dostrzegłam uczucia, które istniały wyłącznie w mej rozgorączkowanej wyobraźni.

Co powiedzieć? Co robić?

31 grudnia

Widzę, że nie ośmielę się nic jej powiedzieć. Poszłam dziś po południu do jej pokoju, niosąc w podarku brązowy cukier i książkę, którą pożyczyłam wcześniej, zanim się rozgniewałam. Powiedziałam do niej:

- Przepraszam kuzynko, że byłam niemiła. Źle zrozumiałam pewne rzeczy.

- W istocie - odparła, niezbyt przyjaźnie. - Miło mi, że uważasz to za nieporozumienie.

- Och, teraz wiem, jak się sprawy mają. Chcę być dla ciebie dobra. Chcę ci pomóc.

- Ach, już wiesz, jak się sprawy mają doprawdy? - powtórzyła wolno. - Wiesz, jak się sprawy mają. Czy kiedykolwiek wiemy coś takiego o bliźnim? Powiedz mi więc, kuzynko Sabine, jakże się sprawy mają ze mną twoim zdaniem?

I wpatrzyła się we mnie bladymi oczami w bladej twarzy, prowokując mnie do odpowiedzi. Gdybym jej udzieliła, gdybym odpowiedziała, cóż mogłaby na to rzec? Było tak, jak myślałam, jestem pewna. Ale zaczęłam jąkać, że nie wiem, o co mi chodzi, że chyba zrobiłam jej przykrość, a potem, pod jej wzrokiem, wybuchnęłam płaczem.

- Moje sprawy mają się dobrze - powiedziała. - Jestem dorosłą kobietą, a ty - młodą dziewczyną kapryśną i nie zrównoważoną jak to w młodości bywa. Potrafię zadbać o siebie, Sabine, i nie pragnę twojej pomocy. Ale cieszę się, że już nie przepełnia cię wściekłość. Wściekłość rani duszę, czego dowiedziałam się na swoją zgubę.

Poczułam, że domyśla się wszystkiego - wszystkiego, co podejrzewałam, czego się bałam i nienawidziłam. I że nie zechciała mi przebaczyć. I wówczas z kolei ja się rozgniewałam i wyszłam płacząc. Chociaż mówi, że nie potrzebuje pomocy, to przecież już o nią poprosiła, dlatego tu jest. Co się z nią stanie? Z nami? Z dzieckiem? Czy powinnam powiedzieć o tym z ojcem? Wciąż czuję, że jest jak zamrożony węzeł Ezopa. Przenosić może opanować wyobraźnię nawet wtedy, gdy jej stosowność się zużyje. A wobec tego, która z nas jest węzeł? Ale patrzyła na mnie wzrokiem tak lodowatym, że zastanawiam się, czy nie jest trochę obłąkana.

koniec stycznia

Dziś postanowiłam porozmawiać z ojcem na temat stanu kuzynki Christabel. Już kilka razy chciałam to zrobić, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie - być może obawa, że on również mnie skarci. Jednak to milczenie zalega między nami. Poczekalam więc, aż ona pójdzie do kościoła - teraz już z pewnością każde wprawne oko odgadnie jej stan, zbyt jest drobna, by go ukryć.

Weszłam do pokoju ojca i powiedziałam szybko, aby nic nie zdążyło mnie powstrzymać:

- Chcę porozmawiać z tobą o Christabel.

- Z żalem zauważyłem, że jesteś dla niej mniej serdeczna niż dawniej.

- Co do tego, nie sędzę, żeby pragnęła mojej serdeczności. Ja... to nieporozumienie. Sędziłam, że staje ci się tak bliska, że - że nie starczy już miejsca dla mnie.

- To niesprawiedliwe, wobec niej i wobec mnie.

- Teraz to wiem, bowiem zobaczyłam... ojczy, zobaczyłam, w jakim jest stanie, nie można się pomylić.

Byłam ślepa, ale teraz widzę. Odwrócił twarz ku oknu i powiedział:

- Chyba nie powinniśmy o tym mówić.

- To znaczy, sędzisz, że ja nie powinnam.

- Sędzę, że nie powinniśmy oboje.

- Ale co się z nią stanie? I z dzieckiem? Czy zostaną tu na zawsze? Jestem panią tego domu, chcę wiedzieć, muszę wiedzieć. I chcę pomóc, ojczy, chcę pomóc Christabel.

- Wydaje mi się, że najbardziej możemy jej pomóc nic nie mówiąc. - W jego głosie brzmiało zdziwienie.

- No cóż - powiedziałam - skoro wiesz, co zamierza, to mnie zadowala. Będę cicho i nic już więcej nie powiem. Chciałam tylko pomóc.

- Ach, moja droga - powiedział - o jej zamiarach wiem nie więcej od ciebie. Jestem równie nieświadomy jak ty. Zgodnie z jej prośbą zaproponowałem jej dom „na jakiś czas” - tyle napisała w liście. Lecz nie pozwala mi mówić o - o przyczynie tej prośby. W istocie, to Gode mnie oświeciła, bardzo wcześnie. Możliwe, że kiedy przyjdzie pora, ona także zwróci się do Gode. Jest naszą krewną i daliśmy jej schronienie.

- Musi powiedzieć z nami o swym kłopotcie.

- Próbowałem - odparł - ale ona zmienia temat. Jakby chciała temu zaprzeczyć, nawet wobec siebie.

lut

Zauważyłam, że dziennik przestał mi sprawiać przyjemność. Od jakiegoś czasu nie jest już ćwiczeniem pisarskim ani opisem mojego świata, lecz historią zazdrości, kontuzji i niechęci. Zauważyłam też, że opisywanie tych stanów nie egzorcyzuje ich, lecz obdarza konkretnym życiem, podobnie jak woskowe laleczki nabie-

rają żywotności, gdy czarownica je ogrzewa, zanim wbije w nie szpilkę. Nie zaczęłam pisać dziennika po to, by stał się powiernikiem mojego szpiegostwa, podglądania prywatnego bólu innej osoby. Boję się również, że ktoś przypadkowo przeczyta te słowa i źle zrozumie moje intencje. A zatem, z tych wszystkich powodów, na razie zaprzestaję pisania.

kwiecień

Jestem świadkiem czegoś dziwnego, tak dziwnego, że muszę to opisać - choć mówiłam, że nie będę - abym to mogła zrozumieć. Kuzynka jest już duża, dojrzała, ciężka, termin z pewnością się zbliża, wszelako ona nie dopuszcza ani słowa dyskusji na temat swego stanu i oczekiwań. I rzuciła na nas jakby czar, bowiem nikt nie śmie postawić sprawy jasno, wyciągnąć na światło dzienne tego, co wszyscy widzą, a co jednak pozostaje ukryte. Ojciec kilkakrotnie próbował zmusić ją do rozmowy, ale bez skutku. Chciałby jej powiedzieć, że powitamy dziecko z radością, że bez względu na pochodzenie należy do rodziny, tak jak ona, i że będziemy dbać o jego wychowanie i pilnować, aby niczego mu nie brakowało. Lecz powiada, że nie umie przemówić, a to z dwóch powodów. Po pierwsze, ona go onieśmiela, wzrokiem i zachowaniem bezwzględnie zabraniając mu tego tematu, i choć jest świadom moralnego nakazu, jednak nie umie zacząć rozmowy. Po drugie, ojciec naprawdę się obawia, że oszalała, że istnieje w niej śmiertelne pęknięcie, niepozwalające, by jej sumienie i publiczne, ja" dowiedziało się o tym, co się z nią dzieje. I chociaż czuje, że należy ją przygotować, boi się także, iż mógłby zrobić to niewłaściwie, spowodować wstrząs, który wtrąciłby ją w całkowitą obcość, szal i rozpacz, być może nawet zabił obydwójce. Obsypuje ją czułościami, ona zaś łaskawie wszystko przyjmuje i rozprawia z nim o wróżce Morganie, Plotynie, Abelardzie i Pelagiuszu, niby księżniczka, dwornie odpłacająca uprzejmością za uprzejmość. Umysł ma jaśniejszy niż kiedykolwiek, jest bystra, ostra jak brzytwa, dowcipna. Biedny ojciec, podobnie jak ja, ma uczucie, że także w nim wzbiera szaleństwo; przez grzeczność i pamięć dawnej przyjemności wdaje się oto w zawile dysputy, omówienia i recytacje, gdy należałoby raczej mówić o konkretnych faktach i praktycznych przygotowaniach.

Pocieszam go, że nie jest całkiem nieświadoma swego stanu - szwy jej sukien są wypuszczone w tali i pod pachami, poprawki wykonano mocnym ścięciem, inteligentnie i starannie. Odparł, że wątpi, że pewnie to dzieło Gode, a więc - nie mając dość odwagi i nieczułości, by stawić czoło Christabel - postanowiliśmy wypytać Gode, dowiedzieć się, czy dopuszczona została do zwierzeń, co wydało się nam możliwe, wręcz prawdopodobne. Lecz Gode powiedziała, że nie, to nie jej robota, i że gdy proponowała pomoc, panienska zawsze zmieniała temat, jakby nie rozumiejąc o co chodzi. „Pije moje ziółka, jakby chciała mi sprawić przyjemność” - mówi Gode. Powiada, że znała już przypadki kobiet, które stanowczo nie przyjmowały swego stanu do wiadomości, a jednak rodziły tak łagodnie i łatwo jak jałówki w oborze. Oraz inne, dodała ponuro, które poraniły się w walce, zabijając jedno bądź oboje, matkę i dziecko. Gode sądzi, że powinniśmy zdać się na nią - gdy z pewnych wyraźnych oznak dowie się, że już pora, poda mej kuzynce napój uspokajający i każe jej oprzytomnieć, przynajmniej pod koniec. Myślę, że Gode zna miarę większości mężczyzn i kobiet, zwłaszcza w ich aspekcie najbardziej zwierzęcym, instynktownym, ale wcale nie jestem pewna, czy dotyczy to kuzynki Christabel.

Zastanawiałam się, czy nie napisać do niej listu, wyluszczać nasze obawy i podejrzenia, zważywszy, iż czyta z większą łatwością niż mówi i mogłaby w samotności rozważyć nasze ostrożne słowa. Lecz nie mam pojęcia, jak się do niego zabrać ani jak zostałby przyjęty.

wtorek

W ostatnim czasie była dla mnie na swój sposób bardzo dobra, omawiając to i tamto, prosząc, bym jej pokazała swoje prace, haftując w sekrecie mały futeralik na moje nożyczki - ładny drobiazg w pawie oczka, wyszyte niebieskim i zielonym jedwabiem. Lecz nie umiem jej lubić jak przedtem - nie jest otwarta, zataja to, co ważne, i przez dumę czy obłąd zmusza mnie do życia w kłamstwie.

Dzisiaj mogłyśmy posiedzieć w sadzie, pod kwitnącą wiśnią. Rozmawiałyśmy o poezji; pozornie bez troska, strzepywała opadające płatki z rozdętej spódnicy. Mówiła o „Meluzynie” i o naturze eposu. Mówiła, że chciałaby napisać epos o wróżkach, oparty nie na prawdzie historycznej, lecz na prawdzie poezji i wyobraźni - jak „Królowa wróżek” Spensera lub poezje Ariosta, w których duch wyzwala się z ograniczeń faktów i historii. Mówiła, że właściwą formą dla kobiet jest Romans. Romans, mówiła, to kraina, gdzie kobiety mogą swobodnie wyrażać swą prawdziwą naturę, jak na Ile de Sein lub Sid, choć nie na tym świecie.

Mówiła, że w Romansie jednoczą się dwie strony kobiecej natury. Zapytałam, jakie to dwie strony, ona zaś odpowiedziała, że mężczyźni postrzegają kobiety jako stworzenia podwójne, czarodziejki i demony bądź niewinne anioły.

- Wszystkie kobiety są podwójne? - zapytałam.

- Tego nie powiedziałam - odparła. - Powiedziałam, że mężczyźni tak je postrzegają. Kto wie, kim była Meluzyna w stanie wolnym, gdy nie widziało jej żadne oko?

Mówiła o rybim ogonie i spytała, czy znam bajkę Hansa Andersena o Małej Syrence, która zgodziła się na rozpołowienie ogona, aby sprawić radość swemu Księżciu, wskutek czego zaniemówiła i on już jej nie chciał.

- Ogon był jej wolnością - powiedziała. - Kiedy uzyskała nogi, czuła się tak, jakby stąpała po nożach.

Powiedziałam, że gdy przeczytałam tę bajkę, miałam okropne sny o chodzeniu po nożach, co wyraźnie ją ucieszyło.

I tak ciągnęła opowieść o bólu Meluzyny i Małej Syrenki, lecz o swoim przyszłym bólu nie powiedziała nic.

Mniemam, że jestem dość rozgarnięta, by rozpoznać przenośnię lub parabolę, i rozumiem, że można pomyśleć, iż w swój zagadkowy sposób opowiadała mi o bólach kobiecości. Mogę tylko stwierdzić, że wtedy tak mi się nie wydawało. Nie, jej głos błyskał w tej rozmowie niby igła, gdy wyszywa ładny wzór. I przysięgam, że widziałam, jak pod jej suknią poruszyło się *to*, które nie jest nią, i którego ona nie uznaje mimo całej swej błyskotliwości.

30 kwietnia

Nie mogę spać. Wezmę podarunek, który mi dała, i wtedy opiszę - opiszę, co zrobiła.

Szukamy jej od dwóch dni. Wczoraj rano wyszła do kościoła, co przez ostatnie dwa tygodnie czyniła coraz częściej. Okazuje się, że ludzie ze wsi widywali ją, jak stała, czasem bardzo długo, przyglądając się żywotowi i śmierci Niepokalanej Dziewicy, wyrzeźbionym u stóp Kalwarii. Opierała się o nią, by złapać oddech, i kreśliła palcem kontury małych figurek, Jak ślepa”, powiedział jeden z wieśniaków, Jak rzeźbiarz”, rzekł inny. Spędzała również całe godziny modląc się lub po prostu przesiadując w kościele, - o tym wiedzieliśmy, wiedzieliśmy wszyscy, - z głową okrytą czarnym szalem i dłońmi zaciśniętymi na podolku. Wczoraj, jak zwykle, widzieli ją przy wejściu, ale nikt nie widział, żeby wychodziła, a przecież wyjść musiała.

Zaczęliśmy szukać dopiero w porze kolacji. Gode przysłała do pokoju ojca i powiedziała:

- Chyba trzeba wyprowadzić konia i bryczkę, Monsieur, bo młoda pani nie wróciła, a jej czas się zbliża.

I nasze myśli opanowały straszne obrazy mojej kuzynki leżącej w bólach na polu, w rowie lub jakiejś stodole. Zaprzęgliśmy więc bryczkę i jeździliśmy po wszystkich drogach wśród kamiennych murków, zaglądając do kotlin i opuszczonych chat, wołając czasem, niezbyt często, gdyż było nam wstyd, trochę za siebie, żeśmy ją stracili, trochę za nią że zbłądziła, i to w takim stanie. Było to okropne dla wszystkich, wiem o tym, a na pewno dla mnie. Każdy cal ciała sprawiał mi ból - sędzę, że niepewność jest najboleśniejszym z ludzkich uczuć, bowiem z jednej strony ponagla, z drugiej - rozczarowuje i paraliżuje. Czuliśmy, że nas dusi i rozsadza; każda duża, ciemna plama - krzak janowca z zaczepioną szmatą porzucona beczka, zjedzona przez korniki - stawały się przyczyną straszliwej nadziei i lęku. Wspięliśmy się do kaplicy Przenajświętszej Panienki i zajrzeliśmy przez otwór Dolmenu, lecz nic nie było widać. I tak to trwało, dopóki nie zapadł zmrok, a wtedy ojciec powiedział:

- Boże broń, żeby spadła z klifu.

- Może poszła z kimś ze wsi - powiedziałam.

- Daliby mi znać - odparł ojciec. - Przysłaliby po mnie.

Więc postanowiliśmy przeszukać brzeg morza. Zrobiliśmy wielkie pochodnie, jak wówczas, gdy sztorm rzuca łódzie na skały i trzeba zbierać rozbitków i szczątki. Yannick rozpałił niewielkie ognisko, a ojciec i ja biegaliśmy od zatoczki do zatoczki, wołając i machając pochodniami. Raz usłyszałam jakby krzyk, lecz było to tylko gniazdo mew. Szukaliśmy jej bez odpoczynku, bez strawy, przy księżycu, aż minęła północ i ojciec powiedział, że trzeba wracać do domu, może pod naszą nieobecność dotarły o niej jakieś wieści. Na pewno nie, powiedziałam, przecież by po nas posłali, lecz ojciec odparł, że jest ich za mało, by opiekować się chorą kobietą i jeszcze nas szukać. Wróciliśmy zatem do domu z pewną nadzieją lecz nie zastaliśmy nic i nikogo, z wyjątkiem Gode, która wywróżyła z dymu, że nie dowiemy się niczego przed świtem.

Dziś daliśmy znać sąsiadom. Z dumą w kieszeni i kapeluszem w ręce ojciec pukał do wszystkich drzwi i pytał, czy ktoś coś o niej wie, lecz wszyscy zaprzeczali, chociaż potwierdzili, że rano była w kościele. Wieśniacy pomogli nam ponownie przeszukać drogi i pola. Ojciec poszedł zobaczyć się z proboszczem. Nie lubi się z nim widywać; ksiądz nie jest człowiekiem wykształconym i wprawia ich obu w zakłopotanie, dając do zrozumienia, że powinien zanegować poglądy religijne mego ojca, które na pewno postrzega jako całkowicie obraźliwe. Lecz nie ośmiela się sprzeczać - na pewno by przegrał, poza tym, gdyby wyszło na jaw, że wtrącał się do pana de Kercoz - nawet w interesie jego nieśmiertelnej duszy - straciłby szacunek okolicy. Proboszcz powiedział:

- Jestem pewien, że le Bon Dieu się o nią zatroszczy.

- Ale czy pan ją widział, *mon pere*? - dopytywał się ojciec.

- Dziś rano widziałem ją w kościele - odparł ksiądz.

Ojciec sądzi, że le Curé wie, gdzie ona jest. Przecież nie przyłączył się do poszukiwań, jak z pewnością by zrobił, gdyby się niepokoił. Ale z drugiej strony le Curé jest gruby, uwięziony w swym tłuszczu, głupi i pozbawiony wyobraźni, mógł zatem przypuszczać, że młodzi i sprawni będą szukać lepiej.

- Skąd proboszcz miałby wiedzieć? - zapytałam ojca, on zaś odpowiedział:

- Mogła go poprosić o pomoc.

Nie potrafię sobie wyobrazić, że ktokolwiek mógłby poprosić o pomoc proboszcza, i do tego w takich okolicznościach. Ma wylupiaste oczy, rozlane usta i żyje dla swego żołądka. Ale ojciec powiedział:

- Odwiedza klasztor św. Anny, na drodze do Quimperlé, gdzie biskup założył schronisko dla odepchniętych i upadłych kobiet.

- Nie mógł jej tam wysłać! - zawołałam. - To nieszczęsne miejsce.

Rodziła tam siostra Yannicka, Malle, gdy rodzice ją wygnali i nikt nie przyznawał się do dziecka, gdyż powiadano, że nikt nie był pewien, czyje ono jest. Malle opowiadała, że zakonnice ją szczypały, każąc jej odraabiać pokutę przy myciu podłóg i wynoszeniu brudu jeszcze w połogu. Dziecko umarło, tak mówiła Malle. Poszła na służbę jako pokojówka do Quimper, u żony kupca przemysłowego, która biła ją niemiłosiernie, więc długo nie pożyła.

- Może Christabel chciała tam pójść - powiedział ojciec.

- Ale dlaczego?

- Dlaczego robiła wszystko, co robiła? I gdzie ona jest, przecież szukamy jej i szukamy? I morze nikogo nie wyrzuciło.

Powiedziałam, że powinniśmy przynajmniej zapytać zakonnice. Ojciec jutro pojedzie do klasztoru.

Czuję w sercu niepokój. Boję się o nią, a także jestem zła i żal mi ojca, dobrego człowieka, na którego spadło brzemię smutku, troski i wstydu. Teraz bowiem wszyscy już wiedzą, że jeżeli nie spotkał jej wypadek, to uciekła z ofiarowanego przez nas schronienia. Albo też przypuszczają, żeśmy ją wygnali, co również jest hańbą, gdyż nigdy byśmy tak nie postąpili.

Ale może leży martwa w jakiejś grocie lub na brzegu trudno dostępnej zatoczki. Jutro znów pójde jej poszukać. Nie mogę zasnąć.

1 maja

Dziś ojciec pojechał do klasztoru i wrócił. Mówi, że matka przełożona poczęstowała go winem i powiedziała, że nikt odpowiadający opisowi Christabel nie został w tym tygodniu przyjęty. Powiedziała też, że będzie się modlić za tę młodą kobietę. Ojciec poprosił, by powiadomiono go, gdyby do nich dotarła.

- Ale - odparła zakonnica - to zależy od tego, co powie ta kobieta, prosząc o schronienie.

- Chciałbym, aby wiedziała, że ona i dziecko znajdą u nas dom i opiekę, jak długo to będzie potrzebne - powiedział ojciec.

- Ona z pewnością musi o tym wiedzieć, gdziekolwiek się znajduje - rzekła zakonnica. - Być może nie umie zwrócić się do was ze swym kłopotem. A być może nie chce, ze wstydu lub z innych powodów.

Ojciec usiłował opowiedzieć zakonnicy o szalonym i zapamiętałym milczeniu Christabel, lecz podobno ta stała się szorstka i zniecierpliwiona, i odprawiła go. Nie spodobała mu się ta zakonnica, wyraźnie cieszyła ją władza, którą miała nad nim. Jest bardzo zniechęcony i przygnębiony.

8 maja

Wróciła. Siedzieliśmy z ojcem przy stole, smutno roztrząsając raz jeszcze, gdzie należy jej szukać i czy mogła odjechać jednym z dwóch wozów lub bryczką szynkarza, które owego dnia przejeżdżały przez naszą wieś, gdy usłyszeliśmy turkot kół na dziedzińcu. Nie zdążyliśmy nawet wstać, a już stała w drzwiach. Jej dru-

gie przybycie, niby upiora w biały dzień, było jeszcze dziwniejsze i straszniejsze niż pierwsze, pośród nocy i burzy. Chuda i wątła, miała na sobie płaszcz, ściągnięty wielkim, skórzanym pasem. Zbladła jak kość, a jej kości zdawały się rozpierać skórę, cała składała się z ostrych kantów i guzów, jakby szkielet chciał wydostać się na zewnątrz. I obcięła włosy. Wszystkie loczki i sploty zniknęły - jej głowę okrywał czepek bladych kosmyków, matowych niby martwa słoma, oczy zaś, blade i martwe, patrzyły z głębi czarnych oczodołów.

Ojciec podbiegł do niej i byłby ją delikatnie objął, lecz wyciągnęła kościstą dłoń i lekko go odepchnęła.

- Dziękuję, czuję się zupełnie dobrze - powiedziała. - Potrafię stać na własnych nogach.

Tak więc, bardzo ostrożnie, nieskończenie powolna, lecz bezwzględnie wyprostowana, powlokła się dumnie - inaczej nie umiem tego nazwać - do kominka i usiadła. Ojciec zapytał, czy nie chce, byśmy zanieśli ją na górę, lecz odmówiła, powtarzając: „Dziękuję, czuję się całkiem dobrze”. Przyjęła jednak kieliszek wina i trochę chleba z mlekiem; jadła i piła wręcz chciwie. I kiedyśmy tak siedzieli wokół niej, z otwartymi ustami, gotowi zadać tysiąc pytań, powiedziała:

- Błagam, nie pytajcie o nic. Nie mam prawa prosić o względy, nadużyłam waszej uprzejmości, choć nie miałam wyboru. Już nie będę jej długo nadużywać. O nic nie pytajcie, proszę.

Jak mam opisać, co czuję? Ona nie dopuszcza żadnych normalnych uczuć, żadnego ludzkiego ciepła i porozumienia. Czy chodzi jej... czy kiedy mówi, że nie będzie dłużej nadużywać naszej dobroci, to obawia się - lub spodziewa - tutaj umrzeć? Czy jest opętana? Czy działa według planu, który powzięła w chwili, kiedy tu przybyła? Czy zostanie? Czy odjedzie?

Gdzie jest dziecko? Wszystkich nas dręczy ciekawość, którą tak zręcznie - lub rozpaczliwie - obróciła przeciwko nam, traktując ją jak jakiś grzech, uniemożliwając wszelką troskliwość i pytania. Czy żyje? Czy umarło? Chłopiec czy dziewczynka? Co ona zamierza robić?

Piszę to tutaj, bo się wstydzę - a jednak bardzo to ciekawa strona natury ludzkiej, że niemożnością jest kochać przy takim braku otwartości. Czuję okropną litość, gdy widzę ją *taką*, z kościstą twarzą, ostrzyżoną głową, gdy wyobrażam sobie jej ból. Lecz nie umiem go sobie wyobrazić zbyt dobrze, gdyż mi tego zabrania i w pewien sposób ten zakaz obraca moją troskę w rodzaj gniewu.

9 maja

Gode powiedziała, że jeżeli weźmie się koszulkę niemowlęcia i puści na powierzchnię *feuteun ar hazel-lou*, źródła wróżek, można zobaczyć, czy dziecko będzie krzepkie, czy też osłabnie i umrze. Albowiem jeżeli wiatr napęlni rękawy koszulki i popłynie wzdęta po wodzie, dziecko przeżyje zdrowo; lecz jeżeli koszulka zwiotczeje, nabierze wody i utonie, dziecko czeka śmierć.

- Ponieważ nie mamy ani dziecka, ani koszulki - powiedział ojciec - ta wróżba nie jest zbyt pożyteczna.

Nie szyła maleńkich koszulek podczas tych miesięcy, jedynie ładne futerały na pióra i moje nożyczki, i cerowała prześcieradła.

Przebywa głównie w swoim pokoju. Gode mówi, że nie gorączkuje i jej stan się nie pogarsza, lecz jest bardzo słaba.

Dziś w nocy miałam koszmar. Stałyśmy obok wielkiego stawu, całkiem czarnego, o powierzchni podobnej do węgla, sfalowanej i połyskliwej. Otaczał nas gęsty żywopłot z ostrokrzewu; kiedy byłam dziewczynką, zrywałyśmy jego liście i delikatnie nakłuwałyśmy palce, wędrując od ciernia do ciernia wokół obwodu. „*Il*

*m'aime, il ne m'aime pas..."**. Pokazałam tę losową zabawę Christabel, która powiedziała, że lepiej używać do niej liści ostrokrzewu, niż obrywać po jednym płatkami stokrotek, jak to się robi w Anglii. W swoim śnie jednak bałam się ostrokrzewu, bałam się go tak, jak lękamy się ukąszenia węża, gdy coś zaszeleści w trawie.

* *Il m'aime...* (fr.) - kocha, nie kocha... (przyp. tłum.).

W moim śnie nad brzegiem wody stało kilkanaście kobiet - jak zwykle we śnie trudno było powiedzieć ile - z których kilka czułam za plecami, jakby na mnie napierały. Gode puszczała na wodę małe zawiniątko; niekiedy widziałam je spowite w płótno, niczym ukryty w sitowiu Mojżesz na obrazkach. Kiedy indziej była to sztywna, mała koszulka, cała plisowana, która żeglowała ku środkowi stawu - woda się nie marszczyła - unosząc puste ramiona i chwytając powietrze, jakby usiłowała wydobyć się z gęstej wody, pochłaniającej ją bardzo powoli, niby błoto, galareta albo płynny kamień, a przez cały czas ta rzecz wyrывała się i machała - by tak rzec - rękami, bo przecież wyraźnie rąk nie miała.

Zupełnie jasno widać, o co chodzi. Lecz owa wizja zmieniła moje poczucie kształtu wydarzeń. Kiedy teraz pytam sama siebie, co się stało z dzieckiem, widzę staw niczym czarny obsydian i tonącą białą ruchliwą koszulkę.

10 maja

Dziś przyszedł do ojca list od M. Micheleta, zawierający list do Christabel. Wzięła go dość spokojnie, jakby się go spodziewała, lecz przyjrząwszy mu się dokładniej, wstrzymała oddech i odłożyła na bok, nie czytając. Ojciec mówił, że M. Michelet pisał, iż przysłał go Przyjaciela, wiedziony nadzieją, że panna LaMotte przebywa u nas. Prosił nas, byśmy go zwrócili, gdyby jej tu nie było i nie zostałby doręczony. Cały dzień go nie otwierała i nie wiem kiedy - i czy w ogóle - to zrobiła.

Liścik Ariane Le Minier do Maud Bailey. *Droga Profesor Bailey.*

Tutaj dziennik się kończy i prawie kończy się zeszyt. Być może Sabine podjęła pisanie w innym zeszycie; jeżeli tak, to nigdy go nie odnaleziono.

Postanowiłam nie mówić Pani wiele o jego treści, gdyż pragnęłam, być może dziecinnie, by Pani również przeżyła wstrząs i przyjemność, jakich doświadczyłam, odkrywając go. Kiedy wrócę z Cévennes, musimy porównać wrażenia, Pani, ja i profesor Stern.

Oczywiście, dotychczas miałam wrażenie, iż uczeni zajmujący się LaMotte sądzą, że wiodła życie w odosobnieniu, pozostając w szczęśliwym, lesbijskim związku z Blanche Glover. Czy wie pani, choćby w domyśle, o jakimś kochanku, który mógł być ojcem dziecka? Narzuca się pytanie - czy samobójstwo Blanche Glover miało związek z historią tutaj opisaną? Być może jest pani w stanie mnie oświecić?

Muszę także powiedzieć, że podjęłam własne wysiłki, aby odkryć, czy dziecko przeżyło. Oczywistym miejscem, by zacząć poszukiwania, był klasztor św. Anny, więc wybrałam się tam i jestem najzupełniej przekonana, że w ich nieco pobieżnych archiwach nie ma śladu LaMotte. (Wiele dokumentów usunięto w latach

dwudziestych za rządów gorliwej matki przełożonej, w której mniemaniu zakurzone papiery niepotrzebnie zajmowały miejsce, nie mając nic wspólnego z ponadczasową misją zgromadzenia).

Nadal podejrzewam o pomoc proboszcza, choćby z braku innego podejrzanego, gdyż nie mogę uwierzyć, że dziecko urodziło się i zostało zamordowane w jakiejś stodole. Obawiam się jednak, że mogło nie przeżyć.

Załączam kilka fragmentów angielskich wierszy, znalezionych w papierach Sabine. Nie mam dostępu do żadnych próbek pisma LaMotte, lecz sądzę, że mogą być jej autorstwa, co potwierdzałoby przypuszczenie, że stało się coś złego.

Późniejsza historia Sabine de Kercoz jest trochę szczęśliwa, a trochę smutna. Wydała trzy powieści, o których wspomniałam; najciekawsza z nich to niewątpliwie „La Deuxième Dahud”, której bohaterka, obdarzona silną wolą i temperamentem oraz władczą, hipnotyczną osobowością, gardzi konwencjonalnymi cnotami kobiecymi. Zniszczywszy spokój dwóch domów, ginie przez utonięcie wskutek wywrócenia się łódki, będąc w ciąży ze swym potulnym mężem albo też z bajronicznym kochankiem, który tonie wraz z nią. Siłą tej powieści jest sposób, w jaki autorka wykorzystuje bretońską mitologię do pogłębienia wątków i zbudowania fikcyjnego ładu.

Sabine wyszła za mąż w 1863 roku, stoczywszy z ojcem długi bój o prawo spotykania ewentualnych konkurentów. Jej mąż, M. de Kergarouet, był nieciekawym, melancholijnym człowiekiem, znacznie od niej starszym, który stał się obsesyjnie jej oddany i zmarł z żalu w rok po jej śmierci w trzecim połogu. Urodziła dwie córki, z których żadna nie dożyła wieku dojrzewanania.

Mam nadzieję, że to wszystko okazało się dla Pani ciekawe i że kiedyś w przyszłości będziemy mogły porównać nasze odkrycia.

Na końcu pozwolę sobie powiedzieć - co chciałam uczynić już przy naszym krótkim spotkaniu - jak bardzo podziwiam Pani prace o liminalności. Sądzę, że również z tego punktu widzenia znajdzie Pani dziennik Sabine interesującym. Jak powiada, La Bretagne pełna jest progów i miejsc przejścia.

Mes amitiés Ariane Le Minier

Kilka urywków wierszy, które Ariane Le Minier przysłała Maud Bailey.

Ból - dźwigała Panienska Pod którym

Krzyż się gnie I wciąż go dźwiga w mękach

Jak Kamień - blizny swe

Wielki Młot ją wyciosał Ze Skały szorstkiej -

Snu - A dłuta gwiazd w niebiosach Płakały - znów - i znów -

Ból, w Skale zapisany -

Jego Ból niosła - cóż -

Słyszac Szkielet łamany -

Wie - On nie przyjdzie - już

*

Przyszła nieruchoma Ta Istota mała -

Na nasze Pytania Nic odrzec nie chciała -

Ciężko odetchnęła Raz drugi i trzeci

I tak upłynęła Wieczność tysiącleci
Ciała z Lazurytu Karmazynu - nie ma -
Przyszła nieruchoma Jak Kamień i zima -
*

Rzecz o Rozlanym Mleku: Białawe Zniekształcenie -
Cichą strużką się Sący Przepadłe Pożywienie
Innym korzenne Wino Leją w Kielichy szklane -
W grubym Garnku jest moje -
Białe, ciepłe - rozlane
Teraz mamy - paradoks -
Kleks, plama bielejąca Czystej, niewinnej barwy
W Ziemię wsiąka bez końca -
W Ziemię pachnącą sianem -
Krową świętą - spokojem -
Ciepłym bokiem - uczuciem
Cichszym znacznie - niż moje -
Kapie na miękki piasek Rozlewa się po stole
Szelest kropki ucicha W mokrym kurzu na dole
Płynie w nas krew i mleko Miast karmić - rozlewamy -
Otwarte głodne usta -
Rozlanego - nie damy
Nie można nic odwrócić Ten strumień - nie odkupi -
Bieli nie da się wytrzeć Mimo błądności trupiej
Choćbym tarła i tarła Choćbym myła - w gorączce
Duch rozlanego mleka Kwasi Powietrze drżące

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Dłońmi przyciskam Okna krzyż biały.
Czy kształt za szybą To duch Twój śmiały?
Jak mnie nachodzisz -
W sukni i piórach? Czy To - zmarznięta Nagość marmuru?
Udręka wspomnień, Ruch dłoni zwinny,
Gdzie pocałunek Ukradłam zimny.
W co się przetopią Ciało i kości -
Piękno - w bezkształtną Formę Jedności?
Nie chodź samotnie, Zimny wiatr smaga.

Wyjdę do Ciebie Mężna i naga
Twe ostre palce, Pewne wyniku,
Kości oskubią, Sięgną do szpiku
Oddech Twój wchłonę, Biała i pusta,
Gdy się spotkają Tam - nasze usta.

C. LaMotte

Zwykłą koleją rzeczy Mortimerowi Cropperowi byłoby obojętne, ile czasu zajmie przełamywanie oporu sir George'a. Koniec końców i tak zadomowiłby się w zrujnowanym pseudozamczysku, słuchając nieistotnych skarg żony inwalidki (nie zdążył jej poznać, lecz wyraźnie ją sobie wyobrażał; miał bujną wyobraźnię - prawidłowo wyregulowaną, rzecz jasna - która w jego zawodzie stanowiła spory atut), wieczorem zaś przeglądałby po jednym owe rozkoszne listy, szukając w nich wskazówek i tajemnic, przesuając je ponad jasnym, pamiętliwym okiem swej czarnej skrzynki.

Ale teraz, z powodu Jamesa Blackaddera, nie było czasu na subtelność i cierpliwość. Musiał mieć te papiery. Czuł prawdziwe, jakby głodowe skurcze.

Swój wykład „Sztuka biografii” wygłosił w modnym kościele w City, którego pastor lubił, gdy przychodziło doń wielu ludzi, i zapewniał sobie ich obecność, organizując eklektyczne seanse gry na gitarze, sesje leczenia wiarą, zebrania antyrasistowskie, czuwania na rzecz pokoju, namiętne dyskusje o wielbłądzie i uchu igielnym, jak również wykłady o seksualizmie w cieniu AIDS. Spotkawszy pastora na episkopalnej herbatce, Cropper przekonał go, iż podobnie jak seks lub działalność polityczna, biografia stanowi potrzebę duchową współczesnego człowieka. Proszę spojrzeć, jak to się sprzedaje, agitował żarliwie, ile miejsca zajmuje w niedzielnych gazetach, ludzie chcą wiedzieć, jak żyli inni ludzie, to pomaga w życiu, to ludzkie. Forma religii, powiedział pastor. Forma kultu przodków, zauważył Cropper. Lub coś więcej. Czymże są Ewangelie, jeżeli nie serią urozmaiconych ćwiczeń w sztuce biografii?

Dostrzegł, że wykład, już zaplanowany, można wykorzystać. Napisał dyskretne listy do rozmaitych instytucji akademickich, zaprzyjaźnionych bądź wrogich. Powiadomił prasę, że ujawnione zostanie ważne odkrycie. Zainteresował wykładem dyrektorów amerykańskich banków i instytucji finansowych, powstających w City. Zaprosił także sir George'a, który nie odpowiedział, oraz jego doradcę prawnego, Toby Bynga, który uznał, że to bardzo ciekawe. Zaprosił Beatrice Nest i zarezerwował dla niej miejsce w pierwszym rzędzie. Zaprosił Blackaddera; nie iżby sądził, że ten przyjmie zaproszenie, lecz dla samej przyjemności wyobrażania sobie, jak Blackadder się złości, że w ogóle został zaproszony. Zaprosił ambasadora Stanów Zjednoczonych. I zaprosił radio oraz telewizję.

*

Cropper kochał wykladać. Nie należał do starej szkoły wykładowców, zniewalających publiczność hipnotycznym spojrzeniem i melodyjnym głosem. Był wyznawcą wysokiej technologii, magiem białych ekranów i snopów światła, efektów dźwiękowych i powiększeń. Wypełnił kościół rzutnikami i pudełkami przeźroczy -

suflerami, z których podpowiedzi korzystał niczym prezydent Reagan, by spontanicznie i naturalnie zorientować nader skomplikowany pokaz.

Odbywający się w mrocznym kościele wykład uzupełniały ciągi jaskrawych obrazów, pojawiające się na podwójnych ekranach. Ogromne portrety olejne, powiększenia lśniących jak klejnoty miniatur, wczesne fotografie brodatych mędrców na tle popękanych łuków gotyckich katedr zostały przeciwstawione wizjom jasnych przestrzeni Uniwersytetu Roberta Dale'a Owena, połyskliwym powierzchniom piramidy, mieszczącej Kolekcję Stanta, i błyszczącym puzderkom, w których przechowywano sploty włosów Randolpha i Ellen, poduszkę Ellen, haftowaną w drzewka cytrynowe, oraz gagatową broszkę w kształcie róż Yorku na podkładce z zielonego aksamitu. Od czasu do czasu, jakby przypadkiem, na tle tych świetlistych obiektów pojawiała się ciemna sylwetka, ożywiony cień orlego profilu Croppera. Za którymś razem jak zwykle roześmiał się i przeprosząc, dodał półzartem - starannie wyreżyserowanym - oto widzicie biografę, ruchomy cień, nie należy o nim zapominać wśród rzeczy, którymi się zajmuje. Właśnie w czasach Asha intuicja historyczna stała się godnym szacunku, ba, nawet niezbędnym obiektem intelektualnych rozważań. Historyk jest nierozzerwalną częścią swej historii, podobnie jak poeta jest częścią wiersza, a pozostający w cieniu biograf stanowi część życia opisywanej osoby...

W tym miejscu wykładu Cropper znów na krótko oświetlił samego siebie. Mówił z ostrożną prostotą:

- Oczywiście wszyscy mamy nadzieję - choć równocześnie obawiamy się tego - że jakieś ważne odkrycie potwierdzi, podważy albo przynajmniej zmieni sens pracy całego życia. Zaginiony dramat Szekspira. Przepałe dzieła Ajschylosa. Takiego odkrycia dokonano ostatnio na jakimś strychu, gdzie znaleziono w kufrze zbiór listów Wordswortha do żony. Dotychczas uczeni twierdzili, że jedyną miłością Wordswortha była jego siostra, i z pełnym przekonaniem określali jego żonę mianem osoby nudnej i nieważnej. I oto odkryto listy pełne namiętnej zmysłowości po obu stronach, pomimo tylu lat małżeństwa. Trzeba było przepisać historię i naukowcy znaleźli w tym skromną przyjemność.

Musicie państwo wiedzieć, że w dziedzinie, którą mam zaszczyt się zajmować - a jest nią twórczość Randolpha Henry'ego Asha - miało miejsce wydarzenie podobnej wagi. Została odkryta korespondencja pomiędzy nim a poetką Christabel LaMotte, korespondencja, która zelektryzuje - wstrząśnie - wszystkimi odnośnymi dziedzinami. Nie mogę tych listów zacytować, bo na razie widziałem tylko kilka. Mogę jedynie wyrazić nadzieję, że naukowcy wszystkich krajów uzyskają do nich swobodny dostęp, gdyż ich szeroka dostępność leży w interesie porozumienia między narodami oraz swobodnego przepływu idei i własności intelektualnej.

Finał wykładu Croppera był produktem jego pasji. Prawdę powiedziawszy, kochał barwne fotografie swoich zdobyczy prawie tak mocno jak same przedmioty. Myśląc o tabakierce Asha, nie czuł jej ciężaru, zimnego metalu, ogrzewanego ciepłem suchej dłoni, lecz widział pokryte emalią wieczko, powiększone na ekranie. Ashowi nigdy nie było dane oglądać takich złożonych rajskich ptaków, takich dorodnych winogron, takich pąsowych róż, choć za jego czasów wszystkie kolory były świeższe. Nigdy nie widział lśnienia perłowej obwódki, muskanej światłem Cropperowego rzutnika. Na końcu wykładu Cropper przedstawił hologram przedmiociuku, unoszący się w kościele jakby za sprawą cudownej lewitacji.

- Spójrzcie - mówił - oto muzeum przyszłości. Już teraz Rosjanie gromadzą w swoich muzeach nie rzeźby, nie ceramikę, nie kopie, wykonane z gipsu i włókna szklanego, lecz takie właśnie świetlne rekonstruk-

cje. Wszystko może być wszędzie, nasza kultura może być - jest - ogólnoswiatowa. Oryginały winno się przechowywać tam, gdzie jest najlepsze powietrze, gdzie nie uszkodzą ich ludzkie oddechy, jak to się stało z naskalnymi malowidłami w Lascaux, zniszczonymi przez tych, którzy przyszli je podziwiać. W dobie współczesnej technologii błąh fakt posiadania relikwów przeszłości przestaje być ważny. Ważne jest tylko, aby ludzie, którym powierzono opiekę nad tymi kruchymi, płowięjącymi przedmiotami, mieli odpowiednie kwalifikacje i środki; aby mogli przedłużać ich życie w nieskończoność i wysyłać w podróż dookoła świata ich wizerunki, świeże i wyraźne - niekiedy, jak państwo widzieli, wyraźniejsze niż sama rzeczywistość.

Kończąc wykład, Cropper jak zwykle wyjął duży złoty zegarek Asha i sprawdził na nim swój doskonale odmierzony czas: 50 minut 22 sekundy, tym razem. Zrezygnował już z naiwnego młodzieńczego zwyczaju chwalenia się nim publicznie, co zwykle okraszał małym dowcipem o ciągłości pomiędzy czasem Asha i czasem jego, Croppera. Chociaż zegarek kupił z własnych funduszy, można mu było wówczas zarzucić, iż sam sobie przeczy, wedle tego bowiem, co przed chwilą twierdził, przedmiot ten powinien spoczywać bezpiecznie w gablotach Kolekcji Stanta. Zastanawiał się kiedyś, czy nie zastąpić go hologramem, trzymanym w ręce - ręce właściciela. Spozrzegł jednak w porę, że uczucia, bardzo gwałtowne, jakie wiązały się dłoń z tym zegarkiem, mają charakter prywatny i nie dają się pogodzić z jego publicznymi apelami; wierzył, że zegarek trafił do niego - że było mu pisane - aby on, Cropper, posiadał i zatrzymał coś, co należało do R.H. Asha. Zegarek chodził na jego sercu, on zaś żałował, że nie jest poetą. Kiedy przyszła pora na pytania, położył go na brzegu katedry, aby zmierzyć czas swoich odpowiedzi, i pozwolił mu wesoło cykać, podczas gdy prasa zajęła się „Nieznanyim życiem płciowym wybitnych wiktorian”.

Tymczasem postanowił pójść tropem niejasnego wrażenia, jakoby w dokumentach jego przodkini, Priscilli Penn Cropper, znajdowała się wzmianka o Christabel LaMotte. Zadzwoił do Harmony City i poprosił, by przeszukano korespondencję P. P. Cropper, którą niegdyś rutynowo wprowadził do swego komputerowego archiwum. Nazajutrz otrzymał rezultat w postaci faksu następującej treści:

Droga Pani Cropper.

Poprzez dziki przestwór - krzyk mew i lód, rzucany falą Atlantyku - wyczuwam Pani życzliwe zainteresowanie moją osobą. Zaiste, równie dziwną jest rzeczą iż Pani na swej przyjemnie gorącej Pustyni słyszałaś o moich drobnych wysiłkach, jak to, że Telegraf przekazuje rozkaz Aresztowania lub polecenie sprzedaży Ludzi czy Towarów z jednego krańca Kontynentu na drugi. Żyjemy wszelako w epoce zmian - tak mi mówiono. Panna Judge, której wytworny Umysł przywykł do tchnienia Niewidzialnych Sił, wczoraj wieczór miała Przeczucie, iż Zasłona Ciała i Rozumu zostanie rozdarta - nie będzie już Wahań ni cichego stukania do Bram - i Cherubiny, Żywe Istoty, zstąpią na Ziemię w porozumieniu z nami. Dostrzega to, jak dostrzega Materię Faktu - światło księżycy i ognia w swym cichym pokoju, i kota, w błyskach elektryczności i promieniście nastroszonym futrze, wchodzącego do domu z Ogrodu.

Pisze Pani, że mówiono Ci, iż posiadam pewne zdolności mediumiczne. W istocie tak nie jest. Widzę i słyszę tylko niewiele z tego, co tak zachwyca i przyjemnie wyczerpuje wrażliwy Mechanizm pani Lees. Widziałam, jak czyniła Cuda. Słyszałam instrumenty strunowe - rozproszone w Powietrzu - dźwięczące to tu, to tam, we wszystkich miejscach naraz. Widziałam głowy duchów ogromnej piękności i czułam, jak grzeją mego Ducha, po czym topnieją, ulatniając się w moich objęciach. Widziałam panią Lees w gwiazdnej koronie, prawdzi-

wą *Persefonę, światło w Ciemnościach. Widziałam również, jak kostka fiołkowego mydła wzniosła się spiralą nad naszymi głowami niby gniewny Ptak, i słyszałam, jak wydobył się z niej dziwny Pomruk. Lecz ja nie mam Zdolności - to nie jest zdolność - nie Przyciągam, nie Magnetyzuję żadnych zaginionych Istot - nie przychodzą - choć pani Lees mówi, że przyjdą, a ja mam Wiare.*

Posiadam jednak moc widzenia. Widzę Istoty - ożywione i nie - lub Zawile Sceny - próbowałam Kuli Kryształowej, jak również Atramentu rozlanego w Misce - i w nich widziałam takie oto rzeczy: szyjącą Kobieta z odwróconą twarzą, wielką Złotą Rybkę, której łuski można było przeliczyć, Zegar z pozłacanego brązu, którego Namacalną Obecność ujrzałam parę tygodni później na półce u starszej pani Nassau - a także dławiącą masę Piór. Widzenie zaczyna się od punktów świetlnych, które mętnieją, zagęszczają się - i stają się obecne, jakby konkretne.

Pytasz o moją Wiare. Nie wiem. Prawdziwą Wiare poznaję, gdy ją spotkam, podobnie jak George Herbert, który co dzień rozmawiał ze Stwórcą - besztając go, być może za surowość:

O, jakże mogłeś obdarzyć językiem

*Proch, aby wzywał Pana. A potem go nie słyszeć!**

** George Herbert, „Odrącenie”, przeł. Stanisław Barańczak (przyp. tłum.).*

Lecz w swoim wierszu „Wiara” mówi on - o Grobie i tym, co poza nim - z wielką ufnością:

Cóż to, że ciało w proszek się przemieni? Wiara doń przylgnie, każdą cząstkę zliczy, Ścisłe szczególnie depozyt oceni I gdy czas przyjdzie, ciało go użyczy.

Jakież to ciała, jaką cielesną naturę mają ci, którzy tłoczą się u naszych okien i zestalają się w gęstym powietrzu? Czy są to ciała Zmartwychwstałe? Czy też, jak sądzi Olivia Judge, manifestują się, chwilowo zapożyczając Materię i Energię Kinetyczną od niezłomnego medium? Cóż obejmujemy, pani Cropper, gdy jest nam dana niewymowna Łaska ponownego Objęcia? Orient i ziarno nieśmiertelne, niepodlegające zepsuciu - czy symulakra naśladowujące nasze Grzeszne Ciała?*

** Aluzja do metafizycznego traktatu prozą „Centuries of Meditation” [Stulecia medytacji], autorstwa angielskiego poety i duchownego Thomasa Traherne'a (1637-1674) (przyp. tłum.).*

Pył opada z nas co dnia - nasz własny pył - żyje chwilę w powietrzu i jest Deptany. Zmiotamy na bok części Nas Samych - czy więc wszystkie te joty i omikrony złączą się kiedyś? O, co dzień umieramy - a Tam - czy wszystko jest zebrane i policzone, by przywrócić pustym skorupom kwitnącą świetność?

Kwiaty rozkwitły - rozkwitły Zapachem na naszych Stołach - wilgotne są od rosy, pochodzącej z tego świata - czy Tamtego? Jednak - więdną i umierają, jak wszystkie inne. Mam Wieniec, teraz już brązowy, białych pąków róży - czy Tam znów zakwitnie?

I wreszcie zapytam Panią, jeśliś mądra, dlaczego ci, którzy przychodzą stamtąd - stamtąd, z zaświatów - owe zjawy, duchy, Ukochane Osoby - dlaczego zwracają się do nas w sposób tak niezmiennie i osobliwie pogodny? Albowiem uczy się nas, że postęp jest wieczny - że doskonałość osiąga się stopniowo, a natychmiastowa

Błogość nie istnieje. Dlaczego zatem nie słyszymy głosów Słusznie Gniewnych? Jesteśmy winni wobec nich, jesteśmy winni Zdrady - a więc, czy nie powinny Karcić i być Straszne - dla naszego dobra?

Jakież to ograniczenie Ciała lub obyczaju każe im - muszę zapytać, pani Cropper - przejawiać wciąż tę samą słodycz Sacharyny? Czy w naszej smutnej Epoce nie istnieje już zdrowy Gniew, boski albo ludzki? Co do mnie, dziwne, ale nade wszystko pragnę usłyszeć nie zapewnienia o Pokoju i Świętości - lecz prawdziwie Ludzki Głos - krzywd - żalości i Bólu, który mogłabym dzielić - gdyby to być mogło - który dzielić powinnam, jak dzieliłam Wszystko - z tymi, których kochałam tu, na ziemi...

Ale rozwodzę się, być może niezrozumiale. Mam jedno Pragnienie. Nie powiem Pani, jakie ono jest, nie ustąpię i nie wyznam go nikomu, dopóki nie poznam jego Substancji.

Okruch, pani Cropper, żywego prochu w mojej dłoni. Jeden okruc. Dotychczas mi odmówiony...

Przyjazna Pani w myślach C. LaMotte

Zdaniem Croppera list ten nosił wyraźne znamiona zaburzeń umysłowych. Odłożył jednak na bok jego interpretację; czuł dreszcz czystej radości polowania. Był na tropie. Właśnie w domu panny Olivii Judge, na seansie pani Lees, Randolph Henry Ash dokonał tego, co w liście do Ruskina nazwał kiedyś „swym wybrykiem w Gazie”*, które to określenie znane było w kręgach naukowych od chwili, gdy Cropper zatytułował w ten sposób jeden z rozdziałów „Wielkiego brzuchomówcy”. W istocie wspomniany list zawierał jedyną wzmiankę o zajściu, które zapewne dało początek wierszowi „Posięście mumii”. Cropper zdjął z półki swój egzemplarz „Wielkiego brzuchomówcy” i odszukał odnośny fragment.

Moim zdaniem, nie powinienes pozwalać, by nabierały Cię te wszystkie wampiry i strzygi, dla których nasze najświętsze nadzieje i obawy są tylko igraszką. Czasem pragną po prostu wnieść ożywczy dreszczyk w codzienną nudę, czasem chcą, by tak rzec, komponować, dyrygować i orkiestrować bezbronne uczucia osieroconych i zrozpaczonych ludzi. Nie zaprzeczam, że w takich razach mogą manifestować się rzeczy ludzkie i nieludzkie - psotne skrzaty chodzą, tupią i trzęsą kałamarzem - toteż pogrążeni w ciemnościach kobiety i mężczyźni mogą halucynować - jak dobrze wiadomo, zdarza się to chorym i rannym. My wszyscy, drogi przyjacielu, mamy nieskończoną wręcz zdolność poddawania się ułudzie pragnienia, słyszenia tego, co chcemy usłyszeć, widzenia kształtów, które nasze oczy bezustannie widzą jako utracone. To prawie uniwersalne ludzkie uczucie i łatwo na nim grać, jest bowiem chwiejne i bardzo wrażliwe.

* Por. Ks. Sędziów 16.30 (przyp. tłum.).

Tydzień temu byłem na seansie, gdzie dałem powody do wielkiego niezadowolenia - próbowano wręcz syczeć i drapać - chwytając unoszący się w powietrzu wieniec, z którego krople padały na me czoło. Odkryłem wówczas, że trzymam w dłoni rękę medium, niejkiej pani Helli Lees, która - kiedy nie przenosi się w inne światy - jest dość posępnym typem rzymskiej matrony o bladej twarzy i mocno podkrążonych, czarnych, wodnistych oczach, która jednak potrafi wyci się, wyci i walić rękami, gdy dopadną ją duchy, co znacznie ułatwia jej wyrwanie kilku palców z ostrożnych dłoni sąsiadów. Siedzieliśmy w ciemności - światło księżyca zza firanek, żar dogasającego ognia w kominku - patrząc na to, co zwykle - ręce (o przegubach okrytych powiewną muśli-

nową draperią) pojawiały się zza przeciwległej krawędzi stołu, z powietrza sypały się cieplarniane kwiaty, fotel, szurając, wysuwał się z kąta, coś cielesnego i niewątpliwie ciepłego macało nas po kolanach i kostkach. Oraz, wyobraź sobie, wiatr we włosach i pływające, fosforyzujące punkty.

Jestem bez reszty przekonany, że wszyscy padamy ofiarą praktyk - nie powiem zwykłego oszusta - lecz kogoś, kto z takich praktyk uczynił sposób na życie. Wyciągnąłem zatem rękę, wyłowilem i *szarpnąłem*, i oto z istnym grzmotem runął cały domek z kart - przynajmniej w moim mniemaniu - na podłogę posypały się po-grzebaczce, załomotały książki i nogi stołowe, kakofonią jęków rozbrzmiały ukryte akordeony, zadźwięczał dzwonek ręczny - a wszystko to, *bez najmniejszej wątpliwości* połączone z osobą pani Lees pajęczyną niewidzialnych nici. Od tamtej pory często ubliżano mi z powodu owego „wybryku w Gazie” i wręcz zarzucano mentalne niszczytelstwo materii duchowej i wrażliwych dusz. Toteż wśród całej tej powiewnej gazy, grzmiących cymbałów i delikatnych perfum poczułem się jak słoń w składzie porcelany.

Jednak - nawet jeżeli *tak jest* - jeżeli naprawdę można przywołać duchy, które odeszły - cóż dobrego nam z tego przyjdzie? Czy pisane jest nam spędzać nasze dni wpatrując się w krawędź cienia? Wiele mówi się o przeżyciu Soni Cotterell, która podobno przez cały kwadrans trzymała na kolanach swoje zmarłe dziecko, podczas gdy jego rączki głaskały policzki ojca. Jeżeli to oszustwo, owo granie na uczuciach zdruzgotanej matki jest prawdziwie występne. Lecz jeżeli nie - jeżeli miękki ciężar na kolanie to nie goblin ani produkt wyobraźni - czy mimo to nie wzdrygamy się z obrzydzeniem na widok frenetycznej działalności w mroku...?

Tak czy inaczej, tu było oszustwo...

Cropper myślał szybko. A jeżeli LaMotte, która podobno mieszkała w domu Olivii Judge, była obecna przy „wybryku w Gazie”? Relację z tego seansu podawała także pani Lees w tomie autobiograficznych wspomnień „Brama cieni”, choć jak zwykle zataiła nazwiska klientów i otrzymane przez nich przekazy o charakterze prywatnym. W seansie uczestniczyło dwanaście osób, z których trzy oddaliły się później do innego pokoju, aby wysłuchać bardziej szczegółowych wiadomości, co zaleciły duchy opiekuńcze za pośrednictwem pani Lees. Ponadto z korespondencji Priscilli Cropper wynikało niezbitcie, że Olivia Judge, aktywnie popierająca wiele słusznych spraw, gościła w owym czasie w swym domu w Twickenham grupę poszukiwaczek oświecenia. Priscilla Cropper regularnie komunikowała się z panią Judge, która systematycznie przysyłała jej relacje z cudów, jakich dokonywała pani Lees, jak również z postępów prac na rzecz innych celów: duchowego uzdrawiania, doktryny Fouriera, emancypacji kobiet oraz zakazu sprzedaży napojów wysokowych.

Grupa z Twickenham stała się znana jako Westalki Światła; zdaniem Croppera nie było to oficjalne określenie, lecz pieszczotliwa nazwa, jakiej członkinie używały między sobą. Możliwe, że Christabel LaMotte przyłączyła się do Westalek Światła. Cropper nadrabiał teraz nieznaną biografię LaMotte, w czym bardzo mu przeszkadzał brak dostępu do dokumentów w Lincoln i niemożność odczytania lacanowskich zagadek, w jakie uwikłane były feministyczne spekulacje na jej temat. Na tym etapie nie był jeszcze świadomy zagubionego roku w życiu Christabel, nic także nie wiedział o okolicznościach śmierci Blanche Glover. Udał się do Biblioteki Londyńskiej, gdzie na samej górze znajduje się znakomicie wyposażony regał pism spirytystycznych, i poprosił o „Bramę cieni”, aby się dowiedzieć, że właśnie wypożyczył ją inny czytelnik. Spróbował w Bibliotece Brytyjskiej, która poinformowała go uprzejmym pismem, że jedyny egzemplarz został zniszczony przez działania nieprzyjaciela. Posłał więc do Harmony City po mikrofilm i zaczął czekać.

James Blackadder, pozbawiony rozmachu Croppera, zmuszony przedzierał się przez „Bramę cieni”, wy pożyczoną z Biblioteki Londyńskiej. On także zaczął od zupełnej ignorancji w kwestii poruszeń Christabel LaMotte, brakowało mu także wiedzy Croppera na temat związku, jaki w 1861 roku istniał między LaMotte i Hellą Lees. Ale za to wychwycił wcześniejszą wzmiankę o pani Lees w liście, którym sir George próbował go zaintrygować, i obecnie czytał po raz kolejny wszystko, co dotyczyło twórczości i życia Asha w kluczowych miesiącach roku 1859. Przeczytał artykuł o *Actiniae*, ukwiałach morskich, który niezbyt go oświecił, i zwrócił uwagę na całkowity brak informacji o Ashu z początków 1860 roku. Przeczytał ponownie „Posięście mumii”, dzieło, które zawsze uważał za odbiegające od normy z racji wrogiego stosunku autora do bohaterki i tym samym do wszystkich kobiet. Następnie zadał sobie pytanie, czy ten dotychczas niewyjaśniony wybuch goryczy mógł mieć związek z uczuciem poety do Christabel LaMotte. Albo, rzecz jasna, do żony.

„Brama cieni” miała ciemnofioletową okładkę, złożone kartki i wytłoczony na oprawie kontur złotego gołębia, który wyłaniał się z czarnej przestrzeni w kształcie dziurki od klucza, niosąc w dziobie gałązkę wawrzynu. Na frontispisie, przyklejona w obramowaniu portugalskich łuków, widniała owalna fotografia medium. Przedstawiała siedzącą przy stole kobietę ze złożonymi na podołku upierścienionymi dłońmi, w ciemnej spódnicy i bluzce wyszywanej koralikami, ubraną w liczne gagatowe naszyjniki i żałobny, ciężki medalion. Włosy zwisające wokół twarzy były ciemne i lśniące, nos - orli, usta - duże. Pod ciężkimi, czarnymi brwiami lśniły oczy, głęboko osadzone i - jak powiedział Ash - podkrążone. Była to mocna twarz, grubokoścista i mięsista zarazem.

Blackadder przerzucił wstępne informacje. Pani Lees pochodziła z Yorkshire, z rodziny o kwakerskich koligacjach, i w młodości dość często „widywała” szarych obcych na mityngach kwaków; zazwyczaj jednak dostrzegała tylko smugi i obłoki odylicznego światła*, opływające głowy i ramiona starszyny.

* Od - termin ukuty przez barona Karla von Reichenbacha (1788-1869), oznaczający hipotetyczną, wszechprzenikającą siłę, przejawiającą się w zjawiskach, takich jak magnetyzm, mesmeryzm, reakcje chemiczne, itp. (przyp. tłum.).

W wieku lat dwunastu, podczas odwiedzin w szpitalu dla żebraków, zauważyła gęste obłoki gołębio-szarej i purpurowej poświaty, unoszące się nad postaciami chorych, na podstawie czego dokładnie przewidziała, kto będzie żył, a kto umrze. Na jednym z mityngów wpadła w trans i wygłosiła orację w języku hebrajskim, którego w ogóle nie знаła. Wywoływała przeciągi w zamkniętych pomieszczeniach; ujrzała swą zmarłą babkę, siedzącą w nogach jej łóżka z uśmiechem i śpiewem na ustach. Następnie przyszły stukania, przesuwania stołów i pisemne przekazy na tabliczkach, potem zaś kariera prywatnego medium. Odniosła również pewien sukces, występując publicznie jako przekazicielka Dyskursów Spirytystycznych, dyktowanych jej przez opiekuńcze duchy, wśród których czołowe miejsce zajmowała indiańska dziewczynka o imieniu Cherry (pieszczotliwe zdrobnienie od Czirokezki) i zmarły szkocki profesor chemii, niejaki William Morton, który ciężko się napracował, nim odrzuciwszy resztki duchowego sceptycyzmu pojął, że jego prawdziwa natura i posłannictwo polegają na niesieniu pomocy i oświaty śmiertelnikom wciąż jeszcze obdarzonym ciałem. Niektóre z tych dyskursów, jak na przykład „Duchowość i materializm”, „Zjawiska fizyczne a światło spektralne” czy „Stojąc na pro-

gu", zostały umieszczone na końcu księgi wspomnień. Mimo pozornie różnych tematów wywody te były w pewien sposób takie same - być może wskutek transu - co miało związek z „ową protoplazmą ludzkiej mowy, nasyconą łagodną, kosmiczną emocją”, którą Podmore odkrył w „śmiertelnie równym” stylu innego natchnionego mówcy*.

* Mowa o biografii Roberta Owena pióra F. Podmore'a (przyp. tłum.).

Asha „wybryk w Gazie” rozbudził w niej niezwykle w swym natężeniu, nieznający wybaczenia gniew.

Słyszysz się czasem, jak prymitywna osoba mówi: „Duchy nie potrafią działać w mojej obecności”. Bardzo być może - w rzeczy samej, bardzo być może! Lecz nie ma się czym chwalić. Jeśli to prawda, to jest ona niemal hańbiąca. Fakt, że istota ludzka może być nosicielem przekonania tak silnego, sceptycyzmu tak potężnego, że pokonuje on wpływy bezcielesnego umysłu, na pewno nie jest tytułem do chwały. Pozytywistyczny umysł, wchodzący podczas seansu w krąg badaczy spirytyzmu, przypomina niepożądany promień światła w ciemni fotograficznej. Z równym skutkiem można wyjmować z ziemi zasiane ziarno, aby sprawdzić, czy rośnie, lub w inny sposób brutalnie ingerować w procesy naturalne!

Pozytywistyczny umysł może zasadnie zapytać: „Dlaczego duchy nie mogą ukazywać się w świetle dnia, a jedynie w ciemnościach?”. Profesor Morton odpowiada, że widać przecież, ile procesów naturalnych zależy od fluktuacji światła i ciemności. Bez światła słonecznego liście roślin nie produkują tlenu, natomiast profesor Draper wykazał ostatnio, że zdolność kolejnych promieni do rozkładania węgla zależy od ich względnego położenia w widmie i jest następująca: żółty, zielony, pomarańczowy, czerwony, niebieski, indygo, fiolet. Otóż duchy nieodmiennie wskazują, że materializacja dokonuje się najskuteczniej w promieniach najbliższych niebieskiego i fioletowego końca widma. Gdybyśmy mogli oświetlić seans fioletowym światłem z pryzmatu, zobaczylibyśmy nie lada cuda! Odkryłam, że nawet niewielka ilość światła w kolorze indygo, pochodzącego z lampy, przykrytej grubym szkłem, daje naszym duchowym przyjaciołom niezwykłą swobodę i sprawia, że mogą nam przynosić dary w postaci stałej lub czasowo tworzyć ulotne kształty z substancji medium bądź z gazów i ciał stałych obecnych w pokoju. Nie umieją działać w ostrym świetle, czego dowodzą doświadczenia minionych wieków. Czyż duchy nie pojawiają się zawsze o zmierzchu? Czyż rasy celtyckie nie spotykają posłańców z krainy zmarłych w miesiącu, który nazywają Czarnym?

Otóż sceptyczny umysł często wnosi ze sobą obłok odylicznego światła w nieprzyjemnym czerwonym lub żółtym kolorze, płomiennym i gniewnym, dostrzeganym przez medium i inne wrażliwe osoby. Bądź też osoba ta, jak lodowate palce Jacka Mroza* promieniuje chłodem, który przenika atmosferę i nie pozwala skupić się aurze ani materii duchowej. Mrozącą obecność takiej osoby odczuwam w płucach, jeszcze zanim uświadomi ją sobie naskórek. Wszelka akcja eksosmotyczna zamiera, wskutek czego nie powstaje atmosfera, z której duch mógłby wytwarzać swe manifestacje.

Być może najstraszliwszym przykładem skutków, jakie sceptyczna obecność wywiera na subtelny przebieg komunikacji duchowej, są zniszczenia, wywołane egoistycznym zachowaniem poety Randolpha Henry'ego Asha na seansie, który przeprowadziłam w domu panny Olivii Judge w czasach, gdy owa grupa cudownie wrażliwych kobiet, Westalek Światła, zbierała się pod jej dachem w celu wytrwałego badania duchowej Praw-

dy. Panna Judge posiada w Twickenham piękny dom nad rzeką Cisowy Dwór, gdzie miało miejsce wiele niezwykłych zdarzeń, wiele zebrań żywych i umarłych, gdzie pojawiało się wiele znaków, dźwięków i wypowiedzi w najwyższym stopniu pocieszających. Nadziemskie pierwiastki wody igrają na jej trawniku, ich śmiech rozlega się o zmierzchu pod jej oknami. Do jej gości zaliczają się wybitni mężczyźni i kobiety: lord Lytton, pan Trollope, lord i lady Cotterell, panna Christabel LaMotte, dr Carpenter, pani de Morgan, pani Nassau starsza**.

* Jacek Mróz - oryg. Jack Frost, naprawdę Wańka Moroz, postać z rosyjskiej bajki dla dzieci (przyp. tłum.).

** Edward George earl Lytton Bulwer (1803-1873), niebywale płodny pisarz angielski, autor licznych powieści, satyr i pamfletów; Anthony Trollope (1815-1882) - wybitny powieściopisarz, ukazujący w swych książkach barwny obraz życia prowincji angielskiej, autor „Rodziny Palliserów”; lady Sydney de Morgan, ur. Sydney Owenson (1783-1859) - pisarka książek o tematyce irlandzkiej (przyp. tłum.).

W czasie, o którym mowa, prowadziłyśmy z naszymi duchowymi przyjaciółmi i opiekunami głęboko pouczające rozmowy i wiele tajemnic stało się naszym udziałem. Ktoś, bodajże lord Lytton, dał mi znać, że pan Ash bardzo pragnie wziąć udział w seansie. Gdy zaczęłam się wymawiać - niedobrze jest rozbijać krąg, który dobrze razem pracuje - powiedziano mi, że pan Ash niedawno poniósł osobistą stratę i jest w wielkiej potrzebie duchowego wsparcia i pocieszenia. Nadał się wahałam, lecz proszono mnie tak usilnie, że ustąpiłam. Pan Ash postawił warunek, by nikt nie dowiedział się wcześniej, kim jest ani po co przychodzi, gdyż, jak mówił, nie chciał zakłócić naturalności zebrania. Zgodziłam się na to.

Nie sądzę, by przesadnym było stwierdzenie, że w chwili, gdy pan Ash wkroczył do salonu panny Judge, poczułam na twarzy wręcz uderzenie sceptycznego zimna, w gardle zaś stanęła mi dławiąca mgła. Panna Judge zapytała, czy dobrze się czuję, na co odparłam, że chyba chwyta mnie przeziębienie. Pan Ash nerwowo potrząsnął moją ręką i jego elektryczne dotknięcie objawiło mi paradoksalną prawdę - pod ściętym lodem jego sceptycyzmu płonąła duchowa siła i wrażliwość niezwyklej mocy. Zwrócił się do mnie żartobliwie: „To pani właśnie wywołujesz duchy z bezdennej otchłani?”, ja zaś odpowiedziałam: „Nie powinienesz pan drwić. Nie mam mocy przywoływania duchów, jestem ich narzędziem; przeze mnie mówią lub nie, wtedy, kiedy chcą, nie wtedy, kiedy ja chcę”. „Przeze mnie też mówią - powiedział wówczas - lecz za pośrednictwem języka”.

Rozejrzał się nerwowo, nie odzywając się do nikogo z reszty towarzystwa, składającego się oprócz mnie z siedmiu pań i czterech panów. Z Westalek Światła wszystkie były obecne, podobnie jak na poprzednich spotkaniach, a mianowicie: panna Judge, panna Neve, panna LaMotte i pani Furry.

Zasiedliśmy wokół stołu w prawie całkowitej ciemności, jak mieliśmy we zwyczaju. Pan Ash nie siedział obok mnie, lecz po prawej ręce mojego sąsiada. Jak zwykle spleśliśmy dłonie. Nadał czułam lodowaty ciężar w płucach i gardle, aż panna Judge zapytała, czym nie chora. Powiedziałam, że gotowa jestem spróbować, jeżeli tylko nasi przyjaciele zechcą mówić, lecz obawiam się, że nie, atmosfera bowiem jest niegościnna. Po jakimś czasie poczułam, że po nogach pełźnie mi straszliwe zimno, i całe moje ciało zaczęło silnie drżeć. Mdłości i zawroty głowy często poprzedzają transy, lecz ten, w który teraz zapadłam, poprzedzał niemal przedśmiertny dygot; pan Ritter, który siedział po prawej, zwrócił uwagę, że moje biedne ręce są zimne jak kamień.

Nie jestem świadoma dalszych wydarzeń owego seansu, lecz panna Judge prowadziła notatki, które przytaczam *verbatim*:

Pani Lees zatrzęsła się cała i schrypniętym głosem zawołała: „Nie zmuszaj mnie”. Zapytaliśmy, czy to Cherry, lecz odpowiedź brzmiała: „Nie, nie, ona nie przyjdzie”. Zapytaliśmy znów, kto to jest; odpowiedział nam ohydny śmiech i słowo „Niktato”. Panna Neve zauważyła, że niedojrzałe duchy zapewne płatają nam figle. Nastąpiły gwałtowne trzaski i stuki, po czym kilka z nas poczuło, jak dłonie duchów unoszą nam spódnice i głaszczą po kolanach. Pani Furry zapytała, czy obecna jest Adeline, jej zmarła córeczka. Ohydny głos wrzasnął: „Nie ma tu żadnego dziecka”, po czym dodał: „Ciekawość pierwszy stopień do piekła” i inne głupie wyrażenia. Duża książka, leżąca na stoliku obok pani Lees, przeleciała ze śmiechem przez pokój.

Panna Neve powiedziała, że być może w pokoju obecna jest wrogo nastawiona osoba. Inna dama, która nigdy przedtem nie przejawiała mediumicznych zdolności, zaczęła lkać i śmiać się na przemian, wołając po niemiecku: „Ich bin der Geist der stets verneint!”. Przez panią Lees przemówił głos, proszący: „Pamiętaj o kamieniach”. Ktoś krzyknął: „Gdzie jesteś?”, i w odpowiedzi wszyscy usłyszeliśmy cudownie wyraźny odgłos płynącej wody i szumiących fal. Zapytałam, czy jest obecny jakiś duch, który szczególnie pragnie przemówić do kogoś spośród zebranych. Odpowiedź uzyskana za pośrednictwem pani Lees brzmiała, że owszem, jest taki duch, który z wielkim trudem się ujawnia, lecz być może przemówi, jeżeli ten, kto czuje się adresatem, przejdzie wraz z medium do wewnętrznego pokoju. Jeszcze gdy mówiła, odezwał się słodki głos: „Przynoszę dary pojednania”, i ujrzelśmy białą dłoń, unoszącą się nad stołem i trzymającą cudowny biały wieniec, wciąż mokry od świeżej rosy i otoczony koroną srebrzystych świateł. Medium uniosło się z wolna, by podążyć do wewnętrznego pokoju, a za nią dwie panie, bardzo przejęte, wręcz we łzach, kiedy nagle pan Ash zakrzyknął: „Och, nie uciekniesz mi!”, i jął chwytać powietrze, wołając: „Światło! Światło!”. Medium osunęło się w omdleniu, a jedna z dam padła na krzesło i po zapaleniu świateł okazało się, iż leży bez przytomności. Pan Ash ścisnął medium za przegub dłoni, która, jak twierdził, niosła wieniec, choć niepodobna pojąć, jak to być mogło, zważywszy, gdzie upadł wieniec i gdzie znajdowało się medium oraz ów „dzentelmen”.*

* *Ich bin...* (niem.) - Jestem duchem wiecznego sprzeciwu! - Johann Wolfgang Goethe, „Faust”, cz. I., przeł. Bernard Antochewicz (przyp. tłum.).

I oto doświadczyliśmy chaosu i znacznego niebezpieczeństwa, wszystko wskutek nieprzemyślanego i destrukcyjnego działania pana Asha. Dwa delikatne ustroje - mój oraz owej damy, która w tych rozpaczliwych okolicznościach przeżyła pierwszy trans - uległy zaburzeniu. Poeta zaś wydawał się całkiem nieświadomy krzywdy, jaką mógł wyrządzić bezcielesnej duszy, usiłującej bohatercko i z wysiłkiem zmaterializować się w nowej, doświadczalnej postaci. Panna Judge zanotowała, że ja sama leżałam z twarzą zimną i siną jęcząc głucho. Tymczasem pan Ash pogorszył jeszcze sytuację, puszczał mój przegub i rzucając się ku drugiej damie pomimo naglających zapewnień pozostałych Westalek Światła, że niebezpiecznie jest budzić lub przestraszyć osobę w transie. Mówiono mi, że nie panując nad sobą wołał przy tym gorączkowo: „Gdzie jest dziecko? Powiedz mi, co zrobili z dzieckiem?”. Sądziłam wówczas, że pan Ash pyta o ducha własnego zmarłego dziecka,

lecz powiedziano mi, że tak być nie mogło, pan Ash bowiem jest bezdzielny. W owym momencie moimi ustami odezwał się głos, pytający: „Czyje były kamienie?”.

Stan drugiej damy bardzo się pogorszył, zbladła, jej oddech stał się nieregularny, a puls słaby i płytki. Panna Judge prosiła, aby pan Ash wyszedł, lecz on odmówił, utrzymując, że domaga się odpowiedzi i że go „haniebnie potraktowano”. W tej chwili ocknąłam się i ujrzałam go; wyglądał okropnie, zupełnie nad sobą nie panował, na czole nabrzmiały mu żyły, a na twarzy malowała się wściekłość. Wokół niego kłębiła się ognista masa ciemnoczerwonych, świetlistych promieni, kipiąca od wrogich energii.

W owej chwili wydał mi się demonem, więc słabym głosem poprosiłam, aby go wyproszone. Równocześnie dwie Westalki Światła wyniosły nieprzytomne ciało naszej przyjaciółki do drugiego pokoju. Dama ta nie odzyskała przytomności przez całe dwa dni, a kiedy wreszcie przyszła do siebie, nie była w stanie mówić i niechętnie jadła i piła, tak wielki był wstrząs, jaki w jej delikatnej konstrukcji wywołały owe straszliwe wypadki.

Niemniej jednak pan Ash jął powiadamiać rozmaite osoby, że został *bezsposornie* „oszukany” podczas seansu, przy czym przedstawiał siebie jako bezstronnego obserwatora. Jak dalece nim nie był, jak dalece, świadczy, mam nadzieję, relacja panny Judge oraz moja własna. Kiedy później napisał swój zręcznie aluzyjny poemat „Posięście mumii”, został przez szeroką opinię uznany za rycerza rozumu walczącego z niegodziwością. Szczęśliwi są ci, których prześladowano za prawdę - chyba tak musimy powiedzieć - lecz nie ma ciosu trudniejszego do zniesienia niż złośliwość za plecami, zrodzona zapewne z bezsilnego rozczarowania, albowiem całe zachowanie pana Asha świadczyło o tym, że jest on poszukującym, któremu własny pozytywizm udaremnił otrzymanie wiadomości, jaką w przeciwnym razie byłby usłyszał.

Co zaś się tyczy mego bólu i cierpienia drugiej damy - ani myśli, ani cienia współczucia!

Blackadder napisał do wszystkich publicznych ciał i instytucji, jakie tylko przyszły mu do głowy, mogących mieć coś wspólnego z korespondencją Ash - LaMotte. Usiłował wpłynąć na opiniodawczy Komitet do Spraw Eksportu Dzieł Sztuki i zażądał rozmowy z ministrem kultury, co dało skutek w postaci dialogu z agresywnym i niezbyt uprzejmym urzędnikiem, który oznajmił, że minister jest w pełni świadom wagi odkrycia, nie sądzi jednakże, by próba wpłynięcia na siły rynkowe była w tym wypadku uzasadniona. Być może uda się wyasygnować na ten cel jakąś małą kwotę z Zarządu Ochrony Dziedzictwa Narodowego. Ponadto uważa się, że profesor Blackadder mógłby podjąć próbę uzyskania potrzebnej sumy od prywatnego sponsora lub poprzez zbiórkę publiczną. Jeżeli zatrzymanie tych starych listów w kraju istotnie leży w interesie narodowym - zdawał się mówić ów lekko opryskliwy młody człowiek o lisim uśmiechu - to siły rynkowe sprawią, iż uda się im pozostać w kraju bez sztucznej pomocy państwa. Odprowadzając Blackaddera do windy przez korytarze, woniejące brukselką i gąbką do tablic niczym dawno zapomniane szkoły, dodał jeszcze, że musiał przerabiać Randolpha Henry'ego Asha do matury i nie mógł się doszukać w nim sensu.

- Ci wiktoriańscy poeci okropnie się nad wszystkim rozwodzili, nie sądzi pan, strasznie poważnie siebie traktowali? - pytał, naciskając guzik windy, by wezwać ją z głębin. Kiedy, skrzypiąc, ruszyła do góry, Blackadder odpowiedział:

- Człowiek może robić gorsze rzeczy niż brać siebie poważnie.

- Ale to takie nadęte, nieprawdaż? - odparł młody człowiek gładko i niewzruszenie, zamykając profesora w klatce windy.

Blackadder, zagłębiając się w „Posięściu mumii” i wspomnieniach Helli Lees, doznał ponurego uczucia, że Siły Rynkowe są równie dzikie i nieprzewidywalne jak owe odyliczne prądy i niewidzialne wiatry, których działanie przerwał Ash swym „wybrykiem”. Czuł również, że Mortimer Cropper ma bezpośredni kontakt z Siłami Rynkowymi znacznie potężniejszymi niż te, które są dostępne jemu samemu w niższych regionach muzeum. Słyszał już o wykładzie-kazaniu, podczas którego Cropper je przywoływał.

Przygnębiony rozmyślał nad następnym posunięciem, gdy zadzwoniła do niego Shyshila Patel, dziennikarka z telewizji, która od czasu do czasu miała swoje pięć minut o sztuce w programie „Śladem wydarzeń”, nadawanym późnym wieczorem i poświęconym analizie aktualności. Pani Patel uwzięła się na Croppera, jako reprezentanta kapitalizmu i imperializmu kulturowego, zaczęła więc rozpytywać wśród znajomych i wreszcie powiedziano jej, że właściwym ekspertem dla jej programu jest Blackadder.

Z początku Blackadder rozgorzał cichym entuzjazmem na myśl, że będzie miał po swojej stronie potęgę telewizji. Nie należał do telewizyjnych profesorów, nigdy nie pisał recenzji dla czasopism innych niż naukowe, nigdy nie występował w radiu. Przygotował cały plik notatek, jak do referatu na konferencję - o Ashu, o La-Motte, o skarbach sztuki narodowej, o skutkach, jakie odkrycie listów będzie miało dla błędnej interpretacji, przedstawionej w „Wielkim brzuchomówcy”. Nie przyszło mu do głowy, by zapytać, czy Cropper pojawi się osobiście; wyobrażał sobie tę audycję jako coś w rodzaju wykładu w konserwie. Jednak gdy termin zaczął się zbliżać, poczuł dreszcz obawy. Jął oglądać telewizję, gdzie ujrzał polityków, chirurgów, pianistów i policjantów, których wypowiedzi bezustannie przerywali wrogo nastawieni dziennikarze, wymowni i surowi. Spocony budził się z koszmarów, w których znów musiał zdawać egzaminy końcowe i bez ostrzeżenia pisać prace na temat literatury Wspólnoty Brytyjskiej i postderridiańskich* strategii nieinterpretacji, lub też odpowiadać na błyskawiczne serie pytań o to, co Randolph Ash sądził o obniżce stawek ubezpieczeń społecznych, rozruchach w Brixton lub dziurze ozonowej.

* Jacques Derrida - współczesny teoretyk literatury, twórca dekonstrukcjonizmu (przyp. tłum.).

Przysłali po niego samochód, mercedesa z kierowcą o patrycjuszowskim akcencie, który wyraźnie się obawiał, że wyświechtany prochowiec Blackaddera pobrudzi mu tapicerkę. Blackadder nie był więc przygotowany na labirynt zakurzonych komórek, pełen zdenerwowanych młodych kobiet, w jakim znalazł się po przybyciu. Siedział ogłupiały w pluszowym dołku kanapy z lat pięćdziesiątych i ściskając w ręce oksfordzkie wydanie Asha, gapił się na automat z zimną wodą. Dano mu kubek wstrętnej herbaty i kazano czekać na panią Patel, która zjawiała się wreszcie z naręczem żółtego papieru i usiadła obok niego. Była bardzo piękna; miała czarne włosy upięte w skomplikowany węzeł i długą szyję, ozdobioną filigranowym naszyjnikiem ze srebra i turkusów. Jej zielononiebieskie sari mieniło się srebrnymi kwiatami, pachniała trochę egzotycznie, drzewem sandałowym? cynamonem? Uśmiechnęła się do Blackaddera, sprawiając, że przez chwilę poczuł się mile widziany, upragniony. Następnie jednak wyciągnęła notatnik i zapytała rzeczowo:

- No więc, dlaczego ten Randolph Henry Ash jest taki ważny?

Blackadder miał dość niespójny pogląd na pracę swego życia - tu subtelne rozróżnienie, tam prześlędzony filozoficzny dowcip, gdzie indziej poczucie splotu myśli wielu ludzi - który nie dawał się zawrzeć w towarzyskich słowach. Powiedział:

- Rozumiał dziewiętnastowieczną utratę wiary religijnej. Pisał o historii - rozumiał historię - widział również, jak nowe idee rozwoju wpłynęły na ludzkie pojmowanie czasu. Jest centralną postacią w tradycji poezji angielskiej. Nie można zrozumieć dwudziestego wieku, jeżeli nie rozumie się Asha.

Pani Patel wyglądała na uprzejmie zmieszaną.

- Niestety, nigdy o nim nie słyszałam, póki nie zajęłam się tą sprawą - powiedziała. - Na dyplom zaliczyłam wykład z literatury, ale to była współczesna literatura amerykańska i postkolonialna angielska. Więc proszę mi powiedzieć, dlaczego Randolph Henry Ash wciąż powinien nas obchodzić?

- Jeżeli w ogóle obchodzi nas historia...

- Historia Anglii...

- Nie tylko Anglii. Pisał o historii Żydów, Rzymu, Włoch, Niemiec, i o prehistorii...

- Dlaczego Anglicy dzisiaj zawsze muszą przeproszać?

- Chciał zrozumieć, jak pojedynczy ludzie w konkretnych epokach postrzegali kształt swojego życia - od przekonań po garnki...

- Indywidualizm. Pojmuję. Więc dlaczego powinniśmy zatrzymać jego korespondencję w tym kraju?

- Bo może objaśni nam ona jego poglądy - widziałem niektóre z tych listów. Pisze o historii Łazarza, bardzo go ciekawił, o badaniach przyrodniczych, rozwoju organizmów...

- Łazarz - powtórzyła tępo pani Patel.

Blackadder rozejrzał się oszołomiony po marnie oświetlonym boksie w kolorze owsianki. Zaczynał odczuwać klaustrofobię. Zupełnie nie nadawał się do wygłaszania jednozdaniowych twierdzeń na temat Asha. Nie potrafił się odeń oderwać, nie pojmował, czego właściwie nie rozumieją inni ludzie. Pani Patel, która wyglądała na trochę zniechęconą, powiedziała:

- Mamy czas na trzy pytania i szybki numer na koniec. Zapytam pana, jakie znaczenie ma Ash dla naszego społeczeństwa, co pan na to?

Blackadder usłyszał własne słowa:

- Był staranny w myśleniu i nie decydował o niczym pochopnie. Wierzył, że wiedza ma znaczenie...

- Przepraszam, nie rozumiem...

Drzwi się otworzyły i żwawy damski głos powiedział:

- Przywiodłam pani drugiego gościa. To tutaj, prawda, ostatnia pozycja w „Śladem wydarzeń”? To jest profesor Leonora Stern.

Leonora, w szkarłatnej jedwabnej koszuli i orientalnych, a może peruwiańskich spodniach z tęczowym tkanym szlakiem, stanowiła widok olśniewająco barbarzyński. Jej czarne włosy spływały falami na ramiona, nadgarstki, uszy i wydatny biust obwieszony był słońcami i gwiazdami ze złota. Wręcz błyszczała w małej przestrzeni przy automacie z wodą, wydzielając z siebie pulsujące obłoki kwiatowo-piżmowej woni.

- Zapewne zna pan profesor Stern - powiedziała pani Patel. - Jest ekspertem od Christabel LaMotte.

- Byłam właśnie u Maud Bailey - wyjaśniła Leonora. - Zadzwonili do niej, a dostali mnie, tak to się odbyło. Miło mi pana poznać, profesorze. Mamy parę spraw do omówienia.

- Zadałam profesorowi Blackadderowi kilka pytań na temat znaczenia Randolpha Asha - wtrąciła pani Patel. - Chciałabym zapytać panią o to samo w związku z Christabel LaMotte.

- Bardzo proszę - rzekła Leonora wielkodusznie.

Z mieszanymi uczuciami subtelnego niesmaku, fachowego podziwu i zwyczajnego przestrochu Blackadder ujrzał, jak Leonora buduje miniaturowy portret Christabel. Wielka, zapomniana poetka, mała dama o ostrym wzroku i piórze, wspaniale, nieulękłe analizy seksualności kobiecej i lesbijskiej oraz znaczenia trywialnych drobiazgów...

- Dobrze - powiedziała pani Patel. - Doskonale, to ważne odkrycie, prawda? A na końcu zapytam panią, jakie jest znaczenie tego odkrycia - nie, proszę teraz nie odpowiadać. Pora iść do charakteryzatorni. Zobaczymy się w studio za jakieś pół godziny.

Pozostawiony sam na sam z Leonorą Blackadder poczuł niepokój. Leonora klapnęła obok, dotykając udem jego uda, i bez pytania wyjęła mu z rąk egzemplarz Asha.

- Chyba będę musiała teraz to przeczytać. Nigdy specjalnie nie leciałam na Randolpha Henry'ego. Zbyt męski. Zbyt rozwlekły. Starocie...

- Nie.

- No, chyba rzeczywiście nie. Powiem panu, że wielu z nas będzie musiało sporo odszczekać, kiedy to wyjdzie na światło dzienne. Powinien pan odłożyć tę książkę, profesorze. Hm-hmmm. Zdaje się, że mamy tylko trzy minuty, aby wykazać naszej wielkiej, łapczywej widowni, i to bez obrazków, jakie to wszystko jest ważne. Nie, musi pan przedstawić swojego Asha jako najbardziej seksownego chłopca w mieście. Musi pan ich złapać za jaja, profesorze. Żeby płakali. Niech pan pomyśli, co ma pan powiedzieć, a potem niech pan to powie, nieważne, co tamto śliczne stworzenie będzie chciało z pana wydusić. Łapie pan?

- O tak... łapię.

- Zdaży pan powiedzieć tylko jedną rzecz, profesorze, to pańska działka.

- Rozumiem. Mmm... Tylko jedną rzecz.

- Jedną seksowną rzecz, profesorze.

W charakteryzatorni Blackadder i Leonora wyciągnęli się na leżankach obok siebie. Poddając się puszkom do pudru oraz pędzelkom do szminek, patrząc, jak siatka drobnych, szarych zmarszczek wokół jego oczu znika pod cienką warstwą podkładu Max Factora, Blackadder myślał o dłoniach przedsiębiorców pogrzebowych. Leonora, odchyliwszy głowę w tył, nie przestawała mimo to mówić, nie wiedział już, czy do niego, czy do malującej ją dziewczyny:

- Lubię dużo koloru tutaj, na krawędzi powiek - niech pani dołoży, ja to zniosę, mam wydatne, wyraziste rysy i ciemną karnację, wyglądam w tym OK - jak już mówiłam, profesorze, czeka nas poważna rozmowa, pana i mnie. Pewnie tak samo jak ja chce pan poznać miejsce pobytu Maud Bailey, co? Świetnie, a może teraz trochę tego grzmiącego ciemnego rózu pod łuki brwiowe - i chciałabym zabójczą szkarłatną szminkę, po zastanowieniu wyciągnę ją chyba ze swojej torebki, w tych czasach trzeba uważać na komunalne płyny ustrojowe, oczywiście w możliwie najmiłszy sposób - jak mówiłam, profesorze, a raczej jak nie mówiłam, chyba wiem,

dokąd udała się ta młoda osoba, i pański asystent z nią razem - pokazałam jej drogę - ma pani trochę tych metalicznych gwiazdek, żeby nimi poproszyć gdzieś, czasem lubię zablysnąć na wizji, pokazać, że świat naukowy też ma swój blask... Teraz mam już kły i pazury, profesorze, ale proszę się uspokoić, nie zamierzam dopadać *pana*. Chcę zadać cios w imieniu Christabel i przyłożyć w jaja Mortimerowi Cropperowi, który nie chciał włączyć jej prac do swego wykładu i zagroził, że poda do sądu moją najdroższą przyjaciółkę - o pomówienie, naprawdę. Po tym wszystkim chyba wyszedł na głupka?

- Niekoniecznie. Tak bywa.

- No, ale jeśli pan chce zatrzymać te papiery, to musi pan powiedzieć, że Cropper wyszedł na głupka, nie?

Shushila usiadła między swymi gośćmi i uśmiechnęła się. Blackadder, wpatrzony w kamery, czuł się jak zakurzony barman. Szary i zakurzony pomiędzy tymi dwiema pawicami, przysypany pudrem - czuł swój zapach - pod gorącym światłem reflektorów. Chwila przed programem zdawała się trwać wieczność, a potem, jak przy sprincie, wszyscy naraz zaczęli mówić bardzo szybko i równie nagle ucichli. Nader mgliście przypominał sobie, o czym mówili; obie kobiety, gadające jak jaskrawe papugi o kobiecej seksualności i jej symbolice w sytuacjach stłumienia, o Wróżce Meluzynie i lęku przed kobietą, o LaMotte i miłości, która nie śmiała wymówić swego imienia*. Pamiętał ogromne zdumienie Leonory, gdy wyszło na jaw, że Christabel mogła kochać mężczyznę. I swój własny głos: „Randolph Henry Ash był jednym z największych autorów poezji miłosnej w naszym języku, a «Ask do Emblis» to zbiór genialnych wierszy, opiewających prawdziwą, seksualną namiętność. Nikt naprawdę nie wie, dla kogo zostały napisane. Zawsze sądziłem, że wyjaśnienie, wysuwane w standardowej biografii, jest nieprzekonujące i głupie. Teraz wiemy, kim ona była - odkryliśmy Czarną Damę Asha. To odkrycie, o jakim marzą uczeni. Te listy muszą zostać w kraju - są częścią historii naszego narodu”.

* Określenie miłości homoseksualnej (przyp. tłum.).

I Shushile: „Zapewne pani się z tym nie zgadza, profesor Stern? Jako Amerykanka?”.

I Leonore: „Sądzę, że listy powinny pozostać w Bibliotece Brytyjskiej. Wszyscy możemy mieć mikrofilmy i fotokopie, problem jest natury sentymentalnej. Chciałabym, aby Christabel została uhonorowana we własnym kraju i aby tu obecny profesor Blackadder, który jest największym żyjącym badaczem Asha, miał tę korespondencję w swojej pieczy. Nie jestem zachłanna, Shushilo - chcę tylko móc napisać najlepsze krytyczne opracowanie tych listów, kiedy już będą dostępne. Skończyły się czasy imperializmu kulturowego, stwierdzam to z radością...”.

Po wszystkim Leonora ujęła go za ramię.

- Postawię panu drinka - powiedziała. - Pewnie przyda się panu. Mnie też. Świetnie pan wypadł, profesorze, lepiej niż sądziłam.

- To pani wpływ - powiedział Blackadder. - To, co powiedziałem, było okropnym zniekształceniem. Przepraszam, doktor Stern, nie chciałem sugerować, że pani wpływ zachęcił mnie do zniekształceń, chodziło mi o to, że dzięki pani w ogóle byłem w stanie coś wyartykułować...

- Wiem, o co panu chodziło. Założę się, że lubi pan słodową whisky, w końcu jest pan Szkotem.

Znaleźli się w mrocznym, piwnym barze, w którym Leonora błyszczała jak choinka.

- A teraz pozwoli pan, że powiem, gdzie moim zdaniem jest Maud Bailey...

* Czarna Dama - oryg. Dark Lady; domniemana, nieznana kochanka Szekspira, do której adresowana jest część „Sonetów” (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

POSIĘŚCIE MUMII

Spójrz, Geraldyno, w ogniste kamienie -
Palce rozpostre na atlasie stołu,
Więc podejdź, dziecko, i naucz się wróżyć
Z hieroglificznych znaków mych pierścieni!
Spójrz, jak klejnoty lśnią na mlecznej skórze -
Beryl, chryzopraz, szmaragd i ametyst -
To dary możnych, które sami drogie
Nie dla swej ceny - mają sens mistyczny
Subtelnej, cichej mowy matki Ziemi.
Ręce masz miękkie i białe, jak moje;
Gdy ich dotykam, elektryczna iskra
Skacze pomiędzy nami - czujesz? Dobrze.
Patrz na ruchome światło na kamieniach
I mów, czy jawi ci się jakaś wizja -
Może mistyczna Twarz, różowiejąca
W promiennej chmurze; a może splątane
Liście boskiego Sadu Pożądania? Co widzisz?
Cienką pajęczynę światła? To na początek.
Linie wkrótce przyjmą Postać obrazów wprost ze Świata Duchów.
Każde z tych światła to Inteligencja,
Której potęgi pojąć nie możemy,
Jak nie umiemy powiedzieć, dlaczego
Klejnot migoce pąsem lub szafirem,
Albo dlaczego barwami jasnymi
Mieni się szyja arabskiego ptaka,
Gdy tu, w miększym klimacie, bywa szara,
A znów w polarnej Pustce błyszczą bielą.
W Boskim Ogrodzie blask kamieni mówi;

Tutaj czytamy tylko z ich milczenia
Lub dostrzegamy formy nieśmiertelne
W blokach kryształu, ziemskim światłem lśniących.
Podnieś więc szklaną kulę, Geraldyno,
I przypatrz się, jak wszystko w jej obrębie,
Lewa i prawa strona, dół i góra,
Miejscami się zamienia - a tam, w głębi,
Niby świat zatopiony lśni komnata,
Gdzie płomień strzela w dół - to w miniaturze
Ten pokój, cały do góry nogami.
Patrząc uważnie, ujrzysz, jak się mieni
Widomy świat poza zasłoną ducha,
Zobaczysz także to, czego tu nie ma,
A co przychodzi z tamtej strony kresu;
W różowej mgiełce moja twarz się zjawi
Jak ukwiał morski, co w skalnej pieczarze
Aureolę pąsową wypuszcza,
Ukryty obłok odylicznej siły -
Po mojej zaś, nadejdą inne Formy,
W innym świetle skąpane, ręczę za to.
Tymczasem jednak musisz być cierpliwą -
Siły te są kapryśne; żywa iskra,
Która rozpała Medium i oświetla
Drogę odważnym Przyjaciołom w Duchu,
Jest niby błędny ognik, co na bagnach
Nocami pełga i znowu zagasa.
Wezwałam ciebie tutaj na naukę,
I - zgadzam się - początek był udany.
W zeszlą niedzielę wpadłaś w trans głęboki,
Trzymałam ciebie, omdlałą, przy piersi,
Gdy duchy chciały mówić na wypródki
Przez śliczne twe usteczka. Czasem tylko
Ich czyste, mądre słowa pocieszenia
Ustępowały *tamtemu* plugastwu,
Którego ani myślą, ani słowem
W swej niewinności byś nie wyraziła,
Będąc przytomną. Tym rzekłam: „Apage!”
I odparłam ich atak. W moich uszach

Duchy śpiewały dźwięcznie niby dzwonki,
Że jesteś dla nich naczyniem z kryształu,
Jasnym kielichem, z którego ja nawet,
Mimo znużenia, pić mogę do syta
Napój, co siłę da i orzeźwienie.
Teraz więc pragnę, abyś prowadziła
Ze mną seanse, słodka ma partnerko
I Pomocnico; a kto wie, w przyszłości,
Może Potężną Widzącą zostaniesz.
Znasz przecież wszystkich, którzy dzisiaj przyjdą:
Markiza płacze za tłustym mopsikiem,
Który na Polach ukwieconych hasa
Po Drugiej Stronie, dając znać o sobie
Szczekaniem głośnym, jak miał we zwyczaju.
Uważaj na Sędziego, pana Holma,
W którym wątpiący chochlik sceptycyzmu
Nie umarł jeszcze i łeb swój podnosi
Na każdy dziwny widok albo odgłos.
Obiecująca - duchowo, rzecz jasna -
Jest margrabina Claregrove, zrozpaczona
Po stracie dziecka, synka jedynego,
Szczebiocącego, ślicznego dwulatka,
Który rok temu umarł od gorączki
Podczas letniej Podróży. Jego głosik
Czasem do nas dociera, urywany -
I mówi, że bez końca plecie wianki,
Na łąkach, obsypanych cudnym kwieciem.
Ona wszelako, wciąż niepocieszona,
Płacze i płacze - i wszędzie zabiera
Lok jego włosów, znad czoła obcięty
Marmurowego, gdy już w trumnie leżał.
Dałaby wszystko, by wziąć go za rączkę
Lub ucałować okrągły policzek, Aby przekonać się, że *jest*, istnieje,
Że nie pochłonął go Chaos i Ciemność.
Mówię ci to, ponieważ... no, ponieważ...
No, krótko mówiąc, muszę ci wyjaśnić,
Że my, do których przemawiają Duchy,
Uzupełniamy czasem ich sygnały, Kapryśne wizje, odgłosy, dotknięcia,

O nasze - jak mam rzec? - manifestacje, Sfabrykowane, by poprzeć ich Prawdę.
Czasem, w istocie, rozlega się dzwonek,
Światełka dziwne tańczą po pokoju,
Czujemy nagle dotyk rąk niebiańskich;
Czasem przynoszą dary - kielich wina,
Wonną girlandę lub szczypce Homara
Z Głębin morza. Czasem jednak Moce
Słabną zniecka i stają się nieme. Cóż, w owe dni, kiedy się nic nie dzieje,
I obolałe ciało jest wyłącznie Tęnym kawałkiem mięsa, bez wyrazu,
Ci, co Szukają, nadal tu przychodzą
Ze swoją Troską, niewiedzą i żalem.
Z pomocą Duchów wymyśliłam tedy,
Jak być *pomocą*, jak improwizować,
I zręcznie naśladować Tajemnicę
Ku pociesze strapionych - a sceptyków
Zbić z tropu liczbą konkretnych Dowodów.
Pajęczne sieci, zręcznie pociągane,
Uruchamiają białe rękawiczki
Jak bezcielesne dłonie; z żyrandola
Zdumiewające anielskie girlandy
Spływają na dół po jedwabnej nitce.
A co potrafi jedno Medium, złotko,
To dwa bez końca mogą doskonalić;
Z twoją figurką, zręczną jak u elfa,
Prześlizniesz się bez trudu za zasłoną,
Prawda, kochanie? Twoje rączki małe
Mogą w zabawie chwytać za kolana
Sceptycznych panów, lub unieść spódnice,
Wionąć przy twarzy nieziemską perfumą -
Co ty tam mrużysz? Że nie lubisz kłamać?
Wspomnij, kim jesteś, z łaski swojej, dobrze?
Oraz kim byłaś - ładną pokojówką.
Robiącą wielkie oczy do panicza,
Co twojej pani nie w smak było, prawda?
Któż ci dopomógł wówczas, ja się pytam,
Dał dach nad głową, wygody, ubranie,
Kto odkrył w tobie talent niespodziany,
I umiał zrobić z tej ślicznej twarzyczki

Użytek finansowy - i duchowy? Że jesteś wdzięczna?

No, ja się spodziewam. Niech zatem

Wdzięczność zrodzi Zaufanie!

Nasze oszustwa są wszak formą Sztuki,

Która ma postać niską i wysoką.

Wiedzą o tym kobiety, co na lalki

Woskowe trwonią talent i ambicje -

Jakich mężczyźni o rozległych duszach

Nie szcędzą marmurowym Cherubinom -

Albo pokornie haftują poduszki

W jaskrawe kwiaty, które na obrazach

Olejem malowane, podziw budzą

W miejskich galeriach lub domach księżących.

Inscenizacje duchów masz za kłamstwo,

Ja sądzę, że są sztuczne - gdyż są Sztuką,

Baśnią, Historią, która kryje Prawdę,

Jak inne baśnie, nawet w Piśmie Świętym.

Widzisz, każda ze Sztuk ma swoje Medium,

Koloraturę, temperę lub kamień;

Przez medium farby Idealna Forma Matki

Odwiecznej nam się ukazuje

(Chociaż na ogół jakaś głupia dziewczka Bywa, tak podejrzewam, jej modelem),

Język jest środkiem, przez który Poeci

Utrwalają Ideał; Beatrycze

Wciąż do nas mówi, choć Dante już dawno

W proch się obrócił. To zaś biedne ciało

Jest medium, poprzez które ze stękaniem,

Wśród mdłości, potu i zwierzęcej męki,

Najczystsze Duchy jawią się cierpiącym,

I przez to samo ciało przekazują

Moc, która fosfor zapalki zażega,

Wiąże supełek albo krzesło ciężkie

Z podłogi w górę bez trudu podrywa.

Duchy z powietrza tkają sobie szaty

Albo - z powietrza i mego oddechu,

Którego ciężka substancja owiewa

Twe czoło przy tym oto pocałunku;

A jeśli którejs nocy nie przychodzą,

Cóż, ty i ja możemy je zastąpić,
Tymże oddechem i zwinnymi dłońmi
Unosząc bardziej cielesne zasłony...
Wiesz, o czym mówię?
Najsłodsze tony z fletu wydobywa
Duchowy oddech - lecz następnej nocy,
Gdy go zabraknie, my obie musimy
Ów dźwięk starannie za nimi odtworzyć,
By w każdej nucie zabrzmiało westchnienie
Słodkiego żalu i słodkiej nadziei
Na życie przyszłe. Sztuka, moja droga,
Mówi nam prawdę, choć wszystkie jej kwestie
Byłyby kłamstwem w sądzie lub w próbówce -
Sztuczki stosuję w imię prawdy ducha,
Której mnie uczy - czy ty to rozumiesz?
I nie patrz na mnie niewinnym spojrzeniem
Oczu, co łzami i pytaniem błyszczą.
Wypij kieliszek kwiatowego wina -
Ten kordiał cię ukoi - chodź tu bliżej -
Weź mnie za rękę i spojrzij mi w oczy -
Oddychaj razem ze mną - bardzo dobrze.
Gdy po raz pierwszy w trans cię wprowadziłam
I otworzyła się twa dusza młoda
Jak kwiat poranny, co pod ciepłym Słońcem
Kielich otwiera - już wtedy wiedziałam,
Że jesteś kimś szczególnym - żeś wrażliwa
Na moje moce, a także pojętna.
Popatrz mi w oczy, mówię! Widzisz przecież,
Że jest w nich miłość poczciwej kobiety.
Nieważne, co objawią Władcy Duchów,
Zawsze bez lęku się do niej odwołuj.
Teraz się zdrzemnij i uspokój tętno,
Oprzyj o moje ramię miękkie kształty;
Tak, Geraldyno, chcę czynić ci dobro
I moja miłość nie zna w tym litości.
Czy nie wiesz, iż Kobiety nic nie mogą
W świecie, gdzie władza lodowała
Rozum, I wszystko jest zmierzone, mechaniczne?

Tam stanowimy własność, jak ozdoby
Lub kwiaty cięte, spętane w wazonie,
Co błyszczą jeden dzień, a potem giną.
Lecz zobacz sama - w tym tajnym pokoju,
Którego ściany skrywają kotary
Szare i miękkie, w tym przyćmionym świetle,
Gdzie każdy kształt i dźwięk jest niewyraźny -
Tutaj my mamy Władzę; tu przeczucie Irracjonalnych,
Niewidzialnych Mocy Przemawia do kobiecych, cienkich nerwów,
Które zbierają w sieci galwaniczne
Sił niewidocznych tajemne życzenia.
To jest nasz świat negacji, gdzie
Nieznane Niedotykalne, Nieograniczone
Przemawia do nas i wyłącznie przez nas
I to *my* odbieramy jego Wolę.
Wejdz, Geraldyno, w ten świat odwrócony,
Gdzie moc płynie do góry, jak w kryształach,
Gdzie zegar biegnie w lewo, a nie w prawo,
Kobiety zaś na tronach zasiadają
Strojne w korony i wieńce pachnące,
Mając we włosach piękne sardonyksy,
Perły, rubiny, kamień księżycowy -
W tym świecie my jesteśmy Kapłankami
I tylko nasza Wola się tu spełnia.
Wszyscy magowie uprawiali sztuczki,
Toteż robimy nie mniej i nie więcej
Niż ci Kapłani, co tłumy czarują
Magicznym, pełnym ogniem widowiskiem,
Pragnąc utrwalić symbole niebiańskie,
W umysłach tępych, opornych na słowo.
Uspokoiłś się. To dobrze. Dobrze.
Dłońmi zbrojnymi w pierścienie pogłaszczę
Błękitne żyłki twoich białych ramion,
By moc płynęła ode mnie do ciebie -
Wszak już czujesz się lepiej. Spokój. Spokój.
Nazywasz siebie moją Niewolnicą -
Niesłusznie, moja droga.
W naszej pracy Wszelka przesada, w mowie czy wyglądzie

Nie sprzyja powodzeniu. Tyś Adeptką I moją drogą, drogą przyjaciółką,
A może - kto wie - także następczynią?
Ale na razie musisz być uprzejmą
I okazywać damom uniżoność;
Do mężczyzn odnoś się z łagodnym taktem,
Wciąż się uśmiechaj, podawaj herbatę
I słuchaj pilnie ich niewinnych plotek
Bowiem winnyśmy wiedzieć, o czym mówią.
Tutaj, jak widzisz, schowana jest gaza,
Tu kwiaty, które opadają z góry,
Tu rękawiczki, błędzące w powietrzu.
Musisz mi pomóc z synkiem lady Claregrove.
Szaleńczo pragnie poczuć jego dotyk,
Ścisnąć drobne paluszki. Zgaszę światło,
A ty podkradniesz się i oprzesz łokieć -
O tak - i muśniesz lekko jej policzek -
Takie masz szczupłe, delikatne palce -
Co ty znów pleciesz? Jaka znowu krzywda?
Jej Wiara dobrem jest, a nasze małe,
Czule oszustwa tylko ją wzmacniają,
A więc także są dobre na swój sposób.
Oto jest kosmyk włosów - pokojówki -
Jasných i cienkich jak loki jej syna,
Który upuścisz we właściwej chwili -
Rozumiesz mnie - na jej nerwowe dłonie
Lub na podolek - to ją tak ucieszy -
Przyniesie tyle Szczęścia, że my obie
Kwitnąć będziemy w jego błogim ciepłe;
Dla nas - nagroda, dla niej zaś - nadzieja,
Nie, pewnośc zgoła...

[Caetera desunt]

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Val stała na trybunie w Newmarket, patrząc na pusty tor wyścigowy, nasłuchując pilnie dźwięku kopyt, widząc, jak mała, płynnie sunąca chmurka kurzu rozwija się w strumień lśniących mięśni, jaskrawych barw,

błyskawicznie przesuając się przed jej oczami - kasztan, kary, gniady, kasztan, tyle czekania na ten krótki przeblask grzmiącego życia. A później rozluźnienie, złane potem zwierzęta o rozdętych chrapach, gratulacje i wzruszenia ramion.

- Kto wygrał? - zapytała Euana MacIntyre. - To się odbyło tak szybko, nie zdążyłam zobaczyć. - Choć krzyknęła jak wszyscy.

- My - odpowiedział Euan. - On wygrał. Rewerberator. Był wspaniały. Val zarzuciła Euanowi ręce na szyję.

- Możemy to uczcić - powiedział Euan. - Dwadzieścia pięć do jednego, nieźle, wiedzieliśmy, że mu się uda.

- Postawiłam na niego - powiedziała Val. - Na wygraną. Postawiłam też trochę na Białe Noce, na porządek, bo to ładne imię, ale na niego postawiłam na wygraną.

- No i proszę - ucieszył się Euan. - Widzisz, że trochę cię rozerwałem? Nie ma jak hazard i trochę ruchu.

- Nie mówiłeś, że to takie piękne.

To był ładny angielski dzień z bladym słońcem i strzępami mgły na skraju pola widzenia, daleko, na niewidocznym końcu toru, gdzie zbierały się konie.

Val wyobrażała sobie, że tor wyścigowy jest podobny do punktów bukmacherskich z jej dzieciństwa, śmierdzących piwem i petami, oraz, tak jej się wydawało, trocinami i męskim moczem.

A tu była trawa, czyste powietrze, pogodny nastrój i te roztańczone, śliczne stworzenia.

- Nie wiem, gdzie są pozostali - powiedział Euan. - Chcesz sprawdzić?

Euan był członkiem syndykatu, składającego się z dwóch maklerów i dwóch prawników, z których każdy posiadał na własność część Rewerberatora.

Przedarli się na padok zwycięzców, gdzie stał rozdygotany koń, okryty derką - zdecydowany gniadosz w białych pończochach, z czarnymi zaciekami potu, który parował do góry i wtapiał się w mgiełkę. Pachnie cudownie, pomyślała Val, pachnie sianem, zdrowiem i wysiłkiem, luźnym, swobodnym, naturalnym wysiłkiem. Odetchnęła tym zapachem, on zaś poruszył nozdrzami i zarzucił łbem.

Euan, skończywszy rozmowę z dżokejem i trenerem, wrócił do Val w towarzystwie młodego mężczyzny, którego przedstawił jako Toby'ego Bynga, jednego z partnerów w syndykacie. Toby był szczuplejszy od Euana, miał piegowatą twarz i niewielką ilość kręconych, jasnych włosów nad uszami. Jego łysinka przypominała różową tonsurę. Ubrany był w wojskowe spodnie i nieoczekiwaną, elegancką kamizelkę, błysk pawiego dandyzmu pod sportową marynarką z tweedu. Uśmiechał się łagodnie, chwilowo niezbyt przytomny z radości.

- Postawię wam obiad - zwrócił się do Euana.

- O, nie. To ja stawiam. Albo przynajmniej rozpijmy butelkę szampana, bo na wieczór mam inne plany.

We trójkę oddalili się pogodnie, aby kupić szampana, wędzonego łososa i sałatkę z homara. Jeśli nie liczyć filmów i wieczorów w pubie, Val od niepamiętnych czasów nie robiła nic tak po prostu pomyślanego dla przyjemności.

Spojrzała do programu.

- Imiona koni to żarty. Białe Noce po Dostojewskim i Alicja po Carrollu.

- Jesteśmy wykształceni - odparł Euan - bez względu na to, co myślą tacy jak wy. Spójrz na Rewerberatora. Jego ojcem był James Szkot, matką - Wiertarka. Sądzę, że chodziło o to, że wiertarki wibrują i że Henry James, Amerykanin, napisał kiedyś opowiadanie „Rewerberator”. Imię konia musi być aluzją do imion rodziców.

- To poezja - powiedziała Val, coraz bardziej pełna bladozłotej życzliwości i szampana.

- Val interesuje się literaturą - zwrócił się do Toby'ego Euan, który najwyraźniej wymyślił sposób, aby powiedzieć coś o Val bez wzmianki o Rolandzie.

- Teraz jestem jakby literackim adwokatem - powiedział Toby.

- Co wcale mi nie leży, muszę wam powiedzieć. Wplątałem się w okropnie zażartą kłótnię o korespondencję dwojga zmarłych poetów, którą ktoś właśnie odkrył. Za te rękopisy Amerykanie proponują mojemu klientowi olbrzymie sumy. Ale dowiedzieli się o tym Anglicy i próbują sprawić, żeby całość uznano za skarb narodowy i wstrzymano wywiezienie. Najwyraźniej się nienawidzą. Jedni i drudzy byli u mnie w kancelarii. Anglicy mówią, że to zmieni oblicze badań międzynarodowych. Pozwalamy im oglądać tylko próbki listów - mój klient to uparty stary wariat, nie wypuści z rąk całej kolekcji... A teraz wdały się w to jeszcze media. Dzwonią do mnie dziennikarze z telewizji i plotkarskich gazetek. Angielski profesor widział się z ministrem kultury.

- Listy miłosne? - zapytał Euan.

- O, tak. Bardzo skomplikowane listy miłosne. W tamtych czasach dużo pisali.

- Jacy to poeci? - zapytała Val.

- Randolph Henry Ash, którego przerabialiśmy w szkole i w którym nie mogłem się nijak rozeznać, i kobieta, o której nigdy nie słyszałem. Christabel LaMotte.

- W Lincolnshire - powiedziała Val.

- O, tak. Mieszkam w Lincoln. Zna pani tę sprawę?

- Dr Maud Bailey?

- Owszem. Wszyscy chcieliby się z nią widzieć, ale zniknęła. Pewnie pojechała na urlop. Są wakacje letnie. Naukowcy wyjeżdżają. Ona je znalazła...

- Mieszkałam ze specjalistą od Asha - powiedziała Val i urwała, nad wyraz stropiona automatycznym użyciem czasu przeszłego.

Euan położył dłoń na jej dłoni i dolał szampana.

- Jeżeli to listy - powiedział - to powstają komplikacje związane z własnością i prawami autorskimi.

- Profesor Blackadder wezwał na pomoc lorda Asha, który jest właścicielem praw do większości pism Asha. Ale ten Amerykanin - profesor Cropper - ma w swojej bibliotece rękopisy prawie wszystkich jego listów, poza tym jest redaktorem wielkiego wydania korespondencji - więc jego roszczenia mają pewien sens. Baileyowie są w posiadaniu rękopisów, jako takich. Maud Bailey je znalazła. Christabel była starą panną i umarła w pokoju, w którym znaleziono listy - ukryte w lalczynym łóżeczku, czy coś takiego... Nasz klient ma bardzo źle Maud B., że mu nie powiedziała, ile są warte...

- Może nie wiedziała.

- Może. Ale wszyscy bardzo by się ucieszyli, gdyby wróciła.

- Nie przypuszczam, żeby miała wrócić - powiedziała Val, patrząc na Euana. - Przypuszczam, że ma swoje powody, by trzymać się z dala.

- Bardzo różne powody - dodał Euan.

Val nie przyszło do głowy, aby przypisywać nagle zniknięcie Rolanda przyczynom innym niż pragnienie przebywania z Maud Bailey. W chwili furii zatelefonowała do mieszkania Maud tylko po to, by usłyszeć dojrzały amerykański głos, informujący ją, że Maud nie ma. Zapytany, gdzie można ją znaleźć, głos z mieszaniną rozbawienia i goryczy odpowiedział: „Nie zostałam zaszczycona tą informacją”. Val poskarżyła się Euanowi, który zauważył: „Ale przecież już go nie chcesz, skończyliście ze sobą, prawda?”. „Skąd wiesz?” - krzyknęła Val, Euan zaś odparł: „Bo od wielu tygodni ci się przyglądam i oceniam dane, na tym polega moja praca”.

Tak więc znalazła się z Euanem tutaj, w domu przy stajniach. W chłodzie wieczoru obeszlą wokół teren, taki zamieciony, taki porządny; podłużne, wielkookie łby zerkały na nich ponad drzwiami boksów i skłaniały się wdzięcznie, aby przyjąć jabłko, marszcząc miękkie wargi i odsłaniając wielkie, niegroźne zęby wegetarian. Niski ceglany budynek obrośnięty był pnącą różą i wistarią. Był to taki dom, gdzie na śniadanie podawano smażone nerki, bekon, grzyby lub ryż z jarzynami na srebrnej zastawie. Urządzoną ze smakiem sypialnię wypełniał różowy i kremowy rypś, pieniący się wokół solidnych starych mebli. Val i Euan kochali się jakby w jaskini różowego światła, patrząc przez okno, otwarte na ciemne kształty i nikłą, nocną woń prawdziwych róż.

Val spojrzała na obnażoną długość Euana MacIntyre. Kolorystycznie stanowił odwrotność swego konia; cała środkowa część jego ciała miała blady odcień, od płowego po bardzo biały, lecz skrajne fragmenty wpadły w brąz, podczas gdy u Rewerberatora były one białe. I miał taką samą twarz. Val roześmiała się.

- „O Miłości, jabłkami karm się, póki możesz” - powiedziała.

- Co?

- To wiersz. Roberta Gravesa. Kocham Roberta Gravesa. Bardzo mnie porusza.

- No to mów dalej. - Kazał jej powtórzyć wiersz dwukrotnie, po czym wyrecytował za nią:

Między mrokiem i mrokiem - jak ścieżka do źródła Wąska niczym mogiła, choć bez jej spokoju*.

- Podoba mi się - powiedział Euan MacIntyre.

- Nie sądziłam...

- Nie sądziłaś, że yuppies lubią poezję. Droga Val, nie bądź wulgarna i nie upraszczaj.

- Przepraszam. Po prostu nie wiem - a to jest bardziej à propos - dlaczego *mnie* lubisz.

- Wychodzi nam, prawda? W łóżku?

- O, tak...

- Takie rzeczy się wie. A poza tym chciałem zobaczyć, jak się uśmiechasz. Znęcałaś się nad tą śliczną buzią, zmuszając ją do wyrazu ciągłego rozczarowania. Wkrótce byłoby za późno.

- Akt miłosierdzia. - Na poły tonem dawnej Val z Putney.

- Nie wygłupiaj się.

Ale on zawsze lubił naprawiać różne rzeczy. Połamane zabawki, przybłąkane kocięta, rozbite latawce.

- Słuchaj, Euan, ja nie umiem być szczęśliwa. Tylko wszystko ci popsuję.

- To zależy ode mnie. To znaczy, również ode mnie. O Miłości, jabłkami karm się, póki możesz.

* Robert Graves, „Chora miłość” (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Wtargnięcie lub przerwanie miało miejsce w Baie des Trépassés, w jeden z tych dni, kiedy Bretania się uśmiecha. Stali wśród wydm i patrzyli, jak długie fale cicho przypelzają od Atlantyku. Morze na swym szarozielonym płaszczu niosło bursztynowożółte błyski. Powietrze, ciepłe niczym mleko, pachniało solą, ciepłym piaskiem i dalekim, ostrym listowiem, wrzosem, jałowcem albo sosną.

- Czy byłoby tu równie magicznie lub złowieszczo, gdyby nie nazwa? - zapytała Maud. - W tym słońcu wygląda łagodnie.

- Gdybyś знаła tutejsze prądy, uznałabyś to miejsce za niebezpieczne. Gdybyś była żeglarzem.

- W Guide Vert piszą, że tutejsza nazwa pochodzi z przekręcenia „*boe an aon*” (*baie du ruisseau*) w „*boe an anaon*” (*baie des âmes en paine*)*. Piszą, że wedle tradycji miasto Is leżało na bagnach u ujścia rzeki Trépassés - wykraczających, przekraczających, przeszłych. W nazwach nawarstwiają się znaczenia. Przyjechaliliśmy tutaj z powodu nazwy.

* *Baie du ruisseau* (fr.) - zatoka strumieni, ruczajów; *baie des âmes en paine* - zatoka cierpiących dusz.

Roland dotknął jej ręki, która schwyciła jego dłoń.

Stali w fałdzie piasku, gdy spoza następnej wydmy usłyszeli głośny, zaoceaniczny okrzyk, głęboki i dziwny.

- A to musi być Ile de Sein, tam dalej. Zawsze marzyłam, żeby zobaczyć miejsce, gdzie mieszkało dziewięć straszliwych dziewic, które zwano Seines lub Sénas lub Sènes, od nazwy wyspy Sein; to jest niesamowicie symboliczne i polisemiczne słowo, sugerujące świętość kobiecego ciała, gdyż Francuzi określają tak zarówno piersi, jak i łono, żeńskie narządy płciowe, a z czasem zaczęło również oznaczać sieć, która zagarnia ryby, i wydęty żagiel, który zagarnia wiatr; te kobiety panowały nad burzami i zwabiały marynarzy do sieci jak syreny, i zbudowały świątynię pogrzebową dla zmarłych druidów - chyba dolmen, kolejną formę kobiecą - a kiedy go budowały, obowiązywały różne tabu, nie wolno było dotykać ziemi ani pozwolić, by jakiś kamień na nią upadł, gdyż obawiano się, że słońce i ziemia mogą je zanieczyścić, lub że same zostaną zanieczyszczone, zupełnie jak w przypadku jemioly, którą wolno zrywać tylko nie dotykając ziemi. Często uważa się, że Dahud, królowa Is, była córką jednej z tych czarodziejek, a kiedy została Królową Zatopionego Miasta, zmieniła się w Marie-Morgane, coś w rodzaju syreny lub wodnicy, która przywodziła mężczyzn do zguby, i panuje opinia, że była reliktem matriarchatu, podobnie jak Sènes na ich pływającej wyspie. Czytał pan „Zatopione miasto” Christabel?

- Nie - odparł męski głos. - To niedopatrzenie, które muszę naprawić.

- Leonora - szepnęła Maud.

- I Blackadder - szepnął Roland.

Widać było, jak para ta zbliża się do morza. Leonora rozpuściła włosy; gdy wynurzyła się zza zasłony wydm, lekka morską bryza rozwiała jej ciemne, węzowe loki. Miała na sobie suknię plażową w stylu greckim z bardzo cienkiej bawełny, wir drobnych fałd, szkarłatnych w srebrne księżycy, przytrzymany nad obfitym biustem szeroką, srebrną opaską, odsłaniający ramiona ciemnozłote od promieni bynajmniej nie angielskiego słońca. Jej duże, zgrabne stopy były bose, paznokcie zaś pomalowane na przemian szkarłatem i srebrem. Wiatr trzepotał w fałdach jej sukni, a gdy uniosła ręce, melodyjnie zadźwięczały bransolety. Za nią podążał James Blackadder w ciężkich butach, ciemnej sportowej kurtce i wymiętych spodniach.

- Tam gdzieś musi być Nantucket i miękka zielona pierś Nowego Świata.
- Fitzgerald z pewnością nie mówił o kapłankach druidów.
- Lecz uczynił kobietę Ziemskim Rajem.
- Pełnym rozczarowań.
- Oczywiście.
- Pewnie spotkali się i jakoś wymyślili, gdzie jesteśmy - powiedziała Maud.
- Jeżeli trafili aż tutaj - powiedział Roland - musieli widzieć się z Ariane.
- I przeczytać dziennik. Jeżeli Leonora chciała zobaczyć się z Ariane, na pewno to zrobiła. A zakładam,

że Blackadder czyta po francusku.

- Pewnie są nieźle wściekli na nas. Zostali oszukani, wykorzystani, na pewno tak myślą.
- Sądzisz, że powinniśmy pójść i stawić im czoło? Lub też pozwolić, by oni stawili czoło nam?
- A ty?

Maud wyciągnęła ręce, a on je ujął.

- Myślę, że powinniśmy - powiedziała - i myślę, że nie możemy. Myślę, że powinniśmy stąd uciec. I to szybko.

- Dokąd?
- Zapewne z powrotem.
- Zrzucić czar?
- A jesteśmy zaczarowani? Chyba musimy kiedyś zacząć znów myśleć.
- Jeszcze nie - powiedział pośpiesznie.
- Nie, jeszcze nie.

W milczeniu wrócili samochodem do hotelu. Kiedy skręcali na parking, właśnie wyjeżdżał z niego czarny mercedes. Przez jego przyciemnione szyby Maud nie dostrzegła, czy Cropper zobaczył ją przy kierownicy. Tak czy inaczej nie zwolnił i szybko zniknął w kierunku, z którego przyjechali.

Właścicielka hotelu powiadomiła:

- Jakiś amerykański dżentelmen pytał, czy państwo tu mieszkają. Powiedział, że wróci wieczorem na kolację.

- Nie zrobiliśmy nic złego - powiedział Roland po angielsku.

- Nikt nie mówi, że jest inaczej. On chce kupić to, co wiemy, albo dowiedzieć się, czy wiemy coś więcej. Chce listów. Chce mieć tę historię.

- Nie sądzę, byśmy mogli go powstrzymać.

- Ale możemy mu *nie pomóc*, prawda? Jeśli wyjedziemy teraz, w tej chwili. Myślisz, że widział się z Ariane?

- Może śledzi Leonorę. I Blackaddera.

- Niech się biją między sobą. Niech się dowiedzą, jak ta historia się kończy. Czuję, że niedobrze. Czuję - w tej chwili czuję, że... że nie chcę wiedzieć. Może później.

- Możemy wrócić do domu, zaraz. Spakować się i wrócić do domu.

- Musimy.

Przebywali w Bretanii już trzy tygodnie. Planując swą pospieszną ucieczkę, zakładali, że cały skradziony czas spędzą obyczajnie w bibliotece uniwersyteckiej w Nantes. Jednakże wskutek wyjazdu Ariane Le Minier i zamknięcia biblioteki znaleźli się zamiast tego na wakacjach, na wspólnych wakacjach, i to już po raz drugi tego lata. Mieli oddzielne pokoje - a w nich nieodzowne białe łóżka - lecz nie ulegało wątpliwości, że nad ich niespieszną wędrówką unosi się duch małżeństwa lub miodowego miesiąca. Ta świadomość wprawiała oboje w głębokie pomieszanie, wywołując w nich niejednoznaczne uczucia. Ktoś taki jak Fergus Wolff wiedziałby, jak wykorzystać sytuację, byłby wręcz zakładał, że jest to rzecz naturalna, ba, że ciąży na nim taki obowiązek. Lecz Maud nie wyjechałaby z Fergusiem z własnej woli, natomiast z najwyższą chęcią wyruszyła na wyprawę z Rolandem. Uciekli razem i byli głęboko świadomi zwyczajowych konotacji tego czynu. Spokojnie mówili „my” i „nam”, jakby lekko parodiując formę odwiecznej małżeńskiej zgodności. „Pojedziemy do Port-Aven?” - pytało flegmatycznie jedno z nich, drugie zaś odpowiadało: „Moglibyśmy obejrzeć krucyfiks, który był pierwowzorem «Żółtego Chrystusa» Gauguina”. I choć nie rozmawiali o owym zaimku, myśleli o nim oboje.

W którymś ze swych zamkniętych na cztery spusty listów Ash wspominał o wątku czy też losie, który zniewala lub prowadzi umarłych kochanków. Na myśl, że Maud i on sam mogą pozostawać w mocy wątku albo losu, który nie był - przynajmniej hipotetycznie - ich własny, lecz należał do tamtych dwojga, Rolanda ogarniało uczucie ostrej, postmodernistycznej radości, zmieszane z odrobiną prawdziwie zabobonnego lęku. i niewykluczone, że owa składowa lęku zawiera się w każdej samozwrotnej, wsobnej, postmodernistycznej grze luster, która odwołuje się do samej siebie, w każdym splątany wątku, który jest świadom, że wymknął się spod kontroli i że relacje wydają się mnożyć losowo - to znaczy z równym prawdopodobieństwem - wedle jakiejś piekielnej zasady porządkującej, niepodlegającej świadomemu zamysłowi. Samo w sobie stanowi to, rzecz jasna, świetny postmodernistyczny zamysł, który przecież *musi* być aleatoryczny, wielowartościujący, „wolny” - ale także strolcturyzujący, kierujący, zmierzający do jakiegoś - jakiego? - celu. Konsekwencja i domknięcie są to głębokie ludzkie pragnienia, w chwili obecnej niemodne, lecz zawsze nieco przerażające i zachwycająco upragnione; przykładowo „zakochanie” z plątaniny widzialnego świata oraz historii ukochanej osoby wyczesuje gładkie pasmo spójnego wątku. Rolanda niepokoiła myśl, że twierdzenie przeciwne także może być prawdziwe - że znalazłszy się w jakimś wątku, mogą przyjąć sposób zachowania do niego stosowny. To zaś naraziłoby na szwank pewnego rodzaju uczciwość, z którą wyruszyli na wyprawę.

Tak więc nadal dyskutowali prawie wyłącznie o tych, którzy umarli. Siedzieli nad żytnimi plackami w Port-Aven, popijając cydr z chłodnych kamiennych dzbanów, i zadawali trudne pytania.

Co się stało z dzieckiem?

Jak i dlaczego, w jakim stanie niewiedzy została porzucona Blanche? Jak rozstali się Ash i Christabel? Czy Ash wiedział o tym, że być może ma dziecko?

List, towarzyszący zwróconym listom Christabel, nie był datowany. Kiedy Ash go wysłał? Czy kontaktowali się później? Czy też ten długi romans został zerwany z dnia na dzień?

Przeczytawszy załączone przez Ariane wiersze, Maud przycichła i posmutniała. Interpretowała drugi z nich jako znak, że dziecko urodziło się martwe, a wiersz „o rozlanym mleku” jako dowód strasznego poczucia winy Christabel z powodu losu, jaki spotkał niemowlę.

- Mleko boli - mówiła. - Kobieta, która ma mleko, a nie może karmić, czuje wielki ból.

Pozostając w kontekście Christabel, Maud mówiła również o parodiowaniu wątków.

- Mniej więcej w tym czasie dużo pisała o „Fauście” Goethego. Niewinne dzieciobójstwo to stały motyw w europejskiej literaturze tamtej epoki. Gretchen, Hetty Sorrel*, Martha w „Cierniu” Wordswortha. Zropaczone kobiety i martwe dzieci.

* Gretchen - bohaterka „Fausta” J.W. Goethego; Hetty Sorrel - bohaterka powieści George Eliot „Adam Bede”; obie zabijają noworodki, zrodzone z nieślubnych, „występnych” związków (przyp. tłum.).

- Nie wiemy, czy umarło.

- Nie mogę się powstrzymać od pytania, po cóż by uciekała, gdyby nie miało umrzeć? Pojechała szukać schronienia. Czy nie mogła zostać tam, gdzie była bezpieczna?

- Nie chciała, żeby ktokolwiek wiedział, co się zdarzyło.

- Istnieje odwieczne tabu zabraniające patrzeć na poród. We wczesnych wersjach mitu o Meluzynie występuje poród, a nie kąpiel.

- Powtarzające się wzory. Znowu.

Rozmawiali także o przyszłości projektu, to znaczy poszukiwań, choć nie bardzo wiedzieli, gdzie się teraz udać. Powrót do Nantes był krokiem oczywistym; w ten sposób mogli usprawiedliwić swoje zwleknięcie z wyjazdem. Maud, nieświadoma związku Christabel z Westalkami Światła, twierdziła, że poetka w 1860 roku mieszkała u przyjaciół w Londynie, Roland przypomniał sobie przelotną wzmiankę u Asha o Pointe du Raz - *tristis usque ad mortem*, tak Ash o nim pisał - lecz nie dawało to żadnej pewności, że tu przyjechał.

Roland martwił się nie tylko o przyszłość przedsięwzięcia, lecz także o swoją własną. Gdyby pozwolił sobie na myślenie, popadłby w panikę, lecz rozmarzone, senne dni, światło, na przemian perłowe i gorąconiebieskie, pomagały mu trzymać myśli na wodzy. Sprawy nie wyglądały dobrze. Zwyczajnie porzucił Blackaddera i podobnie postąpił wobec Val, która, jego zdaniem, była tyleż nieprzejednana, co odeń zależna. Musiałby wrócić i zostać zwymyślanym, a wówczas jakże mógłby odejść, gdzie miałby pójść, jak miałby żyć?

Mimo wszystko coś się między nimi zmieniło. Byli dziećmi swego czasu i kultury, która nie ufała miłości, zakochaniu, miłości romantycznej, romantyczności *in toto*, która wszelako, jakby w odwecie, upowszechniła seksualny język i językową seksualność, analizę, rozbiór, dekonstrukcję, obnażenie. Teoretycznie byli przygotowani; wiedzieli, co to fallokracja i władza penisa, interpunkcja, punkcja i penetracja, co to polimorficzna i polisemiczna perwersja, oralność, dobre i złe piersi, wzwód klitoralny, natręctwa pęcherzowe; zna-

li płyny, ciała stałe i ich metafory, systemy pożądania i niszczenia, ikonografię szyjki macicy, obrazowanie skurczów i rozkurczów. Upragnione, atakowane, konsumowane, strach budzące ciało.

* *Tristis...* (łac.) - śmiertelnie smutnym.

Zdali się na milczenie. Dotykali się nawzajem bez komentarzy i bez następstw; dłoń na dłoni, ubrane ramię wsparte na innym ramieniu. Stopa skrzyżowana ze stopą, kiedyś na plaży, i tak pozostawiona.

Pewnej nocy zasnęli obok siebie na łóżku Maud, gdzie wypili wspólnie kieliszek calvadosu. Spał zwinięty w kłębek, wtulony w jej plecy, ciemny przecinek obok jej bladego, eleganckiego nawiasu.

Bez słów, w milczeniu umówili się na kolejną taką noc. Bardzo im zależało, aby dotykanie nie przeobraziło się w coś bardziej namiętne, w rozmyślny uścisk. Oboje mieli wrażenie, że stateczny spokój, obecny w owym nieuznawanym głośno kontakcie, zwraca każdemu z nich poczucie oddzielnego życia we własnej, oddzielnej skórze. Mowa, zwłaszcza taka, jaką znali, wszystko by zepsuła. Kiedy mgła od morza zamykała ich nagle w mlecznobiałym, pozbawionym perspektywy kokonie, całymi dniami leżeli leniwie za firankami z ciężkiej białej koronki, na białym łóżku, nie poruszając się i nie odzywając.

Żadne nie było pewne, co - i ile - to wszystko znaczy dla drugiego.

Żadne nie ośmieliło się zapytać.

W teorii Roland nauczył się postrzegać siebie jako miejsce, gdzie krzyżują się różne, luźno powiązane systemy. Został wyszkolony, by w idei swego, ja" widzieć złudzenie, które należało zastąpić pozbawioną ciągłości maszyną, siecią połączeń elektrycznych, przekazujących rozmaite pragnienia, poglądy i reakcje ideologiczne, formy językowe, hormony i feromony. Na ogół to mu się podobało. Nie pragnął wyęźzonego samopotwierdzenia w stylu romantycznym. Nie pragnął też wiedzieć, kim w swej istocie jest Maud. Jednakże wiele myślał o tym, do czego doprowadzi niema przyjemność, jaką czerpią z siebie nawzajem, czy zniknie, tak jak przyszła, czy się zmieni, czy może się zmienić?

Wspominał księżniczkę na szklanej górze i lekko pogardliwy wzrok Maud przy ich pierwszym spotkaniu. W świecie rzeczywistym - gdyż nie należy wynosić jednego świata ponad inny - w społecznym świecie, do którego oboje musieli wrócić z tych białych nocy i słonecznych dni, tak naprawdę łączyło ich niewiele. Maud była piękną kobietą, do której posiadania nie mógł nawet aspirować. Miała niezagrożoną pozycję zawodową i międzynarodową reputację. Co więcej, wedle ciemnych i przestarzałych norm angielskiego systemu klasowego, w które nie wierzył, lecz których działanie i ucisk niejasno odczuwał, Maud była ziemianką, on zaś - przedstawicielem drobnej miejskiej klasy średniej, tu bardziej, gdzie indziej mniej akceptowanym niż Maud, lecz w żadnym wypadku do niej niepasującym.

Wszystko to stanowiło typowy wątek Romansu. Znajdował się w Romansie, jednocześnie pospolitym i wysokim, Romans był jednym z władających nim systemów, albowiem prawie każdy mieszkaniec Zachodu w jakimś momencie swego życia ulega oczekiwaniom Romansu.

Przypuszczał jednak, że Romans ów będzie z czasem musiał ustąpić realizmowi społecznemu, nawet jeżeli nie przemawiał za tym estetyczny klimat epoki.

Tak czy inaczej, z chwilą pojawienia się Blackaddera, Leonory i Croppera, Wyprawa - sama w sobie doskonała forma romantyczna - przeobraziła się w Wyciąg i Pościg, dwie inne, równie właściwe dla Romansu formy.

Podczas swego pobytu w Bretanii popadł w uzależnienie od bladego, schłodzonego, słodkawego deseru o nazwie *îles flottantes*, który składał się z białej wysepki piany, unoszącej się na kremowym jezioru budyniu waniliowego, nawiedzanego przez tchnienie - nie więcej - słodczy. Kiedy oboje z Maud pakowali się pośpiesznie i kierowali samochód w stronę kanału La Manche, myślał, jak będzie mu żal, gdy ów smak zblednie i zaniknie w jego pamięci.

Blackadder zobaczył mercedesa, gdy wieczorem wracali z Leonorą do hotelu. Czuł się znużony. Istotnie, Ariane dała im fotokopię dziennika Sabine, on zaś dość zręcznie przetłumaczył go Leonorze. Początkowo dał się porwać niezmażonej sile jej osobowości oraz upartemu przekonaniu, że Roland i Maud wymknęli się, by pokazać im obojgu naukową figę. Kiedy weszli w posiadanie dziennika, zaproponował, by wrócili do domu, zamówili dobry przekład i stamtąd kontynuowali poszukiwania, jednakże Leonora, starannie wypytawszy Ariane o Rolanda i Maud, zaniepokoiła się, że „coś knują” i uznała, że należy podążyć ich tropem do Finistère. Przy marnej pogodzie Blackadder byłby nalegał na powrót do swej nory, do swych narzędzi pracy, maszyny do pisania i telefonu. Lecz na niebie świeciło słońce kusiciel, więc po zjedzeniu kilku dobrych posiłków oznajmił, że skoro już tu jest, może jeszcze obejrzyć Kerkemet i jego okolice.

Prowadziła Leonora. Robiła to z brawurą i rozmachem, co nie sprzyjało komfortowi jazdy, i siedzący obok niej Blackadder zastanawiał się, w jaki sposób dał się namówić na to wszystko. Samochód, wynajęty re-nault, wypełniała woń perfum. Była to woń piżma i drzewa sandałowego, zmieszana z jeszcze innym, ostrym zapachem, który wywoływał w Blackadderze sprzeczne reakcje. Wydawał mu się duszący, lecz pod spodem wyczuwał coś gorącego, obietnicę ciemności, gęstości, ciała. Raz czy dwa zerknął na bezmiar obnażonych ramion Leonory i jej spętane piersi; widziana z bliska jej ciemnozłota skóra pokryta była drobnymi zmarszczkami, które nie były skutkiem wieku, lecz wielokrotnego zmiękczenia i utwardzania naskórka na słońcu. Wydały mu się wzruszające.

- Nie rozumiem Maud - mówiła Leonora. - Nie potrafię wykombinować, dlaczego dała nogę, nie mówiąc mi ani słowa, w końcu ten list był mój, jeżeli w ogóle można mówić o własności, a sądziłam, że między przyjaciółmi nie należy o tym mówić, przecież byliśmy przyjaciółkami, często dzieliłyśmy się pomysłami i pisałyśmy razem artykuły. Może ten twój Roland Mitchell to taki władczy typ macho? Nic tu nie pasuje.

- Nie, zupełnie nie jest przebojowy. To jego główna wada.

- W takim razie to musi być miłość.

- Co nie tłumaczy Ariane Le Minier.

- Pewnie, że nie. Swoją drogą, ale afera! Nie tylko lesbijka, ale upadła kobieta i samotna matka.

Wszystkie możliwe archetypy. To chyba ten hotel, gdzie podobno mieszkają. Może już wrócili.

Zaczęła skręcać na parking hotelowy, gdy drogę zajechał jej mercedes, który zaczął się niezdarnie cofać w poprzek bramy.

- Spierdalaj - rzekła Leonora. - Spieprzaj, dupku.

- O rany - jęknął Blackadder. - To Cropper.

- No to niech spierdala. Blokuje ruch na parkingu - odparła Leonora mentorskim tonem, trąbiąc kilkakrotnie z wielką energią. Mercedes na przemian ruszał do przodu i się cofał, manewrując precyzyjnie, aby zająć miejsce parkingowe, w którym ledwie się mieścił. Leonora opuściła szybę i zawołała:

- Słuchaj, palancie, nie zamierzam tu stać całą noc. Tylko przejadę, poczekaj chwilę, dobra?

Mercedes pojechał do przodu, po czym znów się cofnął. Leonora ruszyła w stronę bramy.

Mercedes ustawił się w poprzek.

- Na rany Chrystusa, daj mi wjechać, ty kutasie! - wrzasnęła Leonora.

Mercedes cofnął się nieco, pod trochę innym kątem.

Leonora mocno nacisnęła pedał gazu. Blackadder usłyszał wibrujący huk i poczuł wstrząs wzdłuż kręgosłupa. Leonora zaklęła i wrzuciła wsteczny bieg. Rozległ się jęk rozdieranego metalu. Błotniki zwały się i oba samochody zamarzyły szczipione jak dwa byki z wygiętymi rogami. Leonora nadal się cofała.

- Nie, nie, proszę się zatrzymać - szepnęła nerwowo Blackadder. Gniewny pomruk mercedesa ucichł raptownie. Ciemne okno opadło i Cropper wysunął głowę.

- *Arrêtez s'il vous plaît* - powiedział. - *Nous nous abîmons. Veuillez croire que je n'ai jamais rencontré de pires façons sur les routes françaises. Une telle manque de politesse...**

Leonora pchnęła drzwi i energicznie wystawiła na zewnątrz bosą stopę.

- Mówimy zupełnie dobrze po amerykańsku, ty arogancka świni - rzekła. - Pamiętam cię z Lincoln. Omal mnie nie zabiłeś.

- Cześć, Mort - powiedział Blackadder.

- A, to ty James - powiedział Cropper. - Zniszczyłeś mi samochód.

- To ja go zniszczyłam - oznajmiła Leonora. - Przez pańskie obrzydliwe maniery i brak sygnalizacji.

- To jest profesor Stern, Mortimerze - powiedział Blackadder.

- Z Tallahassee. Opracowuje dzieła Christabel LaMotte.

- I szuka Bailey i Mitchella?

- Właśnie.

- Opuścili hotel. Trzy godziny temu. Nikt nie wie, co tu robili. Ani gdzie jeździli.

- Jeżeli podeprzesz ten zderzak plecami, Mortimerze - powiedział Blackadder - a ja usiądę na naszym, może trzęsąc i kołysząc jakoś je uwolnimy.

- Nigdy już nie będzie taki sam - powiedział Cropper.

* *Arrêtez...* (fr.) - Proszę się zatrzymać. Niszczymy sobie samochody. Proszę mi wierzyć, nigdy jeszcze na drogach francuskich nie spotkałem równie złych manier. Co za niegrzeczność.

- Czy pan tu mieszka? - zapytała Leonora. - Może byśmy porozmawiali o tym przy jakimś drinku? Nie wiem, do jakiej wysokości ubezpieczają samochody w tej firmie wynajmu.

Nie była to przyjemna kolacja. Blackadder nigdy jeszcze nie widział Croppera tak wytrąconego z równowagi, może uszkodzeniem samochodu, może ucieczką Rolanda i Maud, może obecnością Leonory. Amerykanin nie żałował sobie i na początek zamówił ogromny półmisek owoców morza, górę muszli, wąsów i twar-

dych jak kamień skorup, otoczonych wodorostami na metalowym piedestale, po nich zaś ogromnego, gotowanego pająka morskiego, *araignée*, w kolorze wściekłego szkarłatu, całego w strupach i pancernych grzebieńiach, wymachującego zwielokrotnionymi czułkami. Do spożycia tej uczy potrzebna była niemal zbrojownia, wyposażenie średniowiecznej sali tortur, szczypce i klamry, ostre pręty i spiralne szpikulce.

Blackadder wstrzemięźliwie jadł dorsza, Leonora jadła homara i rozmawiała o Kerkemet.

- To takie smutne, zostały tylko fundamenty i mur wokół sadu. Menhir wciąż istnieje, lecz domu już wcale nie ma. Czy wie pan, profesorze Cropper, co się stało z LaMotte po tym, jak tu przyjechała?

- Nie. W Ameryce mam w swoim posiadaniu kilka listów, z których wiadomo, gdzie przebywała w 1861 roku, ale na temat roku, o którym pani mówi, 1860, nie ma nic. Ale się dowiem.

W jednej ręce dzierżył szczypce do skorup, w drugiej szpikulce, rozdwojony niby język węża. Sτέρα odpadków na jego talerzu była większa niż pierwotna gromada stworzeń; białe, smakowite kaski zostały wydobyte co do jednego.

- Zamierzam zdobyć te listy, jeżeli tylko będę mógł - powiedział. - I zamierzam dowiedzieć się reszty.

- Reszty?

- Co stało się z ich dzieckiem. Co przed nami ukryli. *Zamierzam się tego dowiedzieć.*

- Być może zabrali sekret na zawsze ze sobą do grobu - zauważył Blackadder, wznosząc kieliszek w stronę srogiej i melancholijnej twarzy po drugiej stronie stołu. - Czy mogę zaproponować toast? Za Randolpha Henry'ego Asha i Christabel LaMotte. Niech spoczywają w spokoju.

Cropper podniósł kieliszek.

- Wypiję za to. Ale zamierzam się dowiedzieć.

Rozstali się u stóp schodów, gdzie Cropper uklonił się Blackadderowi i Leonorze, po czym się oddalił. Leonora położyła dłoń na ramieniu Blackaddera.

- Trochę wzbudza lęk, jest taki intensywny, wszystko bierze do siebie. Jakby zrobili to, aby go oszukać. Jego osobiście.

- Zapewne tak właśnie uczynili. Między innymi. Szekspir, pisząc swą kłótwę*, przewidział, że będzie istniał ktoś taki.

- Cieszę się, że zarysowałam ten jego wielki karawan. Czy wejdzie pan ze mną na górę? Jest mi dziś bardzo smutno, moglibyśmy dać sobie pocieszenie. Morze i słońce sprawiają, że staję się sentymentalna.

- To miło z pani strony, ale nie, dziękuję. Jestem wzruszony, wdzięczny i zadowolony, że mnie tu pani przywiozła; zapewne będę zawsze żałował... ale lepiej nie. Nie czuję się... - chciał powiedzieć „na siłach” albo „w pani klasie”, albo po prostu „dość silny”, ale wszystko to brzmiałoby trochę obraźliwie.

- Nie ma się czym martwić. Szkoda komplikować dobry roboczy związek, co?

Pocałowała go na dobranoc - ze znaczną siłą - i odmaszerowała wielkimi krokami.

Następnego dnia postanowili zboczyć trochę z trasy i obejrzeć kaplicę z drewnianym Chrystusem Gauguina. Właśnie jechali spokojnie boczną drogą, gdy usłyszeli za sobą dziwny i przerażający dźwięk, niby kaszel, na który nakładały się regularne, rytmiczne grzmotnięcia, po czym następowało coś w rodzaju rżenia, jak gdyby krzyczało ranne zwierzę lub przetaczał się skrzypiący wóz z koślawym kołem. Wielki mercedes z

wgniecionym błotnikiem i najwyraźniej uszkodzoną maską wyprzedził ich, zgrzytając na skrzyżowaniu. Jego kierowca znów był niewidoczny, lecz rana boleśnie rzucała się w oczy.

- Okropne - powiedziała Leonora. - Złowrogie.
- Cropper to Ankou - powiedział Blackadder w nagłym olśnieniu.

* Chodzi zapewne o epitafium Szekspira, jego własnego autorstwa, umieszczone na nagrobku pisarza w Stratfordzie: O przyjaciele, na Jezusa rany, Proch uszanujcie, tutaj pogrzebany. Błogosławieństwo przyjaznej mi duszy, A klątwa temu, kto me kości ruszy. Przeł. Włodzimierz Lewik (przyp. tłum.).

- Oczywiście - przyznała Leonora. - Powinniśmy byli od razu się domyślić.
- W tym tempie nie dogoni Bailey i Mitchella.
- Ani my.
- Pogoń właściwie nie ma większego sensu. Moglibyśmy urządzić sobie piknik.
- Tak zrobmy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Maud siedziała przy swoim biurku w Lincoln i przepisywała fragment.

Jedynie w stanie pełnego zakochania główna zawartość libido przemieszcza się na przedmiot uczucia, który to przedmiot w pewnej mierze zajmuje miejsce *ja*.

„Oczywiście ego, id i superego - pisała - stanowią metaforyczne hipostazje czegoś, co należy postrzegać...”.

Wykreśliła „należy postrzegać” i napisała „można odczuwać”.

Jedno i drugie było metaforą. Napisała zatem: „można tłumaczyć jako wydarzenia w niezróżnicowanym korpusie doświadczenia”.

Korpus był metaforą. „Wydarzenia” rymowało się z „doświadczenia”, co było nieładne. Metaforą było zapewne także samo „wydarzenie”.

Całą sobą odczuwała obecność Rolanda w białym szlafroku frotte, siedzącego na podłodze za jej plecami, opartego o białą kanapę, na której spał podczas swej pierwszej wizyty i na której sypiał teraz. Palcami wyobraźni wyczuwała puch miękkich, ciemnych włosów, unoszących się nad jego czołem, wyczuwała zmarszczkę pomiędzy brwiami. On czuł, że jego posada przepadała; ona wyczuwała jego uczucie. On miał uczucie, że się czai.

Jeżeli wyjdzie, pokój będzie szary i pusty.

Jeżeli nie wyjdzie, jakże ona ma się skoncentrować?

* Sigmund Freud, „Wstęp do psychoanalizy”, przeł. Henryk Skwieceński (przyp. z Freuda, przydatny do referatu o metaforze: tłum.).

Był październik. Dla niej zaczął się semestr. On nie wrócił do Blackaddera. Nie wrócił też do swego mieszkania, z jednym wyjątkiem, kiedy wskutek ponawianych na próżno telefonów do Val pojechał upewnić się, czy nie umarła. Zastał dużą kartkę opartą o butelkę po mleku: WYJECHAŁAM NA KILKA DNI.

Zapisywał ciągi słów. Zapisywał ciągi słów, które nie chciały się uporządkować w zdania krytyki lub teorii literackiej. Miał nadzieję - więcej, przeczucie - że zbliża się czas pisania poezji, lecz jak dotychczas nie posunął się poza ciągi wyrazów, te jednakże odczuwał jako przymusowe i rozpaczliwie ważne. Nie wiedział, czy Maud rozumie - widzi - ich znaczenie, czy też sądzi, że to idiotyzm. Całym sobą odczuwał obecność Maud. Czuł, że ona wyczuwa, że on czuje, że jego posada przepadła i że się przyczaił.

Napisał: krew, glina, terakota, goździk.

Napisał: płowy, płonący krzak, niewspółmierność.

Skomentował: „niewspółmierność w sensie Donne'a, «ta sama niewspółmierność zgoła, która dzieli powietrza czystość i anioła»*, nic wspólnego z matematyką”.

Napisał: ukwiał, koral, węgiel, włos, włosy, pazur, pazury, sierść, sowa, weszklejest, skarabeusz.

Odrzucił: drewniany, punkt, ogniwo i inne dwuznaczne wyrazy, również płamę i pustkę, choć wszystkie przychodziły (kolejne słowo, nad którym się wahał) mu do głowy. Nie był pewien miejsca czasowników w języku pierwotnym. Tryskać, tryska, tryskał, tryśnięcie, tryskanie.

Strzała, gałąź (nie konar, nie korzeń), kompost, woda, niebo.

Zbiory słów to pętle i przecinające się koła. Określają nas linie, które decydujemy się przekroczyć lub uznać za granice.

Powiedział:

- Wyjdę, żebyś mogła myśleć.

* John Donne, „Powietrze i anioły”, przeł. Stanisław Barańczak (przyp. tłum.).

- Nie trzeba.

- Tak będzie lepiej. Mam coś kupić?

- Nie. Już załatwione.

- Mógłbym dostać pracę; w barze, w szpitalu albo gdzieś.

- Zastanów się przez jakiś czas.

- Czasu nie jest wiele.

- Można go stworzyć.

- Mam uczucie, że po prostu się czaję.

- Wiem. To się zmieni.

- Nie jestem pewien. Zadzwoił telefon.

- Czy to dr Bailey?

- Tak.

- Czy jest tam Roland Mitchell?

- To do ciebie.

- Kto?

- Młody mężczyzna, wykształcony. Przepraszam, kto mówi?

- Pani mnie nie zna. Nazywam się Euan MacIntyre i jestem prawnikiem. Właściwie chciałem porozmawiać z panią, nie z Rolandem, ale Roland też będzie mile widziany. Chciałbym mu powiedzieć parę rzeczy. Ale mam coś ciekawego do przekazania przede wszystkim pani.

Maud zakryła mikrofon i zakomunikowała to wszystko Rolandowi.

- Może przyjdą państwo dziś na kolację do Białej Łani, powiedzmy, o wpół do ósmej? Państwo oboje.

- Lepiej tak zrobimy - powiedział Roland.

- Dziękujemy bardzo - powiedziała Maud. - Z przyjemnością.

- Nic mi nie wiadomo o przyjemności - powiedział Roland.

Tego wieczora wchodzili do baru w Białej Łani z pewną obawą. Po raz pierwszy pokazywali się publicznie razem jako para - jeżeli nią byli. Maud miała na sobie dzwonkowy błękit, jej ciasno upięte włosy lśniły. Roland patrzył na nią z miłością i rozpaczą. Na świecie została mu już tylko Maud - nie miał domu, pracy ani przyszłości - i właśnie ta nicość sprawiała, że niemożliwe było, aby Maud traktowała go poważnie lub nadal pragnęła jego obecności.

Czekały na nich trzy osoby; Euan MacIntyre w grafitowym garniturze i złocistej koszuli, Val, promienna, w błyszczącym kostiumie koloru cyny i śliwkowej bluzce, oraz pan w tweedach, z otoczoną puchem łysiną, którego Euan przedstawił:

- Toby Byng. Posiadamy po jednej końskiej nodze. Jest prawnikiem.

- Wiem - powiedziała Maud. - Prawnikiem sir George'a.

- Nie dlatego tu przyszedł, a w każdym razie nie tylko dlatego.

Roland wpatrzył się w wygładzoną Val, od której bił blask naprawdę drogiego i dobrze skrojonego stroju, a co ważniejsze, niedające się z niczym pomylić lśnienie zadowolenia, czerpanego z radości seksualnej. Miała nową fryzurę - krótką, miękką, cieniowaną, unoszącą się nieco, gdy potrząsała głową i znów układającą się w doskonałość. Cała była w zgaszonych fioletach i gołąbkowych, nakrapianych jedwabiach, zrównowazona i ładna, pończochy, pantofelki, watomane ramiona, umalowane usta. Instynktownie powiedział:

- Val, wyglądasz na szczęśliwą.

- Uznałam, że mogę być szczęśliwa.

- Szukałem cię. Dzwoniłem i dzwoniłem. Żeby sprawdzić, czy nic ci się nie stało.

- Niepotrzebnie. Pomyślałam, że skoro ty mogłeś zniknąć, to ja też mogę. Co też zrobiłam.

- Cieszę się.

- Wychodzę za Euana.

- Cieszę się.

- Mam nadzieję, że nie *całkiem* się cieszysz.

- Oczywiście, że nie. Ale wyglądasz...

- I ty. Jesteś szczęśliwy?
- W pewien sposób. Ale poza tym same kłopoty.
- Komorne jest zapłacone do pierwszego tygodnia października włącznie. To znaczy za ten tydzień też.
- Nie takie kłopoty. Przynajmniej...
- Euan coś wie o waszych prawdziwych kłopotach, z Randolphem i Christabel.

Usiedli przy narożnym stole, nakrytym różowym obrusem i sztywnymi, różowymi serwetkami, w dużej, wykładanej drewnem sali jadalnej, gdzie pod sufitem migotały kryształowe żyrandole. Na stole stał jesienny bukiet: matowe różowe astry, liliowe chryzantemy, kilka frezji. Euan zamówił szampana, po czym zabrali się do wędzonego łososia, bażanta z dodatkami, sera stilton i sufletu cytrynowego. Roland uznał, że bażant jest twardy, a sos chlebowy przypomina świąteczne potrawy jego matki. Rozmawiali o pogodzie, bardzo po angielsku, a wokół stołu, również po angielsku, przebiegały delikatne prądy seksualnego niepokoju. Roland widział, że Val podsumowuje Maud jako piękną i zimną, widział, jak Maud przygląda się Val i ocenia jego samego w stosunku do Val, ale nie miał pojęcia, jak wypadnie jej osąd. Widział też, że obie kobiety reagują na przyjazny entuzjazm Euana; Euan rozśmieszał wszystkich, Val promieniała dumą i szczęściem, a rozluźniona Maud zaczęła się uśmiechać. Pili dobrego burgunda i śmiali się coraz swobodniej. Okazało się, że Maud i Toby Byng mają wspólnych znajomych z dzieciństwa, potem Euan i Maud rozmawiali o polowaniach. Roland czuł, że stoi coraz bardziej z boku, że jest obserwatorem. Zapytał Toby'ego Bynga o zdrowie Joan Bailey i uzyskał odpowiedź, że długo była w szpitalu, ale że już wyszła.

- Mortimer Cropper wmówił sir George'owi, że dochód ze sprzedaży korespondencji - w każdym razie, gdyby to on ją kupił - wystarczy na odbudowę Seal Court i zapewni lady Bailey najnowsze zdobycze techniki medycznej.

- Przynajmniej ktoś na tym skorzysta - powiedział Roland. Euan nachylił się nad stołem.
- O tym właśnie chcieliśmy pomówić. Kto właściwie? Zwrócił się do Maud.
- Kto jest właścicielem praw autorskich do opowiadań i wierszy Christabel LaMotte?

- My. Moja rodzina. Tak nam się wydaje. Dokumenty zostały przekazane w depozyt archiwum Ośrodka Studiów Gender w Lincoln, gdzie pracuję. To znaczy rękopisy „Wróżki Meluzyny”, „Miasta Is”, dwa tomy bajek i mnóstwo rozproszonych wierszy. Listów jest niewiele, a dziennik Blanche Glover kupiliśmy na aukcji u Sotheby'ego całkiem bez rozgłosu, nikt nie zdawał sobie sprawy z jego znaczenia. Badanie twórczości kobiet nie jest jeszcze zbyt popłatne. Oczywiście, kiedy już prace ukażą się w druku, prawa autorskie wygasają po pięćdziesięciu latach, jak wszędzie.

- Czy przyszło pani do głowy, że może pani być właścicielką praw autorskich na tę część korespondencji, którą pisała Christabel?

- Owszem, ale to chyba nieprawda. Nie wydaje mi się, żeby istniał jakiś testament albo coś w tym rodzaju. Było tak: po śmierci Christabel w 1890 roku jej siostra Sophie wysłała całą paczkę papierów swej córce May, która była moją praprababką - miała wówczas około trzydziestki, pradziadek urodził się w 1880 roku, a May wyszła za mąż w 1878. Były z tym związane jakieś nieprzyjemności, ówczesny sir George nie wierzył w małżeństwa między stryjecznym rodzeństwem, a tak się tutaj stało. I stosunki między rodzinami były złe. A więc Sophie wysłała te papiery wraz z listem przewodnim - nie pamiętam dokładnie, ale brzmiał jakoś tak:

„Najdroższa May, muszę ci przekazać bardzo smutną wiadomość, a mianowicie, że moja ukochana siostra Christabel zmarła nagle wczoraj wieczorem. Często wyrażała życzenie, abys otrzymała jej pisma i wiersze - jesteś moją jedyną córką, ona zaś była mocno przekonana o znaczeniu przekazywania spuścizny w linii żeńskiej. Wysłałam ci zatem wszystkie papiery, jakie udało mi się odnaleźć - nie wiem, czy w ogóle są wartościowe - lecz mam nadzieję, że przechowasz je bezpiecznie, gdyż przynajmniej ona sama wierzyła - a znawcy to potwierdzali - że była lepszą poetką, niż się na ogół sądziło". Dalej pisze, że gdyby May mogła przyjechać na pogrzeb, jej obecność byłaby wielką pociechą, lecz że ona - Sophie - rozumie, iż moja praprababka ciężko przeżyła ostatni poród i że jest bardzo zajęta. Nie ma dowodów, że May pojechała. Zatrzymała wszystkie te papiery, lecz nic nie wskazuje na to, że się w ogóle nimi interesowała.

- Musiały poczekać na panią - powiedział Euan.

- Chyba tak. Tak. Lecz co się tyczy własności - jeżeli Christabel zmarła, nie pozostawiając testamentu, może się okazać, że nawet to, co ja mam, należy do sir George'a... Jakoś nie widzę, by Cropper i S-ka uznali moje moralne prawa.

- Tak mniej więcej myślałem - powiedział Euan. - Poprosiłem Val, by powiedziała mi wszystko, co wie...

- Niewiele - wtrąciła Val.

- Dostatecznie dużo, jeśli chodzi o Croppera i S-kę. Poprosiłem więc mego dobrego przyjaciela Toby'ego, aby pogrzebał w starych skrytkach, które przechowuje jego firma. Ma pewne wyrzuty sumienia - jest przecież rodzinnym prawnikiem sir George'a i, prawdę mówiąc, nie może nic więcej zrobić w naszej sprawie. Ale my - on - znaleźliśmy coś, co, naszym zdaniem, powinna pani zobaczyć, i musimy - to znaczy pani musi, ale mamy nadzieję, że zgodzi się pani, bym ją reprezentował - musimy bardzo starannie przemyśleć, jak postępować dalej. Tak czy inaczej, z prawnego punktu widzenia nie ma wątpliwości, czyje są te listy. Przyniosłem kserokopię. Niech Bóg błogosławi kserokopiarce. Autentyczność podpisu sprawdziłem w tym ośrodku gendrowym pod pani nieobecność. Co pani o tym sądzi?

Maud wzięła do ręki pojedynczą kartkę.

Dyktowane mej siostrze, Sophie Bailey, w dniu 1 maja 1890 roku, gdyż jestem zbyt słaba, by pisać wyraźnie. Pragnę, by Sophie zatrzymała moje pieniądze, meble i porcelanę. Jeżeli Jane Summers z Richmond jeszcze żyje, niech otrzyma po mnie jakąś pamiątkę oraz 60 funtów. Wszystkie moje książki i pisma oraz prawa autorskie zapisuję Mai Thomasine Bailey, w nadziei, że gdy czas się dopełni, ona również zainteresuje się poezją. Podpisano: Christabel LaMotte, w obecności Lucy Truck, pokojowej, i Williama Marchmonta, ogrodnika.

Euan powiedział:

- Znaleźliśmy to złożone w stercie rachunków Sophie. Wynika z nich jasno, że odszukała Jane Summers i wypłaciła jej zapis. I zatrzymała ten skrawek papieru. Wyobrażam sobie, że uznała, iż zrobiła wszystko, co konieczne - spełniła wolę siostry - i zwyczajnie schowała dokument.

- Czy z tego wynika, że listy są moje? - zapytała Maud.

- Prawa autorskie do nieopublikowanych listów należą do ich autora. Listy jako takie fizycznie należą do adresata. O ile nie zostały zwrócone, tak jak te.

- Chodzi o to, że on zwrócił jej listy, które do niego pisała?

- Właśnie. Z tego, co wiem - no, Toby tak mówi - jest wśród nich list, w którym on pisze, że zwraca jej korespondencję do rąk własnych.

- A zatem - jeśli ma pan rację - wszystkie listy materialnie należą do mnie, a ponadto posiadam prawa autorskie do jej listów.

- Otóż to. Co prawda, nie wszystko jest tu oczywiste, sir George mógłby to podważyć i pewnie powinien spróbować. Ten dokument to nie jest porządny testament, nie został zarejestrowany w Somerset House, mnóstwo tu luk i punktów zaczepienia. Ale w moim przekonaniu będzie pani mogła udowodnić swój tytuł do całego zbioru listów, jej i jego. Teraz problem w tym, jak postępować dalej, nie narażając interesów tu obecnego Toby'ego, którego pozycja jest bardzo niepewna pod względem etycznym. Jak ten dokument mógłby ujrzeć światło dzienne bez jego udziału?

- Jeżeli sir George zakwestionuje pani roszczenia, może się zdarzyć, że wyda pani na prawników wszystko, co pani uzyska - powiedział Toby.

- Jak w „Bleak House” - wtrąciła Val.

- Właśnie - rzekł Euan. - Ale może pójdzie na ugodę. Teraz musimy znaleźć jakiś sposób, aby ujawnić ten dokument, nie ujawniając równocześnie, że Toby celowo go odszukał; będę chyba musiał wymyślić historijkę, w której pada moją ofiarą - na przykład, że przekonałem go, aby pokazał mi te papiery podczas poszukiwań na niby - a potem go zaskoczyć...

- Piractwo - powiedziała Val z uwielbieniem.

- Gdyby pani zechciała skorzystać z moich usług...

- Nie zarobi pan wiele - powiedziała Maud. - Jeżeli te papiery są moje, trafią do archiwum Ośrodka Studiów Gender.

- Zrozumiałe. Nie robię tego dla pieniędzy. Dla emocji, dla ciekawości, rozumie pani? Choć sądzę, że powinna pani rozważyć możliwość, że będzie musiała je sprzedać - nie Cropperowi, ale Bibliotece Brytyjskiej lub innemu przyzwoitemu ośrodkowi - żeby spłacić sir George'a.

Roland powiedział:

- Lady Bailey była dla nas miła. Przydałby się jej wózek. Maud powiedziała:

- Archiwum Ośrodka jest od swego poczęcia haniebnie niedoinwestowane...

- Gdyby wszystkie te papiery znalazły się w Bibliotece Brytyjskiej, mogłabyś mieć mikrofilmy i dotacje, i wózek...

Maud spojrzała nań wojowniczo.

- Gdyby te papiery znalazły się w archiwum, przyciągnęłyby dotacje...

- Maud...

- George Bailey był dla mnie - i dla Leonory - niezmiernie przykry...

- Kocha swoją żonę - powiedział Roland - i swoje lasy.

- Tak jest - powiedział Toby Byng.

- Sądzę - powiedziała Val - że nie powinniśmy się kłócić o coś, czego jeszcze nie mamy - to znaczy, nie macie. Myślę, że trzeba posuwać się krok po kroku. Myślę, że powinniśmy wypić zdrowie Euana, który to wszystko wymyślił, i zastanowić się, co robić dalej.

- Mam kilka pomysłów - rzekł Euan. - Ale wymagają przemyślenia i badań.

* Ponura, tocząca się w świecie zbrodni powieść Karola Dickensa (1812-1870) (przyp. tłum.).

- Sądzisz, że jestem chciwa - powiedziała Maud, gdy wrócili do domu.

- Nie, wcale nie. Dlaczego miałbym tak sądzić?

- Czuję twoją dezaprobatę.

- Jesteś w błędzie. Jakie miałbym prawo cię osądzać?

- To znaczy, że jednak to robisz. Mam powiedzieć Euanowi, żeby sobie poszedł?

- To twoja sprawa.

- Roland.

- Ja mam z tym niewiele wspólnego.

W tym tkwił cały problem. Czuł się wypchnięty na margines. Na margines jej rodziny, jej feminizmu, łatwości, z jaką obcowiała z równymi sobie. Było tu wiele kół, on zaś przebywał na zewnątrz wszystkich. Rozpoczął to - jak by to nazwać - to śledztwo - i stracił wszystko, oddając Maud materiały, dzięki którym ona mogła niepomrotnie poprawić swój los - pracę, przyszłość, Christabel, pieniądze... nienawidził jedzenia obiadów, za które nie mógł zapłacić. Nienawidził życia na koszt Maud.

- Nie możemy teraz zacząć się kłócić - powiedziała Maud - po tym wszystkim, cośmy...

Zamierzał właśnie powiedzieć, że wcale się nie kłóca, kiedy zadzwonił telefon.

Głos był damski, drżący i bardzo zdenerwowany.

- Chciałabym rozmawiać z Maud Bailey.

- Przy telefonie.

- Tak. Cóż. Tak. O Boże. Myślałam i myślałam, czyby do pani nie zadzwonić - pewnie pani uzna, że zwariowałam albo że po prostu panią nabieram, albo się narzucam - sama nie wiem - ale tylko pani przychodzi mi do głowy, więc przez cały wieczór siedzę i zastanawiam się nad tym, i dopiero teraz uświadomiłam sobie, że jest za późno, żeby dzwonić do ludzi. Musiałam w ogóle stracić poczucie czasu. Może zadzwonię do pani jutro, ale jutro może być za późno, no, może nie już jutro, ale bardzo prędko, jeżeli mam rację - to tylko dlatego, że wydawało mi się, że panią to obchodzi, rozumie pani, że pani zależy...

- Proszę... ale kto mówi?

- O Boże, oczywiście. Ja nigdy pierwsza do nikogo nie dzwonię. Telefon mnie przeraża. Tu Beatrice Nest. W imieniu Ellen Ash. Nie, to znaczy właściwie nie w imieniu, ale naprawdę mam uczucie - czuję, że to dla niej...

- Dr Nest, co się stało?

- Przepraszam. Niech trochę ochłone, zaraz zacznę mówić składnie. Próbowałam dodzwonić się do pani wcześniej, ale nikt nie odpowiadał. Teraz też nie spodziewałam się pani zastać, dlatego jestem taka podniecona i zbita z tropu. Tak.

- Rozumiem doskonale.

- Chodzi o Mortimera Croppera. Był tutaj - to znaczy nie tutaj, oczywiście, teraz jestem w domu, w Mortlake, ale w moim pokoju w muzeum, był tam kilka razy, i bardzo szczegółowo przeglądał niektóre partie dziennika...

- Dotyczące wizyty Blanche Glover?

- Nie, nie, dotyczące pogrzebu Randolpha Asha. I dzisiaj przyprowadził młodego Hildebranda Asha - to znaczy on nie jest taki młody, jest całkiem stary i niewątpliwie gruby, ale młodszy niż sam lord Ash, rzecz jasna - może pani nie wie, ale Hildebrand Ash będzie następcą lorda Asha, jeżeli ten umrze - kiedy ten umrze - a on nie jest zdrowy, tak mówi James Blackadder, i oczywiście nie odpowiada na żadne listy - ja wcale nie piszę często, nie ma takiej potrzeby, ale kiedy to robię, on nie odpowiada...

- Dr Nest?

- Wiem. Jest pani pewna, że nie wolałaby, żebym zadzwoniła jutro?

- Nie. To znaczy tak, jestem pewna. Zżera mnie ciekawość.

- Podśledzałam, jak rozmawiali. Myśleli, że wyszłam... no, z pokoju. Dr Bailey, jestem *całkowicie pewna*, że profesor Cropper chce otworzyć - *wykopać* - Ashów. Z grobu w Hodershall. Razem z Hildebrandem Ashem. Chcą się dowiedzieć, co jest w skrzynce.

- W jakiej skrzynce?

Zdyszana Beatrice Nest wielce okólnie wyjaśniła, w jakiej skrzynce.

- Od lat powtarzał, że trzeba ją wykopać. Lord Ash nie chciał o tym słyszeć, a poza tym trzeba mieć dyspensę od biskupa, żeby zakłócić spokój grobu, wie pani, a Cropper nigdy by jej nie dostał - ale on twierdzi, że Hildebrand Ash ma *moralne prawo* do tej skrzynki, a sam też je ma - ma prawo - bo przecież tyle zrobił dla Randolpha Asha; on mówi, że... słyszałam, jak mówił: „Czemu nie zachować się jak złodzieje, którzy skradli «Impresję: wschód słońca»*, czemu jej nie zabrać, nie zobaczyć, co jest w środku, a później znaleźć wiarygodne wytłumaczenie?”. Słyszałam go...

* Mowa o skradzionym i odzyskanym obrazie Claude'a Moneta z 1872 r., od którego tytułu wzięł nazwę impresjonizm (przyp. tłum.).

- Czy wie o tym profesor Blackadder?

- Nie.

- Nie sądzi pani, że powinna mu powiedzieć?

- Nie lubi mnie. Nikogo nie lubi, ale mnie bardziej niż innych. Powiedziała by, że zwariowałam, albo uznał by, że to moja wina, że Mortimer Cropper powziął ten okropny plan - on też nienawidzi Croppera - nie sądzę, by mnie wysłuchał. Mam dość małych upokorzeń. Pani rozmawiała ze mną rozsądnie, pani rozumiała Ellen Ash, pani na pewno widzi, że trzeba to powstrzymać w jej imieniu. Powiedziałabym Rolandowi Mitchelowi - ciągnęła - ale on gdzieś przepadł. Co pani zdaniem powinnam zrobić? Co w ogóle można zrobić?

- Roland jest tutaj, dr Nest. Może wrócimy do Londynu. Właściwie nie możemy wezwać policji...

- Co byśmy im powiedzieli?

- Właśnie. Czy pani zna pastora kościoła, przy którym znajduje się grób?

- To pan Drax. Nie lubi naukowców. Ani studentów. Ani chyba Randolpha Asha.
- Wszystkie osoby związane z tą sprawą wydają się bardzo drażliwe.
- A sam Ash był przecież taki wielkoduszny - odparła dr Nest, nie zaprzeczając wszakże ocenie Maud.
- Miejmy nadzieję, że wyprosi Mortimera Croppera. Może powinniśmy się z nim zobaczyć?
- Nie wiem. Sama nie wiem, co robić.
- Muszę się poradzić. Zadzwońię do pani jutro.
- Proszę, dr Bailey, proszę się spieszyć.

Maud ogarnęło podniecenie. Powiedziała Rolandowi, że muszą jechać do Londynu, i zaproponowała, by naradzili się z Euanem MacIntyre'em, w jaki sposób udaremnić planowane działania Croppera. Roland przyznał, że to dobry pomysł, gdyż był nim w istocie, niemniej pod innym względem zwiększał jeszcze jego własne poczucie nierzeczywistej izolacji. Leżał bezsennie sam w białym łóżku i martwił się. Coś, co było tajemnicą, zniknęło. Dotychczas czuli oboje z Maud, że muszą zachować „badania” w sekrecie; milcząc, cieszyli się tajemniczością i sobą nawzajem. Teraz, kiedy prawda wyszła na jaw, wydało mu się, że pobudzona ciekawość Euana i Toby'ego umniejsza ją tak samo, jak gorączkowa żądza i wściekłość Croppera i Blackaddera. Entuzjazm i wdzięk Euana nie tylko starły z twarzy Val niechętny i nadąsany wyraz, lecz obdarzyły blaskiem i brawurą również Maud. Wydawało mu się, że z Euanem i Tobym Maud rozmawia swobodniej niż z nim, wydawało mu się, że Val z przyjemnością przejmuje odeń pogoń. Przypomnił sobie najwcześniejsze wrażenie, jakie zrobiła na nim Maud - apodyktyczna, arogancka, krytyczna. Kiedyś należała do Fergusa. Ich własne milczące gry były skutkiem przypadku, krótkiego, sztucznego odosobnienia, tajemniczości. Nie mogły przetrwać na otwartej przestrzeni. Nie wiedział zresztą, czy chce, aby przetrwały. Odnalazł swą pierwotną myśl i powiedział sobie, że przed przybyciem Maud miał Randolpha Asha i jego słowa, a teraz nawet to - przede wszystkim to - odmieniło się i zostało mu zabrane.

Nie wspomniął ani słowa o tym wszystkim Maud, która zdawała się nic nie dostrzegać.

Euan, którego poradzili się nazajutrz, również dał się ponieść podnieceniu. Wszyscy - powiedział - pojedą do Londynu, porozmawiają z panną Nest, a potem urządzą naradę wojenną. Może będą mogli śledzić Croppera i złapać go *in flagrante delicto*. Według prawa istniała subtelna różnica pomiędzy profanowaniem grobów na przykościelnych miejscach grzebalnych oraz na cmentarzach publicznych. Hodershall, jako przykościelny cmentarz anglikański, kwalifikował się do miejsc grzebalnych. On i Val pojedą tam porsche i spotkają się na miejscu z Rolandem i Maud. Czemu wszyscy nie mieliby najpierw wpaść do niego i stamtąd zadzwonić do dr Nest? Ma mieszkanie w Barbican, bardzo wygodne. Toby musi zostać, aby pilnować skrzynek z dokumentami i interesów sir George'a.

- Mogłabym się zatrzymać u ciotki Lettice - powiedziała Maud. - To starsza pani, mieszka na Cadogan Square. Chciałbyś pojechać ze mną?
- Chyba zostanę w mieszkaniu w Putney.
- Chcesz, żebym z tobą poszła?
- Nie.

To nie było miejsce dla niej, wśród brudnych mebli i zapachu kotów, przepełnione wspomnieniami doktoratu i jego życia z Val. Nie chciał tam widzieć Maud.

- Muszę przemyśleć kilka spraw. Swoją przyszłość. Co zamierzam robić. Mieszkanie, jak zapłacić komorne, a może nie płacić? Przydałaby mi się noc dla siebie.

- Czy coś się stało? - zapytała Maud.

- *Muszę przemyśleć swoje życie.*

- Przepraszam. Mógłbyś przyjść do mojej ciotki...

- Nie przejmuj się tak. Chciałbym zostać sam, tę jedną noc.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

DZIENNIK ELLEN ASH

25 listopada 1889

Piszę to o drugiej w nocy, siedząc przy jego biurku. Nie mogę spać, on zaś śni w trumnie swój ostatni sen, bez ruchu i bez duszy, która odeszła. Siedzę wśród rzeczy, które posiadał - a teraz są moje albo niczyje - i myślę, że jego życie, jego obecność, ucieka wolniej z tych nieożywionych form niż z niego, który kiedyś był żywy, a teraz - nie, nie mogę tego napisać, nie powinnam była zaczynać pisania. Mój drogi, siedzę tu i piszę, do kogóż, jeśli nie do Ciebie? Czuję się lepiej pośród Twoich rzeczy - pióro niechętnie kreśli „Ciebie”, „Twoje”, nikogo tu nie ma, a jednak ktoś wciąż jest obecny.

Oto niedokończony list. Oto mikroskopy, szkiełka, książka z zakładką i - och, mój drogi - nie całkiem rozciętymi kartami. Lękam się snu, Randolphie, lękam się snów, które mogą nadejść, a więc siedzę tu i piszę.

Kiedy tam leżał, poprosił mnie: „Spal wszystko, czego nie powinni zobaczyć” - ja zaś powiedziałam: „Dobrze”. Obiecałam. W takich momentach człowieka zdaje się ogarniać upiorna energia, każąca mu działać szybko, zanim działanie stanie się niemożliwe. Nienawidził wulgarności biografii współczesnej, tego plądrowania biurka Dickensa w poszukiwaniu najtrywialniejszych pamiątek, ohydnego wścibstwa Forstera* w prywatny i skrywany ból Carlyle'ów. Często mówił do mnie: spal to, co żyje dla nas, póki żyje pamięć, i nie pozwól, by ktokolwiek uczynił z tego czczą ciekawostkę lub kłamstwo. Pamiętam, jak uderzyło mnie stwierdzenie w autobiografii Harriet Martineau**, że druk prywatnych listów jest formą zdrady - nie można opowiadać prywatnych rozmów przyjaciół grzejących nogi przy kominku w długie zimowe wieczory. Rozpaliłam tu ogień i niektóre rzeczy spaliłam. Spalę ich więcej. Sępy nie będą go szarpać.

* John Forster (1812-1876) - biograf angielski, autor m.in. biografii Karola Dickensa (przyp. tłum.).

** Harriet Martineau (1802-1876) - autorka fabularyzowanych książek ekonomicznych i opowiadań dla młodzieży (przyp. tłum.).

Są rzeczy, których spalić nie mogę. Nie sędzę, bym mogła kiedyś choćby na nie spojrzeć. Są rzeczy, które nie są moje i nie mogę przyczynić się do ich spalenia. I są nasze kochane listy, z tych wszystkich długich lat głupiej rozłąki. Cóż mam zrobić? Nie mogę ich zostawić, by pochowano je ze mną. Zaufanie można za-

wieść. Pochowam te rzeczy wraz z nim, na wieczne odpoczywanie, niech czekają mojego przybycia. Niech przyjmie je ziemia.

Mortimer Cropper, „Wielki brzuchomówca”, 1964, rozdz. 26, „Gdy minie niespokojna życia gorączka”, ss. 449 i d.

Pospiesznie zebrał się komitet, który miał sprawdzić, czy istnieje możliwość pochowania wielkiego człowieka w opactwie westminsterskim. W tym celu lord Leighton udał się na rozmowę z Dziekanem, który podobno żywił pewne wątpliwości co do przekonań religijnych Randolpha Asha. Jednakże wdowa po poecie, z bezsennym oddaniem czuwająca przy jego łożu podczas ostatniej choroby, napisała do lorda Leightona, jak również do Dziekana, oznajmiając, że jest jej życzeniem - i zapewne było życzeniem jej męża - by został pochowany na cichym wiejskim cmentarzu przy kościele św. Tomasza w Hodershall, na skraju North Downs, gdzie pastorem był mąż jej siostry Faith i gdzie zamierzała kiedyś sama spocząć.

Tak więc pewnego dżdżystego listopadowego dnia wiele modnych i literackich osobistości podążało zaroiętą drogą w krainie wzgórz. Kopyta końskie wbijały w błoto żółte liście, nisko na niebie wisiało czerwone słońce²². Trumnę nieśli Leighton, Hallam Tennyson*, sir Rowland Michaels i malarz, Robert Brunant²³, a gdy spoczęła w gliniastym dole, okryta wielkimi białymi wieńcami, Ellen położyła na niej skrzynkę, zawierającą „nasze listy i inne pamiątki”, które były „zbyt drogie, by je spalić, zbyt cenne, by kiedykolwiek wystawić je na widok publiczny”²⁴. Wówczas grób wypełnił się kwiatami i żałobnicy odeszli, pozostawiając ostatni akt łopatom kościelnych, którzy zasypali hebanową szkatułkę i kruche wiązanki miejscową mieszanką kredy, krzemienia i gliny²⁵. Młody Edmund Meredith, siostrzeniec Ellen, zabrał z grobu bukietek fiołków, które starannie zasuszył i przechował między kartami swojego Szekspira²⁶.

* Hallam Tennyson (1852-1928) - syn poety Alfreda Tennysona (przyp. tłum.).

W ciągu kilku następnych miesięcy Ellen Ash wystawiła na grobie prostą czarną płytę z wyrytą na niej sylwetką jesionu, ukazującą rozpiętość korony i korzeni, taką, jaką czasem Ash rysował dla zabawy obok swego podpisu pod niektórymi listami²⁷. Poniżej widniał jego własny przekład epitafium, jakie kardynał Bembo napisał dla Rafaela; ów czterowiersz okrąża grobowiec artysty w Panteonie 464 i pojawia się także w wierszu Asha „Sacrum i profanum”, opiewającym malowidła w watykańskich Stanze*:

Póki Ty żyłeś, Matka nasza drżała,
Żeś kunsztem wielkie jej przewyższył dzieła.

Teraz - gdy zimna śmierć Cię pokonała -

I Jej sił cząstka na zawsze usnęła²⁸.

Poniżej czytamy:

Randolphowi Henry'emu Ashowi, wielkiemu poecie oraz wiernemu i dobremu mężowi, kamień ten poświęca Ellen Christiana Ash, jego nieutulona w żalu małżonka przez lat ponad czterdzieści, w nadziei, że „ze snu krótkiego zbudzi się dusza człowieka w wieczność”²⁹, w której nie będzie już rozłąki

Krytycy późniejszej doby z rozbawieniem lub wzgardą traktowali „napuszony”³⁰ ton porównania pomiędzy tym płodnym wiktoriańskim poetą a wielkim Rafaelem, choć ani jeden ani drugi nie cieszył się popularnością na początku naszego stulecia. Być może bardziej zdumiewający jest fakt, że nie istnieją żadne świadectwa dezaprobaty współczesnych dla braku na nagrobku jakiegokolwiek odwołania do wiary chrześcijańskiej; i przeciwnie, brak też wyrazów podziwu dla taktu Ellen, której udało się takiej wzmianki uniknąć. Wybrany przez nią cytat, poprzez postacie Rafaela i kardynała Bembo, wiąże jej męża z całą wieloznaczną tradycją Renesansu, upostaciowaną w okrągłym Panteonie - kościele chrześcijańskim, pierwotnie zbudowanym na planie klasycznej świątyni. Oczywiście, nie należy stąd wnosić, że przyświecały jej takie idee, choć małżonkowie mogli wcześniej omawiać tę sprawę.

Nie obejdzie się tu bez przypuszczeń co do zawartości skrzynki, pochowanej wraz z Randolphem Ashem; gdy cztery lata później składano do grobu wdowę po poecie, skrzynka ta, jak zaobserwowano, była wciąż nienaruszona³¹. Ellen Ash, podobnie jak całe jej pokolenie, przejawiała wielką pruderię i przeczulenie na punkcie publikacji dokumentów prywatnych. Często spotyka się twierdzenie - nierzadko u samej Ellen³² - że Randolph podzielał te skrupuły. Szczęściem dla nas, w swoim testamencie nie pozostawił on żadnych odnośnych wskazówek; jeszcze większym szczęściem wdowa wykonała jego domniemane polecenie w nader chaotyczny sposób. Nie wiemy, co prawda, jakie bezcenne dane są dla nas stracone, lecz na tych stronicach możemy docenić obfitość tego, co pozostało. Niemniej jednak żałujemy wielce, iż osoby, które w 1893 roku zakłóciły spokój poety, nie uznały za stosowne przynajmniej otworzyć owej skrzynki i spisać jej zawartości dla potomnych. Decyzje takie jak ta, aby zniszczyć bądź ukryć ślady przykładowego życia, podejmowane są na ogół w życiowej gorączce lub, jeszcze częściej, we władzy rozpaczy bezpośrednio *post mortem* i niewiele mają wspólnego z wyważonym osądem i pragnieniem całkowitego, chłodnego poznania, które następują po owych turbulencjach. Rossetti, który poniewczasie wycofał się z decyzji pogrzebienia swych wierszy razem z tragicznie zmarłą żoną*, musiał poniżyć siebie i ją, wykopując je kilka lat później. Często myślę o tym, co Freud napisał o dwuznacznym stosunku naszych prymitywnych protoplastów do zmarłych, których postrzegano to jako demony i duchy, to znów jako czcigodnych przodków:

* Stanze - reprezentacyjne apartamenty papieskie, zdobione freskami i malowidłami Rafaela (przyp. tłum.).

„Fakt, że demony zawsze uważa się za duchy tych, którzy zmarli *ostatnio*, dowodzi nade wszystko wpływu, jaki na źródła wiary w demony wywiera żałoba. Żałoba spełnia bardzo konkretne psychologiczne zadanie; jej celem jest spowodowanie, by pamięć i nadzieja pozostałych przy życiu oderwały się od zmarłych. Gdy to się dokona, ból staje się mniejszy, a z nim maleją także wyrzuty sumienia i w konsekwencji również lęk przed demonem. Te same duchy, które na początku wzbudzały lęk jako demony, teraz mogą oczekiwać bardziej przyjaznego traktowania i są czczone jako duchy przodków, do których zanosimy prośby o pomoc”³³.

Czy zatem - gwoli usprawiedliwienia naszej chęci ujżenia tego, co ukryte - wolno nam stwierdzić, że ci, których potępienie było tak silne, iż w oczach swych bliskich zmienili się w demony, teraz stają się naszymi ukochanymi zmarłymi, a pamiątki po nich radzi byłibyśmy wielbić w świetle dnia?

²² Notatka Swinburne'a w liście do Theodore'a Watts-Duntona. A. C. Swinburne, „Listy zebrane”, t. V, s. 280. Przypuszcza się, że wiersz Swinburne'a, „The Old Ygdrasil and the Churchyard Yew” [Stary Ygdrasil i cmentarny cis] powstał pod wrażeniem śmierci R.H. Asha.

²³ Doniesienie w „The Times” z 30 listopada 1889. Dziennikarz oprócz „Lwów Literatury” zauważył „kilka urodziwych młodych panien, bez skrepowania zalewających się łzami, oraz duże zgromadzenie pełnych szacunku ludzi pracy”.

²⁴ Ellen Ash, w liście do Edith Wharton, 20 grudnia 1889, przedrukowanym w „Listach R.H. Asha” pod redakcją M. Croppera, t. VIII, s. 384. Podobne świadectwo jej intencji spotykamy w niepublikowanym fragmencie „Dziennika”, napisanym dwa dni po śmierci poety. Dziennik ten zapewne ukaze się wkrótce pod redakcją dr Beatrice Nest z Prince Albert College Uniwersytetu Londyńskiego.

²⁵ Spędziłem długie godziny, spacerując po tych okolicach, i zauważyłem, że gleba układa się tu w typowe warstwy i wyrzuca na wierzch kawałki krzemienia, wtopione w białą kredę, która lśni jak śnieg na zaora-nych polach.

* Mowa o pięknej Elizabeth Eleanor Siddal, modelce, później żonie Rossettiego, zmarłej w 1862 roku wskutek przedawkowania laudanum (przyp. tłum.).

²⁶ Ten egzemplarz Szekspira i te fiołki spoczywają teraz, stosownie zabezpieczone, w Kolekcji Stanta na Uniwersytecie Roberta Dale'a Owena.

²⁷ Cf. na przykład list do Tennysona w Kolekcji Stanta (24 sierpnia 1859), wręcz obramowany rzędem takich uproszczonych drzew o spletanych koronach i korzeniach, nieco podobnych do powtarzalnych wzorów Williama Morrisa. Nr kat. Stant MS 146093a.

²⁸ Łaciński tekst brzmi: Ille hic est Raphael timuit quo sospite vinci rerum magna parens et moriente mori.

²⁹ John Donne, „Death be not Proud”, „Divine Poems”, ed. Helen Gardner, s. 9*.

³⁰ Patrz pełen rozdrażnienia komentarz F.R. Leavisa w „Scrutiny”, t. XIII, ss. 130-131: „O powadze, z jaką społeczeństwo epoki wiktoriańskiej traktowało Asha poetę, najlepiej świadczy pompatyczny ton pośmiertnych panegiryków na jego cześć, w których, wzorem napuszonego epitafium, umieszczonego przez wdowę na jego nagrobku, porównywano go do Szekspira, Milтона, Rembrandta, Rafaela i Radne'a”.

³¹ Zanotowane w liście Patience Meredith do jej siostry Faith, który obecnie stanowi własność Mariany Wormald, prawnuczki Edmunda Mereditha.

³² Patrz wyżej, przypis 24, jak również niepublikowany fragment „Dziennika” z dnia 25 listopada 1889 roku.

³³ Sigmund Freud, „Totem and Taboo. Works” [Totem i tabu. Dzieła], (Wyd. standardowe z 1955 roku), t. XIII, ss. 65-66.

27 listopada 1889

Stara kobieta cicho przemknęła przez ciemne korytarze i weszła po schodach, przystając niepewnie na kolejnych podestach. Widziana od tyłu - zaraz ujrzymy ją wyraźnie - widziana od tyłu, w cieniu, mogłaby być w dowolnym wieku. Miała na sobie aksamitny szlafrok i miękkie, haftowane domowe pantofle, nosiła się pro-

sto i lekko, choć jej ciało było przyjemnie zaokrąglone. Włosy, splecione w długi, blade warkocz, zwisały między jej łopatkami i w świetle świecy zdawały się lśnić bladym złotem, choć naprawdę była to kremowa biel, posiały ciepły brąz.

Nasłuchiwała domu. W najlepszym pokoju gościnnym spała jej siostra Patience, gdzieś na piętrze spał również siostrzeniec George, obecnie ambitny młody prawnik.

W swoim pokoju, ze złożonymi dłońmi i zamkniętymi oczyma leżał nieruchomo Randolph Henry Ash - białe, miękkie włosy okalał pikowany atłas, głowa spoczywała na haftowanej jedwabnej poduszce.

* „Śmierci, próżno się pysznisz”, „Sonety święte”, przeł. Stanisław Barańczak (przyp. tłum.).

Gdy uznała, że jednak nie zaśnie, poszła do niego; cicho, jak najciszej otworzyła drzwi i stanęła, spoglądając nań z góry, chłonąc zachodzącą zmianę. Tuż po śmierci wyglądał jak zwykle, był łagodny i uspokojony, odpoczywał po walce. Teraz już odszedł, nikogo tu nie było, jedynie kościsty pozór człowieka, rzeźbiony coraz wyraziściej, o złotej skórze, napiętej na kantach kości, zapadniętych oczach, zaostrej szczęce.

Spojrzała na te przemiany, otulona w kołdrę ciszy zmówiła cicho modlitwę i zapytała rzecz na łóżku:

- Gdzie jesteś?

Jak co wieczór, cały dom pachniał zgaszonymi węglami, zimnym paleniskiem, zastałym dymem.

Weszła do swego saloniku; na biurczku piętrzył się stos listów kondolencyjnych, na które trzeba było odpowiedzieć, oraz przejrany już spis osób zaproszonych na jutrzejszy pogrzeb. Wyjęła z szufladki swój dziennik i kilka innych papierów, spojrzała niezdecydowanie na stertę korespondencji i znów się wyśliznęła, nasłuchując śmierci i snu.

Weszła piętro wyżej, pod dach, gdzie znajdowała się pracownia Randolpha. Niedopuszczanie do niej nikogo, nikogo, nawet siebie samej, stało się zadaniem jej życia. Zasłony były rozsunięte, do pokoju wpadało światło gazowej latarni, a także płynne srebro pełnego księżyca. Unosił się tu cień woni tytoniu, na biurku leżały sterty książek, jeszcze sprzed ostatniej choroby. Miała uczucie, że on wciąż tu pracuje. Usiadła przy jego stole do pisania, stawiając przed sobą świecę, i poczuła się - nie, nie lepiej, to niewłaściwa myśl - lecz mniej samotnie, jak gdyby to coś, obecne tutaj, nie było tak posępne i przerażające jak to, co spało lub leżało tam, na dole, nieruchome jak kamień.

Oprócz dokumentów, które przyniosła ze sobą, miała w kieszeni szlafroka jego zegarek. Wyjęła go i spojrzała na cyferblat. Trzecia. Trzecia godzina ostatniej nocy, jaką spędzał w domu.

Spojrzała na oszklone szafy, odbijające ku niej mnogie i niewyraźne płomyki świec. Otworzyła kilka szuflad biurka i znalazła pliki papierów, zapisane jego ręką i cudzą; jakże je miała ocenić, zdecydować o losie tego wszystkiego?

Pod jedną ze ścian stały jego biologiczne i zoologiczne zbiory. Mikroskopy w drewnianych skrzynkach, z zawiasami i haczykami. Przezrocza, rysunki, okazy. Gabloty Warda i zapieczętowane w nich światy roślinnego życia, zaparowane własnym oddechem, eleganckie akwarium morskie z wodorostami, *Actinia* i rozgwiazdą, na tle którego monsieur

Manet namalował poetę wśród paproci, stwarzając wrażenie pierwotnego bagna. Wszystko to musiało zniknąć. Zamierzała poradzić się jego przyjaciół z Muzeum Nauki co do stosownego miejsca dla tych rzeczy. Być może należało je podarować jakiejś godnej instytucji wychowawczej -klubowi robotniczemu lub szkole. Gdzieś tu - przypomniała sobie - musiała stać jego specjalna, hermetyczna skrzynka na okazy, wyłożona szkłem i szczelnie zamykana. Znalazła ją tam, gdzie ją trzymał; był człowiekiem uporządkowanym. Idealnie nadawała się do tego, co chciała zrobić. Należało podjąć decyzję, a jutro byłoby za późno.

Był człowiekiem, który nigdy nie doświadczył poważnej choroby, z wyjątkiem tej ostatniej. A ta się przeciągała; przez końcowe trzy miesiące był przykuty do łóżka i oboje wiedzieli, co go czeka, choć nie wiedzieli, kiedy i jak szybko. Oboje przez te trzy miesiące mieszkali w jednym pokoju - jego sypialni. Cały czas była w pobliżu, poprawiała poduszkę, wietrzyła, pod koniec pomagała mu jeść i czytała na głos, gdy najlżejsza książka stała się zbyt ciężka. Sądziła, że bez słów wyczuwa jego potrzeby i dolegliwości. Również ból; w pewnym sensie ból również z nim dzieliła. Siedziała obok, trzymając pergaminową dłoń, i czuła, jak z dnia na dzień ucieka zeń życie. Lecz nie inteligencja. W początkowym, gorączkowym okresie choroby z jakiegoś powodu opętały go wiersze Johna Donne'a, które recytował do sufitu głosem dźwięcznym i pięknym, zdmuchując z ust kosmyki brody. Gdy nie mógł sobie przypomnieć jakiejś linijki, wołał: „Ellen, Ellen, szybko, zgubiłem się” - ona zaś musiała szukać, przerzucając kartki.

- Cóż bym bez ciebie zrobił, kochanie? Oto docieramy do kresu, oboje razem. Byłaś mi wielką pociechą. Byliśmy szczęśliwi.

- Byliśmy szczęśliwi - powtarzała, i tak było. Byli szczęśliwi nawet teraz, podobnie jak zawsze znajdowali szczęście, siedząc przy sobie, mało mówiąc, patrząc na te same rzeczy, razem.

Wchodząc do pokoju, słyszała jego głos:

Kto kocha jak przyziemny sknera,

Ciałem, nie duszą - temu biada;

Rozłąka wszystko mu odbiera,

Co się na jego miłość składa*.

* John Donne, „Waleta, żalu zabraniająca”, przeł. Stanisław Barańczak (przyp. tłum.).

Umierał w wielkim stylu. Patrzyła, jak nad tym pracuje, jak walczy z bólem, mdłościami i lękiem, aby mieć jej do powiedzenia coś, co pamiętałaby później, z ciepłem, z honorem. Niektóre rzeczy mówił niby zakończenia: „Rozumiem, czemu Swammerdam tęsknił za ciemną ciszą”. Lub: „Próbowałem pisać uczciwie, zobaczyć tyle, ile mogłem, z miejsca, w którym stałem”. Albo, do niej: „Czterdzieści jeden lat bez gniewu. Nie sądzę, by wiele par małżeńskich mogło tak powiedzieć”.

Zapisywała wszystkie te zdania, nie dla nich samych, choć były to dobre zdania, lecz dlatego, że przypominały jej tę twarz, zwróconą ku niej, inteligentne oczy pod wilgotnym, pomarszczonym czołem, słaby uścisk ongiś mocnych palców.

- Czy pamiętasz, kochanie, jak siedziałaś - niby rusalka - na tym kamieniu... kamieniu wśród wodostów przy... zapomniałem nazwy - nie, nie mów mi - przy źródle poety... przy źródle... źródle w Vaucluse. Siedziałaś w słońcu.

- Bałam się. Woda tak pędziła.

- Nie było widać, że się boisz.

Koniec końców, gdy wszystko się dokonało, najważniejszą rzeczą wspólną było milczenie.

- Wszystko to była kwestia milczenia - powiedziała doń głośno, siedząc w jego pracowni, gdy już nie mogła oczekiwać odpowiedzi ani gniewu, ani zrozumienia.

Rozłożyła przedmioty, o których miała postanowić. Pakiet listów, związany spłowiałą fiołkową wstążką. Bransoletkę, którą przez te ostatnie miesiące splatała z włosów jego i swoich i którą zamierzała teraz z nim pochować. Jego zegarek. Niedokończony list, bez daty, pisany jego ręką, który wcześniej znalazła w jego biurku. List do niej samej, pajęczym pismem.

Zaklejoną kopertę.

Lekko drżąc, uniosła adresowany do siebie list, który przyszedł miesiąc temu.

Droga Pani Ash.

Sądzę, że moje nazwisko nie jest Pani obce, że Pani coś o mnie wie - nie wyobrażam sobie, by mogło być inaczej, choć gdyby przypadkiem mój list był dla Pani całkowitym zaskoczeniem, proszę o wybaczenie.

Proszę o wybaczenie - bez względu na wszystko - za to, że narzucam się Pani w takiej chwili.

Mówiono mi, że pan Ash jest chory. W istocie, donoszą o tym gazety, nie ukrywając, jak poważny jest jego stan. Wiem z pewnych źródeł, że długo nie pożyje, choć, oczywiście, znów proszę Panią o wybaczenie, jeżeli się mylę - mam nadzieję, że się mylę.

Napisałam mu o kilku rzeczach, o których - uznałam wreszcie - powinien wiedzieć. Trapią mnie wielkie wątpliwości, czy mądrze jest występować z nimi w tej chwili - czy piszę dla Niego, czy dla własnego rozgrzeszenia - nie mogę tego wiedzieć. W tej sprawie jestem w Pani rękach. Muszę zaufać Pani osądowi, Pani wspaniałomyślności, Pani dobrej woli.

Jesteśmy już obie stare i mój przynajmniej płomień zagaśł dawno temu.

O Pani nic nie wiem, z tego oto najlepszego powodu, że nic mi nigdy o Pani nie powiedziano.

Napisałam, tylko dla jego wiadomości, o kilku rzeczach - jednak nie potrafię wyjawić, o jakich - i zapieczętowałam list. Jeżeli zechce Pani go przeczytać, jest w Pani rękach, muszę mieć wszakże nadzieję, jeśli to możliwe, że On go przeczyta i - postanowi.

Jeżeli zaś On nie może lub nie zechce go przeczytać... och, pani Ash, znów jestem w Pani rękach i zrobi Pani z moim zakładnikiem, co uzna za stosowne, ma Pani prawo.

Wyrządziłam wielką krzywdę, choć, Bóg mi świadkiem, nie było to moim zamiarem, lecz mam nadzieję, że nie skrzywdziłam Pani, a przynajmniej nie w sposób nieodwracalny.

Znajduję, iż będę wdzięczna za parę słów od Pani - wybaczenia, litości, gniewu, jeśli trzeba - czy Pani posunie się do tego?

Jak stara Wiedźma mieszkam na Wieży i piszę wiersze, których nikt nie chce.

Jeżeli w dobroci swego serca da mi Pani znać, co się z Nim dzieje - będę Panią błogosławić. Jestem w Pani rękach.

Oddana Christabel LaMotte

I tak przez ostatni miesiąc jego życia nosiła oba listy - ten i ten drugi, zapieczętowany - w kieszeni, jak nóż. Z jego pokoju, do jego pokoju, w czas, który spędzali razem i poza ten czas.

Przynosiła mu ułożone przez siebie bukiety. Zimowy jaśmin, bożonarodzeniowe róże, cieplarniane fiołki.

- *Helleborus niger*. Ellen - dlaczego zielone płatki są takie tajemnicze? Czy pamiętasz, jak czytaliśmy Goethego - metamorfozy roślin - wszystko jest jednością: liście... płatki...

- To był ten rok, kiedy pisałeś o Łazarzu.

- Ach, Łazarz. *Etiam si mortuus fuerit...* Czy sądzisz - w głębi duszy - że trwamy dalej - po tym?

Pochyliła głowę i poszukała prawdy.

- Obiecano nam - ludzie są tak cudowni, tak niepowtarzalni - nie możemy przepaść w nicości. Nie wiem, Randolphie, nie wiem.

- Jeżeli nic nie ma - nie poczuję... zimna. Lecz połóż mnie na otwartym powietrzu, kochanie - nie chcę być zamknięty w opactwie. Na dworze, w ziemi, na powietrzu. Dobrze? Nie płacz, Ellen. Nic się na to nie poradzi. Nie żałuję. Może - nie na próżno - wiesz. Żyłem...

Po wyjściu z jego sypialni układała w głowie listy.

„Nie mogę Mu dać Pani listu, jest spokojny i niemal szczęśliwy, jakże w tej chwili mam zakłócić jego spokój?”.

„Musi Pani zrozumieć, że zawsze wiedziałam o Waszym - jakie znaleźć słowo? Związku, romansie, miłości?”.

„Musi Pani zrozumieć, że mój mąż dawno, dawno temu z własnej woli wyznał mi całą prawdę o swoim do Pani uczuciu i że sprawa ta, przez nas oboje rozumiana, została odsunięta na bok jako miniona i rozumiana właśnie”.

Za dużo powtórzeń „rozumiana”. Ale lepiej.

„Jestem wdzięczna za Pani zapewnienie, że nic Pani o mnie nie wie. Mogę się szczerze zrewanżować, pisząc, że nie wiem nic istotnego o Pani

- tylko kilka nagich, niezbędnych faktów - i że mój mąż Panią kochał, mówił, że Panią kocha”.

Jedna stara kobieta do drugiej. Która określiła siebie jako Wiedźmę, mieszkającą na wieży.

„Jak możesz mnie o to prosić, jak możesz zakłócać tę odrobinę czasu, jaka jeszcze mi z nim została, to życie, które prowadzimy, te małe serdeczności i bezsłowne więzy, jak możesz mnie prześladować w te ostatnie dni, dla mnie bowiem też są ostatnie, on jest moim szczęściem, które zaraz utracę na zawsze, czy nie pojmujesz tego, nie mogę dać mu twojego listu”.

Nie napisała nic.

Siedziała przy nim, splatając ich włosy, przypinając je do jedwabnej wstążki. Pod szyją - broszka, którą przywiózł jej z Whitby, białe róże Yorków, rzeźbione w czarnym gagacie. Białe lub białawe włosy na czarnym tle.

- Bransoletka z włosów - wokół kości. Kiedy włamią się do mojego grobu - co, Ellen? Zawsze... ten wiersz... myślałem, że ten wiersz - jest nasz, twój i mój - tak.

To był jeden z gorszych dni. W przerwach między chwilami przytomności jego umysł wyraźnie błędził, błędził - gdzie?

- Dziwna rzecz - sen. Człowiek cały... przechodzi. Pola. Ogrody. Inne światy. We śnie można osiągnąć... inny stan.

- Tak, kochanie. Naprawdę niewiele wiemy o naszym życiu. O tym, co wiemy.

- Pola latem... po prostu - w mgnieniu oka... widziałem ją. Powinienem był... o nią zadbać. Jak mogłem? Umiałem tylko - ją skrzywdzić... Co takiego robisz?

- Bransoletkę. Z naszych włosów.

- W kopercie zegarka. Jej włosy. Powiedz jej.

- Co jej powiedzieć?

- Zapomniałem.

Jego oczy się zamknęły.

W kopercie zegarka były włosy. Bardzo długi, bardzo cienki warkoczek bardzo jasnych, złotych włosów. Miała go przed sobą na biurku. Związany schludnie jasnyniebieską bawełnianą nitką.

„Musi Pani zrozumieć, że zawsze wiedziałam, że mój mąż dawno, dawno temu z własnej woli, całą prawdę o swym do Pani uczuciu...”.

Gdyby tak napisała, byłaby to cała prawda i tylko prawda, ale nie dźwięczałaby prawdziwie, nie przekazałaby prawdy o tym, jak to było, o milczeniu obecnym w opowiadaniu, o milczeniu przedtem i potem, zawsze milczeniu.

Jesienią 1859 roku siedzieli przy kominku w bibliotece. Na stole stały chryzantemy, miedziane bukowe liście i dziwnie zmienne paprocie, płowe, szkarłatne i złote. To był czas jego szklanych wiwariów, czas jedwabników, które musiały przebywać w ciepłe, więc trzymali je w tym najcieplejszym z pokoiów, bure małe ciemki i ich grube, szorstkie kokoniki na nagich gałązkach, jego badania nad metamorfozą. Przepisywała „Swammerdama”, on zaś chodził tam i z powrotem, patrzył, jak pracuje, myślał.

- Ellen, przestań pisać na chwilę. Muszę ci coś powiedzieć. Przypomniała sobie ówczesny przypływ uczuć. Niczym jedwab w krtani, niczym gwóźdź w krwiobiegu, pragnienie, aby nie mówić, aby nie słyszeć.

- Nie musisz...

- Muszę. Zawsze byliśmy wobec siebie szczerzy, przynajmniej to, Ellen. Jesteś moją drogą, drogą żoną i kocham cię.

- Ale - powiedziała. - Takie wstępy zawsze prowadzą do jakiegoś ale.

- Przez ostatni rok byłem zakochany w innej kobiecie. Mógłbym powiedzieć, że to jakieś szaleństwo. Opętanie, jakby przez demony. Zaślepienie. Z początku były tylko listy, a potem - w Yorkshire - nie byłem sam.

- Wiem.

Zapadło milczenie.

- Wiem - powtórzyła.

- Od jak dawna? - zapytał; duma zbita z tropu.

- Nie tak długo. Nie dlatego, że coś powiedziałeś albo zrobiłeś, że coś zobaczyłam. Powiedziano mi. Miałam gościa. Mam coś, co muszę ci zwrócić.

Ukryła pierwszy egzemplarz „Swammerdama” w swoim stoliku do robót i teraz wyjęła go, w kopercie, zaadresowanej do panny LaMotte, Betania, Mount Ararat Road, Richmond.

- Sądzę - powiedziała - że ustęp o Kosmicznym Jaju jest w tej wersji lepszy, niż to, co tu mamy.

Znowu milczenie.

- Gdybym nie powiedział ci o tym - o panie LaMotte - oddałabyś mi to?

- Nie wiem. Chyba nie. Jakżeby mogła? Ale powiedziałeś.

- Dała ci to panna Glover?

- Pisała dwukrotnie, a potem tu przyszła.

- Ellen, nie powiedziała ci nic przykrego?

Biedna obłąkana o bladej twarzy, w schludnych, zdartych trzewikach, chodząca bez przerwy tam i z powrotem w tych wszystkich halkach, które wtedy nosiły, splatająca i rozplatająca małe dłonie w gołębioszarych rękawiczkach. Za okularami w stalowej oprawie lśniące oczy, szkliste i niebieskie. I rudawe włosy, i kilka pomarańczowych piegów na kredowobiałej skórze.

- Byłyśmy takie szczęśliwe, pani Ash, byłyśmy dla siebie wszystkim, byłyśmy niewinne.

- Nie mogę nic zrobić dla pani szczęścia.

- Pani własne szczęście leży w gruzach, jest kłamstwem, mówię to pani.

- Proszę opuścić mój dom.

- Mogłaby pani mi pomóc, gdyby zechciała.

- Proszę opuścić mój dom.

- Mówiła bardzo niewiele. Była zrozpaczona i przepelniona jadem. Dała mi poemat - jako dowód - a potem chciała go odebrać. Powiedziałam jej, że powinna się wstydzić kradzieży.

- Nie wiem, co powiedzieć, Ellen. Nie spodziewam się znów jej zobaczyć. Uzgodniliśmy, że to jedno lato będzie końcem naszego... że będzie końcem. A nawet gdyby miało być inaczej - zniknęła, wyjechała...

Usłyszała w tych słowach ból, odnotowała go, nie powiedziała nic.

- Nie mogę nic wyjaśnić, Ellen, ale chciałbym powiedzieć...

- Dosyć. Dosyć. Nie będziemy więcej o tym mówić.

- Musisz być zła - przygnębiona...

- Nie wiem. Nie jestem zła. Nie chcę wiedzieć nic więcej. Nie mówmy już o tym, Randolphie - to nie jest *między nami*.

Czy zrobiła dobrze, czy źle? Zrobiła to, co leżało w jej naturze, głęboko uwikłanej w to, żeby nie wiedzieć, w milczenie, w unikanie, co przyznawała sama w chwilach, gdy była dla siebie bardziej surowa.

Nigdy nie czytała jego listów, to znaczy nigdy nie przeglądała jego papierów z ciekawości, ani czezej, ani celowej, nigdy nawet ich nie sortowała ani nie układała. Odpowiadała na listy w jego imieniu, na listy od czytelników, wielbicieli, tłumaczy, zakochanych kobiet, które go nigdy nie spotkały.

Pewnego dnia tego ostatniego miesiąca weszła na górę, mając w kieszeni oba listy, otwarty i zamknięty, i przejrzała jego biurko. Ten akt napelnił ją zabobonnym, wręcz fizycznym lękiem. Za dnia w jego pokoju panowało zimne światło, padające ze świetlika w suficie, przez który teraz, nocą, widać było kilka gwiazd i pędzącą dymną chmurę, lecz który wówczas był błękitny i pusty.

Tak wiele skrawków poezji. Tak wiele oderwanych arkuszy papieru. Odepchnęła od siebie myśl, że będzie za to wszystko odpowiedzialna. Jeszcze nie była, nie teraz. Jeszcze nie.

Znalazła ów niedokończony list, jakby ktoś ją do niego doprowadził. Tkwił wetknięty na dnie szuflady, pełnej rachunków i starych zaproszeń, szukanie go winno trwać godzinami, a nie tych kilka minut, potrzebnych w rzeczywistości.

Kochana.

Piszę co roku, około Wszystkich Świętych, ponieważ muszę, chociaż wiem - miałem zamiar napisać, chociaż wiem, że nie odpowiesz, ale przecież nie mogę mieć co do tego pewności. Muszę mieć nadzieję, że zapomnisz lub przypominasz sobie - wszystko jedno - dość, aby do mnie napisać, trochę mnie oświecić, odjąć trochę z tego czarnego brzemienia, pod którym się uginam.

Z własnej woli proszę o wybaczenie pewnych rzeczy, o które oskarża mnie zarówno Twe milczenie - Twe uparte milczenie - jak i moje własne sumienie. Proszę o wybaczenie mego nierozważnego i pochopnego przyjazdu do Kerkemet, dokąd pośpieszyłem, licząc na to, że może tam Cię zastanę, nie upewniwszy się, czy mam Twoje na to przyzwolenie. Przede wszystkim jednak proszę o wybaczenie obłudnego sposobu, w jaki wkradłem się w łaski pani Lees, i przeraziłem Cię z tak okropnym skutkiem. Ukaralaś mnie za to - musisz wiedzieć, że karany jestem co dzień.

Ale czy zastanowiłaś się wystarczająco, jaki stan ducha doprowadził mnie do tych postępów? Czuję, że swymi działaniami oskarżasz mnie również o to, że w ogóle Cię kochałem, jakby moja miłość została Ci narzucona brutalną siłą, jakbym był gwałcicielem bez serca z jakiegoś drugorzędnego Romansu, od którego musiałaś uciekać zbrukana i zrujnowana. Jednak jeżeli szczerze wnkniesz w swoje wspomnienia - jeżeli umiesz być szczerą - musisz dojść do wniosku, że tak nie było - przemyśl to wszystko, cośmy razem robili, i powiedz, gdzie znajdujesz w tym okrucieństwo, gdzie przymus, gdzie brak miłości i szacunku wobec Ciebie, Christabel, jako kobiety i jako istoty intelektualnej? Że kiedy tamto lato się skończyło, honor zabraniał nam nadal pozostawać kochankami, co zostało, mam wrażenie, uzgodnione przez nas oboje - lecz byłby to powód, aby między jednym dniem a drugim zaciągnąć ciemną zasłonę, nie, płytę stalową? Wtedy kochałem Cię całą; teraz nie powiem, że Cię Kocham, gdyż to istotnie byłby romans i kwestia co najwyżej nadziei - nie najgorsi psychologowie z nas obojga i wiemy, że miłość gaśnie jak świeczka pod kloszem Humphry Davy'ego, jeżeli nie ma czym oddychać, celowo tłumiona i głodzona. A jednak ... choć niemal w grób się położyła, Na jedno twe skinienie znowu by ożyła.*

I być może mówię to wyłącznie gwoli przyjemności przytoczenia trafnego cytatu. Kiedyś uśmiechnęłybyś się na te słowa. Ach, Christabel, Christabel, wyduszam z siebie te ostrożne zdania, proszę o Twoją uwagę, i pamiętam, że kiedyś słyszeliśmy swoje myśli, szybko, tak szybko, że nie było potrzeby kończyć wypowiedzi...

Jest coś, co muszę wiedzieć i Ty wiesz, co to jest. Piszę: „Muszę wiedzieć”, co brzmi obcesowo. Lecz jestem w Twoich rękach i muszę błagać, byś mi powiedziała. Co się stało z moim dzieckiem? Czy przeżyło? Jak mogę pytać, gdy nie wiem? Jak mogę nie pytać, gdy nie wiem? Długo rozmawiałem z Twoją kuzynką Sabine,

która jednak potwierdziła tylko to, co wiedzieli wszyscy w Kerkemet - że taki fakt się zdarzył - ale nikt nie miał pewności co do skutków...

Musisz wiedzieć, że pojechałem do Bretanii pełen miłości, troski i niepokoju o Ciebie, o Twoje zdrowie - chętnie byłbym otoczył Cię staraniem, naprawił wszystko, jak tylko bym umiał. Dlaczego odwróciłaś się ode mnie? Z powodu dumy, obawy, niezależności, nagłej nienawiści, poruszona niesprawiedliwością nierównego losu kobiet i mężczyzn?

* Michael Drayton (1563-1631), „Skoro więc nie ma rady, daj ust i bądź zdrowa”, przeł. Stanisław Barańczak (przyp. tłum.).

A przecież mężczyzna, który wie, że ma lub miał dziecko, ale nie wie nic więcej, zasługuje na odrobinę litości.

Jak mam to powiedzieć? Cokolwiek stało się z dzieckiem, uprzedzam z góry, zrozumiem, cokolwiek to jest, gdybym tylko mógł wiedzieć - najgorsze już sobie wyobraziłem i mam to za sobą - w pewnym sensie...

Widzisz sama, nie mogę tego napisać, więc nie mogę wysłać Ci tego listu, kończy się na tym, że piszę inne, mniej bezpośrednie, bardziej aluzyjne, na które nie odpowiadasz, mój drogi demonie, moja dręczycielko... zakazano mi.

Jak mógłbym zapomnieć to jedno, straszliwe zdanie, wykrzywane na końcu owego upiornego przywoływania duchów.

„Zrobiłaś ze mnie morderczynię!” - powiedział ktoś, obwiniając mnie - tego nie można cofnąć, słyszę ten zarzut codziennie.

„Nie ma żadnego dziecka” - takie słowa wyszły z ust tej głupiej kobiety w olbrzymim jęku - mieszanina chytrłości, bezwiednego wołania, prawdziwej telepatii, kto to wie? Mówię Ci, Christabel - Tobie, która nigdy nie przeczytasz tego listu tak jak wielu innych, gdyż przekroczył on granice możliwości porozumienia - mówię Ci, że poczułem taki niesmak, przerażenie, odpowiedzialność, chwytające mnie za serce resztki miłości, że z całym przekonaniem omal nie zrobiłem mordercy z siebie.

Teraz ujęła list ostrożnie za róg, jakby był ogłuszonym, jadowitym stworzeniem, osą lub skorpionem, i roznieciwszy mały płomyk w kominku Randolpha, spaliła go, obracając kartkę pogrzebaczem, dopóki nie zamieniła się w czarne okruchy. Następnie podniosła zapieczętowany list, zastanawiając się, czy jego również nie spalić, lecz w końcu pozwoliła, by płomień dogasł. Była całkowicie pewna, że ani on, ani ona nie chcieliby, aby jego list ocalał; także Christabel LaMotte nie chciałaby tego - te niejawne oskarżenia - o co? Lepiej nie myśleć.

Aby się rozgrzać, rozpałała w kominku mały ogień - drewno i kilka węgli - i skulona w koszuli nocnej czekała, aż węgiel się zajmie i ciepło rozejdzie się po pokoju.

Zbudowała życie - myślała - wokół kłamstwa, dom, w którym zamieszkało kłamstwo.

Zawsze wierzyła, uparcie, niewzruszenie, że jej uniki, jej przybliżenia, ta cała szarada - jak czasem ją widziała - była, no, może nie usprawiedliwiona, lecz przynajmniej kontrolowana, neutralizowana przez jej surowy wymóg, aby zachować szczerą wobec samej siebie.

Randolph był jej współnikiem. Nie miała pojęcia, jak historia ich życia wyglądała z jego strony. Nie było to coś, o czym rozmawiali.

Lecz kiedy udawała, że *nie wie*, kiedy przestawała przyglądać się prawdzie, miała poczucie, że stoi na ruchomych piargach i ześlizguje się w jakąś otchłań.

Pomyślała o niewypowiedzianej prawdzie rzeczy, którą odczuwała za pośrednictwem niezwykle pięknego sformułowania w „Podstawach geologii” Charlesa Lyella; przeczytała go niegdyś Randolphowi, bardzo podnieconemu ustępem poprzedzającym, o Plutonicznej teorii powstawania skał.

Zapisała go sobie.

Zatem formacje krystaliczne - takie jak granit, hornblenda i reszta - właśnie dzięki swej całkowitej odrębności od wszelkich substancji, których pochodzenie jest nam znane, mogą rościć sobie prawo do tego, by uważano je za wytwory działań wciąż jeszcze zachodzących w regionach podziemnych. Nie należą one do minionego porządku, nie są pamiątkami okresu prehistorycznego, na których przebrzmiałymi znakami wypisano słowa i zwroty martwego języka, lecz nadal stanowią dla nas lekcję tej części żywej natury, której nie możemy poznać, stykając się na co dzień z wydarzeniami na mieszkalnej powierzchni Ziemi.

Ellen podobała się idea twardych, krystalicznych rzeczy, uformowanych w straszliwym gorącu, pod „mieszkalną powierzchnią” Ziemi, które nie były pamiątkami prehistorii, lecz „częścią żywej natury”.

Nie jestem zwykłą, oszukującą samą siebie histeryczką - tak mniej więcej sobie mówiła. Dochowałam wiary ogniewi i kryształom, nie udaję, że mieszkalna powierzchnia jest wszystkim, ani więc nie jestem niszczycielką, ani nie zostanę wtrącona w zewnętrzne ciemności.

Kilka krętych płomieni strzeliło do góry. Przypomniała sobie swój miesiąc miodowy, jak to zwykła czynić od czasu do czasu, z rozmysłem.

Nie wspominała go słowami. Z tym okresem nie wiązały się żadne słowa, to była część okropności. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiała, nawet z Randolphem - zwłaszcza nie z Randolphem.

Wspominała go obrazami. Okno, gdzieś na Południu, obrośnięte winoroślą i pnączem, za którym bladło zachodzące słońce.

Koszula nocna, wyhaftowana na tę okazję, z białego płótna, z kokardkami, niezapominajkami i różami, białymi na białym tle.

Chude, drżące, białe zwierzę - ona sama.

Owa skomplikowana rzecz, nagi mężczyzna, kręte włosy i lśniąca wilgoć, krowa i delfin zarazem, przytłaczający zapach dzikości.

Duża dłoń, z dobrocią wyciągnięta, nie raz, lecz wiele razy, odbita, odepchnięta, odbita.

Zaszczuta istota, przerażona, skulona w kącie pokoju, szczękająca zębami, o zakleszczonych skurczem żyłach i płytkim, nierównym oddechu. Ona sama.

Ulga, wspaniałomyślnie uzgodniona przerwa, kieliszki złocistego wina, kilka dni rajskich pikników, roześmiana kobieta, siedząca na kamieniu w błękitnej popelinowej spódnicy, przystojny, wąsaty mężczyzna, unoszący ją w górę, cytujący Petrarę.

Próba. Dłoń, nieodepchnięta. Ściągną ze stali, bolące zęby, zaciśnięte, zaciśnięte.

Zbliżenie, zamknięta brama, panika, ucieczka, skowyt.

Nie raz, lecz wiele razy, znów i znów, i znów.

Kiedy zaczął rozumieć, że bez względu na to, jak jest delikatny, jak cierpliwy, nic z tego nie będzie, nigdy nic z tego nie będzie?

Nie lubiła wspominać jego twarzy w owe dni, lecz gwoli uczciwości przypomniała ją sobie; zatroskane, zdumione czoło, pytające, czułe spojrzenia, i jego wielkoduszność, skazana za brutalność, odepchnięta w bliskości.

Skwapliwa, straszliwa miłość, jaką mu wynagrodziła tę abstynencję, tysiące małych przysług dla jego wygody, tysiące ciasteczek, miliony smacznych kąsków. Stała się jego niewolnicą. Dygocącą przy każdym słowie. I on przyjął tę miłość.

Kochała go za to.

On kochał ją.

Odwróciła list Christabel. Zawyla:

- Czym będę bez ciebie? - Zakryła dłonią usta. Gdyby przyszły, jej czas refleksji minąłby, byłby stracony. Im, swoim siostrom, także kłamała, sugerowała kłamstwo, nieśmiało zapewniając, że są ogromnie szczęśliwi, że po prostu nie poszczęściło im się z dziećmi...

Ta druga kobieta w pewnym sensie była jego żoną. Matką jego dziecka, przynajmniej na krótko, przynajmniej na pozór.

Pomyślała, że nie chce wiedzieć, jaka jest treść listu. Tego również lepiej było po prostu unikać. Nie wiedzieć, nie mówić o niej, nie czynić z niej narzędzia bezcelowej tortury, którą by się stała, bez względu na to, czy wiadomość była zła, czy dobra.

Wzięła czarną emaliowaną skrzynkę na okazy, z impregnowaną jedwabną kieszonką w szklanym pojemniku, i włożyła do niej list. Wsunęła bransoletkę z włosów - tutaj, biali ze starości, wreszcie złączyli się w uścisku - i długą, grubą, zwiniętą nić - warkoczyk nie był niczym więcej - znalezioną w jego zegarku. Ułożyła związane wstążką pakiety ich listów miłosnych. ,

Młoda, dwudziestoczteroletnia dziewczyna nie powinna być zmuszona czekać na małżeństwo aż do chwili, gdy ma lat trzydzieści sześć i już dawno przekwitła.

Przypomniała sobie, jak kiedyś, jeszcze za dni spędzonych w dziekanacie katedry, ujrzała siebie nagą w wielkim lustrze toaletki. Mogła mieć nie więcej niż osiemnaście lat. Małe, wysokie piersi, ciepłe, brązowawe brodawki. Skóra jak kość słoniowa, włosy jak jedwab. Królowna.

Najdroższa Ellen.

Nie mogę przestać o Tobie myśleć - w rzeczy samej, jakże mógłbym tego chcieć, kiedy moim najzarliwszym pragnieniem jest stać się całkowicie opętanym najczystsza myślą o Tobie - nie mogę przestać myśleć o Tobie całej, jak siedzisz w białej sukience pośród różowych filiżanek, a wszystkie ogrodowe kwiaty, malwy i ostróżki, płoną w tle szkarłatem, błękitem i królewską purpurą, jeszcze podkreślając Twą prześliczną białość. A dzisiaj tak miło uśmiechnęłaś się do mnie spod białego kapelusza ze wstążkami o barwie najbledszego różu. Pamiętam każdy pęk kokardek, każdą łagodną fałdkę - w istocie szkoda, że nie jestem malarzem, lecz jedynie aspirującym poetą, gdyż ujrzałabyś wówczas, jak cenię sobie najmniejszy nawet szczegół.

I jak będę cenił - aż do śmierci - niestety, ich śmierci, nie mojej, gdyż potrzebne mi będzie bardzo długie życie, całe stulecia, aby Cię kochać i wielbić, drugie zaś takie życie będę musiał spędzić w antycypacji, czekając, aż uzyskam do tego prawo - jak więc, powiadam, będę sobie ceniał kwiaty, które mi dałaś i które stoją przede mną w pięknym wazonie z niebieskiego szkła. Białe, nierozwinięte róże podobają mi się najbardziej - ich czas liczy się na całe dekady, które są dniami mego dłuższego i nader niecierpliwego trwania, podczas którego mogę się nimi cieszyć. Wiesz, ich kolor nie jest prosty, choć na taki wygląda. Znajduję w nich, całkiem wyraźnie, śnieg, krem, kość słoniową - a w głębi serc nadal są zielone, zielenią świeżości, nadziei, ową cudowną, chłodną, roślinną krwią, która splami się lekkim rumieńcem, kiedy się otworzą. (Czy wiesz, że dawni malarze nadawali rumianej skórze odcień kości słoniowej, malując ją na zielonym podkładzie? - oto paradoks optyki, dziwny i zachwycający).

Podnoszę je do twarzy i podziwiam. Pachną lekko obietnicą dojrzałości. Wciskam w nie dociekliwy nos, starając się nie kaleczyć, nie psuć tych pięknych zwojów - umiem być cierpliwy - co dzień rozwijają się trochę bardziej, aż pewnego dnia będę mógł zanurzyć twarz w ich białym ciepłe. Czy będąc dzieckiem, bawiłaś się kiedy ogromnymi pąkami kwiatów maku? My tak - odwijaliśmy ciasno zwinięte, jedwabiste spódnice kielicha, jedną po drugiej, aż biedny bezwstydnik, obnażony, opadał i umierał. Takie wścibstwo lepiej zostawić Naturze i jej gorącemu słońcu, które otwiera je aż nazbyt szybko.

Dzisiaj, wzięwszy sobie do serca Twój nakaz, abym się czymś zajął i unikał rozpraszania, ułożyłem ponad 70 linijek. Piszę o stosie Baldera i żalobie jego żony Nanny oraz o bezowocnej podróży do podziemi dzielnego Hermodura, który prosił piękną boginię Hel, aby go uwolniła. To wszystko, droga Ellen jest ogromnie, porywająco ciekawe - opis zrodzony z ludzkiego umysłu, który wymyśla, wyobraża sobie ludzką historię, aby uzasadnić wielkie, wspaniałe i straszne fakty, ograniczające naszą egzystencję - wschody i zachody złościstego Słońca - nadejście kwiatów (Nanna) Wiosną i ich więdnienie Zimą - nieustępliwość ciemności (bogini Thock, odmawiająca żaloby po Balderze, z którego, jak mówiła, nie miała żadnego pożytku, ani za życia, ani po śmierci). Czyż dla współczesnej poezji nie jest to temat równie wielki jak dla mitotwórczych rozważań naszych praojców?*

Lecz wolalbyśmy raczej siedzieć w pewnym ogrodzie - przy pewnej katedrze - wśród róż białych i zielonych - z pewną - stanowczo, z pewną - młodą damą w bieli, o poważnym czole i nagłym, słonecznym uśmiechu...

* Balder albo Baldur (mit. skand.) - syn Odyna, bóg słońca i światła, skandynawski Apollo; Nanna - małżonka Baldera, spłonęła wraz z nim na stosie pogrzebowym; Hermodur - syn Odyna, poseł bogów, jeden z Azów; Hel - córka Lokiego, królowa zmarłych i władczyni podziemnej, otoczonej rzeką krainy (przyp. tłum.).

Nie czytała więcej. Mogły iść w ślad za nim. I zaczekać na nią.

Pomyślała, czy nie dołożyć do skrzynki gagatowej broszki, którą przysłał jej z Whitby, ale nie zdecydowała się. Przypnie ją pod szyję, gdy będą jechali do Hodershall.

Dołożyła do kominka drewna i węgla, rozniecając wesołe, małe ognisko, i usiadła przy nim, aby wyprodukować starannie zredagowaną, starannie *odcedzoną* (kuchenna metafora) prawdę swego dziennika. Później postanowi, co z nim zrobić. Stanowił zarówno obronę, jak i przynętę dla nadciągających wampirów i sępów. ,

Po co więc tak starannie przechowywać te listy w szczelnie zamkniętej skrytce? Czy ona przeczyta je tam, dokąd pójdzie? I czy on je przeczyta? Ten ostatni dom nie jest przecież domem, czemu nie zostawić ich na pastwę istot ryjących w ziemi, kretów, ślepych robaków, istot, które żują ślepych pyszczkami, czyszczą, unieczniając?

Chcę, żeby miały swoje trwanie, powiedziała sobie. Półwieczność. A jeśli wampiry je odkopią?

Wówczas, być może, oddadzą sprawiedliwość jej, kiedy mnie już nie będzie, aby na to patrzeć.

Pewnego dnia, myślała, nie teraz, nie dzisiaj, przyłożę stalówkę do papieru i napiszę do niej, i powiem jej, powiem jej, co?

Powiem jej, że umarł spokojnie. Powiem?

A lśniąca ciemnym blaskiem formy krystaliczne, granit i hornblenda, mówiły, że nie napisze, że proteuszowy list będzie zmieniał postać w jej głowie, aż zrobi się późno, nieprzyzwoicie późno, bezwzględnie za późno. Ta druga mogła umrzeć, ona sama mogła umrzeć, obie były stare i zmierzały ku śmierci.

Rano wciągnie czarne rękawiczki, weźmie czarną skrzynkę oraz bukiet białych cieplarnianych róż bez zapachu, których pełno jest w całym domu, i wyruszy z nim w jego ostatnią podróż na oślep.

Jestem w Twoich rękach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Pewne zagadki są na dnia porządku;

Chodź tu, kochanie, jedną ci opowiem.

Jest takie miejsce, gdzie w końcu przychodzą

Wszyscy Poeci. Niektórzy przypadkiem,

Niektórzy późno, po długiej wędrówce,

Niektórzy w drodze walczą z potworami,

Inni zaś ścieżkę odnajdują we śnie;

Niektórzy krążą w labiryntach mitów,

Niektórzy idą prosto, żądni życia

Albo przed śmiercią lękiem owładnięci,

A jeszcze inni po Arkadii błądzą...

Tam jest to wszystko: i ogród, i drzewo,

Wąż przy korzeniu, w górze złoty owoc,

Kobieta w cieniu liściastej korony,

Płynąca woda i zielona trawa.

Tam wszystko jest i było. Na krawędzi świata,

W gaju Hesperyd, gdzie jabłka złociste

Wiecznie jaśniały na wiecznych gałęziach,

Smok Ladon zjeżył diamentowy grzebień,

Naostrzył pazur złoty i ząb srebrny,
I drzemiąc, całą nieskończoność czekał,
Aż chytry heros Herakles dopełni
Dzieła kradzieży i wydziedziczenia.
Daleko stamtąd, wśród lodów Północy,
W wysokiej, mroźnej twierdzy, na pustkowiu
Zębów lodowych i szklistych szpikulców,
Skrity przed mgły i mrozu demonami,
Leżał za murem zielony sad Frei;
Tutaj, w kipieli barw i liści lata,
Azowie wonne jabłka spożywali
Wiecznej młodości i wiecznej potęgi;
Tu Jesion Świata podążał ku niebu,
Wrośnięty mocno w jaskinię głęboką,
Gdzie mroczny Nidhogg z pękniętym językiem
Podgryzał niezniszczalny życia korzeń;
Tutaj błyszczały wody i trawniki,
I źródło Urd, gdzie przeszłość się z przyszłością
Mieszała barw tysiącem - a więc żadną -
W wirze tak bystrym, że aż nieruchomym.
Więc - czy te miejsca, to są tylko cienie Jednego Miejsca?
I jednego Drzewa? Czy stwór mityczny jest bestią z otchłani
Ludzkich umysłów, czy zwierzęciem z czasów,
Kiedy po ziemi stąpały jaszczury
Na łapach ciężkich niczym kłody drewna
Kroczące po pradawnych rozlewiskach,
Gdzie człowiek nigdy nie postawił stopy...?
Czy to wydziedziczony Władca Mroku?
Czy też stworzyły go nasze umysły,
Aby nazwać nas samych - spryt i wściekłość,
Zranioną dumę i tę zazdrość, z którą
Jasnej łodygi życia się chwytny?
Bo pierwsi ludzie nazwali to miejsce.
Stworzyli słowa, by nazwać świat cały:
Ogród i drzewo, węża i kobietę, Złoto.
I jabłka. Stworzyli poezję, A rzeczy stały się swymi nazwami.
A z nazw, misternie z sobą połączonych,
Powstały metafory, obraz prawdy,

Albo prawdy widzialnej - złote jabłka.
A złote jabłka zrodziły słów potok;
Srebrzyste wody i straszliwą łuskę
Bestii wężowej; świeżą zieleń liści
Na giętych, krętych (wężowych) gałęziach,
Których dotknięcie przywodziło na myśl
Zgięte w pieszczocie kobiece ramiona,
Słodkie ramiona, wężowe ramiona.
Las z ciemnych łodyg utkał ogrodzenie
Wokół zielonych traw świętego gaju,
Gdzie złote jabłka jak pomniejsze słońca
Błyszczały w gęstym i zielonym cieniu,
Aż wszystko stało się bardziej wyraźne,
Bardziej splecione i bardziej wężowe,
Jak część całości - rzekli później ludzie,
Którzy dostrzegli związki lśniących rzeczy,
A potem ruchy (łapać, kraść, uderzać),
A potem - pełne znaczenia historie Tam, gdzie samotne
Drzewo niegdyś stało I prostym blaskiem niezmiennie świeciło.
My, moja droga, stwarzamy to miejsce
I zaludniamy tworamami umysłu;
Żyją tam lamie, driady, meluzyny,
Smoki ogniste, iskrzące i śliskie,
Wnosimy zamęt doń i tajemnicę,
Głód, smutek, radość i tragedię,
Ujmując i dodając, pomnażamy,
Komplikujemy liście, sny i ptaki -
Sadzamy ptaki rajskie na gałęziach,
Zmuszamy rzeki, aby krwią płynęły,
Po czym sprawiamy, że nurt, znowu czysty,
Niesie klejnoty - diamenty i perły,
Błękit szafirów, szmaragdową zieleń -
A potem wszystko znów splukuje woda
I dno pokrywa miękki, żółty piasek,
Jaki tu zawsze był - tak powiadamy.
Ja widzę Drzewo, szorstkie i ogromne,
Z korą spęczniałą wokół pnia podstawy;
Ty widzisz prostą, srebrzystą kolumnę,

O korze miękkiej niby żywa skóra.
To miejsce leży w środku labiryntu,
Gdzie w ślepych, pełnych cierni zakamarkach
Konali ludzie. To miejsce ujrzawszy Pośród pustyni, ludzie umierają
Z pragnienia, bowiem nie wiedzą, że widzą
Miejsce prawdziwe - omamieni słońcem,
Zwodzeni jednym mirażem za drugim,
Które znikają jak lód w dzień upalny
Lub piana, kraniec znacząca przyboju...
To wszystko prawda, a także nieprawda.
To miejsce jest i nie jest swoją nazwą. To miejsce jest.

Randolph Henry Ash, z „Ogrodu Prozerpiny”

Kiedy Roland schodził po stopniach do sutereny, zza balustrady wychyliła się otyła kobieta.

- Nikogo tam już nie ma, kotku.

- Ja tu mieszkam.

- No proszę? A gdzieś pan był, kiedy ją zabierali, po tym jak dwa dni leżała w bólach pod drzwiami, za słaba, żeby się odezwać? Dopiero jak zobaczyłam te butelki na mleko, to poszłam do opieki społecznej. Zabrali ją do szpitala St. Mary's.

- Byłem u przyjaciół w Lincoln. Mówi pani o pani Irving?

- Ano. Miała atak, zupełnie ją wykończył. Mam nadzieję, że nie odcięli światła. Czasem tak robią.

- Wróciłem tylko - zaczął Roland, ale przeważała w nim rozwaga londyńczyka i myśl o przygodnych włamywaczach. - Wróciłem tylko, żeby poszukać innego mieszkania - powiedział ostrożnie.

- Pilnuj się pan kotów.

- Kotów?

- Kiedy przyszli ją zabrać, wszystkie wyleciały na ulicę, pluły i syczały. Okropnie tu dokuczają, brudzą, rozwłóczą śmietniki. Zadzwoniłam do Towarzystwa Opieki, żeby przyjechali i je uspili. Mówią, że się tym zajmą. Wydaje mi się, że chyba żaden nie został w domu. Wylażą jak robaki wytrząśnięte z koca. Tuzin albo i więcej.

- Ojej.

- Wszędzie smrodzą.

Rzeczywiście. Czuł stary, kwaśny zapach klęski, który miał w sobie nową intensywność.

Wewnątrz było ciemno, jak zwykle. Zapalił w korytarzu światło, które jednak działało, i odkrył, że depcze po stosie nierozpieczętowanych listów, wilgotnych i zwiotczałych, adresowanych głównie do niego. Podniósł je z podłogi i poszedł w głąb mieszkania, zapalając po drodze światła. Był wczesny wieczór; okna na podest miały ciemnoniebieską, chabrową barwę. Na zewnątrz zamiauczał kot, gdzieś w oddali inny odpowiedział mu krótkim wrzaskiem.

- Posłuchaj ciszy - powiedział głośno. Cisza zgęstniała wokół jego głosu, aż zaczął się zastanawiać, czy koniec końców w ogóle coś powiedział.

W korytarzu skoczył ku niemu oświetlony portret Maneta. Głowa Asha ginęła w bloku cienia, ostra, zamyślona twarz patrzyła w dal, poza niego, z wyrazem na wieki zaciekawionym i spokojnym. Światło w korytarzu Rolanda wydobyło z fotografii światło, wmalowane w lśniącą masę kryształowej kuli i rozjaśniło smugi i rozbłyski, odbite w szkle zamykającym tropikalne paprocie i głębie mórz za głową pisarza. Manet zapewne musiał podejść blisko, by przyjrzeć się światłu, które ożywiało te oczy, dawno już umarłe.

Na przeciwległej ścianie srebrnowłosego wizerunek pędzla G.R. Wattsa wyłaniał się z okrytego czarnym cieniem tułowia, ze sfaldowanej pustki ledwie zaznaczonego fraka, i spoglądał - być może wieszczy, a z pewnością piękny, dziki i czujny niby starożytny jastrząb - na konkretną i zmysłową istotę naprzeciwko.

W obu można było rozpoznać tego samego człowieka, a jednak byli tak różni, dzieliły ich całe lata, całe wizje - a jednak niewątpliwie tacy sami.

Roland niegdyś postrzegał ich jako części siebie. Jak dalece tak było, pojął dopiero teraz, gdy ujrzał ich całkowicie odrębnych i oddalonych; ani jeden kąt, ani jedna kość, ani jedna biała drobina światła nie była już dlań zrozumiała, nie miała z nim nic wspólnego.

Zapalił piecyk w korytarzu i płomień gazowy w pokoju, po czym usiadł na łóżku i zabrał się do czytania listów. Jeden, od Blackaddera, natychmiast przełożył na spód sterty. Było tu również kilka rachunków i kilka pocztówek z wakacji od znajomych. Pozostałe listy wyglądały na odpowiedzi na jego ostatni rutynowy zestaw próśb o pracę. Nosily zagraniczne znaczki: Hongkong, Amsterdam, Barcelona.

Drogi doktorze Mitchell.

Z radością informuję, że z polecenia Rady Wydziału Anglistyki mogę zaproponować Panu stanowisko wykładowcy filologii angielskiej na uniwersytecie w Hongkongu. Wstępny kontrakt opiewa na dwa lata, po czym podlega weryfikacji...

Wynagrodzenie wynosi...

Mam wielką nadzieję, że będzie Pan mógł przyjąć naszą propozycję. Niech mi będzie wolno nadmienić, jak wielki podziw wywołała we mnie lektura Pańskiego artykułu „Linia za linią” o twórczości R.H. Asha, który dołączył Pan do swego zgłoszenia. Czekam na okazję, aby go z Panem omówić.

Bylibyśmy wdzięczni za niezwłoczną odpowiedź, ponieważ bardzo wiele osób ubiega się o to stanowisko. Próbowaliśmy telefonować, ale nikt nie odbierał.

Drogi doktorze Mitchell.

Z radością informujemy, że Pańskie zgłoszenie na stanowisko adiunkta na Wolnym Uniwersytecie w Amsterdamie zostało przyjęte. Zajęcia zaczynają się w październiku 1988 roku; zakładamy również, że w przeciągu dwóch lat opanuje Pan język holenderski, choć zajęcia prowadzone będą głównie po angielsku.

Będziemy wdzięczni za szybką odpowiedź. Profesor de Groot prosił mnie o przekazanie, że wysoce sobie ceni Pański artykuł „Linia za linią” o słownictwie R.H. Asha...

Drogi doktorze Mitchell.

Z ogromną przyjemnością informujemy Pana, że Pańskie zgłoszenie na stanowisko wykładowcy Autonomicznego Uniwersytetu w Barcelonie zostało przyjęte i że możemy zaproponować Panu zajęcia, począwszy

od stycznia 1988 roku. Szczególnie zależy nam na podniesieniu poziomu wiedzy o XIX wieku, Pański zaś artykuł o R.H. Ashu spotkał się z wielkim podziwem...

Roland tak się przyzwyczył do przenikliwego poczucia klęski, że ten przypływ powodzenia znalazł go całkiem nieprzygotowanym. Poczł uderzenie krwi do głowy, zmienił mu się oddech. Brudny pokój zafalował krótko pod jego wzrokiem i osiadł w innej odległości, jako przedmiot zainteresowania, a nie dławiącego ograniczenia. Ponownie przeczytał listy. Świat się otworzył. Wyobraził sobie samolot i kabinę na promie z Harwich do Hoek w Holandii, przedział sypialny z Gare d'Austerlitz do Madrytu. Wyobraził sobie kanały i Rembrandty, śródziemnomorskie pomarańcze, Gaudiego i Picassa, dżonki i drapacze chmur, błysk prawdziwych Chin i słońce nad Pacyfikiem. Pomyślał o „Linii za linią” i o przypływie ogromnego entuzjazmu, z jakim po raz pierwszy zasiadł do artykułu. Ponury nastrój samoponiżenia, rozbudzony przez pewniki teoretyczne i błyskotliwość Maud, zniknął jak dym. Trzech profesorów podziwiała jego pracę. Jakie to prawdziwe, że trzeba innych, którzy nas widzą, abyśmy upewnili się o własnym istnieniu. Nic nie zmieniło się w tym, co pisał, a jednak zmieniło się wszystko. Szybko, zanim opuściła go odwaga, otworzył list Blackaddera.

Drogi Rolandzie.

Trochę mnie martwi, że od dłuższego czasu nie dajesz znać o sobie. Mam nadzieję, że w odpowiedniej chwili będziesz w stanie opowiedzieć mi o korespondencji Ash - LaMotte. Może nawet będziesz chciał dowiedzieć się, jakie kroki zostały podjęte, aby zachować ją dla „Narodu”. A może nie; trudno mi zrozumieć Twoje postępowanie w tej sprawie.

Teraz jednakże piszę nie z tego powodu ani też z powodu Twojej niewyjaśnionej nieobecności w Bibliotece Brytyjskiej. Zadzwonili do mnie pilnie profesor de Groot z Amsterdamu, profesor Liu z Hongkongu i profesor Valverde z Barcelony, wszyscy ogromnie chętni, by Cię zatrudnić. Nie chciałbym, abyś przegapił te okazje, zapewniłem ich zatem, że natychmiast po powrocie udzielisz im odpowiedzi i że jesteś do dyspozycji. Wszelako, aby móc bronić Twoich interesów, muszę wiedzieć, jakie są Twoje plany.

Mam nadzieję, że nie jesteś chory.

Pozdrawiam James Blackadder

Po chwili rozdrażnienia, podczas której Roland usłyszał całą tę wiadomość, ogłoszoną z najbardziej sarkastycznym ze szkockich akcentów Blackaddera, uświadomił sobie, że być może jest to bardzo wielkoduszny list - na pewno miłszy niż ten, na który zasługiwał. Chyba że stanowił część makiawelicznego planu, aby ponownie nawiązać z nim kontakt, a potem go zmasakrować? Nie wydawało się to prawdopodobne; groźny, mściwy demon, obecny w podziemiach BM, w tym nowym świetle wyglądał po części na wytwór jego, Rolanda, zniewolonej wyobraźni. Kiedy Blackadder trzymał jego los w swoich rękach, wydawało się, że nie dba o to, by mu pomóc. Teraz Roland mógł się od niego uwolnić - on zaś aktywnie wspomagał tę wolność, nie usiłując jej ograniczyć. Roland przemyślał całą sprawę. Dlaczego stamtąd uciekł? Częściowo z powodu Maud - odkrycie w połowie należało do niej i żadne z nich nie mogło się nim dzielić, nie zdradzając drugiego. Postanowił nie myśleć o Maud. Jeszcze nie, nie tutaj, nie w tym kontekście.

Zaczął niespokojnie chodzić po mieszkaniu. Chciał zadzwonić do Maud i powiedzieć jej o listach, lecz po namyśle zrezygnował. Musiał być sam, musiał się zastanowić.

Uświadomił sobie, że słyszy dziwny dźwięk - piłowanie i drapanie, jakby ktoś chciał siłą wtargnąć do mieszkania. Dźwięk ustał i znów się zaczął. Skrobaniu towarzyszyło dziwne, przerywane, jęklive wołanie. Roland nasłuchiwał i po chwili przestachu domyślił się, że to koty drapią o wycieraczkę przed wejściowymi drzwiami. W ogrodzie pełną piersią zamiauczał inny kot, któremu odpowiedziały wrzaski z podestu. Zastanowił się leniwie, ile ich jest i co się z nimi stanie.

Pomyślał o Randolphie Henrym Ashu. Pogoń za listami, zbliżając go do życia Asha, oddaliła go od Asha poety. W dniach swojej niewinności Roland nie czuł się tropicielem, ale czytelnikiem, czuł się lepszy niż Mortimer Cropper, był w pewnym sensie równy Ashowi, a w każdym razie z nim związany; Ash pisał, aby on, Roland, mógł go czytać, jak najlepiej potrafił. Jednak Ash nie napisał owych listów, aby czytał je Roland lub ktokolwiek oprócz Christabel LaMotte, i w tym sensie znalezisko Rolanda okazało się utratą. Wyjął szkice listów z ich kryjówek w teczce na biurku, podpisanej „Notatki do Eneidy IV”, i przeczytał ponownie.

„Od czasu naszej niezwyklej rozmowy nie mogę myśleć o niczym innym”.

„Od czasu naszej miłej i nieoczekiwanej rozmowy nie jestem prawie w stanie myśleć o niczym innym”.

Przypomniał sobie dzień, gdy te pociemniałe kartki wyfrunęły z Vico R.H. Asha. Przypomniał sobie Prozerpinę Vico. Przypomniał sobie, że czytał „Złote jabłka” Asha, szukając związku pomiędzy Prozerpiną Vico i przedstawieniem tej postaci w wierszu Asha. Zdjął z półki swój egzemplarz Asha, usiadł przy biurku i zaczął czytać.

Pisarz może stworzyć lub przynajmniej odtworzyć dla swego czytelnika pierwotne przyjemności jedzenia, picia, patrzenia albo nawet seksu. Powieści mają swe obowiązkowe *tours-de-force*; złocisty, zielono nakrapiany omlet *aux fines herbes* o smaku lata, rozplływający się w maślaną, bezforemną masę, lub kremowe ludzkie biodro, jędrne i ciepłe, odgięte do tyłu, aby ujawnić gorące wgłębienie, kilka skręconych włosów, przelotny widok seksu. Zazwyczaj jednak literatura nie rozwodzi się nad równie przecież dojmującą przyjemnością czytania. Są po temu oczywiste powody, z których najbardziej oczywistym jest regresywny charakter tego zabiegu, zgoła *mise-en-abîme*, podczas którego słowa zwracają uwagę na moc i czar słów, i tak ad infinitum, aż wyobraźnia zaczyna obcować z czymś suchym i papierowym, narcystycznym, a jednak nieprzyjemnie odległym, pozbawionym owej bezpośredniości, jaką ma seksualna wilgoć lub wonny, rubinowy blask dobrego burgunda. A przecież naturom takim jak Roland najbardziej idzie do głowy czujna, żywa, równomierna lektura. (Swoją drogą, cóż to za zdumiewające określenie „iść do głowy”, sugerujące zarówno intensywność zmysłowych doznań, jak i jej przeciwieństwo, przyjemność umysłu, przeciwstawionego trzewiom - choć jedno ma swój udział w drugim, jak dobrze wiemy, gdy działają oba).

Pomyślcie o tym tak, jak myślał o tym Roland, czytając „Ogród Prozerpiny” po raz dwunasty, a może nawet dwudziesty - wiersz, który „znał” w takim sensie, że doświadczył już wszystkich jego słów, w kolejności, a także poza kolejnością, w pamięci, przy okazji wybiórczego cytatu, poprawnego lub nie - w tym sensie również, że umiał przewidzieć, a czasem nawet wyrecytować słowa, które miały dopiero nadejść, pobliskie lub dopiero zmierzające do miejsca, gdzie spoczywał jego umysł, zaczepiony pazurami niby ptak na gałęzi. Pomyślcie o tym, że autor pisał sam i czytelnik czytał sam - a więc byli sam na sam ze sobą. Co prawda, autor

zapewne był też sam na sam ze złotymi jabłkami z „Królowej wrózek” Spensera, ogród Prozerpiny połyskiwał wśród tamtejszych węgli i popiołów; mógł okiem duszy - oczkiem w głowie - widzieć złote owoce Primavera, a Raj Utracony ujrzeć w ogrodzie, gdzie Ewa przywoływała Prozerpinę i Pomonę. Był zatem sam, gdy pisał, a jednak nie był sam, śpiewały mu wszystkie te głosy, te same słowa, złote jabłka, różne słowa w różnych miejscach, zamek w Irlandii, niewidzialna chatka o rozciągliwych ścianach i szare, okrągłe niewidome oczy.

Istnieją przykładowe czytania danego tekstu i czytania, z których powstają mapy i rozbiory, czytania, w których słycać szelest niesłychanych dźwięków, i takie, które gwoli przyjemności lub nauki zliczają małe, szare przysłówki i przez czas jakiś nie słyszą złotych jabłek. Są czytania osobiste, które dopadają osobistych znaczeń - jestem pełen miłości, niesmaku lub lęku, szukam więc miłości, niesmaku lub lęku. Są także - uwierzcie - czytania bezosobowe, gdzie oko duszy widzi pochod linijek, ucho zaś duszy słyszy śpiew, ich śpiew.

Czasem wszakże zdarzają się czytania, od których jeży się i drży puch na karku, nieistniejąca sierść, gdzie każde słowo pali i świeci, twarde, wyraźne, nieskończone i dokładne, jak ognisty kamień, jak gwiazdny punkt w ciemności - czytania, w których świadomość, że lepiej, soczyściej *poznajemy* to, co napisane, wyprzedza wszelką możliwość stwierdzenia, co - i jak - naprawdę wiemy. W czytaniach takich po uczuciu, że tekst wydaje się całkowicie nowy, nigdy dotąd niewidziany, następuje prawie natychmiast uczucie, że *zawsze był*, że my, czytelnicy, wiedzieliśmy, że jest od zawsze, i *zawsze wiedzieliśmy*, jaki jest, aczkolwiek teraz dopiero staliśmy się w pełni świadomi, w pełni poznaliśmy naszą wiedzę.

Roland czytał - czytał ponownie - „Złote jabłka”, w słowach wiersza widząc żywe stworzenia albo ogniaste kamienie. Zobaczył drzewo, owoce, źródło, kobietę, trawę, węża, formy pojedyncze i wielorakie. Usłyszał głos Asha, na pewno jego głos, jego niewątpliwy głos, usłyszał, jak język krąży, tkając swe własne wzory poza zasięgiem pojedynczych istot ludzkich, pisarzy bądź czytelników. Usłyszał Vico, mówiącego, że pierwsi ludzie byli poetami, pierwsze zaś słowa - nazwami, a jednocześnie rzeczami, i usłyszał swoje dziwne, nic nieznaczące ciągi słów z Lincoln, zobaczył, czym były. Zobaczył również, że Christabel była Muzą i Prozerpiną - i że nimi nie była, ten fakt zaś - gdy go zrozumiał - wydał mu się tak ciekawy i *stosowny*, że roześmiał się w głos. Dzięki

Ashowi wyruszył na tę wyprawę, a teraz znalazł wskazówkę, od której zaczął, i wszystko to zeń opadło: list, listy, Vico, jabłka, jego ciągi słów.

„Skowycieli w ogrodzie, podnieśli głosy i skowycieli z głodu i opuszczenia”.

Mała fotografia maski pośmiertnej Asha nad biurkiem Rolanda miała niejednoznaczny wygląd. Można ją było odczytać dwojako: jak wnętrze wydrążonej formy lub jak wypukłą rzeźbę policzków, ślepych oczu i szerokiego czoła. Wewnątrz, za zamkniętymi oczami, jak aktor w masce; na zewnątrz, zamknięcie, jeżeli wręcz nie ostateczność. Na frontispisie tomu jego wierszy widniała fotografia Asha na łożu śmierci, z bujnym siwym włosiem i wyrazem zmęczenia, pomiędzy pozorem życia i śmiertelnym stężeniem. Obaj ci martwi ludzie, jak również czujny, zmysłowy inteligent Maneta, jak również prorok Wattsa - byli jednym człowiekiem, choć byli także Manetem i Wattsem, a słowa także były jednym słowem: drzewo, kobieta, woda, trawa, wąż i złote jabłka. On, Roland Mitchell zawsze postrzegał to wszystko jako aspekty, części siebie, żył z nimi. Przypomnił sobie rozmowę z Maud na temat współczesnych teorii niezbornej jaźni, składającej się ze sprzecznych systemów przekonań, pragnień, języków i molekuł. Wszystko to było i nie było Ashem, a jednak znał Asha, nawet

jeśli nie umiał objąć go myślą. Dotknął listów, których dotykał Ash, nad którymi przesuwała się jego ręka, nagłocą i niepewnie przekształcająca i odrzucająca własne słowa. Spojrzał na wciąż płomienne ślady wiersza.

Oto Ash powiedział - nie konkretnie do niego, nie była to poufna informacja, choć to on, Roland, znalazł się we właściwym miejscu i czasie, aby ją zrozumieć - że ciągi słów są ważne, że są to słowa, które nazywają rzeczy, język poezji.

Uczono go, że język jest w istocie swojej ułomny, że nigdy nie mówi tego, co istnieje, że mówi tylko siebie.

Pomyślał o masce pośmiertnej. Mógł i zarazem nie mógł powiedzieć, że maska i człowiek są martwi. I oto okazało się, iż sposób, w jaki mógł to powiedzieć, stał się dlań ciekawszy niż założenie, że nie może.

Poczuł ogromny głód. Kiedy szedł po puszkę kukurydzy, znów usłyszał koty, miauczące i drapiące w drzwi. Znalazł stertę puszek sardeli i sardynek; żyli z Val bardzo skromnie, to była ich żelazna racja. Wyłożył zawartość jednej z nich na talerzyk i postawiwszy go przy wyjściu, otworzył drzwi. Z dołu spojrzały nań pyszczki, trójkątne twarzązki, gładkie i czarne, złotoogie, sowie i wąsate, tygrysio prążkowane, dymnoszary kociak i duży, ciężki, pomarańczowy kocur. Postawił spodeczek i zawołał tak, jak słyszał, że wołała stara kobieta. Przez chwilę wahały się, stojąc w miejscu, z przekrzywionymi łebkami, on zaś patrzył, jak ich nozdrza rozdymają się, wężąc oliwę w powietrzu. Nagle ruszyły falą obok niego, przywarły do ziemi, jedzenie zniknęło, dwie mordki schwyciły i przełknęły w zawierusze łap i gibkich ciał, rozległ się przeciągły krzyk rozczarowanych. Otworzył kolejne puszkę i wystawił rząd spodeczków. Miękkie łapki pośpiesznie zbiegły do sutereny, białe igielki ząbków rozdarły rybie mięso, nasycone futra zwijały się mruczając wokół jego kostek, sypiąc małeńkimi iskrami elektryczności. Patrzył na nie. Piętnaście kotów. One patrzyły na niego, przejrzyste szklane oczy, płowe, żółte i bursztynowe, o żenicach wąskich jak szparki w świetle korytarza.

Uznał, że nie ma już powodu, dla którego miałby nie wyjść do ogródka. Wrócił przez mieszkanie, ściągany cichym tupotem zwierząt, i pokonując opór rdzy, odciągnął zakazane rygle. Spod oszklonych drzwi musiał usunąć sterty papierów (Val zawsze mówiła, że grożą pożarem). Przekręcił główny yalowski zamek i podparł otwarte skrzydło. Do środka wtargnęło nocne powietrze, zimne, wilgotne i pachnące ziemią, koty wybiegły zza jego pleców i wyszły na dwór razem z nim. Wszedł po schodkach na górę, okrążył mur i wykraczając poza dotychczasową, znaną perspektywę, stanął pod drzewami w wąskim ogrodzie.

To był deszczowy październik; trawnik pokrywały mokre liście, chociaż niektóre drzewa nadal były zielone. Wznosiły w górę skomplikowane ramiona, czarne na tle różowawej poświaty ulicznych latarni, która lśniła jak glazura na czarnej przestrzeni nieba. Gdy nie wolno mu było wychodzić do ogrodu, w wyobraźni widział go zawsze jako dużą przestrzeń oddychających drzew i prawdziwej ziemi. Teraz to miejsce wydało mu się mniejsze, lecz wciąż pozostawało tajemnicze, być może z powodu gruntu, w którym rosły różne rzeczy. Dostrzegł krzaki brzoskwiń, rozpięte na podpórkach wzdłuż czerwonego krętego muru, okalającego majątek generała Fairfaksa. Podeszedł i dotknął wypalanych cegieł, kiedyś solidnie ułożonych, i nadal solidnych. Sekretarzem Fairfaksa był Andrew Marvell, który pisał wiersze w jego ogrodzie. Roland nie bardzo wiedział, dlaczego czuje się taki szczęśliwy. Czy sprawiły to listy, wiersz Asha, otwarcie ku przyszłości - czy samotność, coś, czego czasem dziko pragnął, a czego ostatnio bardzo mu brakowało? Poszedł ścieżką wzdłuż muru do końca ogrodu, gdzie kilka drzew owocowych zasłaniało widok na ogród sąsiada. Odwrócił się i przez trawnik spojrzał na wy-

prężony dom. Koty szły za nim; przez cienie na trawie przeplatały się ich węzowe ciała, błyszczące w świetle, aksamitnoczarne w mroku. Ich oczy lśniły kapryśnie, nierówno - wydrążone, czerwone krążki z błękitną iskierką w środku, zielone smugi, błyskające i znikające w ciemnościach. Tak się ucieszył na ich widok, że zamarł z głupkowatym uśmiechem na twarzy. Pomyślał o latach stęchłego zapachu, o cieknącej jaskini, w której mieszkał, lecz teraz, kiedy odchodził - a tego, że odchodzi, był pewien - poczuł do nich po prostu przyjaźń. Jutro będzie musiał się zastanowić, jak zapewnić im przetrwanie. Dzisiaj zaczął myśleć o słowach - słowach, które wypływały z jakiejś studni w nim samym, o ciągach słów, które układały się w wiersze: „Pośmiertna maska”, „Mur Fairfaksa”, „Pewna liczba kotów”. Słyszał, czuł, niemal widział wzory utkane przez głos, którego jeszcze nie znał, lecz który był jego własnym głosem. Te wiersze to nie były ostrożne obserwacje ani inkantacje, ani rozważania o życiu i śmierci, choć zawierały wszystkie te elementy. Roland dodał jeszcze jeden: „Kocia kołyska”, dostrzegł bowiem, że ma coś do powiedzenia, że umiałby powiedzieć coś o tym, jak przychodzą i tworzą się kształty. Jutro kupi sobie nowy zeszyt i wszystko zapisze. Dziś zapisze dość, by je zapamiętać.

Miał czas, by odczuć osobliwość przedtem i potem; godzinę temu nie było żadnych wierszy, a teraz nadchodziły jak deszcz i były prawdziwe.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

W pewnych nastrojach zżeramy swe życie
Pośpiesznie i łapczywie; chcemy więcej,
Choć owo „więcej” zmniejsza skromny zapas
Spokoju, jaki jeszcze nam pozostał.
Bardziej niż głód gonią nas zakończenia;
Musimy wiedzieć, co się dalej stanie,
Jak to się skończy, jaki jest kształt ogniw
Tego łańcucha - słabe są czy mocne,
Misternie kute czy toporną ręką
Śmiało spawane w nieporadne kółka?
Brniemy na oślep, nie umiając puścić
Połyskliwego sznura ciekawości,
Łańcucha, który zmienia się w kajdany,
I wlecze nas - „A potem? potem? potem?” -
Przez życie, aż po kres wyobrażony.
Lecz my musimy poznać nóż lub stryczek,
Ostatni uścisk lub obrączkę ślubną,
Surmy bojowe, przedśmiertne rzeźenie,
Choć dobrze wiemy, że wszystko to jedno -

Finis, Kres, Koniec, wstrząs najwyższej próby,
Który jest dla nas końcem wszelkich wstrząsów.
Nerwowi, gorączkowi, rozedrgani,
Pragniemy przecież, aby ruch ten ustał,
I aby gęby nasze zapełniła
Słodycz pewności, choć taki błogostan
To dla nas śmierć; podobnie lot godowy
Trutniowi wraz z błogością kres przynosi
Jego krótkiego, powietrznego czasu...

Randolph Henry Ash

Konferencja w Mortlake przebiegła w rzadko spotykanej atmosferze spisku i wesołości. Odbyła się w domu Beatrice Nest, na zaproszenie gospodyni. (Konspiracyjnie ustalono, że Mortlake leży poza zasięgiem reflektora uwagi Mortimera Croppera). Beatrice przygotowała tartę cebulowo-śmietanową, sałatę i mus czekoladowy, jak niegdyś na przyjęcia dla swoich doktorantów. Ciasto i mus wyglądały smakowicie i Beatrice była szczęśliwa. Skupiając się na bezpośrednim zagrożeniu, starała się ignorować napięcia między gośćmi, wszystko to, co pomijano, i wszystko to, co powiedziano zamiast.

Pierwsza zjawiała się Maud, surowa i przejęta, z głową znów spowitą w zielony szal, spięty gagatową syrenką. Stała w kącie i zaczęła się przyglądać oprawnej w srebro fotografii Randolpha Henry'ego Asha, umieszczonej na małym sekretarzyku Beatrice, w miejscu, gdzie zwykle widnieją zdjęcia ojców lub kochanków. Nie była to podobizna przyprószonego siwizną mędrca z lat późniejszych, lecz wczesne zdjęcie poety z masą ciemnych włosów i wyglądem pirata. Maud automatycznie podjęła semiotyczną analizę fotografii, odnotowując w myślach arabeski na litym srebrze ramki, wybór obrazu, fakt, że model wydawał się spoglądać wprost na patrzącego dziewiętnastowiecznym, rozwartookim spojrzeniem sprzed epoki zdjęć błyskawicznych. Fakt, że fotografia przedstawiała poetę, a nie jego żonę.

Po Maud przyszła Val z Euanem MacIntyre'em. Beatrice nie całkiem rozumiała, skąd wzięła się ta para; od czasu do czasu spotykała Val, stojącą z obrażoną miną na obrzeżach grupy roboczej w Fabryce Asha. Zauważyła, iż Val wygląda świeżo i wręcz wyzywająco promiennie, jednak z iście naukową prostolinijnością nie próbowała sobie tego tłumaczyć. Euan pochwalił przytomność umysłu, z jaką podsłuchiwała i przekazała intencje Mortimera Croppera, oraz określił całą sprawę jako ogromnie podniecającą, co w połączeniu z niewątpliwym sukcesem, jaki odniosły tarta i mus, znacznie poprawiło nastrój Beatrice, początkowo przerażonej i skrepowanej.

Następnym gościem był Roland, który nie powiedział do Maud ani słowa i natychmiast podjął z Val długą rozmowę na temat jedzenia dla hordy dzikich kotów i ewentualnych telefonów do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Beatrice nie słyszała milczenia między Maud i Rolandem i nie była, rzecz jasna, świadoma, że Roland nic nikomu nie mówi o Hongkongu, Barcelonie i Amsterdamie.

Do Blackaddera Beatrice zadzwoniła osobiście, oznajmiając rzeczowo, iż nawiązała kontakt z dr Bailey oraz Rolandem Mitchellem, którzy chcieli się spotkać, aby omówić korespondencję Ash - LaMotte, jak również pewną wypowiedź profesora Croppera, którą przypadkiem podsłuchała. Jednak gdy otworzyła mu drzwi, jako ostatniemu uczestnikowi zebrania, rozbawiony i nieco zażenowany Blackadder przedstawił jej profesor Leonorę Stern. Leonora wyglądała olśniewająco w fioletowej wełnianej pelerynie z kapturem, obszytej czarną jedwabną taśmą i narzuconej na szkarłatną, jakby rosyjską tunikę z ciężkiego jedwabiu oraz szerokie, czarne chińskie spodnie. Powiedziała do Beatrice:

- Mam nadzieję, że nie ma mi pani za złe tego najścia. Obiecuję, że nikogo nie będę nękać, ale mam w tym wszystkim własny naukowy interes.

Beatrice poczuła, że jej okrągła twarz nie potrafi ułożyć się w uśmiech powitania.

- Och, bardzo panią proszę - nalegała Leonora. - Będę cicho jak myszka. Z góry mogę przysiąc, że nie zamierzam ukraść żadnego rękopisu ani jawnie, ani ukradkiem, chcę tylko przeczytać te cholerne listy.

- Sądzę - powiedział Blackadder - że profesor Stern może nam wydatnie pomóc.

Beatrice otworzyła szerzej drzwi i wszyscy troje weszli po wąskich schodkach do małego saloniku na piętrze. Oczywiście Beatrice zauważyła pewną skomplikowaną ciszę, towarzyszącą skinieniu głowy, jakim Blackadder powitał Rolanda, lecz zupełnie nie udało się jej odczytać wiele mówiącego braku informacji i oskarżeń w długim, dramatycznym uścisku Leonory i Maud.

Trzymając talerze na kolanach, siedzieli na fotelach i krzesłach kuchennych rozstawionych dookoła pokoju. Euan MacIntyre otworzył dyskusję, wyjaśniając swoją obecność jako kogoś w rodzaju doradcy prawnego Maud, która, jego zdaniem, jest niewątpliwą spadkobierczynią listów LaMotte i prawie na pewno dziedziczy rękopisy listów Asha, choć nie prawa autorskie na ich publikację, te bowiem należą do spadkobierców Randolpha Asha.

- Listy jako przedmioty fizyczne są własnością adresata, lecz prawa autorskie zachowuje nadawca. W naszym przypadku jasne jest, że Christabel LaMotte zażądała zwrotu listów, do czego Randolph Ash chętnie się zastosował. Roland i Maud, którzy czytali całą korespondencję, nie mają tu wątpliwości. Posiadam prawny dowód - podpisany i poświadczony testament, w którym Christabel LaMotte pozostawia wszystkie swe rękopisy Mai Thomasinie Bailey, prapraprababce Maud. Prawdziwym spadkobiercą jest, zdaje się, żyjący ojciec Maud, lecz on już przedtem sporządził akt darowizny, przekazując wszystkie zapisane Mai Thomasinie rękopisy swojej córce, a ta z kolei złożyła je w archiwum Ośrodka Genderowego w Lincoln. Maud nie mówiła mi jeszcze o moim odkryciu i nie sądzi, by specjalnie interesował się doniesieniami prasowymi na temat wielkich sum, jakie profesor Cropper zaproponował sir George'owi Baileyowi, który uważa się za właściciela listów. Jednakże Maud uważa, że prawie niepodobna, by jej ojciec zechciał sprzedać te dokumenty Fundacji Stanta, zwłaszcza że ona sama chciałaby zatrzymać je w kraju.

Na wypadek, gdyby ktoś z państwa zastanawiał się nad prawem autorskim, powinienem być może dodać, że materialne prawa autorskie podlegają ochronie od *momentu publikacji* do końca życia autora plus pięćdziesiąt lat bądź, w przypadku publikacji pośmiertnej, przez pięćdziesiąt lat od daty tejże. Omawiana korespondencja nigdy nie była publikowana, a zatem prawa autorskie nadal pozostają przy spadkobiercach autorów listów. Jak już mówiłem, rękopisy należą do adresatów, prawa zaś do nadawców. Niezbyt dobrze wiadomo, cze-

go życzy sobie lord Ash, lecz z tego, co ma nam do powiedzenia dr Nest, wynika, że Cropper nakłonił jego syna Hildebranda Asha, by ten obiecał mu zarówno same listy, jak i prawa autorskie.

- Ten człowiek doprowadza mnie do szału - powiedział Blackadder - a ponadto działa bez najmniejszych skrupułów. Jednak jego edycja jest rzetelna i skrupulatnie udokumentowana, więc według mnie byłoby grubiaństwem nie zezwolić na publikację tych listów w wydaniu standardowym. Zapewne teoretycznie, gdyby listy zostały w kraju, można by zabronić mu do nich dostępu; teoretycznie Hildebrand Ash mógłby również uniemożliwić ich publikację komukolwiek innemu, w ten sposób stawiając wszystkich w impasie. Oczywiście, jest jeszcze sam lord Ash. Być może przed udostępnieniem listów Cropperowi zezwoliłby na pierwsze wydanie brytyjskie, chroniąc w ten sposób swe prawa autorskie.

Panie MacIntyre, czy przewiduje pan, że dysputa prawna z sir George'em Baileyem może się przeciągnąć?

- Zważywszy jego kłótniwość i to, że listy faktycznie są u niego, owszem, przewiduję.

- Lord Ash jest bardzo chory.

- Tak słyszałem.

- Dr Bailey, pozwoli pani, że zapytam - gdyby znalazła się pani w posiadaniu całości korespondencji, co zamierza pani z nią zrobić?

- Sądzę, że przedwcześnie jest o tym mówić, a poza tym czuję pewien zabobonny lęk - listy nie są moje i mogą nigdy moje nie być. Ale jeżeli - jeżeli istotnie należą do mnie - chciałabym, aby pozostały w kraju. Rzecz jasna, chciałabym, aby listy LaMotte znalazły się w archiwum Ośrodka Studiów Gender - które nie jest zbyt bezpieczne, lecz inne jej rzeczy, uzyskane od mojej rodziny, już tam są. Jednocześnie nie chcę... przeczytawszy je, mam uczucie, że powinny zostać razem. Muszą zostać razem. Nie tylko dlatego, że trzeba je czytać na przemian, aby coś z nich zrozumieć; one... one są nierozzerwalną całością.

To mówiąc, Maud zerknęła na Rolanda i szybko odwróciła wzrok, skupiając się na fotografii Asha, stojącej z tyłu, pomiędzy nim i Val.

- Gdyby sprzedała je pani Bibliotece Brytyjskiej - wtrącił Blackadder - archiwum Ośrodka mogłoby skorzystać w inny sposób.

Leonora powiedziała:

- Ośrodek skorzysta, jeśli uczeni z całego świata będą tam przyjeżdżać.

- Chciałabym, żeby lady Bailey jednak dostała nowy elektryczny wózek - powiedział Roland.

Wszyscy nagle odwrócili się ku niemu.

- Była dla nas dobra. I jest chora.

Maud zarumieniła się po korzonki włosów.

- Też o tym pomyślałam - powiedziała trochę gniewnie. - Jeżeli listy są moje - jeżeli sprzedam połowę lub wszystkie Bibliotece Brytyjskiej - moglibyśmy jej pomóc z tym wózkiem.

- On pewnie rzuci go nam w twarz - zauważył Roland.

- Chcesz, żebym mu *dała* te rękopisy?

- Nie. Chcę po prostu znaleźć sposób...

Blackadder zrozumiał, że dwoje pierwotnych odkrywców zaraz się pokłóci.

- A ja chciałbym się dowiedzieć - powiedział - jak w ogóle trafiliście na tę korespondencję.

Wszyscy spojrzeli na Maud, która spojrzała na Rolanda. Nadeszła chwila prawdy. Jak również chwila wydziedziczenia - a może właściwszym słowem był egzorcyzm.

- Czytałem Vico - powiedział Roland. - Egzemplarz Asha w przekładzie Micheleta. W Bibliotece Londyńskiej. I wypadły zeń te wszystkie papiery. Rachunki za papier listowy, łacińskie notatki, listy, zaproszenia. Oczywiście powiedziałem o tym profesorowi Blackadderowi. Ale nie przyznałem się, że znalazłem... że znalazłem dwa brudnopisy listu do kobiety - nie napisał, do jakiej - ale to było tuż po jego bytności na śniadaniu u Crabba Robinsona, więc poszperałem trochę - i znalazłem Christabel LaMotte. Pojechałem więc zobaczyć się z Maud, którą polecił mi... a tak, Fergus Wolff - nie wiedziałem nic o pokrewieństwie - i ona pokazała mi dziennik Blanche Glover, a potem zaczęliśmy się zastanawiać, czy w Seal Court coś jest; pojechaliśmy tam, po prostu żeby popatrzeć - i poznaliśmy lady Bailey. Zaprowadzili nas do wieży Christabel i Maud przypomniała sobie wiersz o lalce, która przechowuje tajemnicę, i zajrzała do lalczyńskiego łóżeczka - wciąż stało w jej pokoju - i oto były... te listy, ukryte w skrytce pod materacykiem...

- A lady Bailey polubiła Rolanda, który ocalił jej życie, o czym zapomniał wam powiedzieć, i zaprosiła go, żeby wrócił i rzucił okiem na listy, i doradził jej - więc pojechaliśmy na Boże Narodzenie...

- I przeczytaliśmy je, robiąc notatki...

- I Roland wymyślił, że być może LaMotte wyjechała z Ashem na wyprawę przyrodniczą w 1859 roku...

- Więc pojechaliśmy do Yorkshire i znaleźliśmy mnóstwo dowodów tekstualnych, u obojga poetów, na to, że mogli tam być razem - miejscowe zwroty i krajobrazy w „Meluzynie”, te same wersy u obojga; sądzimy, że na pewno z nim była...

- A potem odkryliśmy, że ten zagubiony rok, przed samobójstwem Blanche Glover, LaMotte spędziła w Bretanii...

- A tak, w istocie - mruknęła Leonora.

- Leonoro, postąpiłam bardzo nieładnie - powiedziała Maud.

- Zabrałam twój list od Ariane Le Minier i wyjechałam nic ci nie mówiąc... bo to nie była tylko moja tajemnica, lecz także Asha - i Rolanda - przynajmniej tak wtedy czułam. W każdym razie dr Le Minier dała nam kopię dziennika Sabine de Kercoz i wyjaśniło się, że Christabel urodziła dziecko, po którym nie ma śladu...

- I wtedy przyjechała pani i profesor Cropper, a my wróciliśmy do domu - dodał Roland.

- I jakby cudem pojawił się Euan z testamentem.

- Znam adwokata sir George'a, dzielimy się koniem - powiedział Euan ku wielkiemu zdumieniu Beatrice.

- Najwyraźniej - rzekł Blackadder - „Posięście mumii” dotyczy kontaktów LaMotte z Hellą Lees, a LaMotte była obecna na seansie, który Ash tak niesławnie przerwał. Moim zdaniem możemy również założyć, że Ash sądził, iż podczas seansu LaMotte pragnęła rozmawiać ze swym zmarłym dzieckiem, co - jeżeli to było jego dziecko - musiało ogromnie go rozgniewać.

- Ponieważ zaś - powiedziała Leonora - moja dobra przyjaciółka i siostra feministka pracuje w biurze Kolekcji Stanta, wiem, że Cropper ostatnio otrzymuje faksy listów, w których LaMotte donosi jego prapra-

babce, spirytystce, socjalistce, feministce i mesmerystce Priscilli Penn Cropper o swoim wielkim poczuciu winy.

- Co nasuwa nam - powiedział Blackadder - dwa... nie, trzy końcowe pytania. Po pierwsze: co się stało z dzieckiem, żywym lub umarłym? Po drugie: co Cropper chce odkryć? I jakie ma po temu podstawy? I po trzecie: co stało się z oryginałami pierwotnych listów?

Wszyscy znów spojrzeli na Rolanda, który wyjął portfel i wyciągnął listy z ich bezpiecznej kryjówki.

- Wziąłem je - powiedział. - Nie wiem dlaczego. Nie zamierzałem... nie chciałem zatrzymać ich na zawsze. Nie wiem, co mnie opętało... wydawało się to takie łatwe, były moim znaleziskiem - to znaczy, nikt inny nie dotykał ich od czasu, gdy on schował je w książce Vico, jako zakładki czy coś takiego. Będę musiał je zwrócić. Do kogo należą?

Euan odpowiedział:

- Jeżeli książka stanowiła darowiznę lub zapis na rzecz Biblioteki Londyńskiej, to chyba należą do nich. Prawa autorskie są własnością lorda Asha.

- Jeżeli dasz je mnie - zaproponował Blackadder - to gwarantuję, że zostaną zwrócone Bibliotece bez żadnych pytań, w każdym razie nie pod twoim adresem.

Roland przeszedł przez pokój i wręczył listy Blackadderowi, który oczywiście nie oparł się pokusie przeczytania ich od razu, na miejscu, miłośnie i zaborczo odwracając kartki, poznając znajome pismo.

- Byłeś bardzo przedsiębiorczy - powiedział cierpko do Rolanda.

- Tak jakoś wyszło.

- Istotnie.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy - rzekł Euan. - To przypomina zakończenie komedii Szekspira - jak się nazywa ten gość, który zjeżdża z góry pod koniec „Jak wam się podoba?”.

- Hymen - odparł Blackadder, lekko się uśmiechając.

- Albo zdemaskowanie przestępcy na końcu powieści kryminalnej. Ja osobiście zawsze chciałem być Albertem Campionem*. Wciąż jednak nie zajęliśmy się naszym złoczyńcą. Proponuję, by dr Nest opowiedziała nam, co usłyszała.

* Aluzja do bohatera powieści detektywistycznych Margery Allingham, uważanej za jedną z „królowych zbrodni” obok takich autorek jak Agatha Christie i Dorothy L. Sayers (przyp. tłum.).

- No więc - powiedziała Beatrice - przyszli zobaczyć koniec dziennika Ellen, to znaczy nie koniec, tylko opis *jego* końca, gdzie ona wspomina o tej skrzynce, którą profesor Cropper zawsze się tak interesował, tej, którą widziano nienaruszoną na pogrzebie Ellen, wiecie, o którą chodzi. I ja poszłam do łazienki - to był taki dzień, kiedy nikogo nie było, profesorze Blackadder, zupełnie nikogo w pańskiej części biura - a jak pan wie, okropnie długo idzie się do toalety i z powrotem - więc kiedy wróciłam, nie spodziewali się mnie i usłyszałam, jak profesor Cropper mówi - znaczy może nie dosłownie, ale mam dobrą pamięć słuchową i bardzo mną to wstrząsnęło - jak mówi: „Przez parę lat nikt by się o tym nie dowiedział, zostałoby to między nami, a potem, kiedy już pan by odziedziczył, to by się pojawiło, moglibyśmy to *odnaleźć* - pan by to znalazł, a ja bym od razu

kupił to od pana, całkiem jawnie i legalnie". A Hildebrand Ash odpowiedział: „Moralnie już należy do mnie, prawda, bez względu na to, co twierdzi pastor?”. A Cropper: „Tak, ale ten pastor robi ogromne trudności, poza tym w Anglii jest kupa idiotycznych przepisów, dotyczących otwierania grobów, trzeba mieć dyspensę od biskupa i chyba nie możemy tego wszystkiego ryzykować”. Na to Hildebrand Ash znów swoje: „To moja własność”. A profesor Cropper wtedy powiedział, że to jest własność nie tylko Hildebranda, lecz i całego świata, on sam zaś zostanie „dyskretnym opiekunem”. Na co Hildebrand ucieszył się, że to będzie niezła przygoda na Wszystkich Świętych, a profesor Cropper upomniał go, że to ma być poważne, profesjonalne przedsięwzięcie i to zaraz, bo on musi wracać do Nowego Meksyku... Wtedy pomyślałam, że powinnam kaszlnąć albo coś, na wypadek gdyby zauważyli, że stoję w cieniu. Więc cofnęłam się trochę i *głośno wróciłam*, by tak rzec.

- Podejrzewam, że on istotnie może być hieną cmentarną - warknął Blackadder przez zaciśnięte usta.

- Ja wiem, że tak jest - powiedziała Leonora Stern. - Po Stanach krążą rozmaite pogłoski. Różne przedmioty ginęły ze szklanych gablotek w małych lokalnych kolekcjach, wiecie, kurioza, interesujące dla specjalistów, szpilka do krawata, którą zastawił w lombardzie Edgar Allan Poe, liścik Melville'a do Hawthorne'a, te rzeczy. Pewna moja przyjaciółka prawie przekonała potomka przyjaciółki Margaret Fuller, aby ten sprzedał jej list na temat spotkania autorki z angielskimi pisarzami we Florencji, tuż przed tą fatalną podróżą - bardzo ciekawy od strony feministycznej - po czym zjawił się Cropper, zaproponował czek in blanco i spotkał się z odmową. I następnego dnia, kiedy poszli po rękopis, okazało się, że go nie ma. Nigdy go nie odnaleziono. Naszym zdaniem Cropper przypomina tych mitycznych milionerów, którzy płacą złodziejom, żeby ukradli dla nich „Monę Lizę” albo „Jedzących kartofle”.

- Może uważa, że *naprawdę* należą do niego - mruknął Roland - ponieważ on najbardziej je kocha.

- Bardzo życzliwie to ująłeś - zauważył Blackadder, obracając w dłoniach list Asha. - A więc mamy założyć, że on ma gdzieś prywatny, niedostępny, tajemny gabinet osobliwości, które ogląda, dysząc długo w głuchą noc, pełen rzeczy, których nikt nie widział...

- Tak głosi plotka - odparła Leonora. - Wie pan, jak to jest z plotkami. Unoszą się z wiatrem i pączkują. Ale sądzę, że ta ma jakieś podstawy. Wiem na pewno, że historia z listem Fuller jest prawdziwa.

- Jak go powstrzymać? - zawołał Blackadder. - Zawiadomić policję? Poskarżyć się Uniwersytetowi Roberta Dale'a Owena? Pójść do niego? Dwa ostatnie posunięcia zlekceważy, a pierwsze jest trochę śmieszne - skąd wezmą ludzi, żeby pilnować grobu przez najbliższych kilka miesięcy? Jeżeli odstraszymy go teraz, po prostu zrezygnuje z wdziękiem i spróbuje później. Nie uda nam się sprawić, żeby go deportowali.

Euan powiedział:

- Dzwoniłem do jego hotelu oraz na wieś, do Hildebranda Asha. Udałem, że jestem adwokatem, który musi mu pilnie przekazać ważną wiadomość, i wiem już, gdzie oni naprawdę pojechali. Są w gospodzie Pod Starą Jarzębiną na wzgórzach North Downs, w pobliżu, lecz niezbyt blisko Hodershall. Obaj. To bardzo znamienne.

- Powinniśmy zawiadomić pastora Draksa - powiedział Blackadder.

- Choć to niewiele da, on w ogóle nie znosi badaczy Asha i poetyckich wycieczek.

- Moim zdaniem... - zaczął Euan. - To może zabrzmieć melodramatycznie, *toujours* ten pan Campion, ale sądzę, że powinniśmy złapać go na gorącym uczynku i zabrać mu to - cokolwiek to jest.

Pomruk zadowolenia przemknął po pokoju.

- Możemy go przyłapać, zanim zbecześci grób - powiedziała Beatrice.

- Teoretycznie - wyjaśnił Euan. - W praktyce może będziemy musieli zabezpieczyć to, co się tam znajduje - jeżeli tam w ogóle coś jest.

- Czy sądzicie, że on myśli - zapytała Val - że w skrzynce znajdzie zakończenie tej historii? Nie ma powodu, aby tak było. Może tam być wszystko albo nic.

- Wiemy o tym. I on o tym wie. Ale przez te listy wszyscy wyszliśmy - w pewien sposób - trochę na idiotów, z naszym pisaniem o cudzym życiu na podstawie posiadanych dowodów. Cały ten romans musiał wpłynąć na wszystkie wiersze Asha napisane po 1859 roku - będziemy musieli ponownie ocenić absolutnie wszystko - powody jego niechęci do spirytystów są na to przykładem.

- A LaMotte zawsze przytaczano jako poetkę lesbijsko-feministyczną - dodała Leonora. - Którą zresztą była, ale najwyraźniej nie wyłącznie.

- A „Meluzyna” - powiedziała Maud - wygląda całkiem inaczej, jeżeli wiadomo, że początkowe krajo-brazy to po części Yorkshire. Znow ją przeczytałam. Żadnego użycia słowa „ash” nie można już uznać za niewinne.

- Więc w jaki sposób - zapytał Euan - damy odpór porywaczom ciał, co, jak zakładam, jest głównym celem naszego zebrania?

Blackadder powiedział z wahaniem:

- Mógłbym się zwrócić do lorda Asha.

- Mam lepszy pomysł. Wyznamy szpiegów i zaczniemy go śledzić.

- To znaczy?

- Uważam, że jeżeli dr Nest ma rację, to on będzie kopał niebawem. I uważam, że jeżeli dwoje z nas zatrzyma się w tej samej gospodzie - dwie osoby, których on w ogóle nie zna - to będziemy mogli dać znać pozostałym - bądź, w razie konieczności, sami stawimy mu czoło, pójdziemy za nim na cmentarz, zatrzymamy jego samochód za pomocą byle prawniczego świstka, czegokolwiek. Zorientujemy się na miejscu. Mógłbym pojechać z Val. Zostało mi trochę urlopu. A pan, profesorze Blackadder, ma przecież pismo, zakazujące wywozu papierów Asha do czasu, gdy Rada do spraw Dziedzictwa Narodowego postanowi, co zrobić...

- Gdyby można go było powstrzymać, zanim zakłóci ich spokój - powiedziała Beatrice.

- Zastanawiam się - rzekł Blackadder - co jest lub było w tej skrzynce.

- I dla kogo ją tam włożono - dodała Maud.

- Prowadzi nas i zwodzi - powiedziała Beatrice. - Chce, żebyśmy wiedzieli i nie wiedzieli zarazem. Dołożyła starań, żeby nas zawiadomić, że skrzynka istnieje. A potem ją pogrzebała.

Pierwsi wyszli Val i Euan, trzymając się za ręce. Roland spojrział na Maud, którą Leonora natychmiast wciągnęła w nader ożywioną rozmowę i serię demonstracyjnych uścisków wybaczenia. Ocknął się, kiedy wychodził z Blackadderem. Poszli razem chodnikiem.

- Źle postąpiłem. Przepraszam.

- Można to zrozumieć.

- Opętało mnie. Musiałem się dowiedzieć.

- Wiesz już o tych posadach, które ci proponują?

- Nie mam pojęcia, co robić.

- Masz jeszcze jakiś tydzień. Rozmawiałem z nimi wszystkimi. Wychwalałem cię, jak umiałem.

- To ładnie z twojej strony.

- Dobrze pracujesz. Podobał mi się ten kawałek „Linia za linią”. Rzetelna robota. Dostałem pieniądze na pełny etat badawczy, dla ashologa, jeśli to cię interesuje. Uboczna korzyść, chyba tak byś to nazwał, z mojego występu w telewizji. Szkocki dobroczynny fundusz powierniczy, prowadzony przez prawnika, który, jak się okazuje, ma obsesję na punkcie Asha.

- Nie umiem zdecydować, co mam robić. Nie jestem nawet pewien, czy chcę nadal pracować naukowo.

- No cóż, jak mówiłem, masz jeszcze tydzień. Zajrzyj, jeśli będziesz chciał omówić za i przeciw.

- Dziękuję. Zastanowię się, a potem zajrzę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Gospoda Pod Jarzębiną leży około mili od Hodershall, osłonięta od wiatrów łukiem wzgórz North Downs. Długi i niski budynek, zbudowany w osiemnastym wieku z łupka i kamienia, okrywa omszały, łupkowy dach. Fronton wychodzi na krętą drogę, obecnie zmodernizowaną i poszerzoną, która biegnie przez prawie nagą wyżynę; po jej drugiej stronie, o milę w bok, przy zarośniętej trawą polnej drodze stoi od dwunastego wieku parafialny kościół Hodershall - przysadzisty, kamienny, również kryty łupkiem, z kurkiem w kształcie smoka na niepozornej wieży. Oba budynki oddziela od wsi Hodershall odnoga wzgórza. Gospoda ma dwanaście pokoi, pięć w głównym budynku i siedem w nowoczesnym pawilonie, wybudowanym na tyłach domu z tego samego miejscowego kamienia. Otaczają sad, w którym dla wygody gości latem umieszcza się stoły i huśtawki. Wspominają o niej wszystkie przewodniki kulinarne.

Piętnastego października gości było niewielu. Jak na tę porę roku pogoda utrzymywała się ciepła - drzewa wciąż miały liście - lecz bardzo mokra. Zajętych było pięć pokoi, w tym dwa przez Mortimera Croppera i Hildebranda Asha. Cropper miał najlepszy pokój, położony nad ładną, masywną bramą wejściową, z widokiem na trakt, prowadzący do kościoła. Hildebrand Ash mieszkał obok. Przebywali w gospodzie już tydzień, podczas którego chodzili na długie wyprawy na wzgórze, przygotowani na każdą pogodę, w wysokich butach, impregnowanych skafandrach i ciepłych kurtkach. Siedząc w barze - mrocznym, wyłożonym drewnem pomieszczeniu, gdzie dyskretnie mżyły lampy w ciemnozielonych kloszach, a tu i ówdzie błyskał mosiądz kurków - Mortimer Cropper raz czy dwa napomknął głośno, że zamierza kupić w okolicy dom, w którym mógłby

mieszkać i pisać przez większą część roku. Odwiedzał liczne agencje nieruchomości i oglądał różne domy. Wydawał się sporo wiedzieć o leśnictwie i przejawiał zainteresowanie rolnictwem organicznym.

Czternastego października Ash i Cropper udali się do Leatherhead i złożyli wizytę w agencji Denshera i Winterbourne'a. Wyjeżdżając z miasta, zatrzymali się w centrum ogrodniczym, gdzie nabyli - za gotówkę - kilof oraz kilka szpadli i wideł do ciężkich robót, które umieścili w bagażniku mercedesa. Po południu poszli na spacer do kościoła, jak zwykle zamkniętego dla ochrony przed wandalami, i czas jakiś spacerowali po cmentarzu, przyglądając się nagrobkom. Przy wejściu na cmentarz, ogrodzony połamanymi, żelaznymi prętami, wisiała tablica, informująca, że parafia ta, pod wezwaniem św. Tomasza, należy do grupy trzech parafii, których duszpasterzem jest wielebny Percy Drax. Eucharystię i jutrznię odprawia się w pierwszą niedzielę miesiąca, nieszpory w ostatnią.

- Nie znam tego Draksa - poskarżył się Hildebrand Ash.

- Bardzo niemiły człowiek - powiedział Mortimer Cropper.

- Wspólnota Poetów z Schenectady podarowała temu kościołowi kałamarz, którego Ash używał podczas podróży po Ameryce, oraz kilka książek, które podpisał dla swych amerykańskich wielbicieli, z wklejoną swoją fotografią. Podarowali również szklaną gablotę, aby pan Drax mógł wystawić te skarby, tymczasem on umieścił ją w najciemniejszym kącie i okrył zakurzonym, jutowym całunem, bez żadnej wskazówki co do jej zawartości, toteż pozostaje całkowicie niewidoczna dla przypadkowego turysty...

- Który i tak nie może wejść do środka - dodał Hildebrand Ash.

- Właśnie. I w dodatku ten Drax odnosi się bardzo wrogo do badaczy i miłośników Asha, którzy proszą go o klucze, by oddać cześć poecie. Powiada - pisał mi o tym - że kościół jest domem Bożym, a nie mauzoleum Asha. *Ja* nie widzę sprzeczności.

- Mógłby pan wykupić te rzeczy...

- Mógłbym. Proponowałem znaczne sumy choćby za wypożyczenie przedmiotów. Co prawda książki są już reprezentowane w Kolekcji Stanta, ale kałamarz jest unikatem. Drax odpowiada, że warunki darowizny nic nie mówią o dysponowaniu darowanymi przedmiotami. A jego nie interesują zmiany warunków darowizny. Jest wręcz opryskliwy.

- Moglibyśmy też je zabrać - powiedział Hildebrand Ash. - Skoro już przy tym jesteśmy.

Roześmiał się, lecz Mortimer Cropper zmarszczył brew.

- Nie jestem pospolitym złodziejem - oznajmił. - Ale ta skrzynka, której zawartości możemy się tylko domyślać... myśl o tym, że będzie gnić w ziemi, dopóki nie uzyskamy prawa do ekshumacji - myśl, że być może *nigdy się nie dowiemy*...

- Wartość...

- Jej wartość to po części wartość, którą ma dla *mnie*.

- Która jest wysoka - powiedział Hildebrand pytająco.

- Która jest wysoka, nawet jeżeli w skrzynce nic nie ma - potwierdził Cropper. - Dla spokoju mego ducha. Ale *nie* jest tak, że *nic* tam nie ma. Ja to wiem.

Obeszli cmentarz raz i drugi. Panowała cisza, angielska i kapiąca. Groby pochodziły głównie z dziewiętnastego wieku, nie licząc kilku wcześniejszych i późniejszych. Grób Ellen i Randolpha znajdował się na

skraju, zasłonięty trawiastym pagórkiem, jakby kurhanem, na którym rósł starożytny cedr i jeszcze starszy cis, strzegące cichego zakątka przed spojrzzeniami osób, zbliżających się do drzwi kościoła. Tuż za grobem sterczały pręty ogrodzenia, dalej ciągnęło się krótko przyszczyżone pastwisko, zawierające kilka niewzruszonych owiec i mały, biegnący w poprzek strumyk. Ktoś już tu kopał; schludnie ułożone przy prętach leżały kwadraty zielonej murawy. Hildebrand doliczył się trzynastu.

- Jeden w głowach i podwójny rząd na długość... Mógłbym to zrobić. Umiem ciąć trawnik, interesuję się utrzymaniem naszej posiadłości. Czy chce pan, żeby potem wyglądał, jakby nikt go nie ruszał?

Cropper się zastanowił:

- Moglibyśmy spróbować. Wszystko porządnie ułożyć, zasypać zeschniętymi liśćmi i paprochami, i mieć nadzieję, że odrośnie, zanim ktokolwiek się zorientuje. Powinniśmy spróbować.

- Możemy ich zbić z tropu. Umieścić kilka fałszywych śladów, żeby wyglądało, że to sataniści odprawiali czarną mszę albo co... - Hildebrand ponownie parsknął, zanosząc się przeciągle swym cienkim, samotnym chichotem. Cropper spojrzał na jego ciężką, różową twarz i wstrząsnął nim skurcz niesmaku. W towarzystwie tego banalnego osobnika będzie musiał spędzić więcej czasu, niż byłoby to przyjemne.

- Nadzieję pokładam głównie w tym, że nikt nic nie zauważy - powiedział. - Każde inne wyjście jest niedobre - jeżeli ktoś w ogóle zwróci uwagę, że ruszono grób, zapewne zauważy również naszą tu obecność. I skojarzy jedno z drugim. Wtedy będziemy musieli po prostu się wyprzeć.

Jeżeli zabierzemy skrzynkę, nikt nie będzie w stanie udowodnić, że istniała, nawet jeżeli znów rozkopią grób. Czego nie zrobią, bo Drax im nie pozwoli. Ale powtarzam, największa nasza szansa, to jak najmniej rzucać się w oczy.

Wychodząc z cmentarza minęli dwoje zwiedzających, kobietę i mężczyznę, po angielsku wtapiających się w tło w zielonych pikowanych kurtkach i kaloszach, chroniących przed przenikliwą wilgocią. Nowo przybyli oglądali rzeźbione główki roześmianych cherubinów albo aniołków na dwóch wysokich, pochylonych nagrobkach; małe istotki wspierały pulchne stopki na podnóżkach w kształcie czaszek. - „Ńdobry” - po-. wiedział Hildebrand swym angielskim, ziemiańskim głosem. „Ńdobry” - odpowiedzieli tym samym tonem. Jak to zwykle w Anglii, nikt nikomu nie patrzył w oczy.

Piętnastego października Cropper i Hildebrand zjedli kolację w restauracji, podobnie jak bar wyłożonej drewnem, przy kamiennym kominku, na którym wesoło płonęły polana. Siedzieli po jednej stronie ognia; drugą zajmowała para młodych ludzi, pochłoniętych wyłącznie sobą i trzymających się za ręce nad stołem. Spękane olejne portrety osiemnastowiecznych ziemian i kaznodziejów, prawie czarne od dymu świec i ściemniałego werniksu, patrzyły ciężkim wzrokiem z boazerii.

Jedli przy blasku świec: mus z łososia w homarowym sosie, garniowanego bażanta, ser stilton, sorbet z domowego cassisu. Cropper smakował to wszystko z żalem - wiedział, że bardzo długo nie będzie mógł tu przyjechać, a lubił odwiedzać tę część świata. Lubił gospodę Pod Jarzębiną, jej romantycznie nierówne podłogi, kamienne na parterze, skrzypiące pod chodnikami na piętrach, jej korytarze, tak wąskie i niskie, że musiał schylać swą wyniosłą głowę. Woda tutaj łomotała i huczała w rurach, co bardzo sobie cenił i darzył tą samą miłością, z jaką patrzył na niekończący się, srebrzysty strumień w swej opływowej, złotej łazience w Nowym Meksyku. Oba kraje były dobre, każdy w swym rodzaju: przytulna, ciasna, staroświecka, zadymiona Anglia oraz

suche słońce, szkło i podniebna stal ekspansywnego Nowego Meksyku. Krew w nim grała, czuł podniecenie, jak zawsze, gdy naprawdę był w drodze, gdy jego myśl zawisała niby księżyc na trajektorii między jedną ziemską masą a drugą, gdy nie był ani tam, ani tu. A tym razem jeszcze bardziej niż zwykle. Czas przed kolacją spędził w swoim pokoju na rutynowych seriach ćwiczeń, napinając mięśnie, kołysząc się, skręcając, boksując, zmuszając swe ciało do giętkiej uległości. Lubił to. Nadal wyglądał dobrze. Odbity w wielkim lustrze szafy w specjalnym ćwiczebnym stroju - długich, obcisłych czarnych spodniach i bluzie frotte - z grzywą srebrnych włosów romantycznie rozwichrzoną nad czołem, przypominał swych pirackich przodków albo ich filmową wersję.

- A jutro - powiedział Hildebrand - witaj, Ameryko, przybywamy. Nigdy tam nie byłem, wie pan. Tylko widziałem w telewizji. Musi mnie pan nauczyć wygłaszać wykłady.

Cropper pomyślał, że być może powinien - że mógłby - zrobić to zupełnie sam. Ale wtedy bezwzględnie byłaby to kradzież, zagarnięcie, teraz natomiast przyspieszał jedynie naturalny proces, kupował od Hildebranda coś, co i tak miało należeć do niego później, tylko trochę później, jeżeli można było wierzyć jego doniesieniom o stanie zdrowia lorda Asha.

- Gdzie postawił pan merca? - zapytał Hildebrand.

- Proszę mi opowiedzieć... - powiedział Cropper, szukając bezpiecznego tematu rozmowy - opowiedzieć o swoim ogrodzie, o trawniku.

- A skąd pan wie o moim trawniku?

- Powiedział mi pan. Nieważne, kiedy. Jaki ma pan ogród? Hildebrand rozpoczął długi opis. Cropper rozejrzał się po sali jadalnej.

Młoda para pochylała się ku sobie nad stołem. Mężczyzna, wypielegnowany i przystojny, w ciemnoturkusowej marynarce z wełny i kaszmiru, którą Cropper rozpoznał jako model Christiana Diora, podniósł do ust złączone dłonie dziewczyny i ucałował wewnętrzną stronę przegubów. Ona miała na sobie fioletową spódnicę i jedwabną bluzkę barwy kości słoniowej, odsłaniającą ametystowy naszyjnik na gładkiej szyi. Pogładziła włosy partnera, najwyraźniej pogrążona w owym natrętnym, obsesyjnym oszołomieniu, które przez krótkie chwile ludzkiego życia wyklucza wszelką świadomość obserwacji z zewnątrz.

- Kiedy musimy stąd wyjść? - zapytał Hildebrand.

- Nie będziemy teraz o tym mówić - odparł Cropper. - Proszę mi opowiedzieć o, o...

- Powiedział im pan, że się wynosimy?

- Zapłaciłem do jutra.

- Ładna noc. Ciepła i cicha. Piękny księżyc.

Idąc na górę do pokojów, minęli młodą parę, wychodzącą z drewnianej budki telefonicznej w holu. Mortimer Cropper skłonił głowę. Hildebrand mruknął:

- Branoc.

- Dobranoc - odpowiedzieli chórem młodzi ludzie.

- Idziemy wcześniej do łóżka - powiedział Hildebrand. - Wykończyło nas to chodzenie.

Dziewczyna uśmiechnęła się i wzięła swego towarzysza pod rękę.

- My też. Idziemy do łóżka. Dobranoc. Miłych snów.

Cropper zczekał z wyjściem do pierwszej. Wszystko ucichło. Ogień jeszcze dymił, powietrze było ciężkie i nieruchome. Zaparkował mercedesa przy bramie parkingu. Wiedział, że bez problemów wróci do hotelu, do wszystkich bowiem kluczy dołączono klucz yale do drzwi wejściowych. Wielki samochód, miękko pomrukując, przeciął drogę i dojechał polnym traktem do kościoła. Cropper zatrzymał go pod drzewem przy bramie i wyjął z bagażnika latarnie sztormowe oraz świeżo zakupione narzędzia. Padał lekki deszcz, grunt pod nogami był mokry i śliski. W ciemnościach pokonali drogę do grobu Ashów.

- Proszę spojrzeć - szepnął Hildebrand, stojąc w smudze księżycowego światła pomiędzy kościołem a wzgórzkiem, gdzie rósł cedr i cis. Ogromna biała sowa niespiesznie okrążała wieżę kościelną, potężna i całkowicie bezszelestna, zajęta własnymi sprawami. - Niesamowite.

- Piękne stworzenie - powiedział Mortimer Cropper, jakoś utożsamiając własne podniecenie, poczucie mocy w mięśniach i umyśle z miarowymi uderzeniami skrzydeł i tym pozbawionym wysiłku, lekkim, lekkim lotem. Powyżej sowy smok poruszał się to w jedną stronę, to w drugą, skrzypiąc, przystając i znów chwytając przypadkowe powiewy.

Musieli się zwinąć. Praca, którą mieli wykonać do świtu, stanowiła ciężkie zadanie dla dwóch ludzi. Pocięli murawę i ułożyli ją w stos. Hildebrand, zdyszany, zapytał:

- Czy ma pan jakieś pojęcie, gdzie to może być? - i Cropper zdał sobie sprawę, że choć dokładnie sobie wyobraził, iż to coś leży w okolicy serca na spłachetku ziemi mniej więcej rozmiaru człowieka, jednak pomysł ten został wyhodowany w jego rozgorączkowanym mózgu; tak wiele razy, tak często widział oczyma duszy scenę ponownego pochówku skrzynki, że po prostu wymyślił to miejsce. Lecz nie na próżno był potomkiem spirytystów i shakerów*. Przydawał znaczenie intuicji.

* Shakeryzm - ruch religijny wywodzący się z XVIII w. Anglii i przeniesiony do Ameryki w 1774 r., zalecający swym członkom celibat, wspólnotę majątkową oraz prosty i surowy styl życia (przyp. tłum.).

- Zaczniemy od głowy - powiedział - wykopimy porządną dołek i będziemy stopniowo posuwać się w stronę stóp.

Kopali. Wyrzucali z grobu coraz więcej ziemi, mieszanek gliny i krzemionki, połamane resztki korzeni, kosteczki gryzoni i ptaków, duże kamienie i małe kamyki. Hildebrand stękał przy pracy, jego łysa głowa błyszczała w świetle księżyca. Cropper machał szpadlem, owładnięty nieledwie radością. Wiedział, że przekroczył granicę tego, co dozwolone, i czuł się świetnie. Nie był jakimś siwym, przyrośłym do stołka molem książkowym; teraz pochłaniał go *czyn*, miał coś odkryć, to było jego przeznaczenie. Unosił ostry szpadel i wbijał, wbijał ze straszną wesołością, tnąc, przenikając luźną i oporną materię. Zdjął kurtkę i z przyjemnością poczuł krople deszczu na plecach, radość sprawiała mu strużki potu, spływające po piersiach i między łopatkami. Kopał, kopał, kopał.

- Spokojnie - powiedział Hildebrand.

- Dalej - syknął Cropper, szarpiąc gołymi rękami długi, skręcony jak wąż korzeń cisu i wyciągając ostry nóż, aby go przeciąć. - Jest tutaj. Wiem, że tu jest.

- Spokojnie. Nie chcemy przecież naruszyć... naruszyć... jeśli się tylko da.

- Nie. Chyba nie będzie trzeba. Nie przerywajmy.

Zerwał się wiatr. Coś załopotowało, kilka drzew na cmentarzu lekko jęknęło i zaskrzypiało. Nagły podmuch poderwał kurtkę Croppera z gałęzi, na której wisiała, i rzucił ją na ziemię. Cropper pomyślał - dotychczas nie myślał o tym zbyt dokładnie - że na dnie jamy, którą kopie, leżą Randolph Henry Ash i jego żona Ellen, albo to, co z nich zostało. Latarnia sztormowa oświetlała tylko ślady po uderzeniach szpadla i surową, pachnącą zimnem glebę. Pociągnął nosem. Wydało mu się, że coś porusza się, huśta i rozkołysane sięga ku niemu, jakby chciało go klepnąć. Przez chwilę bardzo wyraźnie poczuł *obecność*, nie czyjaś, lecz jakiejś ruchomej rzeczy. Wsparł się tępo na trzonku szpadla - i właśnie w owej chwili potężna burza z całą mocą uderzyła w hrabstwo Sussex. Długi jeźor wichru z wyciem przeleciał obok nich, ściana powietrza grzmotnęła w Hildebranda, który nagle usiadł bez tchu w glinie. Cropper znów zaczął kopać. Rozległo się głucho zawrozczenie i świst, potem zaś jęczący chór i skrzypiące westchnienia protestujących drzew. Zawirowała strącona dachówka. Cropper otworzył usta i znów je zamknął. Uwięziony, wiatr krzyczał i hulał po cmentarzu niby stwór z innego wymiaru. Gałęzie cedru i cisu wykonywały rozpaczliwe gesty. Cropper uporczywie kopał.

- Znajdę to - powtarzał. - Znajdę.

Zawołał do Hildebranda, by wziął się do pracy, lecz Hildebrand nie słyszał i nie patrzył w jego stronę; siedział w błocie obok nagrobka, ściskając kołnierz kurtki i walcząc z powietrzem, które dostało się pod spód.

Cropper kopał. Hildebrand ruszył na czworakach wokół wykopanego przez Croppera dołu. Korzenie cedru i cisu przesunęły się w poziomie jakby ze skargą.

Hildebrand szarpnął Croppera za rękaw.

- Przestańmy. Wejdźmy do środka. To - przekracza granice. Niebezpiecznie. Schronienie. - Ukośny deszcz ciał i chłostał jego mięsiste policzki.

- Nie teraz - powiedział Cropper, unosząc szpadel niby różdżkę i znów wbijając go w ziemię.

Uderzył w metal. Przypadł do ziemi i zaczął drzeć ją palcami. Pojawiła się podłużna skrzynka, pokryta rdzą jak samorodek o znajomym kształcie. Cropper chwycił ją w objęcia i usiadł na sąsiednim nagrobku.

Wiatr podważył dach kościoła, zrzucając kilka dalszych dachówek. Rozkołysane drzewa krzyczały. Cropper drapał skrzynkę bezsilnymi dłońmi i kaleczył nożem narożnik. Wiatr szarpnął jego włosy i okręcił je szaloną spiralą wokół głowy. Hildebrand zakrył dłońmi uszy. Przysunął się bliżej i zawołał Cropperowi w twarz:

- To jest to?

- Tak. Rozmiar. Zgadza się. To jest *to*.

- Co teraz?

Cropper pokazał na dziurę.

- Zasypać. Ja schowam skrzynkę do bagażnika...

Ruszył przez cmentarz. Powietrze było pełne hałasów. Wokół rozlegał się rozdzierający skowyt, który, jak ujrzał, wydawały drzewa, rosnące przy drodze i w żywopłocie, miotane w różne strony, bezładnie rzucające koronami w ziemię, w niebo, w ziemię. Dachówki raz po raz przecinały powietrze, wydając własne dźwięki, rozbijając się na ziemi i nagrobkach z ostrym, wybuchowym trzaskiem. Cropper pośpiesznie szedł naprzód,

ściskając skrzynkę, z twarzą brudną od liści i rozmazanej żywicy; nieustannie obmacywał znalezisko, szukał, dotykał krawędzi wieczka.

Kiedy zmagął się z cmentarną furką, która tańczyła na zawiasach jak oszalała, waląc go w rękę i w ten sposób ratując mu życie, usłyszał, jak coś wzbiera i wyrwa się spod ziemi - dźwięk, znany mu z szybów naftowych Teksasu, zmieszany z innym odgłosem, rwania, pękania, skrzypienia tak straszliwie głośnego, że był to, wręcz wrzask. Ziemia pod jego stopami zdrząła i poruszyła się. Usiadł; rozległo się przeciągłe trzeszczenie i ogromna szara masa pośród świstu wielkiej gęstwy liści i gałązek, zmiatających ruchome powietrze opadła przed jego oczami jak zwalone wzgórze. Ostatecznym dźwiękiem, który nałożył się na nieustający szum, był akord bębnów, cymbałów i teatralnych grzmotów. Nozdrza Croppera wypełnił zapach mokrej ziemi, żywicy i oparów benzyny. Drzewo zważyło się wprost na mercedesa. Jego samochód przepadł, a drogę do gospody zagradzał mu co najmniej jeden przewrócony pień.

Zawrócił do grobu Asha, prac pod prąd ogromnego strumienia wiatru, słysząc, jak wokół z hukiem wała się drzewa. Gdy zbliżył się do wzgórek i oświetlił go latarnią, ujrzał, że cis wyrzuca w górę ramiona, a u nasady czerwonego pnia rozwiera się ogromne białe ziewnięcie; drzewo zatoczyło się jak pijane i powoli, powoli rozpadło się w deszczu igieł, aż wreszcie pękło całkowicie i legło w poprzek grobu, całkowicie go zasłaniając. Cropper nie mógł już ani iść naprzód, ani się cofnąć.

- Hildebrand! - zawołał, lecz jego głos zwinął się bezsilnie i jak dym wionął mu w twarz. Czy bliżej kościoła było bezpieczniej? Czy mógł się tam przedostać? Gdzie był Hildebrand Ash? W chwilowej ciszy zawołał znowu.

Usłyszał głos Hildebranda:

- Pomocy! Pomocy! Gdzie pan jest? Inny głos zawołał:

- Tutaj, przy kościele! Trzymajcie się!

Pomiędzy gałęziami cisa Cropper zobaczył, jak Hildebrand pełźnie w stronę kościoła po trawie między grobami. Czekająca nań ciemna postać z latarką, której promień został teraz skierowany ku niemu.

- Profesorze Cropper? - powiedziała ta istota dźwięcznym, władcym, męskim głosem. - Nic się panu nie stało?

- Chyba jestem uwięziony.

- Zaraz pana wyciągniemy. Ma pan skrzynkę?

- Jaką skrzynkę? - zapytał Cropper.

- Tak, ma ją - powiedział Hildebrand. - Och, proszę nas stąd wydostać, to upiorne, dłużej tego nie zniosę.

Rozległo się trzaśnięcie, podobne do odgłosów elektrycznych sił, igrających na seansach Helli Lees. Postać powiedziała w powietrze:

- Tak, jest tutaj. Tak, ma ją. Wszyscy zostaliśmy odcięci przez zwalone drzewa. U was wszystko w porządku?

Trzask, trzask.

Cropper postanowił salwować się ucieczką. Zawrócił. Mógł chyba ominąć leżące na drodze drzewo - tyle że najwyraźniej leżały tam inne drzewa, prawie płot, ogromna, kolczasta przeszkoda wznosiła się w miejscu, gdzie przedtem nie było nic.

- Nic z tego - oznajmiła zdumiewająca postać. - Jesteście otoczeni. A na pańskim mercedesie leży pień.

Cropper odwrócił się szybko i ujrzał, jak światło latarki tamtego wyławia z mroku między gałęziami Rolanda Mitchella, Maud Bailey, Leonorę Stern, Jamesa Blackaddera, białych i mokrych niby dziwaczne owoce lub kwiaty, oraz zstępującą doń z rozwianym, siwym, wełnistym włosom czarownicy lub prorokini, przeistoczoną Beatrice Nest.

Dotarcie piechotą do gospody Pod Jarzębiną zajęło im półtorej godziny. Przybysze z Londynu, którzy przed burzą wyruszyli z Mortlake dwoma samochodami, ujrzeli jej skutki, jeszcze zanim dotarli do kościoła i przewidując zabrali małą piłę z peugeota Blackaddera oraz kupione przez Euana walkie-talkie. Uzbrojeni w szpadle Croppera wszyscy przedarli się z powrotem przez szumiącą roślinność, przechodząc pod i nad zwalonymi pniami, podając sobie pomocne ręce, pchając i ciągnąc, aby po dotarciu do szosy ujrzyć zwisające przewody i ciemne okna. Nie było prądu. Cropper, wciąż ściskając skrzynkę, wpuścił wszystkich do budynku. W holu zastali grupę kierowców ciężarówek zablokowanych przez drzewa, kilku motocyklistów oraz dwóch strażaków. Właściciel krążył wśród zebranych, rozdając osadzone w butelkach świece. Na gazowym piecyku wrzały ogromne kotły wody. W żadnym innym wypadku wtargnięcie tak wielu przemoczonych i brudnych naukowców nie zostałoby przyjęte równie spokojnie.

Zaopatrzeni w dzbanki z mlekiem i kawą oraz, za namową Euana, butelkę koniaku, zwycięzcy poprowadzili Croppera do jego pokoju. W jego torbach oraz w nowiutkich walizkach Hildebranda Asha znalazły się szlafroki i zapasowe swetry dla wszystkich. Sytuacja zdawała się tak nierzeczywista, a poczucie wspólnego ocalenia - tak potężne, że usiedli grzecznie, słabo się uśmiechając, zziębnięci i mokrzy.

Ani Cropper, ani pozostali nie mieli dość siły, by się gniewać lub choćby oburzać. Kobiety, wszystkie trzy w pidżamach - Maud w czarnym jedwabiu Croppera, Leonora w jego czerwonej bawełnie, Beatrice zaś w zielono-białych paskach, należących do Hildebranda - siedziały obok siebie na łóżku. Val i Euan, w swoich własnych ubraniach, reprezentowali normalność. Blackadder miał na sobie sweter i płócienne spodnie Hildebranda.

- Zawsze chciałem powiedzieć: „Jesteście otoczeni” - wyznał w końcu Euan.

- Bardzo dobrze pan to powiedział - rzekł Cropper. - Nie znam pana, ale już pana widziałem. W restauracji.

- I w centrum ogrodniczym, i u Denshera i Winterbourne'a, i wczoraj na cmentarzu. Owszem. Jestem Euan MacIntyre, adwokat panny Bailey. Sądzę, że mogę udowodnić, że jest ona prawną właścicielką rękopisów listów - obu stron - obecnie będących w posiadaniu sir George'a Baileya.

- Ale skrzynka nie ma z nią nic wspólnego.

- A będzie *moja* - wtrącił Hildebrand.

- O ile nie ma pan dyspensy od biskupa, zezwolenia od pana Draksa i zgody lorda Asha, to pozyskał pan ją w drodze wykroczenia, profanując grób, więc mogę ją panu odebrać i dokonać obywatelskiego aresztowania.

Ponadto profesor Blackadder ma pismo, zakazujące wywozu zawartości skrzynki, dopóki nie zostanie ustalony jej status jako dziedzictwa narodowego.

- Rozumiem - powiedział Cropper. - Oczywiście, może w niej nic nie ma. Lub tylko proch i kurz. Czy moglibyśmy - wspólnie - zbadać zawartość? Skoro nie możemy opuścić tego miejsca ani swego towarzystwa?

- Nie powinniśmy jej ruszać - powiedziała Beatrice Nest.

- Powinniśmy odłożyć ją na miejsce.

Spojrzała po zebranych, lecz nie dostrzegła poparcia. Mortimer Cropper odparł:

- Gdybyście naprawdę tak sądzili, mogliście dokonać swego obywatelskiego aresztowania, zanim ją wykopałem.

- Ma pan całkowitą rację - przytaknął Blackadder.

- Musimy poznać koniec tej historii - powiedziała Maud.

- Nie ma gwarancji, że tu go znajdziemy - zauważył Blackadder.

- Ale *musimy* to sprawdzić.

Cropper wydobyl skądś puszkę oleju i natarł nim krawędź wieczka, skrobiąc je nożem i zdrapując płatki rdzy. Po kilku długich chwilach wsunął pod spód czubek noża i nacisnął. Wieczko odskoczyło, ukazując szklany pojemnik na okazy Randolpha Henry'ego Asha, poplamiony i mętny, lecz nienaruszony. Cropper obwiódł go nożem i zręcznie, bardzo zręcznie zdjął pokrywkę. Impregnowany, jedwabny woreczek zawierał: niebieską kopertę, w której leżało długie, cieniutkie pasmo drobno splecionych jasnych włosów, kolejny impregnowany pakunek, który okazał się grubym plikiem związanych wstążką listów, i długą, ongiś białą, zapieczętowaną kopertę z napisem brązowymi literami: Randolph Henry Ash, *sub rosa*.

Cropper przejechał kciukiem po krawędziach listów.

- Ich listy miłosne. Tak jak napisała. - Spojrzał na zapieczętowany list i podał go Maud. Maud spojrzała na pismo i powiedziała:

- Wydaje mi się... jestem prawie pewna...

- Jeżeli nie zostanie otwarty - rzekł Euan - to kwestia własności staje się niezwykle ciekawa. Czy to własność nadawcy - skoro nie został doręczony - czy też adresata, skoro leży nieotwarty w jego grobie?

Zanim ktokolwiek zdążył wymyślić powód, by go powstrzymać, Cropper wziął kopertę, wsunął nóż pod pieczęć i zerwał ją. Wewnątrz był list i fotografia. Fotografia miała zacieki na brzegach; pokrywały ją srebrzyste plamki - gradowa burza lub zamieć białych kwiatów - oraz smoliste okrągłe plamy, przypominające skazy na lustrze, lecz za tym wszystkim majaczyła niewyraźna jak duch postać panny młodej, trzymająca wiązanke lilii i róż, wyzierająca spod masy tiulu i ciężkiej kwiatowej korony.

- Panna Havisham. Narzeczona z Koryntu* - powiedziała Leonora.

- Nie, nie - odparła wolno Maud. - Zaczynam rozumieć...

- Tak? - zawołał Euan. - Tak myślałem. Proszę, przeczytaj list. Znasz to pismo.

- A zatem, czy mam...?

A zatem list Christabel LaMotte do Randolpha Asha został głośno odczytany w pokoju hotelowym, w obecności dziwnego zgromadzenia łowców i poszukiwaczy, przy świetle świec i ryku wichury, gdy szyby okienne drżały od uderzeń drobnych szczątków i liści gnanych wiatrem dalej i dalej, nad wzgórze.

* Panna Havisham - bohaterka powieści Karola Dickensa „Wielkie nadzieje”; Narzeczona z Koryntu - bohaterka „wampirycznego” wiersza Johanna Wolfganga Goethego „Die Brandt von Korinth”; obie występują w sukniach ślubnych dopiero po śmierci (przyp. tłum.).

Kochany - kochany -

Mówią że jesteś bardzo chory. Źle robię, w takim czasie zakłócając Twój spokój niestosownymi wspomnieniami - lecz znajduję, iż mimo wszystko jest coś, co muszę Ci powiedzieć. Uznasz, że w takim razie powinno to być zostać powiedziane dwadzieścia osiem lat temu - albo nigdy - i może masz rację - ale nie mogłam albo nie chciałam. A teraz myślę o Tobie bez przerwy i modłę się za Ciebie i wiem, jak wiedziałam przez te wszystkie lata, że wyrządziłam Ci krzywdę.

Masz córkę, która ma się dobrze, która jest mężatką i matką pięknego chłopczyka. Posyłam Ci jej zdjęcie. Sam widzisz, jest piękna i podobna - miło mi tak myśleć - do obojga swoich rodziców - o których nie wie, że są jej rodzicami.

Ułożenie powyższego było może niełatwe - lecz przynajmniej proste. Ale przeszłość? Wyznając taką Prawdę, jestem Ci winna również jej historię - albo może jestem ją winna sobie - zgrzeszyłam wobec Ciebie, lecz z powodów...

Cała Historia to suche fakty i coś jeszcze - namiętności i barwy, których użyczają jej ludzie. Opowiem Ci przynajmniej fakty.

Gdyśmy się rozstali, wiedziałam - choć nie miałam dowodów - że konsekwencje będą jakie były. Tego ostatniego czarnego dnia uzgodniliśmy, że odchodzimy - że odchodzimy od siebie i żadne z nas nigdy się nie obejrzy. Ja miałam zamiar dotrzymać słowa, cokolwiek się zdarzy - przez wzgląd na swoją dumę i na Ciebie. Poczyliłam więc kroki - nie uwierzysz, jak planowałam i spiskowałam - znalazłam miejsce, dokąd mogłam się udać (które później odkryłeś, wiem o tym), gdzie tylko ja byłabym odpowiedzialna za nasz los - jej i mój. Potem zaś zwróciłam się do jedynej osoby, która mogła mi pomóc - do mej siostry Sophie, która pomogła mi w kłamstwie bardziej odpowiednim dla Romansu niż dla mego poprzedniego, spokojnego życia - Konieczność wszakże wyostrza nam dowcip i wzmacnia wolę. I tak nasza Córka urodziła się w klasztorze w Bretanii i została przywieziona do Anglii, gdzie Sophie wzięła ją do siebie i wychowała jak własną jakeśmy się umówiły. I muszę powiedzieć, że Sophie kochała ją i pieściła, jak tylko może robić to osoba, niebędąca prawdziwą matką. Nasza córka biegła wolna po polach Anglii po czym poślubiła kuzyna (oczywiście, po prawdzie, żaden to kuzyn) z Norfolk, i teraz jest żoną ziemianina, bardzo hożą i ładną.

Przybyłam tutaj niedługo po tym, jak Ty i ja widzieliśmy się po raz ostatni - jak się okazało - na seansie u pani Lees, gdzie byłeś taki zły, taki gniewny - i ja także, zdarłeś bowiem bandażę z mych ran duchowych - i pomyślałam wtedy, że powinienes trochę pocierpieć z moim błogosławieństwem, gdyż większa część cierpienia na tym świecie należy do nas, kobiet, i my ją znosimy. Kiedy Ci powiedziałam, że zrobiłeś ze mnie morderczynię, mówiłam o biednej Blanche, której okropny koniec co dzień mnie dręczy. Lecz zobaczyłam, że sądzisz, iż mówię do Ciebie jak Gretchen do Fausta, i pomyślałam - z zimną złośliwością, zrodzoną z wielkiej choroby ciała i umysłu - niech więc tak sądzi, skoro tak mało mnie zna, niech zmarnieje z tą myślą. Rodzące kobiety

często wygrażają sprawcom, jak ich postrzegają, swego nieszczęścia, dla których chwila namiętności bywa jedynie przelotnym wspomnieniem, nie zaś trwałą katastrofą ciała i ducha - albo tak wtedy myślałam. Teraz jestem spokojniejsza. Teraz jestem stara.

Och, mój drogi, siedzę tutaj, stara wiedźma na wieży, pisząc wiersze z łaski nieokrzesanego szwagra, żerując jak darmozjad, którym nigdy nie zamierzałam zostać, na fortunie (w sensie finansowym) mojej siostry, i piszę do Ciebie, jakby to było wczoraj, o całej tej furii, która żelaznym uściskiem paliła moją pierś, o złości i miłości (do Ciebie, do mojej słodkiej Mai, a także do biednej Blanche). Lecz to nie zdarzyło się wczoraj, a Ty jesteś bardzo chory. Życzę Ci zdrowia, Randolphie, i ślę Ci moje błogosławieństwo, prosząc Cię o Twoje i - jeśli to być może - również o Twoje wybaczenie. Albowiem wiem i zawsze wiedziałam, że jesteś wielkoduszny - że zająłbyś się nami, mną i Mają, lecz obawiałam się w głębi duszy - i tu, w końcu, wszystko wypływa na wierzch, lecz Prawda jest najlepsza, czyż nie? - widzisz, bałam się, że zechcecie ją zabrać, Ty i Twoja żona, aby ją mieć dla siebie - a ona była moja, ja ją urodziłam, nie mogłam jej oddać - więc ukryłam ją przed Tobą i Ciebie przed nią, bo ona by Cię pokochała, zawsze będzie w jej życiu miejsce, które należy do Ciebie. ~~Ona, co ja zrobiłam?~~

I tutaj mogłabym zakończyć, tak jak mogłam zakończyć kilka wierszy wcześniej, na grzecznej prośbie o wybaczenie. Piszę potajemnie do Twojej żony, która może ten list przeczyta albo postąpi z nim, jak zechce - jestem w jej rękach - ale jakże niebezpiecznie słodko jest przemówić po tylu latach - powierzam się jej oraz Twojej dobrej woli. To coś w rodzaju Testamentu. Miałam w życiu niewielu przyjaciół, a wśród nich ufałam tylko dwojgu - Blanche i Tobie - i oboje was ukochałam za mocno, ona zaś umarła straszliwą śmiercią, nienawidząc Ciebie i mnie. Teraz jednak, kiedy jestem stara, najbardziej żałuję nie tych kilku dni przenikliwej, słodkiej namiętności - którą mógł odczuwać niemal każdy, jako że wszystkie namiętności biegną tym samym torem do tego samego końca, przynajmniej mnie starej tak się dziś wydaje - żałuję więc, powiedziałabym, gdybym nie popadła w gadatliwe dygresje, naszych starych listów o poezji i innych rzeczach, naszych ufnych umysłów, które rozpoznały się nawzajem. Zastanawiam się, czy zdarzyło Ci się przeczytać któryś z nielicznych, skromniutkich egzemplarzy „Wróżki Meluzyny” - i czy myślałeś wtedy: „Znałem ją kiedyś” - lub, jak przecież po prawdzie mógłbyś: „Beze mnie ta Opowieść nie zostałaby Opowiedziana”? Tobie zawdzięczam i Maję, i Meluzynę - i długu nie splaciłam. (Ona przecież nie umrze, moja Meluzyna, jakiś wybredny czytelnik ją ocali?).

Przez te trzydzieści lat byłam Meluzyną, Latałam, by tak rzec, wokół murów tej fortecy, wykrzykując na wiatr potrzebę, aby ujrzeć, nakarmić i pocieszyć moje dziecko - które mnie nie znało. Miała pogodną duszę - słoneczna istota, prosta w swych uczuciach, o cudownie bezpośrednim usposobieniu. Głęboko kochała swych przybranych rodziców - również sir George'a, w którego byczych żyłach nie płynie ani kropla jej krwi, lecz który uległ czarowi jej urody i dobroci - co tym lepiej dla niej i dla mnie.

Mnie nie kochała. Komu mogłabym to powiedzieć, jak nie Tobie? Widzi we mnie la sorcière, czarownicę, starą pannę z bajki, która spogląda na nią błyszczącym okiem i czeka zachłannie, aż dziecko uklękuje się w palec i zapadnie w brutalny sen dorosłej prawdy. A kiedy oczy moje lśniły od łez, ona ich nie widziała. Nie, będę pisać dalej, napełniam ją swoistym lękiem, jakby odrazą - odczuwa, i słusznie, pewien nadmiar w moich do niej uczuciach, i niewłaściwie odczytując to, co naturalne, uważa je za coś nienaturalnego.

*Pomyślisz pewnie - jeżeli wstrząs, wywołany tym, co napisałam, pozwoli Ci jeszcze dbać o mnie i rozmyślać o moim ciasnym świecie - że taka jak ja twórczyni romansów (lub taki jak Ty dramaturg) nie umiałaby dochować takiej tajemnicy przez prawie trzydzieści lat (pomyśl, *Randolphie*, trzydzieści lat), nie wprowadzając do niej jakichś perypetii, rozwiązania, dyskretnych aluzji lub sceny, gdzie wszystko zostaje ujawnione. Ach, lecz gdybyś tu był, zrozumiałbyś, że nie mam śmiałości. Ze względu na nią, jest bowiem szczęśliwa. Ze względu na mnie, gdyż lękam się - lękam się, iż ujrzę w jej pięknych oczach przerażenie. Gdybym jej wyznała to - a ona by się cofnęła? A poza tym przysięgam *Sophie*, że warunkiem jej pomocy będzie bezwzględna nieodwołalność tego uczynku - a bez życzliwości *Sophie* nie byłoby ani domu, ani wsparcia.*

Śmiała się i bawiła jak gibki elf Coleridge'a, „co tańczy sam sobie nucąc” - pamiętasz nasze listy o „Christabel”? Nie dbała o książki, nic a nic. Napisałam dla niej krótkie bajki, które jej dałam, wydrukowane i oprawione, ona zaś uśmiechnęła się słodko i odłożyła je na bok. Nigdy nie widziałam, by czytała je dla przyjemności. Kochała jeździć konno i strzelać z łuku, grała w chłopięce gry ze swymi (tak zwanymi) braćmi... aż wreszcie wyszła za kuzyna, z którym baraszkowała na sianie jako pięcioletnia drobina. Chciałam, aby miała życie bez trosk, i tak się stało - lecz nie jest moje, ja doń nie należę, jestem starą ciotką, której się nie kocha...

A więc zostałam ukarana, w pewnym sensie za to, że Ci jej nie dałam.

Pamiętasz, jak zadałam Ci zagadkę o jajku? Jako eidolon mej samotności, panowania nad sobą, któremu zagrażałeś, czy chciałeś tego, czy nie? I które zniszczyłeś, mój drogi, życząc mi jak najlepiej, wierzę w to, wiem o tym. Zastanawiam się, czy gdybym pozostała w swej zamkniętej twierdzy, za murami motte-i-bailey - czy byłabym wielką poetką, jak Ty? Zastanawiam się - czy Twój duch udzielił mojemu reprimendy, niby Antoniusz duchowi Cezara** - czy Twoja szczodrość mnie wzbogaciła, jak zamierzałeś? Te rzeczy wszystkie płaczą się i mieszejają - kochaliśmy siebie - dla siebie - lecz koniec końców dla *Mai* (która nie chce słyszeć o „dziwnym imieniu” *Maja* i każe się nazywać po prostu *May*, co do niej pasuje).*

*Tak długo się gniewałam - na nas wszystkich, na Ciebie, na *Blanche*, na siebie, biedaczkę. Lecz teraz, blisko końca, „z sercem ściszoną, wśród ognia zgasłego”***, myślę o Tobie z najczystsza miłością. Czytałam ostatnio „*Samsona walczącego*” i natknęłam się tam na smoka, którym zawsze dla mnie byłeś - tak jak ja byłam „kurą siedzącą rzędem” -*

* *Eidolon* - przecucie, wyobrażenie, od gr. *eidos*, wygląd, kształt, forma (przyp. tłum.).

** Aluzja do słynnej mowy Marka Antoniusza z dramatu Williama Szekspira „*Juliusz Cezar*” (przyp. tłum.).

*** Ten i następne fragmenty poematu Johna Milтона „*Samson walczący*” przeł. Michał Sprusiński (przyp. tłum.).

*Gdy w nim ogniste męstwo
Z popiołów błysło w płomień,
Przybył jak nocny smok,
Co spada na wysokie grzędy
I gniazda, w których kury siedzą rzędem -*

Czy to nie wspaniałe? Czy my - czyś

Ty nie błysnął w płomień, czyż ja nie zapaliłam się od Ciebie?

Czy przeżyjemy i powstanjemy z popiołów, jak Feniks Milona?

...ten ptak, co sam się rodzi, Skryty w arabskich lasach, I nie zna innych swojego rodzaju, Ptak, co w ofierze całopalnej płonie I zaraz z łona swego zetlałego Odradza się, najżywszy wtedy, Gdy się najbardziej martwy zdaje. Choć jego ciało gnije, pozostaje Sława. To wieczny ptak. On wieki żyje.

Wolałabym żyć sama - w taki sposób - jeśli chcesz znać prawdę. Lecz skoro tak być nie mogło, i nikomu prawie nie jest to dane - dziękuję Bogu za Ciebie - jeżeli musiał być Smok - dziękuję, że Ty Nim byłeś...

Muszę wreszcie przestać pisać. Jeszcze jedno. Masz wnuka (i ja też - bardzo to dziwne). Nazywa się Walter i nuci pod nosem wiersze, ku zdumieniu rodziców, zapatrzonych w stajnie i ziemię orną. Nauczyłam go sporej części „Pieśni o starym żeglarzu”; z wielkim uczuciem recytuje fragment o bezwiednym sławieniu węży i o patrzącym w księżyc, ogromnym, jasnym oku oceanu, a jego własne oko też przy tym lśni. Jest silnym chłopcem i będzie żył.*

Muszę kończyć. Jeżeli masz chęć i możesz to zrobić - prześlij mi, proszę jakiś znak, że to przeczytałeś. Nie śmiem zapytać, czy mi wybaczasz.

Christabel LaMotte

* Aluzja do poematu S.T. Coleridge'a w przekładzie Zygmunta Kubiaka (przyp. tłum.).

Zapadła cisza. Głos Maud, z początku czysty, bez wyrazu niby matowe szkło, pod koniec rozbrzmiewał stłumionym uczuciem.

- O rany! - jęknęła Leonora.

- Wiedziałem - powiedział Cropper. - Wiedziałem, że to coś ogromnego...

Hildebrand powiedział:

- Nie rozumiem...

- Niestety, nieślubne dzieci nie mogły wówczas dziedziczyć - powiedział Euan. - Inaczej ty, Maud, z miejsca stałabyś się właścicielką całej masy dokumentów. Podejrzewałem coś w tym rodzaju. W epoce wiktoriańskiej rodziny często przyjmowały bastardów, wychowując ich jako prawowite dzieci, żeby dać im szansę na przyzwoite życie.

- Jakie to dziwne, Maud, że okazałaś się potomkinią obojga - powiedział Blackadder - jakie to dziwne i stosowne, że cały czas poszukiwałaś mitu - przecież nie prawdy - o swoim pochodzeniu.

Wszyscy spojrzeli na Maud, która siedziała, patrząc na fotografię.

- Już ją widziałam - szepnęła. - Mamy taką. Była moją prapraprababką.

Beatrice Nest zalewała się łzami. Wzbierały w jej oczach, błyskały i płynęły ciurkiem. Maud wyciągnęła rękę.

- Beatrice...

- Przepraszam, że jestem taka głupia. Po prostu strasznie jest myśleć - on przecież nigdy tego nie przeczytał, prawda? Napisała to wszystko dla nikogo. Pewnie czekała na odpowiedź... która nie mogła przyjść...

- Wiesz, jaka była Ellen - powiedziała Maud. - Jak sądzisz, dlaczego włożyła go do skrzynki... ze swoimi listami miłosnymi...

- I włosami - wtrąciła Leonora. - I włosami Christabel, to muszą być te jasne...

Beatrice odparła:

- Może nie wiedziała, co zrobić. Nie dała mu go i sama go nie przeczytała - mogę to sobie wyobrazić - po prostu go schowała.

- Dla Maud - powiedział Blackadder. - Jak się okazuje. Przechowała go dla Maud.

Wszyscy znów spojrzeli na Maud, która siedziała poblądła, patrząc na fotografię, trzymając rękopis.

- Nie jestem już w stanie myśleć - powiedziała. - Muszę iść spać, jestem wyczerpana. Zastanowimy się nad tym rano. Nie wiem, dlaczego to taki wstrząs. Cóż. Pomóż mi znaleźć jakiś pokój - zwróciła się do Rolanda.

- Wszystkie te papiery powinien wziąć na przechowanie profesor Blackadder. Chciałabym zatrzymać fotografię, tylko na dziś, jeśli można.

Roland i Maud siedzieli obok siebie na brzegu łóżka z baldachimem i zasłonami w złote lilie Williama Morrisa. Przy świetle świecy, osadzonej w srebrnym lichterzu, patrzyli na ślubną fotografię Mai. Ponieważ niewiele było widać, ich głowy, ciemna i jasna, stykały się; czuli wzajemnie zapach swoich włosów, wciąż pełnych woni burzy, deszczu, wzruszonej gliny, zgniecionych, latających liści, a pod tym wszystkim własne, szczególne, oddzielne ludzkie ciepło.

Maja Bailey uśmiechała się do nich pogodnie. W świetle listu Christabel odczytali jej twarz, widząc ją nareszcie zza srebrzystych błysków i patyny starości, twarz radosną i ufną, noszącą swój wianek ze swobodą, odczuwającą przyjemność, a nie dramatyzm sytuacji.

- Przypomina Christabel - powiedziała Maud. - To widać.

- Przypomina ciebie - powiedział Roland i dodał: - Przypomina też Randolpha Asha. To szerokie czoło. Szerokie usta. Końce brwi.

- Więc ja wyglądam jak Randolph Henry Ash. Roland dotknął jej twarzy.

- Nigdy bym się nie dopatrył. Ale tak. To samo. Tutaj, na krawędzi brwi. Tutaj, w kącie ust. Teraz, kiedy to zobaczyłem, zawsze będę to widział.

- Nie bardzo mi się to podoba. Jest w tym jakiś nienaturalny determinizm. Coś demonicznego. Czuję, że mną zawładnęli.

- Zawsze tak jest, kiedy chodzi o przodków. Nawet bardzo niepozornych, jeśli miało się szczęście ich poznać.

W roztargnieniu lekko gładził jej mokre włosy.

- Co teraz? - zapytała Maud.

- Jak to, co teraz?

- Co teraz będzie? Z nami?

- Ty będziesz miała mnóstwo problemów prawnych. I mnóstwo redagowania. Ja... poczyniłem pewne plany.

- Sądziłam... sądziłam, że moglibyśmy redagować te listy razem, ty i ja?

- To bardzo wielkoduszne, ale niekonieczne. Okazuje się, że jesteś centralną postacią całej tej historii, a ja - ja w ogóle trafiłem do niej tylko wskutek kradzieży. Dużo się nauczyłem.

- A czego się nauczyłeś?

- Och - trochę od Asha i od Vico. O poetyckim języku. Jestem... mam... jest kilka rzeczy, które muszę napisać.

- Widzę, że się na mnie gniewasz. Nie rozumiem dlaczego.

- Nie, ależ nie. To znaczy, owszem, gniewałem się. Masz swoje pewniki. Teorie literatury. Feminizm. Pewne obycie, to wychodzi przy Euanie, świat, do którego należysz. Ja nie mam nic. To znaczy, nie miałem. I - przywiązałem się do ciebie. Wiem, że męska duma jest już nieważna i niemodna, ale ma dla mnie znaczenie.

Maud powiedziała:

- Czuję... - i urwała.

- Czujesz?

Spojrzał na nią. Jej twarz w świetle świecy była niczym rzeźba z marmuru. Regularna, wspaniale nie-czuła bryła lodu, jak często sobie powtarzał.

- Nie mówiłem ci - powiedział. - Dostałem trzy propozycje. Hongkong, Barcelona, Amsterdam. Świat stoi przede mną otworem. Widzisz, nie będzie mnie tutaj, żeby redagować listy. One mnie nie dotyczą.

Maud znów powiedziała:

- Czuję...

- Co? - zawołał Roland.

- Kiedy czuję - cokolwiek - robię się cała zimna. Zamarzam. Nie umiem... nic mówić. Stosunki między-ludzkie mi nie wychodzą.

Drżała. Nadal wyglądała - był to złudny wyraz jej ślicznej twarzy - na chłodną i pełną pogardy. Roland zapytał:

- Dlaczego robi ci się zimno? - Starał się mówić łagodnie.

- Ja... ja próbowałam to analizować. Bo mam taką urodę, jaką mam. Kiedy ma się pewien typ urody, ludzie traktują człowieka jak własność. Nie taką urodę pełną życia, lecz jakby czystą i...

- Piękną.

- Tak, czemu nie. Zaczynam być własnością lub świętością. Nie chcę tego, a to wciąż się zdarza.

- Nie musi tak być.

- Nawet ty... cofnąłeś się przy naszym spotkaniu. Teraz się tego spodziewam. I wykorzystuję to.

- Tak. Ale nie chcesz - prawda? - nie chcesz być zawsze sama. A może chcesz?

- Odczuwam to tak jak ona. Cały czas się bronię, bo wiem, że muszę nadal wykonywać swoją pracę. Wiem, co ona czuła, mówiąc o nierozbitym jajku - że jest panią samej siebie, że jest autonomiczna. Nie chcę, żeby mi to przepadło. Rozumiesz?

- O tak.

- Piszę o liminalności. O progach. Bastionach. Twierdzach.

- Inwazjach. Wtargnięciach.

- Oczywiście.

- To nie moje sprawy. Ja mam swoją własną samotność.

- Wiem. Ty - ty byś nigdy... nie zamazał niechlujnie granic...

- Nie narzucał...

- Nie, i dlatego ja...

- Czujesz się ze mną bezpiecznie.

- Och, nie. Nie. Ja cię kocham. I chyba wołałabym, żeby tak nie było.

- Ja też cię kocham - powiedział Roland. - Bardzo mi to nie na rękę. Nie teraz, kiedy zyskałem jakąś przyszłość. Ale tak właśnie jest. W najgorszy możliwy sposób. Wszystko to - w co nauczyliśmy się nie wierzyć, dorastając. Całkowita obsesja, dzień i noc. Kiedy cię widzę, ty jedna wydajesz się żywa, a cała reszta - blaknie. Te rzeczy.

- Regularna, wspaniale nieczuła bryła lodu.

- Skąd wiesz, że tak myślałem?

- Wszyscy tak myślą. Fergus tak myślał. Myśli.

- Fergus to pożeracz. Nie mam wiele do zaoferowania. Ale mógłbym się do ciebie nie wtrącać, mógłbym...

- W Hongkongu, Barcelonie i Amsterdamie?

- Cóż, oczywiście, stamtąd na pewno nie zagrażałbym twojej autonomii.

- Ani byś nie mógł mnie tutaj kochać - powiedziała Maud. - Och, miłość jest straszna, to *niszczyciel*.

- Bywa bardzo podstępna - przytaknął Roland. - Moglibyśmy znaleźć sposób - nowoczesny - Amsterdam nie jest daleko...

Zimna dłoń dotknęła zimnej dłoni.

- Chodźmy do łóżka - powiedział Roland. - Coś wymyślimy.

- Tego też się boję.

- Ależ z ciebie tchórz, mimo wszystko. Zajmę się tobą, Maud. Zdjęli więc swe niezwykle stroje, wielobarwne pożyczki Croppera, i weszli nadzy pomiędzy zasłony, w głębiny puchowej pościeli, po czym zdmuchnęli świecę. I bardzo powoli, nieskończenie łagodnie, ociągając się, stosując delikatną dywersję i rozliczne warianty ataków pośrednich, Roland wreszcie - by użyć niemodnego określenia - wziął w posiadanie całą jej chłodną biel, która przy nim stała się tak ciepła, aż zdało się, że nie ma między nimi granic, i przed świtem z wielkiej oddali usłyszał jej czysty krzyk, bez wstydu i hamulców, radosny i triumfalny.

Rano cały świat miał dziwny, nowy zapach. Był to zapach pokłosa, zielony zapach poszarpanych liści i cieknącej żywicy, zmiążdżonego drewna i rozlanych soków, cierpki zapach, daleki krewny woni zielonych jabłek. Był to zapach śmierci i zniszczenia, i pachniał świeżością, życiem i nadzieją.

POSTSCRIPTUM 1868

Są rzeczy, które dzieją się bez widocznych oznak, o których się nie mówi i nie pisze, choć byłoby wielkim błędem przypuszczać, że bieg późniejszych zdarzeń pozostałby taki sam, gdyby owe rzeczy nigdy się nie zdarzyły.

Pewnego gorącego majowego dnia spotkało się dwoje ludzi, z których żadne nigdy później o tym nie wspomniało. A było to tak.

Była łąka pełna młodej trawy, gdzie rosły wszystkie kwiaty lata w wielkiej obfitości. Błękitne bławatki, czerwone maki, złociste jaskry, woal przetaczników, misterny dywan stokrotek na krótkiej murawie, driakwie, gwiazdniki, żółte lwie paszcze, blade przytulie, fiołkowe bratki, szkarłatny kurzyślak, a dokoła pas krwawników i naparstnic, a nad nimi róża polna, blada i lśniąca w kolczastych zaroślach, i kremowy, słodko pachnący wiciokrzew, wędrownie nici przestępu i ciemne gwiazdki wilczej jagody, a wszystko bujne, aż zdawało się, że lśnić będzie wiecznie. Wśród połyskliwego szkliwa traw zawisły diamentowe nici światła; słodko i czysto śpiewały skowronki i drozdy, i kosy, wszędzie fruwały motyle, niebieskie, siarkowożółte, miedzianoczerwone i kruchobiałe, przenosząc się z kwiatu na kwiat, z koniczyny na wykę i ostróżkę polną, podążając za przewodnią wizją niewidzialnych fioletowych pentagramów i spiralnych zwojów świetlnych płatków.

Było dziecko, dziewczynka, huśtająca się na furtce, w niebieskiej sukience i białym fartuszku, mrużąc do siebie i plotąc wianek.

I był mężczyzna, wysoki, brodaty, z twarzą ukrytą w cieniu szerokiego ronda, wędrowiec, idący ścieżką wzdłuż żywopłotu, z jesionowym kijem w dłoni i spojrzeniem piechura.

Przystanął i zagadnął dziewczynkę, która uśmiechnęła się i odpowiedziała mu pogodnie, wciąż wożąc się tam i z powrotem na skrzypiącej furtce. Zapytał, jak nazywa się to miejsce i dom w wąskiej dolinie poniżej, który w istocie znał bardzo dobrze, a później zapytał ją o imię, ona zaś odparła, że nazywa się May. Powiedziała, że ma także inne imię, którego nie lubi, on zaś odrzekł, że to może się zmienić - imiona kurczą się lub rosną w miarę dorastania - i że chciałby poznać jej pełne imię. Huśtając się coraz szybciej odparła, że nazywa się Maja Thomasina Bailey i że w domu tam, w dole, mieszkają jej tata i mama, i że ma dwóch braci. Opowiedział jej więc, że Maja była matką Hermesa, złodzieja, artysty i przewodnika dusz, i że zna wodospad w Yorkshire, zwany Tomaszowym. Ona zna kucyka imieniem Hermes, rzekła na to, szybkiego jak *wiatr*, daje słowo, ale nigdy nie słyszała o wodospadzie, który by się nazywał Tomaszowy.

- Chyba znam twoją mamę - powiedział. - Bardzo jesteś do mamy podobna.

- Nikt inny tak nie mówi. Ja myślę, że jestem podobna do taty. Mój tata jest silny i dobry i jeździ ze mną konno, szybko jak *wiatr*.

- Myślę, że masz w sobie również wiele z taty - powiedział wówczas i chwycił ją w pasie, jakby od niechcenia, by jej nie spłoszyć, i postawił u swego boku. Siedzieli na wzgórku i rozmawiali, otoczeni chmurą motyli, co przypominał sobie później z absolutną jasnością, a co ona z upływem stulecia pamiętała coraz mniej wyraźnie. Wokół ich stóp biegały chrząszcze, szmaragdowe i czarne. Opowiadała mu o swym przyjemnym życiu, o zabawach i ambicjach.

- Wyglądasz na niezwykle szczęśliwą - zauważył, ona zaś odparła:

- Bo jestem, jestem.

Wówczas on zamilkł na parę chwil, aż zapytała go, czy umiałby upleść wianek ze stokrotek.

- Uplotę ci koronę - powiedział. - Koronę dla majowej królowej May. Ale w zamian musisz mi coś dać.

- Ale ja nic nie mam.

- Och, tylko kosmyk włosów - bardzo cienki - na pamiątkę.

- Jak w bajce.

- Właśnie tak.

Tak więc zrobił jej koronę na rusztowaniu giętkich gałązek, zerwanych w zagajniku, w którą wplótł zielone, pierzaste źdźbła i wielobarwne smugi, bluszcz i paprocie, srebrzyste trawy i gwiaździste liście dzikiego przestępu, a wszystko to ozdobił różyczkami, wiciokrzewem i falbanką wilczej jagody („Ale wiesz, że nie wolno ci tego jeść” - powiedział, a ona odparła wzgardliwie, że wie doskonale, co może jeść, a czego nie może, tyle razy jej to mówiono).

- Proszę - powiedział, koronując jasną główkę. - Przecudnie cudne dziecię wróżek. Albo Prozerpina. Czy znasz ...te pola Enny jasne, Skąd zrywając kwiaty Prozerpinę Porwał, niby najcudowniejszy z kwiatów, Ponury Dis, każąc zbołałej Ceres Szukać jej w świecie całym?

Popatrzyła nań dumnie i wciąż nieco wzgardliwie, wyprostowana pod ciężarem swego nowego brzmienia.

- Mam ciocię, która ciągle mówi mi takie rzeczy. Ale ja nie lubię wierszy.

Wyjął małe kieszonkowe nożyczki i bardzo delikatnie obciął długie pasmo żółtej jak jaskier przędzy, opadającej wielkim obłokiem na jej ramiona.

- Daj - powiedziała. - Zaplotę ci, żeby było porządnie.

Patrząc na jej ruchliwe paluszki i buzię zmarszczoną nad robotą, powiedział:

- Przykro mi, że nie lubisz wierszy, bo ja jestem poetą.

- Och, *ciebie* lubię - odparła pośpiesznie. - Umiesz robić śliczne rzeczy i nie *marudzisz*.

Wyciągnęła ku niemu spleciony warkoczyk, który zwinął i włożył do koperty od zegarka.

- Powiedz swej cioci, że spotkałaś poetę, który szukał La Belle Dame Sans Merci, a zamiast niej znalazł ciebie; który przesyła wyrazy szacunku i nie będzie jej niepokoił, gdyż wybiera się teraz ku świeżym lasom i nowemu światu*.

* Aluzja do poematu Johna Milтона „Lycidas”, przeł. Benedykt Lenartowicz (przytłum.).

- Spróbuję zapamiętać - powiedziała, poprawiając koronę.

Więc pocałował ją - cały czas od niechcenia, aby jej nie spłoszyć - i ruszył w drogę.

Lecz w drodze do domu spotkała swych braci; wywiązała się bójka, dziewczynka połamała swą śliczną koronę i całkiem zapomniała o wiadomości, która nigdy nie została przekazana.